

JACK DU BRUL

KLĄTWA PANDORY

PHILIP MERCER, tom 04

PROLOG

– Tego się obawiałem – mruknął pilot.

– Powiedziałbym, że jesteśmy jakieś sześćdziesiąt kilometrów od wybrzeża Grenlandii.

Jack Delaney wiedział z doświadczenia, katastrofę poprzedzała seria drobnych awarii. Z wyjątkiem, pomyślał ponuro, wojny, kiedy wystarczyło jedno działo przeciwlotnicze albo pojawiający się znikąd japoński myśliwiec. Kiedy dowodził B-29, kilka razy cudem uchodzili z życiem, ale nigdy nie stracił człowieka. Być może teraz jego fart się skończył. Los zsyłał mu jeden problem za drugim, a major niewiele mógł na to poradzić.

Zaczęło się podczas startu w Anglii, kiedy nagły silny powiew wiatru zakołysał nimi, przesuwając w łuku wielkiego C-97 źle umocowaną paletę. To nie był poważny problem – tyle tylko, że samolot miał złe wyważenie. Aby utrzymać się w poziomie, Delaney musiał stale przekręcać wolant. Zameldował o wypadku kontroli lotu i kazał przekazać bazie Sił Powietrznych w Thule na Grenlandii, że dostawa nieco się opóźni. Oznajmił też, że po powrocie zażąda głowy tego, kto był odpowiedzialny za mocowanie ładunku. Kolejnych kilka godzin minęło bez kłopotów, po czym nastąpiło spięcie w radiostacji. Islandię zostawili jakieś

sto sześćdziesiąt kilometrów za sobą, kierując się na północny zachód, i nagle stracili łączność. Tom Sanders próbował temu zaradzić, ale tylko poparzył palce. Delaney zastanawiał się, czy nie zawrócić – ale już trzykrotnie odwoływano loty do Thule, a w bazie za kręgiem polarnym bazy czekano na dostawę. Wiedział też, że pogoda zepsuje się, zanim kolejny samolot będzie mógł wystartować. Teraz oceniał swoją decyzję kontynuowania misji jako kolejny wypadek, który przytrafił się załodze strato-freightera.

Na dodatek jakieś pół godziny temu porucznik Winger zauważył, że silniki nadmiernie się nagrzewają. Delaney uchylił pokrywy czterech silników Pratt & Whitney, próbując je schłodzić, co jeszcze spowolniło samolot. Rozwiązanie sprawdzało się przez jakiś czas, ale wskazówki temperatury ponownie zaczęły przesuwac się w stronę czerwonych pól. Wtedy właśnie silnik numer jeden zakrzuszył się po raz pierwszy. Przez kilka minut pracował normalnie, po czym ponownie strzelił, wprawiając maszynę w drgania, od których zatrzeszczały aluminiowe wręgi. Delaneyowi nie pozostało nic innego, jak wyłączyć silnik.

– Kiedy temperatura spadnie, spróbujemy go odpalić jeszcze raz – powiedział Wingerowi. – Tom, czy po tej stronie Grenlandii są jakieś lądowiska?

– Nie, panie majorze. Na mapie mam tylko góry i lodowce. Mniej więcej dwieście czterdzieści kilometrów na południe od miejsca, w którym przetniemy wybrzeże, znajduje się obóz Decade, ale mogą tam lądować tylko samoloty z płozami.

– Cholera. – Delaney zamilkł, przeliczając w myślach odległości i szansę. – Dobra. Jeśli silnik nie zapali bez problemów, zawróćmy na Islandię.

– Majorze, to jakieś trzysta siedemdziesiąt kilometrów. – W głosie Sandersa słyhać było napięcie. Był zbyt młody, żeby brać udział w wojnie, i Delaney przypuszczał, że oficera pierwszy raz w życiu ogarnął prawdziwy strach.

W ciągu pięciu minut, których wymagało schłodzenie silnika, na pokładzie panowała cisza – nawet wówczas, kiedy ich oczom ukazały się strzeliste urwiska i ciemne fiordy broniące wschodniego brzegu Grenlandii. Delaney nie widział równie pośępnego miejsca. Góry przykryte były śniegiem, a od strony lądu napierał na nie grenlandzki lodowiec, przeciskając się jak zamrożone wodospady dolinami do morza. Delaney wiedział, że za wąskim pasmem wybrzeża rozciągało się morze lodu o powierzchni ponad dwóch milionów kilometrów kwadratowych i grubości dorównującej głębokości oceanu.

– Panie majorze, temperatura w jedyńce w normie. Wygląda na to, że cały zaprzęg pracuje równo.

Delaney spojrział na wskaźniki i przekonał się, że dzięki otwarciu pokryw silniki się schłodziły. Odpalił pierwszy, który zaczął mrużyć spokojnie, jak gdyby nie sprawiał wcześniej żadnych problemów. Ustawił odpowiednio krawędzie śmigła i poczuł, jak zaczynają ciągnąć, a C-97 odzyskuje sterowność.

– Trochę lepiej – odetchnął, a Winger i Sanders wymienili szerokie uśmiechy. – Za jakieś pięć minut będziemy mieli pewność.

Maszyna minęła pasmo górskie z prędkością trzystu trzydziestu kilometrów na godzinę – dużo mniejszą od optymalnej prędkości przelotowej i znacznie poniżej zalecanego pułapu. Za porytymi śniegiem szczytami Delaney i Winger zobaczyli ciągnące się po horyzont morze lodu. Pod ogromnym naciskiem padającego w głębi łądu śniegu miliardy ton lodu przesuwały się wolno ku wybrzeżu jak niekończący się pas transmisyjny. Poruszając się, tarły o skalne podłoże, więc każda wypukłość pod grubą na półtora kilometra skorupą objawiała się na powierzchni jako wielki poszczerbiony grzbiet. Lodowa pokrywa była tak poszarpana, że Delaney wyobraził ją sobie jako zamarznięte w ułamku sekundy morze w czasie sztormu – każda fala zmieniona w ostry jak brzytwa grzebień, osiągający czasem wysokość dziesięciu metrów.

– Jezu – szepnął bezgłośnie.

Porucznik Winger odwracał się właśnie do Delaneya, kiedy silnik numer jeden eksplodował. Podwójne rzędy cylindrów wybuchły z siłą bomby, a odłamki, olej i płonące paliwo rozsadziły gondolę silnika, jakby trafił ją pocisk przeciwlotniczy. W kilka sekund skrzydło samolotu ogarnęły płomienie. Kiedy wiatr powiększał spowodowane przez rozżarzone odłamki wyrwy w aluminiowym poszyciu, skrzydło zaczęło się rozpadać.

Transportowiec przechylił się, tracąc ciąg z lewej strony. Delaney walczył z maszyną, tylko przez ułamek sekundy rzucił okiem na wysokościomierz, którego wskazówka przesuwała się w dół z zawrotną szybkością. Zauważył, że Winger odcina już dopływ paliwa do zniszczonego silnika. Dobry pilot.

– Tom, co widzisz? – krzyknął Delaney, z trudem utrzymując okaleczony samolot w powietrzu.

Nawigator wyjrzał przez okienko. Rutyna wzięła górę nad strachem ściskającym żołądki, odpowiedział spokojnie:

– Silnik odpadł i wygląda na to, że skrzydło też się zaraz oderwie. Wciąż płonie. Chwileczkę, gaśnie.

– Odciałem paliwo – mruknął Winger, wracając do sterów i pomagając Delaneyowi kręcić wolantem.

– Jasna cholera, straciliśmy większą część lewej kłapy. Jerry, ustaw śmigło numer cztery na płasko. Musimy go wyrównać. Za mocno ciągnie z prawej.

Winger wykonał rozkaz. Zmniejszył w ten sposób o połowę ciąg po jednej stronie stratofreightera, który powoli zaczął odzyskiwać równowagę, ale wciąż tracił wysokość. W ciągu trzydziestu sekund, jakie upłynęły od eksplozji, zeszli do pułapu trzech tysięcy metrów i opadali dalej. Obydwaj piloci desperacko mocowali się ze sterami, próbując utrzymać samolot w poziomie. Nie mogli zrobić już nic, żeby odzyskać nośność. Starali się tylko jak najłagodniej posadzić maszynę na lodzie.

– Zaczynaj szukać miejsca, na którym będziemy mogli wylądować tym złomem. – Strach minął i głos Delaneya brzmiał czysto i pewnie.

– Rozglądam się, ale lód jest zbyt poszarpany. – Winger spojrział na wysokościomierz. – Półtora tysiąca metrów.

W gęstszym powietrzu siła nośna była większa i nie opadali już tak szybko. Delaney spróbował podnieść nos C-97, licząc, że

odzyska trochę wysokości, ale samolot ponownie przechylił się na lewe skrzydło. Przez koszmarną sekundę walczył o wyrównanie.

– Co widzisz?

Zanim Winger zdążył odpowiedzieć, kabina wypełniła się dymem, mieszkanką płonącego oleju i płynu hydraulicznego. Drażnił gardło i szczypał w oczy. Sanders krzyknął, że za jego plecami się pali. Delaney na oślep sięgnął po wyłącznik hermetyzacji, żeby wywietrzyćabinę. Dym rozwiął się natychmiast, a piloci, dławiąc się, wdychali świeże, choć lodowate powietrze.

– Trzeba stłumić ten ogień – wycharczał Delaney. Maszyna straciła kolejnych trzysta metrów. Opadała teraz w niebezpiecznym korkociągu. – Mów do mnie, Jerry. Co widzisz?

– Nic. – Winger zakaszał, kładąc dłoń na piersi, jakby ten gest miał przynieść ulgę poparzonym płucom. – Zaczekaj chwilę!

Wpatrywał się w gładką powierzchnię lodowca.

– Widzę – powiedział Delaney w tym samym momencie, kiedy Winger pokazał to miejsce palcem.

– Pożar ugaszony, panie majorze, ale nie obiecuję, że na długo. – Sandersowi dym najmocniej dał się we znaki, mówił, jakby oddychał po raz ostatni.

Najostrożniej jak mógł major Delaney położył niesterowny transportowiec w zakręt i skierował nos C-97 w stronę gładkiego fragmentu lodowca. Nigdy w życiu nie robił czegoś równie delikatnie i ostrożnie. Lecieli na sześciuset metrach przy szybkości dwustu kilometrów na godzinę. Oceniał, że od lądowiska dzieli ich około sześciu kilometrów, i zaczął schodzenie. Mieli tylko jedną szansę. Palce zbieły mu na sterach. Ledwo zauważał,

że temperatura w kabinie spadła do minus trzydziestu stopni i szyba zamarzała.

– Jakbym odzyskiwał sterowność – zdziwił się Winger, pomagając ustawić C-97 przodem do północnego wiatru. – Pewnie to kwestia gęstszego powietrza.

– Tak – przytaknął Delaney, pierwszy raz od eksplozji mając nadzieję na wyjście cało z opresji. Każda sekunda kontroli nad samolotem odrobinę zwiększała ich szansę.

– Zaryzykujemy klapy?

– Nie. Jeśli nie otworzą się po lewej stronie, maszyna się przechyli.

Trzy kilometry przed celem piloci widzieli już, że miejsce, które wybrali na lądowanie, nie było wcale tak gładkie, jak myśleli. Wściekły wiatr zwał świeży śnieg, który zamortyzowałby uderzenie. Pozostały tylko lodowe szpikulce o groteskowych kształtach, które mogły rozerwać cienkie poszycie boeinga i przebić zbiorniki paliwa. Delaney polecił Wingerowi zrzucić resztkę paliwa, przygotowując się na nieuniknione szarpnięcie w górę. Obliczył, że w przewodach zostanie akurat tyle paliwa, żeby silniki pracowały aż do wylądowania. Bardziej obawiał się pożaru niż zetknięcia z ziemią. Zbyt często widział, jak koledzy wracający w uszkodzonych maszynach po wykonaniu zadania lądowali szczęśliwie, po czym ich B-29 stawały w płomieniach.

– Co z podwoziem? – Dłoń Wingera zawisła nad przełącznikami.

– Wolałbym posadzić nas na brzuchu. Nie możemy ryzykować, że walniemy w jeden z tych zwałów lodu.

Gdyby doszło do awarii wskaźników, nie dałoby się określić odległości od ziemi. To był jeden z zadziwiających aspektów latania w Arktyce: gdziekolwiek się spojrzeło, wszystko wyglądało identycznie. Delaneyowi najbardziej brakowało drzew. Po ich rozmiarach mógł określić, na jakim pułapie się znajdował. Tutaj jedynym punktem odniesienia były nagie szczyty po lewej stronie. Doświadczenie podpowiadało mu, że lecą dziewięćset metrów nad ziemią, ale równie dobrze mogło to być dziewięćdziesiąt. Jeszcze mocniej zacisnął dłonie na wolancie. Mróz zaczynał mu już dawać się we znaki. Szczypały go oczy, jakby miał w nich piasek, choć łzy ciekły mu po policzkach. Ledwo wyczuwał pedały steru kierunku. Strzałka wysokościomierza minęła sto pięćdziesiąt metrów.

Stratofreighter mruzczał jednostajnie, dwa pracujące silniki pozwalały na łagodne opadanie. Im bliżej byli lodowej tafli, tym więcej widzieli szczegółów – i nie wyglądało to najlepiej. Lądowanie nie byłoby miękkie, nawet gdyby lód był gładki. Ale nie był. Tumany śniegu wirowały wokół lodowych muld.

Delaney otworzył przepustnicę, czując, że musi nabrać trochę wysokości, zanim posadzi uszkodzoną maszynę. Samolot wyrównał, choć wiatr usiłował go obrócić. Najbliższe wzniesienie było raptem pół kilometra po prawej, ale prawie nie osłaniało od wściekłych porywów wichru. Wyczuł nadchodzący podmuch i zareagował, walcząc z opornymi sterami, żeby utrzymać wskaźnik sztucznego horyzontu w poziomie.

– Podaj pułap.

– Trzydzieści metrów – natychmiast odparł Winger. – Tom, przypiął się mocno?

Sanders jęknął. Delaney koncentrował się na pilotowaniu, Winger odwrócił się więc, by sprawdzić, co z telegrafistą. Wstrzymał oddech. Z nosa Toma Sandersa płynęły dwie strużki krwi. Krew w lodowatym powietrzu kabiny krzepła w skorupę. Sanders ścisnął głowę tak mocno, że drżały mu ramiona. Oczy miał wybałuszone. Z nich także ciekła krew.

– Tom, co się stało? – Winger przypuszczał, że radiooperator uderzył twarzą w pulpit nawigacyjny.

Sanders znów jęknął, jeszcze głośniejsze, i zaczął szarpać ubranie na piersi, rozmazując krew na skórzanej kurtce jak pociągnięciami pędzla.

– Jerry, potrzebuję cię – zawołał Jack Delaney. Od ziemi dzieliło ich piętnaście metrów.

Winger zajął się przyrządami.

– Tom jest ranny.

Podmuch wiatru zepchnął C-97 na lewo. Winger i Delaney wspólnie skierowali samolot z powrotem na kurs. Ponownie lekko zadarli nos maszyny. Powietrze pod skrzydłami uderzało w lód, tworząc poduszkę, zwaną efektem przypowierzchniowym, łagodzącą opadanie.

– Prędkość sto osiemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę.

Delaney był maksymalnie skoncentrowany. To nie przypominało lotów w berlińskim moście powietrznym, gdy w cztery czy pięć maszyn jedna nad drugą czekali na pozwolenie lądowania.

Tutaj miał jeden strzał: albo posadzi samolot bezpiecznie, albo się rozbija. Nie było trzeciej możliwości.

Ziemia zbliżała się w przejrzystym powietrzu zwodniczo szybko. Jeszcze przez chwilę trzymał nos C-97 w górze, kiedy wolant stawiał opór. Odwrócił się i zobaczył, że jego drugi pilot opiera się o wolant. Winger szarpnął się i z powrotem opadł w fotel. Z jego nosa i oczu tryskała krew, obryzgując szybę. Krzyknął, ale z jego gardła wydobył się tylko bulgoczący jęk. Z ust trysnęło mu jeszcze więcej krwi. Delaney domyślał się, że to skutek wdychania dymu. Na szczęście sam nałykał się go mniej niż jego podwładni.

Nie było czasu na zajęcie się nimi. Major skupił spojrzenie na lądowisku dokładnie w chwili, gdy samolot dotknął ziemi. Z przesywającym trzaskiem brzuch maszyny uderzył w lód. Natychmiast oślepiły go wirujący śnieg i odłamki lodu. Poczul, jak śmigła dwóch pracujących silników wbijają się w grunt i roztrzaskują, a wielkie łopaty odpadają. Jedna z nich, sądząc po dźwięku, rozdarła aluminiowe poszycie ładowni.

Szum silników ustąpił teraz miejsca odgłosom rozrywania samolotu przez lód. Każde zderzenie z ziemią wciskało Delaneya w fotel, aż w końcu wydawało mu się, że obojczyki ma złamane. Maszyna sunęła bez końca. Wskazówka prędkościomierza ledwo spadła poniżej stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. To niemożliwe, pomyślał Delaney. Powinni zwalniać.

Jak okiem sięgnąć było białe. Delaney nie miał żadnego punktu odniesienia, nic, co pozwoliłoby określić położenie lub kierunek ruchu. Wydawało się jednak, że samolot skręca

w prawo, ku góróm. Wstrząsy i wibracje nie ustawały, rzucając maszyną. Delaney tak bardzo wysiłał wzrok, że głowa zaczęła go boleć. Wypuścił wolant z rąk, ale stopy wciąż trzymał na sterach kierunku. Teraz był już pewien, że samolot skręca w prawo, szarpnął więc ster, by wyprostować maszynę i nie uderzyć w lodowe grzbiety. Kiedy uznał, że zmienił tor ślizgu, zwolnił pedał i modlił się, żeby mieć rację.

Pilot oślepiiony wirującym śniegiem nie mógł wiedzieć, jak bardzo się mylił. Maszyna ślizgała się w linii prostej, dopóki nie nacisnął pedału steru. Major skręcił nieco stratofreightera, który sunął teraz w kierunku łagodnego wzniesienia. Samolot dotarł do niego i wślizgnął się na jego szczyt. Niskie tarcie nie wyhamowało maszyny, więc na chwilę ponownie wzbili się w powietrze.

Wydostali się z wirujących tumanów śniegu. Delaney krzyknął, widząc, że lecą wprost na skały. Transportowiec znowu uderzył o ziemię, tym razem mocniej niż za pierwszym razem. Wylądował w miejscu, gdzie teren opadał w dół, w kierunku gór. Niczym sanki zjeżdżające z górki zaczął nabierać szybkości. Delaney znów niczego nie widział, ale był za to wdzięczny losowi. Nie mógł już nic zrobić.

Samolot uderzył w skałę. Obrócił się, sunął teraz lewym skrzydłem naprzód. Maszyna pochyliła się i skrzydło wbiło się w ziemię pokrytą lodem, ryjąc w nim szeroką bruzdę i jak pług śnieżny wyrzucając lód na boki. Dzięki temu wyhamowali. Kiedy skrzydło wreszcie urwało się, sunęli nie szybciej niż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Kolejne uderzenie w skałę spowolniło

ich jeszcze bardziej; Delaney zaczął wierzyć, że jednak wyjdą z tego cało.

Szyba roztrzaskała się i ryczący wiatr wpychał do kabiny lód i śnieg. Twarz Delaneya była posiekana drobinkami lodu jak po piaskowaniu. Choć prawie stracił czucie, wiedział, że krwawi. Nagle C-97 zarył nosem w zaspę po zawietrznej stronie wzgórza i zatrzymał się gwałtownie. Przez wybite szyby do kabiny wdarł się śnieg, przysypując Delaneya po pas.

Z początku wokół panowały cisza i bezruch. Siedział, odychając ciężko. Wydychane powietrze tworzyło obłoki pary gęste jak dym papierosowy. Ogarnął go spokój, a przerażenie zmieniło się w ogromną ulgę. Poczł także dumę. Jeden na dwudziestu pilotów potrafiłby dokonać czegoś takiego, a może jeden na pięćdziesięciu.

Dopiero teraz zaczął słyszeć wycie wiatru i bębnienie lodowych kryształków o poszycie jak serie z karabinów maszynowych. Otarł policzki – na dłoniach została mu krew. Nie czuł bólu, był skostniały z zimna. Przypomnił sobie o Wingerze. Drugi pilot siedział w swoim fotelu. Miał szeroko otwarte puste oczy. Skrzepnięta krew na jego twarzy wyglądała jak maska. Nie żył.

– Tom? – Delaney zawołał nawigatora. – Tom, nic ci nie jest?

Nie było odpowiedzi. Jego załoga zginęła, ale Delaney nie mógł sobie pozwolić na rozpacz. Wiedział, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, również on będzie martwy. Najpierw musiał wydostać się z kabiny. Przez wybitą szybę dostało się do środka tyle śniegu, że z trudem mógł poruszyć nogami. Był słaby, zbyt słaby. Chciał zamknąć oczy i chwilę odpocząć.

Kolejna lodowa seria uderzyła w samolot i otrzeźwiła go, choć powieki już mu się kleiły. Delaney był przekonany, że jeśli uda mu się wydostać z kabiny pilotów, przeżyje. Na pokładzie stratofreightera była dostawa dla bazy Thule: paliwo, jedzenie, odzież polarna i wszelki sprzęt niezbędny w Arktyce. Wszystko, czego potrzebował, by doczekać pomocy.

Tego, że pomoc nadejdzie, był absolutnie pewien. Zaczną go szukać w kilka godzin po zapowiedzianym czasie lądowania. Na razie wykorzysta wrak jako schronienie, czekając w cieple i z pełnym żołądkiem. To tylko kwestia czasu – kilku dni, najwyżej tygodnia. Ale w końcu go odnajdą.

Gdyby tylko głowa nie bolała go tak bardzo. Gdyby tylko mógł powstrzymać krwotok z nosa, który wypełniał mu usta żelazistym posmakiem...

WIEDEŃ, AUSTRIA CZASY WSPÓŁCZESNE

Przy ładnej pogodzie starszego pana i jego jamniczkę można było spotkać na Karntnerstrasse. Modna ulica handlowa biegnąca obok słynnej opery była zawsze pełna turystów i natrętnych sprzedawców, ale wielu sklepikarzy znało z widzenia staruszka i jego psa podobnego do serdelka. Od lat chadzał tędy. Wielu zwracało się do niego „Herr Doktor”, choć nikt tak naprawdę nie wiedział, czy należy mu się ten tytuł. W każdym razie pasował do starszego pana. Pomimo wieku jego oczy zachowały blask, a głos miał mocny.

Był koniec lipca powietrze wypełniały zapachy ciast i spalin. Doktor odczuwał dolegliwości swojego wieku, na zapiętą koszulę i kardigan narzucił więc cienką kurtkę, a na głowę włożył kapelusz filcowy. Zimą Handel, jego jamniczka, nosiła tartanowy sweterek, który sprawiał, że wyglądała jak walizeczka. Dziś jednak jej gładka czarna sierść błyszczała jak antracyt.

Starszy pan miał dziś określony cel i ci, którzy go rozpoznali, zdziwili się, że wyszedł tak wcześnie. Barokowy, przypominający weselny tort budynek opery mijał zwykle nie wcześniej niż

o dziesiątej czy wpół do jedenastej. Handel jakby wyczuwała, że pan się śpieszy, i dreptała posłusznie u jego boku. Zza gmachu Ministerstwa Finansów wyrastała stutrzydziestopięciometrowa wieża katedry Świętego Stefana. Olbrzymi gotycki kościół z mozaikową dachówką na dachu był symbolem Wiednia jak wieża Eiffla – Paryża.

Zanim skręcił w Johannesgasse, starszy pan poczekał, aż z łoskotem przejedzie kilka czerwonych tramwajów i sznur samochodów. Partery wielu budynków szerniały od spalin niezliczonych pojazdów, architektoniczne detale zniknęły pod wieloletnią warstwą brudu. W labiryncie uliczek wokół kościoła Świętej Anny Handel była podekscytowana. Wiedziała, że zbliżają się do celu.

Kamienica, tak jak pozostałe w tej wąskiej uliczce, była jednopiętrowa, miała białą, pokrytą stiukiem fasadę. Na jej tyłach znajdował się mały dziedziniec z ogródkiem, w oknach były ozdobne kraty. Obok ciężkich drzwi umieszczono nierzucającą się w oczy tabliczkę z brązu: „Instytut Badań Stosowanych”.

Kierujący instytutem pozwolili gospodyni budynku, Frau Goetz, zająć dwupokojowe mieszkanie na tyłach. Choć dopiero minęła dziewiąta, Frau Goetz zdążyła już otworzyć drzwi wejściowe, a kiedy doktor wszedł do holu, poczuł zapach kawy i świeżo upieczonego ciasta. Odpiął smycz i Handel pognęła na swoje ulubione miejsce na dziedzińcu, gdzie poranne słońce wygrzało już jej kocyk.

– Guten Morgen, Herr Doktor – przywitała się Frau Goetz, wychodząc z kuchni, aby pomóc mu zdjąć kurtkę.

– Guten Morgen, Frau Goetz – odpowiedział doktor Jacob Eisenstadt. Znali się od czterdziestu lat, a jednak nigdy nie zwracali się do siebie po imieniu. Frau Goetz była zaledwie kilka lat młodsza od swojego pracodawcy i była zwolenniczką przedwojennych zwyczajów. Tak jak ona z pewnością nie włożyłaby spodni, tak on nigdy nie nazwałby jej Ingrid. Mimo bardzo formalnego odnoszenia się do Jacoba Eisenstadta i jego współpracownika, Theodora Weitzmanna, Frau Goetz troszczyła się o nich. Obaj od dawna byli wdowcami i kiepsko radzili sobie z codziennymi obowiązkami. Ingrid dbała, by ich ubrania miały odpowiednią liczbę guzików, a oni sami jedli choć jeden zdrowy posiłek dziennie – ugotowany przez nią obiad.

– Pan Weitzmann jest już na górze – poinformowała Frau Goetz. – Przyszedł godzinę przed panem.

– Umówiliśmy się na dziesiątą. Stary głupiec nie mógł się doczekać, co?

– Najwyraźniej nie, Herr Doktor. – Gospodyni wiedziała, czym się zajmują, i całym sercem popierała ich sprawę, ale w przeciwieństwie do nich nie interesowały jej stare papierzyska. Czasami zachowywali się jak mali chłopcy.

– Danke – powiedział Eisenstadt z roztargnieniem. Szedł już w stronę schodów.

Instytut był bardzo zagracony i mimo że Frau Goetz starała się zaprowadzić tam porządek, nie mogła tego zmienić. Choć odkurzała regularnie, wciąż przybywało książek i dokumentów, tak że nie nadążała ze sprzątaniami. Wszystkie ściany pokojów od frontu zastawione były po sufity regałami. Nawet nad drzwiami

zawieszono półki na rzadko używane manuskrypty i dokumenty. Książki były też w łazience, a ponieważ Frau Goetz miała w swoim mieszkaniu prysznic, nawet stojąca na lwich łapach wanna wypełniona była teczkami. Schody prowadzące na piętro byłyby wąskie nawet bez stosów książek ułożonych po obydwu stronach każdego stopnia.

Książki, materiały w teczkach i luźne dokumenty dotyczyły jednego tematu, a doktor Eisenstadt przeczytał je wszystkie. Od czterdziestu lat treścią jego życia było zbieranie informacji i staranne przesiewanie ich w poszukiwaniu tego wątku informacji, dzięki którym pozna prawdę i będzie mógł naprawić wyrządzone zło.

Pomiędzy regałami bibliotecznymi u szczytu schodów był kawałek pustej ściany. Wisiało tam umieszczone w prostej ramce zdjęcie Szymona Wiesenthala, poniżej zaś podpisane przez niego wyryte w drewnie epitafium: „Nigdy więcej”. Eisenstadt nie potrzebował napisu, by pamiętać. Jego własne wspomnienia i wytatuowany na przedramieniu numer nie pozwalały mu zapomnieć.

Podobnie jak Wiesenthal, Eisenstadt i Weitzmann przeżyli obóz i stali się łowcami nazistów. Choć oni dwaj, mówiąc dokładniej, poszukiwali akurat złota i innych kosztowności zrabowanych Żydom przez hitlerowców.

Na piętrze Eisenstadt skręcił w lewo i wszedł do gabinetu.

– Theodor, obiecałiśmy sobie nie przychodzić dziś wcześniej
– powiedział, choć tak naprawdę nie był zły.

– Ty też jesteś godzinę wcześniej niż zwykle. – Theodor Weitzmann był niższy od kolegi i szczuplejszy. Miał zwichrzoną siwą grzywkę i krzaczaste brwi nad ciemnymi oczami.

Okna gabinetu wychodziły na ogród; pachniało w nim dymem z fajek, które obydwaj pomimo zakazu lekarza z upodobaniem palili. Na środku pomieszczenia stały dwa zestawione biurka, ich sfatygowane blaty zarzucone były papierami i popiołem. Obydwaj trzymali na swoich biurkach oprawione fotografie. Na większości z nich były ich od dawna nieżyjące żony.

– Zacząłeś już przeglądać nowe materiały? – Eisenstadt opadł na stare wysłużone krzesło, które zatrzeszczało równie głośno jak jego stawy.

– Naturalnie. A po co miałbym tu przychodzić dwie godziny przed umówionym czasem?

– I czego się dowiedziałeś?

– Nie będę sugerował ci wniosków, Jacobie. – Łączyła ich szorstka przyjaźń, wiedzieli, że nigdy się nie skrzywdzą.

Jacob pominął łagodną wymówkę milczeniem i zapalił swoją pierwszą fajkę tego dnia. W końcu jednak musiał jakoś ripostować.

– Przestań przekarmiać Handel. Wydaje mi się, że ma zażalenie.

– A któż nie ma?

Frau Goetz weszła z kawą i dwoma kawałkami tortu Sachera na srebrnej tacy. Zgodnie z wiedeńską tradycją przyniosła też dwie szklaneczki wody. Theo mógł w nieskończoność powtarzać,

żeby darowała sobie wodę, bo żaden z nich jej nie pije, ale ona i tak hołdowała temu zwyczajowi.

– Niechże więc panowie powiedzą, co ich tak podekscytowało dzisiejszego ranka. – Postawiła serwis kawowy na kawałku wolnego miejsca na biurku. – Zakładam, że ma to coś wspólnego z przesyłką kurierską, która dotarła wczoraj po południu?

– Wie pani, że utrzymujemy kontakt z pewnym źródłem w Stalingradzie – odparł Weitzmann. Podobnie jak Jacob używał przedwojennych nazw wielu miast w byłym Związku Radzieckim.

– Tak, ten ktoś zaczął przysyłać panom niedawno odtajnione materiały archiwalne.

– Zresztą w dość tajemniczy sposób. Nie wiemy, kim jest ten człowiek i jak dociera do dokumentów, ale jesteśmy mu za nie bardzo wdzięczni. Mam rację, Jacobie?

– Bardzo dziwne – potwierdził Eisenstadt z ustami pełnymi ciasta. – Ale to świetne materiały, w większości oryginalne niemieckie dokumenty przejęte przez Armię Czerwoną po zdobyciu Berlina w 1945 roku. Sowietci przez dziesięciolecia trzymali te informacje w sekrecie.

– A teraz ktoś wysyła je właśnie panom? – zapytała Frau Goetz z nutką kpiny w głosie.

– Instytut ma dobrą reputację – bronił się Theo, choć wiedział, co gospodyni ma na myśli. Nie byli tak znani ani nie mieli takiego zaplecza finansowego jak inne organizacje zajmujące się tym samym. – Zaczęło się dwa miesiące temu, z początku bardzo skromnie, jak pani pamięta: dwie małe koperty w odstępie

tygodnia, potem cisza przez kolejnych dziesięć dni i nagle wielka paczka, którą listonosz musiał nam pomóc wnieść. Przez ostatnie trzy tygodnie dostawaliśmy zwykłą pocztą kolejne koperty. Dotyczą niesamowitej historii, której zakończenie poznamy, miejmy nadzieję, dzięki tej wczorajszej przesyłce.

– Rozumiem. – Znała profesorów na tyle, by nie ciągnąć ich za język, zanim sami nie zechcą jej powiedzieć. – Nie będę panom przeszkadzać w pracy. Obiad będzie o dwunastej. Herr Doktor, wyprowadzę Handel o jedenastej, jeśli pan sobie życzy.

– Dziękuję, Frau Goetz. – Eisenstadt zatopił się już w lekturze dokumentów opatrzonych orłem Wehrmachtu, które wręczył mu Theo.

W południe Frau Goetz przyniosła obiad, ale żaden z nich nie zwrócił na to uwagi. Byli w innym świecie, świecie zła, w którym ludzkie życie sprowadzono do liczb w dokumentach przewozowych: sześć tysięcy do Dachau dziesiątego listopada, dwustu do robót w Peenemunde. Byli tak zaaferowani, że Theo Weitzmann zapomniał o kroplach do oczu, które przyniosła gospodyni, choć oczy go piekły i łzawiły.

Przesyłka, którą otrzymali wczoraj, zawierała pięćset stron dokumentów. Każdy czytali uważnie, odzywając się tylko wówczas, gdy chcieli jeden drugiego o coś zapytać. Sporo z tego już wiedzieli. Znali nazwiska wielu esesmanów i strażników wymienionych w dokumentach. Do czwartej po południu przeczytali cały materiał od deski do deski. Nie przeoczyli żadnego szczegółu. Milczeli. Zapalili fajki, by odwlec moment podsumowania tego, czego dowiedzieli się z ostatniej partii dokumentów.

– Nic nowego – stwierdził ze smutkiem Theo. – Wciąż nie znamy ostatecznego miejsca przeznaczenia ładunku.

– Cierpliwości, przyjacielu. Naziści byli fanatycznymi formalistami. Wszystko dokumentowali. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy prześledzić losy pojedynczego spinacza. Czy naprawdę sądzisz, że nie sporządzali szczegółowych raportów o transporcie dwudziestu ośmiu ton zrabowanego w Rosji złota?

– Wiem, że dokumentacja istnieje. Zastanawiam się tylko, czy ma ją nasz tajemniczy dobroczyńca, i czy nam ją przysła.

– Jak do tej pory przesłał nam wszystko. Pamiętaj, że zanim się z nami nie skontaktował, nie wiedzieliśmy nawet o istnieniu tego ładunku. Jestem przekonany, że przekaże nam wszystkie informacje, kiedy tylko je dostanie. – Eisenstadt zmrużył oczy w sposób, który jego studentom mroził krew w żyłach. – A poza tym jest tu pewna informacja, którą przeoczyłeś.

– Gdzie? – Urażony Theodor pochylił się w stronę przyjaciela.

– Spójrz tutaj. – Eisenstadt kartkował dokumenty, a kiedy znalazł właściwy, podał go Weitzmannowi. – Widzisz nazwisko na dole?

– Wybacz, stary druhu, masz rację. Niejaki major Otto Schroeder był przy tym, jak złoto przybyło do Hamburga dwudziestego dziewiątego czerwca 1943 roku. Pierwszy raz widzę to nazwisko.

– Przynajmniej ma jakieś powiązania ze złotem – przytaknął Jacob. – Trzeba sprawdzić w naszym archiwum, czy Schroeder nie pojawia się jeszcze gdzieś. Mnie to nazwisko nic nie mówi.

Weitzmann się zamyślił.

– Mnie też nie. Wygląda na to, że nie był ani w SS, ani nie służył na U-bootach. Major to nie jest stopień w marynarce.

Najbardziej obawiali się tego, że w Hamburgu, mieście portowym, złoto trafiło na pokład U-boota i zostało wywiezione z Europy. Gdyby okazało się to prawdą, szanse na to, że wytropią ładunek, były znikome. Nie mieliby wyboru, musieliby przekazać swoje ustalenia organizacji o większych możliwościach finansowych.

– Wygląda na to, że mamy nowy trop. Musimy zdobyć więcej informacji o tym majorze Schroederze. Możliwe, że jeszcze żyje i mógłby nam powiedzieć, co stało się ze złotem w Hamburgu. Może ma dzieci i one coś wiedzą.

– Sugerujesz, że nie dostaniemy już z Rosji więcej dokumentów?

– Chcę się tylko upewnić – burknął Eisenstadt – że sprawdzamy każdy wątek. Wiemy, że złoto zostało zrabowane rosyjskim Żydom przez niemiecką armię. Wiemy też, że nigdy go nie odzyskano. Jest warte niemal miliard dolarów. Nie spocznię, dopóki nie wróci do prawowitych właścicieli!

– Spokojnie, Jacob – hamował wzburzonego przyjaciela Theodor. – Żaden z nas nie spocznie.

Eisenstadt wyglądał na skruszonego, ale nie przeprosił za swój wybuch. Nigdy nie przeprosiłby za swoją pasję odzyskiwania skradzionej własności. Otoczony chmurką aromatycznego dymu dodał konspiracyjnym tonem:

– Jeśli mamy szczęście, odnajdziemy żywego Schroedera i wyślemy naszą najlepszą agentkę, żeby z nim porozmawiała.

Frau Goetz, która weszła do pokoju kilka chwil wcześniej, usłyszała ostatnie zdanie, i ten jeden raz zamierzała powiedzieć, co o tym myśli.

– Powinni panowie dać jej spokój, za dużą presję panowie wywierają. Ona ma swoje życie.

– Frau Goetz, Anika to moja wnuczka i pomaga nam, bo tego chce.

Eisenstadt odbywał tę dyskusję z Frau Goetz za każdym razem, kiedy prosił swoją wnuczkę o pomoc. Nie zamierzał już nigdy postawić nogi w swojej ojczyźnie. Odpowiedzialność Austrii za Holokaust była niemal równie duża jak Niemiec, ale ze względu na swoją pracę musiał być w centrum wydarzeń. Anika, która mieszkała w Monachium, pomagała im, gdy potrzebowali jakichś dokumentów z Niemiec. W głębi duszy wiedział, że jej pomoc wynikała raczej z lojalności niż przekonań, ale korzystał z każdej możliwej pomocy.

– Gdyby nie pomagała panom, dawno miałyby męża i dzieci.

– I tu się pani myli – wtrącił Theodor, ponieważ kochał Anikę równie mocno jak jej dziadek. – Gdyby nie my, Anika wspinałaby się na każdą górę między Spitsbergenem a Antarktydą. Pomagamy jej znaleźć miejsce w życiu.

– Pomagają jej panowie znaleźć panów miejsce, nie jej! – stwierdziła Frau Goetz i skrzyżowała ramiona na piersiach. Nie zamierzała kontynuować rozmowy. – Herr Doktor, musi pan wyprowadzić Handel.

Eisenstadt wygrzebał z kieszeni swetra zegarek i sprawdził godzinę.

– Tak, dziękuję. Theo, widzimy się jutro. Może przyjdzie nowa przesyłka.

– Będę dziś pracował do późna. Może mamy już coś w karcotece o majorze Schroederze.

– Dobrze więc. Do zobaczenia jutro.

Kilka przecznic od siedziby instytutu, w sercu zabytkowej dzielnicy wznosił się wieżowiec. Był to brzydki nowoczesny budynek z mieszkaniami dla biednych rodzin. Z dwóch ostatnich pięter widać było dziedziniec instytutu. Z tej wysokości i odległości ogród był małą plamką zieleni w morzu asfaltu i kamienia. W jednym z mieszkań na najwyższym piętrze zainstalowano urządzenie do podsłuchiwania na odległość. Laser, który mierzył wywołane dźwiękami drgania szyb, wycelowano w okno gabinetu Jacoba i Theodora. Łowcy nazistów nie zdawali sobie sprawy, że wróg, który, jak sądzili, został pokonany sześćdziesiąt lat temu, nagrywał każde ich słowo.

MONACHIUM, NIEMCY

Największy szpital w Monachium, Klinikum Rechts der Isar, był jednocześnie głównym ośrodkiem leczenia urazów. Na dachu było lądowisko dla helikopterów. Bez względu na to jak często zamiatano dach, i tak przy każdym lądowaniu śmigłowca ratunkowego podnosiła się chmura pyłu. Kiedy biały MBB wylądował, doktor Anika Klein zakryła twarz ramieniem, chroniąc się przed podmuchem. Z trudem ruszyła w stronę helikoptera. Poły jej bawełnianego kitla powiewały.

Okej, A.K., do dzieła, pomyślała i zanurkowała pod wirnikami. W ślad za nią ruszyło dwóch pielęgniarzy, ciągnąc wózek na nosze.

Boczne drzwi śmigłowca otworzyły się z impetem. Wyskoczył z nich ratownik pogotowia lotniczego, trzymając nad głową woreczek kroplówki podłączonej do ramienia pacjenta.

– Pół minuty temu ustała akcja serca – przekrzykiwał ryk silnika ratownik. – To drugi litr płynu Ringera, od kiedy na miejsce wypadku dojechała karetka.

Anika nie słuchała go. Ważne było tylko to, że serce pacjenta stanęło. W tej chwili wszystko inne nie miało znaczenia. Nie

czekając, aż pielęgniarze przeniosą nosze na wózek, wskoczyła i usiadła na nich okrakiem. Starła się trzymać kolana z dala od krwi wsiąkającej w prześcieradła. Zdjęła koce przykrywające ran- nego i zauważyła, że klatkę piersiową miał mocno posiniaczoną, a żebra zapewne połamane. Mimo to rozpoczęła masaż serca, uciskając mostek, aby serce pompowało krew. Dopiero kiedy złapała odpowiedni rytm, zaczęła słuchać, co mówi ratownik.

– Był nieprzytomny, gdy wyciągnięto go z samochodu. Ci- śnienie miał zbyt niskie, by je zmierzyć. Tętno nitkowate.

– Jakie ma obrażenia? – zapytała, podczas gdy nosze były przenoszone z kabiny śmigłowca na wózek.

– Obie stopy zmiążdżone, wielokrotne złamania piszczeli i strzałki obu nóg. Prawe ramię niemal oderwane od ciała, zła- mania prawego obojczyka, liczne rany twarzy, nóg i pleców. Brak odruchu źrenicznego. Podejrzenie zamkniętego urazu głowy.

– Miał zapięte pasy?

– Nie.

Anika spojrzała wreszcie na twarz swojego pacjenta. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat.

– Dupek.

Wiedziała, że wkrótce do szpitala przywiozą także kierowcę. Trafi od razu do kostnicy, skąd będą mogli odebrać go rodzice. Był rówieśnikiem chłopaka, którego życie było teraz w jej rękach. Godzinę wcześniej w skradzionym porsche bawili się w Formułę 1 na autostradzie. Teraz jeden był martwy, drugi miał niewielkie szanse na przeżycie.

Wózek z Aniką wciąż siedzącą okrakiem na pacjencie dojechał do czekającej windy. Lekarka robiła masaż serca. Sanitariusz przyłożył do twarzy chłopaka maskę worka Ambu i pompował mu do płuc powietrze, dostosowując się do tempa Aniki. Kiedy drzwi windy zamknęły się, lekarka się uspokoiła. Zawsze tak było. W pierwszych gorączkowych chwilach działała odruchowo, wykonywała wyuczone ruchy. Wtedy zjeżdżali do izby przyjęć. Drzwi otwierały się ponownie czterdzieści sekund później. W tym czasie nie mogła zrobić nic poza masowaniem serca. Nie myślała o niczym innym.

Ta umiejętność pozwalała jej zachować zdrowe zmysły w obliczu tragicznych skutków niedbalstwa, głupoty i, coraz częściej, przemocy. Patrzyła na swoje dłonie, ale nie myślała o niczym. Była spokojna jak w transie. Dokładnie tak samo czuła się, biegnąc maraton. Ostatnich dziesięć kilometrów to sprawa ducha, nie ciała.

Zdała sobie sprawę, że jej tętno bije w rytm masażu.

Drzwi otworzyły się i natychmiast zapanował chaos. Sanitariusze pchali wózek przez jasno oświetlony hol. Pilot helikoptera ratowniczego poinformował przez radio o ofierze wypadku, więc na miejscu czekały już pielęgniarki i drugi lekarz. Obok stał przenośny defibrylator, jedna z pielęgniarek trzymała żel i elektrody EKG. Głosy ludzi i szum aparatury się mieszały. W środku tego pandemonium Anika masowała serce pacjenta do chwili, gdy personel szpitala był gotowy do jego przejęcia.

Przesunęła się, żeby do klatki piersiowej chłopaka można było podłączyć monitor serca. Zielona linia pokazywała aktywność

tylko wtedy, kiedy Anika uciskała jego mostek. Gdy przestawała, wykres się spłaszczzał. Kółka wózka zostały zablokowane i jeden z sanitariuszy chciał pomóc Anice zejść, ale ona zeskoczyła jak amazonka, lądując miękko na gumowych podszwach.

Pielęgniarka zaintubowała pacjenta, wprowadzając mu przez usta rurkę z tlenem, aby jego płuca nie przestały pracować. Drugi lekarz, Petr Heimann, błyskawicznie przystawił mu do piersi elektrody defibrylatora.

– Odsunąć się!

Młodym mężczyzną wstrząsnęła konwulsja wywołana uderzeniem prądu. W tym samym momencie EKG podskoczyło, po czym wróciło do jednostajnego pisku.

– Powtórz – zawołała Anika.

Defibrylator naładował się i Heimann posłał kolejny impuls. Tym razem po pierwszym skoku pojawiło się słabe tętno.

Proszę, proszę, modliła się bezgłośnie Anika, patrząc na zmiażdżone nogi chłopaka i zastanawiając się, co trzeba będzie zrobić, jeśli uda się zmusić do pracy jego serce. Jeszcze na miejscu wypadku ktoś rozciął mu nogawki spodni i nawet bez rentgena wiedziała, że straci obydwie nogi poniżej kolan. Jedna trzymała się już tylko na kilku włóknach mięśni. Opaski zaciskowe na dolnej części ud powstrzymywały upływ krwi, przez co skóra poniżej nabrała trupiej szarości. Wyobraziła sobie fontanny krwi, które trysnęłyby, gdyby zdjąć gumowe opaski.

– Znowu spada – powiedziała jedna z pielęgniarek.

Anika nie musiała prosić o epinefrynę. Inna pielęgniarka już ją przygotowała, nie czekając na polecenie lekarki.

Igła była bardzo długa, wyglądała jak z koszmarne go snu. Anika płynnym ruchem wbiła ją pacjentowi między żebra, wprost w mięsień sercowy.

Wprowadziła lek i wyjęła igłę.

– Jeszcze jeden impuls.

Heimann po raz trzeci nasmarował elektrody i przyłożył do piersi chłopaka, podnosząc energię impulsu do trzystu sześćdziesięciu dzuli. W tym momencie nawet tak niebezpiecznie silny prąd nie mógł wiele zaszkodzić.

– Odsunąć się – powiedział. Wszyscy wiedzieli, jaki będzie wynik tej walki.

Uderzenie prądu wygięło ciało pacjenta w łuk. Opadł na stół i jakimś cudem jego serce zaczęło bić anemicznym rytmem. Anika i Petr zajęli się pozostałymi obrażeniami.

Badając jego oczy, Anika przekonała się, że źrenice wielkości główki szpilki nie reagują na światło latarki. Chłopak był w głębokiej śpiączce. Dłonią w rękawicy przejechała po jego włosach i z boku czaszki wyczuła guz wielkości kurzego jaja. Zamknięty uraz głowy. Tomografia wykaże zakres uszkodzeń mózgu. Anika przypuszczała, sądząc po pozostałych obrażeniach, że mocno uderzył się w głowę.

Przestała się nad tym zastanawiać. Jej zadanie polegało na utrzymaniu pacjenta przy życiu dotąd, aż zajmą się nim chirurdzy. Kiedy młody złodziej samochodów opuści izbę przyjęć, jego życie znajdzie się już w rękach innych lekarzy.

– Proszę dać znać radiologii, że potrzebujemy rentgena i tomografii – poleciła pielęgniарce. – Co myślisz, Petr?

– Straci nogi, a i tak nie wiadomo, czy będzie miał sprawny mózg.

– Ramię?

Doktor Heimann rzucił okiem na strzaskaną kończynę.

– Hamburger.

Spojrzeni na siebie, zastanawiając się, czy nie powinni byli pozwolić mu umrzeć. Czy przysięga Hipokratesa obejmowała ratowanie życia komuś, kto ma uszkodzony mózg i komu trzeba amputować nogi i rękę?

– Chirurdzy mogą zaczynać – oznajmiła jedna z pielęgniarek.

– Dobrze, dziękuję. – Anika poluzowała chłopakowi opaski na udach, żeby krew przesiąkła w otwarte rany, przywracając skórze naturalny kolor. Zanim strużki krwi zmieniły się w strumienie, znów zacisnęła opaski.

Tętno pacjenta było stabilne, lecz słabe, a ciśnienie pozostało niskie bez względu na to, ile osocza mu podawali. Miał obrażenia wewnętrzne. Zważywszy na charakter wypadku, Anika podejrzewała uszkodzenia organów wewnętrznych i krwotoki. W tego rodzaju przypadkach częste były pęknięcia śledziony. Przekonała się, że brzuch pacjenta był twardy – to efekt ciśnienia krwi wypełniającej jamę brzuszną.

Anika zamierzała właśnie skonsultować z Heimannem założenie drenu, kiedy serce pacjenta stanęło po raz trzeci. Heroiczne wysiłki na nic się nie zdały, mogli tylko patrzeć, jak umiera. Anika poczuła czyjąś dłoń na ramieniu. Poważne spojrzenie Petra mówiło wszystko.

– Zostaw go.

Wściekła spojrzała na zegar ścienny i z osłupieniem stwierdziła, że walczyli od pół godziny. Była siedemnasta osiemnaście. Jej zmiana skończyła się osiemnaście minut temu.

Anika zdjęła lateksowe rękawice i zerwała czepek. Marzyła teraz tylko o kąpieli, ale za drzwiami izby przyjęć czekała na nią policja. Pacjent był w końcu przestępcą.

Jako lekarz pogotowia wiedziała, jak ważne jest zachowanie dystansu do pacjentów, ale strata zawsze powodowała ból, o którym nigdy nikomu nie mówiła. Zmusiła się, aby zdusić w sobie to uczucie do czasu, kiedy nabierze perspektywy. Umyła ręce, w pokoju lekarskim włożyła świeży kitel i przyczesła włosy. Jej oczy w lustrze były zaskakująco przytomne, zważywszy na wydarzenia ostatnich minut i to, że właśnie schodziła z dwunastogodzinnego sobotniego dyżuru. W drzwiach wpadła na Heimanna.

– Jedź na ten swój urlop. Zajmę się policją i papierkami.

– Jesteś pewien? – Była zaskoczona. Heimann nie sływał z życzliwości w stosunku do pacjentów i kolegów.

– Tak.

– Dzięki, Petr. Doceniam to.

Anika postanowiła wziąć prysznic już w domu zamiast w szpitalu. Chciała uniknąć spotkania ze swoim szefem, doktorem Seechtem. Brudne ubrania, które nazbierały się w jej szafce, wrzuciła do sportowej torby. Ponieważ mieszkała właściwie naprzeciwko centrum medycznego, postanowiła wyjść w kitlu.

Myślała o tym, co musi jeszcze zrobić przed wyjazdem. Oddać klucz sąsiadce, instrumentariuszce w Klinikum, która

zaofiarowała się podlewać kwiaty. Trzeba będzie opróżnić lodówkę. Jutro wyjedzie do Ismaning po dziadka, a w poniedziałek ruszy na Grenlandię.

– Doktor Klein, właśnie pani szukałem. – Doktor Seecht czatował na nią za drzwiami damskiej szatni. – Bałem się, że już pani wyszła.

Cholera. Anika unikała Seechta od tygodni. Wiedziała, o czym chce z nią rozmawiać, i miała nadzieję przełożyć tę rozmowę na czas po powrocie z grenlandzkiej ekspedycji. Gdyby to było możliwe, przełożyłaby ją na czas nieokreślony. Seecht zamierzał zmusić ją do podjęcia decyzji, a nie była jeszcze gotowa.

– Właśnie wychodziłam. Dyżur skończył mi się już jakiś czas temu. – Chwilę wcześniej buzowała w niej adrenalina, ale teraz nie czuła nic poza zmęczeniem.

– Tak, właśnie rozmawiałem z Petrem. Straciła pani pacjenta. – Powiedział to protekcyjnym tonem, jakby to ona była winna śmierci chłopaka.

Zesztywniała.

– Zrobiliśmy wszystko, co możliwe.

– Nie wątpię – mruknął Seecht z roztargnieniem. – Petr to bardzo dobry lekarz.

Anika zmusiła się do milczenia. Miała z Seechtem na pieńku, od kiedy pojawił się w szpitalu. Miał prawie sześćdziesiąt lat i uważał, że tylko mężczyźni mogą być dobrymi lekarzami. Był seksistą, jednak to nie był dobry moment, żeby mu to wygarnąć.

– Chciałbym porozmawiać z panią bez ogródek, Aniko – powiedział, jakby nigdy wcześniej nie był brutalnie szczery. – Pani obniża standardy Klinikum, i to od samego początku.

Anika nie podejrzewała, że zaatakuje z tej strony, i przez chwilę była nieco zmieszana. Szybko jednak się opanowała. Odparowała atak.

– To nie moje umiejętności odbiegają od standardów – oznajmiła. – Mam doskonałe oceny roczne, stawiają mnie wśród najlepszych zespołów ratowniczych. Nagradzały mnie komisje i pochwalił sam burmistrz, kiedy przyjęliśmy jego córkę z pękniętym wyrostkiem. Jestem bardziej obeznana z najnowszymi technologiami niż którykolwiek z pańskich pracowników. Zanim zaczęłam pracę tutaj, spędziłam rok na ostrym dyżurze w Los Angeles. W każdy weekend przyjmowałam więcej urazów niż lekarze tutaj przez miesiąc. Więc proszę mi powiedzieć, jakie standardy obniżam, doktorze Seecht?

Odetchnęła głęboko.

– Nie kwestionuję pani umiejętności chirurgicznych. I bardzo, cholera, słusznie, chciała krzyknąć Anika.

W głębi korytarza pojawiło się dwóch techników. Seecht dotknął łokcia Aniki, żeby ich przepuściła. Poczowała gniew. Nie pozwoliłby sobie na taki gest z lekarzem mężczyzną. Nie pozwoliłby sobie nawet ze sprzątaczem.

Kiedy znów byli sami, ciągnął:

– Żeby być w moim zespole, trzeba czegoś więcej niż tylko umiejętności. Od moich ludzi wymagam poświęcenia, a tego pani brakuje. Na półtora roku pracy tutaj była pani na urlopie

łącznie przez sześć miesięcy. Zachęcam lekarzy, żeby mieli jakieś dodatkowe zainteresowania, o ile nie wchodzi w konflikt z pracą. Obawiam się, że pani małe przygody przeszkadzają pani w pracy.

– Dzięki moim małym przygodom – odwarknęła Anika – zgromadziłam materiał badawczy do dwóch opublikowanych prac o chemii stresu.

Na Seechcie nie zrobiło to wrażenia.

– Nie została pani zatrudniona do prowadzenia badań. A nawet gdyby tak było, do zebrania danych nie potrzebowała pani czterotygodniowej wyprawy w Himalaje, i dobrze pani o tym wie. Te pani artykuły to tylko wymówka, alibi.

Rozmawiał z nią jak przez telefon, patrząc w jakiś punkt ponad jej głową, nie widział zatem błysku gniewu w jej oczach. W takich właśnie momentach żałowała, że ma tylko niewiele ponad metr pięćdziesiąt. Podczas konfrontacji jej niski wzrost dawał drugiej stronie przewagę. Wystarczyło, że Seecht patrzył ponad jej głową, a już odcinał ją od rozmowy.

Anika chciała odeprzeć jego zarzut, ale nigdy by mu wprost nie skłamała. Seecht miał rację. Pisanie artykułów rzeczywiście było sposobem usprawiedliwiania jej wypraw.

Seecht spojrzął jej w końcu w oczy.

– Chciałem panią złapać, zanim wyjedzie pani do Arktyki czy gdziekolwiek się pani wybiera, bo musi pani podjąć decyzję. Zniknie pani na trzy tygodnie, a kiedy pani wróci, przekona się pani, że moja cierpliwość się wyczerpała. Nie będzie już więcej wycieczek, ekspedycji czy czegokolwiek. Będzie pani na każdym

dyżurze, który pani przydzielę, albo zostanie pani bez pracy. Czy wyrażam się jasno?

Od dawna wiedziała, że musi podjąć decyzję, która z pewnością zaważy na jej dalszym życiu. Nie potrzebowała tego mizogina, żeby to sobie uświadomić.

– Czy pani rozumie, doktor Klein? – powtórzył Seecht z naciskiem.

– Tak, rozumiem. – Nieważne, jak gorzkie były to słowa, nie zamierzała odwrócić od niego wzroku.

Jego głos złagodniał.

– Ma pani zadatki na świetnego lekarza, jak pani ojciec. Proszę tego nie marnować tylko dlatego, że chce się pani bawić w jakieś wspinaczki. Czas dorosnąć i zmierzyć się z odpowiedzialnością, jaką niesie nasz zawód.

Dla kogoś, kto usłyszałby tę rozmowę przypadkiem, Seecht mógł brzmieć wyrozumiale. W rzeczywistości przywołanie jej ojca było próbą zranienia jej jak najgłębiej. Każdy, kto ją znał, wiedział, jak wiele znaczą dla niej wspomnienia o ojcu. I jak starała się iść w jego ślady.

Seecht odszedł, a Aniką targwały emocje. Nie obawiała się zwolnienia. Jeśli o to chodzi, ze swoimi kwalifikacjami mogła pracować gdziekolwiek w Niemczech lub na świecie. To decyzyja ją stresowała. Czy chciała zostać przy medycynie, oddając hołd swojemu dawno zmarłemu ojcu, czy odejść, by realizować własne cele?

Pokręciła gniewnie głową. Nie pozwoli, żeby Seecht zepsuł jej radość z ekspedycji na Grenlandię. Chociaż trzy tygodnie

na arktycznej stacji badawczej nie dorównywały największym wyzwaniom, jakie podejmowała, czuła, jak znajome podekscytowanie spycha na bok ultimatum Seechta. Coś jej mówiło, że odpowiedź na jej rozterki czeka na nią gdzieś wśród arktycznych pustkowi. Bardzo chciała ją poznać.

NOWY JORK

Chociaż widział już niejedno okropne miejsce, Philip Mercer nie potrafił wyobrazić sobie zapachu gorszego niż odór śmieciarki latem w Nowym Jorku. Był to obrzydliwy odór, który uderzał z siłą bomby atomowej. Szedł Amsterdam Avenue, a śmieciarki, wlokąc się z łoskotem, zbierały kolejne pojemniki. Śmieci wypadały na ulicę. Jako naukowiec był ciekaw, co mogło śmierdzieć tak odrażająco, ale gdyby wiedział, jaka tortura go czeka, kazałby taksówkarzowi zawieźć się z lotniska prosto na miejsce zamiast wybierać się na spacer po śródmieściu.

Mercer skręcił z Amsterdam Avenue, minął Columbus Street i znów skręcił na północ do Central Park West, na której nie było śmieciarki. Poranne słońce już mocno grzało, zdjął więc marynarkę i przewiesił ją przez ramię. Dozorcy w liberiach nie zwracali na niego uwagi, kiedy mijał granitowe i wapienne budynki, z jednymi z najdroższych apartamentów na świecie. Mosiężne poręcze i wsporniki markiz błyszcząły jak złoto.

Pomiędzy Siedemdziesiątą Dziewiątą a Osiemdziesiątą Pierwszą ulicą znajdował się gmach Muzeum Historii Naturalnej, jego ulubione miejsce w Nowym Jorku. Jeśli będzie miał

później trochę czasu, przyjdzie obejrzyć nowo wybudowane Centrum Ziemi i Kosmosu imienia Rose'ów. Jak zawsze zatrzymał się, żeby popatrzeć na statuę Theodore'a Roosevelta, która stała przy wejściu do muzeum od strony Central Park West. Po obu stronach figury znajdował się mur, na którym wyryto jednowyrazowe określenia najdynamiczniej szego zapewne prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Porównywanie się z T.R. uczyło pokory. „Mąż stanu”. Na swoim jaguarze Mercer miał kiedyś przez rok dyplomatyczne tablice, które dostał w prezencie od Zjednoczonych Emiratów Arabskich, ale to się nie liczyło. „Pisarz”. Praca doktorska Mercera na Uniwersytecie Penn State, poświęcona technologiom wydobywczym w kopalniach i kamieniołomach, była przez pewien czas podręcznikiem. „Żołnierz”. Mercer nie był w armii, ale widział więcej walk niż stary T.R. „Gubernator”. Cóż, nie. „Prezydent”. W żaden sposób. „Odkrywca”. Mercer szedł na spotkanie Towarzystwa Kartografów, klubu eksploracyjnego, którego członkiem Roosevelt nie był. W pozostałych kategoriach Mercer nie był nawet blisko. Zresztą, kto był?

Idąc wzdłuż Osiemdziesiątej Pierwszej, mijał kolejne kamienice w stylu art deco, wysokie na piętnaście pięter, solidne i luksusowe. Obok niego przebiegł wyprowadzacz psów ze stadkiem imponujących, wychuchanych chartów afgańskich. Przecznicę dalej na zachód zaczynały się XIX-wieczne budynki, których fasady z ciemnego piaskowca były znacznie bardziej ozdobne niż kamienica na obrzeżach Waszyngtonu, w której mieszkał. Znalazł ten właściwy: w ścianie obok wejścia wyryto

symbol Towarzystwa Kartografów, tarczę kompasu, a na niej teodolit i sekstans. Szerokie schody prowadzące do dwupiętrowej kamienicy z czerwonego kamienia okolone były delikatną balustradą. Z ulicy nie mógł zobaczyć wnętrza, ale patrząc na zegarek, poczuł podekscytowanie. Już samo zaproszenie na lunch w tym ekskluzywnym klubie było powodem do dumy, tymczasem Mercer dostał oficjalną propozycję zostania jego członkiem.

Z konsternacją stwierdził, że na spotkanie z Charlesem Bryce'em, starym przyjacielem, który umieścił jego nazwisko na liście kandydatów, przyszedł o pół godziny za wcześnie. Nieświadomie przyspieszył kroku. Kiedy miał już zawrócić, drewniane drzwi otworzyły się i starszy portier w czarnym garniturze zawołał.

– Doktor Mercer?

– Tak, zgadza się. Obawiam się, że jestem trochę za wcześnie. Pomyślałem, że poczekam w kafejce na rogu.

– To nie będzie konieczne, proszę pana. Pan Bryce spodziewał się, że przybędzie pan przed umówioną godziną, i polecił mi pana wypatrywać. – Odźwierny szerzej otworzył drzwi. – Czy zechciałby pan wejść?

Mercer włożył marynarkę i wszedł po schodach.

– Dziękuję.

Mijając portiera, Mercer z początku XXI wieku przeniósł się na koniec XIX. Nigdy nie widział tyle pięknej stolarki w jednym miejscu. Ściany holu wyłożone były mahoniem, zaś schody na piętro wykonano z dębu, który z wiekiem nabrał czarnej patyny. Na podłodze leżał olśniewający orientalny dywan. Ściany ozdobiono myśliwskimi trofeami: głowami antylop, szablami dzika

tak wielkimi, że można je było pomylić z ciosami małego słonia, łbem nosorożca, który wyglądał, jakby właśnie przebił się przez ścianę. Sądząc z rozmiarów, wszystkie znalazły się w Księdze rekordów myśliwskich Rowlanda Warda. Wisiały tam też dziesiątki oprawionych fotografii z ekspedycji organizowanych pod auspicjami towarzystwa. Mercer rozpoznał też kilka obrazów autorstwa Joy Adamson, słynnej autorki Elzy z afrykańskiego buszu. Meble w znajdującej się obok holu poczekalni były ciężkie, pokryte skórą i powycierane. Na podłodze pod jednym z okien leżała bezkształtna masa żelaza wielkości sporego kufra, która mogła być jedynie meteorytem. Obok meteorytu stał drewniany, pokryty płatkami złota sarkofag na mumię.

Portier odkasznął dyskretnie. Mercer zobaczył, że czeka ze zdobną w arabeski srebrną tacą w ręku. Uświadamiając sobie popełnioną gafę, z kieszeni na piersi wyciągnął swoją wizytówkę i położył na tacy. Służący odłożył spatynowany antyk na niewielki stoliczek obok złotej figurki boga Sziwy.

– Pan Bryce za chwilę zejdzie. Zechce pan usiąść?

Mercer wolał rozejrzeć się po pomieszczeniu. W szklanych gablotach zgromadzono imponujące zbiory. Jedna zawierała rzeźbione zęby wieloryba, inna – netsuke, japońskie figurki z kości słoniowej. Ponad półką z pięknymi motylami leżały rozłupane geody; kryształ w ich pustych wnętrzach błyszczały wszystkimi barwami tęczy. Tabliczka przy każdym eksponacie informowała, skąd pochodził, oraz kto i kiedy go dostarczył. Bez wątplenia była to najwspanialsza prywatna kolekcja, jaką widział – a zwiedził dopiero pierwszy pokój. Krążyły pogłoski,

że Towarzystwo Kartografów wynajmuje skarbiec w jednym z banków na Manhattanie i przechowuje tam przedmioty zbyt cenne, a także zbyt kontrowersyjne, aby kiedykolwiek trafiły na wystawę. Przyglądał się właśnie nieskazitelnemu złotemu diamentowi, wciąż tkwiącemu w kawałku kimberlitu, kiedy za jego plecami skrzypnęła podłoga.

– Dar dla towarzystwa od Barneya Barnarta – wyjaśnił Charles Bryce, wchodząc do poczekalni. – Z jego połowy działek w New Rush, których Cecil Rhodes potrzebował, by umocnić pozycję swojej firmy handlującej diamentami, istniejącej do dziś jako DeBeers. Spójrz tylko na siebie, Mercer. Żadnej łysiny ani siwego włosa i w równie dobrej formie, jak kiedy widzieliśmy się ostatnio.

Bryce był od Mercera kilkanaście centymetrów niższy, a pod marynarką krył się spory brzuszek. Zaczynał już łysieć, robił mu się drugi podbródek. Nosił rogowe okulary, które były zbyt małe w stosunku do twarzy i sprawiały, że jego ciemne oczy wydawały się jeszcze węższe niż w rzeczywistości. Bryce, z zawodu bankowiec, miał na sobie granatowy garnitur w delikatne prążki, białą koszulę i klubowy krawat.

– Świetnie cię widzieć, Charles. – Mercer ścisnął jego dłoń. – Jak na kogoś, kto pracuje od dziewiątej do piątej, nie wyglądasz wcale najgorzej.

– Na tym polega problem – zachichotał Bryce. – Po drodze ta dziewiąta-piąta zmieniała się w dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Nie mogę narzekać. Jeszcze

z dziesięć lat i po ciężkim zawale zostawię Susan kilkumilionowy spadek.

Mercer się roześmiał.

– Optymista jak zawsze. Co u Susan?

– Dziękuję, dobrze. Dzieci poszły już do szkoły, ma teraz więcej czasu na zbieranie pieniędzy na schroniska dla zwierząt.

– Jaki stan inwentarza?

– Mamy teraz trzy psy i sześć kotów, a co miesiąc trafiają do nas kolejne. Czuję się jak Noe – westchnął Bryce, kiedy weszli na schody. – Gratulacje, przy okazji. Czytałem w „Timie” artykuł o kopalni diamentów, którą odkryłeś w Erytrei. Nawet nie wiesz, jak się ucieszyłem, kiedy oddzwoniłeś. To wszystko działa się bardzo szybko i nie byłem pewien, czy jesteś w kraju.

– Po powrocie z Afryki nie ruszałem się nigdzie przez jakiś czas – wyjaśnił Mercer. – Kiedy już trochę odpocząłem, dostałem z Pensylwanii propozycję prowadzenia szkolenia z ratownictwa górniczego. Właśnie tam dostałem wiadomość od ciebie.

– Kto odebrał twój domowy telefon? Bardzo specyficzna postać.

– To Harry White. Stary zrzęda, który pilnuje mi mieszkania, kiedy wyjeżdżam. Zwykle wprowadza się do mnie i czuje jak u siebie. – Mercer nie musiał wyjaśniać, jak wiele znaczył dla niego Harry. Przywiązanie słychać było w jego głosie. – Przyjajmy się, od kiedy przeniosłem się do Arlington. Niedawno skończył osiemdziesiąt lat i choć pali i pije, jakby jutro miał być koniec świata, zapewne wszystkich nas przeżyje.

W otwartych drzwiach jadalni na piętrze Mercer zobaczył osiem stolików nakrytych do obiadu. Na drugim końcu pomieszczenia znajdował się kominek, przed którym ustawiono w półkolu tapicerowane krzesła. Kilku starszych mężczyzn siedziało na nich, drzemiąc lub czytając gazety. Bryce szedł dalej wąskim korytarzem ze ścianami obwieszonymi najróżniejszą bronią: wielkie strzelby Holland & Holland na naboje typu Nitro Express, średniowieczne miecze z Europy i Azji, włócznie z Afryki i wysp Oceanii, dmuchawki z Ameryki Południowej i Australii.

Dotarli do gabinetu zastępcy dyrektora do spraw administracyjnych.

– To tu – powiedział Bryce.

Gabinet był niewielki, wypełniony książkami i różnymi eksponatami. Jedyne okno wychodziło na szyb wentylacyjny między klubem a sąsiednim budynkiem. Mercer zwrócił uwagę na instalację alarmową na oknie, wcześniej zauważył też pięć kamer monitorujących pomieszczenie.

– Pomyślałem, że najpierw porozmawiamy prywatnie – zaczął Bryce – choć nie jestem pewien, jakie procedury obowiązują. Jesteś pierwszą osobą, której zaproponowano członkostwo od odkrycia „Titanica”.

Bryce usiadł na jednym z krzesel stojących przed biurkiem i gestem wskazał Mercerowi drugie. Ze stosu papierów na zdobionym blacie Charles wyjął egzemplarz klubowego kwartalnika „Kartograf.

– Wychodzi w przyszłym tygodniu. Pomyślałem, że chciałbyś przejrzeć go wcześniej.

„Kartograf, zaliczany do najlepszych pism na świecie, zdobył wszystkie możliwe nagrody. Pracujący dla niego fotograficy należeli do elity, zaś autorami większości artykułów byli dziennikarze i pisarze co najmniej nominowani do nagrody Pulitzera. Pismo miało może mniej czytelników niż szerzej znany „National Geographic”, ale za to byli oni bardziej zdeterminowani, żeby zgromadzić wszystkie numery. Ponieważ Towarzystwo Kartografów było starsze od „Geographic” o piętnaście lat, niektóre wczesne egzemplarze osiągały na aukcjach ceny kilkudziesięciu tysięcy dolarów.

– Nie znam się na wydawaniu gazet, ale nie sądzę, żebyście na tym zarabiali – stwierdził Mercer, kartkując dwustustronicowy magazyn na kredowym papierze.

– Boże, myślę, że na każdym numerze tracimy tysiące dolarów. Prenumerata i sprzedaż ledwo pokrywają koszty druku. Ale pieniądze nie są ważne. Muszę ci wyjaśnić, jak działa Towarzystwo. Należą do niego trzy kategorie ludzi: prawdziwi odkrywcy jak ty, którym my oferujemy członkostwo; ci, którzy chcieliby być prawdziwymi odkrywcami – niestety, ja należę do tej kategorii; wreszcie ci, którzy są na tyle bogaci, żeby płacić innym za odkrywanie w ich imieniu. Płacą rachunki za organizowane przez nas ekspedycje, wydawanie magazynu i tworzenie filmów dokumentalnych. Czy zwróciłeś uwagę na dżentelmena w brązowym garniturze, który siedział w jadalni?

Mercer skinął głową.

– Nazywa się Jon Herriman. We wczesnych latach siedemdziesiątych wynalazł jakiś gadżet do samochodów, coś związanego z ograniczaniem zanieczyszczeń. Dopiero niedawno zastąpiono jego urządzenie czymś lepszym. Jeszcze pięć lat temu dostawał opłaty licencyjne za każdy samochód sprzedany w tym kraju. – Charles zauważył wyraz podziwu na twarzy Mercera. – A to tylko jeden z ośmiu miliarderów w naszym gronie. Dlatego mówię, że pieniądze nie grają roli. Kilka lat temu jeden z członków zapłacił rosyjskiemu rządowi pięć milionów dolarów za użyczenie batyskafu Mir. Chciał odwiedzić okręt, na którym służył, USS „Yorktown”, zatopiony w bitwie o Midway.

– Dla większości z nas praca w Towarzystwie Kartografów jest pasją – ciągnął Bryce. – Oczywiście mamy pracowników etatowych, którzy dbają o nasze zbiory, wydają magazyn i tak dalej, ale my, członkowie, jesteśmy nimi dlatego, że fascynuje nas eksploracja, a mamy pieniądze lub wpływy, żeby się dostać do Towarzystwa.

– Bez urazy, Charlie, ale nie wiedziałem, że jesteś miliarderem. Bryce wybuchnął śmiechem.

– To prawda, niestety. Tak się składa, że przed II wojną światową dziadek Susan wydał rodzinną fortunę, wędrując po Ameryce Południowej w poszukiwaniu Eldorado. Niczego oczywiście nie znalazł, ale jego osiągnięcia zapewniły mu członkostwo w Towarzystwie. Wciągnął mnie dlatego, że całe lata go o to błagałem, no i ponieważ jestem bankowcem. – Oparł się wygodniej. – Rekomendowałem cię, ponieważ jesteś odkrywcą, a takich w Towarzystwie bardzo brakuje.

– Nie wiem, czy rozumiesz, co to dla mnie znaczy. Zdaję sobie sprawę, jak wielcy ludzie byli członkami Towarzystwa, i nigdy nie przypuszczałem, że moja kandydatura może być rozważana. Ale nie jestem odkrywcą. Jestem inżynierem górnictwa.

– Jesteś zbyt skromny, Mercer. Kopalnia, którą odkryłeś w Erytrei, uzasadniałaby członkostwo, a twoja reputacja aż nadto wystarczyła, żeby cię zakwalifikować. Obok artykułu w „Timie” była notka o tobie. Przeczytałem, że wartość minerałów odkrytych przez ciebie, od kiedy zostałeś najemnym poszukiwaczem skarbów, to jakieś cztery miliardy dolarów, a twoje wynagrodzenie wyniosło trzy procent tej kwoty.

– Konsultantem do spraw geologii, błagam – roześmiał się Mercer. W duchu przyznał, że określenie Charliego trafniej opisywało jego zajęcie. – A obydwie sumy są mocno zawyżone.

– Nieważne. Żaden geolog od czasów Alfreda Wegenera i jego teorii dryfu kontynentalnego nie zrobił tyle co ty dla poznania naszej planety i wykorzystywania jej zasobów.

– Czy te pochlebstwa oznaczają, że nie będę musiał wysuptywać pieniędzy na składkę?

– Obawiam się, że nie. Ale opłacenie składki uprawnia cię do korzystania przez pięć dni w roku z pokoju w tym budynku, urządzania prywatnych przyjęć w naszej jadalni, no i oczywiście do udziału w naszych cotygodniowych obiadach, o ile poinformujesz personel o swojej obecności siedem dni wcześniej. Naszego nowego szefa kuchni podkupiliśmy z hotelu Jerzy V w Paryżu, robi najlepszego chateaubrianda, jakiego będziesz miał

kiedykolwiek szanse zjeść. Myślę jednak, że i tak najbardziej zależy ci na członkostwie.

Mercer nie odpowiedział. Nie musiał. Złota era odkryć i eksploracji już minęła. Była częścią minionej epoki, trochę jak samo Towarzystwo. A jednak być zaproszonym do wstąpienia, stać się częścią organizacji, było zaszczytem, którego Mercer nie mógł odrzucić. Wykształcenie i praca uprawniały go do kilku skrótów przy nazwisku, ale prestiżowe MSS, oznaczające członka Towarzystwa Kartografów, było tytułem, którego pragnął, od kiedy po raz pierwszy jako chłopiec przeczytał ich kwartalnik. Irytowało go, że teraz geolog pracuje głównie przy komputerze zamiast w terenie. Zaproszenie było dla niego rodzajem powrotu do istoty tego zawodu. Otrząsnął się ze swoich rozważań.

– To też, ale chcę poza tym sprawdzić kilka pogłosek o waszych zbiorach.

– Ach, pogłoski.

O sekretach Towarzystwa spekulowano od bardzo dawna. Z powodu prywatnego charakteru organizacji oraz wpływowych ludzi, którzy zawsze nią kierowali, podejrzewano, że utajnia informacje o wielu wstrząsających odkryciach. Niektórzy mówili, że Towarzystwo posiada fragment lockheeda electry, w którym w ostatni lot wyruszyła Amelia Earhart, inni, że odnaleziono w Indiach tron Wielkich Mogołów. Słyszał o teorii, że w skarbcu Towarzystwa znajdują się niepodważalne dowody na eksplorację Ameryki przez Fenicjan, i o takiej, według której w tymże skarbcu jest fragment Krzyża Świętego.

Internet mnożył plotki. Rok wcześniej jakaś grupa dyskusyjna dowiedziała się, że jeden z członków Towarzystwa jest właścicielem farmy w Roswell w stanie Nowy Meksyk, niedaleko miejsca, w którym jakoby w latach czterdziestych rozbiło się UFO. Natychmiast wysnuto wniosek, że organizacja ukrywa dowody kontaktu z kosmitami. Szum jeszcze nie ucichł.

– Nie znam nawet połowy kolekcji – przyznał Bryce. – Tylko dziesięciu członków rady wykonawczej zna tajne okazy.

Ktoś zapukał do drzwi. Do gabinetu wszedł starszy kelner z tacą, na której stały dwie szklanki.

– Panowie, minęło południe. Obiad będzie podany za pół godziny w jadalni. Czy mogę zaproponować panom koktajle?

– Pijasz gimlet, prawda? – zapytał Bryce.

– Masz doskonałą pamięć. – Mercer wziął od służącego koktajl z wódki i słodzonego soku limonkowego. Niedawno przerzucił się na francuską wódkę Gray Goose, tymczasem, jak zauważył, koktajl zrobiono na bazie preferowanego przez niego wcześniej absoluta.

Bryce wybrał whisky Macallan z lodem.

– Zdaje się, że kilka lat temu obaliliśmy takich sporo w jeden wieczór. Jedyne, co pamiętam, to tygodniowy kac.

W gabinecie włączyła się klimatyzacja. Mercer czuł zimny powiew płynący z mosiężnej kratki w ścianie za jego plecami. Chłód jakby odmienił charakter spotkania. Bryce się zamyslił. Wydawał się niemal zirytowany jakimś stwierdzeniem, które już padło w rozmowie, albo tym, co zamierzał powiedzieć. Mercer przygotował się na złe wieści.

– Nasza komisja opiniująca – odezwał się wreszcie Bryce – zatwierdziła już twoje członkostwo. Zajęli się tym kilka tygodni temu. o ile wiem, zwykle zabiera to co najmniej rok. Ty jednak jesteś szczególnym przypadkiem.

– Dlaczego?

– Widzisz, ci, których zapraszamy ze względu na ich osiągnięcia, zanim staną się członkami, muszą wziąć udział w ekspedycji organizowanej przez Towarzystwo. To stara zasada klubu. Jakieś trzy miesiące temu duński rząd zwrócił się do nas z pytaniem, czy nie chcielibyśmy dołączyć się do wyprawy planowanej przez niemiecką organizację pozarządową Geo-Research.

– Co to ma wspólnego z Danią?

– Celem ekspedycji jest Grenlandia, która pozostaje duńskim protektoratem. Nie wiem, czy o tym słyszałeś, ale Dania stała się ostatnio bardzo ostrożna w wydawaniu pozwoleń na prowadzenie badań na grenlandzkim lądolodzie. W zeszłym roku podczas wyprawy Japończyków doszło do wypadku, w którym zginęło ośmioro ludzi, a na lód wyciekło ponad czterysta hektolitrów oleju napędowego. Nie oczyszczono lodu z paliwa. Miesiąc później w katastrofie lotniczej zginęło czterech amerykańskich wspinaczy. Helikopter ratowniczy, który ruszył na poszukiwania wraku, także się rozbił, były kolejne trzy ofiary. Od tego czasu Duńczycy domagają się lepszego nadzoru nad tym, co dzieje się na Grenlandii. Zamknęli kilka zagranicznych stacji meteorologicznych, które uznali za niebezpieczne, a wyprawom wspinaczkowym wyznaczyli niewielki teren na południu, z dala od wyższych gór, żeby je zniechęcić. Zaczęli nawet grozić, że

zamkną bazę Sił Powietrznych w Thule. Jeśli dodać do tego – ciągnął Bryce – niemiecko-duński spór o prawa do poszukiwań ropy na Morzu Północnym, wydaje się dziwne, że Geo-Research nie cofnięto pozwolenia. Ich ekspedycja ma zebrać dane na temat globalnego ocieplenia. Przygotowują ją od roku.

– A co Towarzystwo Kartografów ma z tym wspólnego? – zapytał Mercer. Nigdy nie odwiedził Grenlandii, drugiej największej wyspy świata, choć był kiedyś na sąsiedniej Islandii. Był coraz bardziej zaintrygowany.

– W latach pięćdziesiątych na wschodnim wybrzeżu Grenlandii znajdowała się amerykańska baza Camp Decade. Była związana z projektem „Iceworm”, który miał bodaj sprawdzić, czy możliwe jest życie ludzi pod powierzchnią lodowca. Jeden z członków zarządu Towarzystwa służył w Camp Decade do jego zamknięcia pod koniec 1953 roku. Chciałby wysłać tam zespół badawczy, żeby sprawdzić, jak to miejsce wygląda obecnie. Ten człowiek nazywa się Bob Bishop i nie może tam pojechać. Od dwóch lat jest przykuty do wózka inwalidzkiego. Chce opłacić mały zespół, który otworzy kompleks, sfilmuje wewnątrz i oceni stopień zniszczeń, coś w tym rodzaju.

– Nie mówię, że nie jestem zainteresowany, ale czy ten Bishop chce zapłacić za całą ekspedycję tylko po to, żeby mieć zdjęcia bazy? Serio?

– Dla większości naszych członków pieniądze nie mają znaczenia. Wspomniałem o wyprawie do Yorktown. Koszt tej ekspedycji jest śmiesznie niski.

– Czytałem o ludziach, którzy wydobyli w południowej Grenlandii myśliwiec P-38 Lightning zestrzelony w czasie II wojny – powiedział Mercer. – Maszyna była w niemal idealnym stanie, ale kilka kilometrów od miejsca katastrofy i przykryta siedemdziesięcioma metrami lodu. Camp Decade może być niezniszczony, ale równie głęboko pod śniegiem.

– Można by tak pomyśleć, ale tak nie jest. Nie prosź mnie o wytłumaczenie, nie jestem glaciologiem, ale obóz osadzono na podlodowym wzniesieniu, które przecina naturalne koryto spływu grenlandzkich lodowców, dzieląc lód na dwie odnogi jak wyspa w strumieniu. Baza jest niecałe dziesięć metrów pod powierzchnią. Świeży śnieg odpływa wraz z pełznącym lodowcem, ale baza jest w tym samym miejscu co kiedyś. Znam historię poszukiwań „Zaginionego Szwadronu”, o której wspomniałeś. Rozbiło się wtedy kilka samolotów, sześć P-38 i dwa bombowce B-17. Rozszalała się śnieżycyca i musiały lądować. Tam, gdzie się roztrzaskały, pada znacznie więcej niż w miejscu, do którego wyruszy nasz zespół.

– Więc tu jest pies pogrzebany?

– Cóż – powiedział Bryce, przeciągając samogłoskę – mamy już kierownika ekspedycji. To syn Boba Bishopa, Martin. – Charles czekał na reakcję Mercera, ale ten nawet nie mrugnął. – Nie chodzi o to, że byś sobie nie poradził. Wiem, że dałbyś radę. Ale duński rząd zmusił nas do przyśpieszenia ekspedycji, przygotowujemy ją od roku, no i to Bob za wszystko płaci. Dlatego, jak wspomniałem, w twoim wypadku procedury ograniczono

do minimum. Do przyszłego roku nie mamy w planach innych wypraw. Jeśli zechcesz zaczekać do tego czasu, zrozumiem to.

– Na czym będzie polegało moje zadanie?

– To drugi powód, dla którego jesteś idealnym kandydatem na tę wyprawę. Bez problemu dotrzecie dokładnie nad Camp Decade, ale zanim będzie można zrobić tunel, trzeba precyzyjnie zlokalizować główne wejście. Masz doświadczenie i w posługiwaniu się przenośnymi georadarami, i w drażeniu tuneli lodowych.

– Czym chcecie otworzyć drogę do bazy?

– Substancjami, które topią śnieg i lód. Znasz tę technologię?

– Nazywamy te substancje podgrzewaczami. Nie pamiętam szczegółowego składu, ale tak, miałem z nimi do czynienia. Są cholernie trudne w użyciu i strasznie śmierdzą, ale topią mniej więcej trzydzieści centymetrów lodu na godzinę, w zależności od średnicy otworu. Problem polega na tym, że potrzebne są wydajne pompy, które odprowadzą wodę. W przeciwnym razie roztwór stanie się zbyt słaby, żeby topić śnieg.

– Oprócz ciebie i Marty'ego pojedzie jeszcze dwóch ludzi. Jeden jest starym przyjacielem Marty'ego, pułkownikiem z pewnym doświadczeniem arktycznym, a drugiego poleciłem ja. On będzie odpowiedzialny za pompy i generatory.

Mercer nie miał wątpliwości, że pojedzie. Zdecydowałby się, choćby Charles zaproponował mu funkcję kopacza latryn. Mimo wszystko był jednak ciekawy, jak to sobie wyobrażają.

– To bardzo mały zespół jak na odkopywanie całego miasteczka.

– Camp Decade to w gruncie rzeczy jeden duży budynek w kształcie litery H. Wszystko się ze sobą łączy. Wystarczy, że przekopiecie się do głównego wejścia, a będziecie mieli dostęp do całego kompleksu.

– Czterech facetów, bez wsparcia, na lodowcu? Robiłem już w życiu głupie rzeczy, ale to wygląda jak impreza dla samobójców.

– Zapominasz, skąd się tam w ogóle wzięliśmy. Duńczycy wolą grupy pracujące w jednym miejscu zamiast rozrzuconych po lodowcu. Głównym organizatorem całej wyprawy jest Geo-Research. My się do nich dołączamy. Inna grupa ma prowadzić jakieś badania meteorologiczne. Wszyscy w jednym miejscu, co zmniejsza ryzyko wypadku.

– Już rozumiem. Podczepiamy się pod nich. A ilu w sumie będzie ludzi?

– Myślę, że jakieś czterdzieści osób. Jako że Geo-Research przywozi cały personel pomocniczy dla swoich naukowców, zapłacimy im za wasze noclegi, wyżywienie i dodatkowych pracowników, jeśli będziecie ich potrzebować. Niemcy są wściekli na ten układ, swoją drogą. Ponieważ nasza wyprawa związana jest z konkretnym miejscem, Duńczycy kazali im pracować niedaleko Camp Decade, żebyście mogli u nich mieszkać. Ale nie powinno im to robić różnicy. Z punktu widzenia badań nad globalnym ociepleniem nie ma znaczenia, o który kawałek Grenlandii chodzi. Tyle że pierwotnie chcieli pracować jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów na północ od naszego celu.

– A drugi zespół, o którym wspomniałeś?

– Dopóki mogą robić swoje, nic ich to nie obchodzi. – Charles dopił swój drink i odstawił kryształową szklaneczkę na biurko. – Pociągnęliśmy za kilka sznurków, żeby Duńczycy zmusili Geo-Research do zaakceptowania naszej lokalizacji.

Mercer zmarszczył brwi, czekając na wyjaśnienia.

– Tak się złożyło, że jeden z należących do Towarzystwa salonowych odkrywców, takich jak ja, jest amerykańskim ambasadorem w Danii. Niektórzy kupują sobie członkostwo pieniędzmi, inni pozycją. – Po chwili Bryce dodał z uśmiechem: – Jako geolog z zawodu Herbert Hoover należał do Towarzystwa Kartografów na długo przed wejściem do polityki. Możesz sobie wyobrazić, na co mogliśmy sobie pozwolić, kiedy został prezydentem. Dla członków klubu prohibicja skończyła się w dniu jego zaprzysiężenia w 1929 roku, a nie cztery lata później, kiedy zakończył ją Roosevelt. Nie żeby to i tak miało dla nich jakieś znaczenie.

Mercer też się uśmiechnął.

– Jeszcze jakieś problemy z Geo-Research?

– Kiedy się tam znajdziecie, nie powinno być już żadnych. Geo-Research miało kilka miesięcy na ochłonięcie. A nawet gdyby pojawiły się jakieś trudności, my potrzebujemy najwyżej kilku tygodni. Kiedy skończycie, na wasze miejsce przyjadą Japończycy, których wywalili w zeszłym roku.

– Co wiesz o Geo-Research? Miałem już kiedyś mały zatarg z grupą ekologów i wolałbym o tym zapomnieć.

– To nie są jakieś zielone oszołomy, jeśli tego się obawiasz. Geo-Research zajmuje się prawdziwymi badaniami, a nie modnymi w danym sezonie krucjatami. Działa od mniej więcej

sześciu lat, oferując swój statek i usługi różnym rządóm i uczelniom. – Charles spojrział mu prosto w oczy. – Masz jeszcze jakieś pytania? Nie powiedziałeś, czy w ogóle chcesz jechać.

Usiłując powstrzymać szeroki uśmiech, Mercer odstawił szklaneczkę. Jego ciemnoszare oczy błyszczały.

– Jedyne pytanie brzmi, kiedy wyruszam?

– Gratulacje i witam w Towarzystwie Kartografów. – Charles energicznie uściśnął jego dłoń. – Wiedziałem, że się zgodzisz. Tak naprawdę podaliśmy już twoje nazwisko ludziom z Geo-Research, a kilka tygodni temu poinformowaliśmy o twoim udziale w wyprawie na naszej stronie internetowej.

– Tak łatwo mnie rozszyfrować?

– Od ciebie zależy, kiedy ruszysz. Możesz skorzystać ze statku Geo-Research, „Njoerd”, który za trzy dni wypływa z Reykjavíku do Ammassalik na Grenlandii. Tam wylądują sprzęt i dotrą do obozu łądem. Możesz też dolecieć tam tydzień później, kiedy baza będzie już zorganizowana.

– Kiedy wyjeżdża reszta naszej grupy? – Mercer zauważył, że używa już określenia „nasza”. Był naprawdę podekscytowany. To była wielka szansa z kilku względów. Jako geolog chciał zbadać jeden z największych lodowców na Ziemi, jako romantyka zachwycała go przynależność do Towarzystwa.

– Chcą płynąć statkiem.

– Wezmę gry towarzyskie. – Ponieważ pracował na kontraktach, bez problemu mógł zmienić swoje plany, żeby pojechać na wyprawę.

Kiedy Mercer opuścił siedzibę Towarzystwa, zbliżała się czwarta po południu. Obiad był jednym z najlepszych posiłków w jego życiu, a towarzystwo przy stole było fantastyczne. Jedli z miliarderem Herrimanem i kilkoma innymi, którzy zabawiali Mercera nieco podkoloryzowanymi opowieściami o ekspedycjach, które sfinansowali lub brali w nich udział.

Miał trzy dni do wylotu na Islandię. Postanowił zostać w mieście i nazajutrz wybrać się do Muzeum Historii Naturalnej. Wyjawiał swoje plany Charlesowi i dziesięć minut później Dobson, portier, który wpuścił go do budynku, zamówił mu lincolna do hotelu Carlyle, gdzie czekał już na niego pokój. Dobson zarezerwował mu także bilet na wieczorny lot do Waszyngtonu następnego dnia.

Charles Bryce odprowadził Mercera do wyjścia i pomachał mu na pożegnanie. Wrócił do gabinetu zastępcy dyrektora do spraw administracyjnych, usiadł przy biurku i sięgnął po telefon. Numer wystukał z pamięci.

– Paul, tu Charlie Bryce – powiedział, kiedy już przebił się przez zastępy asystentów.

– Jak poszło? – zapytał dystyngowany głos po drugiej stronie. – Mercer się zgodził. – W głosie Charlesa brzmiała nuta goryczy. – Wejdzcie na pokład statku na Islandii i popłynijcie z nimi na Grenlandię.

– Dobra robota. Mówiłem ci, że zwerbowanie go nie będzie trudne.

– Nie podoba mi się to. Mercer powinien wiedzieć, w co się pakuje.

– Charles, nawet ty nie wiesz, w co się pakuje Mercer.

– Wiesz, o co mi chodzi – warknął Bryce. – Nie mam wielu przyjaciół i nie chcę ich wykorzystywać, chociaż nie ostrzegając ich wcześniej.

– Ta operacja podzielona jest na części według zasady „tyle wiedzy, ile potrzeba”. Na tym etapie Mercer nie potrzebuje więcej wiedzieć. Poza tym jest tylko rezerwowym. Może się zdarzyć, że nawet się nie dowie, o co chodzi z Grenlandią. Spędzi miło czas, otworzy bazę Bishopowi i tyle.

– Co się stanie, jeśli coś pójdzie nie tak?

– Może i znasz Mercera, Charles, ale o pewnych sprawach ci nie mówił. Na przykład o tym, jak przerwał na pewien czas studia doktoranckie, żeby pomóc Departamentowi Obrony. Przed wybuchem wojny w Zatoce pojechał do Iraku z oddziałem komandosów, żeby sprawdzić, czy Saddam Husajn wydobywał rudę uranu. Albo o tym, jak pomógł zapobiec zamachowi terrorystycznemu na rurociąg na Alasce. Jeśli z jakiegoś powodu stanie się coś, co narazi naszą misję na niebezpieczeństwo, Philip Mercer bez problemu zadba i o siebie, i o nasze interesy.

– Nie wiedziałem o tym, i istotnie robi to wrażenie – nie poddawał się Bryce – tyle że on nie zna całej historii. Jedzie na ślepo.

– Powiemy mu, kiedy będzie na to pora. Ale ta decyzja należy do mnie. Ty już wykonałeś swoje zadanie. – Szczęknięta odkładana słuchawka.

– Wybacz, Mercer – wyszeptał Bryce w pustym gabinecie.
– Po co ja cię w to wciągnąłem.

WATYKAN

Obserwatorom z zewnątrz wydawało się, że biały dym, oznajmujący światu wybór pierwszego papieża nowego milenium, jeszcze wydostaje się z komina Pałacu Apostolskiego, kiedy Leon XIV, dwieście sześćdziesiąty trzeci następca Piotra, zaczął już reformować Stolicę Apostolską. Ci, którzy pracowali w Watykanie, wiedzieli, że przekonanie to nie było całkiem prawdziwe, ale też od prawdy nieodległe. Wielu było zaszokowanych planami kardynała Giuseppe Salviego.

Salviego postrzegano jako kandydata możliwego do zaakceptowania przez różne frakcje w Kurii Rzymskiej. Polityczne rozgrywki podczas konklawe były wyjątkowo zaciekle, zarządzono kolejne głosowania bez nadziei na koniec. Po pięciu dniach było jasne, że żaden z dwóch głównych kandydatów nie zdoła uzyskać wymaganych dwóch trzecich głosów. Obydwie strony zaczęły więc grać na przeczekanie, licząc na to, że dwunastego dnia w ostatecznym głosowaniu, w którym wystarczy zwykła większość, ich kandydat zwycięży.

Na ten klincz złożyło się wiele czynników, ale Kościół stał na rozdrożu, musiał jakoś odnieść się do zmian zachodzących

w świecie sprawy, które Watykan odkładał od dziesięcioleci, nie mogły być już dłużej ignorowane, potrzebny był przywódca na XXI wiek. Jedni kardynałowie uważali, że już czas na modernizację katolicyzmu i papieżstwa, inni zaś, że konieczne jest bardziej konserwatywne podejście, a w niektórych sprawach wręcz reakcyjne.

Ósmego dnia kilku bardziej ugodowych kardynałów uznało, że zawziętość, która zapanowała na konklawe, może zatruć pontyfikat nowego papieża. Byli zdania, że Kościół musi prezentować jednolite stanowisko. Konieczny był kompromis. Zgłoszono trzeciego kandydata, kogoś, kto mógł pełnić rolę tymczasowego rozwiązania, dopóki Kościół nie zdecyduje o swojej przyszłości. Kardynał Salvi miał siedemdziesiąt cztery lata i nie najlepsze zdrowie. Jego pontyfikat miał być krótki, dając obydwu stronom czas na przedyskutowanie spornych punktów doktryny.

Tydzień po tym jak został Leonem XIV Giuseppe Salvi trafił do szpitala, a kardynałowie obawiali się, że przyjęli zbyt tymczasowe rozwiązanie – jak w wypadku Jana Pawła I, który w 1978 roku umarł po miesiącu pontyfikatu. Badania wykazały jednak, że problemy zdrowotne nowego papieża nie były zbyt poważne. Lekarze odkryli, że Salvi cierpiał na refluks przełykowy, schorzenie, o którym nigdy nie wspomniał. Operacyjnie skorygowano mu wpust żołądka, wkrótce niemal cudownie ozdrowiał.

Leon XIV rozpoczął reformę Kościoła, zmieniając go zgodnie ze swoją wizją, z energią, która zaskoczyła głoszących na niego twardogłowych. Na sekretarza stanu, osobę numer dwa w Watykanie, wyznaczył swojego najbliższego przyjaciela, li-

beralnego kardynała Perettiiego. Leona uważano za umiarkowanego, ale ta kluczowa nominacja nie zostawiała wątpliwości, że status quo nie będzie zachowane. Dał jasno do zrozumienia, że kwestia najbliższa jemu, a zatem i całemu Kościołowi, to praktykowanie na całym świecie tolerancji religijnej i zwalczanie fanatyzmu. Zamiast wydawać w tej sprawie dekrety, postanowił zwrócić się bezpośrednio do biskupów kierujących diecezjami.

Zwołał nadzwyczajne posiedzenie synodu biskupów, do którego przykładał tak dużą wagę, że przewodniczącym uczynił Perettiiego. Równie niezwykłą decyzją było zaproszenie do wzięcia udziału innych przywódców religijnych. Choć nie mieli prawa głosu, Leon chciał, żeby w pełni zrozumieli stanowisko Watykanu w kwestii tolerancji. Obecność prawosławnych patriarchów i biskupów na synodach nie była niczym nowym, ale papież chciał, by przybyli także żydowscy przywódcy duchowi z Izraela i Stanów Zjednoczonych, Dalajlama i inni najważniejsi mnisi buddyjscy, wpływowi mułlowie i imamowie zarówno szyickiego, jak i sunnickiego odłamu islamu, kapłani shinto z Japonii, arcybiskup Canterbury – głowa Kościoła anglikańskiego, i wielu innych.

Zgromadzenie tak licznej grupy spadło na barki kardynała Perettiiego, a logistyczna strona przedsięwzięcia była skomplikowana. Zorganizowanie zwykłego synodu zabierało rok, tymczasem papież dał Perettiemu sześć miesięcy na zebranie nie tylko stu siedemdziesięciu katolickich biskupów, ale i wszystkich pozostałych uczestników.

Dominic Peretti urodził się w Rzymie, miał sześćdziesiąt pięć lat i z powodu swoich postępowych poglądów w kwestii antykoncepcji był w Kurii outsiderem. Uważał, podobnie jak Leon, że dla przetrwania cywilizacji niezbędna będzie jakaś forma kontroli liczby ludzi na świecie. Jako papież Leon nie mógł otwarcie wyrażać takiego poglądu, ale dając Perettiemu władzę w Watykanie, jasno pokazał swoją opinię.

Synod o tolerancji miał być pierwszym krokiem zbliżającym Kościół katolicki do innych religii i początkiem dyskusji na ten temat. Watykan to instytucja o dwóch tysiącach lat historii, największa na świecie, ociężała biurokracja. Jedyne możliwą drogą reformy były stopniowe zmiany, a nawet synod uważany był za radykalny krok.

Peretti pracował w swoim gabinecie na pierwszym piętrze Pałacu Apostolskiego, kiedy ktoś zapukał.

– Proszę mi wybaczyć, Wasza Eminencjo, ale Jego Świątobliwość skończył posiłek i może teraz przyjąć Eminencję.

– Grazie. – Peretti zdjął okulary do czytania i założył ze szklami z minusami. Próbował kiedyś nosić szkła dwuogniskowe, ale przyprawiały go o koszmarny ból głowy.

Wstał i się przeciągnął. Ze swoimi stu siedemdziesięcioma pięcioma centymetrami wzrostu był najwyższą osobą w Watykanie, nie licząc kilku członków corpo di vigilanza, sił policyjnych Stolicy Apostolskiej, i paru gwardzistów. Jako chłopiec był kimś w rodzaju gwiazdy koszykówki i wciąż, choć rzadko, zdarzało mu się pograć ze świeckimi pracownikami Watykanu. Jego twarz, poza głębokimi bruzdami po obydwu stronach dużego

orlego nosa, była zadziwiająco gładka. Ciemne oczy za stalowymi oprawkami fascynowały inteligencją. Peretti wziął dokumenty i wyszedł ze swojego gabinetu.

Szedł szybkim krokiem po pałacowych korytarzach. Papież był w bibliotece, w towarzystwie biskupa Albaniego, sekretarza synodu o tolerancji. Zadaniem Albaniego miało być moderowanie dyskusji i zadbanie o to, by na zakończenie udało się osiągnąć konsensus.

– Wyglądasz na zmęczonego – przywitał papież sekretarza stanu.

– Bo jestem – westchnął Peretti i zajął krzesło po drugiej stronie biurka Leona. – To była ciężka próba.

– Jeszcze tydzień i zwołamy synod, Dominicu – powiedział papież ze współczuciem. – Pałeczkę przejmie obecny tu sekretarz, a ty będziesz mógł się wyspać. Co prawda ograniczyłem czas wypowiedzi wstępnych, żeby nadać obradom dynamizm, ale i tak będziesz miał kilka spokojnych dni, zanim wydarzy się cokolwiek istotnego.

Zanim Albani zdążył zaprotestować, że wstępna dyskusja będzie ważna, Leon XIV uniósł dłoń, a słońce zza szyb rozbłysło w jego pierścieniu Rybaka, jednej z oznak urzędu.

– Żartuję, oczywiście. Zaplanowaliśmy ten synod tylko na dwa tygodnie, będzie o połowę krótszy niż zwykle i nie możemy zmarnować ani chwili. Czy są jakieś opóźnienia?

– Mnóstwo – westchnął Peretti. – Jeśli mogę być szczery, wielu przywódców innych religii zachowuje się jak primadonna w wieczór premiery. Niektórzy domagają się więcej czasu na swo-

je wystąpienie. Inni chcą decydować, jakie będą posiłki. Jeszcze innym nie podobają się przydzielone kabiny. Jak na osoby mające troszczyć się o duszę innych, są niezwykle skoncentrowani na własnych potrzebach cielesnych.

– Musimy respektować zwyczaje żywieniowe i kulturowe naszych gości – podkreślił papież.

– To akurat rozumiem. Ale moje biuro zostało zalane innymi prośbami. Dlaczego amerykański pastor musi wziąć ze sobą żonę, nie wiem, ale wydzwaniał do mnie codziennie, żeby wyrazić swoje niezadowolenie z faktu, że ona nie może mu towarzyszyć. W końcu machnąłem ręką i powiedziałem, że może przyjechać z żoną.

– Kto to taki?

– Tommy Joe FarQuar. Były sprzedawca samochodów, który stał się ważnym telekasznodzieją.

– Nigdy nie zrozumieć, dlaczego Amerykanie słuchają takich szarlatanów – odezwał się Albani.

– A co ze statkiem?

Z powodu znaczenia synodu o tolerancji papież chciał zwołać go w Rzymie, zgodnie z tradycją. Jednak kilku ważnych gości odmówiło przybycia do Watykanu. Leon XIV brał też pod uwagę Jerozolimę, ale to miasto jeszcze bardziej podzieliło zaproszonych. To Peretti zasugerował, żeby pominąć kwestię miejsca synodu. Zamiast zabiegać o zaakceptowanie Rzymu czy Jerozolimy, zaproponował, żeby synod odbył się na morzu, na statku pasażerskim wystarczająco dużym, żeby pomieścić dwa

tysiące uczestników. Wyczarterowali „Cesarzową Mórz”, jeden z najnowocześniejszych statków wycieczkowych.

Zakwaterowanie tyłu osobistości na jednym statku stwarzało mnóstwo problemów, a jednym z ważniejszych było zapewnienie im bezpieczeństwa. Gwardia Szwajcarska była odpowiedzialna za sprawdzenie wszystkich członków załogi i uczestników synodu. Współpracowała przy tym z agentami ochrony z kilkudziesięciu państw. Na wodach międzynarodowych statek był już poza zasięgiem wszystkich terrorystów, z wyjątkiem najbardziej wyrafinowanych. Mimo wszystko papież poprosił włoską marynarkę wojenną o eskortowanie wycieczkowca. Jednostce miał więc towarzyszyć niszczyciel.

– Statek jest przygotowany. Na tydzień przed wyruszeniem w rejs cała załoga ma zakaz schodzenia z pokładu. Nikt, kto nie został sprawdzony przez Interpol i Gwardię Szwajcarską, nie ma prawa zbliżyć się do „Cesarzowej”.

– Zaopatrzenie jest już na pokładzie? – zapytał Albani.

– Wszystko, od szampana zaczynając, a kończąc na karmie dla pływających z nami psów wykrywających bomby.

– Dominicu, wykonałeś doskonałą robotę. To spotkanie jest w takim samym stopniu świadectwem potrzeby budowania zrozumienia na świecie jak dowodem twoich zdolności organizacyjnych.

– Z przyjemnością pozostanę w cieniu – zaprotestował Perretti – jeśli uda nam się powstrzymać choć jedną osobę przed zabijaniem w imię religii.

– Uda się, przyjacielu – powiedział papież z przekonaniem.
– A co z przedmiotami, które zwracamy wyznawcom innych religii? Czy są już na statku?

– Wszystko znalazło się już na pokładzie. Mogę dodać, że spotkaliśmy się z entuzjastycznymi reakcjami.

– Tego się spodziewałem. Mea culpa Jana Pawła II w marcu 2000 roku to był pierwszy krok. Kościół powinien był dokonać takich formalnych przeprosin kilka dekad wcześniej. Z imieniem Boga na ustach dokonywano niewyobrażalnych zbrodni. Inkwizycja, krucjaty, pogromy i niepowstrzymanie faszyzmu to tylko najważniejsze z nich. Nie wystarczy przeprosić. Uznałem, że należy zwrócić coś namacalnego – a cóż lepszego niż tysiące tekstów religijnych i przedmiotów kultu, które Watykan zgromadził przez wieki? Już dawno powinniśmy byli je oddać.

– Czy znana jest ostateczna liczba zwracanych przedmiotów?
– zapytał Perettiego Albani. – Chcę o tym wspomnieć w swoim wystąpieniu.

Kardynał Peretti przekartkował swoje dokumenty.

– Siedem tysięcy osiemset ksiąg: głównie teksty żydowskie i egzemplarze Tory, które przechowywaliśmy w czasie wojny, islamskie pisma zdobyte podczas krucjat i prawosławne materiały, które trzymaliśmy od soboru chelcedońskiego w roku 451.

– To wszystko? – zdziwiony papież uniósł brwi.

– Mieliśmy tylko sześć miesięcy na ich przygotowanie. To stwierdzenie faktu, nie skarga. W Bibliotece Watykańskiej znajdują się dwa miliony książek i sto pięćdziesiąt tysięcy manuskryptów. Nie liczę siedemdziesięciu pięciu kilometrów do-

kumentów w archiwach. Dopiero zaczęliśmy szukać materiałów, które nie należą do nas.

– Przepraszam – uśmiechnął się Leon. – Wybacz mi. Co jeszcze zwracamy prawowitym właścicielom?

– Pięćset ikon należących do Cerkwi prawosławnej. Sami zdecydują, co trafi do której grupy. Jest jeszcze czterdzieści statui, około dwustu obrazów i mnóstwo przedmiotów religijnych: świeczników, menor, ozdobnych krucyfiksów, relikwiarzy. Wysłałiśmy do doków w Belgii jedenaście kontenerów. Przygotowałem wykaz, co wysyłamy do kogo, a kilka najbardziej symbolicznych obiektów trzymamy osobno, abyś Ojciec Święty mógł je wręczyć osobiście.

– I mówisz, że świat zainteresował się naszą decyzją?

– Pomimo ogromnych wysiłków naszego biura prasowego wielu dziennikarzy bardziej interesuje zwrot własności niż sam synod. Swoją drogą, media upierają się, żeby nazywać synod zgromadzeniem powszechnym.

– To synod, ale i spotkanie powszechne – odparł papież. – Właściwie nazwa, którą nadali dziennikarze, nawet bardziej mi się podoba. Synod pachnie tajemnicą, my zaś chcemy otwartości, jakiej jeszcze nie było. W tym spotkaniu nie chodzi o religię. Chodzi o ludzi i o to, jak poprawić wzajemne relacje.

Albani, który miał prowadzić obrady synodu, podjął wątek.

– Są fanatycy i sceptycy. Ewangelizacja stała się tak wzziętą walką, że wielu przywódców religijnych straciło z oczu cel szerzenia swoich przekonań. Dusze stały się takim samym

przedmiotem obrotu jak akcje giełdowe czy kontrakty terminowe na ropę.

Papież wybuchnął głośnym śmiechem i dobrą chwilę nie mógł przestać się śmiać.

– Przepraszam, księżę biskupie. Wyobraziłem sobie, jak spiker radiowy podaje najnowsze notowania religii. – Zmienił głos na niższy. – Dzisiejsze kursy zamknięcia: katolicyzm wzrósł o dwa punkty, judaizm jedną czwartą w górę, buddyzm spadł o jedną ósmą. – Zaśmiał się ponownie, po czym dotarła do niego trafność własnego dowcipu. Ponownie ucichł. – Musimy skończyć z takim tokiem myślenia. Boję się myśleć, co będzie, jeśli nam się nie uda. Fanatyzm napędzany jest już różnicami etnicznymi i polityką. Ostatnie, czego potrzebuje świat, to przywódcy religijni dodający własne składniki do tej mieszanki wybuchowej.

MONACHIUM, NIEMCY

Anika Klein spędziła poranek, pakując się na wyprawę. Nazajutrz, w poniedziałek, wyruszała na kilka dni na Islandię. Tam cały zespół miał załadować się na statek na Grenlandię. Obowiązki domowe zabrały jej więcej czasu, niż przewidywała, ale i tak po obiedzie poszła pobiegać i wróciła po półtorej godziny.

Po długim prysznicu z ociąganiem usiadła przed lustrem i kolejne pół godziny spędziła na od dawna odkładanych zabiegach kosmetycznych. Szczególnie kłopotliwe były brwi nieregulowane od trzech miesięcy. Rytuał skubania zakończyła z oczami pełnymi łez. Błyszczące czarne włosy celowo nosiła obcięte niemal po męsku, z krótką grzywką i nieco tylko dłuższymi włosami na karku. Odrobina żelu i kilka machnięć szczotką wystarczyło, żeby je ułożyć.

Miała wyraziste rysy, duże oczy w kształcie migdałów, wysokie kości policzkowe i ostry podbródek. Jej wargi były wyjątkowo pełne. Malowała je szminką tylko, gdy szła na randkę – w przeciwnym razie jej usta zbytnio przyciągały uwagę. W jej niewielkich uszach tkwiło dziewięć kolczyków – pięć w jednym, cztery w drugim. Anika miała trzydzieści sześć lat, ale nosiła się jak

kobieta o połowę młodsza. I pasowało jej to, wyglądała świetnie. Uważnie przypatrując się swemu odbiciu, Anika stwierdziła, że uda jej się podtrzymać to wrażenie jeszcze kilka lat. Ponieważ rzadko się opalała, na skórze, która kiedyś zacznie zdradzać jej wiek, na razie nie było śladu zmarszczek.

Uśmiechnęła się do siebie w lustrze. Dopiero w tym momencie z jej twarzy zniknął wyraz napięcia, stale obecny, gdy była wśród ludzi. Uśmiech zmienił ją w nastolatkę. Były mąż często porównywał jej urodę do urody Audrey Hepburn.

Zwykle ubierała się na czarno, w pseudogockim stylu, który w Europie wciąż był popularny. Tego dnia jednak miała spotkać się z kimś na prośbę dziadka, włożyła więc jasną prostą spódnicę, kremową bluzkę z jedwabiu i buty na płaskich obcasach. Ze swoim wzrostem czuła się na tyle dobrze, że szpilki wkładała tylko w razie konieczności.

Wychodząc z mieszkania, zajrzała do kuchni i wyjęła z lodówki litrową butelkę wody i słoik greckich oliwek. Nie musiała się obawiać o oddech, w samochodzie miała gumę do żucia. Zamiast torebki wzięła skórzany plecaczek. Wrzuciła do niego wodę, wygrzebała kluczyki do poobijanego volkswagena golfa i włożyła do ust kilka soczystych oliwek. Samochód stał na parkingu podziemnym. Silnik zaskoczył już za piątym razem.

Dziadek miał szczęście, że od miasta Ismaning dzieliło ją raptem pół godziny jazdy. Gdyby ten cały Otto Schroeder, z którym miała porozmawiać na prośbę dziadka, mieszkał dalej od Monachium, przełożyłaby spotkanie na czas po powrocie z Grenlandii. Opa (dziadek) Jacob nalegał, żeby odwiedziła

tego człowieka jeszcze przed wyjazdem, ale też wszystko, co dotyczyło jego pracy, traktował jako niezwykle pilne.

Anika pomagała, jak mogła. Dziadek wiedział, że nie weźmie udziału w jego krucjacie. Wspierając go, kiedy się dało, chciała jednak pokazać, że nie zapomni. Często powtarzał, że ludzie nie umierają tak naprawdę, dopóki są pamiętani. Pierwszy raz powiedział jej to, kiedy jej ojciec zmarł na zawał. Dopóki pamiętała ojca, dopóty on żył. Dlatego Jacob pracował tak ciężko. Dopóki pamiętał, sześć milionów Żydów wciąż jeszcze żyło. Jeśli Anika uratuje choć fragment tej pamięci, kolejne pokolenie nie zapomni o ofiarach.

Ruch na drodze był większy, niż zakładała. Zapomniała, że nawet w weekendy trwały roboty. Klimatyzacja nie działała w volkswagenie już wówczas, kiedy kupiła go z trzeciej ręki, i teraz od asfaltu biły ciężkie podmuchy gorącego powietrza. Anika dusiła się, pas bezpieczeństwa ciążył jej na piersi jak żelazna sztaba. Bluzka lepiła się jej do pleców. Próbowwała wziąć głębszy oddech, ale tylko nawdychała się spalin z ciężarówki jadącej obok.

Tylko częściowo była sfrustrowana z powodu opóźnienia. Miała nadzieję, że podczas jazdy samochodem przestanie rozmyślać o pracy, ale tak się nie stało. Czyjej kariera ruszy do przodu, czy się zakończy? Wybór należał do niej.

Wygrzebała butelkę z wodą i wzięła łyk, próbując się uspokoić. Zamiast rozmyślać nad decyzją, zaczęła grzebać w torebce, szukając opisu drogi do farmy Ottona Schroedera, który dziadek podyktował jej kilka dni temu. Dotychczasowa praca z nim na-

uczyła ją nie dziwić się, jak udało mu się wytropić byłego oficera. Wydawało się, że Jacob Eisenstadt potrafił znaleźć każdego, jeśli tylko się do tego zabierze.

Na kartce z opisem trasy była też lista pytań, na które dziadek chciał uzyskać odpowiedzi. Anika przeczytała raz listę po tym, jak ją spisała, stwierdziła, że ten wywiad zapowiada się bardziej intrygująco od poprzednich. Wyglądało na to, że Schroeder mógł wiedzieć, co stało się z olbrzymim ładunkiem złota wywiezionym z Rosji w 1943 roku. Według Jacoba to nie był jeden z legendarnych zaginionych ładunków, których nigdy nie odzyskano. Do niedawna ani on sam, ani Theodor Weitzmann nawet nie wiedzieli o jego istnieniu. Byli przekonani, że trafili na ślad czegoś zupełnie nowego.

Anika wątpiła, by z jej rozmowy coś wynikło. Opa dowiedział się, że Schroeder był zawodowym wojskowym, zanim Hitler doszedł do władzy. Nie należał do nazistowskich elit. Nie należał nawet do partii. Niezbyt prawdopodobne było, że wszedł w posiadanie tajemnic ukrytego złota czy tak naprawdę czegokolwiek innego. Powiedziała to dziadkowi Jacobowi, ale on przypomniał jej, że nawet jeśli Otto Schroeder jest tylko kolejnym ogniwem łańcucha, zawsze będą jedno ogniwo bliżej celu. Anika wiedziała, że mogłaby się od niego uczyć poświęcenia i niezłomnej wiary. Tego jej brakowało.

W centrum Ismaning stała wysoka kamienna wieża, pozostałość z czasów średniowiecza, której pierwotne zastosowanie zostało zapomniane. Skręciła w prawo i wkrótce korki się skończyły. Zupełnie jakby nagle znalazła się sto kilometrów

za miastem. Po obydwu stronach wąskiej drogi rozciągały się zaorane pola i gęste lasy, urozmaicane czasami domami, do których prowadziły długie, wyłożone żwirem aleje.

Odprężyła się. Anika ubóstwiała wieś, świeże powietrze, szeroki horyzont, a zwłaszcza to, że było tu niewielu ludzi. Raz jeszcze sprawdziła trasę. Miała do przejechania jeszcze osiem kilometrów tą drogą i kolejne trzy po skręcie w lewo. Tam znajdował się dom Ottona Schroedera. Według informacji dziadka Schroeder wciąż był właścicielem ziemi, ale jej nie uprawiał. Dzierżawił grunty lokalnym farmerom, a sam mieszkał w stojącym na uboczu domu, dożywając swoich dni.

Słońce zsunęło się już poniżej warstwy monachijskiego smogu i zaróżowione światło zmieniło pola pszenicy w tańczące płomienie. Anika odnalazła swój zjazd i wsadziła do ust gumę do żucia, żeby zabić smak oliwek, które podgryzała. Drogą tak daleko od Ismaning rzadko ktoś jeździł i gdzieś porośla trawą. Zauważyła, że na zielonych fragmentach odcisnęły się ślady opon. Obawiała się, że to Otto Schroeder wyjechał z domu. Może na sobotni kufelek piwa w miasteczku? Wątpliwe. Miał prawie dziewięćdziesiątkę.

Zamierzała właśnie sięgnąć do torebki po komórkę i zadzwonić do Schroedera, kiedy zza kępy dębów wyłonił się jego dom. Na podjeździe obok leciwego opla zaparkował czarny mercedes. Dom nie miał w sobie nic szczególnego. Parterowy, kamienny i chyba w nie najlepszym stanie. Kilka kolumnienek podpierających dach ganku zapadło się, nadając fasadzie pofalowany wygląd. Zastanowił ją niepasujący tu mercedes. Oczywiście,

były bardzo popularne w Niemczech. Ale tutaj? Akurat tego wieczora, kiedy miała rozmawiać z byłym żołnierzem, który może coś wiedzieć o zaginionym złocie?

Anika natychmiast stała się czujna. Zatrzymała volkswagena w sporej odległości od budynku. Zrzuciła torbę na plecy i jednym zwinnym susem znalazła się po drugiej stronie rowu melioracyjnego na granicy posesji Schroedera.

Powietrze było nieruchome. Wiatr, który wcześniej poruszał zboża, ucichł, a owady jeszcze się nie odezwały. W ciszy słyszała stukanie stygnącego silnika mercedesa. Zastanowiła się nad wozem. Mógł należeć do zamożnego dziecka, które przyjechało odwiedzić ojca. Ale czy ktoś pozwoliłby ojcu mieszkać na takim odludziu? Coś tu nie grało, ale nie mogła dociec co. Podchodząc do budynku, starała się, by jej nie zauważono.

Dotarła do drzwi wejściowych, nie widząc ani nie słysząc po drodze niczego niezwykłego. Zachichotała. Niepokój zniknął. To tyle, jeśli chodzi o jej szósty zmysł. Być może pomagał, kiedy wspinała się na ścianę skalną, ale na ziemi był całkowicie nieprzydatny.

Miała właśnie zapukać, kiedy wieczorną ciszę rozdarł krzyk bólu, przenikliwa skarga, która przebiegła jej po plecach jak prąd.

Krzyk dobiegł z za domu, nie z jego wnętrza. Choć instynkt lekarza pchał ją, by pobiec na ratunek, nie ruszyła się z miejsca. Nie chodziło o to, czy się wycofać. Musiała zastanowić się, co zrobić. Zeszła z ganku i wyjrzała za róg domu. Kamienna ściana płynnie przechodziła w murek, tworząc zamknięte podwórze. Usłyszała głośny jęk i wiedziała już, że krzyki dochodzą stamtąd.

Murek miał niecałe półtora metra wysokości, zwieńczony był grubymi blokami łupka. Zgadując, że na tyłach znajdzie furtkę, ruszyła pochylona wzdłuż murku. Słabą przyczepność butów na gliniastej ziemi nadrabiała doświadczeniem w zachowywaniu równowagi. W połowie drogi usłyszała jakieś głosy, przytłumione z początku, lecz coraz wyraźniejsze w miarę zbliżania się do drugiego końca murku. Za rogiem zobaczyła zbutwiałą drewnianą furtkę wiszącą na jednym zawiasie.

– To proste pytanie, panie Schroeder – warknął męski głos.
– Wiemy, że był pan w czasie wojny saperem, i wiemy, że brał pan udział w projekcie „Pandora”. Nie wiemy jednak, komu pan o tym powiedział. Kto jeszcze wie o „Pandorze”?

Odpowiedzią był kolejny krzyk, znacznie głośniejszy niż poprzedni.

Otto Schroeder był torturowany!

Anikę sparaliżował strach. Obejrzała się za siebie. Nie dostrzegła swojego samochodu, ale wiedziała, że dobiegnie do niego w kilka sekund. Wyjęła nawet kluczyki z kieszeni spódnicy i trzymała je w ręku. Ale nie mogła się ruszyć. Dawno zakończona wojna, która odebrała jej większość rodziny i motywowała dziadka do działania, toczyła się dalej zaledwie metry od niej.

– Nikomu nic nie mówiłem. – To musiał być Schroeder. Po każdym wypowiedzianym słowie jęczał. – Tajemnicę zabiorę do grobu.

– Oby tak było – odezwał się trzeci głos.

Było ich dwóch, być może więcej. Anice pozostawało tylko jedno wyjście. Komórkę miała w plecaku. Wystarczyło, żeby

odeszła na tyle daleko, żeby nikt nie usłyszał, jak dzwoni na policję. Zrobiła ostrożny krok do tyłu, potem jeszcze jeden.

Ból poczuła nagle i nie przypominał niczego, co doświadczyła do tej pory. Czyjaś ręka złapała ją za włosy. Została prawie uniesiona w powietrze. Czują, jakby skóra zaraz miała zostać zerwana z jej czaszki. Krzyknęła, uderzając w tę rękę, ale najmniejszy ruch sprawiał jej ból.

– Mam tu kogoś. – To był kolejny męski głos. Ten brzmiał młodziej. – Kobietę.

Ból zmusił Anikę, by stanęła na palcach, a mimo to mężczyzna dalej ciągnął ją do góry. Nie mogąc się ruszyć, wrzeszczała. Furtka otworzyła się gwałtownie i podszedł do niej mężczyzna z automatycznym pistoletem w dłoni. Był wysokim blondynem o złej twarzy.

Dopiero gdy znalazł się za nią i przystawił jej broń do pleców, rzucił:

– Dobra, Karl, mam ją. Możesz puścić.

Ból zniknął i Anika upadłaby na ziemię, gdyby człowiek z pistoletem nie przytrzymał jej jedną ręką, drugą wbijając jej pistolet w nerkę. Brutalnie popchnął ją do przodu.

Otoczony murkiem ogród był zarośnięty chwastami, a poluzowane kamienne płyty ścieżki śliskie od mchu. Obok drzwi wejściowych stał zardzewiały metalowy stolik i kilka krzeseł nie od kompletu. Otto Schroeder leżał na obtłuczonej betonowej ławie, a nad nim stało dwóch mężczyzn. Jednym z nich musiał być Karl, który chwilę wcześniej złapał ją za włosy. Czwarty mężczyzna stał nieco z tyłu, ukryty w cieniu. Anika domyślała

się, że to był szef grupy. Nie widziała jego twarzy, ale z jakiegoś powodu wydawał jej się starszy od pozostałych.

Przeniosła wzrok na Schroedera i kiedy zobaczyła, co mu zrobili, żołądek podszedł jej do gardła. Nie patrzyła na Schroedera z lekarskim dystansem jak na rannego. Widziała okaleczonego człowieka. Z nogi Schroedera usunięto kawałek skóry i wycięto duży fragment tkanki. Krew zbierała się w straszliwej ranie i spływała na ziemię. Anika spojrzała w szarą twarz starca i w jego zażawionych oczach ze zdziwieniem odczytała wolę walki. W którymś momencie musiał ugryźć się w wargę lub język, bo z ust także spływała mu krew.

– Kim jesteś? – warknął Karl, mężczyzna, który ją złapał. Był niemal kopią człowieka z pistoletem, potężnym blondynem z szerokimi barkami. Jego kolega trzymał długi nóż. W gasnącym świetle Anika dojrzała na ostrzu krew.

Milczała ze strachu, nie stawiając oporu. Wiedziała, że ponieważ zobaczyła ich twarze, nie wypuszczą jej żywej. Mężczyzna z nożem w drugiej ręce miał solniczkę. Posypał solą ranę na udzie Schroedera. Stary żołnierz próbował znieść ból, ale nie dał rady. Jego krzyk odbijał się echem w głowie Aniki. I sto lat na oddziale urazowym nie uodporniłoby jej na tak ogromne ludzkie cierpienie. Modliła się w duchu, by stracił przytomność i nie czuł bólu.

– Kim jesteś? Czy mam mu wysypać resztę na nogę?

– To nie ma znaczenia – powiedział ukryty w cieniu mężczyzna tak cicho, że Anika ledwie go usłyszała. – Zabijcie ją.

Karl zrobił krok w jej stronę, ale nagle poleciał do tyłu, jakby pociągnięty za niewidoczną linkę. Jego mózg eksplodował. W tym samym momencie usłyszała strzał. Mężczyzna trzymający Anikę odepchnął ją i odwrócił się w kierunku, z którego, jak mu się zdawało, padł strzał. Padła na ziemię i próbowała wczołgać się pod ławę, rozmazując krew Schroedera na skórze i ubraniu. Huknął kolejny strzał i kawałek kamienia ponad ławką rozprysł się na kawałki. Ułamek sekundy wcześniej w tamtym miejscu stał oprawca, który sypał sól na nogę Schroedera. Zza poły ciemnej kurtki wyjął teraz swoją broń, niewielki pistolet maszynowy. Władował długą serią ponad murem. Pistolet bzyczał jak osa. Gorące mosiężne łuski wylatywały z niego łukiem jedna po drugiej.

Anika zakryła uszy, gdy rozległy się kolejne strzały: ostre trzaski strzelb, niższe dudnienie pistoletów, staccato pistoletu maszynowego. Powietrze wypełniło się odpryskami kamienia, tworzących widoczne tory w gęstniejącym dymie prochowym. Trafił ją świeży rozbryzg krwi – wiedziała, że Schroeder dostał. A jednak były żołnierz nie zareagował. Albo był to śmiertelny strzał, albo nie czuł już bólu. Anika dostrzegła szefa. Opierał się o ścianę domu, w dłoni trzymał pistolet. Zauważył Anikę i przeniósł celownik na nią. Odruchowo zamknęła oczy.

Nie usłyszała strzału. Kanonada ognia zagłuszyła wszystko inne. Poczulią jednak uderzenie – palące smagnięcie po zewnętrznej stronie uda. Kanonada odwróciła uwagę szefa i sprawiła, że chybił. Krzyknęła i osłoniła ranę dłonią, wczołgując się głębiej pod ławkę. Była zлана potem. Pochlipywała i było jej wszystko

jedno. Kula odbiła się rykoszetem od metalowego krzesła i gorący stalowy odłamek wpadł w kałużę krwi, skwiercząc obrzydliwie.

Facet usiłujący ją zabić zrobił niepewny krok w jej stronę. Tym razem jednak oberwał, i to sześć razy; najpierw osunął się na kolana, potem upadł. Miał nieruchomy wzrok, z ręki wypadł mu nóż, ale nie mogła go dosięgnąć. Odwróciła się, żeby sprawdzić, czy szef wciąż stoi tam, gdzie go widziała, i dostrzegła dwie postaci biegnące przez dym w stronę otwartych drzwi domu. Niecelne kule posiekały ścianę, sypiąc iskrami i kolejnymi odłamkami kamienia. Chwilę później rozległ się warkot uruchamianego silnika i mercedes odjechał przed dom.

Strzelanina skończyła się równie szybko, jak zaczęła. Echa wystrzałów ucichły.

Anika splunęła, żeby pozbyć się posmaku prochu. Nie wiedziała, czy powinna wychodzić z ukrycia. Wolałaby już tak leżeć. Wtedy usłyszała nad sobą jęk Schroedera i wiedziała, że musi się nim zająć. To był odruch.

Dobra, A.K., rusz się. Pomimo bólu wytoczyła się spod ławy. Gdy uniosła głowę, nic się nie stało – nikt do niej nie strzelał.

Kula trafiła Schroedera w klatkę piersiową. Krew ciekąca z niewielkiego otworu wyglądała jak gazowana. Postrzał płuca. Śmiertelny, o ile natychmiast nie zostanie opatrzony. Spojrzała na jego twarz. Schroeder wpatrywał się w nią pewny, że umrze.

– Pomocy! – krzyknęła Anika w półmrok, licząc, że przyciągnie uwagę tych, którzy strzelali w stronę ogrodu z karabinów, ludzi, którzy uratowali jej życie. – Pomóżcie nam, proszę!

Nie było żadnej odpowiedzi. Minęła może minuta – nie była tego pewna. Ktokolwiek uratował ją, zabijając dwóch oprawców Schroedera i płosząc pozostałych, nie zamierzał przyjść na pomoc. Anika musiała sobie radzić sama. Nie zwracając uwagi na pulsowanie rany na udzie, odwróciła się w stronę staruszka. Oddech Schroedera stał się płytszy, jego rany mniej krwawiły. Choćby natychmiast wezwała karetkę, wątpiła, czy ta zdążyłaby przyjechać, zanim on umrze.

Przyklękła ostrożnie i ujęła jego duże dłonie w swoje.

– Wszystko będzie dobrze, panie Schroeder – próbowała go pocieszać, ale obydwójce wiedzieli, że to nieprawda.

– Powiedziano mi, że ktoś po mnie przyjdzie – wyszeptał Schroeder. – Ale pokonałem ich. Nie dostali, czego chcieli.

– Kim oni byli? – Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, Anika chciała się tego dowiedzieć.

– Nie wiem. Ktoś zadzwonił tydzień temu i powiedział, że jacyś ludzie mają przyjechać, żeby mnie wypytać. Zignorowałem to ostrzeżenie. Potem były jeszcze dwa telefony, ale głuche.

– Anika pomyślała, że raz dzwonił zapewne Opa Jacob. Jego ulubionym sposobem sprawdzania, czy źródło jest w domu, było zadzwonić i odłożyć słuchawkę, kiedy odbierze. Drugi telefon to mogli być oprawcy, postępujący dokładnie tak samo.

– Ale kim oni są? – naciskała, obawiając się, że staruszek umrze, zanim ona zrozumie, co zaszło.

– Moją przeszłością. – Schroeder wykaszłał skrzep krwi, który Anika otarła mu rękawem. – Tydzień temu ostrzeżono

mnie, że to się nie skończy na mnie. A myślałem, że jestem ostatnim, który wie.

– Co wie, panie Schroeder?

– I na prawdę. – Nawet w obliczu nadchodzącej śmierci nie zamierzał wyjawić, dlaczego był torturowany.

Wpadła na pomysł.

– o złocie? Chcieli się dowiedzieć o złocie, prawda?

Ból ściągnął mu twarz, ale zdołał otworzyć szeroko oczy i spojrzeć na nią. Jego głos drżał.

– Skąd o tym wiesz? Jesteś od tych, którzy mnie ostrzegli? Anika zignorowała jego pytania.

– Ludzie, którzy to panu zrobili, wiedzieli o złocie i chcieli wiedzieć, co się z nim stało. Czy tak?

– Złoto to drobiazg – powiedział lekceważąco i zamilkł. Anika sądziła przez chwilę, że zmarł, ale wtedy ścisnął jej dłoń.

– Chcieli wiedzieć, czy powiedziałem komuś całą prawdę.

– A powiedział pan?

– Zawsze wiedziałem, że dla tej tajemnicy warto zabić. – Uśmiechnął się złowrogo. – Tylko nigdy nie myślałem, że będę musiał dla niej umrzeć.

– Co to za tajemnica? – zapytała gorączkowo Anika. Mówił bez sensu. Została jej może minuta lub dwie, zanim zgaśnie. – Jaka tajemnica, panie Schroeder?

– Klątwa Pandory. Całe swoje życie modliłem się, żeby ten koszmar zniknął wraz ze mną. Ale teraz już wiem, że niestety tak nie będzie. Będzie się ciągnął.

– Co to jest klątwa Pandory? Schroeder zacisnął powieki.

– Powiedzieli mi, że jest człowiek, który może pomóc...

– Ludzie, którzy ostrzegli pana przed tymi... oprawcami? Oni powiedzieli, że ktoś może pomóc? – Staruszek skinął nieznacznie. – Kto? Kto może pomóc?

Schroeder zarządził i wykrztusił kolejny skrzep krwi.

– Amerykanin. Philip Mercer – wycharczał. Puścił rękę Aniki. Umarł. Anika nie zdziwiła się, czując na policzkach łzy. Ten żołnierz przez całe życie ukrywał jakąś straszliwą tajemnicę, wolał umrzeć, niż ją wyjawić. Usiadła obok jego ciała. Dym już się rozwiął i widać było przerażające ślady tego, co się wydarzyło.

Zacisnęła zęby i zmusiła się do odcięcia się od wszystkiego, co zaszło. Musiała myśleć jak lekarz, nie ofiara.

Dobra, A.K., bierz się do pracy. Trzy osoby zginęły od ran postrzałowych, jedna była ranna. Jej krwawiąca noga była priorytetem. Mogła znieść ból, ale musiała zaszyć ranę. To oznaczało konieczność znalezienia się w szpitalu. Wiedziała, że jeśli wezwie karetkę, policjanci będą jej zadawać dziesiątki pytań, a to nie wchodziło w rachubę. Gdyby wyjaśniła przyczyny swojej obecności tutaj, byłoby tylko kwestią czasu, zanim oprawcy Schroedera dowiedzieliby się, kim jest. Sądząc po ich okrucieństwie, zanim zostaliby złapani, zabiliby ją. Jej sąsiadka pielęgniarka mogła zaszyć ranę, a leki przeciwbólowe i zwalczające infekcję zdobędzie sama.

Anika opierała się o mur i czekała, aż miną zawroty głowy. Ich przyczyną nie jest strata krwi, pomyślała, tylko szok wywołany śmiercią Schroedera i tym, co się stało. Musiała się stąd wydostać. Przez chwilę rozważała możliwość powrotu do

domu, ale wiedziała, że nie dałaby rady. Pojedzie do Ismaning i zadzwoni do sąsiadki, żeby ją zabrała. Musiała tylko zabrać swój samochód z miejsca zbrodni. Wiedziała, że tyle może zrobić.

Kiedy dotarła do auta, dyszała ciężko. Zabranym z tylnego siedzenia rękami owinęła ranę jak bandażem, spięła go sprzączką z plecaka. Kiedy wlała w siebie resztki wody, poczuła się lepiej. Desperacko potrzebowała orzeźwienia. Drugim rękami starła krew z twarzy, ramion i nóg. We wstecznym lusterku w swoich oczach widziała jednocześnie strach i zdecydowanie.

Anika rzuciła ostatnie spojrzenie na dom. W pokoju od frontu lampa rozświetlała mrok. Była przekonana, że nieprzypadkowo znalazła się tu w tym samym czasie co oprawcy. Wykręciła numer dziadka, ale przerwała połączenie, kiedy usłyszała jego szorstkie „halo”. Anika się rozluźniła. Był bezpieczny. Obawiała się, że dotarli do Schroedera przez Jacoba Eisenstadta, używając tych samych metod, które zastosowali wobec byłego żołnierza.

Skoro informacja nie pochodziła od dziadka, musiał ją przekazać ktoś inny. Porozmawia z Jacobem o tym. Ale nie tego wieczoru. Była to tylko jedna z tajemnic, które trzeba było rozwiązać – które ona musiała rozwiązać. Co zaalarmowało zabójców Schroedera? Kto uratował jej życie, płosząc ich? Czują, że byli to ci sami ludzie, którzy ostrzegli Schroedera tydzień wcześniej. Nie miała jednak pojęcia, skąd wiedzieli, że powinni zjawić się akurat tego wieczoru. Kim był człowiek, o którym wspomniał staruszek? Mercer? W jaki sposób miałby pomóc? I wreszcie, być może najbardziej palące pytanie: czym jest klątwa Pandory?

Wrzuciła bieg i odjechała, skupiając całą uwagę na tym, by utrzymać się na wąskiej drodze. Dręczyła ją jeszcze jedna myśl. Co mogło być tak cenne, że Schroeder olbrzymi ładunek złota nazwał lekceważąco „drobiazgiem”?

ARLINGTON, STAN WIRGINIA

Ponieważ Mercer nie planował nocować na Manhattanie, jego bagaż z Pensylwanii czekał na niego na waszyngtońskim lotnisku imienia Reagana. Kiedy przyleciał z Nowego Jorku, pokazał dokument tożsamości i kwity na bagaż, po czym bagażowy przyniósł mu jego walizki z przechowalni. Bez większego problemu złapał taksówkę do domu. Lot do Waszyngtonu trwał tylko godzinę i z przyjemnością usiadł w fotelu. Nogi bolały go od chodzenia godzinami po Muzeum Historii Naturalnej.

Kiedy taksówka minęła cmentarz wojskowy w Arlington i wjechała na drogę międzystanową numer 66, zbliżała się już dziesiąta wieczorem i ruch był niewielki. Mercer mieszkał w Arlington nieco ponad siedem lat i zadziwiało go tempo rozwoju okolicy. Było tylko kwestią czasu, kiedy dziesięć przecznic szeregowych kamienic wokół jego domu zostanie zastąpionych wieżowcami i centrami handlowymi.

Z zewnątrz jego budynek wyglądał podobnie do pozostałych na tej spokojnej ulicy. Miał dwa piętra, fasadę wyłożono czerwonym kamieniem ułożonym w łuki nad oknami i drzwiami wejściowymi. Betonowe schody ozdobiono kutymi poręczami.

W świetle latarni rozpoznał dwa samochody zaparkowane za jego czarnym jaguarem. Poobijany plymouth fury należał do Paula Gordona, emerytowanego dżokeja, a teraz właściciela miejscowego baru U Małego, zaś ford taurus – do Mike’a O’Reilly’ego, jednego z bywalców U Małego. Mercer postawił walizki na chodniku i wygrzebał z kieszeni kluczyki. Podeszedł do smukłego angielskiego kabrioletu i pilotem odblokował drzwi. Zajrzał do środka, by sprawdzić odometr. Na ostatnich trzech miejscach wskazywał osiemset dwadzieścia trzy, tak jak powinien, a kółko dziesiątych części zatrzymało się między szóstką a siódmką.

– A niech mnie – powiedział Mercer na głos. Był pewien, że Harry White weźmie samochód na przejażdżkę, kiedy on będzie w Pensylwanii, dlatego też zapamiętał przebieg.

Nagle zauważył, że odometr przekręcił się dokładnie o półtora tysiąca kilometrów.

– Ty stary spryciarzu – zachichotał, wcale niezagniewany.

Mercer podniósł walizki i ruszył po schodach. Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. Choć z ulicy kamienica wyglądała zwyczajnie, jej wnętrze było zupełnie inne. Konstrukcja została wybebeszona i przebudowana zgodnie z projektem, który Mercer sam opracował. Jedną trzecią głębokości budynku stanowiło atrium z marmurową podłogą wznoszące się aż po dach, z wychodzącymi na nie balkonami biblioteki na pierwszym i sypialni gospodarza na drugim piętrze. Pomiedzy piętrami, częściowo zasłaniając kuchnię, wiły się spiralne schody. Balustrady balkonów robiono na zamówienie, żeby pasowały do zabytkowych poręczy.

Na parterze za kuchnią i pralnią znajdowały się jego gabinet i jadalnia, do której wstawił pokryty czerwonym sukniem stół do poola. Nieużywany stolik jadalniany stał w rogu holu wejściowego, w miejscu, gdzie wcześniej był salon. Z pierwszego piętra dobiegł go wybuch śmiechu. Tam właśnie był pokój dzienny. Tyle że bliżej mu było do angielskiego pubu, ze ścianami wyłożonymi drewnem, dębowym barem, przed którym stało sześć wysokich stołków, kilkoma sofami, fotelami i sprzętem grającym.

Postawił torby przy schodach i wszedł na pierwsze piętro, do biblioteki. Dym cygar, przesączający się przez szklane drzwi, był gęsty jak na pożarze plantacji tytoniu. Sofy zostały odsunięte na boki, żeby zmieścić rozkładany stół, wokół którego siedzieli Harry, Mały, Miko O'Reilly i jego szwagier John Pigeon. Na stole stały popielniczki, szklanki i sztony do pokera. Ciemnozielony dywan wyglądał pod stolikiem jakby spłowiął, tyle rozsypano na nim popiołu. Siedzieli tu od wielu godzin. A równie dobrze i dni, stwierdził Mercer.

– Przesadzasz, Harry. Naprawdę przesadzasz. – Mercer usiłował mówić gniewnie, ale mu się nie udało. Nie miał Harry'emu za złe, że pozwolił komuś wozić się jaguarem czy że zaprosił kumpli na karty. Mercer tego się mniej więcej spodziewał.

– Hej, Mercer, witaj w domu – huknął Harry. Może i miał osiemdziesiątkę, ale jego głos miał siłę rozpędzonej lokomotywy. I połowę jej uroku. – Masz przy sobie jakąś gotówkę? Mike oszukuje i chyba wiem, jak go sprawdzić, jeśli dasz mi stówkę.

– Możesz mi wytłumaczyć, jak przejechałeś moim samochodem półtora tysiąca kilometrów w dwa tygodnie? – Mercer za-

uważył, że „Mały” Paul Gordon położył dwa tomy encyklopedii na swoim krześle, żeby siedzieć na tej samej wysokości co reszta.

– A, to. Cóż, Mały i ja postanowiliśmy wybrać się na weekend do Atlantic City.

– To tylko sześćset kilometrów tam i z powrotem.

– Dwa razy. – Harry próbował robić skruszoną minę, ale wyglądał raczej na zadowolonego z siebie.

– A pozostałych trzysta kilometrów?

– Załatwialiśmy sprawy.

Do rozmowy włączył się Mały, biorąc na siebie część odpowiedzialności.

– Chciałem zobaczyć kilka gonitw w Belmont – wyjaśnił były dżokej.

– Mam nadzieję, Paul, że to ty prowadziłeś.

Kiedy malutki Paul śmiał się, wyglądał i brzmiał jak gnom.

– W moim samochodzie zainstalowałem sobie nakładki na pedały, żeby móc nim kierować. Żeby sięgnąć do gazu w twoim aucie, musiałbym wczołgać się na dół i używać rąk.

Mercer powrócił wzrokiem do Harry’ego przerażony, że osiemdziesięciolatek prowadził na tak długiej trasie.

– Ty?

– Musisz sprawdzić wyważenie kół – zasugerował Harry. – Przy stu sześćdziesięciu zaczynają klekotać.

– Chryste. – Mercer potarł czoło dłonią. Wszedł za bar i wziął piwo z odnowionej zabytkowej lodówki z wielkim chromowanym uchwytem.

– Skoro już tam jesteś – zawołał jowialnie Harry – mógłbyś zrobić mi jeszcze jednego jacka danielsa z piwem imbirowym?

– A dla mnie weź piwo – dodał Mike O'Reilly.

– To może przy okazji i margaritę dla mnie – dodał John Pigeon. Zanim im odpowiedział, Mercer wysunął z kieszeni spodni portfel i przeliczył gotówkę. Miał przy sobie prawie trzysta dolarów. Pomimo późnej pory i zmęczenia decyzja była prosta.

– Załatw mi siedzenie, to zrobię ci cały dzbanek, Pidge.

W rogu baru leżała poczta Mercera, ułożona w stos, który groził natychmiastowym rozsypaniem się na podłogę. Harry miał taki układ z Mercerem, że mógł siedzieć w jego domu, kiedy ten wyjeżdżał, pod warunkiem że odbierał pocztę i zapisywał telefony. Umowa nie obejmowała jednak otwierania listów. Mercer pokręcił głową w udawanej frustracji. Jedna przesyłka przyciągnęła jego uwagę – długa, wąska tuba, w jakich przesyła się plakaty.

– Jedyna rzecz, która była do ciebie – powiedział, pokazując ją Harry'emu – a ty jej nie otworzyłeś.

– Pomyślałem, że ktoś przesłał ci węża.

– Tak się składa, że to twój prezent urodzinowy, choć z kilkumiesięcznym poślizgiem. – Mercer zrobił drinki, postawił je na barze, żeby John je zaniósł, i podał tubę Harry'emu.

– Co to takiego? – zapytał tamten podejrzliwie.

– Anakonda anorektyczka. Po prostu otwórz tę cholerną paczkę. Harry, który nie przywiązywał wagi do ceremonii, zgniótł cygaro i rozdarł tubę jak dzieciak. W środku znalazł laskę, ro-

bioną na zamówienie z drewna czarnego orzecha, z kunsztownie wyrzeźbioną główką ze srebra. Harry White miał tylko jedną nogę; drugą stracił jako kapitan żeglugi wielkiej po II wojnie światowej. Kulał nieznacznie, ale Mercer widział kilka razy, jak syczał z bólu. Wiedział, że nadszedł czas, by jego przyjaciel nie walczył z tym, co nieuchronne.

– Niezła – przyznał Harry.

Mercer wyjął mu ją z rąk, przekręcił fragment rączki, by zwolnić ukrytą zapadkę, i wyciągnął z laski błyszczące osiemdziesięciocentymetrowe ostrze.

Twarz Harry'ego się rozjaśniła.

– Świetna!

– A teraz najlepsze – powiedział Mercer, przekręcając miecz przy rękojeści. Ostrze odłączyło się, zostawiając dwudziestocentymetrową rączkę z nakrętką na końcu. Mercer odkręcił ją i powąchał z uznaniem. Wytwórca lasek przed wysyłką zrealizował ostatni punkt zamówienia.

Harry wziął rączkę, powąchał otwarty koniec jak Mercer i się roześmiał. Laskomiecz był także pojemnikiem na coś, co dla Harry'ego było jak mleko matki dla niemowlaka: whisky Jack Daniels.

Harry miał jasnyniebieskie oczy, z iskierkami łobuzerskiego sarkazmu. Teraz wzrok mu się zamglił ze wzruszenia, widać było, jak wiele znaczył dla niego prezent Mercera.

– Dzięki, Mercer – powiedział cicho. – To naprawdę coś.

– Wszystkiego najlepszego. – Mercer podał mu pięć dwudziestodolarówek i usiadł, mrużąc: – Ale stówkę masz mi oddać.

Grali do północy, rozmawiając głównie o wyprawie Mercera. Mike był jedynym kierowcą na tyle trzeźwym, żeby usiąść za kółkiem, więc stwierdził, że podrzuci Pidge'a, a potem odwiezie Małego do jego apartamentu. Zaoferował to samo Harry'emu, ale on już zajął miejsce na sofie. Mieszkał tylko kilkanaście przecznic dalej, ale spał u Mercera co najmniej raz w tygodniu, nigdy nie korzystając z pokoiów gościnnych na tyłach domu.

Mercer, osierocony w dzieciństwie i wychowywany przez dziadków, którzy teraz także już nie żyli, nie miał rodziny, więc bardzo cenił przyjaźń. Jego ojciec także był inżynierem górnictwa; zginął wraz z Siobhan, matką Mercera, podczas rebelii w środkowej Afryce. W czasie szkolenia przed misją w Iraku wojskowy psychiatra powiedział mu, że wczesna strata wywołała w nim ogromny strach przed porzuceniem i nadmiernie rozwinięte poczucie lojalności i odpowiedzialności. Mercer zgadzał się z tym. Wiedział, że mimo ogromnej różnicy wieku Harry był dla niego ważniejszy niż cokolwiek na świecie.

Mercer budził się zwykle o świcie. Następnego ranka spał jednak dłużej. Wziął szybki prysznic, włożył szorty i T-shirt, po czym zabrał z ganku „Washington Post”. Poprzedniej nocy nastawił timer w stojącym za barem ekspresie do kawy. Napar był gęsty jak smoła, a unosząca się z niego para była tak mocna, że mogła wypalić oczy. Przelał kawę do dzbanka i nastawił drugą porcję, dostosowaną do mniej masochistycznych gustów Harry'ego.

– Czy mógłbyś przestać tak hałasować? – burknął Harry, kiedy się obudził.

– To nie ja, to twoja głowa.

Harry usiadł, rozejrzał się po pokoju i skrzywił, czując w ustach smak wypalanej poprzedniego wieczoru paczki papierosów, kilku cygar i więcej whisky niż było konieczne. Zakaszał gwałtownie.

– Tak, może i masz rację.

Zanim wstał z sofy, podciągnął nogawkę i przymocował protezę. Wsunął szczupłe ramiona w rękawy spranej koszuli z oksfordzkiej bawełny, wkładając ją wprost na koszulkę, w której spał.

– Zawsze się zastanawiałem – powiedział Mercer, nalewając przyjacielowi filiżankę kawy i wysypując do niej kilka łyżeczek cukru – czy w domu śpisz w ciuchach.

– Tylko w te noce, kiedy urywa mi się film.

– Każdej nocy, co?

– Powiedzmy, że w większość nocy, i już zostawmy ten temat.

– Harry poszedł do jednej z łazienek dla gości, a Mercer zaczął przeglądać gazetę.

Skandal w waszyngtońskiej radzie szkolnej nie zainteresował go na tyle, by przeczytać coś poza nagłówkiem. Ponieważ większość czasu pracował za granicą, bardziej ciekawiły go wiadomości ze świata. Przeczytał o zbliżającym się zgromadzeniu powszechnym. Artykuł opatrzony był zdjęciem „Cesarzowej Mórz”, statku, na którym papież zorganizował spotkanie. Choć był to największy liniowiec w historii, wyglądał lekko jak wyścigowy jacht, z pochyłymi pokładami i kominami na obydwu kadłubach. Czytał gdzieś, że okrążając gigantyczny katamaran,

przeplęwało się osiemset metrów. Harry wrócił, kiedy Mercer kończył tekst o niemieckiej firmie, która zgodziła się wypłacić dwieście milionów dolarów odszkodowań robotnikom przymusowym zatrudnianym w jej fabrykach podczas wojny.

– Hej, w końcu wczoraj nie powiedziałaś, kiedy wyruszasz na Grenlandię. – Harry usiadł przy barze obok Mercera. Zdążył nawet ogolić srebrną szczecinę na szczęcie.

– Jutro po południu – odparł Mercer, oddając mu krzyżówkę. Siedząc czy stojąc, byli tego samego wzrostu, ale słysząc tę informację, Harry przygarbił się rozczarowany. Od pomieszkowania w domu Mercera wołał jego towarzystwo. Wziął łyk kawy i zapalił papierosa.

– Wiem, głupio wyszło – dodał Mercer. – Ale nie mogłem odpuścić takiej szansy.

– Nie mogę mieć ci tego za złe. Wyobrażam sobie, co to dla ciebie znaczy dostać się do Towarzystwa Kartografów.

– Ile marzeń z dzieciństwa nam się spełnia? – Pytanie było zadane poważnie.

– Poza utratą dziewictwa? Niewiele. – Uśmiech rozjaśnił pomarszczoną twarz Harry'ego. – Cieszę się z tobą, ale ci nie zazdroszczę. Jak tam jest o tej porze roku?

– Wierz mi lub nie, ale właśnie zaczyna się wiosna. W lipcu pękają lody otaczające Grenlandię. Będziemy pewnie jednym z pierwszych statków zawijających tam w tym roku. Temperatura nie powinna spadać poniżej minus pięciu stopni, ale w każdej chwili może się zacząć burza i wtedy w ciągu pięciu minut może zrobić się minus dwadzieścia.

– Jesteś świrem.

Mercer roześmiał się, ale nie zaprotestował.

Podczas gdy Harry rozwiązywał krzyżówkę, Mercer zaczął robić listę rzeczy, które powinien zabrać. Kiedy jechał na kontrakt, zwykle wiedział dokładnie, czego potrzebuje. Od dawna nie pracował jednak w tak trudnych warunkach i chciał się dobrze przygotować.

– Dziesięć pionowo – przerwał mu rozmyślenia Harry. – Inaczej przyjaciel, na dziewięć liter. Kończy się na „z”.

Mercer spojrzał na niego znacząco.

– Naciągacz.

– To było wredne.

– Spróbuj towarzyszu.

Godzinę później, kiedy Harry przeglądał ostatnie strony „Washington Post”, Mercer kompletował ekwipunek z listy. Musiał jeszcze zejść do specjalistycznego sklepu, ale wiele drobnych rzeczy miał gdzieś w domu, tyle że trudno było je znaleźć.

– Harry, widziałeś gdzieś moje gogle?

Staruszek obrócił się na stołku, posłał mu miażdżące spojrzenie i odezwał się głosem ociekającym sarkazmem.

– Nie pamiętasz? Pożyczyłem je, jak ostatnio wspinałem się na Mount Everest.

– Za tę odżywkę zamykam barek na czas mojego wyjazdu i zabraniam palenia tutaj. – Taki zdrowy tryb życia zapewne zabiłby Harry’ego w tydzień.

– Hej, tylko żartowałem – szybko wycofał się Harry. – Nie ma powodu, żeby się wkurzać. Kiedy już skończysz na dziś,

wybierasz się do Małego? Dziś ma promocję, dwa drinki w cenie jednego. Czyli picie oburącz.

– Nie. Chcę trochę poszperać w Internecie. Muszę dowiedzieć się więcej o projekcie „Iceworm” i tym Camp Decade, który mamy odkopać.

Podczas lunchu w siedzibie Towarzystwa Charles Bryce powiedział Mercerowi o samolocie wojskowym, który rozbił się kilka miesięcy przed zamknięciem bazy. Wszczęto szeroko zakrojone poszukiwania, a na lodowcu samolot powinien być dobrze widoczny, lecz mimo to nigdy nie znaleziono nawet śladu. Mercer miał nadzieję, że dowie się czegoś także o tej sprawie, z czystej ciekawości.

– Jak chcesz – powiedział Harry, biorąc swoją nową laskę. – Odlatujesz z Dulles czy z National?

– Z Dulles. Podwiózłbyś mnie?

– Dlatego pytam.

– Dzięki. Przyjdź koło południa.

Harry wyszedł, a kilka minut później Mercer ruszył na zakupy. Zważywszy na długość listy i pracę, którą miał zrobić dziś wieczór, stwierdził, że nie powinien być zostawać na noc w Nowym Jorku. Z drugiej strony cokolwiek zapomni zabrać, będzie mógł kupić na Islandii, zanim ruszą na pokładzie „Njoerda” do grenlandzkiego Ammassalik. Wierzył też Charliemu Bryce’owi, że Geo-Research to pierwsza liga w branży. Na pewno się nim zaopiekują.

REYKJAVIK, ISLANDIA

Ponieważ był geologiem, ta niewielka wyspa na środku Atlantyku fascynowała Mercera. Islandia, uformowana raptem osiemnaście milionów lat temu przez czynne do dziś podwodne wulkany, jest dowodem burzliwej przeszłości naszej planety. Trzęsienia ziemi są tu codziennym zjawiskiem, a co kilka lat wybucha któryś z licznych wulkanów. Islandzki krajobraz to mozaika niezwykłych tworów geologicznych: szyby geotermalne, dawne kratery czy pewna górską dolina – jedyne miejsce, w którym Grzbiet Śródatlantycki biegnie lądem. Dla kontrastu sąsiadująca z wyspą od zachodu wielka Grenlandia była niegdyś częścią Pangei, superkontynentu, który utworzył się, gdy skorupa ziemska dopiero stygła. Tamtejsze skały miały trzy i pół miliarda lat i były geologicznie martwe.

Nie znaczy to jednak, że Mercerowi jako turyście podobało się to miejsce. Islandia była raczej odludna. Połowa z dwustu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców żyła w stołecznym Reykjaviku lub jego okolicy. Gdyby nie siłownie geotermalne, dostarczające ogrzewanie i elektryczność, mógłby tu mieszkać

zaledwie ułamek tej liczby. Oddalenie sprawiało, że wszystko było niesamowicie drogie.

Lotnisko międzynarodowe w Reykjavíku znajdowało się na pustej równinie, upstrzonej kopułami radarów pobliskiej amerykańskiej bazy wojskowej. Kiedy Mercer przeszedł przez obrotowe drzwi futurystycznego terminalu, uderzył go lodowaty powiew znad północnego Atlantyku. Gólsztrom, prąd ciepłej wody płynący z Florydy do Europy, mijał południowe wybrzeże Islandii i ogrzewał ją na tyle, by dało się tu zamieszkać, ale z pewnością nie był to przyjemny klimat, nawet latem. Na ołowianym niebie kłębiły się chmury, które wydawały się wisieć raptem sto czy dwieście metrów nad ziemią. Odległy promień słońca sprawił, że daleka góra rozjarzyła się jaskrawą zielenią.

Mercer zapiął skórzaną kurtkę lotniczą i naciągnął na głowę bejsbolówkę w kolorze khaki, czekając przy krawężniku z dwiema dużymi torbami. Powietrze pachniało morzem, było świeże i ostre, co tylko podkreślało dziwaczność jego sytuacji. Osiem godzin wcześniej Harry podwiózł go na lotnisko Dullesa, zostawiając go z obietnicą, że nie będzie używał jaguara, a teraz znalazł się tutaj. Chociaż stale podróżował, dreszczyk emocji, gdy poznawał nowe miejsce, nigdy go nie opuszczał. Odczuwał go jako uczucie lekkości w piersi.

Mercer poprosił Harry'ego, żeby przekazywał jego pocztę do oddziału Geo-Research w Reykjavíku, skąd co tydzień miały wyruszać ładunki z pocztą i zaopatrzeniem dla zespołu na Grenlandii. Ściągając dwieście mejli ze swojego serwera, Mercer natrafił na tajemniczą notkę od jakiegoś prawnika z Monachium,

w której ten zapowiadał przesłanie mu dokumentów w imieniu nieujawnionego klienta. Mercer nie miał pojęcia, o co chodzi, i odesłał mejl z pytaniem. Do chwili, kiedy z Harrym ruszyli na lotnisko, nie otrzymał odpowiedzi, poprosił więc przyjaciela, żeby zwrócił na to uwagę i nie zapomniał dostarczyć mu przesyłki.

Mercer czekał od pięciu minut, kiedy podjechała do niego furgonetka toyota. Masywny mężczyzna na siedzeniu pasażera uchylił szybę.

– Doktor Mercer, dal – Miał rosyjski akcent.

– To ja.

Rosjanin otworzył drzwi z szerokim uśmiechem. Nawet bez jasnyniebieskiej parki był potężny, wyższy od Mercera o głowę, szeroki w barach. Sądząc z rumianej twarzy, był nieco po pięćdziesiątce, ale wyglądał na kogoś, kto dużo czasu spędza w terenie, mógł więc być młodszy.

– Witamy na Islandii. Jestem Igor Bułgarin. Dłoń Mercera utonęła w jego uścisku.

– Dziękuję. Pracuje pan dla Geo-Research?

– Niet. To wszystko są Niemcy. Jestem z Rosyjskiej Akademii Nauk. Jestem jeden Rosjanin na ekspedycji. Reszta mojej grupy jest z Zachodu.

– Wyrzucał z siebie potok słów, jakby bał się, że zaraz mu się skończy.

Kierowca wysiadł z toyoty. Był w wieku Mercera i podobnej budowy. Kwaśny wyraz twarzy wyglądał na jego znak rozpoznawczy. Patrzył badawczo. Mercer założył od razu, że ci dwaj nie pracują razem. Bułgarin był jak podekscytowany szczeniak,

podczas gdy jasnowłosy kierowca wydawał się przesadnie wycofany.

– To Ernst Neuhaus – przedstawił go Igor. – Szef oddziału Geo-Research na Islandii.

– Och, miło mi pana poznać – powiedział Mercer.

– Dobry wieczór, doktorze Mercer – odparł Neuhaus i uściśnął mu krótko dłoń, nie zdejmując rękawiczki. Głos miał ostry, mówił z lekkim akcentem. – Jest pan ostatnim członkiem ekipy Towarzystwa. W zasadzie są już wszyscy poza jedną osobą z grupy Igora.

Mercer spojrział na Rosjanina.

– Jakiś problem?

– Ma dojechać lekarz medycyny. To Niemka, która prowadzi badania nad stresem, ale nie jest z Geo-Research. Miała wypadek i dołączy na Grenlandii.

– Myślałem, że wasza grupa to sami meteorolodzy?

– Niet. Trzech bada plamy słoneczne, ja szukam odłamków meteorytów, a doktor Klein bada nas.

– Jakoś nie miałem okazji zapytać, Igor – wtrącił się Neuhaus.
– Po co jechać na Grenlandię po meteory?

– Meteor nie spada na ziemię. Meteoryt, tak – poprawił go Bułgarin.

– Szukamy na lodowcu z tego powodu, co niedźwiedzie polarne są białe. Białe niedźwiedź, biały lód – nie widać. Czarny meteoryt na białym lodzie – łatwo znaleźć. Meteoryt na pustyni wygląda jak każda skała. Bardzo trudno znaleźć.

Mercer szybko uznał, że lubi Rosjanina. Niezbyt pozytywny odbiór Neuhausa nie miał zaś znaczenia, skoro Niemiec nie płynął na Grenlandię.

– To wy podwieziecie mnie do miasta?

– Da. Reszta czeka na hotelu. Bardzo nudno. Zgłosiłem się pojechać z Ernstem, żeby coś robić.

Bagaż Mercera wylądowały w bagażniku z tyłu furgonetki, a on sam zajął miejsce za Neuhausem.

– Dziwne, że Marty Bishop nie przyjechał mnie odebrać.

– Upija się – zaśmiał się drwiąco Igor. – Wczoraj dowiaduje się, że jego przyjaciel nie jedzie z nim. Kryzys za pięć dwunasta i odwołuje wyjazd. – Chcesz powiedzieć, że będziemy otwierać Camp Decade we trzech? – Mercer uważał, że czwórka to było żałośnie mało, ale bez kumpla Marty'ego robiło się jeszcze gorzej.

– Pan Bishop już się tym zajął – powiedział Neuhaus. – Geo-Research wysłała na lodowiec trzydzieści osób. Umówił się z nami, że w miarę potrzeby użyjemy mu swoich pracowników. No i mamy dość sprzętu i zaopatrzenia na kilka miesięcy, gdybyście potrzebowali czegoś więcej.

– Da. – Igor chrząknął. – Cztery pojazdy śnieżne z przyczepami, land cruiser ze specjalnymi oponami i wiele, wiele budynków do składania jak domek z kart.

– Jak przewieziemy sprzęt do Camp Decade? – zapytał Mercer. – To za dużo dla śmigłowców.

Bułgarin obrócił się w fotelu, żeby na niego spojrzeć. Choć jego uśmiech odsłaniał brakujący ząb, wyrażał niespożytą energię.

– Z doku Ammassalik wszystko będzie przewiezione na lodowiec sterowcem.

Mercer musiał wydać okrzyk zdziwienia, ponieważ Ernst Neuhaus rozwinął temat.

– To duża jednostka transportowa, wypożyczona specjalnie przez Geo-Research. o ile wiem, lata dopiero od kilku miesięcy.

– Możecie mi nie wierzyć, ale coś o niej wiem – powiedział Mercer. – Ma półszkieletowy kadłub, do którego przymocowane są ruchome gondole silnikowe z wirnikami. Mogą się ustawiać poziomo jak w samolotach albo pionowo jak w śmigłowcach. System trochę podobny do V-22 Osprey używanego przez marines.

– Ten typ sterowca to rozwinięcie konstrukcji Franka Pia-seckiego, nieszczęsnego helistatu. Właściciele nazywają go rotorstatem. – Neuhaus wyjechał z lotniska i skręcił na wiodącą do Reykjavíku drogę numer 41. – Przewiezie pojazdy na lodowiec na wysokości Ammassalik, skąd pojedziecie nimi do obozu. Cięższe ładunki i prefabrykowane budynki będą przetransportowane bezpośrednio na miejsce. Kiedy tam dotrzecie, grupa przygotowawcza złoży już jeden barak, w którym będziecie zakwaterowani w czasie budowy pozostałych.

Zdaje się, że to będzie cholernie fajna wycieczka. Mercera zawsze fascynowały sterowce. Były wśród maszyn latających czymś niezwykłym, eleganckim etapem ewolucji. Nowoczesne materiały i komputerowe projektowanie, a także użycie niepalnego helu powodowały renesans tych latających olbrzymów.

Płomyk ekscytacji, którą Mercer odczuwał od przylotu, płonął teraz nieco jaśniej.

– Spójrzcie. – Igor wskazał na drogę po prawej, w kierunku przeciwnym do oceanu bijącego w czarny wulkaniczny brzeg Islandii. – Tędy jedzie się do Błękitnej Laguny. To gorące źródło jest naturalnym spa. Ma lecznicze właściwości. Byłem tam wczoraj z kilkoma Niemcami.

– Woda pochodzi z pobliskiej trzydziestodwumegawatowej elektrowni Svartsengi – wyjaśnił Ernst. – Używają wody podgrzanej przez topniejącą skałę wulkaniczną do produkcji prądu. Jest tak słona jak woda morska, ale zawiera dużo krzemionki, która łagodzi objawy łuszczycy.

– Byłem w dawnej Błękitnej Lagunie – powiedział Mercer. Nad pokrytym porostami polem zastygłej lawy, tuż nad horyzontem, unosiła się biała chmura, para z elektrowni. – Kilka lat temu przyleciałem tu na konferencję. o ile wiem, zbudowali nowe spa, jakieś czterysta metrów od elektrowni.

– Tak, bardzo ładny ośrodek – potwierdził entuzjastycznie Igor. – Musimy tam jutro pojechać, zanim statek odpłynie na Grenlandię.

Mercer pokręcił głową.

– Przykro mi. Mam rano spotkanie. – Nie dodał nic więcej, a jego towarzysze nie naciskali.

Jechali w milczeniu, a pofalowane wzniesienia lawy ustąpiły przedmieściom stolicy. Reykjavik po islandzku znaczy „zadymiona zatoka”. Nazwa pochodzi od pobliskich geologicznie aktywnych szybów. Architektura na obrzeżach miasta była

nowoczesna. W oddali w centrum miasta widniała sześćdziesięciometrowa iglica, która zwieńczyła Hallgrimskirkję, wielki betonowy kościół. Mieszkańcy nazywali go Betonową Katedrą.

Schludne stare miasto leżące nad brzegiem zatoki było plataniną wąskich uliczek, które przecinały się pod przypadkowymi kątami, jakby olbrzym rozrzucił garść słomek. Starsze budynki były w rustykalnym stylu, a nowszym dodano historyczne detale architektoniczne. Ernst Neuhaus zatrzymał się przed hotelem Borg, białym gmachem położonym naprzeciwko niewielkiego parku.

– Dzisiejszy nocleg – oznajmił i poczekał, aż Igor pomoże Mercerowi wyładować torby. – Muszę wracać do biura Geo-Research. Nie mogę was jutro odwiedzić, więc wspaniałej podróży!

Wiejący stale islandzki wiatr ponownie smagnął Mercera, gdy zamknął drzwi furgonetki. Wydawało się, że na Igorze Bułgarinie nie robił najmniejszego wrażenia. Mercer domyślał się, że Igor spędził sporo czasu w klimacie znacznie ostrzejszym niż tutejszy.

– Czy na Grenlandii jest równie nieprzyjemnie? – zapytał.

Wielki Rosjanin roześmiał się, przerzucając sobie jedną torbę przez ramię.

– Wieje tampereq. Wywołuje go grawitacja, jak katabatic na Antarktydzie. Zaczyna się słabą bryzą od południa, a potem jest cisza. Masz jakieś dziesięć minut, żeby się ukryć. Wtedy z północy uderza pitaraq, dwieście czterdzieści kilometrów na godzinę. Dziesięć lat temu człowieka, z którym pracowałem, porwał taki wiatr. Znaleźliśmy go dwadzieścia kilometrów dalej.

Wyglądał, jakby go ciągnęła ciężarówka. Ubranie miał podarte, skórę poranioną.

– Jezu.

– Da. – Widząc przejęcie Mercera, Igor znowu się uśmiechnął. – Pitaraq wieje głównie zimą. Nie tak często o tej porze roku, ale zawsze przygotowany.

Choć zbliżała się dziesiąta wieczorem, wciąż było jasno, ponieważ Reykjavik znajdował się zaledwie dwieście czterdzieści kilometrów na południe od kręgu polarnego. Dla Mercera było cztery godziny wcześniej, ale wiedział, że będzie musiał przyzwyczać się do różnicy czasu. Najlepszym sposobem było usnąć. Odebrał klucz od swojego pokoju w urządzonym w stylu lat trzydziestych lobby, podziękował Igorowi za podwiezienie i pojechał windą na swoje piętro. Z zespołem Towarzystwa Kartografów zamierzał spotkać się przy śniadaniu.

Pokój był niewielki. Okna wychodziły na park. Wiedział, że gorąca woda będzie na Grenlandii luksusem, więc wziął długi prysznic, by spłukać z siebie długi lot. Pomyślał o porannym spotkaniu.

Szukając w Internecie informacji o Camp Decade, natrafił na stary artykuł o rozbitym transportowcu C-97 i poszukiwaniach rozbitek. Przeczytał, że Stefansson Rosmunder, syn jednego z pierwszych zdobywców Everestu, uczestniczył w akcji poszukiwawczej. Ponieważ Rosmunder był wtedy bardzo młody, Mercer pomyślał, że prawdopodobnie jeszcze żyje, i chciał porozmawiać z tym doświadczonym polarnikiem. Większą część poranka w dniu wylotu spędził przy telefonie, usiłując znaleźć

Rosmundera, i w końcu, kilka minut przed przyjściem Harry'ego, dodzwonił się do jego matki.

Jej syn, wyjaśniła, od wielu lat nie żył. Kiedy Mercer powiedział, dokąd się wybiera, pani Rosmunder stwierdziła, że chciałyby się z nim zobaczyć, zanim wypłyną na Grenlandię. Powiedziała mu, że codziennie o wpół do dziesiątej karmi kaczki nad niewielkim jeziorem w centrum Reykjavíku, zwanym Stawem, i poprosiła, by się tam z nią spotkał. Mercer oczywiście się zgodził.

Na wypadek gdyby zaspał, zamówił jedno budzenie na szóstą, a drugie na dziesięć po i padł na łóżko. Nie był zmęczony, a zjedzony na pokładzie posiłek wciąż czuł w żołądku, trudno więc było mu się zrelaksować. Wciąż wracał do rozmowy z Elisebet Rosmunder. Uznał, że to jej głos go niepokoił. Nie słyszał w nim żalu po straconym synu, ale raczej strach.

Mroczne sny sprawiły, że miał niespokojną noc.

Wstał z łóżka pół godziny przed pierwszym budzeniem i się ubrał. Zatoka oddalona była o cztery przecznice, prosto w dół Posthusstreeti, ulicą Poczтовую. Słońce już dawno wzeszło. Przyglądał się pamiątkom w witrynach sklepów dla turystów. Na stołach i półkach piętrzyły się piękne swetry i włóczki. Byłyby idealnym prezentem dla kobiety, ale w tej chwili jedyną kobietą w jego życiu była Fay, żona Dicka Henny, szefa FBI. Mercer przyjaźnił się z Dickiem od czasu kryzysu hawajskiego kilka lat wcześniej, i zdecydował, że kiedy ekspedycja się zakończy, kupi Fay taki sweter.

U wylotu ulicy, równoległe do nabrzeża, w chronionym falochronem wewnętrznym porcie stał statek Geo-Research, „Njoerd”. Przycumowany był do polerów grubymi manilowymi linami. Wiatr wiał z niesłabnącą siłą, szczypał w policzki i wyciskał łzy z oczu. Ośnieżony szczyt Esji po drugiej stronie zatoki wydawał się zrobiony ze złota.

„Njoerd” miał sześćdziesięciometrowy, pomalowany na czerwono kadłub i dużą wysuniętą do przodu nadbudówkę. Z obydwu kominów wydobywały się spirale dymu. Pokład rufowy statku był niemal całkowicie zastawiony sprzętem, który zabierali na Grenlandię. Spomiędzy palet i elementów prefabrykowanych budynków bazy wystawały dachy pojazdów śnieżnych. Suwnica, poruszająca się na szynach wzdłuż całego statku, mogła przewozić ładunek zgodnie z potrzebami, a także dowieźć go na nieprzyjazny brzeg. Za kominami, ale w zasięgu suwnicy, umieszczono dużą motorówkę, którą, jak przypuszczał, używali w charakterze szybkiego promu. Statek miał też niewielkie lądowisko dla helikopterów.

Mercer pomyślał, że gdyby nie nadbudówka, mieszcząca laboratoria i kajuty pasażerów i załogi, „Njoerd” wyglądałby jak statek zaopatrzenia platform wiertniczych. Cieśnina Duńska, oddzielająca Islandię od Grenlandii, miała złą reputację, ale ten statek sprawiał wrażenie, że da sobie radę ze wszystkim.

Przemarznięty wrócił do hotelu Borg. Aromat świeżej kawy i zapachy z bufetu śniadaniowego sprawiły, że pociekła mu ślinka. Jadalnia w kolorze lila wypełniona była ludźmi Geo-Research i członkami pozostałych dwóch zespołów, a ich podekscytowane

głosy wypełniały salę. Mercer zauważył, że niemal wszyscy byli nieogoleni. Domyślał się, że ze względu na swoją pracę pielęgnowali wygląd ludzi gór. Badania za kręgiem polarnym prowadzili specyficzni ludzie. Igor Bułgarin zamachał do niego, kiedy go zobaczył.

– Zawsze się spóźniasz, przyjacielu – przywitał go.

– Przespacerowałem się do portu obejrzeć nasz statek.

– Piękna łódka – powiedział Igor. – Dziób ma wzmocniony, może rozbijać lód do grubości metra. Obawiam się, że zespoły jedzą tylko w swoim towarzystwie. Marty Bishop to tamten przy narożnym stoliku, człowiek obok niego jest też z Towarzystwa Kartograficznego.

– Chyba powinienem się do nich przysiąść.

– Za kilka minut jadą do Błękitnej Laguny. Pewien, że nie jedziesz?

– Tak, jestem pewien. Ale wielkie dzięki za zaproszenie.

– Żadnej sprawy. Do zobaczenia w południe na „Njoerdzie”.

Mercer ułożył na talerzu jajka, wędzonego łososia i słodkie bułeczki i podszedł do stolika Towarzystwa. Jeden z mężczyzn spojrzał na niego podejrzliwie, po czym wstał. Miał około pięćdziesiątki, był niski. Miał wygląd kogoś, kto większość czasu spędza za biurkiem. Siwe włosy przerzedziły mu się na czubku głowy. Jedyne przystrzyżone wąsy, o kilka tonów ciemniejsze od włosów, nadawały jego twarzy jakiś charakter. Patrząc na niego, Mercer zastanawiał się, czy przyjechał tu z własnej woli, czy dlatego, że ojciec na niego naciskał.

– Marty Bishop. Miło mi pana poznać. – Podali sobie ręce. Dłonie Bishopa były delikatne jak u księgowego. – Charlie Bryce mówi, że ma pan niesamowitą reputację.

– Przesadza. Dobrze należeć do pana zespołu – powiedział Mercer, celowo zajmując pozycję podwładnego.

Bishop skinął głową zadowolony, że Mercer wie, kto tu jest szefem.

– Cieszę się, że jest pan z nami. – Wskazał mężczyznę, który siedział z nim przy stole. Był w wieku Bishopa, ale miał surowy wygląd. – Ira Lasko, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych.

– W stanie spoczynku – wyjaśnił Lasko.

Chwył miał jak niedźwiedz. Mercer podejrzewał, że nigdy nie pracował w biurze. Jego dłonie były szorstkie, pokryte bliznami. To były dłonie robotnika. Był chudy i żyłasty, miał jakiś metr siedemdziesiąt centymetrów. Rękawy flanelowej koszuli nosił podwinięte i choć ramiona miał szczupłe, pod skórą rysowały się mięśnie. Golił głowę na łyso, ale tuż nad uszami widać było cień zarostu. Oczy były koloru brązowego.

– Jak rozumiem, mamy o jednego człowieka mniej – zagaił Mercer, siadając do stołu.

– Jima Kneelanda – westchnął Marty. – Miał wziąć wolne z Gwardii Narodowej, ale wezwali go. To dla nas kłopot. Prosiłem ojca o przesunięcie poszukiwań, ale się nie zgodził. – Wzruszył ramionami. – Zważywszy na stan jego zdrowia, nie dziwię się.

– Charlie mówił, że jeździ na wózku.

– Leży teraz w szpitalnym łóżku w swoim domu. Rak. Lekarze dają mu nie więcej niż pół roku.

– Otwarcie Camp Decade wiele dla niego znaczy?

– Rzadko wspominał o swojej służbie w Siłach Powietrznych, aż do zeszłego roku. Nagle mówił już tylko o tym. Kiedy zapytał, czy chciałbym tu przyjechać i sfilmować tamto miejsce, nie mogłem mu odmówić.

– Robisz dla niego cholernie ważną rzecz – powiedział Ira z powagą. Mercer skinął głową.

Wyglądało na to, że Marty nie myślał, jak to wygląda dla kogoś z zewnątrz. Uśmiechnął się.

– Tak – przytaknął bez pychy. – Pewnie tak. Przynajmniej wrywam się z biura, i może się okazać, że będzie fajnie.

– Jakoś nikt mi nie powiedział, czy pan też jest członkiem Towarzystwa Kartografów? – zapytał Irę Mercer.

– Nie, ale pracowałem trochę dla Charlesa Bryce'a i to on zarekomendował mnie Marty'emu.

– A czym się pan zajmuje?

– Szkoliłem smarkaczy, jak się ratować w razie wypadku na okrętach podwodnych. Teraz prowadzę warsztat przy stacji dla tirów. Moim zadaniem podczas wyprawy jest dbanie o sprzęt. Charlie mówił nam, czym się zajmujesz. Po jaką cholere mieszkaś w takim szambie jak Waszyngton?

Mercer wybuchnął śmiechem.

– Po skończeniu szkoły górniczej w Kolorado zacząłem pracować dla Agencji Geologii. Nawet podobało mi się w dystrykcie Kolumbia, więc kiedy zacząłem działać na własną rękę,

po prostu tam zostałem. Do pracy potrzebuję tylko komputera i lotniska w pobliżu. Poznaliście już kogoś z ekipy Geo-Research?

Ira pochylił się nad stołem i powiedział cicho:

– Kieruje nimi prawdziwy dupek, Werner Koenig. Ma skrzynkę dyplomów i naprawdę zadziera nosa. Bryce mówił ci, jak duński rząd zmusił Koeniga, żeby zabrał nas ze sobą i przesunął swoją bazę zgodnie z naszymi potrzebami, więc możesz sobie wyobrazić, że nie bardzo nas lubi.

– Jego zastępczynią jest Greta Schmidt – dodał Marty ze złośliwym uśmiechem. – W kategorii nordyckich królowych lodu naprawdę wystrzałowa. Siedzą cztery stoliki dalej, obok baru.

Mercer się odwrócił. Gretę Schmidt łatwo było zauważyć. Nachyliła się nad stołem, podając komuś plik dokumentów. Platynowe włosy opadały jej do ramion. Widział tylko fragment jej twarzy, ale rzeczywiście odniósł wrażenie, że jest piękna. Koenig siedział obok niej. Rozmawiał z trzecią osobą, stukając dłonią w stół dla podkreślenia tego, co mówił. Był urodzonym przywódcą, co Mercer wyczuwał nawet z takiej odległości. Jego twarz, częściowo zakryta ciemną brodą, była ogorzala jak stara wyprawiona skóra, ale nie mógł mieć dużo więcej niż czterdzieści lat. Jego oczy miały odcień zimnego błękitu, jak wypolerowany akwamaryn.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział Bishop, błędnie odczytując zainteresowanie Mercera. – Próbowałem ją zagadać przedwczoraj. Zimna jak góra lodowa.

Mercer powstrzymał chichot. Ubóstwiał to, jak mężczyźni tacy jak Marty Bishop natychmiast zakładali, że kobieta jest zimna, jeśli nie odwzajemniała ich zainteresowania. Na serdecznym palcu Marty'ego zobaczył ślad po obrączce. Otwarcie bazy dla ojca nie było jedynym wyczynem, jaki miał w planach Bishop.

Przegadali całe śniadanie. Narodziła się między nimi więź, która będzie ich łączyć przez nadchodzące tygodnie. Chociaż cała ekipa liczyła czterdzieści osób, Mercer wiedział z doświadczenia, że relacje w grupie psują się, kiedy ludzie się izolują. Nie obawiał się o siebie ani o Irę Lasko – odcięcie od świata nie było dla podwodniaka niczym nowym. Bał się o Marty'ego. Choć charakter trudno poznać po wyglądzie, czuł, że Bishop podszyty jest jakąś słabością. Podejrzewał, że jego ojciec też to widział, i w wyprawie chodziło bardziej o to, żeby syn odnalazł w sobie to, czego mu brakowało, niż o obfotografowanie dawno zamkniętej bazy lotniczej.

Posiłek skończył się około dziewiątej. Wszyscy poszli do swoich pokojów spakować się przed rejssem. Mercer nie był pewien, ile zajmie mu rozmowa z Elisebet Rosmunder, więc poprosił Irę Lasko o dopilnowanie, by jego bagaż znalazł się na pokładzie „Njoerda”.

Stał przed hotelem, sprawdzając drogę na mapie, kiedy ktoś go zawołał.

– Czy pan należy do zespołu Towarzystwa Kartografów? – Głos był chrapliwy i z silnym niemieckim akcentem. Nie musiał jej widzieć, żeby wiedzieć, że to Greta Schmidt.

– Tak. – Mercer odwrócił się i podszedł do niej. Była dokładnie jego wzrostu i niemal równie szeroka w ramionach. Zaczesała włosy do tyłu, odsłaniając ponad szeroko rozstawionymi oczami czoło z linią włosów w kształcie „v”. Zwrócił uwagę, że używała zbyt dużo szminki, co sprawiało wrażenie, że spuchły jej wargi. Nie była tak atrakcyjna, jak na pierwszy rzut oka się wydawało. Chodziło o oczy. Brakowało im głębi, jakby za fasadą była pustka. – Nazywam się Philip Mercer.

– Jestem Greta Schmidt – przedstawiła się oficjalnym tonem, ale nie wyciągnęła ręki w jego stronę. – Nie zamierzam tolerować takich spojrzeń jak dziś przy śniadaniu. Ma pan równie złe maniery jak Bishop.

Mercer przyjął oskarżenie jak niesłusznie wymierzony policzek. Podobnie jak większość mężczyzn zdarzało mu się być przyłapanym na wpatrywaniu się w kobiety. Nigdy jednak, w przeciwieństwie do Marty’ego Bishopa, nie przekraczał granicy między podziwem a uprzedmiotowieniem. Co się tyczyło zaś Greta Schmidt, ani jej nie podziwiał, ani nie traktował przedmiotowo.

– Źle zrozumiała pani moje zainteresowanie, panno Schmidt. Chwilę wcześniej zapytałem Marty’ego Bishopa, kto kieruje grupą Geo-Research. Chciałem się upewnić, że moje życie nie jest w rękach kogoś niekompetentnego.

Jej spojrzenie jeszcze stwardniało. Mercer był przekonany, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć miała rację co do tego, co myśleli ludzie patrzący na nią, i rozumiał jej gniew. Niepokoilo go, że czerpała przyjemność z tego gniewu, wydawała się

potrzebować go. Po jej minie widział, że lubi to, że atrakcyjny wygląd daje jej władzę nad mężczyznami.

– Czy jesteśmy według pana – zapytała ostrym tonem – kompetentni?

– Nie oceniam ludzi po pierwszym spojrzeniu – zripostował Mercer. – Ale po obejrzeniu waszego statku czuję się z Geo-Research bezpieczny.

Greta Schmidt wpatrywała się w niego przez chwilę z nieodgadniętym wyrazem twarzy, po czym wróciła do hotelu, a Mercer do swojej mapy. Nie zamierzał robić sobie wrogów tak szybko, ale też nie uczynił niczego, co uzasadniałoby tę konfrontację.

Tjorn, czyli Staw, znajdował się tylko kilka przecznic za hotelem Borg, zasłonięty przed wzrokiem Mercera budynkiem ratusza. Z trzech stron otaczały go budynki, a trzysta metrów od wyłożonego kamieniami brzegu przecinał most. Na falach stawu unosiły się kaczki i gęsi. Najwyraźniej było to ulubione miejsce starszków, którzy karmili ptaki, i matek z dziećmi.

Wpatrując się w tłum, zauważył kilka osób, które mogły być Elisebet Rosmunder, ale tylko jedna zwróciła na niego uwagę. Była drobną kobietą, owiniętą w długi, bury płaszcz i z wełnianą czapką zakrywającą włosy. Siedziała na ławce przy samym brzegu, a stadko czekało, aż rzuci im chleb. Miała skandynawską urodę jak większość tutejszych – ostre rysy i zdrową, choć pokrytą zmarszczkami cerę. Oczy miała równie wyraziste i błękitne jak Harty White. Mercer zgadywał, że byli też mniej więcej w tym samym wieku.

– Pani Rosmunder? – zapytał, gdy podszedł bliżej. U jej stóp leżało trochę niezjedzonych przez ptaki okruchów.

– Tak, to ja – powiedziała starsza pani i wskazała mu miejsce obok siebie. – To pan zadzwonił do mnie wczoraj? Doktor Mercer?

– Tak, Philip Mercer. Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać.

– Doktorze Mercer, to ja nalegałam na to spotkanie – przypomniawszy mu doskonałym angielskim.

Mercer nie przypominał sobie, żeby wymieniał swój tytuł naukowy, ale nie był pewien.

– To prawda. Stwierdziła pani, że chce mi powiedzieć coś ważnego.

– Zgadza się. – Tym razem nie było w niej strachu jak podczas rozmowy telefonicznej. Wydawało się niemal, że odczuwała ulgę. – Mam też coś, co chciałabym panu pokazać.

Mercer czekał w milczeniu, aż rzuci do wody garść okruszków. Dwie kaczki pokłóciły się o chleb i pani Rosmunder zganiła je po islandzku.

– Czy pan pracuje dla swojego rządu, doktorze Mercer?

– Nie, proszę pani. Jak już mówiłem przez telefon, jestem członkiem ekspedycji naukowej na Grenlandię. Robiłem rozpoznanie przed podróżą i natrafiłem na historię rozbitego samolotu i udziału pani syna w poszukiwaniach załogi. Ponieważ to się zdarzyło niedaleko miejsca, w które jadę, pomyślałem, że mógłbym z nim porozmawiać o warunkach tam panujących.

– Wschodnie wybrzeże Grenlandii pozostaje dla większości ludzi tajemnicą. Jest tam tylko kilka inuickich osiedli dotowanych przez Duńczyków. Tam, gdzie Stefansson szukał roztrzęsanego samolotu, nawet Inuici się nie zapuszczają. Mądrze pan robi, chcąc porozmawiać z kimś, kto tam był.

Mercer nic nie odpowiedział.

– W połowie sierpnia 1953 roku, nie pamiętam dokładnej daty, do mojego męża zadzwonili amerykańscy wojskowi z bazy Sił Powietrznych w Keflavik. Powiedzieli mu o katastrofie i o tym, że potrzebują do pomocy w poszukiwaniach przewodników, którzy znają Grenlandię. Stefan wrócił dopiero z kolejnej nieudanej wyprawy na Everest i nie był w stanie podołać tak ciężkiemu zadaniu. Jednak nasz syn, który miał wówczas dwadzieścia lat, ale doświadczeniem polarnym prawie dorównywał swojemu ojcu, zgodził się pojechać. Pański rząd oferował niewyobrażalne pieniądze.

– Stefanssona nie było dwa tygodnie – ciągnęła. – Jak pan zapewne wie z artykułu, nie udało im się znaleźć samolotu ani jego załogi, choć szukali psimi zaprzęgami, pieszo, z samolotów.

– Czy dotarli przypadkiem do miejsca zwanego Camp Decade? Spojrzała na niego przenikliwie.

– Słyszał pan o Camp Decade?

– Jednym z zadań mojej misji jest dotarcie do bazy – powiedział Mercer, przeczuwając, że ta wiadomość jej nie ucieszy.

– Wie pan, czemu miała służyć ta baza, tak?

– To było eksperymentalne miasteczko pod lodem. Chcieli sprawdzić, czy w takim miejscu dałoby się mieszkać.

Pokręciła głową, jakby dał nieprawidłową odpowiedź.

– Dlaczego pański rząd miałby chcieć coś takiego sprawdzać?

Czy zadał pan sobie to pytanie?

Mercer musiał przyznać, że nie, co mu się nie zdarzało.

– Wie pani, po co to było?

– Nie. Ale chcę coś panu pokazać. – Nie zrobiła żadnego ruchu. Zamarła, a jej myśli odpląły gdzieś, zapewne do zmarłego syna. W końcu się odezwała. – Ekipa poszukiwawcza nie mogła zbliżyć się do Camp Decade. Nie mieli nawet wiedzieć, że się tam znajduje, choć raz nad nim przelecieli. Stefansson mówił mi, że zapytał o ten obiekt, i usłyszał od wojskowego pilota, że ten niczego nie widział.

– To było apogeum zimnej wojny. – Mercer odczuwał przymus wyjaśnienia paranoicznego zachowania swojego państwa. – Mój rząd uważał, że wszystko powinno być utajnione. Patrząc na to teraz, wiele z tego, co robili, wydaje się komiczne.

Pani Rosmunder się skrzywiła. Mercer nie był pewien, co powiedział, że wywołał taką reakcję. Sięgnęła do torebki i wyjęła skórzany portfel. Ze środka wysunęła dwie czarnobiałe fotografie. Podała mu jedną. Przedstawiała przystojnego chłopaka w grubym swetrze z golfem, z twarzą okoloną blond lokami. Uśmiechał się w stronę obiektywu z młodzieńczą pewnością siebie.

– To Stefansson na dwa miesiące przed wyprawą na Grenlandię – poinformowała go Elisebet Rosmunder, po czym zabrała mu zdjęcie, wpatrzyła się w nie chwilę i podała drugie.

Widniała na nim leżąca na łóżku skrajnie wychudzona postać, przykryta po szyję, tak że Mercer widział tylko olbrzymią głowę. Łopatki tworzyły pod narzutą ostre wzgórki. Cokolwiek wyniszczyło tego człowieka, sprawiło, że z jego twarzy nie dało się rozpoznać płci. Oczy i policzki miał zapadnięte, a na czaszce zostało tylko kilka włosów. Skóra pokryta była ciemnymi wybroczynami. Mercerowi przypominało to zdjęcia ofiar Holokaustu.

Pani Rosmunder wyciągnęła rękę po fotografię. Tym razem nawet nie rzuciła na nią okiem przed włożeniem do portfela. Mercer czekał w milczeniu na wyjaśnienia.

– Tak wyglądał Stefansson pół roku po powrocie. Zmarł kilka dni po tym, jak pielęgniarka zrobiła mu to zdjęcie. Nie chciałam, żeby cokolwiek przypominało mi o tym, co mu się stało, ale cieszę się, że jednak mi je dała. – Oczy wypełniły się jej łzami, mówiła ze ściśniętym gardłem. – Lekarze powiedzieli mi, że to nowotwór, bardzo złośliwy nowotwór, który trawił go już od dłuższego czasu, ale ujawnił się dopiero w tych ostatnich miesiącach.

– Nie wierzy pani w to? – zapytał Mercer najłagodniej, jak potrafił.

– Z pewnością chodziło o nowotwór. Ale nigdy nie wierzyłam, że chorował, zanim ruszył na poszukiwania tego samolotu.

Mówiła z absolutnym przekonaniem, ale Mercer musiał pomyśleć, że oszukiwała się, przypisując śmierć syna czemuś innemu niż okrutny los. Gazety pełne są historii o zdrowych ludziach, którzy umierali na raka, niemal do końca nie odczuwając

żadnych objawów. Właśnie dlatego, i z wielu innych powodów, ta choroba przeraża wszystkich najbardziej.

Elisabet Rosmunder odwróciła się do niego i wzięła jego dłoń w swoje ptasie palce.

– Doktorze Mercer, nie musi mi pan wierzyć. Dawno temu zaprzestałam prób przekonania ludzi, że na Grenlandii jest coś, co zabiło Stefanssona. Mój rząd nigdy tego nie zbadał, wasi wojskowi nigdy tego nie zbadali, a ja nigdy bym nie pozwoliła swojemu mężowi pojechać tam i szukać na własną rękę. Jestem przekonana, że mój syn miał kontakt z jakąś toksyną lub promieniowaniem, które wywołały u niego błyskawicznie rozwijający się nowotwór. Uważam, że ma to coś wspólnego z Camp Decade. – Ścisnęła dłoń Mercera, powstrzymując go przed zadaniem pytania cisnącego się mu na usta. – Nie mam dowodów. I o ile mi wiadomo, żaden ze stacjonujących tam Amerykanów nie zachorował tak jak Stefansson. Chciałam tylko podzielić się z panem obawami starej kobiety, która straciła syna, dlatego że był w tym samym miejscu, do którego pan się wybiera. Dla spokoju sumienia musiałam ostrzec pana i pana zespół.

Rzuciła kaczkom kolejną garść chleba.

Mercer wiedział, że nie miała mu już nic więcej do powiedzenia. Wstał.

– Pani Rosmunder, bardzo dziękuję, że mi pani o tym powiedziała. Dała mi pani do myślenia.

Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się blado.

– Jest pan o wiele starszy od Stefanssona, kiedy umarł, a jednak bardzo mi go pan przypomina. Nie chodzi o pana wygląd.

Oczywiście, pan jest równie przystojny jak on, ale mam na myśli pański charakter. Jest pan tak samo pewien swoich umiejętności jak mój syn. – Mercer zaprzeczył nieznacznym gestem. – To prawda. Tyle że żadne umiejętności nie mogły uratować mojego syna. Ale prawda być może tak. Chciałam, żeby pan poznał prawdę albo przynajmniej tę jej część, którą znam.

Mercer ujął jej dłoń.

– Bardzo pani współczuję.

Kiedy odwrócił się już, zatrzymała go ostatnią uwagą.

– Doktorze Mercer, trzy miesiące po katastrofie samolotu i nieudanych poszukiwaniach Camp Decade został porzucony. Pańska armia nie rozmontowała bazy. Zostawili ją na Grenlandii, żeby przykrył ją śnieg i lód. Nigdy nie podano powodów tej decyzji. Uważam, że błędem jest powrót do tego miejsca.

Mercer rozumiał już teraz, dlaczego słyszał w jej głosie strach, gdy rozmawiał z nią przez telefon. Zostawił Elisebet Rosmunder jej wspomnieniom i kaczkom, sam wstrząśnięty bardziej, niż byłby skłonny przyznać. Idąc w stronę hotelu, czuł znany mu aż za dobrze niepokój. Jej historia miała coś w sobie, nawet jeśli nie była poparta dowodami.

Biorąc pod uwagę czasy, w jakich to się działo, Mercer nie miał wątpliwości, że rząd mógł przeprowadzać w Camp Decade jakieś eksperymenty. Tak odosobnione miejsce byłoby idealne do testowania broni chemicznej czy biologicznej. Choć baza zasilana była przez niewielki reaktor, odrzucał teorię testów nuklearnych czy wypadku z promieniowaniem, bo nawet słaby wybuch jądrowy zostałby zarejestrowany przez sejsmografy.

Pomyślał też, że nawet jeśli coś wydostało się na zewnątrz, okolica Camp Decade jest już bezpieczna dzięki działaniu czasu i żywiołów; w przeciwnym razie Towarzystwo Kartografów nie dostałoby od wojska pozwolenia na otwarcie bazy.

Mercer spojrział na zegarek. „Njoerd” odpływał za godzinę, zdąży jeszcze załatwić dwie sprawy, o ile się pośpieszy. Poszedł do sklepu monopolowego. Pomimo prohibicji zarządzonej przez Geo-Research w bazie na Grenlandii Mercer kupił w sklepie bezcłowym butelkę brandy. Jeśli miał spędzić tam trzy tygodnie, potrzebował jeszcze co najmniej jednej. Druga sprawa wynikała z podejrzeń pani Rosmunder i jego własnych. Mercer zrobił karierę, bo podejmował ryzyko i nie przeszkadzało mu to, o ile miał czas, by zwiększyć swoje szanse. Tym razem był na tyle zaniepokojony, że tę sprawę załatwił jeszcze przed zakupami w sklepie alkoholowym. Zarówno Harry White i każdy, kto znał Mercera, zdziwiłby się, wiedząc, co zrobił.

HAMBURG, NIEMCY

Klaus Raeder siedział w sali konferencyjnej w nienaturalnym bezruchu. Oddychał płytko, mrugał rzadko. Jednak kiedy zadzwonił stojący przy jego łokciu telefon, wykonał dłonią zgrabny ruch, by podnieść słuchawkę – zupełnie jakby wyłączał się pomiędzy połączeniami. Siedział nieruchomo od ponad godziny.

– Tak, Kara?

– Członkowie rady już są, Herr Raeder. Czy mam ich wprowadzić?

– Proszę. – Raeder wcisnął jeden z guzików konsoli, wbudowanej w stół konferencyjny z jasnego drewna, i na olbrzymie okna spuścił ciężkie kotary.

Sekretarka otworzyła drzwi i odsunęła się, by wpuścić sześciu członków rady, do których Raeder dzwonił tego popołudnia. Nie zwracał na nich uwagi, kiedy zajmowali miejsca.

– Kara, czy Gunther Rath już wrócił?

– Przyleciał z Paryża mniej więcej godzinę temu.

– Przekaż mu, że chcę się z nim widzieć po tym spotkaniu.

– Tak, proszę pana.

Sekretarka zamknęła za sobą drzwi, a Raeder odwrócił głowę, żeby spojrzeć na swoich gości. Na drugim końcu stołu siedział Konrad Ebelhardt, siedemdziesięcioletni przewodniczący rady. Obok niego – Anna Kohl, córka i jedyna żyjąca krewna założyciela firmy, Volkera Kohla, który patrzył na zebranych z portretu wiszącego za plecami Ebelhardta. Pozostali nie obchodzili Raedera. Oczywiście, byli bogaci i wpływowi, ale robili, co kazali im Konrad i Anna.

– Witam, panowie, witam, Anno.

– Jak się miewasz, Klaus? – zapytała Anna Kohl. – Jak się mają Eva i dzieci?

– Są na wakacjach w domu na wsi, w Bawarii. – W jego głosie zabrzmiała nutka tęsknoty. – Chłopcy już nie mogli się doczekać.

– Dołączysz do nich? – dopytywała.

– Zamierzam wpaść na weekend za tydzień czy dwa. – Nalał sobie wody z karafki i wziął długi łyk, żeby zniechęcić ją do zadawania kolejnych osobistych pytań.

Raeder splótł dłonie przed sobą, czekając, aż Anna wypyta pozostałych o ich życie. Nie dawał się nabrać na jej zainteresowanie. Anna Kohl była tak samo twarda jak każdy ze zgromadzonych mężczyzn, być może z wyjątkiem samego Raedera. Nie obchodzili jej pozostali członkowie rady. Stara panna nie miała na świecie niczego poza firmą mającą w nazwie jej nazwisko.

– Widziałem prognozy na ten kwartał – zaczął Konrad Ebelhardt, ucinając pogaduszki. Miał szerokie ramiona, duży brzuch i niekształtną głowę. Mówił jak pruski oficer. – Z tak małymi rezerwami kapitałowymi nie powinniśmy wiązać wszystkich

nadziei z kontraktem na dostawę awioniki do eurofightera. Jeśli to nie wyjdzie, będziemy mieć duże kłopoty.

– Dopiero za miesiąc zostanie ogłoszona decyzja, kto dostarczy komputery nowej generacji do eurofightera, ale jesteśmy pewni, że będzie to dział elektroniki Kohl AG – oznajmił Raeder w taki sposób, że Ebelhardt wiedział, że nie należy zadawać kolejnych pytań. Członkowie rady woleli nie wiedzieć, co zrobił prezes, żeby dostać wielomiliardowy kontrakt.

– Czy to znaczy, że możemy zapomnieć o Francuzach próbujących przebić naszą cenę? – zapytał Reinhardt Wurmbach, szef działu prawnego firmy.

– Ich oferta jest o trzydzieści procent wyższa od naszej – powiedział Raeder. – Zamierzam podwyższyć naszą cenę, żeby zmniejszyć tę lukę do dziesięciu procent. I tak dostaniemy kontrakt, a wyciśniemy z NATO dodatkowych dwieście milionów.

– Czy za tę informację powinniśmy podziękować Herr Rathowi, który specjalnie pojechał do Paryża?

Raeder uśmiechnął się kącikiem ust, wiedząc, że tego od niego oczekują.

– Poznaliśmy francuską ofertę głównie dzięki mojemu dyrektorowi do spraw projektów specjalnych.

– Nie zrobił nic rażąco niezgodnego z prawem, mam nadzieję. – Prawnik próbował obrócić szpiegostwo przemysłowe w żart.

Prezes nie odpowiedział. W trosce o kondycję finansową firmy nie cofał się prawie przed niczym i nie zamierzał żartować na temat swoich metod działania. Na chwilę zapadła niezręczna cisza. Wurmbach zdjął okulary, żeby uniknąć spojrzenia Raedera,

ale nie potrafił ukryć swojej niechęci do człowieka, którego prasa ekonomiczna nazywała Uberkind. Superchłopcem.

Kiedy półtora roku temu poprzedni prezes Kohl AG ogłosił, że odchodzi na emeryturę, Reinhardt Wurmbach starał się jak mógł, by zostać jego następcą. To miała być jego nagroda za dwadzieścia siedem lat lojalności. A jednak Anna i Konrad pominęli go, wybierając Raedera, człowieka z zewnątrz, który zgromadził fortunę, skupując niewielkie firmy z byłych Niemiec Wschodnich i w krótkim czasie sprawiając, że stawały się rentowne. Wurmbach jeszcze nie pogodził się z tym, że jest podwładnym tego przystojnego, czterdziestoletniego intruza. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że pod rządami Raedera Kohl AG osiągnęła wzrost zapewniający jej miejsce wśród pięćdziesięciu największych europejskich firm. – Wiecie dobrze, dlaczego chciałem się dziś z wami spotkać – zagaił Raeder, by przerwać milczenie. Sześcioro obecnych stanowiło większość rady i sześćdziesiąt procent kapitału akcyjnego. Ta grupa była jednoznaczna z Kohl AG. – Zdajecie sobie sprawę, że jesteśmy największą niemiecką firmą, która zdecydowała się współpracować z komisją rekuncyliacji, dążącą do wypłacenia odszkodowań ocalonym z Holokaustu i ich bliskim. Wiecie też, że narasta presja, by firma ujawniła dokumentację swojej działalności z czasów wojny. Przez to, że tak długo zwlekaliśmy, opinia publiczna, z początku neutralna, odwróciła się od nas i naszych produktów. Nasze przekonanie o konieczności zachowania tajności nieoczekiwanie zaszkodziło naszej reputacji. Pomimo zwiększenia nakładów na reklamę i marketing o połowę spada sprzedaż w zasadzie każde-

go działu, a zwłaszcza budownictwa. Nikt nie chce podpisywać z nami kontraktów, dopóki nie odetniemy się od działalności w czasie wojny.

– Odmowa współpracy z komisją rekonyliacji była twoim pomysłem – przypomniał Wurmbach, a pozostali skinęli głowami. – Straty to twoja wina.

Wybuch Wurmbacha nie zrobił na Raederze żadnego wrażenia.

– I nadal sądzę, że to właściwa decyzja. Nie narażę firmy na procesy grożące koniecznością wypłacenia miliardowych odszkodowań, dopóki nie będę miał pewności, że wiem wszystko o działalności firmy przed wojną i podczas wojny. Dlatego potrzebuję więcej czasu, by przestudiować archiwa.

– To pewne, że będziemy musieli coś zapłacić – stwierdził Wurmbach.

– Przed wojną Kohl AG była tylko małą hutą stali z mniej niż setką pracowników. Nasz rozwój zawdzięczamy w całości wojskowym i rządowym zamówieniom od nazistów. Zarobiliśmy na cudzej krwi dokładnie tak jak Siemens, IG Farben, Volkswagen i wszystkie inne.

– A po zakończeniu wojny nasze zakłady legły w gruzach, a maszyny były kupą złomu – odparł spokojnie Raeder. – Zyski z wojny wyrównały się ze stratami. Wiele osób uważa, pomimo dowodów na to, że tak nie jest, że jesteśmy tą samą firmą co przed wojną i że musimy ponieść odpowiedzialność. Musiałem znać skalę naszych grzechów, a zatem i odpowiedzialności cywilnej. Wrzucić kilkaset milionów do wspólnej kasy to zupełnie co

innego niż zmierzyć się z niekończącymi się indywidualnymi procesami i miliardami euro odszkodowań. – Spojrzał na Ebelhardta i Annę. – To przede wszystkim moje umiejętności zarządzania ryzykiem zdecydowały o tym, że mnie zatrudniliście. Wiedzieliście, że nadchodzi dzień rozliczeń, i potrzebowaliście mnie, żebym was chronił.

Anna nie próbowała zaprzeczać.

– Pytanie brzmi, czy potrafisz nas ochronić?

– Tak. – Raeder zauważył, że Anna oddycha z ulgą. – W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy opracowałem strategię, która zminimalizuje kwotę, jaką będziemy musieli zapłacić. Obliczyłem, że wypłata dwustu milionów nie zakłóci długofalowego wzrostu, a przekona komisję, że jesteśmy skłonni współpracować.

Wokół stołu przetoczyła się fala pomruków i westchnień.

– Uzyskałem tę kwotę po wielu wyczerpujących analizach. – Raeder przeciął głosy niezgody. – To absolutne minimum, jakim możemy się wykpić.

– Czy przygotowałeś dokumenty, które będziemy im mogli przekazać, żeby potwierdzić tę sumę? – zapytał Konrad Ebelhardt.

– Wszystko jest gotowe. Kazałem Guntherowi Rathowi i jego ludziom zebrać sto tysięcy stron korespondencji, dowodów przewozu i podobnych papierów. To wszystko oryginalne dokumenty, choć odpowiednio przygotowane, aby komisja orzekła, że mamy wypłacić ćwierć miliarda reparacji.

– Przed chwilą powiedziałeś dwieście milionów.

– Wynegocjujemy obniżkę do takiej sumy, kiedy już ogłoszą wnioski. Gdybyśmy tego nie zrobili, staliby się podejrzliwi.

– Jak wiele z naszej działalności w czasie wojny ukrywamy przed komisją? – zapytała Anna.

– Tak naprawdę niewiele. Kohl AG z pewnością korzystała z pracy robotników przymusowych w kilku swoich zakładach, ale nie było to tak powszechne jak w innych firmach. Gdyby niejeden szczególny projekt, nie miałbym oporów, żeby ujawnić komisji wszystko. – Raeder zauważył błyskawiczną wymianę spojrzeń między Konradem a Anną. Mógł nawet odczytać z ruchu jej warg jedno słowo, które wypowiedziała: „Pandora”.

Zamilkł, czekając, czy Konrad poprosi pozostałych członków rady, by wyszli. Nie zdziwił się, kiedy przewodniczący tak właśnie zrobił.

– Panowie – powiedział Ebelhardt – czy moglibyście nas zostawić samych na kilka minut? Anna i ja musimy porozmawiać z Klausem na osobności.

Wurmbach posłał Raederowi mordercze spojrzenie. Kiedy już wyszli, pierwsza odezwała się Anna.

– Mój ojciec zadbał, żebym nie wiedziała nic o projekcie „Pandora”, Klaus, i proszę cię, żebyś wyświadczył mi tę samą przysługę. Proszę, nie mów w mojej obecności o faktach.

– Nie mogę uwierzyć, że Volker pozostawił dokumenty dotyczące „Pandory”. – Twarz Ebelhardta była czerwona z wściekłości. – Cholerny głupiec.

– Konrad! Mówisz o moim ojcu.

– Anno, czytałem o tym projekcie tylko w ogólnym zarysie – stwierdził Raeder, starając się, by po jego głosie Anna i Konrad nie zorientowali się, jaki jest przerażony. – Ale nawet to było szokujące. Muszę przyznać rację Konradowi. Te materiały powinny były zostać zniszczone wiele lat temu. Boże, w ogóle nie powinny były powstać.

– Nie możemy naprawić błędów przeszłości. – Ebelhardt wbił świdrujący wzrok w Raedera.

– Ale możemy je pogrzebać. – Raeder pozwolił, by jego ostatnie zdanie zawisło w powietrzu. – Wszystkie dokumenty łączące Kohl AG z „Pandorą” zostały spalone, ale nie sądzę, żeby to wystarczyło.

– Co proponujesz?

– Podjąłem działania w celu zniszczenia miejsca, gdzie projekt był realizowany, i zniszczenie dowodów.

– Skąd wiesz, że wracając do... – Ebelhardt spojrział na Annę – że wracając tam, sami nie zdradzimy tajemnicy? Projekt był realizowany na takim odludziu, że tajemnica nie wyszła na jaw przez ponad sześćdziesiąt lat.

– Zarządzanie ryzykiem. To, że spaliliśmy nasze dokumenty, nie oznacza jeszcze, że gdzieś nie istnieje pamiętnik czy dziennik kogoś, kto brał udział w „Pandorze”. Może teraz leżeć na jakimś zatęchłym strychu, tykając niczym bomba z opóźnionym zapłonem. Weterani wojenni mają teraz po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat. Nie możemy ryzykować, że krewni odkryją zapiski z projektu, przeglądając rzeczy swoich ojców i dziadków. Ukrywając „Pandorę” przed komisją rekonyliacji, musimy

dopilnować, żeby nie pozostało nic, co potwierdzi tę historię, nawet gdyby taki pamiętnik został odnaleziony. Niszcząc miejsce, niszczymy wszystkie weryfikowalne powiązania z naszą firmą.

Konrad nie wyglądał na przekonanego.

– Zamierzamy skłamać przed komisją rekoncylacji, żeby ukryć straszliwą zbrodnię, i musimy zadbać, by kłamstwo nigdy nie wyszło na jaw. Jeśli świat dowie się o projekcie „Pandora” i naszym w niej udziale, bankructwo będzie najmniejszym z naszych zmartwień. Będą mieli pełne prawo postawić nas przed sądem.

Anna odetchnęła głęboko.

– Czy jest aż taki straszny? Mam na myśli projekt „Pandora”.

– Jest gorszy, niż możesz sobie wyobrazić. – Konrad położył dłoń na jej ręce.

– Mogę sprawić, żeby to się udało – oświadczył Raeder. – Muszę. Przy dzisiejszych nastrojach bylibyśmy zmuszeni wypłacić wiele miliardów, a gdyby ludzie dowiedzieli się, co naprawdę zdarzyło się podczas wojny, firma straciłaby klientów co do jednego. Jeśli nie zadbamy, by po projekcie „Pandora” nie został żaden ślad, i nie zapłacimy dwustu milionów, stracimy wszystko. Dziesięć tysięcy naszych pracowników znajdzie się na bruku.

Nasi akcjonariusze zbankrutują. To prawdopodobne, że odroczone skutki upadku firmy Kohl poważnie zaszkodziłyby niemieckiej gospodarce.

– To nie fair – wyrzuciła z siebie Anna. – Dlaczego mamy płacić za grzechy naszych ojców? Kiedy wojna się skończyła, byłam nastolatką. Nikogo nie zmuszałam do przymusowych robót. Nie wsadziłam nikogo do komory gazowej. Nie zrobiłam

nic złego. W firmie nie ma ani jednej osoby, która pracowała by w tamtych czasach.

– Poza kilkoma starszymi paniami, naszych akcjonariuszy też jeszcze nie było na świecie – dodał Konrad.

– Nikt z nas nie jest odpowiedzialny za to, co się stało w czasie wojny – parsknęła Anna z rozdrażnieniem.

– Ustalono już, że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni, Anno – przypomniał Raeder. – Jak myślisz, jak ja się czuję? Mam z tym nawet mniej wspólnego niż wy dwoje. W 1945 roku moi rodzice jeszcze raczkowali.

Kiedy Konrad i Anna zatrudniali Raedera, uświadomili mu, że firma będzie musiała zawrzeć ugodę z komisją rekonyliacji, ale nie powiedzieli, jaki był zakres współpracy z nazistami. Zataili przed nim zwłaszcza sprawę „Pandory”, słusznie zakładając, że gdyby wiedział, nie przeszedłby do ich firmy. Zdobyta przez niego w świecie biznesu reputacja bezwzględniego gracza była zasłużona, ale to, co wyczytał w archiwach, było makabryczne. Teraz, jak wiedział, siedział w tym już zbyt głęboko, by móc po prostu odejść. To była kwestia dumy. I ego, pomyślał. Raeder był wstrząśnięty tym, czego dowiedział się o firmie Kohl, jak i tym, jak łatwo został zmanipulowany. Wróci do sprawy, kiedy już wyprowadzi firmę z kryzysu.

– Jakie działania podejmujesz, żeby zniszczyć ośrodek, gdzie realizowano projekt? – zapytał Konrad Ebelhardt. – I skąd pewność, że będą skuteczne?

– Nie wydaje mi się, żebyście musieli znać szczegóły, ale zapewniam was, że poza zniszczeniem dowodów winy Kohl AG nie zrobimy niczego niezgodnego z prawem.

– Nikt nie ucierpi?

– Nie, nic takiego się nie zdarzy. – Raeder zaśmiał się głośno. – Od dawna nie stosuję przemocy. Nie licząc drobnego utrudnienia, mój plan zbliża się w zasadzie do końcowej fazy. Podniosłem ten temat teraz, bo jest jeszcze czas, żeby rzecz odwołać i wszystko ujawnić. Aby doprowadzić do tego momentu, musieliśmy wydać trzydzieści milionów. To mała strata w porównaniu z tym, co się stanie, jeśli powiemy komisji rekonyliacji o „Pandorze”. Wciąż jednak mamy taką możliwość. Mogę odwołać polecenie zniszczenia ośrodka „Pandory”.

Oparł się wygodniej w fotelu i przejechał dłonią po jasnych włosach. Dzięki ominięciu moralnych aspektów tego, co mieli zrobić, i przedstawieniu wszystkiego jako czysto finansowej decyzji Raeder był pewien, że Anna i Konrad przystaną na jego plan. Cała sytuacja martwiła go nie mniej niż ich, ale odciął się od emocji, by podjąć właściwą decyzję. Miał też kilka miesięcy, żeby uspokoić swoje sumienie.

– Zrób to! – krzyknęła Anna, jakby słuchała burzliwej debaty w swojej głowie i chciała ją przerwać. Kiedy mówiła dalej, nie patrzyła na Konrada, potwierdzając przeczucia Klausea, że to ona sprawowała prawdziwą władzę w firmie. – Zniszcz wszystko, co mogłoby nas łączyć z projektem „Pandora”. Nie pozwolę, by cokolwiek zaszkodziło Kohl AG.

– Anno, czy jesteś pewna? – zapytał Ebelhardt. – To niebezpieczna gra.

– Jestem przekonana, że Klaus ma rację. Zniszczenie naszych powiązań z „Pandorą” to jedyna szansa, by uniknąć ruiny. Sam powiedziałaś wyraźnie, że gdyby komisja dowiedziała się o tym od nas albo z innych źródeł, oznaczałoby to nasz koniec. Musimy dopilnować, żeby do tego nie doszło.

– Doskonale – skinął głową Raeder. – Tak też zrobię.

CIEŚNINA DUŃSKA

Fala rozbiła się o dziób „Njoerda” jak torpeda, eksplodując białą pianą, która ochlapała przednią szybę, rozlała się w głęboką zieloną kałużę i zniknęła w splywnikach. Statek znów zanurkował w dolinę między jedną a drugą falą. Wysoki dziób zarył w dno fali, po czym dwie śruby wyniosły go na następny grzbiet.

Mercer próbował przebić wzrokiem lśniąca kurtynę wody spływającej z pancernej szyby mesy. Obok niego stał Ira Lasko. Gdy przez szybę znów można było coś widzieć, stwierdził, że morze było spokojne. To była jedna z rzadkich fal fenomenalnych.

– Skąd to się wzięło?

– Po prostu matka natura ostrzega nas, żebyśmy nie czuli się zbyt bezpiecznie – wycedził Lasko. – Właśnie z powodu takich fal przeniosłem się na okręty podwodne. Dwadzieścia dwa lata w marynarce, a chorobę morską miałem tylko na zaopatrzeniowcach.

Odwrócili się od okna. Marty Bishop siedział przy jednym z plastikowych stołów z Igorem Bułgarinem i trzecim członkiem zespołu, meteorologiem Erwinem Puhlem. Puhl był po czter-

dziestce, ale z powodu wysokiego wzrostu zgarbił się i wyglądał na starszego. Resztki włosów miał siwe i przetluszczone. Na dużym nosie tkwiły grube okulary. Jego postura i rysy przypominały Mercerowi sępa, a ponura mina nie pomagała w zatarciu tego wrażenia.

Przy pozostałych stołach w jasno oświetlonej mesie siedzieli ludzie z Geo-Research i członkowie załogi po wachcie. Greta Schmidt i Werner Koenig królowali przy głównym stole. Wyglądało na to, że podział obowiązujący przy śniadaniu utrzyma się dłużej. Podczas obiadu i późniejszego wykładu, który wygłosił Koenig, nikt oprócz Igora i jego ludzi nie odezwał się do zespołu Marty'ego Bishopa. Co więcej, Mercer zauważył, że załoga „Njoerda” również nie jest zbyt skora do konwersacji z nimi. Za każdym razem, gdy któryś oficer przychodził powiedzieć coś członkom ekspedycji, na przykład podać termin przyplłynięcia do Ammassalik, zamiast po prostu ogłosić to wszystkim zgromadzonym szedł prosto do Koeniga, żeby to on podał komunikat. Wyglądało to dziwnie. Zawieść naukowców nie była dla Mercera niczym nowym, ale ciągle sekrety stawały się niedorzeczne.

– Gdy Związek Radziecki był jeszcze państwem – powiedział Igor, kończąc historię, którą zaczął, zanim fala zatrzęsała „Njoerdem” i wywołała u pasażerów jednoczesny jęk przerażenia – byłem na statku badawczym o wiele większym od tego. To była międzynarodowa wyprawa z kilkunastoma francuskimi naukowcami na pokładzie. Nie tylko nie wolno było z nimi rozmawiać, o ile w pomieszczeniu nie było przy tym anioła stróża z KGB, ale musieliśmy też meldować o wszystkim, co

usłyszeliśmy na korytarzach. – Spojrzał w kierunku Schmidt i Koeniga śmiejących się z czyjegoś dowcipu. – Teraz wiem, co czuli Francuzi. W nauce nie ma miejsca na ego i sekrety. Wszyscy naukowcy powinni mówić jednym głosem.

Mercer przytaknął.

– Niezła myśl, Igor, ale wiesz tak samo jak ja, że naukowcy to jedni z bardziej dziecinnych, zawistnych i mściwych ludzi na świecie.

– Da. – Potężny Rosjanin uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Po wyprawie odkrywamy, że Francuzi ukradli bardzo dużo sprzętu i wszystkie dane.

– Co robiłeś na statku? – zapytał Ira Lasko znad kubka kawy. – Byłem przekonany, że jesteś kimś w rodzaju astronoma szukającego fragmentów meteorytu.

– Byłem meteorologiem jak Erwin – odpowiedział Igor. – Zostawiłem badania pogody dla geologii planetarnej.

Mercer podniósł brew.

– Szukasz kamyczka, który zmiecie nas jak dinozaury?

– Jeśli nadejdzie, chcę mieć ostrzeżenie wcześniej. Wie-
le kobiet do zobaczenia przed końcem świata. – Zaśmiał się z własnego dowcipu.

– Powiedz mi, Mercer – zagaił Marty, zmieniając temat. – Jak działają te substancje roztopiające, które mamy ze sobą? Charlie powiedział, że jesteś prawdziwym ekspertem.

– Będziemy musieli ręcznie dokopać się do poziomu firnu, czyli warstwy oddzielającej ziarnisty śnieg od lodowca. Wtedy użyjemy podgrzewaczy. Kiedy wykop zostanie obłożony

plastikowymi panelami, żeby przytrzymać śnieg, zejść na dno i zmieszam składniki. Sztuka polega na tym, żeby rozprowadzać podgrzewacze warstwowo, tak aby lód topił się równomiernie. Obciążniki przy panelach docisną je do lodu, więc woda z roztopu pozostanie w tunelu, potem użyjemy pomp. Gdy chemikalia będą rozcieńczone i przestaną działać, wypompujemy szyb do sucha i powtórzmy cały proces.

– Dlaczego nie roztopimy lodu gorącą wodą?

– Bez wystarczającej liczby pomp skończysz z wielką stożkową dziurą, tak szeroką u podstawy, że się zapadnie. Poza tym nawet jeśli użyjesz podwieszanego grzejnika wodnego, do wywiercenia choć trochę głębszego szybu potrzebna jest gigantyczna ilość paliwa. Ponieważ Camp Decade znajduje się około dziesięciu metrów pod powierzchnią, ogrzewanie chemiczne będzie najbardziej skuteczne. Wystarczy jedna pompa, żadnych paliwożernych bojlerów, no i same chemikalia. Na pokładzie doliczyłem się dwudziestu zbiorników, będzie aż nadto.

– I sądzisz, że we trzech sobie z tym poradzimy? – spytał Ira.

– Lepiej, gdyby było nas czterech. Jeśli pomoże nam ktoś z Geo-Research, powinno nam się udać – odpowiedział Mercer i spojrzął przez ramię Marty'ego na Wenera Koeniga.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, Koenig uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę.

– Zapewne pan Mercer. Willie Haas kazał pana pozdrowić i przypomnieć, że następnym razem, kiedy odwiedzi pan Hamburg, stawia pan kolację.

Mercer uśmiechnął się, zupełnie nieprzygotowany na płynny angielski Niemca i jego przyjazne powitanie.

– Proszę powiedzieć Willie’emu, że hamburger w McDo-
naldzie nie liczy się jako prawdziwy posiłek. – Podał Koenigowi
rękę. – Skąd się panowie znacie?

Willie Haas pracował jako geolog dla niemieckiego koncernu
górniczego, który kilka lat temu zatrudnił Mercera jako kon-
sultanta. Ci dwaj widywali się mniej więcej raz w roku, głównie
podczas konferencji.

– Przyjaźnimy się od czasu studiów – wyjaśnił Werner – Po-
wiedział mi, że dzięki panu jego firma zaoszczędziła fortunę. Jest
przekonany, że sprzedał pan duszę diabłu za geologicznego nosa.

– Duszę zhandlowałem za to, żeby nigdy nie mieć kaca –
zażartował Mercer. – Intuicja to efekt konszachtów z duchami.

– Skoro to działa – uśmiechnął się Werner. – Cieszę się, że
jest pan z nami. Grenlandia z grubą na kilkanaście kilometrów
pokrywą lodową to nie najlepsze miejsce do badań geologicznych,
ale założę się, że pańskie umiejętności i tak nam się przydadzą.
Swoją drogą, gdy będziemy wiercić w lodzie, będę wdzięczny,
jeśli rzuci pan okiem na próbki, które wydobędziemy.

– Z przyjemnością – zapewnił go Mercer. Koenig pierwszy
podjął starania, żeby przełamać nieufność między zespołem
Towarzystwa Kartografów a pozostałymi i Mercer był mu za
to wdzięczny. Powinien był się do tego zabrać Marty Bishop,
skoro Towarzystwo pokrzyżowało plany Geo-Research. Mer-
cer nie przypuszczał jednak, żeby Bishop rozumiał znaczenie
zintegrowania zespołów.

Koenig trzymał w ręku płócienną torbę, z której wyjął małą zieloną butelkę brennivinu, powszechnie zwanego Czarną Śmiercią, islandzkiej wersji akvavitu, wódki ziołowej.

– Ze względów bezpieczeństwa zakazałem spożywania alkoholu w bazie. Do Ammassalik dotrzemy jednak dopiero jutro po południu, więc kilka butelek dziś wieczorem nikomu nie zaszkodzi.

– Jest pan bardzo gościnnie – zauważył Bishop, biorąc butelkę i odkręcając nakrętkę. Wlał trochę wódki do swojej filiżanki po kawie i przekazał butelkę Irze Lasko.

Koenig ukląkł obok Mercera, aby tylko on usłyszał, co miał mu do powiedzenia.

– Greta mówiła mi, co zaszło dziś rano. o waszej sprzeczce przed hotelem.

– Ach, nie nazwałbym tego sprzeczką, po prostu zwykłe nieporozumienie.

– Tak, cóż, ona bywa... trudna. Nie widziałem jej od niemal roku i jest całkiem inna od kobiety, którą kiedyś znałem. Kobiety, którą prawie... – Chciał powiedzieć „poślubiłem”, ale nie mógł. – W każdym razie pomimo mojego sprzeciwu mianowano ją numerem dwa tej wyprawy, więc jeśli będzie próbowała przekraczać swoje kompetencje, proszę mi powiedzieć.

– Sądziłem, że to pan podejmuje w Geo-Research wszystkie decyzje kadrowe – powiedział Mercer, usiłując nie okazywać zdumienia. Nie spodziewał się takiego wyznania Koeniga.

– Zwykle tak. Ale ta wyprawa jest trochę inna. Widzi pan, nie jestem już właścicielem Geo-Research, a firma, która przejęła

organizację, chciała, żeby Greta jechała. Ona spotyka się z moim nowym szefem. Wie pan, jak to jest. – Wstał nagle, jak gdyby powiedział za dużo. – Mam nadzieję, że brennivinu będzie panom smakować.

Poszedł dalej, żeby zamienić parę słów z siedzącymi przy sąsiednim stole i im także dać butelkę.

Igor Bułgarin spojrział na kminkową wódkę szklistym wzrokiem. Poderwał się od stołu.

– Muszę się pożegnać. – To zaskoczyło wszystkich poza Erwinem Puhlem. – Obawiam się, że trochę za bardzo lubię alkohol. Z jednego drinka robi się dziesięć, śmiech zmienia się w łzy. Moje ręce szybko zwijają się w pięści. Będzie lepiej, jak już sobie pójdę. Ale uważajcie na Erwina. Odwróćcie się, a butelka zniknie – pstryknął palcami – ot, tak.

Twarz Puhla rozjaśnił figlarny uśmiech.

– Nigdy nie potrzebowałem aż tyle czasu, żeby wypić butelkę czegokolwiek. – Gdy Igor opuścił mesę, Erwin nalał sobie kieliszek. – Od mniej więcej roku jest trzeźwy. Nadal bardzo trudno mu przebywać tam, gdzie pije się alkohol.

– Od dawna się znacie?

Zanim Puhl odpowiedział, omiótł wzrokiem kabinę, jakby bał się, że ktoś go podsłucha.

– Osiemnaście lat albo i dłużej. Studiowałem na Uniwersytecie Moskiewskim, gdy wschodnie Niemcy były nadal sowieckim satelitą, i pracowałem w Akademii Nauk ZSRR aż do upadku muru berlińskiego w 1989 roku. Od tego czasu pracowaliśmy razem kilka razy.

– Jaki jest cel waszej wyprawy? – zapytał Mercer.

– Kończy się cykl słoneczny, którego kulminacją będzie zjawisko zwane maksimum słonecznym, czas występowania plam słonecznych i emisji ogromnych ilości cząstek zjonizowanych. To zakłóci telekomunikację i przesył energii na całym świecie. Chcemy zmierzyć intensywność cząstek poruszających się zgodnie z liniami ziemskiego pola magnetycznego. Tak daleko na północy aktywność powinna być szczególnie silna.

– Czy przypadkiem jakieś spotkanie religijne nie ma się odbyć na wycieczkowcu płynącym tutaj podczas zorzy polarnej? – zapytał Ira.

– Powszechne zgromadzenie – odpowiedział bez wahania Erwin. – Trasa jest utrzymywana w tajemnicy, ale słyszałem, że chcą płynąć Islandię od północy. Jeśli szukają inspiracji z góry, dostaną ją.

Mercer tak naprawdę nie słuchał ich rozmowy. Myślał o tym, co powiedział mu Koenig, i postanowił nie wykorzystywać tych informacji. Nawet bez martwienia się o personalne utarczki w Geo-Research miał wystarczająco dużo do roboty. Teraz, gdy wiedział, co się dzieje, dostrzegł między Gretą i Wernerem napięcie. Choć Greta wydawała się pewna swojej pozycji, to Werner czuł się nieswojo. Mercerowi było go szkoda. Wyobrażał sobie, jak to jest pracować ze swoją byłą, zwłaszcza że Koenig chyba jeszcze się z niej nie wyleczył.

Wreszcie wziął łyk brennivinu i prawie się udławił.

– To jest jak picie żwiru – mówiąc to, przestawił swojego tag heuera na czas grenlandzki, o godzinę do tyłu. – Pójdę już.

Zanim dotrzemy do Ammassalik, będziemy musieli jeszcze raz sprawdzić sprzęt.

Podczas ostrych zim lód pokrywa całą pięćsetkilometrową przestrzeń między Grenlandią a Islandią. To nie on jest jednak źródłem słynnych gór lodowych na północnym Atlantyku, które powstają, odrywając się od lodowców na zachodnim wybrzeżu Grenlandii. Kra jest tylko powierzchniowa, osiąga najwyżej kilka metrów grubości. Latem łamie się i topi, nie stanowiąc większego zagrożenia dla statków. Trudność w dotarciu na Grenlandię wynika z tego, że głębokowodne fiordy, które otaczają wyspę jak naszyjnik, są zablokowane lodem aż do początku lipca, a zamarzają ponownie pod koniec września. Statki mogą docierać do nielicznych osad na wschodnim wybrzeżu tylko przez trzy miesiące w roku.

Gdy „Njoerd” zmierzał w stronę fiordu Ammassalik, cienki lód nadal pokrywał większą część morza, a gdzieś tam jak białe wyspy sterczały nieruchomo wielkie góry lodowe. Statek torował sobie drogę. Członkom wyprawy zabroniono wchodzić na mostek podczas łamania lodu, więc najlepszy widok mieli przez okna mesy.

Gdy następnego ranka Mercer wszedł do jadalni, okazało się, że oprócz niego są tylko kucharze przygotowujący śniadanie w kambuzie. Nalał sobie filiżankę kawy z termosu i usiadł. Pomyślał, że lód był zbyt cienki, by był przeszkodą dla „Njoerda”. Nawet przy mniejszej prędkości przecinał krę bez trudu. Gdyby nie zgrzyt lodu o kadłub i tafle co jakiś czas ukazujące się ponad

dziobem i odpychane na boki, nie wiedziałby, że natrafili na przeszkodę.

– Dzień dobry – zawołał Ira Lasko, wchodząc do mesy. Zanim dołączył do Mercera, podszedł do termosu z kawą.

– Chyba przydałoby ci się golenie.

Ira przejechał dłonią po szczecinie na głowie i zachichotał.

– Zastanawiam się, czy nie zapuszczać. Jak przedstawienie?

– W telewizji łamanie lodu bardziej trzyma w napięciu.

– Gdybyśmy płynęli miesiąc temu, w życiu nie dotarlibyśmy do Ammassalik.

– Jak ludzie tu wytrzymują?

– Większość z pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców Grenlandii to rdzenni Inuici. Chociaż w dużym stopniu uzależnili się od Danii pod względem zaopatrzenia, myślę, że daliby sobie radę, nawet gdyby Duńczycy ich zostawili.

– W czasie lotu ze Stanów wyczytałem w przewodniku, że Inuici z Grenlandii rozumieją języki, którymi mówi się na Alasce – powiedział Mercer. – Od tysiąca pięciuset lat żyją z dala od siebie, a ich języki nadal są zbliżone. Nadzwyczajne, biorąc pod uwagę, że my potrzebujemy słowników, żeby zrozumieć niuanse Szekspira, a on umarł raptem pięćset lat temu.

– Słuchałeś ostatnio nastolatków? Ledwo mogę ich zrozumieć, a to tylko jedno pokolenie. – Zaśmiali się i Lasko dodał: – Skoro mowa o nastolatkach, wczoraj w nocy w holu obok toalety wpadłem na Marty’ego. Był zlany perfumami. Wygląda na to, że zamierza dobrze się bawić, nawet jeśli wolałby być gdzie indziej.

Jadalnia zapełniała się stopniowo, w miarę jak kolejni członkowie wyprawy budzili się i ruszali na poszukiwania kawy i jedzenia. Marty dotarł na śniadanie jako jeden z ostatnich i przez cały posiłek spoglądał na młodą Niemkę z Geo-Research, asystentkę kucharza. Gdy ich spojrzenia się spotykały, brunetka rumieniła się i odwracała wzrok zawstydzona.

– Wypałeś się, Marty? – podpuszczał go Ira. Bishop spojrzał na niego wilkiem.

– Nie i wydaje mi się, że dziś też się nie wyśpię.

Po śniadaniu ekipa Towarzystwa Kartografów wróciła do swoich kabin po kurtki, po czym spotkała się na pokładzie. Wiał wiatr, niosąc świeży zapach lodu i morza. Było ledwo powyżej zera, ale słońce przygrzewało. Sprawdzając sprzęt, pozbywali się kolejnych warstw ubrania. Pracowali jeszcze, kiedy Werner Koenig przyszedł opowiedzieć im o zagrożeniach czekających na lodowcu i przestrzec przed spoceniem się.

– Jeżeli będziecie poza obozem i przemoczycie ubranie, zaczniecie tracić ciepło tak szybko, że zamarniecie, zanim się zorientujecie. Dotyczy to szczególnie butów. Na lodowcu będziemy nosić buty księżycowe, które szybko ogrzewają, a wyschnięcie zajmuje im wieczność. Jeśli zrobi wam się w butach mokro od potu, natychmiast je zdejmijcie. W przeciwnym razie odmrozicie sobie stopy i to szybciej, niż się wam wydaje, dlatego wracajcie wtedy do obozu i się przebierzcie.

Ruszył, aby powtórzyć te same rady zespołowi Igora Bułgarina.

Większość drobnego sprzętu złożono w czterech snowcattach z przyczepami. Były to wielkie pojazdy przypominające furgonetki na gąsienicach, pomalowane na czerwono i z naklejką Geo-Research na przednich drzwiach. Ich gąsienice były głęboko powcinane jak w buldożerach i wystawały sporo poza obrys kabiny, żeby stykały się z podłożem na jak największej powierzchni i lepiej rozkładać ciężar na śniegu. Dwie przyczepy były prostymi skrzyniami, wysokimi na trzy metry i długimi na mniej więcej siedem. Pomalowane w pasującym odcieniu czerwieni poruszały się na amortyzowanych płozach. Dwie pozostałe przyczepy były otwarte. Władowano na nie prefabrykowane ściany, z których miały zostać złożone budynki obozu. Na pokładzie stało też kilka palet ze sprzętem: beczki z paliwem, podłogi i dachy baraków, chemiczne podgrzewacze Mercera i skrzynie z jedzeniem. Wszystko to miało zostać przetransportowane prosto do Camp Decade rotorstatem.

– Dlaczego, do cholery, nie przewieźli tego od razu sterowcem? – narzekał Ira, grzebiąc w przyczepie w poszukiwaniu węża do ich pompy.

– Koszty i ubezpieczenie – mruknął Marty. – Rotorstat wciąż jest pojazdem eksperymentalnym i jego właściciele nie chcą dokonywać załadunku ze statku na morzu. Wyobrażam sobie kwestie odpowiedzialności, gdyby coś poszło nie tak. To znaczy, że musimy najpierw zacumować przy nabrzeżu. Poza tym wydaje mi się, że rotorstat może unieść naraz tylko jednego snowcata z przyczepą. Taki pojazd z pełnym ładunkiem waży około trzydziestu ton. W Geo-Research nie mieli ochoty płacić za tyle

lotów z Ammassalik do bazy, więc zdecydowali się przejechać tam snowcatami, a sterowcem zrobić tylko kilka rund z paliwem i innymi ciężkimi rzeczami. To upierdliwe, ale zaoszczędza im jakieś pięćdziesiąt kawałków. A skoro zapłaciliśmy za dołączenie do ich ekspedycji – dodał Marty – obowiązek prowadzenia pojazdów śnieżnych do Camp Decade spada na nas.

– Geo-Research wysyła z nami kilku swoich ludzi? – spytał Mercer.

– Tak, w razie gdyby coś poszło nie tak.

– Hej, spójrzcie na to. – Ira trzymał przy oku aparat fotograficzny.

– Co jest?

– Łąd na horyzoncie! – krzyknął, podając Marty’emu nikon.

Gdy Mercer dostał aparat, zobaczył nagi, skalisty szczyt z pasmami śniegu i lodu, wyrastający z morskiej mgły jak samotny wartownik. Była to jedna z tysięcy wysp, którymi upstrzone było wyrzeźbione przez lodowce wybrzeże Grenlandii. Dla innych nie było w tym widoku nic ciekawego, ale Mercer nie mógł się nie zainteresować. Bez wątpienia miał przed sobą granit, jedną z najtwardszych skał, a jednak setki milionów lat tarcia zupełnie go wygładziły. Ogromny nacisk grenlandzkiego łądolodu był siłą, której nawet Ziemia nie mogła powstrzymać.

– To wyspa Kulusuk – zawołał marynarz z mostku wysoko ponad pokładem.

– W północnej części Kulusuk jest łądowisko, które pozostało po jednej ze stacji SWO – powiedział Ira Lasko. – Dawny ośrodek radarowy systemu wczesnego ostrzegania został

zdemontowany wiele lat temu, a lotnisko przekazano tutejszej ludności. To tylko półtorej godziny lotu z Reykjavíku. Myślę, że jesteśmy już niedaleko Ammassalik.

Godzinę później „Njoerd” wpłynął do zatoki Tasiilaq otoczonej przez strzeliste kamienne klify. Tutaj góry były ostre jak odłamki szkła, ich czarne sylwetki wcinają się w czyste niebo. Nie byli pierwszym w sezonie statkiem w zatoce, bo krę przecinał szeroki kanał prowadzący do miasta Ammassalik. Wpływając coraz głębiej w zatokę, napotykali kolejne góry lodowe – dziwaczne rzeźby piękne jak bajkowe zamki. Nowe były oślepiająco białe, a te, które dryfowały po zatoce już kilka sezonów, miały jasnoniebieski odcień gazowego płomienia.

Po lewej burcie pojawiło się miasto Ammassalik. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli, była ściana odpadów osuwających się do morza z miejskiego wysypiska. Za nią widać było łunę płonących śmieci.

– Niezbyt zachęcający widok – mruknął Erwin Pohl. Niemal wszyscy stali przy relingu, gdy statek wpływał do portu.

– Inuici wyrzucali śmieci za drzwi chat – wyjaśnił Igor. – Głównie kości, i psy je zjadały. Duńczycy przesiedlili ich tutaj, przywozili żywność w opakowaniach, a oni wyrzucają ją tak samo, nie wiedzą, że puszki i woreczki foliowe nie znikają po ziemi. Miasto było kiedyś jednym wielkim wysypiskiem śmieci. Tak jest lepiej.

Obok wielkich cystern z paliwem w ład wcinął się wąski przesmyk, a po jego drugiej stronie znajdowało się betonowe nabrzeże Ammassalik z dużym magazynem tuż obok. Przesmyk

pełen był kawałków kry i starych kutrów rybackich. U jego wylotu strumień wody z roztopów pieniał się pod mostem i wpływał do zatoki. Miasto rozciągało się po obydwu stronach przesmyku, wznosząc się nad wodą na stromych nakrapianych śniegiem zboczach. Drewniane domy były kolorowe, jakby miały nadrabiać monochromatyczną nijakość otoczenia. Obok większości z nich stały rozklekotane suszarnie pozawieszane rybami i kawałkami foczego mięsa. To zapomniane i odosobnione miejsce było domem dla tysiąca sześciuset Inuitów i niewielkiej grupki duńskich administratorów.

Wpływając do portu, statek wydał długi, żałosny gwizd, na który odpowiedział wyciem chór psów pociagowych.

– Witamy na Grenlandii – zawołał radośnie Werner Koenig.

Obok niego stała Greta Schmidt. Jej blond włosy połyskiwały jak białe złoto.

– Pierwszy etap naszej podróży mamy za sobą. Kapitan poinformował mnie, że rotorstat powinien być tutaj za około pół godziny, więc możemy rozpocząć punkt drugi. Wszyscy gotowi?

– Towarzystwo Kartografów gotowe – odpowiedział Marty.

– Sprzęt został sprawdzony i zabezpieczony.

Werner spojrzał na Igora.

– U was?

– Da. Dobrze wszystko.

– Doskonale. Poproszono mnie, aby wszyscy opuścili statek lub pozostali w mesie do czasu, gdy pojazdy śnieżne i land cruiser zostaną przeniesione na lodowiec. Powiesiłem w mesie rozpiszkę, kto jedzie w którym pojeździe do Camp Decade. Ponieważ

rotorstat nadal jest prototypem, nie może przewozić pasażerów. Dostaniemy się na lód helikopterami.

Mercer rozpiął nylonowy kombinezon i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął kupione specjalnie okulary przeciwsłoneczne z polaryzacyjnymi szklami.

– Nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę – powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Ira Lasko i Marty Bishop się uśmiechnęli. Jego ekscytacja rotorstatem była zaraźliwa.

Sterowiec przyleciał zgodnie z planem, obwieszczając swoje pojawienie się głębokim warkotem, który odbijał się echem w zatoce na dobrych dziesięć minut przed pojawieniem się maszyny. Gigantyczny sterowiec emanował beczelnym spokojem, jak gdyby nie działały na niego prawa grawitacji. W przeciwieństwie do wyglądających na spłaszczony sterowców Goodyeara rotorstat miał kształt torpedy, ale ściętej od góry i od spodu. Ze swoimi stu dwudziestoma metrami długości był też dwa razy dłuższy od zwykłego sterowca. Jego dziób przypominał nos rekina, a ogon kończył się wydłużonym stożkiem, z którego wyrastały na krzyż cztery stateczniki. Wewnętrzny szkielet pozwalał zamontować cztery aerodynamiczne gondole silników po bokach, dzięki czemu hałas i wibracje nie przeszkadzały pasażerom w zawieszonyj z przodu dwudziestoosobowej kabinie. Poszycie z włókna węglowego było białe, co nadawało mu wygląd chmury. Sterowiec był tak nowy, że spaliny nie zostawiły jeszcze osmolonych śladów za silnikami.

Widok był niezemski i Mercer mimowolnie uśmiechnął się szeroko, gdy cień maszyny sunął po zatoce jak rozszerzająca się

plama atramentu. – Jezu! – wykrzyknął Ira. – Czegoś takiego nie ogląda się codziennie.

– A szkoda – powiedział Mercer.

Członkowie ekspedycji dołączyli na nabrzeżu do powiększającego się zbiegowiska oniemiałych mieszkańców, podczas gdy rotorstat wzniósł się nad „Njoerdem”, a gondole silników przekreśliły się z pozycji do lotu naprzód w pozycję zawisu. Z silnikami skierowanymi do góry masywne wirniki pracowały jak w helikopterze, ale bez obciążenia ładunkiem to ponad trzysta sześćdziesiąt tysięcy metrów sześciennych helu utrzymywało pojazd w powietrzu.

Rotorstat zachował taki pułap, aby zwisająca mu z dzioba cuma nie zawadzała o ciężkie metalowe liny spuszczone z jego ładowni. Załoga statku badawczego sprawnie przymocowała cztery liny do platformy, na której stał pierwszy pojazd śnieżny z przyczepą, przez walkie-talkie koordynując swoje działania z pilotem sterowca. Na dany sygnał warkot silników rotorstatu pogłębił się, a jego niemal ośmiometrowe wirniki zagarnęły większe kęsy powietrza. Luźne do tej pory liny naprężyły się i zadrgały pod ciężarem trzydziestotonowego ładunku. Delikatnie, jak matka wyjmująca dziecko z kołyski, sterowiec uniósł pojazd gąsienicowy z pokładu.

Przez tłum gapiów przeszedł szmer, a członkowie ekspedycji krzyknęli z radości. Rotorstat wznosił się pionowo. Snowcat był zbyt duży, żeby można go było w całości wciągnąć do ładowni, zwiślał więc jakieś siedem metrów pod kadłubem. Sterowiec obrócił się w miejscu, kierując dziób na zachód, w stronę właściwe-

go lądu Grenlandii. Gondole silników w tym samym momencie przekręciły się nieco, dając wielkiemu statkowi powietrznemu poziomy ciąg i wciąż zapewniając wystarczającą siłę nośną. Mercer uświadomił sobie, że kadłub rotorstatu ma kształt profilu lotniczego, dzięki czemu przy odpowiedniej prędkości wytwarza dodatkową siłę nośną, zmniejszając zużycie paliwa.

Od zachodu wyspę Ammassalik oddzielało od masywu Grenlandii pasmo gór wysokich na prawie tysiąc metrów. Rotorstat skierował się w stronę jednej z przełęcz, z każdą chwilą nabierając wysokości i prędkości. W ciągu dziesięciu minut zniknął z pola widzenia.

– Wrócą tu po drugiego snowcata za niecałą godzinę – powiedział Werner. – Nasz punkt wymarszu na stałym lądzie to szczyt lodowca Hanna. Jakies trzydzieści kilometrów stąd.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze – dodał Marty – sprzęt znajdzie się tam o siódmej wieczorem. To trochę za późno, żeby wyruszać, nie sądzisz?

– Już się nad tym zastanawiałem. Przenocujemy dziś na „Njoerdzie”, a ruszymy o świcie. Pierwsza grupa wylatująca z Reykjaviku dotrze na miejsce dzień wcześniej niż my. Będą mieli wystarczająco dużo czasu, żeby postawić pierwszy budynek, w którym będziemy mieszkać, dopóki nie zmontujemy pozostałych.

– Kiedy w bazie będzie już można mieszkać, sprowadzi pan resztę swoich naukowców? – zapytał Mercer.

Werner skinął głową.

– Montaż budynków i rozmieszczenie zapasów zajmie jakieś dwa dni. A wtedy wasze zobowiązania wobec nas zostaną wypełnione i będziecie mogli rozpocząć odkopywanie Camp Decade, a doktor Bułgari i jego ludzie zacząć własne badania.

Rotorstat wrócił do Ammassalik po raz ostatni o dwudziestej drugiej trzydziści, mając za sobą pierwszy z dwóch kursów do Camp Decade, trzysta kilometrów na północ od miasta. Musiał przetransportować podłogi i dachy budynków, które były zbyt duże dla snowcatów. Drugim i ostatnim kursem zabrano jedzenie, chemiczne podgrzewacze i paliwo. Następnie sterowiec miał wrócić do Europy, by przylecieć ponownie we wrześniu, kiedy zgodnie z zarządzeniem duńskiego rządu baza miała zostać zdemontowana.

Mercer stał na pokładzie statku, gdy sterowiec rozpułynał się w zmierzchu. Obserwował białą plamę światła uczeptioną odległych gór. Domyślał się, że to zachodzące słońce odbijało się na połaciach lodu. Poczłł skurcz w piersi. Nie był tak zrelaksowany od bardzo dawna.

W czasie prac poszukiwawczych w terenie Mercer był zawsze liderem wyprawy, co zmuszało go do radzenia sobie z setkami drobnych, codziennie nowych wyzwań. Nie była to kwestia ego. W gruncie rzeczy wolał pozostawać w cieniu. Ale gdy firma górnicza płaciła mu tysiące dolarów dziennie, siedzenie z założonymi rękami nie wchodziło w grę. Oczekiwali wyników. Na tej wyprawie miło było nie być odpowiedzialnym za wszystko. Mercer nie musiał dźwigać ciężaru dowodzenia. Tym razem spoczywał on na Wernerze Koenigu, który wydawał się

doskonale przygotowany, aby poradzić sobie z wszelkimi przeciwnościami, i Martym Bishopie, który zaczynał wykazywać jakieś zainteresowanie wyprawą.

Mercer odetchnął głęboko, czując w płucach palenie lodowatego powietrza. Było tak czyste, że na chwilę zakręciło mu się w głowie. Przeżywał jeden z momentów czystego szczęścia, delectował się tym rzadkim uczuciem. Roześmiał się, a blask odbitego światła zbladł, przeszedł w błękit i zniknął.

LODOWIEC HANNA, GRENLANDIA

Stojąc na dachu pojazdu śnieżnego, by nic nie zasłaniało mu widoku, Mercer przyjrzał się krajobrazowi przez lornetkę. Nie mógł wyobrazić sobie miejsca z bardziej odległym horyzontem. Linia pomiędzy lodem i niebem była równa jak promień lasera. Tylko na wschodzie, gdzie trzydzieści kilometrów dalej rozciągało się wybrzeże, horyzont zamazywał się delikatnie w miejscu, gdzie masywny lodowiec spadał w morze z tysiąca metrów. Na zachód rozciągały się dwa miliony kilometrów kwadratowych lodowej pustyni.

Teraz, gdy alpha air jetranger przewiózł na lodowiec ostatnią grupę i poleciał z powrotem do heliportu w Ammassalik, ponad konwojem pojazdów zapadła upiorna cisza. Każde wypowiedziane cicho słowo brzmiało nie na miejscu, bluźnierczo jak przekleństwo w katedrze. Wiatr szeptał nieustannie, nie dość mocno, by unieść śnieg z powierzchni, ale temperatura wynosiła pięć stopni poniżej zera. Mercer był w rękawicach, a kaptur nylonowego skafandra naciągnął na głowę. Pod spodem miał skórzaną kurtkę, bluzę i dwa podkoszulki. Na kalessony i džinsy włożył nylonowe spodnie. Całości dopełniały nieprzemakalne

buty trekkingowe. Ponieważ czekała ich ponad dwudziestogodzinną jazdą, nie potrzebował cięższego sprzętu arktycznego, który był spakowany w jego bagażu, łącznie z parą ocieplanych butów księżycowych.

Z tyłu snowcata Ira Lasko upewniał się, czy ich sanie z georadarem były wystarczająco zabezpieczone przed jazdą po nierównym gruncie.

– Co powiedział Buz Aldrin o Księżycu? „Wspaniałe pustkowia”? Coś w tym rodzaju?

Mercer opuścił lornetkę.

– Byłem na kilku lodowcach na Alasce, ale nigdy na czymś takim. – W głosie geologa słyhać było respekt. Różnorodność i piękno Ziemi zawsze go zachwycały.

– Podobno gdyby stopniał lód pokrywający Grenlandię, poziom wody w morzach i oceanach podniósłby się o jakieś osiem metrów.

– Zapominasz, że masa takiej ilości lodu wgniotłaby Grenlandię trzysta metrów poniżej poziomu morza. Oceany podniosłyby się o tylko sześć metrów, a to miejsce stałoby się dnem największego na świecie jeziora słodkowodnego.

– Ostatni raz wymieniałem uwagi z geologiem – mruknął Ira żartobliwie.

Śmiejąc się, Mercer zszedł po drabinie przytwierdzonej z tyłu snowcata.

– Kiedy tylko chcesz, możesz mnie zaginać z łodzi podwodnych.

Do palet, na których transportowano pojazdy, przytwierdzono wysokie maszty z chorągiewkami, aby można je było znaleźć pod warstwą świeżego śniegu, który na pewno je przykryje do czasu, kiedy pojazdy śnieżne wrócą, by zabrał je rotorstat. Werner Koenig wyjął też kieszonkowy GPS i zapisał w notesie, który nosił w kieszeni kurtki, podane przez satelitę współrzędne.

– Możemy ruszać – oznajmił.

– Na koń! – wrzasnął Marty i wskazał ręką kierunek jak dowódca kawalerii.

Na przodzie miała pojechać toyota land cruiser jako najłatwiejszy w manewrowaniu i najmniej paliwożerny pojazd w konwoju. Prowadził ją wynajęty przez Geo-Research były rajdowy mistrz Europy, Dieter. Werner, Greta i Igor Bułgari, którzy mieli największe doświadczenie polarne, jechali z nim. Ich zadaniem było wyszukiwanie najłatwiejszego szlaku, gdy podłoże okaże się zbyt popękane.

Ekipie Towarzystwa Kartografów został przydzielony pierwszy pojazd śnieżny, który mieli prowadzić na zmianę. Sterowanie nie różniło się za bardzo od kierowania zwykłą ciężarówką, jedynym wyjątkiem był brak kierownicy. W snowcatach do zmiany kierunku jazdy służyły dźwignie, które uruchamiały hamulce na gąsienicach.

Jako lider grupy Marty zasiadł w fotelu kierowcy pierwszy, Ira zajął miejsce obok. Mercer usiadł na szerokiej tylnej kanapie. Paka pojazdu była dostępna z kabiny, ale wypełniał ją po sufit sprzęt i sanie z georadarem.

– Podkręćcie to cholerne ogrzewanie – marudził Ira. – Już zamarzam. Turbodiesel odpalił po pierwszym przekręceniu kluczyka w stacyjce.

Obroty zafalowały przez chwilę, po czym rozległ się potężny warkot silnika. Z tyłu toyoty buchnął biały obłok spalin. W hałasie robionym przez ich pojazd nie słyszeli, jak ruszają pozostałe trzy snowcaty. Dieter dodał gazu i baloniaste, niedopompowane opony terenówki zaczęły wgryzać się w śnieg.

Marty wrzucił pierwszy bieg i ruszyli przed siebie, trzymając się śladów zostawionych przez land cruisera. Wypróbował dźwignie, żeby sprawdzić reakcje pojazdu.

– To jak prowadzenie czołgu.

Z powodu holowanych przez snowcaty ładunków ich prędkość była ograniczona do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Jazda była monotonna. Po pierwszej godzinie wszyscy oprócz Mercera stracili poczucie, że przeżywają przygodę. Dokoła rozciągała się tafla lodu, zamarznięta Sahara zakłócana jedynie niewielkimi wzniesieniami, także z lodu. Słońce sprawiało, że krajobraz lśnił miliardami diamentyków. Bez okularów przeciwsłonecznych blask by ich oślepił.

Cztery snowcaty ustawione w linii jak słonie w paradzie cyrkowej wytrwale podążały po śladach pozostawionych przez toyotę. Przy dobrej pogodzie łatwo było trzymać się szlaku, ale przed południem, wiatr przybrał na sile i z zadziwiającą dla wszystkich szybkością znaleźli się w środku śnieżycy. W jednej sekundzie nic się nie działo, by chwilę później widoczność spadła do zera z powodu tumanów śniegu i odłamków lodu. Burza

przewalająca się nad ich głowami była tak silna, że kołysała potężnym pojazdem.

– Jezu, czy to normalne? – krzyknął Marty głośniejszym głosem, niż było konieczne.

Ira zachichotał.

– Zdaniem Igora to jeszcze nic. Radio ożyło nagle lawiną trzasków.

– Jak sobie radzicie? – Werner sprawdzał, czy ludziom nic się nie stało. – Igor mówi, że powinno się skończyć za minutę, dwie. Albo utrzyma się przez kilka dni.

Ira zdjął mikrofon z haczyka.

– Mamy nadzieję na pierwszy scenariusz. W radiu pojawił się nowy głos.

– Tu Erwin. Jestem w ostatnim pojeździe, wiatr już się uspokaja. Za minutę możemy ruszać.

Wiatr ustał równie nagle, jak się zerwał, ale nauczył ich pokory. To był dopiero przedsmak wściekłości arktycznych żywiołów. Po obiedzie, na który zjedli wojskowe gotowe racje, stery przejął Ira. Teren stał się bardziej popękany, pokryty wałami lodu i śniegu, w które pojazd regularnie uderzał. Ich prędkość spadała do szesnastu kilometrów na godzinę.

Dwie godziny później usłyszeli przez radio głos Wernera Koeniga.

– To jest komunikat do wszystkich snowcatów. Właśnie rozmawiałem z „Njoerdem”. Zacumowali przy wybrzeżu wystarczająco blisko Camp Decade, żeby helikopterem zawieźć tam grupę rozpoznawczą i materiały do zbudowania naszego

pierwszego domu na lodowcu. Jeśli dziś dotrzemy do bazy, będziemy spać wygodniej niż w pojazdach.

Ira wyrwał radio Mercerowi.

– Więc ruszajmy. Marty właśnie zdjął buty i nie wydaje mi się, żebyśmy mogli spać w maszynie bez masek gazowych.

O szóstej po południu zadecydowali w głosowaniu, by zadowolili się zimnymi racjami wojskowymi, zamiast zatrzymywać się na normalny posiłek. Werner oszacował, że od bazy dzieliło ich ponad sześćdziesiąt kilometrów, więc gdyby się zatrzymali, musieliby spędzić noc w pojazdach. Marudząc, ponownie zagłosowali za suchym prowiantem.

Rolę kierowcy snowcata przejął teraz Mercer. Marty wcisnął się w wąskie i niewygodne miejsce pomiędzy przednimi siedzeniami, żeby móc rozmawiać jednocześnie z Mercerem i z Iry. Lód lśnił w blasku zachodzącego słońca. Nad karawaną zapadał zmierzch. Niebo w purpurze i róży odbijało się na powierzchni ziemi, przecinane tylko czarnymi cieniami lodowych pagórków. Odbicie było tak wyraźne, że widać w nim było gwiazdy. Podobnie jak poprzedniej nocy światło nie zniknęło jeszcze długo po zachodzie słońca. Łuna nad zachodnim horyzontem wyglądała, jakby za jego linią ukryte było ogromne miasto. Gdy wzeszedł księżyc, krajobraz doświetlał jego lodowy bliźniak.

Jakiś kilometr przed nimi światła toyoty tworzyły na lodzie dwa jasne pasma. To dodawało otuchy, a jednocześnie pokazywało ich całkowite osamotnienie. Pojazd był jedynym punktem światła na lodowcu, małą latarnią morską w krainie, gdzie człowiek był intruzem. Słowa Iry o pejzażu księżycowym były trafne.

Termometr wskazywał, że na zewnątrz było minus dwadzieścia pięć stopni Celsjusza.

– Według GPS jesteśmy jakieś szesnaście kilometrów od obozu – ogłosił Werner godzinę później. – Ale, jak widzicie, lód jest znowu mocno popękany.

Znajdujące się pod lodowcem pasmo gór i wzniesień popalowało jego powierzchnię, więc pojazdy ciągle wspinały się lub zjeżdżały z lodowych grzbietów. Jechało się lepiej niż we wcześniejszej strefie spękań, ale nadal bardzo powoli. Dieter potrzebował kilku podejść, żeby znaleźć dogodniejsze przełęcze między grzbietami, więc snowcacy musiały czekać, gdy toyota szukała równej drogi. Każda kolejna przerwa wydawała się dłuższa niż poprzednia. Frustracja wszystkich rosła, zwłaszcza że baza była już tak niedaleko, komunikaty Wenera utrzymywały ich jednak w gotowości.

Mercer sięgał właśnie po mikrofon, żeby zasugerować, że powinni się zatrzymać na noc, gdy usłyszeli głos Igora.

– Po drugiej stronie tej ostatniej ściany lodu jest obóz bazy. Właśnie go widzieliśmy! Wracamy po was. Gorący posiłek i ciepłe łóżko za kwadrans.

Land cruiser wyłonił się z wirującego śniegu jak widmo. Pył lodowy w jego światłach tańczył na wietrze. Dieter, który musiał być wykończony po dziewiętnastu godzinach jazdy, wykonał zwrot, gdy Mercer zamrugał światłami. Ostatni odcinek do obozu był surrealistyczny. Mercer odczuwał już zmęczenie i powinien był przekazać kierownicę Marty'emu. Walczył, żeby nie przysnąć. Padający śnieg hipnotyzował go, niepokojąco często

przykuwając jego uwagę do pojedynczych płatków. Zacisnął powieki i potrząsnął głową, żeby to zwalczyć.

– Dasz radę? – spytał Ira.

– Jeśli ja nie dam rady, ty też nie.

Pierwszy budynek obozu wzniesiony przez ekipę rozpoznawczą Geo-Research stał samotny. Wykonany z paneli izolowanego plastiku został zmontowany jak zabawka dla dzieci. Kiedy wszyscy wyjdą rano do swoich zajęć, barak stanie się stołówką i centrum łączności. Tej nocy pełnił rolę wspólnej sypialni. Wokół budynku rozłożone były elementy czterech dziesięcioosobowych sypialń, dwóch laboratoriów o temperaturze pokojowej i dwóch laboratoriów zimnych, używanych do gromadzenia i badania odwiertów lodowych. W jednej z przyczep była zdemontowana wieżyczka wiertnicza.

– Mam tylko nadzieję, że Werner ma bardzo twardy sen – powiedział Mercer do Iry.

– Dlaczego?

– Ponieważ gdy będziemy już w środku, zamierzam wypić drinka i nie chcę słyszeć jego narzekań.

– Dotrzymamy ci towarzystwa – powiedział Marty. – Ja mam burbon, a Ira wziął butelkę szkockiej.

Poranek był rześki i bezchmurny. Po śniadaniu składającym się z jajek w proszku i kawy Werner Koenig rozdzielił prace i zabrali się do budowania obozu. Podczas gdy ekipa Geo-Research paradowała w jednakowych czarnych kombinezonach z logo firmy i nazwiskami wyhaftowanymi na złoto nad sercem, ludzie Igora i grupa Towarzystwa Kartografów ubrani byli w rozmaite

polarne stroje – częściowo z nadwyżek armii, częściowo kupione w sklepie. Jediną rzeczą wspólną dla wszystkich były ciężkie buty księżycowe. Niewygodne, ale przy tak dużej ilości świeżego śniegu niezbędnne.

Snowcacy rozjeździły spory placyk, żeby ugnieść śnieg, po czym podłogi budynków rozłożono w nieregularnym okręgu wokół stołówki. Wtedy pojazd, ciągnąc panele ścian, objechał obóz, przy każdym „fundamencie” zostawiając numerowane segmenty. Pozostawało postawić ściany na izolowanej podłodze i połączyć je specjalnym narzędziem. Dachy umieszczono żurawiem zamontowanym na pojeździe śnieżnym. Postawienie jednego budynku zajmowało trzy godziny.

Energia z początku napędzająca załogę zniknęła, gdy lodowate powietrze wysssało z nich siły. Mimo wszystko harowali dalej. Ostatnie zimne laboratorium było gotowe o piątej po południu. Tego wieczora, po wypakowaniu podręcznego sprzętu w dwóch sypialniach, jedli w milczeniu.

Kolejny dzień upłynął na zabezpieczeniu zapasów i wyposażeniu laboratoriów. Praca była lżejsza niż dzień wcześniej, a temperatura wzrosła powyżej zera. Sypiący bez przerwy śnieg zmienił się w jednostajną mżawkę. Ubity śnieg zamienił się w lód, był jak boisko do hokeja. Pomysł Mercera, żeby pokruszyć jego powierzchnię gąsienicami snowcata, okazał się doskonały.

Przy obiedzie Werner podziękował wszystkim za pracę, wymieniając każdego z nazwiska i chwalać jego wkład. Stwierdził, że Geo-Research skończy ostatnie roboty rano, i reszta będzie mogła zacząć swoje badania. Po południu samolotem

transportowym na płozach mieli przylecieć naukowcy. Werner poprosił Igora i Marty'ego o listę ewentualnego dodatkowego sprzętu, którego potrzebowali, żeby można go było załadować na pokład frachtowca.

– Aha, Igor, mam dla ciebie wiadomość od doktor Klein. –
Podał Rosjaninowi kawałek papieru.

Igor przeczytał ją i chrząknął.

– To chyba złe wieści – mruknął Mercer, składając naczynia w stosik, który miała zabrać Ingrid, pomoc kuchenna, z którą Marty przespał się na „Njoerdzie”.

– Da, nie zdąży na jutrzejszy lot. Musi poczekać dwa dni na pierwszy helikopter z zaopatrzeniem.

– A co się stało?

– Nie wiem. Jakiś wypadek, tyle mówią.

– Nie mam do niej pretensji, że chciała uniknąć zabawy w budowanie – stwierdził Marty Bishop, ciężko wzdychając.

– Nie wydaje mi się, żeby się leniła. – Igor stanął w jej obronie. – Nie poznałem jej osobiście, ale jej podanie o dołączenie do mojego zespołu robiło wrażenie. Zdobyła najwyższe szczyty na czterech kontynentach, łącznie z masywem Vinsona, najwyższym punktem Antarktydy. Prawie udało jej się wspiąć na Everest. Pracuje jako lekarz w największym szpitalu w Monachium i opublikowała kilka artykułów o stresie pourazowym. Gdy skontaktowałem się z osobami, od których miała referencje, wszyscy dali jej najwyższe oceny.

– To istotnie robi wrażenie – przyznał Ira. Igor się uśmiechnął.

– Przysłała podanie ze zdjęciem. Chcesz wrażenia? Poczekaj, aż ją zobaczysz. – Złożył palce i cmoknął w nie jak Włoch. – Piękna.

Sanie ważyły prawie sto kilogramów i zostały zaprojektowane do holowania przez pojazd. Gdy trzeciego ranka rozpoczęli badania, próbowali użyć land cruisera, ale nierówny teren sprawiał, że trudno było go prowadzić, więc ludzie musieli pchać georadar. Było to męczące zadanie, biorąc pod uwagę, że miejsce ich badań znajdowało się na długim stoku. Każde wchodzenie pod górę sprawiało, że ciężko dyszeli i byli zgrzani.

Dziękowali losowi, że obszar poszukiwań nie był jeszcze większy.

Ponieważ Camp Decade osadzony był na podlodowym wzniesieniu, tkwił w miejscu, gdy wokół niego przesunął się lodowiec. Towarzystwo Kartografów poprosiło Geo-Research o założenie nowego obozu w odległości czterystu metrów od punktu, gdzie ukryty był Camp Decade. Podczas czwartego przejazdu saniami natknęli się na bazę. Odkrycie ucieszyło ich, choć wiedzieli, że to dopiero początek. Teraz musieli zrekonstruować plan całego obiektu i zlokalizować główne wejście, żeby wydrążyć tam szyb.

Camp Decade przypominał kształtem wielką literę „H”. Jedna noga zawierała magazyny i przestronny garaż, który kiedyś miał wyjazd na powierzchnię. Druga była przeznaczona na pomieszczenia dla załogi i laboratoria, a obydwie segmenty łączyła część administracyjna. Z kompleksem połączonych było wiele bocznych pomieszczeń oraz długi tunel prowadzący z garażu do

małego reaktora nuklearnego, który zasilał bazę. Siły Powietrzne zapewniły Towarzystwo Kartografów, że nigdy nie było tam wycieku radioaktywnego, a wśród niewielu rzeczy zabranych przy opuszczaniu obozu z pewnością był reaktor.

Obserwując monitor georadaru, który odślaniał niewyraźne cienie tego, co znajdowało się dziesięć metrów pod nimi, Mercer ukradkowo rzucił okiem na wypożyczony w Islandii licznik Geigera. Był to stary model CDV-700 6A firmy Victoreen, który wydebił od Thorsteinn Jonsson, dyrektora małego muzeum geologii w Reykjavíku. Nie widział się z nim, odkąd ten wulkanolog zorganizował konferencję, dla której Mercer lata temu po raz pierwszy przyjechał na Islandię. Dyrektor nie bardzo chciał wypożyczyć swój jedyny licznik, dopóki Mercer nie dał mu studolarowej „opłaty za pożyczenie”.

Zdjęcie wyniszczonego rakiem Stefanssona Rosmundera było zbyt poruszające, żeby uwierzył zapewnieniom Sił Powietrznych. Jeszcze przed brzaskiem wstał i obszedł cały teren, omiatając lód licznikiem Geigera. Urządzenie kliknęło raptem kilka razy, co oznaczało naturalne promieniowanie tła. W jednym punkcie, przypuszczalnie nad miejscem, gdzie niegdyś był reaktor, licznik nieco przyśpieszał, ale promieniowanie było daleko poniżej jakichkolwiek niebezpiecznych poziomów.

Nie powiedział pozostałym, co robił rankiem, i teraz też nie zdradził się z tym, że ma licznik. Widział, jak ludzie wpadali w panikę na sam widok jednego z tych niewielkich urządzeń. Dla laików powolne klikanie promieniowania tła brzmiało groźnie jak ogon grzechotnika. Trzymał więc licznik w plecaku wiszącym

z boku sań i używał słuchawek, które dał mu Thorsteinn. Ponieważ był jedyną osobą, która wiedziała, jak obsługiwać georadar, nikt nie zapytał o dodatkowy sprzęt. Gdyby coś znalazł, powiedziałby im natychmiast, ale na półmetku powolnego skanowania czuł, że wojsko powiedziało im prawdę o tym miejscu. W pobliżu Camp Decade nie było żadnego szkodliwego promieniowania.

W południe Mercer przerzucił surowe dane, które zgromadzili, na laptopa, żeby stworzyć cyfrową mapę bazy. Z powodu grubego lodu rozdzielczość była słaba, a obrazy ziarniste i zamazane, ale i tak zawierały wystarczająco dużo szczegółów, żeby rozpoznać poszczególne elementy. Dach Camp Decade nie stanowił przeszkody dla radaru, więc zdjęcia przypominały klisze rentgenowskie. Można było zobaczyć ścianki działowe, a nawet meble. To niesamowite, był pierwszą od pięćdziesięciu lat osobą, która oglądała wnętrze bazy.

Odczuwał również wielką ulgę. Chociaż obiekt był zakotwiczony do stałego podłoża i schowany przed napierającym lodowcem za wielką skałą, aż do teraz miał obawy, czy konstrukcja nie została zmiądzona przez sunący lodowiec. Radarowe skany pokazały, że baza przetrwała ostatnich pięć dekad.

– Dobra, zrobmy przerwę – zarządził Mercer, wyłączając radar i sprawdzając zamontowany na saniach komputer z systemem GPS. – Porównamy te dane z oryginalnymi szkicami inżynierów, którzy zbudowali to miejsce.

W porze lunchu stołówka nawet bez dodatkowych naukowców Geo-Research była przepełniona. Musieli więc poczekać, aż na jednym ze stołów zwolni się wystarczająco dużo miejsca,

żeby rozłożyć się ze swoimi papierami. Oryginalne rysunki zostały zeskanowane i wrzucone do komputera, więc Mercer mógł otworzyć ciemne obrazy z przedpołudnia i nałożyć je na szkice architektoniczne. Natychmiast zorientowali obydwie warstwy ze sobą i zobaczyli, że zeskanowali tylko jedną trzecią obszernego kompleksu. To jednak wystarczyło, żeby przewidzieć lokalizację głównego wejścia i ustawić jego współrzędne GPS.

Mercer wskazał punkt na ekranie komputera.

– To tu, gdzie znak „X”.

– Jesteś pewien?

– Sądzisz, że mam ochotę kopać tam dwie dziury? Jeśli się zgadzasz, Marty, możemy zacząć drążyć tunel w śniegu, żeby dotrzeć do bazy.

– Po to tu przyjechaliśmy – odpowiedział Bishop. – Może pójdziecie oznaczyć obszar nad wejściem? Ty, Ira, podjedź tam snowcatem z żurawiem i pługiem śnieżnym, weź ze sobą panele i podgrzewacze. Powiem Wernerowi, że potrzebujemy na jakiś czas jednego z jego ludzi.

– Brzmi jak plan – przytaknął Mercer.

– Jak idą wam poszukiwania? – Igor Bułgarin pojawił się w stołówce z Erwinem Puhlem. Obydwaj mężczyźni właśnie weszli i byli cali w śniegu.

– o Boże! – Twarz Iry zmieniła się w maskę przerażenia. – Yeti! Rycząc ze śmiechu, Rosjanin objął wielkim ramieniem znacznie niższego Puhla.

– A oto Pani Yeti.

– Zlokalizowaliśmy już wejście, Igor. Zamierzamy właśnie zacząć kopać.

– Tak szybko? – ożywił się Bułgarin. – Wy, Amerykanie, ja nie wiem, jak wy to robicie.

– Rozumiem, że meteorytów nie znaleźliście? Znowu się zaśmiał.

– Sukces jak podczas całej wyprawy znajdę jeden albo dwa.

– Jak tam grupa Koeniga? – spytał Mercer.

– Wszystkie ranek próbują zamontować wieżyczkę wiertniczą na jednej z przyczep, żeby była znośna.

– Przenośna – poprawił go Erwin. – Znośne może być jechanie.

– Ta kawa nie jest.

– Da, przenośna. Nie idzie dobrze, sądzę. – Zmarszczył brwi. – Niemcy podobno są dobrymi inżynierami. A ci tu, ech! Jak dzieci z klockami.

– A ty, Erwin? – spytał Mercer. – Jakie prognozy pogody?

– Tego nie potrafię ci powiedzieć. – Puhl zdjął kurtkę. – Ale musisz liczyć się z tym, że telefony satelitarne i radia przez jakiś czas nie będą miały najlepszego odbioru.

– Zakłócenia atmosferyczne? Naukowiec przytaknął.

– A to dopiero początek. Kilka dni później będziemy mogli zapomnieć o kontaktowaniu się z „Njoerdem” poza krótkimi momentami spokoju, gdy wiatr słoneczny słabnie.

– Erwin uważa, że kilka satelitów komunikacyjnych może być kaput z powodu promieniowania – dodał Igor.

Marty wstał. – Więc bierzmy się do roboty. Chciałbym skontaktować się z ojcem i powiedzieć mu, że dotarliśmy do bazy, zanim łączność się pogorszy.

Włożenie kurtek i butów, właściwe zapięcie i zabezpieczenie rzepów wokół rękawic zajęło im kilka minut. Nie było aż tak zimno, żeby potrzebowali masek ochronnych, ale każdy, kto wchodził lub wychodził ze stołówki, był tak okutany, że widać mu było tylko oczy. Mercer włożył okulary alpinistyczne, otworzył drzwi i ruszył pochylony pod wiatr, który podniósł gęstą śnieżną mgłę.

Zauważył, że pomiędzy budynkami na wysokości talii rozpięto liny, żeby nikt nie zgubił się w zamieci. Zdarzało się, że podczas burz śnieżnych ludzie tracili orientację i zamarziali zaledwie kilka metrów od obozu.

Mercer wyznaczył, którędy będzie biegł szyb, i, czekając na pozostałych, badał pokrywą śnieżną. Kiedy ocenił nachylenie stoku i sprawdził w dłoniach konsystencję śniegu, stwierdził, że sporą część nagromadzonego materiału zdołają odgarnąć snowcatem z pługiem.

W wyciu wiatru usłyszał głos swojego dawno zmarłego dziadka, brygadzysty w kamieniołomie w Barre, w stanie Vermont. „Nigdy nie rób sam tego, co może zrobić za ciebie maszyna”. Mercer uśmiechnął się na to wspomnienie. Odgarnięcie większości wierzchniego śniegu zaoszczędzi im kilku dni katorżniczej pracy. Szybciej dostaną się do głębokości, na której będą już mogli użyć podgrzewaczy.

Gdy Ira i Marty dotarli na miejsce z Bernhardtem Hoffmannem, młodym pracownikiem Geo-Research, Mercer wyjaśnił im swój plan. Zaczęli drążyć wykop nad wejściem, za każdym przejazdem snowcata usuwając piętnastocentymetrową warstwę ziarnistego lodu. Aby nachylenie wykopu nie było zbyt duże, powstał rów długi na ponad dwieście metrów. Jak ciągnik orzący ciągle tę samą część pola pojazd śnieżny kopał coraz głębiej, aż lodowe ściany wykopu przewyższyły jego dach.

Mercer zatrzymał pracę i wbił łopatę w ściany, sprawdzając ich wytrzymałość. Co prawda lepiej znał się na glebach i skałach, ale był pewien, że rów jest wystarczająco stabilny, żeby wykopać kolejny metr. Przed użyciem chemikaliów zamierzał jeszcze wzmocnić ściany plastikowymi panelami.

W którymś momencie nad obozem przeleciał leciwy transportowy douglas DC-3 z zamontowanymi płozami – wystarczająco nisko, żeby stojący na krawędzi wykopu Mercer skulił się odruchowo. Maszyna przechyliła się na skrzydło, rozbłyskując światłem słonecznym odbitym w iluminatorach, po czym zawróciła pod wiatr. Ustawiła się na wprost prowizorycznego pasa, który ludzie Wernera Koeniga wygładzili snowcatami. Samolot miał co najmniej sześćdziesiąt lat, ale lądował podręcznikowo: kłapy w dół, dziób wysoko podniesiony, tumany śniegu kłębiące się za ryczącymi silnikami gwiazdowymi. Płozy zasyczały na śniegu, a pilot walczył, żeby utrzymać maszynę równo. Scena jak ze starego filmu, pomyślał Mercer, patrząc, jak douglas zawraca i kołuje z powrotem do obozu.

Silniki pozostały włączone, kiedy tylne drzwi otworzyły się i ludzie zaczęli zeskakiwać z nich na ziemię. Mieli na sobie znane już identyczne kombinezony Geo-Research. Wyładowali z samolotu zaopatrzenie z efektywnością dobrze wyszkolonych żołnierzy raczej niż grupy naukowców. Na lodzie powstał stos skrzyń i pudełek. Drzwi zamknęły się i samolot od kołował na pas startowy. Wznosił się dopiero w powietrze, kiedy dwa snowcaty podjechały już do oczekujących ludzi i ładunek został przeniesiony na przyczepy. W sumie samolot spędził na ziemi niecałych dziesięć minut, – Może nie potrafią ustawić wieży wiertniczej, ale z pewnością wiedzą, jak rozładować samolot – powiedział stojący przy Mercerze Ira.

– Na to wygląda – odparł Mercer. – Znosi się na to, że na obiad będą świeże warzywa i dostaniemy pierwszą pocztę.

– Spodziewasz się dobrych wieści z domu?

Mercer nie odpowiedział. W tym, co właśnie zobaczył, coś go niepokoiło, coś, czego nie potrafił nazwać. Zanim zdążył zebrać myśli, rozległ się kolejny huk. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i się odwrócił. Góry oddzielające obóz od wybrzeża były oddalone o dwadzieścia, trzydzieści kilometrów, ale przy tak przejrzystym powietrzu był w stanie na jednym ze zboczy dostrzec nabierającą pędu lawinę – białą falę lodu i śniegu, która runęła wąską doliną jak betonowy walec.

– Spójrzcie! – Kamera wideo Marty’ego była wyposażona w teleobiektyw.

Lawina wciąż przyśpieszała. Kiedy przetaczała się doliną, jej cielsko zakręcało na każdym załamaniu terenu. W kilka

sekund dotarła do podnóża góry, rozsypała na pokrywie śnieżnej i zatrzymała, zużywwszy całą energię. Nad ziemią zawisła chmura śnieżnego pyłu.

– Czy to normalne? – zapytał Bishop.

– Wczoraj wieczorem pytałem Erwina o lawiny – odparł Ira.

– Mówił, że zdziwiłby się, gdybyśmy jakąś zobaczyli. Globalne ocieplenie zmieniło tutejszy klimat. Jego zdaniem opady śniegu są mniejsze niż kiedykolwiek, a gór lodowych jest mniej i nie są tak wielkie. Zdjęcia lotnicze gór na północ stąd pokazują nagie skały, które nie były odsłonięte od setek, a nawet tysięcy lat.

O szóstej po południu Marty zarządził koniec pracy. Wykop był głęboki na prawie pięć metrów, a nacisk śniegu ubił materiał na dnie wystarczająco, żeby Mercer następnego ranka mógł rozpocząć proces topienia.

Z dodatkowymi naukowcami Geo-Research w mesie nie było wystarczająco miejsca dla wszystkich, więc kolację serwowano w dwóch turach. W połowie posiłku Greta Schmidt podeszła do ich stołu z plikiem papierów w ręku. Mercer prawie nie widywał jej od zejścia z „Njoerda”, a gdy już na nią wpadał, widział, że jej zachowanie nie zmieniło się od czasu ich pierwszej konfrontacji w hotelu Borg. Zauważył również, że wielu ludzi z Geo-Research podlegało bardziej jej niż Wernerowi. Jej związek z kimś, kto kupił firmę badawczą od Koeniga, dał jej ogromną władzę.

– Samolot przywiózł pocztę. To przyszło do was. – Położyła listy i koperty na stole, zatrzymując jedną w dłoni. – Przyszędł

także list z amerykańskim znaczkiem, ale nie znam nazwiska na kopercie.

Mercerowi żołądek podszedł do gardła. Wiedział, że to do niego, i wiedział, kto był nadawcą.

– Jakie nazwisko? Sprawdziła adres.

– Pan T. Ampon.

Rumieniąc się ze wstydu, kiedy pozostali wybuchnęli śmiechem, Mercer sięgnął po grubą kopertę, którą wysłał do niego Harry White. Schmidt wyczuła, że stała się ofiarą żartu i odeszła pośpiesznie.

– Od kogo to? – zapytał Ira.

– Przyjaciel przekazuje mi moją pocztę. – Mercer zauważył, że jego prawdziwe nazwisko napisano maleńką czcionką pod pogrubionym „T. Ampon”. – Od zawsze próbuję mu wytłumaczyć, że to nie jest śmieszne.

Gdy rozdarł kopertę i wytrząsnął jej zawartość na stół, kaskada ulotek reklamowych wysypała się jak konfetti. Były tam oferty kart kredytowych, formularze loterii, katalogi firm, o których Mercer nigdy nawet nie słyszał, i pięć mandatów za złe parkowanie, wystawionych już po jego wyjeździe z Waszyngtonu. Harry dołączył ponadto do pakietu swoje rachunki i ostre w tonie żądanie zapłaty zaległego czynszu za jego mieszkanie, położone kilka przecznic od Mercera. Na dnie sterty był ręcznie napisany list. Chichocząc podczas czytania, Mercer próbował zgadywać, co, jeśli cokolwiek, było tu żartem, i miał wielką nadzieję, że postscriptum.

„Drogi Mercerze!

Wybacz, nie wiedziałem, co jest istotne, więc wysłałem jak leci wszystko, co dostałeś do tej pory. Spieszyłem się, więc w Twoich papierach mogło zaplatać się kilka moich rachunków. Jeśli to nie problem, nie krępuj się i opłać je, a ja ci zwrócę. Możesz być spokojny.

Ponadto znowu skończył Ci się jack daniels, więc podrobiłem Twój czek w sklepie monopolowym. Bo chyba masz na koncie czterysta dolarów, prawda? A tak przy okazji, nie dostałbym tych mandatów, gdybyś miał naklejkę inwalidzką na swoim jaguarze. Kwestia do przemyślenia.

Nie pozwól, żeby odmarzły ci jaja, Harry.

PS. Tiny powiedział, że pokryje koszty wypolerowania tej rysy na Twoim aucie”.

Późnym popołudniem następnego dnia dostali się do głównego wejścia Camp Decade. Podgrzewacze działały niezawodnie, a jedyna pompa, którą zabrali na lodowiec, skutecznie osuszała półtorametrowej średnicy szyb z wody roztopowej. Najbardziej czasochłonną częścią pracy było obudowywanie ścian plastikiem, aby zapobiec ich zapadnięciu. Mercer i Bern Hoffmann większość czasu spędzili na dnie wykopu. Na nogach mieli gumowe buty, które co prawda nie izolowały ich od zimna, ale chroniły przed wodą. Ira i Marty dostarczali im podgrzewacze i dolewali paliwa do pompy.

Mercer zaplanował szyb tak, żeby kończył się około trzydziestu centymetrów przed wejściem do Camp Decade. W ten sposób lodowa ściana stawała się zaporą oddzielającą wodę roztopową od obiektu. Poprzez trzydzieści centymetrów lodu

widział zniekształcony obraz elewacji z blachy falistej i prostą tabliczkę na drzwiach.

– Jesteśmy już prawie gotowi – krzyknął. – Chcę dać jeszcze jedną porcję podgrzewaczy, żeby stworzyć zbiornik poniżej poziomu bazy. Ciepło naszych ciał roztopi trochę lodu i mogliśmy mieć problem z odpływem.

– Dobrze – odpowiedział Marty. – Mam na haku kolejny pojemnik. Już zjeżdża.

Mercer spojrział w górę. Woda kapiała z góry jak deszcz. Gruby plastik, którym wyłożony był wykop, podtrzymywał lodowe ściany, ale złącza nie były wodoszczelne. Krople dzwoniły miarowo o jego kask, sprawiając, że czuł się jakby był na dnie studni, do której ludzie wrzucają monety. Snowcat z żurawiem stanął na samej krawędzi szybu. Na linie zwisał stusześódziesięciolitrowy pojemnik.

Sięgając w górę dłonią w rękawicy, chwycił dolną krawędź pojemnika, gdy już go dosięgał, i ściągnął go na dół.

– Okej, Marty, mamy to.

Robili to już tyle razy, że ich ruchy stały się niemal automatyczne. Gdy Bern otwierał wieko pojemnika, Mercer umieszczał wlot pompy w głębszej części wykopu przeznaczonej na gromadzącą się wodę. Młody Niemiec bez trudu nauczył się aplikowania niebieskich granulek. Musieli pracować szybko, ponieważ lód topniał natychmiast, gdy zetknął się z chemikaliami. W mgnieniu oka cały zbiornik wypełniła niebieska woda. Chemikalia w połączeniu z nią miały zapach nawozu. Pompa pracowała z pełną mocą i szybko wyciągała roztop na

powierzchnię. Mercer domyślał się, że mieszanica stworzyła przy wylocie pompy obrzydliwą niebieską kałużę.

Już po kwadransie pompa zaczęła wciągać powietrze. Kolejnych kilkanaście centymetrów lodu zniknęło w pompie.

– No, chyba jesteśmy gotowi. – Mercer łyknął gatorade z dużego termosu. Ponieważ na lodowcu nie było praktycznie wilgoci, na liście zagrożeń znajdowało się także odwodnienie. Złożył ręce przy ustach, żeby krzyknąć do Marty’ego. Zdecydowali już, żeby śmigłowiec, którym będzie leciała Anika Klein, przywiózł im krótkofalówki. – Podeslij piłę łańcuchową. Jesteśmy gotowi do otwarcia bazy.

– To może wyjdiesz na górę i pozwolisz otworzyć mnie? – rozległo się echo głosu Marty’ego. – Bern niech zostanie, ktoś musi trzymać kamerę, żeby nagrać film dla mojego ojca.

– Tak z pojemnikiem. – Mercer wiele dałby, żeby wejść do Camp Decade pierwszy, ale rzeczywiście ten zaszczyt należał się Marty’emu. Jego ojciec stacjonował kiedyś tutaj i to on pokrywał koszty wyprawy.

W wąskim skrawku nieba widocznym z wykopu sypał śnieg, a wiatr wył nad snowcatem. Kiedy jednak Mercer wyszedł z beczki, której używali jako windy, ściany wykopu osłoniły go przed furią żywiołu. Ira podał mu srebrną piersiówkę, ciepłą jeszcze od jego ciała. Mercer wziął łyk szkockiej, wstrzymując oddech, gdy poczuł w przełyku jej płomień.

– Dobra robota tam, na dole – pochwalił Ira.

– Dziękuję. – Mercer wziął jeszcze jeden łyk i oddał pierścionek Irze. – Marty powinien poradzić sobie piłą łańcuchową z tym lodem w dziesięć, piętnaście minut.

Jazgot piły wzmocniony był jeszcze echem powstałym w szybie. Za każdym razem, gdy ostrze wgrzyzało się w lód, Mercerem wstrząsały dreszcze. To było gorsze niż borowanie zęba. Kiedy piła wreszcie zamilkła, Ira wrzasnęła w głąb szybu:

– Da się otworzyć drzwi?

– Tak, jeszcze chwila. Filmuję tabliczkę.

– Co jest na niej napisane? – zapytał Mercer.

– „Camp Decade, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych”. Poniżej jakiś żartowniś dopisał: „Porzucicie nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie”. Jak tylko otworzymy zewnętrzne drzwi, możecie, chłopaki, schodzić.

– Jak tylko dasz sygnał.

Mercer usłyszał w dole głos Marty’ego. Domyślał się, że ten mówił jakiś tekst przygotowany na potrzeby filmu, i że był skierowany do ojca. Chwilę później usłyszał metal trący o metal – to drzwi otworzyły się z jękiem sprzeciwu.

– Jesteśmy w środku! – zawołał Marty. – Stoimy w czymś w rodzaju przedsionka. Jakieś trzy metry dalej są kolejne drzwi. Wszystkie ściany wyglądają dobrze. Są tylko trochę powyginane.

– A jak podłogi?

– Trochę nierówne i gdzieś tam oblodzone, ale wyglądają dobrze. Drewno nie spróchniało.

– Możemy zejść na dół? – dopytywał Ira.

– Tak, Bem wraca na górę. Nie zapomnijcie latarek.

Gdy Bem Hoffmann dotarł na powierzchnię, Mercer i Ira zjechali na dno szybu. Światło wpadające z góry ledwo docierało do wewnętrznych drzwi przedsionka, włączyli więc swoje zasilane czterema bateriami latarki Maglite.

Po obu stronach wejścia stały wieszaki na ubrania, pod którymi umieszczono kratki ułatwiające odpływ roztopionego śniegu z butów. Tutaj mieszkańcy bazy przygotowywali się do wyjścia na lodowiec. Znak na ścianie ostrzegał przed wychodzeniem na zewnątrz w wilgotnych skarpetkach. Właściwa część obozu zaczynała się za kolejnymi drzwiami.

– No, dalej, Marty – zachęcał Ira. – Zróbmy to.

– Chwileczkę. – Bishop zwrócił się do swojego zespołu, kamerę już wyłączył. – To zabawne. Nie chciałem tu przyjeżdżać. Uważałem, że ojciec zawraca mi głowę, prosząc mnie o to. Ale teraz, gdy tu jesteśmy, na chwilę przed wejściem do bazy, naprawdę cieszę się, że to zrobiłem. – Jego głos był pełen emocji. – Chciałbym wam podziękować za to, że jesteście tu ze mną. Ira, wiem, że tobie za to płacą, ale zrobiłeś już więcej, niż powinieneś. A bez ciebie, Mercer – dodał z uśmiechem – nadal bylibyśmy na powierzchni, próbując dokopać się tu łopatami.

Kolejne drzwi otworzyły się cicho, jakby zostały naoliwione poprzedniego dnia. Latarki rozświetlały ciemności ledwo ledwo. Marty miał silną lampę przy kamerze, ale wciąż było zbyt ciemno. Cienka warstwa lodu na podłodze powstała z zamarzonej wilgoci – ślad po ludziach, którzy oddychali tu ileś dekad wcześniej. Było tak cicho, że słyszeli każdy swój krok.

Wszyscy byli przejęci, dreszcze mieli nie tylko z zimna. W bazie panowała niesamowita atmosfera. Wszystko wydawało się przytłumione, jak za szkłem, w zwolnionym tempie. Czas zapomniał o Camp Decade, a mimo to podświadomie oczekiwali, że usłyszą głosy albo zobaczą kogoś wyłaniającego się z cienia i żądającego wyjaśnień. To miejsce należało do duchów.

Za wejściem znajdował się hol, który rozgałęział się w kształcie litery T. Po lewej stronie był garaż, magazyn i komora reaktora. Po prawej – sypialnie i laboratoria. Nie musieli głosować – zgodnie skęcili w prawo. Ściany zrobiono z pomalowanej sklejki, uzupełnionej warstwą izolacji i blachy falistej. W kilku miejscach, gdzie lód wydarł w ścianach dziury, na podłodze powstały zaspasy śniegu. Gdzieniegdzie dach nieco się ZAŁAMAŁ przez co lód i śnieg uformowały hałdy niemal blokujące przejście. Wiele zatorów można było łatwo pokonać, ale jeden prawie zablokował korytarz, zmuszając ich do przeciskania się na brzuchu.

Zatrzymywali się w każdych mijanych drzwiach i oświetlali latarkami gabinety.

– Kapsuła z przeszłości – skomentował w pewnym momencie Ira. Siły Powietrzne zostawiły dużo sprzętu: maszyny do pisania, powielacz, meble z czasów II wojny.

– Tata powiedział, że taniej było zostawić to wszystko tutaj, niż transportować samolotami z powrotem do Stanów. Zabrano tylko rzeczy osobiste, reaktor i pięć pojazdów śnieżnych trzymany w garażu – wyjaśnił Marty.

– Jesteś pewien co do reaktora? – zapytał Ira półzartem.

– Oczywiście – odpowiedział sarkastycznie Mercer. – Przecież mówimy tu o rządzie.

Dotarli do skrzyżowania, które dzieliło tę odnogę bazy na dwie części. Skręcając w lewo, Marty poprowadził ich w stronę sypialń. Było ich osiem po każdej stronie głównego korytarza – identyczne pomieszczenia jakieś dziesięć na dziesięć metrów, z rzędami takich samych piętrowych łóżek. Żołnierze, którzy tu stacjonowali, zabrali swoje szafki nocne, ale nadal pozostało sporo rzeczy osobistych. Nad kilkoma łóżkami wisiały zdjęcia kobiet, które dziś zostałyby uznane za puszyste, ubranych w kostiumy kąpielowe odsłaniające mniej ciała niż przeciętna sukienka koktajlowa.

Mężczyźni przeszli przez stołówkę i kolejne pomieszczenie, które było pokojem rekreacyjnym dla żołnierzy, z kilkoma stołami bilardowymi i stolikami karcianymi. Dalej korytarz kończył się drzwiami do łazienki wyłożonej kafelkami, wystarczająco dużej dla kilkuset ludzi.

– Oficerowie musieli być zakwaterowani w innej części bazy – doszedł do wniosku Ira.

– Słusznie. – Marty miał pretensję do siebie. – Skręcając w ten korytarz, minęliśmy jedne drzwi. To tam mieli swoje kwatery. Mój ojciec mieszkał w pokoju numer 12.

Mercer skorygował w myślach mapę bazy. W miejscu, gdzie środek litery „H” przechodził w prawą odnogę, musiał być dodatkowy korytarz. Idąc po swoich śladach, Marty wrócił do pierwszego skrzyżowania.

– Spójrzcie na to – wskazał tabliczkę na drzwiach, które poprzednio zignorowali. – „Wstęp tylko dla oficerów”.

Poprowadził ich korytarzem, czytając numery po każdej stronie.

Mercer się ociągał. Rozumiał, że Marty chciał zobaczyć pokój, w którym mieszkał jego ojciec, ale pośpiech i brak ostrożności były niezgodne z jego naturą. Ciągle kierował światło na sufit i ściany, żeby upewnić się, że są solidne, i zaglądał do każdego pomieszczenia, które mijali. Pokoje oficerskie w porównaniu z żołnierskimi były luksusowe, ale również małe. W każdym stało pojedyncze łóżko, biurko i szafa. Gdy Marty zatrzymał się przed pokojem numer 12, żeby wygłosić przed kamerą przemówienie do przyszłych pokoleń, Mercer wetknął głowę do pokoju numer 10.

I zamarł.

Usłyszał, jak Marty mówi do Iry Lasko:

– To wygląda dokładnie tak, jak opisał mój ojciec.

Otwierając szerzej drzwi ramieniem i kierując latarkę na łóżko, Mercer zwrócił się w stronę kolegów.

– A wspominał coś o tym trupie?

Na łóżku leżał ciemnowłosa mężczyzna ubrany w skórzaną kurtkę. Mróz z mumifikował jego ciało.

– Mój Boże!

– Kto to?

Mercer przyjrzał się ciału raz jeszcze i dostrzegł skrzydła wyhaftowane na ocieplanej futrem kurtce.

– Panowie, przedstawiam wam majora Jacka Delaney, pilota C-97, który rozbił się trzy miesiące przed zamknięciem Camp Decade.

HAMBURG, NIEMCY

Pot zalewał mu twarz. Klaus Raeder odskoczył w tył, a pokryta bliznami pięść minęła jego szczękę o milimetry od celu. Okręcił się i kontratakował wysokim kopnięciem, które jego przeciwnik zbił zgrabnym blokiem. Nie przerywając obrotu, Raeder postawił nogę na ziemi i kopnął drugą, trafiając bosą stopą w brzuch rywala.

Mężczyzna zgiął się w pół, ledwie dysząc, i przez chwilę Raeder bał się, że zrobił mu krzywdę. Opuścił gardę i wytarł dłonie w luźne spodnie judoki. Jego przeciwnik wyczuł chwilę nieuwagi i zerwał się do ataku, zasypując go lawiną wściekłych ciosów i kopnięć. Raeder musiał wycofać się, blokując uderzenia instynktownie, bo były zbyt szybkie, żeby miał czas pomyśleć. Instynkt podpowiedział mu też, że zbliżał się do lustrzanej ściany. Kolejny cios w twarz zablokował między skrzyżowanymi nadgarstkami, skręcił ciało tak, że jego przeciwnik stracił równowagę, po czym podciął go kolanem, odrywając sparingpartnera od podłogi. Był zbyt blisko przegranej, żeby teraz martwić się o kontuzje.

Wykonał idealny rzut, z łatwością przewracając dziewięćdziesięciokilogramowego mężczyznę. Przetoczył się płynnie, podniósł na kolana, chwycił leżącego na wznak przeciwnika za nogę i zamachnął się, by wbić mu zęby w potylicę.

– Dość – wychrypiał Gunther Rath.

Oczy Readera były zamglone żądzą krwi, jego umysł – pochłonięty myślą o absolutnym zwycięstwie. Był tak bliski zadania śmiertelnego ciosu, że z trudem zmusił się do odsunięcia i uderzenia pięścią w miękką matę, żeby dać upust swojej agresji.

Furia minęła równie szybko, jak go opanowała. Wstał i wyciągnął rękę do swojego dyrektora od projektów specjalnych. Jego przystojną twarz rozświetlił triumfalny uśmiech.

– Przez chwilę myślałem, że mnie pokonasz.

– Przez chwilę prawie cię pokonałem – odpowiedział Rath. Cios w gardło, który zainkasował, gdy był instruktorem judo, uszkodził jego struny głosowe. Każde słowo zgrzytało, jakby szlifowane papierem ściernym.

Chrapliwy głos, wielokrotnie złamany nos i potężna sylwetka sprawiały, że Rath wyglądał groźnie i ludzie raczej schodzili mu z drogi. Z powodu jego postury brano go też za tępaka, ale Klaus Raeder szybko dostrzegł jego spryt.

Znalazł Ratha we wschodnich Niemczech podczas wyjątkowo trudnego przejścia firmy. W 1991 roku Raeder próbował kupić fabrykę przemysłowych bojlerów, ale tworzącym się związkom zawodowym nie podobały się warunki umowy, co mogło zablokować transakcję. Opóźnienie tak wywindowało cenę zakupu, że kupno było nieopłacalne. Ale Raeder się nie poddał.

Nigdy nie pozwalał, by prawo przeszkodziło mu w realizacji planów, zaczął więc szukać bardzo konkretnego rozwiązania.

Kilka dyskretnych rozmów doprowadziło go do Gunthera Ratha, byłego medalisty olimpijskiego w judo, pracującego dla jednego z mafiosów jako ktoś, kto przedstawia propozycję nie do odrzucenia. Gdy spotkali się po raz pierwszy, Raeder dostrzegł w Guntherze potencjał. Stać go było na więcej niż zastraszanie, którym się parał. Chaos, jaki zapanował po upadku komunizmu, dawał niesłychane możliwości, jeśli tylko miało się wizję i wolę. Raeder dostrzegał szansę na duże zyski we wschodnich Niemczech i wiedział, że Gunther Rath, ze swoimi nielegalnymi kontaktami, będzie przepustką do świetnych interesów.

Raeder złożył mu propozycję: rozbić związków zawodowych w zamian za posadę w firmie Raedera. Rath nigdy nie sądził, że jego specyficzne umiejętności mogą być przydatne w legalnym biznesie, wykorzystał więc szansę ucieczki ze swojego świata. Miał okazję rozpocząć wszystko od nowa i odciąć się od błędów, które popełnił, i znalazł się tam, gdzie jest. Problem związków zniknął, gdy podpalono dom szefa związków, a jego rodzina ledwo uszła z życiem.

Gdy Klaus Raeder prowadził interesy w byłych wschodnich Niemczech, korzystał z usług Ratha, który wywierał presję na kontrahentów. Jednakże do czasu, gdy Klausem Raederem zainteresował się koncern Kohl AG, ci dwaj nieco złągodzili swoje metody, ponieważ sama ich reputacja była wystarczająco przerażająca. Gdy Reinhardt Wurmbach, radca prawny Kohl AG, stwierdził, że w firmie nie ma miejsca dla Ratha, Raeder

zagroził, że nie przyjmie posady prezesa, jeśli Rath nie zostanie mianowany dyrektorem do spraw projektów specjalnych.

Gunther Rath zaczął uczyć Raedera sztuk walki na początku ich znajomości. Raeder okazał się bardzo zdolnym uczniem, szybko dorównując nauczycielowi. Teraz był nawet lepszy niż Rath i uwielbiał to udowodniać. Ci dwaj walczyli ze sobą tysiące razy, ale ich treningi nigdy nie były nudne, ponieważ obydwu rozpierała ambicja. Była to w takim samym stopniu konfrontacja umiejętności i ego.

Zanim oddali pierwszy cios, zaczął dzwonić telefon.

Raeder skłonił się Rathowi i odszedł.

Dojo urządzone było w piwnicy willi Raedera w najlepszej dzielnicy Hamburga, Blankenese – stuletnim domu wielkości zamku. Raeder kupił go, gdy zaczął pracować w Kohl AG, z zątechłej piwnicy na wino zrobił nowoczesną siłownię. Po bokach pomieszczenia z lustrami ustawił sprzęt do ćwiczeń i ławki do podnoszenia ciężarów.

Telefon stał na stole przy schodach prowadzących na parter.

– Raeder.

– Herr Raeder, mówi Ernst Neuhaus. – W głosie szefa oddziału Geo-Research w Reykjaviku słyhać było wzburzenie.

– Tak, o co chodzi? – Raeder spojrział na zegar ścienny i stwierdził, że nie było nawet szóstej rano. W Islandii była piąta, a na Grenlandii jeszcze godzinę wcześniej.

– Proszę pana, mieliśmy problemy z łącznością na Grenlandii. W przeciwnym razie zostałby pan poinformowany jeszcze zeszłej nocy.

– Co się stało? – Raedera ścisnęło w żołądku. Neuhaus mówił służalczym tonem, a to nigdy nie wróżyło nic dobrego.

– Amerykanie otworzyli już Camp Decade i znaleźli ciało, które zamarzło tam wiele lat temu.

– Czyje? – warknął przerażony tym, co miał zaraz usłyszeć. Jeśli wiadomość była taka, jakiej się obawiał, w mgnieniu oka zrujnowałyby jego misternie przygotowywane plany.

– Wygląda na to, że to ciało pilota amerykańskich Sił Powietrznych.

– Dzięki Bogu – odetchnął Raeder. Gdyby było to ciało kogoś innego, w ciągu kilku godzin Kohl AG przestałaby istnieć. Gunther Rath podszedł do szefa, dostrzegając przelotny wyraz paniki na jego twarzy. Raeder machnął ręką, dając znać, że wszystko w porządku. – Wyszedł cało z katastrofy transportowca w 1953 roku?

– Tak, tak właśnie sądzą – potwierdził szybko Neuhaus. – Amerykanie przypuszczają, że schronienie znalazł we wraku, a żywił się zapasami przeznaczonymi dla bazy Sił Powietrznych w Thule. Niektórzy podejrzewają, że zjadł również swoich towarzyszy.

– Czy ktoś zbadał ciało? – Raeder w zasadzie nie wierzył w to, że ktokolwiek mógłby przetrwać katastrofę w jaskini „Pandory” i dziesięć lat odosobnienia, ale musiał się upewnić.

– Jeszcze nie – powiedział Neuhaus. – Zwłoki są nadal w Camp Decade. Amerykanie chcą ustalić z Siłami Powietrznymi, co robić dalej.

– Nie! – krzyknął Raeder. – Nie można do tego dopuścić. I tak jest tam już zbyt wielu ludzi. USAF będą chciały przysłać ekipę medyczną i żołnierzy, żeby eskortowali ciało do Stanów. – Przerwał zdenerwowany. – Ludzie z Towarzystwa Kartografów nie mogą skontaktować się z kimkolwiek z zewnątrz. Mówcie, że są problemy z łącznością.

– Nawet nie musimy kłamać – stwierdził Neuhaus. – Maksimum słoneczne uniemożliwia korzystanie z telefonów satelitarnych w bazie, a radio działa tylko sporadycznie.

– To dobrze. Upewnijcie się, że ekipa Towarzystwa Kartograficznego pozostanie odcięta. Nikomu oprócz was nie wolno używać radia. – Jeden problem został rozwiązany, przynajmniej tymczasowo. – Nadal chcę, żeby to ciało zostało zbadane.

– To ryzykowne. Żaden z naszych ludzi nie ma dobrego pretekstu, żeby je oglądać.

– Niech to zrobią po kryjomu. – W głosie Raedera była irytacja. Neuhaus powinien był sam wpaść na tak proste rozwiązanie. – Nie chcę tam sekcji zwłok, tylko badanie potwierdzające, że ten człowiek jest rzeczywiście tym, za kogo biorą go Amerykanie. – Dostęp do informacji o projekcie „Pandora” był zastrzeżony, ludzie na stanowiskach takich, jakie zajmował Neuhaus, nie zdawali sobie sprawy, kto jeszcze mógł dostać się do dawno opuszczonej bazy. Raeder naraziłby akcją, tłumacząc znalezienie czyjego ciała tak go przerażało. – Proszę tylko przekazać mój rozkaz.

– Tak jest. – Neuhaus zamilkł na moment. – Ach, Herr Raeder, jeszcze jedno.

– Co takiego?

– Dowiedzieliśmy się, kim jest kobieta, z którą Mercer rozmawiał w Reykjavíku. – Raeder usłyszał, jak jego pracownik rozkłada jakąś kartkę. – Elisebet Rosmunder.

– Kto to taki?

– Jej syn brał udział w poszukiwaniach C-97 w latach pięćdziesiątych. Rosmunder ma ponad osiemdziesiąt lat.

– Obserwujecie ją?

– Tak, proszę pana. Z tego, co możemy powiedzieć, od tamtego spotkania jej zachowanie się nie zmieniło. Nie miała żadnych gości, z nikim się nie spotykała. Czy mamy jej założyć podsłuch?

Raeder rozważał to przez chwilę. Wątpił, żeby zainteresowanie Elisebet Rosmunder Grenlandią wykraczało poza rozbity samolot. Ale dlaczego Mercer się z nią kontaktował? Nie znając związku katastrofy transportowca z projektem „Pandora”, geolog zabrął w ślepią uliczkę.

– Nie, nie musicie zakładać podsłuchu. Obserwujcie ją jeszcze przez kilka dni i jeśli nie zrobi niczego podejrzanego, odpuście. Wydaje mi się, że staruszka to martwy trop. Co mi o czymś przypomina, Ernst. Ostatni członek ekspedycji ma dotrzeć do bazy dziś wieczorem, prawda?

– Anika Klein, przyjeżdża jutro rano – uściślił Neuhaus.

– Okej. Dzień później wysłałam na Grenlandię Gunthera Ratha. Nie wiem, na jak długo będziemy mieć pozwolenie na badania, więc chciałbym zacząć jak najszybciej. Proszę podziękować Wernerowi ode mnie za świetną robotę, bazę zbudowaliście błyskawicznie. Poszło lepiej, niż się spodziewaliśmy. Proszę mu

przekazać, że jak tylko Rath do was dotrze, przejmie dowodzenie operacją. Gdy będzie już na miejscu, znajdziemy jakiś pretekst, żeby ewakuować z bazy wszystkich spoza Geo-Research.

– Tak jest, Herr Raeder.

– Neuhaus dowiedział się, z kim spotkał się Mercer? – zapytał Gunther Rath, jak tylko Raeder odłożył słuchawkę.

– Z jakąś Elisebet Rosmunder. Zupełnie nieistotna. Jej syn brał udział w poszukiwaniu zaginionego C-97.

– Czy biorąc pod uwagę stawkę, mądrze robimy, pozostawiając ją przy życiu?

Raeder nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Jezu, Gunther! Dlaczego, do cholery, w ogóle o to pytasz? Cała operacja została zaplanowana tak, żeby nikt nie ucierpiał, a ty od niechcienia sugerujesz, żebyśmy zabili niewinną kobietę. Odbiło ci?

Rath nie zareagował na reprimendę.

– Klaus, ta operacja daleko wykracza poza to, co dotąd robiliśmy. Jesteśmy bardziej w moim starym świecie niż w twoim. Musimy stosować nadzwyczajne środki ostrożności. Może i przekonałeś zarząd Kohl AG, że usunięcie dowodów z jaskini „Pandory” to czysto biznesowa decyzja, ale wiemy, że to bzdura. To, że twój plan zaoszczędzi firmie masę pieniędzy, nie sprawia, że jest moralny.

– Od niemoralności wciąż bardzo daleko do morderstwa z zimną krwią – odparował Raeder. – Nieważne, ile pieniędzy zaoszczędzilibyśmy, nigdy nie wyraziłbym zgody na morderstwo.

– Ona jest ważnym tropem. Może nam zagrażać.

– Czyja niczego cię nie nauczyłem, Gunther? Na początku musieliśmy stosować twoje metody, żeby dostać, czego chcieliśmy. Ale te czasy minęły.

Wbrew temu, co myślisz, nasz plan opróżnienia jaskini „Pandory” jest decyzją biznesową, niczym więcej. Nie będziemy uciekać się do stosowania przemocy. Nie ma takiej potrzeby.

Raeder stwierdził, że Rath nie wygląda na przekonanego, ale też nic nie mówił. Gunther był zawsze lojalny i Raeder zastanawiał się, dlaczego teraz kwestionował polecenia. Odpowiedź uzyskał szybko.

– Na Grenlandię mogę jechać dopiero na początku przyszłego tygodnia – uprzedził Rath. – W niedzielę wieczorem partia organizuje w Essen zebranie komitetu wykonawczego. Muszę tam być.

Raeder skrzywił się z irytacji. Gunther Rath zrobił ogromne postępy w zmienianiu swojego wizerunku. Nosił szyte na miarę garnitury z Savile Row, jadał w dobrych restauracjach i zwalczył nawet słabość do prostytutek, aby ułożyć sobie życie z jedną kobietą. Jednak wszystkie wysiłki Raedera, by Rath przestał sympatyzować z partią neonazistowską, spęłzyły na niczym. Rath był jej aktywnym członkiem. Niedawno awansował do komitetu wykonawczego, ścisłego kierownictwa ruchu neonazistowskiego.

Fascynacja Ratha faszyzmem miała źródło w jego młodości. Był synem sierżanta w Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg, specjalnej grupie szabrowników łupiącej w czasie wojny europejskich Żydów. Oceniano, że ta mało znana organizacja w samej Holandii ukradła trzy i pół miliarda dolarów, a w Europie na-

grabili za niemal trzystaście miliardów dzisiejszych dolarów po uwzględnieniu inflacji. Co najmniej jedna piąta skatalogowanych dzieł sztuki Zachodu przeszła przez nazistowskie ręce podczas tej zorganizowanej kradzieży.

Ojciec Ratha, niemający wyrzutów sumienia z powodu tego, w czym brał udział, wychowywał syna w przekonaniu, że naziści mieli pełne prawo zrobić to, co zrobili. Już jako nastolatek Gunther Rath dążył do reaktywowania faszyzmu, koszmaru, którego doświadczyła Europa.

Jak na ironię, Klaus Raeder wiedział ze zniszczonych już akt firmy, że złoto wykorzystane przez Kohl AG w projekcie „Pandora” pochodziło od podobnej do ERR grupy szabrowników, która podążała za niemieckim wojskiem w Związku Radzieckim.

– Byłeś na spotkaniu w tym tygodniu – ofuknął go Raeder.
– Co mogło się zmienić w ciągu kilku ostatnich dni, żeby konieczne było kolejne zgromadzenie?

– To było spotkanie grupy roboczej – powiedział sztywno Rath. Raeder pokręcił z wolną głową, w oczach pojawiły się iskierki rozbawienia.

– Grupa robocza, komitet wykonawczy, to brzmi jak nadęta grupa lewackich buntowników. Nigdy nie słyszałem o organizacji, która spotykałaby się równie często, a robiła tak mało.

Gdyby Gunther Rath usłyszał te słowa od kogoś innego, zmasakrowałby go, ale za bardzo szanował swojego pracodawcę. Poza tym z częścią zarzutów musiał się zgodzić. Partia neonazistowska zamiast nieść swoje przesłanie na ulice zajmowała się

głównie wewnętrznymi sporami. Rath był tego świadomy, jednak trudno mu było utrzymać język za zębami i ręce przy sobie.

– Atakowanie tureckich imigrantów i rozwalanie demonstracji Zielonych przez wasze bojówki wystarczy na kilka nagłówków – szydził dalej Raeder – ale w tym tempie zbudowanie waszej Rzeszy zajmie wam tysiąc lat. Na litość boską, Gunther, daj sobie z tym spokój. Faszyzm nigdy nie wróci. Ludzie nie oddadzą już wolności ot, tak. Jest im zbyt wygodnie, żeby robiły na nich wrażenie płomienne przemówienia i spektakle z powiewającymi sztandarami. Poza tym nazizm był kultem jednostki, a nie prawdziwym ruchem politycznym.

– Na tym polegał błąd – odparował Rath. – Hitler zaprowadził kult jednostki, a gdy nie mógł już dłużej przewodzić sprawie, wszystko się zawaliło.

– Zawaliło się, bo amerykańskie bombowce zrównały nasze miasta z ziemią, po której następnie przejechały czołgi aliantów. – Raeder zmienił ton na bardziej ugodowy. – Nie udało mi się nauczyć cię, że kapitalizm jest lepszym ustrojem niż narodowy socjalizm. Trudno. Ale dopóki nie spełni się twoje marzenie, żyjesz w moim świecie i musisz stosować się do moich zasad. W tej chwili potrzebuję cię na Grenlandii. Jeśli jaskinia „Pandory” zostanie odkryta, zanim ją opróżnimy, o zbrodni, której sześćdziesiąt lat temu dokonała twoja ukochana partia, będą trąbić wszystkie telewizje na całym świecie. Przy takiej liczbie trupów antynazistowskie nastroje osiągną apogeum. Nie będziecie w stanie przekonać do swoich racji wystarczającej liczby ludzi, żeby postawić pasjansa.

Raeder wszedł po schodach na drugie piętro willi do swojej sypialni. Zauważył wściekłość, jaka ogarnęła Ratha. Stojąc w marmurowej kabinie prysznicowej z hydromasażem, Raeder zastanawiał się, czyjego przyjaciel jest właściwą osobą do tej szczególnej roboty. Zobowiązania Ratha wobec Raedera i partii nazistowskiej były w tym przypadku zbieżne, ale on sam zachowywał się, jakby jego interes, a w związku z tym również jego metody, wynikały z lojalności wobec partii – czego dowodem była sugestia, by zabić Elisebet Rosmunder. Rath kierujący się dobrem korporacji nigdy by czegoś takiego nie zasugerował.

Wychodząc spod prysznic, Raeder zdał sobie sprawę, że do tej pory Gunther nigdy nie zakwestionował jego polecenia. Teraz jego dyrektor do spraw projektów specjalnych myślał jak nazistowski zbir i Raeder obawiał się, że gdy dotrze na Grenlandię, stanie się jeszcze bardziej nieobliczalny. Miał nadzieję, że po zakończeniu operacji Rath będzie się zachowywał tak jak dawniej. Ale na czas wymazywania nazistowskiej przeszłości firmy Kohl AG będzie musiał trzymać go krótko, jeśli chce uniknąć rozlewu krwi.

BAZA GEO-RESEARCH, GRENLANDIA

Mercer siedział na łóżku, analizując plany opracowane na podstawie ich pomiarów bazy, gdy główne drzwi baraku otworzyły się gwałtownie. Choć jego pokój był na drugim końcu budynku, odczuł spadek temperatury.

– Mercer! Mercer! – zawołał Marty Bishop. – Jesteś tu?

– Tutaj – odkrzyknął Mercer.

– Igor nie żyje.

Te słowa wstrząsnęły Mercerem, żołądek podszedł mu do gardła. Igor nie żyje? obrażenia ani nawet wypadki śmiertelne nie były czymś niespotykanym podczas niebezpiecznych polarnych ekspedycji, ale Igor Bułgarin? Był najbardziej doświadczonym uczestnikiem wyprawy. Z jakiegoś powodu jednak Mercer nie był zdziwiony, że padło na potężnego Rosjanina. Zważywszy na znalezienie ciała majora Delaneya i to, co odkrył tego ranka, Mercer podejrzewał, że coś jest bardzo nie tak z tą wyprawą. Śmierć Igora wydawała się pasującym ogniwem w łańcuchu dziwnych wydarzeń.

Szybko, zanim przestanie jasno myśleć, Mercer odłożył na bok swoje podejrzenia i żał z powodu śmierci Igora. Będzie na

to czas później. Miłe poczucie: „nie musisz być dowódcą” właśnie minęło. Zjawienie się spanikowanego Marty’ego oznaczało, że szefem ekipy Towarzystwa Kartografów będzie właśnie Mercer. Nie wahał się. Zanim Bishop pojawił się w drzwiach jego pokoju, już zapinał kurtkę.

– Co się stało? – zapytał tonem dowódcy, którego unikał do tej pory. Marty patrzył Mercerowi w oczy. Przez chwilę powstrzymywał się od odpowiedzi, wiedząc, że to on miał dowodzić i sam powinien domagać się wyjaśnień. A jednak przyszedł tu kierowany instynktem, aby poinformować o śmierci Igora, który był naturalnym liderem grupy. Nie mógł znieść stanowczości we wzroku Mercera i powiedział bardziej z wdzięcznością niż z urazą.

– Kiedy Bern Hoffmann i ja weszliśmy do Camp Decade dziś rano, odkryliśmy, że nastąpiło osunięcie. W głównym korytarzu zapadła się część dachu, zaraz za miejscem, które było już częściowo zablokowane przez śnieg. Pamiętasz, gdzie musieliśmy się czołgać, żeby dostać się do kwater oficerów? – Mercer przytaknął. – Kawałek dalej, jakieś trzy metry korytarza są wypełnione lodem i śniegiem od podłogi po sufit. Odkopywaliśmy zasy pyłotami i wtedy pod śniegiem znaleźliśmy Igora. Musiał być dokładnie pod lawiną, gdy sufit się zawalił. Był zamrożony.

– Zaprowadź mnie tam.

Słońce schowało się za tak gęstymi chmurami, że nie tworzyły się cienie. Wiatr był pierwotnym żywiołem, który przenikał przez polarny ubiór Mercera. Zacisnął ściągacz kaptura i rzepey na rękawach, aby nie przepuszczały lodowatego powietrza. Przypiął

się do liny i zaczął przedzierać przez śnieg w stronę wejścia do Camp Decade. W tych warunkach rozmowa była niemożliwa, Marty ruszył więc w milczeniu w ślad za nim.

Mercerowi przychodziły do głowy różne możliwości. Igor miał pokój obok niego, Mercer słyszał, jak tamten wychodzi w środku nocy. Pomyślał, że wybierał się po nocną przekąskę lub być może na romantyczną schadzkę, i Mercer szybko znów zapadł w sen. Gdy się obudził, Igora nie było w pokoju i Mercer założył, że już wyszedł do stołówki na śniadanie. Nie zastanawiał się nad tym, zajmując się problemem, na który natknął się podczas skanowania georadarem.

Teraz rosyjski poszukiwacz meteorytów nie żył. Zginął w części obozu, w której nie miał prawa przebywać, zasypany przez lawinę, która nie powinna się była zdarzyć. Mercer nie mógł pozbyć się myśli, że gdyby w nocy zagadnął Igora, Rosjanin byłby wśród żywych. Sumienie Mercera obciążało wiele śmierci, głównie uwięzionych pod ziemią górników, których nie był w stanie uratować, ale byli także inni. Żołnierze. Uchodźcy. Przyjaciele. I, nie znając jeszcze całej prawdy, dodał do tej listy Igora Bułgarina.

Marty krzyknął, żeby zwolnił, ale Mercer zignorował go, wydłużając krok. Nie zatrzymując się, wszedł do beczki i zjechał w dół. Marty będzie musiał ponownie przywołać prowizoryczną windę, gdy dotrze już do pojazdu. Wyskoczył z beczki, jak tylko dotknęła dna, rozpryskując butami wodę z roztopu.

– Poczekaj – zawołał Marty z krawędzi wykopu.

– Uruchom górną pompę – wrzasnął gniewnie Mercer. – Tu jest za dużo wody. Powinieneś być zrobić to z samego rana.

Gdy dotarł do wewnętrznych drzwi, z dołu dobiegło go ciche dudnienie przenośnego generatora. Mercer zaklął pod nosem, w jego ciemnoszarych oczach błysnęła wściekłość. Spojrzał na zegarek i policzył, że Marty i Bern pracowali tu już kilka godzin.

Na pierwszym skrzyżowaniu skręcił w prawo. Korytarz oświetlało kilka przenośnych reflektorów przymocowanych na suficie. W miarę jak Mercer zbliżał się do świateł, hałas generatora narastał. Podobnie jak smród spalin.

Młody Niemiec nie słyszał nadejścia Mercera. Był po drugiej stronie generatora; zgarniał kawałki lodu i sprasowanego śniegu do jednego z pustych pokojów. Mercer podniósł latarkę leżącą obok generatora i wyłączył napędzany benzyną silnik. Reflektory zamrugwały pomarańczowo, po czym zgasły. Ciemność niemal pochłonęła snop światła latarki Mercera.

– Kto tam? Kto wyłączył generator? – Hoffmann wpatrywał się w światło.

Mercer starał się nie wybuchnąć gniewem.

– Wynoś się stąd natychmiast. W chodniku jest mnóstwo tlenku węgla. – Bezwiednie przeszedł na żargon górniczy, w którym tunel nazywany jest chodnikiem.

– Pan Bishop panu nie powiedział? Igor nie żyje.

– Jeśli się stąd nie wyniesiesz, też zginiesz.

Mercer chwycił Berna za kołnierz, stawiając go na nogi. Chłopak zachwiał się i dłonią w rękawicy oparł o ścianę, żeby utrzymać równowagę.

- Uff. – Koszmarny ból głowy sprawił, że zacisnął powieki.
- W płucach masz gaz. Nie czułeś spalin?
- Ja, ale myślałem, że nic nam nie będzie.

Bern ledwo stał, więc Mercer pociągnął go za kurtkę w stronę wyjścia. W smudze światła docierającego z powierzchni widać było, że twarz ma poszarzałą, a oczy załzawione. Świeże zimne powietrze przyprawiło go o tak gwałtowny atak kaszlu, że zwymiotował.

– Marty – krzyknął Mercer w stronę wylotu szybu. – Gdzie jest Ira?

– Greta poprosiła go przy śniadaniu, żeby pomógł naprawić silnik jednego ze snowcatów.

To wyjaśniało, dlaczego ci dwaj postąpili tak głupio. Ira Lasko wiedziałby, że nie wolno uruchamiać generatora w bazie. Tlenek węgla był cięższy od powietrza. Gaz zbierał się tam, gdzie pracowali, i powoli ich zatruwał. W pewnym sensie Igor Bułgarin uratował im życie. Gdyby Marty nie przyszedł po niego, on i Hoffmann zaczadzieliby. Ich ciała znalazłby obok Rosjanina.

– Idź po niego i powiedz, że musimy założyć tu instalację, żeby mieć światło. Potem tu wróc, pomożesz mi wyciągnąć generator z powrotem na powierzchnię.

Marty nie dyskutował. Przyniesienie do tunelu generatora marki Honda to był jego pomysł. Słuchając kaszlu człowieka z Geo-Research, zrozumiał, jak ogromny błąd popełnił.

Mercer klepnął Berna po ramieniu.

– Po prostu zostań tu i oddychaj głęboko, żeby oczyścić płuca. Za kilka minut Marty pomoże ci wrócić do bazy.

Na podłodze w korytarzu była woda z roztopionego śniegu. Mercer nie wiedział, ile dzuli energii wytworzył mały generator, ale wystarczyło, żeby spowodować małą powódź. Kiedy osuszą już zbiornik odpływowy w głównym szybie, trzeba będzie doprowadzić rurę także do bazy. Woda wkrótce by zamarzała, zagrażając pracującym ludziom.

Szedł wolno do miejsca zawалу. Minał wyłączony generator, łopaty i inne narzędzia zniesione tu, żeby oczyścić przejście. W plamie ostrego światła latarki widział dziury w dachu w miejscach, gdzie pod ciężarem śniegu konstrukcja się zawałiła. Można było przewidzieć, że właśnie tutaj dach nie wytrzyma – jego część już się zapadła przez lata, gdy obóz był opuszczony. Nie potrafił jednak wyjaśnić, dlaczego katastrofa nastąpiła akurat wtedy, gdy Igor Bułgarin tędy przechodził. Prawdopodobieństwo było zbyt małe. Badał poskręcany metal i ostre krawędzie poszarpanej sklejki, zastanawiając się, czy Igor zrobił coś z dachem, żeby doprowadzić do awarii.

To również nie miało sensu. A przede wszystkim Mercer chciałby wiedzieć, co Bułgarin tutaj robił?

Skierował latarkę na ciało. Igor leżał twarzą do podłogi, ubrany w niebieską kurtkę z opuszczonym kapturem. Od pasa w dół nadal był przysypany. Choć Marty i Bern usunęli większość śniegu dookoła niego, Mercer zobaczył plamę krwi na lodzie, przy jego potylicy. Ukląkł, żeby przyjrzeć się dokładniej. Wyglądało to tak, jakby duża tafła lodu uderzyła Igora w podstawę czaszki. W kości pod zmierzwionymi włosami dostrzegł wąski, ale głęboki ślad. To mogło być śmiertelne uderzenie.

Mercer widział wystarczająco wiele ran głowy, żeby wiedzieć, jak bardzo krwawią; w tym przypadku krwi było zbyt mało, żeby sądzić, że Igor przeżył uderzenie. Najprawdopodobniej zginął od razu. Nie cierpiał. Za to Mercer był wdzięczny losowi. Mógł sobie wyobrazić cierpienie Igora, gdyby powoli zamarzał na śmierć w tych ciemnościach.

– Wszystko w porządku? – Ira Lasko podszedł po cichu. Mercer wstał i otrzepał rękawice.

– Tak – odpowiedział. – A jak Marty i Bern?

– Z Martym wszystko w porządku, ale Bern rzyga jak kot. Za kilka godzin będzie mu lepiej. – Ira miał kwaśną minę. – To moja wina. Nie powinienem był pozwalać im schodzić tutaj samym. Zuchy mają więcej zdrowego rozsądku niż Marty.

– Powiedział, że naprawiasz snowcata.

– Greta zaczęła mnie przy śniadaniu. Powiedziała, że potrzebują pomocy. Wtrysk paliwa w snowcatach się zatkał. Dieter i gość o imieniu Fritz nadal nad tym pracują. A co tu się stało?

– Strop nie wytrzymał. – Mercer omiół latarką miejsce, gdzie zawalił się sufit. – Igor był dokładnie pod spodem. Wygląda na to, że dostał bryłę lodu w głowę. Nie miał szans.

– Strop nie zawalił się przez pięćdziesiąt lat. Co spowodowało, że się zawalił teraz?

– My – odpowiedział Mercer.

– Że co?

– My to spowodowaliśmy. Klimat był tutaj stabilny, dopóki nie otworzyliśmy bazy. Poruszaliśmy się i, pracując i oddychając,

wydzielaliśmy ciepło, lód nad bazą zapewne przesunął się, a dach nie wytrzymał jego ciężaru.

– Więc Igor znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie?

– Tak.

– Co on tu robił w środku nocy?

– Słyszałem, jak wychodził z pokoju, i wydaje mi się, że było to raczej o świcie niż późno w nocy – poprawił go Mercer. – Ale nie wiedziałem, że szedł tutaj, i nie wiem też po co.

– Mógł tu zejść kiedy tylko chciał z którymś z nas – zauważył Ira. Podobnie jak Mercer, widział już zbyt wiele śmierci, żeby być wstrząśniętym.

– To nie ma sensu – przytaknął z roztargnieniem Mercer, zauważył bowiem, że ramiona Igora były wyciągnięte do przodu, jak gdyby szedł, dłońmi dotykając sufitu. Zastanawiał się, czy to był istotny szczegół, i uznał, że prawdopodobnie nie.

– Trup?

Mercer spojrział na Irę, rozumiejąc, o co pytał tamten.

– Możliwe, że Igor chciał obejrzeć ciało, ale dlaczego byłby zainteresowany martwym pilotem? I po co przychodzić tu w tajemnicy?

– Wóda?

– To była moja pierwsza myśl – przyznał Mercer. Nie chciał myśleć źle o Bułgarinie. – Może nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, że pękł, więc przyszedł się upić tutaj. – Pochylił się, żeby przeszukać ciało, ale nie wyczuł charakterystycznego kształtu butelki. – Możliwe, że ukrył ją gdzieś, gdy postanowił wyjść.

– Trzeba będzie się naszukać, żeby to sprawdzić.

Mercer zaświecił wzdłuż tunelu, żeby upewnić się, czy Marty jeszcze nie wrócił. Czuł, że Ira, ze swoim doświadczeniem z łodzi podwodnych, zniesie to, co zamierzał powiedzieć, ale co do Marty'ego nie był pewien. Zaczął ściszym głosem.

– Mamy też inny problem. Nieważne dlaczego, ale przywiozłem ze sobą z Islandii licznik Geigera. – Przerwał, czekając na reakcję.

Ira gestem zachęcił go, żeby kontynuował. Mercer nie myślił się co do byłego marynarza. Nic go nie ruszało.

– Gdy używaliśmy radaru, zrobiłem także mapę radioaktywności obiektu. Żadne ze źródeł promieniowania, jakie wykryłem, nie jest niebezpieczne. To przede wszystkim radiacja tła, ale był obszar, który wybił trochę mocniej. Założyłem, że tam właśnie stał kiedyś reaktor. Miałem jakieś przeczucie i dziś rano porównałem skany radaru z odczytami licznika Geigera. Odkryłem, że ten impuls występował nad miejscem, gdzie znaleźliśmy ciało pilota, daleko od dawnego reaktora.

Ira się zainteresował.

– Ciało jest „gorące”?

– Powiedzmy, że „ciepłe”, tak – potwierdził Mercer. – Wystarczająco, żeby teraz wykryć to licznikiem, ale kiedy umarł, musiał świecić jak neon.

Ira wiedział, że skażenie radioaktywne nie powodowało faktycznego świecenia, ale zrozumiał, o co chodziło. Spojrzał na Mercera sceptycznie.

– Masz strasznie trafne przeczucia.

Mercer wzruszył ramionami i opowiedział mu o Elisebet Rosmunder i poszukiwaniach zestrzelonego C-97, w których brał udział jej syn, a także o tym, że później zmarł na raka.

– Myślę, że można to nazwać bardziej zaniepokojeniem niż przecuciem – zakończył.

– Jeśli na pokładzie tego samolotu było coś tak radioaktywnego, rząd nie spocząłby, dopóki by tego nie znalazł – powiedział Ira po chwili namysłu. Gdy w 1966 roku lotnictwo posiadało kilka głowic nuklearnych z bombowca u wybrzeży Hiszpanii, była niezła afera. Podobnie gdy uzbrojony B-52 rozbił się niedaleko Thule w 1968 roku. Pamiętam, że z tego powodu przetrząsnęli blisko trzydzieści tysięcy metrów sześciennych lodu, śniegu i szczątków maszyny. Nie, Siły Powietrzne poruszyłyby niebo i ziemię, żeby zlokalizować taki samolot i usunąć jakikolwiek wyciek.

– Możesz mieć rację – przyznał Mercer. Ale wszystko wskazuje na to, że C-97 miał na pokładzie radioaktywny materiał, który wyciekł, gdy samolot się rozbił, co zatruło Jacka Delaney'a, a następnie zabiło Stefanssona Rosmundera.

– Co robimy? – zapytał Ira.

– Dokończymy odkopywanie Igora i przeniesiemy jego ciało do jednego z zimnych laboratoriów. Wtedy ponownie spróbujemy skontaktować się z Siłami Powietrznymi. Może jest już łączność.

– A co z Delaneyem? – Ira odwrócił się, słysząc czyjeś kroki w korytarzu. To był Marty.

– Niech to zostanie między nami – poprosił pośpiesznie Mercer. – Ciało pilota nie promieniujące, ale dopóki nie skontaktujemy się z wojskowymi, nikt nie powinien go ruszać.

– Zgoda – powiedział Ira półgłosem, po czym zwrócił się do Bishopa.

– Z Bernem już w porządku?

– Wziął aspirynę i teraz śpi. – Wyglądało na to, że Marty'ego Bishopa dręczyło poczucie winy. Miał nieobecny wzrok i każde słowo wypowiadał z trudem. – Mercer, eee, słuchaj, yyy... To był mój pomysł, żeby znieść generator na dół. To wszystko by się nie wydarzyło, gdybym najpierw porozmawiał z tobą albo z Iraw. Prawie nas zabiłem.

– To prawda. – Mercer nie usiłował zaprzeczać i uspokajać sumienia.

– To było głupie i mieliście szczęście. Ten korytarz pewnie nadal jest wypełniony czadem, więc przez następne dwadzieścia cztery godziny obowiązuje zakaz wstępu.

Mercer złapał wzrok Iry, upewniając się, że potwierdzi to kłamstwo. Baza byłaby bezpieczna w ciągu kilku godzin.

– Dobry pomysł – zgodził się Lasko. – To nam też da czas na powiadomienie Sił Powietrznych.

– W porządku – westchnął Marty. – Chyba pójde się położyć. Czuję się do dupy.

– Idź, idź. Zajmiemy się Igorem.

Dwie godziny później ciało Igora Bułgarina zostało umieszczone w jednym z laboratoriów. Mercer i Ira przeszli się po Camp Decade w poszukiwaniu dowodów, że Rosjanin przyszedł się

napić. Nie znaleźli nic poza kilkoma starymi butelkami ukrytymi pięćdziesiąt lat temu w ogromnym garażu. Nie byli zaskoczeni. Igor mógł schować pustą butelkę gdziekolwiek na dziesiątkach tysięcy metrów kwadratowych pokojów, przejść i szafek. Poddali się; wyjęli ze snowcata kawałek łańcucha z kłódką i zabezpieczyli główne drzwi bazy. Nikt nie mógł wejść do Camp Decade bez ich wiedzy.

Mercer i Ira spotkali Erwina Puhla w stołówce. Niemiecki naukowiec nadal był w szoku po śmierci Igora. Siedział w stanie bliskim katatonii, ze wzrokiem utkwionym w odległym punkcie. Nie zdjął nawet kurtki i rękawic. Stojąca przed nim filiżanka kawy dawno już wystygła. Zdołał powiedzieć tylko „Mój brat”. Nie było wątpliwości, że on i Igor byli sobie bliżsi, niż ktokolwiek sądził. Puhl był zrozpaczony.

Greta Schmidt stała w drugim końcu stołówki, rozmawiała z kimś ze swoich ludzi. Po chwili podeszła do stołu.

– Doktorze Puhl? – Erwin spojrzał w jej niebieskie oczy. Kontrast jej wielkiej urody z jego rozpaczą był niepokojący. – Właśnie się dowiedziałam, jak długo pan i doktor Bułgarin się znaliście. To straszne stracić przyjaciela. Bardzo panu współczuję.

Erwin nie powiedział nic, ale nie przestawał się w nią wpatrywać. Dolna warga mu drżała. Greta położyła dłoń na jego ramieniu.

– Jak tylko wznowimy łączność z „Njoerdem”, każę przysłać helikopter, który zabierze ciało Igora. Zorganizujemy transport do Moskwy.

– Sankt Petersburga – poprawił cicho Erwin. – Igor był z Sankt Petersburga.

– Tak, oczywiście. Jak mogłam zapomnieć. – Spojrzała na Irę i zatrzymała wzrok na Mercerze. – Czy to bezpieczne, żebyście pracowali w Camp Decade?

– Będzie bezpiecznie – odpowiedział Mercer. Ten pierwszy przejaw wrażliwości Grety był zaskakujący. – Zamknąłem bazę na dwadzieścia cztery godziny, żeby spaliny zniknęły, a lawina, która zabiła Igora, uspokoiła się. Jutro wrócimy do środka i podstemplujemy sufit w miejscach, gdzie osłabił go ruch lodowca.

– Werner i ja rozmawialiśmy o tym, żeby skontaktować się z Towarzystwem Kartografów i poprosić ich o odwołanie waszej ekspedycji. W świetle śmierci doktora Bułgarina uważamy, że w bazie może nie być bezpiecznie.

Delikatność, jaką chwilę wcześniej okazała Erwinowi, zniknęła. W jej tonie było wyzwanie. Mercer odpowiedział uprzejmie.

– To będzie zależało od ojca Marty’ego Bishopa oraz od Charlesa Bryce’a. Nie może nam pani kazać wyjechać.

– Mogę, doktorze Mercer. I jeśli to będzie konieczne, zrobię to. – Wykonała wojskowy zwrot na pięcie i odeszła energicznym krokiem.

– To się nazywa piękna i jędrza – mruknął Ira.

– Może faktycznie powinniśmy wyjechać – stwierdził Erwin.

– Śmierć Igora... – Głos mu się załamał.

– Nie wyjadę, choćby ta Brunhilda mi kazała – warknął Ira, wskazując kiwnięciem głowy Gretę, która usiadła na swoim

miejscu w drugim końcu sali. – Nie lubię zostawiać niedokończonych pracy.

– Ja też nie – poparł go Mercer. – Ale zaczynam się zastanawiać, na czym tak naprawdę polega nasza misja.

Resztę dnia spędził z licznikiem Geigera w dłoni, przemierzając górę śniegu nagromadzonego nad Camp Decade, żeby zrobić dokładniejsze pomiary promieniowania. Nie spodziewał się znaleźć niczego nowego, ale potrzebował kilku godzin samotności. Próbował umieścić wszystkie wydarzenia w szerszym kontekście, ale zrozumiał, że nie miało to sensu. Igor nie żył i nic tego nie zmieni. Mercer mógł mieć tylko nadzieję, że wraz z odkryciem przyczyny obecności Rosjanina w obozie pozbędzie się swojego nieuzasadnionego poczucia odpowiedzialności.

Co kilka godzin Mercer wracał do stołówki dowiedzieć się, co z łącznością. Za każdym razem słyszał, że otrzymali tylko słabe sygnały z „Njoerda” i zupełnie nic z biura w Islandii. Technicy wątpili, czy wysyłane przez nich sygnały były odbierane. Wszyscy zgadzali się, że kłopoty z łącznością potrważą co najmniej kilka dni.

Pierwsze dobre połączenie nadeszło podczas kolacji. Mercer i reszta jego ekipy próbowali zająć czymś Erwina, grając bez przekonania w pokera przy wystygłej kawie, gdy nagle krótkofalowa radiostacja w rogu pomieszczenia się ożywiła. Nawet przez trzaski i zakłócenia w głosie słysząc było panikę.

– ...ayday! Mayday! Obóz Geo-Research! Obóz... eo-Re... rch! ...nadlatujący śmigłowiec z „Njoerda”. Jestem sześćdziesiąt kilometrów na wschód. Turbina ...adła. Spa... my!

Łącznościowiec rzucił się do słuchawek. Kilkanaście osób stłoczyło się wokół niego.

– Śmigłowiec, tu baza. Zrozumieliśmy, jesteście sześćdziesiąt kilometrów na wschód od bazy i zgłaszacie awarię.

Mercer wyciągnął Wernera Koeniga z grupy zaniepokojonych słuchaczy, żeby nie przeszkadzać radiooperatorowi. Szef Geo-Research był wstrząśnięty tym, co usłyszał. Nie chcąc potęgować stresu Wernera, Mercer mówił łagodnie.

– Nadal masz w terenie snocaty, prawda?

– Tak. – Koenig nie był w stanie oderwać wzroku od radia. Skoncentrował się na dramacie, który rozgrywał się zbyt szybko, by mógł go pojąć.

– Na lodowcu są dwie ekipy.

– Gdzie? – Gdy Werner nie odpowiedział od razu, Mercer chwycił go za ramię i odrobinę podniósł głos. – Gdzie?

– Yyy, pierwsza ekipa jedzie z południa. – Werner spojrział na zegarek.

– Powinni tu być za dwadzieścia minut.

– A druga?

Werner zrozumiał nagle, dlaczego Mercer pyta o pojazdy. Jego głos zabrzmiał żałośnie, ponieważ odpowiedź nie była taka, jakiej chciał udzielić.

– Są na zachód od nas, jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd.

– Cholera. – Szanse na ratunek zależały od każdej sekundy, którą dało się zyskać. – Gdzie jest ten kierowca rajdowy, Dieter?

– Z drugą ekipą. Co chcesz zrobić?

Mercer wsłuchiwał się w kolejny przerywany trzaskami komunikat pilota.

– ...sokość spadła do trzystu metrów. Doktor Klein mówi... dym... wloty powietrza.

To przeważało szalę. Przestał się wahać. Na pokładzie helikoptera była pasażerka. Pilot sam podjął decyzję, żeby lecieć w burzy, ale Anika Klein to co innego. Ona tylko się dołączyła. W głębi duszy wiedział jednak, że pojechałby nawet wtedy, gdyby pilot był sam.

– Ira, siądź przy drugim radiu i informuj mnie na bieżąco. Będę w land cruiserze.

Mercer znalazł się przy wyjściu, zanim ktokolwiek zdał sobie sprawę, że się ruszył. Nie tracił czasu na wkładanie butów księżycowych. Tenisówki musiały wystarczyć. Wsunął się w lekką kurtkę zewnętrzną, która wisiała na wierzchu.

– Doktorze Mercer! – krzyknęła Greta Schmidt, biegnąc w jego kierunku. – Zabraniam panu jechać. Zorganizujemy grupę poszukiwawczą.

– Jak już ruszycie, możecie jechać za mną – warknął, zasu-
wając zamek pod szyję. – Ira, gotowy?

Żyłasty mechanik przepchnął się już do nadajnika krótkiego zasięgu, którego używali do komunikowania się ze snowcatami.

– Rusz tyłek.

– Nie! Poczekasz. – Greta chwyciła Mercera za rękaw z siłą, której nie spodziewał się po kobiecie. – To bezsensowne bohaterstwo. Poczekaj, aż ustalimy, gdzie wylądowali. Jazda samemu to samobójstwo.

Mercer miał tylko sekundę, zanim dołączą do niej kolejni dwaj pracownicy Geo-Research. Choć nigdy nie uderzył kobiety, kuśiło go, żeby teraz to zrobić. Czy ona nie rozumiała, że tylko jeśli wyruszy natychmiast, pilot i Anika Klein mieli jakieś szanse?

Wyrwał się z jej uścisku. Kiedy nacisnął klamkę, wiatr otworzył je na oścież. Podmuch był tak silny, że cofnął się pod naporem wiatru. Zaparł się, skulił i spróbował jeszcze raz. Zniknął wchłonięty przez zamieć i zapadający zmrok.

Pomimo furii Greta nie wykonała żadnego ruchu, żeby pobiec za nim. Zatrzasnęła drzwi, drżąc od lodowatego wiatru. Podeszła do Iry ze źle skrywaną pogardą.

– To była najgłupsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

– Tyle to i ja wiem – powiedział Ira z uśmiechem wyższości. – Ale przynajmniej coś robi. Zbierzcie swoją cholerną ekipę poszukiwawczą i ruszajcie za nim.

Kilka minut później Mercer odezwał się przez radio.

– Ira, jesteś tam?

– Tutaj jest miło i przytulnie – wycedził Iraz z akcentem Południowca. – A u ciebie?

– Jajka tak mi się skurczyły, że bez szczyptic hydraulicznych ich nie wyciągnę. Termometr wskazuje minus dwadzieścia pięć stopni. Jakies wieści ze śmigłowca?

– Nadal są w powietrzu i nadal lecą w naszym kierunku. Pilot powiedział, że według GPS-u są trzydzieści pięć kilometrów na wschód. Jak szybko jedziesz?

– Noga na gazie. Trzydzieści na godzinę.

– Bądź ostrożny. Nie sądzę, żeby Greta cię ratowała, jeśli tam utkniesz.

– W ogóle by mnie nie zauważyła – odpowiedział Mercer z wisielczym chichotem. – Widoczność gówniana, nie więcej niż piętnaście metrów.

– To jak masz zamiar znaleźć rozbity helikopter?

– Powiedz pilotowi, żeby doktor Klein odpaliła racę na chwilę przed tym, jak się rozbiją. – Nie musiał dodawać, że później może nie będzie miał kto to zrobić.

– Zrozumiałem, dobry pomysł – krzyknął do mikrofonu Ira, ponieważ łączność zanikała. Jego radio miało o wiele mniejszą moc niż to w śmigłowcu. – Powiem operatorowi, żeby przekazał twoją wiadomość.

Dwie minuty później pilot potwierdził otrzymanie prośby. Ale nawet jeśli uda im się odpalić racę, Ira wątpił, czy Mercer ją zobaczy. Helikopter zszedł już na wysokość stu metrów, a Mercera wciąż dzieliło od niego osiem do szesnastu kilometrów.

Ira zachował swoje obawy dla siebie.

– Mercer, pilot robi, o co prosisz. Ocenia, że utrzyma się w powietrzu jeszcze jakieś pięć minut. – Usłyszał tylko zakłócenia. – Mercer, słyszysz mnie? Odbiór.

Nad radiostacjami znajdowało się niewielkie okno. Było ciemno, ale w świetle reflektorów widział, jak wiatr dmie najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Poderwany z ziemi śnieg wirował jak porwany przez tornado. Ira oceniał prędkość wiatru na sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Modlił się, żeby Mercer przywiózł ze sobą pilota. Mógłby wtedy zabić tego głupiego

sukinsyna za to, że ośmielił się lecieć w taką pogodę. Żadna misja zaopatrzeniowa nie była tego warta.

– Mercer, słyszysz mnie? Odbiór.

Łącznościowiec przyciskał do uszu słuchawki i mówił do pilota spokojnym tonem, choć dla wszystkich oczywisty był strach, który słyszeli w głośnikach.

– ...naście metrów ...odpalamy racę. – Okrutnym zrządzeniem losu ostatnie sekundy transmisji z helikoptera dotarły tak wyraźnie, że wydawało się, jakby pilot stał w tym samym pomieszczeniu. Jego krzyk był tak przeszywający, że mógłby roztrzaskać kryształ.

– Mercer, helikopter spadł! Helikopter spadł! Odpalili racę. Widziałeś ją? – Ira z całej siły przycisnął słuchawki do uszu. – Mercer, słyszysz? Odbiór.

Nic.

Przez kolejne pół godziny wywoływał Mercera co trzydzieści sekund. Ale bez skutku.

ROTTERDAM, HOLANDIA

Pośród rdzewiejących tankowców, masowców i kontenerowców „Cesarzowa Mórz” lśniła jak nowy rolls-royce zaparkowany na złomowisku. Jej nadbudówki były śnieżnobiałe, z czarnymi i złotymi zdobieniami. Dwa kominy były zwieńczone aerodynamicznymi płatami niewiele mniejszymi od skrzydeł prywatnych odrzutowców. Wycieczkowiec był dłuższy niż większość statków wokół niego, a jego ośmiopoziomowa nadbudówka górowała nad każdą jednostką w ruchliwym porcie. „Cesarzowa” była katamaranem. Jej dwa kadłuby miały po trzysta metrów długości i niemal trzydzieści metrów szerokości. Ogromna przestrzeń między nimi umożliwiała spuszczenie na wodę wszelkiego rodzaju jednostek pływających – od dwuosobowych promów poprzez łódki wycieczkowe ze szklanym dnem aż po skutery wodne.

Statek mógł pomieścić cztery tysiące pasażerów oraz trzytysięczną załogę. Lista światowych rekordów, które bił jako wycieczkowiec, była długa: od liczby restauracji – trzydzieści dziewięć – poprzez wielkość kasyna aż po czterodołkowe pole do golfa. Rekordowy był również koszt budowy, i nie zanosiło się

na to, że zostanie pobity w najbliższym czasie: milion siedemset tysięcy dolarów.

Choć tym, którzy mieli teraz podróżować na pokładzie „Cesarzowej Mórz”, nie zależało na luksusie, mało kto potrafiłby nie zachwycić się jej widokiem. Była dowodem na to, jak piękne rzeczy potrafi stworzyć człowiek.

Z powodu ostrych środków bezpieczeństwa, jakie zastosowano podczas zgromadzenia powszechnego, nabrzeże było puste, nie licząc straży rozstawionej wzdłuż statku. Portowe łodzie patrolowe hałasowały po prawej burcie, a w górze wojskowe helikoptery utrzymywały na bezpieczny dystans śmigłowce stacji telewizyjnych. Jak dotąd nie było żadnych realnych zagrożeń dla statku ani jego pasażerów, ale przy największym w historii spotkaniu religijnym, na którym była skupiona uwaga świata, władze nie mogły sobie pozwolić na ryzyko. Po szczegółowych przesłuchaniach załoga została zamknięta na pokładzie na cały poprzedni tydzień, a statek codziennie był kontrolowany z użyciem psów wykrywających bomby.

Przygotowanie i zabezpieczenie wycieczkowca było ogromnym przedsięwzięciem, ale teraz, gdy pasażerowie wchodzili na pokład, odpowiedzialni za bezpieczeństwo podwoili czujność. Każdy pasażer, od papieża aż po najniższego rangą sekretarza, był przeprowadzany przez dyskretne wykrywacze metalu, które nie pozwalały wnieść na pokład niczego większego niż religijny medalik. Użyto ponadto detektorów zapachowych, pozwalających wykryć choćby najbardziej śladowe ilości prochu strzelniczego. Nawet gdyby ktoś przemycił przez wykrywacze metalu pistolet

ceramiczny, proch z naboju zostałby namierzony przez te urzędnika.

Zawczasu ustalono, że wyłącznie papieska Gwardia Szwajcarska będzie mogła nosić broń na pokładzie „Cesarzowej Mór”. Pewne komplikacje spowodowała obecność na Zgromadzeniu trzydziestu Sikhów, ponieważ ich tradycja wymagała, by przez cały czas mieli przy sobie niewielki nóż. Papież bez wahania udzielił im pozwolenia na posiadanie noża.

Neils Vanderhoff dyżurował w punkcie kontrolnym. Jego zadaniem było sprawdzanie mniej znanych pasażerów zgodnie z listą i potwierdzenie ich tożsamości za pomocą komputerowej bazy fotografii, zebranych z sześciu różnych źródeł. Data zrobienia każdego zdjęcia musiała co najmniej o rok poprzedzać ogłoszenie zgromadzenia, żeby uchronić się przed terrorystami, którzy chcieliby dostać się na pokład dzięki starannie stworzonym fałszywym tożsamościom.

Przed Neilem stał teraz wysoki mężczyzna w średnim wieku, ubrany w błyszczący garnitur, który kosztował więcej niż Vanderhoff zarabiał w trzy miesiące. Jego twarz była mocno opalona i gładka. Miał najbielsze zęby, jakie Duńczyk kiedykolwiek widział. Nosił ozdobiony diamentami rolex i wyszukany rubinowy sygnet na małym palcu. Choć włosy po bokach miał przerzedzone i siwe, na czubku głowy były gęste i czarne jak smoła. Neils zastanawiał się, dlaczego ten człowiek wydał tyle na swoją garderobę, wybielanie zębów i biżuterię, a nosił przy tym tak tandetny rzucający się w oczy tupecik.

Mężczyznę za łokieć trzymało kurczowo coś, co wbiło się Vanderhoffowi w pamięć. Żona tego mężczyzny kiedyś była zapewne piękną kobietą, tyle że jej walka z upływającym czasem musiała być długą, krwawą kampanią, która zakończyła się fiaskiem. Nie była dużo młodsza od męża, ale skórę jej twarzy tak często naciągano chirurgicznie, że wyglądała jak napięta membrana werbla. Kobieta wyglądała jak własna kiepsko wykonana figura woskowa. o jeden lifting za dużo spowodował, że ukryte za czarnymi sztucznymi rzęsami oczy były wytrzeszczone. Jej makijaż był tak przerysowany, jakby został nałożony na zwłoki przez balsamistę z daltonizmem. Nad oczami miała grube smugi żółci i błękitu. Policzki tak obficie pociągnęła różem, że wyglądały jak spalone słońcem, a wydęte przez kolagen usta otynkowała kilkoma warstwami śnieżnobiałego błyszczycy. Grzywa w kolorze miedzianego blondu piętrzyła się na piętnaście centymetrów. Zachowała smukłą figurę, ale i tak jej biodra i siedzenie opinała spódnica w rozmiarze kobiety, która ważyła mniej. Jej piersi były silikonowymi wariacjami na temat i groziły wylaniem się z dekoltu połyskliwej bluzki.

W ramionach trzymała nerwowego pekińczyka, który ujadał bez przerwy. Nie próbowała go uciszyć. Strzeliła balonem z gumy do żucia, a jej mąż podał kontrolerowi paszporty. Tommy Joe i Lorna Farquarowie z Nashville w stanie Tennessee, USA. Jakby Neils nie widział od razu, że byli Amerykanami. Z otwartymi ustami patrzył na karykatury ludzi.

– Wiem, co myślisz, synu. – Olbrzymie zęby Tommy'ego Joego błysnęły jak lustro skierowane do słońca. Przemówił,

jakby zwracał się do dziesięcioletniego tłumu. – Oglądałeś moje nabożeństwa w telewizji i nie możesz uwierzyć, że masz szczęście spotkać mnie osobiście.

– Misiu, naszego show nie nadają w Europie, bo oni tu nie mówią po amerykańsku. – Lorna FarQuar przemówiła głosem małej dziewczynki. – Pjawda, Pookie? Oni nie zioštali jeście zbawieni. Nie, nie zioštali. – Skomlenie pekińczyka było mniej piskliwe niż falset jego pani.

– Ależ oczywiście, że nadają, Lorna. Jest na satelicie, zapomniałaś?

– Nie przypominam sobie – uśmiechnęła się głupkowato. Gdy zamruwała, jej rzęsy plątały się jak walczące pająki.

Neils Vanderhoff otrząsnął się ze zdumienia i wstukał ich nazwiska do swojej bazy. Na ekranie natychmiast pojawiła się seria zdjęć, głównie z oficjalnej sesji zdjęciowej: para przy niebieskim satynowym ołtarzu ozdobionym napisem „Chrześcijańska Wspólnota Cudów Jezusowych”. Zauważył z ironicznym uśmiechem, że w zeszłym roku piersi pani FarQuar były zauważalnie mniejsze.

Wyciągając szyję, żeby zobaczyć, z czego chichocze strażnik, Lorna jęknęła.

– Słodki Jezu! Te zdjęcia są z czasów, zanim zrobiłam sobie cycuszki.

Vanderhoff zgodnie z zaleceniami sprawdzał ostatnie stemple w ich paszportach. Poszukiwał śladów jakichkolwiek podejrzanych podróży od czasu, gdy ogłoszono Zgromadzenie. Paszporty państwa FarQuar miały liczne pieczętąki z Karaibów,

ale żadnych z ostatnich sześciu miesięcy. Zwrócił im je bez słowa, modląc się, by przeszli dalej i przestali ryczeć mu nad uchem.

Następną osobą w kolejce był dobrze zbudowany mężczyzna podróżujący sam. Po ciemnych szatach, ciężkim srebrnym krzyżu wiszącym na łańcuchu na jego szyi i długiej brodzie Neils rozpoznał w nim członka Cerkwi prawosławnej. Kapłan musiał słyszeć niedawną wymianę zdań, więc Vanderhoff posłał mu porozumiewawczy uśmiech. Twarz ubranej na czarno postaci pozostała jednak kamienna. Duchowny podał rosyjski paszport.

Lekko urażony celnik zauważył, że zanim ojciec Anatolij Watutin przyjechał do Holandii na Zgromadzenie, odwiedził Niemcy. Wstukał nazwisko, porównując stojącego przed nim duchownego o srogim spojrzeniu ze zdjęciami zrobionymi kilka lat temu na spotkaniu kościołów obrządków wschodnich w Stambule. Watutinowi przybyło siwych włosów, ale czas nie złagodził jego jastrzębich rysów. Oddając paszport, Vanderhoff poczuł dreszcz, gdy groźny kapłan skinął mu głową.

Anatolij Watutin wsunął paszport z powrotem do zniszczonej torby na ramię i pośpieszył korytarzem. Zanim dotarł do wyjścia, minął irytującego telewizyjnego kaznodzieję, który zatrzymał się, bo jego tandetna żona właśnie pozwalała swemu psu się załatwić. Na wykładzinie powstała ciemna kałuża. Kobieta uniosła pekińczyka, zanim pobrudził sobie łapki. Watutin skrzywił się na myśl, że ci ludzie czczą tego samego Boga.

W przeciwieństwie do wielu współpasażerów ojciec Watutin nie zatrzymał się, gdy po raz pierwszy zobaczył ten luksusowy liniowiec. Podobnie nie zwrócił większej uwagi na ochronę. Z

opuszczoną głową, szurając tanimi butami skierował się nadbrzeżem do jednego z czterech wejść na pokład. Jego twarz wyrażała determinację. Słońce ogrzewające jego czarne ubranie było tylko częściowo odpowiedzialne za pot, który zbierał się na jego brodzie i sączył spod pach.

Pokazał swój bilet umundurowanej kobiecie na szczycie trapu, nie odwzajemniając serdecznego pozdrowienia.

– Mieszka pan w kabinie E429, ojciec Watutin – oznajmił znośnym rosyjskim zastępca kierownika rejsu. – To jest w prawym kadłubie. Proszę wejść na statek, a gdy dotrze ojciec do pierwszego atrium, po prawej stronie zobaczy ojciec szeroki korytarz. To Pola Elizejskie, jedna z czterech głównych dróg łączących obydwie kadłuby. Gdy dotrze ojciec do atrium w drugim kadłubie, ktoś z obsługi pokieruje ojca do wind najbliższych ojca kabiny.

– Spasiba – mruknął Watutin, chwytając swoją torbę, jakby bał się, że nadaktywny członek obsługi mu ją zabierze.

Przeszedł szybko przez pokład, zatrzymując się na ułamek sekundy, żeby spojrzeć w górę, gdy dotarł do przestronnego, oszklonego atrium, które było najwspanialszym miejscem każdej ze stron statku. Balkony otaczające wyższe piętra tonęły w kwitnących roślinach, przypominając Watutinowi malarskie przedstawienia wiszących ogrodów Babilonu. Znalazł długi korytarz zwany Polami Elizejskimi i minął kilka rozgadanych, podekscytowanych grup. Zauważył, że mężczyzn było wielokrotnie więcej niż kobiet.

W kolejnym atrium ponownie pokazał swój bilet i został skierowany do windy blisko rufy statku. Zjechał w dół, na najniższy pokład pasażerski. Chociaż jego po spartańsku urządzone kabina miała mały iluminator, to widać było z niego tylko przestrzeń pomiędzy kadłubami. Kabina wibrowała od drgań silników „Cesarzowej Mórz”. Nie zwrócił jednak uwagi ani na widok, ani na drgania. Jego ciężki, drewniany staromodny kufer został dostarczony już wcześniej i stał teraz na środku maleńkiego pomieszczenia, zabierając tak dużo miejsca, że Watutin musiał wsunąć nogi pod łóżko, żeby się do niego dostać. Ostrożnie sprawdził zamek, z ulgą stwierdzając, że nie został naruszony. Nie miał pojęcia, jakiego rodzaju kontroli został poddany bagaż. Niepokoił się, że gdyby sprawdzono zawartość kufra, nie miałby dobrego wytłumaczenia na to, co było w środku.

Mosiężnym kluczem otworzył zamek i podniósł wieko. Skrzynia była fałszywką. Wyglądała na solidną i ciężką, podczas gdy wykonano ją z drewnianej okleiny na aluminiowej konstrukcji, która ważyła łącznie zaledwie pięć kilogramów. To zawartość ważyła dużo.

Pod nielicznymi ubraniami i przyborami toaletowymi, których Watutin potrzebował na dwutygodniowy rejs, leżała para rękawic, kaptur, rodzaj kitla i specjalnie zaprojektowany metalowy pojemnik. Rękawice wyglądały prawie jak średniowieczna kolczuga z tą różnicą, że wykonano je z ciasno tkanej złotej nici i nie miały jeszcze nawet stu lat. Każda ważyła półtora kilograma. Wiedział z doświadczenia, że były niewygodne do noszenia, a tym bardziej do pracy.

Obok był kaptur, również utkany ze złotej nitki. W siatce zrobione były dwa otwory na oczy. Nad nimi umieszczono specjalną klapę, która mogła zostać opuszczona, żeby w razie konieczności całkowicie zasłonić oczy. Na szczęście dla Watutina pierwotny właściciel kaptura miał większą głowę, więc duchowny mógł się weń wcisnąć bez trudu. Odłożył lśniące rękawice i kaptur i wyteżył siły, żeby wyjąć brakujący element ubioru. Watutin dołączył go do swojej kolekcji niedawno, ponieważ oryginalny kitel zaginął dawno temu.

Zbroja ważyła prawie pięćdziesiąt kilogramów. Składała się z nasyczonej ołowiem materii, na którą naszyto setki małych ołowianych płytek, które stanowiły osłonę ciała od pasa do gardła. Rękawy tworzyły ołowiane pierścienie różnej średnicy, co ograniczało ruchy barków i łokci.

Anatolij Watutin wolałby, żeby Bractwo stać było na strój ze złota jak w oryginale, jednak cena takiego ubrania przekraczała ich możliwości. Tak naprawdę, gdyby w ciągu następnych dwóch tygodni mieli ponieść klęskę, nie mieliby funduszy na kontynuowanie działalności.

Na dnie pozostał pojemnik ze stali nierdzewnej. Miał szerokość kufra i wysokość około trzydziestu centymetrów. Wypełniony był tylko w połowie. Jego płynna zawartość została olbrzymim kosztem przemycona z elektrowni jądrowej w Czernobylu jeszcze przed jej zamknięciem. Spojrzał na pojemnik ze strachem, po czym umieścił kitel z powrotem w kufrze, dokładając rękawice i kaptur. Gdy zaczął modlitwę dziękczynną

za to, że jego tajemnica nie została ujawniona, ktoś zapukał do drzwi kabiny.

Serce mu zabiło gwałtownie. o Boże, nie! To pewnie Gwardia Szwajcarska przyszła go przesłuchać. Albo został zdradzony, albo prześwietlili kufer. Nie teraz, gdy jestem tak blisko, zawołał w myślach do Boga. Proszę, wykonuję Twoje dzieło.

Gorączkowo wrzucił resztę ubrań do skrzyni, opuścił wieko i znów przekręcił klucz w zamku.

– Chwileczkę – wychrypiał po angielsku.

– Ojciec Watutin? – zawołał mężczyzna po drugiej stronie drzwi. – Jestem z biura intendenta. Proszę otworzyć.

– Jestem w toalecie – improwizował Watutin, oceniając szansę ucieczki przez iluminator. Nie da rady, nie przecisnąć się. Okienko było za małe. – Już idę – powiedział zrezygnowany, powierzając się Bogu.

W drodze do drzwi przytomnie wszedł do łazienki wielkości sporej szafy i spuścił wodę w toalecie, by uprawdopodobnić swoje kłamstwo. Zastanawiał się, czy da radę zabić niespodziewanego gościa, jeśli tamten jest sam. Przy tym, co miał zrobić podczas tego rejsu, zabicie intendenta było drobnostką. Mógł wykorzystać element zaskoczenia. Ze swoimi stu dziewięćdziesięcioma centymetrami wzrostu i wadze ponad stu kilogramów nawet bez broni mógł być groźny. Opanował się i otarł pot z twarzy. Drzwi otwarły się lekko. Na korytarzu stał niegroźnie wyglądający młody mężczyzna w białym uniformie. Przed sobą trzymał bukiet kwiatów.

– Ojciec Watutin, to prezent od armatora – uśmiechnął się i wręczył kwiaty oszołomionemu Watutinowi. – Gdy ustalano szczegóły rejsu, pański biskup, Jego Ekscelencja Olkranszy, zapewnił nas, że nie będzie miał ojciec nic przeciwko zakwaterowaniu na najniższym pokładzie. Chcieliśmy przynajmniej rozjaśnić ojca kabinę kwiatami.

– Kabina jest w porządku – wydusił Watutin z bezgraniczną ulgą. A więc o niczym nie wiedzieli! – Może odda pan kwiaty komuś z sąsiedniej kabiny.

– Mamy je dla wszystkich gości zajmujących kabiny po wewnętrznej stronie pokładu E, ojciec – powiedział młody człowiek i znów się uśmiechnął przepraszająco.

– Och, w takim razie dziękuję. – Watutin zamknął drzwi i oparł się o nie, próbując wyrównać oddech. Żałował, że nie zabrał ze sobą czegoś, co uspokoiłoby jego żołądek. Miał ochotę wymiotować.

Trzymaj się, Anatolij, pomyślał. Czuł się, jakby miał atak serca. Nikt nie wie, dlaczego tak naprawdę tu jesteś.

Wiedział, że nie uspokoi się, dopóki nie dostanie ikony, którą Watykan ma oddać biskupowi Olkranszy'emu, i nie przekona, co kryje jej złota oprawa. Jeśli tylko wypełniłby swoją misję, Anatolij nie dbał o śmierć, która mu groziła, gdyby obchodził się z relikwią nieostrożnie. Nic dziwnego, że znajomość tajemnicy Pięści Szatana doprowadziła założyciela Bractwa do szaleństwa. Grigorij Efimowicz miał do czynienia z dziesiątkami takich ikon, podczas gdy Watutin był odpowiedzialny tylko za jedną. Miał ją otrzymać dopiero za kilka dni, a napięcie już go wykańczało.

NA WSCHÓD OD BAZY GEO-RESEARCH, GRENLANDIA

Przez anemiczny warkot słabnącego silnika helikoptera Anika Klein usłyszała w głowie głos dziadka: „Jedź na Grenlandię, Liebchen. Tam będziesz bezpieczna”.

Nie pamiętała, kiedy Opa Jacob bardziej by się pomylił.

Śmigłowiec ponownie się przechylił, pasy bezpieczeństwa boleśnie wpiły się w ciało. Pilot, wynajęty przez Geo-Research młody Duńczyk, walczył, by utrzymać maszynę w powietrzu. Zaciśnięte usta i przerażenie w jego oczach mówiły Anice, że nie ma szans. Wokół nich szalała burza, która według meteorologa z „Njoerda” miała nadejść dopiero sześć godzin później. Anika latała helikopterami wystarczająco często, by wiedzieć, że nawet gdyby silnik wytrzymał, ich szanse na dotarcie do bazy były marne.

Burza śnieżna była zbyt gwałtowna. Po raz setny klęła siebie, że poleciała, przeklinała pilota ryzykanta, któremu wydawało się, że da radę, i przeklinała Opa Jacoba za przekonanie jej, że na Grenlandii będzie bardziej bezpieczna niż w Niemczech, ścigając zabójców Ottona Schroedera.

Choć Anika nie pamiętała szczegółów jazdy z domu Schroedera do Ismaning, skąd przyjaciółka odebrała ją i zawiozła do domu, doskonale przypominała sobie wszystko, co wydarzyło się wcześniej. Strzelaninę. Krew. Ból. A przede wszystkim gniew, który palił się coraz większym płomieniem.

Była lekarką, ratowała ludziom życie, widok torturowanego Schroedera wstrząsnął nią do głębi. Obiecała sobie, że dopilnuje, by sprawca, któremu, niestety, nie miała szans się przyjrzeć, został ukarany za zbrodnię, jakiej się dopuścił z niewyobrażalnym okrucieństwem.

Nie mogła dojść do siebie przez cały dzień, zadzwoniła do dziadka. Zrelacjonowała mu, co się stało, powiedziała o snajperach i o tym, że Schroeder umarł przekonany, że jego tajemnica jest warta więcej niż złoto. Spytała również, czy dziadkowi mówi coś nazwisko Philip Mercer.

– Nigdy o nim nie słyszałem – zaprzeczył Jacob Eisenstadt.
– Czy to Schroeder o nim wspomniał?

– Tak. Powiedział, że jakiś nieznajomy zadzwonił do niego i powiedział, że ten Amerykanin może pomóc. Czy on zajmuje się tym co ty, Opa?

– Nie znam nikogo o tym nazwisku. Ale może dołączył do naszego grona niedawno albo pracuje dla kogoś innego, może dla Centrum Pokoju i Sprawiedliwości Eliego Wiesela.

– W każdym razie Schroeder był przekonany, że on może pomóc. A o co chodzi z projektem „Pandora”, o którym wspomniał? Z czymś ci się kojarzy?

– Nie słyszałem o niczym takim. Ale założę się, że to jest kryptonim jakiegoś konkretnego rabunku. Pamiętaj, że Schroeder był inżynierem, nie żołnierzem, więc to mogła być nazwa operacji, której celem było zbudowanie kryjówki na dzieła sztuki i kosztowności, tak jak w kopalni soli w Austrii.

To była interesująca możliwość.

– I co teraz robimy? – zapytała Anika podekscytowana na myśl o skarbie.

– My – wybuchł Jacob – nie zrobimy nic. Ja będę kontynuował pracę, a ty wyjedziesz z Niemiec. Nie jesteś tu bezpieczna. Sama powiedziałaś, że mężczyzna, który zabił Schroedera, widział twoją twarz i może właśnie teraz próbuje dowiedzieć się, kim jesteś. Jedź na tę swoją wycieczkę na Grenlandię. Będziesz tam bezpieczna, a kiedy za kilka tygodni wrócisz, będę wiedział wystarczająco dużo, żeby pójść na policję i zapewnić ci należyłą ochronę.

Kłótnia, która wybuchła, trwała blisko godzinę. Włączyli się do niej także Theodor Weitzmann i Frau Goetz. Zgadzała się z Jacobem, co zdarzyło się po raz pierwszy. Jeszcze tego dnia Anika zadzwoniła do biura Geo-Research i poinformowała, że z powodu wypadku nie dotrze do Reykjaviku w umówionym miejscu. Nie wspomniała, że potrzebuje kilku dni, bo nie może jechać na Grenlandię z niezagojoną raną.

Po przelocie samolotem do Kulusuk i śmigłowcem na „Njorderda” znowu była w powietrzu. Helikopter za kilka minut miał się rozbić. Myślała, jak straszne wyrzuty sumienia będzie miał

Opa Jacob, gdy dowie się, że zginęła, lecąc na Grenlandię zgodnie z jego radą. To mogło go zabić.

– Zaczęła się akcja ratunkowa – krzyknął pilot. – Chcą, żebyś odpaliła race, gdy będziemy już blisko ziemi. Masz je w pakiecie ratunkowym pod fotelem.

Anika siedziała na miejscu drugiego pilota i żeby sięgnąć pod swój fotel, musiała odpiąć pasy bezpieczeństwa. Zanim to zrobiła, poczekała, aż wirująca maszyna ustabilizuje się na chwilę. Gdy dotknęła palcami plastikowego pojemnika, śmigłowiec zatrzęsł się nagle i został wchłonięty przez wirujące kłęby śniegu. Anika uderzyła głową w drążek sterowniczy, a po chwili jeszcze raz..

– Scheissel – krzyknęła, rozcierając guz. Spojrzała na rękę, żeby sprawdzić, czy nie krwawi.

Za drugim razem udało jej się wyjąć pomarańczowe pudełko, pasy też zapięła bez kłopotów. Race były w oddzielnych tubach, by je odpalić, należało pociągnąć krótki sznurek u jednego końca. Chwyliła jedną mocno i przygotowała się do otwarcia okienka.

– Powiedz mi, kiedy.

– Nie. Nie stąd. Musisz iść na tył. – Pilot wskazał kciukiem za siebie na część ładunkową. – Gdybyś tu odpaliła race, nie mógłbym korzystać z noktowizora.

Ze swojego miejsca widziała, że w bocznych drzwiach ładowni jest okno.

– Okej.

Zdjęła słuchawki, ponieważ kabel był za krótki. Odpięła pasy bezpieczeństwa.

Helikopterem trzęsło, starała się nie wylądować pod sufitem lub z powrotem w fotelu. Poruszała się jak podczas wspinaczki. Przecisnęła się nad swoim fotelem i wcisnęła w jedyny wolny kawałek miejsca w ładowni. Zaparła się plecami o podłogę, a stopami o półkę wbudowaną w przednie przepierzenia.

– Jestem w ładowni – krzyknęła do pilota, chcąc się upewnić, czy mogą się porozumiewać.

– Okej! – jego odpowiedź usłyszała jakby spoza helikoptera.
– Jeszcze najwyżej pięć minut.

Trzymaj się, A.K., pomyślała.

Dopóki silnik pracował, mieli szansę znaleźć prześwit w burzy i wylądować bezpiecznie. Trzymała się tej myśli, modląc do Boga, który ratował ją już z wielu opresji. Myślała o chwili, gdy zerwała się jej lina podczas wspinaczki na Eiger. Przypomniała sobie, jak tratwa, którą płynęła górską rzeką, pękła na odcinku o czwartym stopniu trudności, wyrzucając ją i trójkę jej towarzyszy w spieniony wir. Wyprawa trekkingowa do Peru, w której brała udział, została przerwana, ponieważ czterej jej koledzy się zatruli. Anika tak jak oni jadła lokalne potrawy, jednak ich trzeba było przetransportować śmigłowcem do szpitala w FarQitos, a jej nic nie dolegało.

Lubiła przechwalać się swoimi umiejętnościami, ale wiedziała, że wiele zawdzięczała jednak szczęściu, sprzymierzeńcowi, którego czasem nie doceniała. Teraz była przerażona i potrzebowała chociaż odrobiny fartu.

Otworzyła małe okno z pleksiglasu. Gwałtowny podmuch powietrza wyssał jej oddech. Zdawała sobie sprawę, że jeśli wyjdą

cało z katastrofy, nie przeżyją na lodowcu dłużej niż kilka godzin, ale to nie przeszkadzało jej marzyć o bezpiecznym lądowaniu. o to, czy ktoś przyjdzie im z pomocą, będzie się martwiła później.

Wiatr uderzył w stojący przy drzwiach pojemnik z pocztą. Gdy skrzynka została załadowana na pokład helikoptera, Anika zauważyła, że koperta na samym wierzchu była wysłana z Nowego Jorku, a adresatem przesyłki jest nie kto inny jak Philip Mercer. Człowiek, o którym wspomniał Otto Schroeder, uczestniczył w tej samej wyprawie – to nie mógł być zwykły zbieg okoliczności. Złość, którą czuła na tamtej farmie, wybuchła teraz jak wulkan. Zrozumiała, że została wystawiona, nie wiedziała tylko, czy przez Schroedera, czyjego zabójców, czy snajperów. A może nawet przez samego Philipa Mercera.

Dopóki lecieli spokojnie, dopóty Anika myślała o tym zdeteminowana, by poznać prawdę.

– Przygotuj się! – krzyknął z kabiny pilot. Anika wystawiła koniec racy przez okno, zdejmując rękawiczkę, żeby mocniej uchwycić linkę. W tej pozycji nie widziała, co dzieje się na zewnątrz. I tak było lepiej. Niech uderzenie nastąpi z zaskoczenia, pomyślała.

– Teraz!

Szarpnęła za linkę i kula ognia wystrzeliła łukiem w przestrzeń, ciągnąc za sobą czerwoną łunę jak ogon meteorytu. Dziesięć sekund później płozy śmigłowca zaryły w ziemię. Anika odczuła kontakt helikoptera z ziemią jak uderzenie młota w kręgosłup. Pęd sprawił, że dziób pojazdu pochylił się do przodu. Łopaty śmigła cięły ziarnisty śnieg, dopóki się nie rozpadły.

Wirnik nadal się kręcił z wystarczającą siłą, by przewrócić helikopter na bok. Anikę rzuciło na drzwi, przygniotły ją uwolnione skrzynie z zaopatrzeniem.

Wirniki rozpadły się na setki odłamków. Większość nie narobiła szkód, ale kilka przebiło cienkie poszycie śmigłowca. Jeden przeleciał tak blisko Aniki, że poczuła podmuch. Krzyknęła.

Silnik zgasł wreszcie pozbawiony dopływu paliwa. Odgłosy rozpadania się śmigłowca ustąpiły pomrukowi gwałtownej burzy. Poobijana, ale bez poważnych ran, zaczęła zrzucać z siebie paczki z ubraniami i skrzynie z jedzeniem. Wydawało się, że im bardziej nerwowo się szarpała, tym bardziej przedmioty wokół niej przesuwwały się i klinowały. To było jak kopanie w lotnych piaskach. Sprawę pogarszał ból promieniujący z pleców. Wtedy uświadomiła sobie, że nie słyszała pilota.

– Halo! – zawołała. – Jesteś cały?

Nie było odpowiedzi, więc zawołała znowu i jeszcze raz, podnosząc głos, dopóki nie ochrypła. Po jej policzkach spływały łzy.

– Weź się w garść, A.K. – powiedziała na głos, wycierając oczy. – On nie żyje.

Tym razem spróbowała wydobyć się spod przygniatających ją pakunków, zastanawiając się nad każdym ruchem. Miała jednak mało czasu – musiała szybko dotrzeć do radia. Wiedziała, że gdy padną baterie, straci szansę na skontaktowanie się z bazą.

Dwadzieścia minut później skrzynie były już jako tako ustawione, a ona prawie się uwolniła, gdy światło w kabinie zgasło. Otoczyła ją ciemność. Zwalczyła pierwszy atak paniki, gdy

nagle w śmigłowiec uderzył silniejszy podmuch wiatru i znów przysypały ją pakunki.

Tym razem nie mogła powstrzymać łez. Pływały słonymi falami; zaciskała mocno szczęki, żeby nie dzwonić zębami. Bez zasilania radio było bezużyteczne. Nie musiała już wygrzebywać się spod pakunków, skoro szanse na ocalenie były znikome. Chwila załamania jednak minęła, pojawiła się wściekłość. Nie podda się. Życie jest zbyt cenne, żeby tak łatwo się poddać.

Wyswobodzenie się zajęło jej około godziny. Anika upewniła się, że pilot rzeczywiście zginął – zabił go odłamek wirnika, który ją minął o milimetry – i odpaliła w ciemność ostatnią racę. Obchodząc helikopter dokoła, nie czuła zapachu benzyny, uznała więc, że samouszczelniające się zbiorniki nie zostały przebite. Gdy znalazła puszkę z paliwem do gotowania o konsystencji galaretki, którym mogła się ogrzać, wiedziała, że wciąż ma szczęście.

Oparta o ścianę ładowni Anika Klein wcisnęła głowę w ramię i przygotowała się do przeczekania burzy. Nie wolno było jej zasnąć, ponieważ musiała zapalić kolejną puszkę paliwa, gdy ta się skończy. Już po półgodzinie prawie przegrała walkę ze snem. Gdy pierwsza puszkę migotała już tylko słabiutkim niebieskawym płomykiem, powieki jej opadły. Poderwała się natychmiast, przeklinając swoją słabość, i zapaliła kolejną.

Nie była zmęczona, była kompletnie wyczerpana. Wymacała guz na głowie i pomyślała, że doznała pewnie lekkiego wstrząsu mózgu. Trzymała się jeszcze tylko dzięki nadziei na ocalenie. Tak łatwo byłoby położyć się po prostu i usnąć.

– Zasnąć znaczy umrzeć – powiedziała na głos zahipnotyzowana przez mały płomień. – Zasnąć znaczy umrzeć.

Powtarzała to jak mantrę nieświadoma, że za każdym razem mówiła ciszej, bardziej niewyraźnie, robiła coraz dłuższe pauzy. Zasnęła na dziesięć minut przed wypaleniem się paliwa. Gdy płomień zgasł, temperatura w śmigłowcu gwałtownie spadała: do minus dwudziestu pięciu stopni.

Coś ją obudziło godzinę później. Była zeszywniała, a jej kurtka pokryta była szronem. Bała się spojrzeć na dłonie. Czowała, że są odmrożone, podobnie jak uszy, nos i policzki. Była niewyobrażalnie zmęczona i wiedziała, że umiera. Przetrwiała katastrofę i kilka pierwszych decydujących godzin tylko po to, żeby teraz umrzeć z wyziębienia.

Pociągnęła nosem i skrzywiła się z bólu. Śluzówka w nosie zamarzła. Wyczuwała jednak zapach – to było piżmo – zupełnie nie na miejscu, zważywszy na okoliczności. Pachniało wodą po goleniu, mężczyzną. Anika się uśmiechnęła. To było jak ostatnia przyjemność przed śmiercią.

– Proszę mi wybaczyć, doktor Klein, ale pani uśmiech sprawia, że wygląda pani jak elf.

Ten głos sprawił, że otworzyła oczy i zobaczyła uśmiechniętego mężczyznę. Obudziła się, bo musiała usłyszeć, jak wczołguje się do ładowni. Spojrzała na jego twarz oświetloną przez latarkę; miał szare oczy, ciemne brwi. Lód lśnił w jego włosach jak klejnoty. Był bardzo przystojny.

– Wygląda na to, że zbudowała sobie pani tutaj przytulne gniazdko – zauważył, widząc stertę koców, którymi się okryła,

i niezapalone jeszcze puszki sterno. – Jeśli zechce pani zostać, zrozumieć, ale wydaje mi się, że wygodniej będzie w land cruiserze – zażartował. – Ogrzewanie jest włączone, a baza znajduje się tylko godzinę drogi stąd.

– Kim pan jest? – zdołała wykrztusić Anika.

– Philip Mercer, do usług. Poza tym lekkim odmrożeniem na twarzy nic pani nie jest?

Anika cieszyła się, że jest sztywna od mrozu i na jej twarzy nie widać szoku, jakiego doznała na dźwięk jego nazwiska. To był człowiek, którego szukała! Teraz nie była w stanie o cokolwiek go wypytywać. Nie miała pojęcia, kim jest ani po czyjej stronie stoi. Gdyby jednak chciał jej śmierci, nie przyjechałby jej na ratunek w zamieci. Jakoś zdołała wyciągnąć do niego rękę. Próbowwała powiedzieć „dziękuję”, ale jej wargi nie mogły ułożyć się w to słowo.

Minutę później Mercer wyniósł ją ze śmigłowca i poprowadził do toyoty czekającej na jałowym biegu. Zapiął ją w fotelu pasażera i przeszedł na stronę kierowcy. Gdy wsiadł do potężnej terenówki, Anika już spała z twarzą schowaną w kapturze kurtki.

Jazda z powrotem zajęła Mercerowi znacznie mniej czasu. Burza już się prawie skończyła i tym razem nie musiał zmieniać opony. Poprzednio pękła na trzy kilometry przed miejscem, w którym zobaczył drugą racę Aniki. Przez całą drogę z twarzy nie schodził mu uśmiech satysfakcji. Anika Klein nie powiększyła listy osób, które we własnym mniemaniu zawiódł.

Następnego ranka Mercer obudził Irę Lasko o wschodzie słońca i zarekwirowali jeden ze snowcatów, bo zamierzali wrócić

na miejsce katastrofy. Kilka godzin snu to za mało, by porządnie odpocząć, Mercer pozwolił więc prowadzić byłemu marynarzowi, a sam drzemał na siedzeniu pasażera. Ira kierował się śladami opon toyoty z poprzedniej nocy, które śnieg zaczynał już zasypywać. Ponieważ pojazd gąsienicowy był o wiele wolniejszy od land cruisera, dotarcie do szczątków helikoptera zajęło im dwie godziny.

– Daleko jeszcze? – zapytał Mercer, mrugając zaspanymi oczami, gdy Ira poklepał go po ramieniu.

– Mówiłem ci, młody człowieku, żebyś się wysusiał, zanim wyruszyliśmy – dowcipkował Ira.

– Wtedy jeszcze mi się nie chciało.

Rozbawienie zniknęło z głosu Iry, gdy zobaczyli helikopter leżący na lodzie jak przewrócony do góry nogami owad.

– Aż trudno uwierzyć, że ktokolwiek przeżył.

Mercer mruknął i otworzył drzwi pojazdu. Śnieg przykrył ślady tragedii, która się tu wydarzyła. Gdy przyjrzał się lepiej, dostrzegł jednak ślady stóp, które okręzały rozbity helikopter i oddalały się na północ. Przez ułamek sekundy pomyślał, że pilot nie zginął w katastrofie, a on zostawił go tutaj w nocy.

Wiedział, że to nie może być prawda. Widział kawałek wirnika tkwiący w szyi mężczyzny i zamarznąłą krew na jego kombinezonie lotniczym.

Pilot był martwy na długo przed tym, jak Mercer znalazł śmigłowiec. Ponieważ ślady były prawie całkowicie zasypane śniegiem, nie mógł stwierdzić, gdzie się zaczynały ani jak duże stopy je zostawiły. Mogła je zrobić Anika Klein, ale to było tak

samo bez sensu jak wizja martwego pilota wskrzeszonego jak Łazarza. Ona sama była bliska śmierci.

– Myślisz to co ja? – zapytał Ira, gdy zobaczył, czemu przygląda się Mercer.

– Sam nie wiem, co myślę – mruknął Mercer. – Czy dziś rano ktoś przyjechał tu przed nami, żeby obejrzyć miejsce katastrofy?

– Nie widziałem żadnych śladów opon poza twoimi, ale to możliwe. Może wyruszyli zaraz po tym, jak wróciłeś.

– Ale po co?

Ciało pilota nadal było przypięte do fotela. Mercer i Ira przyjechali tu przede wszystkim po to, by zabrać nieszczęśnika z helikoptera.

– Czyżby na pokładzie było coś, czego nie chcieli ujawniać? – zasugerował Ira.

Podnosząc wysoko stopy, żeby przebić się przez drobny śnieg, który zdążył napadać, Mercer zaczął iść po śladach. Po kilku minutach wrócił na miejsce katastrofy.

– Znikają jakieś pięćdziesiąt metrów stąd, zasypane przez wiatr.

– A może pasażer na gapę?

– Też o tym myślałem.

Helikopter miał tylny luk ładunkowy. Teraz był zamknięty, ale ktoś mógł wydostać się nim po katastrofie i zamknąć go, żeby ukryć swoją obecność.

– Zważywszy na obrażenia i burzę, Anika mogła nic nie słyszeć – stwierdził Ira po sprawdzeniu drzwi. – Ale nie musimy się tym martwić.

– Dlaczego?

– Myślisz, że ten ktoś żyje po dwunastu godzinach spędzonych w takich warunkach?

Mercer się zastanowił.

– Z odpowiednim wyposażeniem, tak, ale czeka go cholernie długi spacer.

– Chcesz ruszyć na poszukiwania?

– Nie bardzo – mruknął Mercer. – Ten ktoś tak bardzo chciał się stąd wydostać, że zostawił ranną kobietę. Niech sukinsyn zamarza. Załadujmy ciało pilota plus wszystko, co zdołamy zmieścić w snocacie, i wracajmy do bazy.

Czterdzieści pięć minut później byli gotowi. Pilota zawinęli w plastikową plandekę, a każdy centymetr kwadratowy został zastawiony pudłami z łatwo psującą się żywnością, bagażem Aniki i wszystkim, co według nich mogło się przydać w bazie. Pomimo wyrażanego wcześniej życzenia, by pasażer na gapę zamarzł, Mercer przez pierwszą godzinę jechał zygzakiem, szukając go, a Ira obserwował monotonne otoczenie przez lornetkę. Nie znaleźli żadnych śladów stóp ani odcisków gąsienic innego pojazdu śnieżnego. Jeśli rzeczywiście mieli do czynienia z pasażerem na gapę, który ruszył piechotą z helikoptera, było pewne, że nie szedł w kierunku stacji badawczej. Ira odłożył lornetkę i sięgnął po pojemnik z pocztą, przekładając paczki i koperty w poszukiwaniu czegokolwiek zaadresowanego do niego. Powąchał z aprobatą list od żony, który nadal pachniał rozpylonymi na papier perfumami.

– Przykro mi, nie ma nic do ciebie. Chyba nikt cię nie kocha.

– Sprawdzalesz dziwnie brzmiące nazwiska? – zapytał Mercer. – Pamiętaj, że mój ostatni list został wysłany na nazwisko T. Ampon.

– Ach, proszę bardzo. – Ira wyjął dużą kopertę. – To z Arlington w stanie Wirginia.

– To do mnie.

Mercer skrzywił się, gdy poprosił Iřę o podanie nazwiska na kopercie.

– Juan Tzeks Withasheep.

Rozszyfrowanie kiepskiego żartu Harry’ego zajęło Mercerowi chwilę. Nazwisko czytane na głos dawało „want sex with a sheep” – „chcę seksu z owcą”.

– Masz zboczonego przyjaciela, Mercer.

– Nie musisz mi mówić. Otwórz to i zobaczymy, co przysłał.

– Potwierdzenie rozpoczęcia prenumeraty magazynu „Playgirl”, kilka rachunków z lokalu ze striptizem w Waszyngtonie, druga koperta przesłana z Monachium i wezwanie na policję w sprawie zakłócania ciszy nocnej.

Mercer był ciekaw, co zawierała koperta z Niemiec, i miał już poprosić Iřę, żeby ją otworzył, ale przypomniał sobie tajemniczy mejl otrzymany przed wyjazdem do Islandii. To musiał być materiał, który niemiecki prawnik wysłał mu od swojego anonimowego klienta. Pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli otworzy to na osobności.

– Kiedy odzyskamy łączność, zadzwonię chyba na policję w Arlington i zgłoszę dzikiego lokatora w moim domu. To starego drania nauczy.

– O, to okrutne.

– Gdybyś wiedział, jakie numery robił przez te wszystkie lata, zrozumiałbyś, że mu się upiekło – odpowiedział Mercer.

Uczestnicy wyprawy czekali na nich przed bazą. Zaparkowali pojazd śnieżny niedaleko stołówki. Nie wszyscy byli szczęśliwi na ich widok. Werner Koenig i Greta Schmidt stali z dala od pozostałych, posyłając im złe spojrzenia. Na czele witającej ich serdecznie grupy stali Marty Bishop i Anika Klein, która czuła się już znacznie lepiej.

– Zachowajmy informację o tych śladach dla siebie – powiedział Mercer, wyłączając silnik.

– „Gdy ludzie dowiedzą się o wszystkich naszych tajemnicach, zaczną być zazdrośni” – zanucił Ira.

Mercer otworzył drzwi.

– Poczta przyjechała!

Greta Schmidt przycisnęła się przez tłum i stanęła przed Mercerem.

– Już drugi raz wziął pan pojazd bez zezwolenia – warknęła.

– Czyli dwa razy wykonałem waszą robotę – odpowiedział z drwiącym uśmiechem. Zauważył, że po raz kolejny to nie Koenig, a Schmidt była zła z powodu jego wypadu, i zastanawiał się, które z nich tak naprawdę kieruje tą ekspedycją.

– Dajcie spokój, na litość boską – huknął Marty. – Zeszłej nocy uratował życie doktor Klein.

– Mam tego świadomość, ale obowiązują pewne procedury. Musimy zachować dyscyplinę. Poinformuję o tym Towarzystwo

Kartografów z sugestią, żeby natychmiast was stąd zabrano na Islandię. Tutaj nie ma miejsca na kowbojskie wysoki.

Odeszła wściekła.

– Doceniamy pańską misję ratunkową, choć była nierozważna. – Werner uściśnął dłoń Mercera, gdy Greta zniknęła z pola widzenia. – Nie sądzę, żebym był w stanie powstrzymać ją przed zarządzaniem pańskiej ewakuacji. Bardzo mi przykro. – Podążył jej śladem.

Marty zwrócił się do Mercera:

– Nie martw się. Gdy radia znów będą działać, załatwię to ze swoim starym.

– Dziękuję, Marty – powiedział Mercer. – Ale wydaje mi się, że to nic nie da. Katastrofa śmigłowca, śmierć Igora; nie zdziwiłbym się, gdyby cała operacja Geo-Research została odwołana przez duński rząd.

Zaden z nich nie zauważył, że Anika Klein podeszła do nich i usłyszała, co Mercer właśnie powiedział.

– Igor Bułgarin nie żyje? – krzyknęła.

Mercer odwrócił się zdumiony, że nikt jej nie powiedział. Czuł się winny, że wspomniał o tym tak lekko. Choć miała na sobie buty księżycowe, czubkiem głowy sięgała mu poniżej podbródka. Oczy miała rozszerzone z szoku i Mercera ponownie uderzyło to, jak bardzo przypominała elfa. Twardego i wytrzymałego elfa, to jasne.

– Przykro mi, doktor Klein. Nie wiedziałem, że pani tu jest – wyjąkał. – Tak, Igor zginął wczoraj rano w wypadku.

Anika wpatrywała się w niego nieufnie.

– Nie wiedziałam.

– Wszyscy byliśmy w szoku – powiedział Marty, wyciągając do niej rękę. – Nazywam się Marty Bishop. Kieruję zespołem Towarzystwa Kartografów.

– Anika Klein – przedstawiła się krótko. Nie była w nastroju do wygłaszania grzecznościowych formułek.

– Wątpię, żeby pani pamiętała wiele z wczorajszej nocy. – Mercer uściśnął wyciągniętą teraz do niego dłoń. – Nazywam się Philip Mercer.

– Pamiętam – odpowiedziała ostrożnie. – Wyjechał pan, żeby mnie uratować. Dziękuję za to, co pan zrobił. To było bardzo odważne.

– To było głupie, ale nie ma za co. – Przyglądał się jej przez chwilę. – Wygląda na to, że to jednak nie było odmrożenie.

Anika dotknęła swoich policzków i nosa. Cera w tych miejscach miała już prawie normalny kolor.

– Gdyby pan przyjechał później, byłoby.

– Cieszę się, że wszystko w porządku. – Mercer pomyślał, że Anika nie wyglądała jak ktoś, kto spotkał swojego wybawcę. Wydawała się go niemal obawiać.

– Co to jest? – wskazała na brązową kopertę, którą trzymał Mercer.

– Słucham? – To dziwne pytanie zaskoczyło go. – A, to tylko ulotki reklamowe przesłane przez przyjaciela.

W przeciwieństwie do poprzedniej nocy tym razem Anika nie była w stanie ukryć zdziwienia. Długo patrzyła na przesyłkę, zanim przeniosła wzrok na twarz Mercera.

– Pewnie chce pan iść to przeczytać. Przepraszam, że zatrzymuję.

– Nie, właściwie to chciałem z panią porozmawiać. Jest pani pewna, że wszystko w porządku?

Anika zeszywniała.

– Tak, wszystko w porządku. – Nagle jej ramiona nieco opadły. – To nieprawda. Okropnie boli mnie głowa i nie mogę przestać myśleć o pilocie. Proszę mi powiedzieć więcej o śmierci Igora. Jak to się stało?

– Zapadł się fragment Camp Decade – powiedział Mercer. – Igor został uderzony spadającym lodem. Wydaje się nam, że nie cierpiał.

Anika natychmiast zainteresowała się elementem tej historii, który i Mercerowi nie dawał spokoju od chwili wypadku.

– Co on tam robił? Przecież był łowcą meteorytów.

Mercer nie mylił się w ocenie jej charakteru. Katastrofa helikoptera zeszłej nocy, przebywanie kilka godzin we wraku w temperaturze, w której prawie zamarzła, teraz szok po informacji o śmierci szefa jej grupy, a nadal myślała jasno i logicznie.

– Nie wiemy – przyznał.

W tym czasie Ira Lasko pomagał pozostałym rozładowywać pojazd śnieżny. Została już tylko jedna skrzynka, więc Ira podszedł do rozmawiającej trójki.

– Pani wybaczy. Mercer, mam zanieść ciało pilota do zimnego laboratorium, tam, gdzie leży Igor?

– Tak. Tam będzie dobrze.

– Właśnie rozmawiałem z Erwinem – kontynuował Ira. – Radio nadal nie działa, więc nie mamy jeszcze odpowiedzi Sił Powietrznych w sprawie ciała, które znalazłeś w Camp Decade.

– Kolejne ciało? – Anika przeniosła spojrzenie na Mercera.

– Pilot wojskowy, który zaginął w 1950 roku. Jego ciało jest nadal w bazie, tam, gdzie go znaleźliśmy.

– Chciałabym go zbadać. – Jej głos brzmiał pewnie, uporała się już z szokiem sprzed kilku minut. Przybrała profesjonalny ton, jakiego używała w izbie przyjęć.

– Camp Decade jest zamknięty, dopóki nie podeprzemy części dachu – powiedział Marty. – Schodzenie tam jest zbyt niebezpieczne.

Żeby zrobić na niej wrażenie, Marty próbował odzyskać przywództwo w grupie, odpowiadając na jej pytanie. Anika nie dała się nabrać. Od razu wiedziała, że to Philip Mercer dowodzi tymi ludźmi. Zwróciła się więc do niego.

– Będę panu winna przysługę, jeśli pozwoli mi pan zbadać ciała zaginionego pilota i Igora.

– Mogę pozwolić pani obejrzeć Bułgarina, ale baza pozostaje jeszcze zamknięta.

Wątpił, żeby wykryła radioaktywność ciała Jacka Delaneya, ale dopóki nie znajdzie potrzebnych odpowiedzi, nikt nie będzie miał tam wstępu.

Gdy była rozczarowana, Anika miała zwyczaj przygryzać dolną wargę. Ten gest miał wielką siłę oddziaływania na mężczyzn.

– Obiecuję, że zbada pani ciało pilota, zanim przybędą Siły Powietrzne – zapewnił Mercer.

– Dziękuję. Czy mogę zbadać doktora Bułgarina za kilka godzin? Chciałabym coś zjeść, a potem jeszcze trochę się przespać.

Mercer zsunął rękawiczkę, sprawdzając godzinę na swoim tag heuerze.

– Spotkajmy się tutaj o czternastej trzydzieści.

Marty Bishop podążył za Aniką, gdy ruszyła w stronę stołówki, zostawiając Mercera i Irę samych.

– Co o tym myślisz, Ira?

– Myślę, że to twarda kobieta – powiedział z namysłem. – Myślę, że także przerażona.

– Też to zauważyłem. Jak sądzisz, dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Cała ta sprawa od samego początku jest dziwaczna. Nie powinienem być zdziwiony, że ostatni uczestnik wyprawy też jest tajemniczy.

– Dlaczego ona chce zbadać Igora? – zastanawiał się Ira. Mercer nie miał gotowej odpowiedzi. – Czy ona może coś wiedzieć o jego śmierci. Na przykład, po co poszedł do Camp Decade, skoro nie wolno mu było tam przebywać.

– Skąd miałyby to wiedzieć, skoro my nie wiemy? Tym razem to Ira nic nie odpowiedział.

Do wczoraj ta wyprawa wydawała się Mercerowi wspaniałymi wakacjami, na których świetnie się bawił. Ale od śmierci Igora wszystko się zmieniło, a jego frustracja narastała. Na początku nie zwracał uwagi na drobne niekonsekwencje, a teraz go one

dręczyły. Wątpił, czy Anika Klein rzuci jakiegokolwiek światło na ostatnie wydarzenia. Jej zachowanie i pytania wręcz zwiększały jego niepokój.

- Ta wyprawa to porażka za porażką, wymamrotał.
- Amen. Myślisz, że Duńczycy nas stąd wyrzucą?
- Mam wielką nadzieję, że tak.

BAZA GEO-RESEARCH, GRENLANDIA

O umówionej godzinie Mercer zobaczył Anikę idącą w kierunku stołówki. Była w czerwonym goreteksowym kombinezonie, którego kaptur ściągnęła ciasno wokół twarzy. Szła z wiatrem, więc mały plecak przerzucony przez ramię miała oprószony śniegiem. Mercer przez ostatnią godzinę siedział z operatorem radia, bezskutecznie próbując wysłać wiadomość do Reykjavíku. Nie odbierali nic poza trzaskami i strzępami rozmów, które dochodziły do nich zapewne z „Njoerda”. Zakłócenia elektroniczne spowodowane wyrzutami koronalnymi Słońca sprawiły, że baza była całkowicie odcięta od świata. Gdy przez zaparowane okno zobaczył Anikę, podziękował radiooperatorowi, włożył kurtkę i wyszedł w wicher.

– Jak się pani czuje? – zapytał przekrzykując wiatr.

– Dobrze. Chodźmy.

Mercer zaprowadził ją do zimnego laboratorium na końcu bazy, upewniwszy się wcześniej, że przypięła się do liny bezpieczeństwa. Sypiący śnieg pokrywał ich stopy przy każdym kroku, wyglądali więc jak beznogie torsy szybujące przez wirujący lód. Kiedy Geo-Research rozłoży sprzęt, w zimnym laboratorium

będą przechowywane odwierty lodu i próbki śniegu. Na razie były w nim tylko dwa ciała.

Budynek był z plastiku. Po każdej stronie miał dwoje okien. Zasy po nawietrznej sięgały prawie do okapu, ale konstrukcja została postawiona w taki sposób, że przy wejściu nie było śniegu. Jak we wszystkich budynkach, przy wejściu przypięta była szeroka szufla i po kilku minutach kopania droga była wolna. Mercer nie musiał się martwić, że z pomieszczenia ucieknie ciepło, więc zgodnie z zasadami dobrego wychowania przytrzymał drzwi i przepuścił Anikę przodem.

Włączył górne światła. Były to długie rzędy jarzeniówek, dające dużo światła i wytwarzające niewiele ciepła, które roztopiłoby zamrożnięte próbki. Na sąsiadujących ze sobą stołach w przeciwległym końcu pomieszczenia ułożono pod plandekami łatwo rozpoznawalne kształty.

Anika i Mercer, osłonięci tu od wiatru, ściągnęli kaptury i otrzepali się ze śniegu. Zignorowała go, gdy sięgnął, by strzepać śnieg z jej pleców, i ruszyła w kierunku stołów. Najpierw zdjęła pokrowiec z ciała Duńczyka, który pilotował helikopter. Już wiedziała, co go zabiło.

Odślaniając Igora, nie powiedziała nic. Spojrzała na jego potwornie białą twarz, po czym zaczęła go szczegółowo badać. Zachowywała się tak, jakby Mercera tam nie było. Zaczęła od obutych stóp i przesunęła dłonie w górę. Mercer nie miał pojęcia, co miała nadzieję osiągnąć, ponieważ ciało było równie sztywne co stół pod nim. Ponieważ usta Igora były otwarte, wyjęła z ple-

caka małą latarkę i obejrzała jego zęby i dziąsła. Chrząknęła, gdy zobaczyła coś ciekawego.

– Co jest? – zapytał Mercer.

– Rosyjscy dentyści. To są najgorsze wypełnienia, jakie kiedykolwiek widziałam. Igor musiał znosić okropny ból.

Zdjęła grube rękawiczki bez palców, zastępując je parą rękawiczek chirurgicznych. Zbadała palcem wnętrze ust Igora. Z głębi gardła wyciągnęła kawałek zamrożonej śliny zmieszanej ze śniegiem. Przyglądała się jej przez chwilę, po czym odłożyła na stół. Bez odpowiedniego laboratorium, żeby przebadać próbkę, nie było po co jej przechowywać. Nachyliła się niżej, żeby przyjrzeć się otarciom na jego nosie i czole, znowu mruczając, ale tym razem Mercer zachował milczenie.

Był nią zafascynowany. Ze zmrużonymi oczami i ściągniętymi brwiami wyglądała jak dziecko zastanawiające się nad jakimś wyjątkowo trudnym zadaniem domowym. Ale była dorosłą kobietą, która badała zwłoki, a jego zachwyił rozdźwięk między jej wyglądem a profesją. Wyobrażał sobie, że pewnie wiele razy w życiu była niedoceniana, i żał mu było ludzi, którzy popełniali ten błąd.

Gdy skończyła oglądać twarz Igora, przejechała rękami po czaszce, uciskając ją opuszkami palców w kilku miejscach.

– Może mi pan pomóc? – spytała, nie podnosząc wzroku.

– Co mam robić? – Mercer stanął obok niej.

– Chcę go przewrócić na brzuch.

Zrobili to razem, a ponieważ Igor Bułgarin był bardzo ciężki i szeroki w barkach, przypominało to obracanie dwuosobowego materaca.

Gdy Mercer odsunął się, odgarnęła zamrożone skrzepy krwi i włosów u podstawy czaszki, obmacując ranę palcem. Zmarszczyła brwi i sięgnęła do plecaka po szkło powiększające. Gdy oglądała ranę, dało się wyczuć jej napięcie. Nachyliła się tak blisko głowy Igora, że jej oddech pełzał wśród jego włosów jak para. Po dwóch minutach Anika wyprostowała się i rozejrzała uważnie po pomieszczeniu.

– Co pani znalazła?

Nie odpowiedziała, minęła go i wzięła łom, leżący na stole. Patrzyła przez chwilę na stalowy przedmiot, oceniając jego ciężar i nie przejmując się tym, że mrozi jej dłoń. Niezadowolona upuściła go bezceremonialnie i przeszukała plastikowe skrzynie pod stołem, gdzie zostawiono więcej narzędzi. Powróciła z długą na pięćdziesiąt centymetrów rączką przenośnego podnośnika. Dopiero wtedy przypomniała sobie o obecności Mercera. Spojrzała na niego badawczo, jakby rozważając decyzję, po czym skinęła, gdy najwyraźniej zdał jakiś rodzaj niewypowiedzianego testu. Choć nie potrafiła ukryć strachu widocznego w jej oczach, mówiła spokojnym tonem.

– Igor został zamordowany – oświadczyła. – Następnie przeniesiono go z miejsca, gdzie to się stało, i zostawiono tam, gdzie ktoś mógł wywołać lawinę, żeby zatuszować morderstwo.

Mercer właściwie nie był zaskoczony, intuicja podpowiadała mu to samo. Nie mógł jednak zaakceptować jej oświadczenia bez dowodu.

– Dlaczego pani tak uważa?

Podniosła trzonek podnośnika, przykładając go do ciała.

– Wydaje mi się, że narzędzie zbrodni było nieco grubsze, w dodatku dłuższe i cięższe, ale powinno to dać panu wyobrażenie tego, co zaszło. – Przyłożyła trzonek do podłużnej rany u podstawy czaszki Igora. – Jak pan widzi, pasuje do rany prawie idealnie. Prosta linia uderzenia, która biegnie od lewej do prawej, tuż pod wypukłością potylicy. Ta rana nie pochodzi od uderzenia lodu. Jest zbyt symetryczna. Igor został zabity przez bardzo silną osobę, która zamachnęła się jakimś narzędziem jak kijem bejsbolowym. Cios zmiażdżył część mózdzka i rdzeń kręgowy, zabijając go natychmiast.

Mercer przyjrzał się zranieniu. Przełamując opory, podniósł trzonek i przyłożył go ponownie do rany, jak zrobiła to wcześniej Anika. Musiał przyznać, że rzeczywiście cholernie pasowało.

– Proszę zauważyć, że wszystkie zadrapania na jego twarzy biegną w tym samym kierunku. Jeśli dodamy do tego, że zeszywniał z rękami nad głową, logiczna wydaje się konkluzja, że ktoś ciągnął go za ręce twarzą w dół po chropowatej powierzchni, na przykład po drewnianej podłodze. Śnieg, który znalazłam wepchnięty do jego gardła, pasowałby do tej hipotezy.

Mercer przypomniał sobie, jak zastanawiał się, dlaczego ramiona Igora wyciągnięte były nad głowę, gdy znaleźli jego ciało. Wtedy założył, że rozcięcia na twarzy Igora powstały od

spadającego lodu. Ale teraz? Anika przedstawiła wiarygodny scenariusz. Wzrokiem zadał jej kolejne pytania – Nie wiem, dlaczego został zabity, panie Mercer. Ani kto to zrobił.

– Właściwie, doktorze Mercer, ale wszyscy mówią do mnie po prostu Mercer – powiedział odruchowo.

Kto mógłby to zrobić? Silna osoba, tak stwierdziła Anika. Ten opis pasował do niemal każdego w tym obozie. Gdyby moment śmierci był inny, brałby pod uwagę pasażera na gapę, który zostawił ślady wokół helikoptera, ale katastrofa miała miejsce, gdy Igor już nie żył. Został mu niewygodny wniosek, że wśród uczestników wyprawy był morderca. Teraz wiedział, skąd brał się strach Aniki. Udzielił mu się.

– Spełni się pani życzenie – powiedział po chwili.

– Życzenie?

– Chciała pani zbadać ciało, które znaleźliśmy w Camp Decade. To jedyna rzecz, która może tam kogokolwiek interesować. Jeśli Igor został zamordowany z jakiegoś powodu, założę się, że tym powodem było ciało pilota.

– Powiedział pan, że w bazie jest niebezpiecznie.

– Powiedziała pani właśnie, że ktoś wywołał lawinę, żeby ukryć zabójstwo Igora. Jeśli ma pani rację, z dachem w Camp Decade jest wszystko w porządku.

– A co, jeśli się mylę? – Nagle zejście do podziemnej bazy nie było już dla niej tak atrakcyjne.

– Powinna pani polegać na swoich przeczuciach – odparł Mercer. – Biorąc pod uwagę to, co pani właśnie odkryła, moim zdaniem są trafne.

Gdy wyszli z laboratorium, znów zaatakował ich wiatr. Drobiniki lodu uderzały ich w twarz jak odłamki szkła. W żaden sposób nie dało się zawiązać kaptura tak ciasno, by osłonić twarz. To było jak atak roju os. Dotarli do długiego wykopu prowadzącego do wejścia Camp Decade. Gdy znaleźli się poniżej poziomu gruntu, wiatr nie był już tak dotkliwy. Znowu mogli iść wyprostowani i rozmawiać.

– Czy zanim opuściła pani „Njoerda”, dowiedziała się pani, jak długo będzie tak wiało? – Mercer wdrapał się do snowcata, żeby odpalić silnik i uruchomić dźwig.

– Cały dzień, a jutro z kilkugodzinną przerwą, po której uderzy jeszcze silniejszy front burzowy.

– Eryk Rudy był niezłym handlowcem – zażartował Mercer. Anika spojrzała na niego ze zdziwieniem. – Gdy stary wiking został wygnany z Islandii w 982 roku, popłynął na zachód i osiadł tutaj. Przezimował gdzieś na wschodnim wybrzeżu. Gdy wrócił do domu, opowiedział ludziom o pięknej wyspie, którą odkrył, i nazwał ją Grenlandią, żeby oddać bujność tutejszej przyrody. To zapewne nie było pierwsze w historii kłamstwo marketingowe, ale na pewno jedno z najbardziej efektywnych. Wrócił z dwudziestoma pięcioma statkami pełnymi osadników.

Zeskoczył z pojazdu śnieżnego i sięgnął w siedmiometrową przepaść, żeby chwycić zwisający kosz, którym zjeżdżali na dół. Anika bez wahania weszła do środka, Mercer tuż za nią.

– Nie ma pani lęku wysokości? – zapytał, gdy kosz zaczął powoli zjeżdżać.

– Wspinam się po górach. Prawdopodobnie potrafiłabym zejść na dół szybciej, niż zjeżdżając tym pańskim wynalazkiem.

Mercer nie wątpił w to, co powiedziała. Gdy byli na dole, sprawdził łańcuchy, którymi razem z Iżą zabezpieczyli drzwi po wyniesieniu ciała Igora. Wydawało się, że były nietknięte, więc wcisnął klucz w zamek i przekręcił go. Gdy byli w środku, jedną z pozostawionych tam latarek wręczył Anice, a drugą wziął sam. Przecinając ciemność, silne snopy światła wyglądały jak rycerskie kopie.

Tym razem wrażenie, że obserwują go duchy, było silniejsze. Umysł Mercera załapały wspomnienia o Igorze Bułgarinie. Przewodził ją w stronę kwater oficerskich, gdzie od kilkudziesięciu lat leżało ciało Jacka Delaneya. Po wyciągnięciu Igora Mercer i Ira uprzętnęli śnieg, który blokował przejście, ale i tak musieli teraz gramolić się przez sterty lodu. Nawet w kombinezonie Anika poruszała się z gracją, ani razu nie stawiając stopy w złym miejscu. Mercerowi szło gorzej. Był przyzwyczajony do tak ciasnych przestrzeni, pracował w nich, ale nie umiał poruszać się po śliskiej powierzchni.

Gdy minęli ostatni zator, skierowali światła na podłogę. Anika uklęknęła. Bordowe smugi na podłodze to była krew. Krew Igora Bułgarina. Słabe ślady ciągnęły się wzdłuż ciemnego przejścia.

– Miała pani rację – westchnął Mercer, nie wiedząc, co o tym sądzić.

– Pan też. Igor oglądał ciało.

Ruszyli korytarzem do pokoju numer 10. Jack Delaney wyglądał dokładnie tak jak wtedy, gdy znalazł go Mercer. Jego twarz

była wychudzona, jakby umarł z głodu, blada, usta miał prawie szare. Dłonie trzymał złożone na piersiach. Straszliwie chude palce były splecione, jakby modlił się na chwilę przed śmiercią. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, żeby zrozumieć, jak bardzo musiał się zawieść – przeżył tyle czasu tylko po to, żeby odkryć, że Camp Decade jest opuszczony. Spojrzenie martwych oczu wyrażało samotność.

– Czy ktoś ruszał ciało? – Pytanie Aniki wyrwało Mercera z ponurych refleksji.

– Nie. – Spojrzał na podłogę i zobaczył więcej krwi, kilka kropli pod jedną ze ścian. To rozprysła krew Igora. – Igor zginął w tym pokoju. Albo został zaatakowany przez kogoś, kto chciał mu przeszkodzić w zbadaniu ciała, albo zamordowany, żeby nie wyszło na jaw, że jeszcze ktoś interesuje się ciałem pilota.

– Ale zanim zdążył przyjrzeć się ciału? – drążyła Anika.

– Tak, wygląda na to, że nikt nieszczęsnego pilota nie dotykał. Igor mógł dotrzeć tutaj około czwartej trzydzieści rano. Morderca mógł być kilka minut po nim. Uderzył Igora pałką. Ponieważ ludzie wstają około szóstej, morderca miał tylko półtorej godziny, za mało czasu, by wywołać lawinę i wrócić do sypialni, zanim ktokolwiek się zorientuje.

– Mamy szczęście. – Anika położyła plecak na biurku obok łóżka. Podobnie jak w przypadku Igora Bułgarina, rozpoczęła oględziny ciała Delaneya od stóp. Mercer stał przy niej, oświetlając pilota latarką. Gdy przyjrzała się zębom, powiedziała. – Proszę spojrzeć na to.

Delaney miał tylko kilka zębów, czarne pieńki tak popękane, że lotnik raczej nie mógł nimi gryźć. Jego dziąsła wyglądały jak surowe mięso.

– Jest bardzo chudy – mruknęła.

– Zważywszy, przez co przeszedł, nie jestem zaskoczony.

Anika nie odpowiedziała. Wyjęła ze swojej torby taśmę mierniczą. Delaney w butach miał tylko sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu. Był bardzo niski, pomyślał Mercer, ale ponieważ nie wiedział, czy piloci wojskowi musieli spełniać jakieś wymogi, jeśli chodzi o wzrost, nic nie powiedział. Anika podciągnęła rękawy munduru Delaneya.

– Nie powinna go pani ruszać, dopóki nie zjawią się przedstawiciele Sił Powietrznych – upomniał niezbyt przekonująco Mercer. Był tak samo ciekaw jak ona.

Spojrzał na zegarek. Byli tu od dziesięciu minut. Da jej jeszcze pięć i będą musieli wyjść. Wiedział, że trup jest radioaktywny. Zdał sobie sprawę, że to mogło wyjaśnić utratę zębów i fakt, że Delaney był zupełnie łysy – kolejny objaw ostrej choroby popromiennej.

– Co pan o tym sądzi? – Anika wskazała na prostokątną bliznę na jego lewym przedramieniu.

– Wygląda na oparzenie.

– Bardziej jak wypalone znamię. Ale nie widzę nic poza tkanką bliznowatą, żadnych symboli ani słów.

Gdy opuściła rękawy munduru, Mercer zauważył kawałek papieru, który Delaney ścisnął w dłoni.

– Co to?

– Jest pan bardzo spostrzegawczy. Przegapiłabym to. Szczypcami chirurgicznymi ostrożnie wyciągnęła papier.

Gdy podała go Mercerowi, zobaczyli dym. Czarna chmura wypełniła pomieszczenie. W kilka sekund snopy światła ich latarek stały się tylko maleńkimi krążkami jasności, przebijającymi się przez gęsty dym najwyżej na trzydziestu centymetrów.

– Co jest, do...? – Anika zaczęła kaszleć, zanim zdążyła dokończyć zdanie.

Mercer pchnął ją na podłogę, gdzie powietrze było trochę czystsze. Oczy Aniki były zaczerwienione i łzawiły. Zaczęła kaszleć.

– Co się stało? – zapytała, łapiąc oddech i walcząc z nudnościami.

– Pożar. Nie wiem. Musimy się stąd wydostać.

– Jak?

Mercer doczołgał się do drzwi. Nawet przez chmurę dymu widział tańczący blask ognia przy wyjściu z kwater oficerskich. W ciągu kilku sekund, gdy wpatrywał się jak w transie, ogień zdawał się potężnieć. Po drugiej stronie ściany płomieni było jedyne wyjście z Camp Decade.

Anika dołączyła do niego przy drzwiach.

– Jesteśmy uwięzieni!

Wszystko działo się tak szybko, że nie miał czasu, by wpaść w panikę. Myślał trzeźwo, ale pożar rozprzestrzenił się tak szybko, że nie przychodziło mu do głowy żadne rozwiązanie.

Jesteśmy uwięzieni. Jest tylko jedno wyjście, a drogę do niego blokuje pożar. Pomieszczenie jest wykończony drewnem.

Szybciej się usmażymy, niż pożar wygaśnie z powodu braku tlenu. Jak w naturalnym kominie dym będzie się wydostawał na zewnątrz szybem wejściowym, a jednocześnie ogień będzie tamtędy zasysał więcej powietrza, które będzie podsycalo pożar, pomyślał.

– Mercer!

Byłeś już w takiej sytuacji, upomniał sam siebie. Kiedy indziej i w innym miejscu. Jak się wtedy wydostałeś?

Jednak wcześniej miał do czynienia z pożarami w kopalniach, gdzie grupy wyszkolonych ratowników walczyły z żywiołem, żeby ocalić ludzi.

Wiesz, jak się stąd wydostać. Jak?

Nagle go olśniło.

– Szyb powietrzny – krzyknął ponad odgłosami trawionego ogniem Camp Decade.

– Jest w samym środku ognia – dusiła się Anika. – Nie damy rady.

– Nie szyb, którym się tu dostaliśmy. W takim dymie nigdy go nie znajdziemy. Musimy przebić się przez ogień, żeby dotrzeć do garażu po drugiej stronie.

– Jak?

– Biegnąc cholernie szybko.

– Dlaczego nie spróbujemy znaleźć drzwi wyjściowych?

– Anika, tu nie ma nic, co mogło wywołać ogień. Pożar wywołał ktoś, kto zabił Igora, żebyśmy nie mogli udowodnić, że to było morderstwo. – Odetchnęła głęboko i natychmiast zaniosła się gwałtownym kaszlem. – Nie ma sensu szukać drzwi,

ponieważ najpewniej są zablokowane. Musimy dotrzeć na drugą stronę obozu. W garażu są szyby powietrzne, którymi były odprowadzane spaliny. To nasza jedyna szansa.

Mercer podszedł do łóżka, na którym leżał Delaney, bezceremonialnie odsunął ciało i wyciągnął spod niego koce. Ciepło emitowane przez pożar topiło lód i śnieg, więc korytarzem i pod drzwiami sypialni płynęła woda. Mercer zmoczył w niej koce. Woda miała temperaturę bliską zera, więc parzyła go w ręce jak kwas.

– Zdejmij kombinezon – polecił.

– Zwariowałaś?

– Tak. Zdejmuj kombinezon.

Gdy zrobiła, o co prosił, Mercer zdjął kurtkę i ochlapał ją w strumieniu wody. Zanim włożył ją z powrotem, położył się na plecach. Lodowata woda zaparła mu dech. Gdy ochlapawał sobie nogi, czuł, że woda zamarza, a lód łamie się z każdym jego ruchem.

– Zamarzniemy na śmierć. Ochlapał wodą twarz i włosy.

– Wolę zamarznąć, niż spłonąć.

Wziął czerwony kombinezon Aniki i zanurzył go w wodzie, dając jej znak, żeby położyła się w wodzie tak jak on.

Kiedy wstała, miała sine usta i szczykała zębami. Mercer wyobrażał sobie, że wygląda równie źle. Jeśli udałoby im się przejść przez ogień, w kilka minut zabije ich hipotermia. Podał jej kombinezon. Ważył co najmniej pięć kilogramów więcej. Mógł tylko mieć nadzieję, że zatrzymał wystarczającą ilość wody, żeby nie zaczął się palić.

Zdrętwiały z zimna palce odmawiały posłuszeństwa i kiedy wreszcie się ubrali, ogień szalał już blisko nich. Zakładając, że rozprzestrzeniał się równomiernie, musieli pokonać sześćdziesiąt metrów w płomieniach.

Naciągnął kaptur, osłonił oczy goglami i upewnił, że Anika była podobnie zabezpieczona.

– Uważaj, kiedy znajdziemy się wewnątrz ognia. Nie wiem, czy cały śnieg stopniał, nadal mogą tam być zasy.

– A jeśli ogień jest większy, niż ci się zdaje?

– Wtedy spełnią się życzenia tych wszystkich, którzy mówili mi, żebym poszedł do diabła. – I tym razem dopisywał Mercerowi wisielczy humor. – Gotowa?

– Nie.

Mercer uśmiechnął się pokrzepiająco i okrył ją kilkoma mokrymi kocami.

– Damy radę.

– Okej, A.K., zróbmy to – powiedziała spokojnie Anika i patrzyła, jak Mercer rzucił się przez korytarz jak wystrzelony z procy. Oczekała jedno uderzenie serca i ruszyła za nim.

Mercer biegł z otwartymi oczami tak długo, jak mógł. Gdy podmuch gorąca uderzył go z całą siłą, mocniej ściągnął koc wokół głowy, skulił ramiona i pobiegł tak szybko, jak nie biegł jeszcze nigdy w życiu. Słyszał, jak koce syczą, gdy wyparowuje z nich woda.

Po dwudziestu metrach wiedział, że zbliża się do lawiny, która przysypała Igora Bułgarina. Człapał przez śniegową breję. Szurał nogami, żeby odgarnąć błoto i ułatwić przejście Anice.

Dobiegł go trzask. Kawalek sufitu spadł w płomienie. Jeśli Anika była po drugiej stronie zatoru, nie byłby w stanie jej wyciągnąć. Biegł dalej. Koc zaczynał się tlić.

Mercer wpadł w zaspę i poleciał do przodu. Gdyby nie był na to przygotowany, runąłby jak długi. Gdy stracił równowagę, mocniej ścisnął koc. Upadł, przetoczył się przez bark i szybko wstał. Zachwiał się i gdyby Anika go nie złapała, upadłby znowu.

Jakimś cudem Anika biegła szybciej niż on. Widziała, co się stało, i dlatego go złapała. Mercer zaryzykował otwarcie oczu. To było jak stanie na dnie piekła. Płomienie otaczały ich, liżąc drewniane ściany. Gorąco parzyło gardło. Udało mu się odzyskać orientację, zanim kłęb dymu zasłonił pole widzenia, oszczędzając mu świadomości, że pokonali zaledwie jedną trzecią dystansu.

Biegli dalej obok siebie, a strach przed spłonieniem dodawał im sił. Woda, którą nasączone było ubranie Mercera, zaczęła parować.

Gdy przestał słyszeć ryk ognia, wiedział, że wydostali się z pożaru.

– Anika, padnij – krzyknął, rzucając się na ziemię jak bejsbolista na ostatnią bazę w finałowym meczu.

Powtórzyła jego ślizg. Na podłodze powietrze było czystsze. Chociaż jej koc tlił się, kombinezonu ogień nie tknął. Czołgali się dalej, wreszcie dotarli do drzwi. Otworzyli je.

Garaż był ogromny – wiedzieli to po pogłosie, jaki towarzyszył ich każdemu kaszlnięciu – i nie był wypełniony dymem.

– Jesteś cały? – wycharczała Anika. Włączyła latarkę.

Mercer przytaknął. Miał spuszczoną głowę, a z jego ust z każdym kaszlnięciem wydobywał się smolisty dym.

– Mam przyjaciela – dyszał – który pali dwie paczki dziennie. Założę się, że przeszedłby przez to i jeszcze miał głód nikotynowy.

Mercer wyjął z kieszeni latarkę i ściągnął z siebie kurtkę, następnie zdjął swetry i podkoszulki.

– Wiesz, że musisz – powiedział, widząc, że Anika się nie rozbiera. – Temperatura tutaj nie jest ujemna, ponieważ śnieg, który przykrywa bazę, działa jak izolacja. Możemy tu wytrzymać przez chwilę, o ile zapobiegniemy utracie ciepła. Mokre ubrania wyciągną je z nas kilka razy szybciej niż powietrze.

– Wiem – przyznała Anika i zaczęła się rozbierać. – Po prostu zastanowiła mnie blizna na twoim ramieniu.

– A, to. Stare dzieje. – Bliznę na ramieniu Mercera zostawiła wiele lat wcześniej kula zamachowca. – Dziękuję, że mnie podtrzymałaś. Gdybym upadł, już bym nie wstał.

– Jesteśmy kwita – uśmiechnęła się leciutko. – Myślisz, że wytrwamy do czasu, gdy ugaszą ogień?

– Nie, jeśli nie damy im znać, że tu jesteśmy. Nikomu nie powiedzieliśmy, że się tu wybieramy.

W samych bokserkach, z oddechem zmieniającym się w parę, Mercer walczył, by zimno nie wysało z niego energii, i próbował zebrać myśli. Ale nic nie mógł wymyślić. Wyobrażał sobie, że Anika czuła się jeszcze bardziej niekomfortowo w bawełnianych figach i sportowym staniku, choć wydawała się nie zwracać uwagi na swój negliż.

– Najpierw to, co najważniejsze.

Mercer nie spędził za dużo czasu w tej części bazy, ale przypomniał sobie, że było tu kilka szafek na ubrania obok małej umywalni.

Otworzył z trzaskiem drzwi i znalazł to, czego potrzebował. Ponieważ w latach pięćdziesiątych pozostawiono tu sporo wyposażenia, w kilku szafkach nadal wisiały kombinezony mechanicznych. Wziął cztery, dwa rzucił Anice.

– Wiedziałaś, że je tu znajdziesz? – spytała z wdzięcznością, wkładając poplamiony strój.

– Wojsko zabrało tylko reaktor, snowcaty i rzeczy osobiste załogi obozu, reszta została. Nie byłem pewien, czy znajdziemy akurat kombinezony, ale wiedziałem, że musi być tu coś, co nam się przyda.

Znalazł też jakieś buty. Zaczynał myśleć, że im się uda. Podał Anice zapalniczkę.

– Tylko mi nie mów, że palisz – skrzywiła się ze wstrętem.

– Nigdy, ale podczas wyprawy zawsze mam ze sobą kilka zapalniczek. Skautowskie nawyki. Możesz rozpalić ognisko?

Gdy wzięła się do pracy, on rozglądał się po garażu. W jednym rogu zauważył duży zbiornik na paliwo do wojskowych snowcatów. Uderzył w niego młotkiem, który znalazł. Głuchy dźwięk świadczył o tym, że zbiornik był pełen przynajmniej do połowy. Na haku przyspawanym do stojaka zbiornika wisiał zwój gumowego węża ze standardową końcówką. Na drugim końcu warsztatu znajdował się ciąg drzwi, które kiedyś prowadziły do wykopanych w śniegu podjazdów na powierzchnię. Poświecił

latarką na kratownicowy sufit piętnaście metrów nad swoją głową i zauważył kilka sporych wywietrzników. Były aż nadto szerokie do tego, co planował. Potrzebował jeszcze tylko drabiny i długiego pręta, takiego jak środkowy maszt wojskowego namiotu. Obydwie rzeczy znalazł w schowku na narzędzia.

Zapach palonego drewna zaczął być naprawdę intensywny, po drugiej stronie ognioodpornych drzwi szalał pożar.

Anika skuliła się przy ognisku, które rozpałała ze skrzynek. Złożyła ręce, jakby otrzymywała podarunek od płomieni.

– Kto by pomyślał, że po biegu przez szalejący pożar siedzenie przy ogniu będzie tak miłe – zażartowała.

– Jeszcze nie skończyliśmy. Najwyższy czas zwalczyć ogień jego własną bronią.

Spojrzała na Mercera pytająco. Gdy wyjaśnił, co ma na myśli, miała tylko jedno pytanie:

– Skąd wiesz, że ropa nadal będzie się palić?

– Paliwo nie traci z upływem czasu swoich właściwości. Gdybyśmy odprowadzili osad i wodę z dna zbiornika, moglibyśmy zatankować nasze snowcaty.

– Zróbmy to. – Anika wstała przekonana przez Mercera. Wcześniej powiedział, że jej ufa. Teraz nie miała wyboru, musiała odwzajemnić to zaufanie.

Mercer ustawił drabinę obok największego wywietrznika. Wspiął się po niej, żeby usunąć siatkę, która go osłaniała. Pionowa rura była wystarczająco duża, żeby on i Anika zmieścili się w niej.

Anika rozwijała w tym czasie wąż paliwowy. Linką przywiązała koniec elastycznej rury do trzymetrowego słupka namiotowego. Jej węzły były mocne i profesjonalne. Gdy Mercer sprawdzał zawór zbiornika, scyzorykiem odcięła od węża końcówkę do tankowania. Guma była łamliwa, ale wyjątkowo twarda i musiała użyć całej siły.

Zbiornik stał półtora metra nad betonową podłogą. Mercer wiedział, że tankowanie odbywało się raczej grawitacyjnie niż za pomocą pompy mechanicznej. Gdy otworzy zawór, z pozabionego zamykającej końcówki węża wytryśnie strumień oleju napędowego.

– Jesteś gotowa na próbę? – zapytał Anikę.

– Okej. – Odsunęła od siebie koniec rury, nie wiedząc, jak silny będzie strumień.

– No to zaczynamy.

Zawór nie chciał drgnąć. Mercer spróbował jeszcze raz dwoma rękami i z całej siły. Udało się.

– Jezu! – wrzasnęła zaskoczona Anika. Mercer szybko zakręcił zawór.

– No i? – zwrócił się w jej kierunku.

Przesunęła światłem latarki po błyszczącej mokrej płamie na podłodze. Smuga ciągnęła się piętnaście metrów, a następnie zniknęła poza zasięgiem światła.

– Paliwo ma wystarczająco dużo oktanów?

– Aż nadto – zaśmiał się Mercer zadowolony, że jego pomysł być może jednak zadziała.

Szybko oprzytomniał, gdy dotarła do nich gęsta fala dymu. Temperatura w garażu zaczynała rosnać. Drzwi oddzielające garaż od pozostałej części bazy nie były widocznie tak ognioodporne, jak sądził.

– Wejdz na drabinę – zaproponowała Anika, która już ruszyła do zbiornika. – Uruchomię zawór.

Mercer odsunął drabinę. Stał jak najdalej od spływającego w dół paliwa. Wysoko nad podłogą powietrze było wypełnione dymem. Osłonił twarz kołnierzem kombinezonu, ale zbutwiałe ubranie było bardziej śmierdzące niż powietrze.

– Daj znać, kiedy puszczać paliwo – krzyknęła Anika. Jej głos odbił się echem po garażu.

Mercer podniósł tyczkę na odpowiednią pozycję i dla równowagi oparł jej końcówkę w szybie wentylacyjnym. Przywiązany do niej wąż zwisał na podłogę i biegł w kierunku cysterny. Zapierając się o drabinę, mógł utrzymać tyczkę bez ryzyka, że ciężar będzie zbyt duży i on straci równowagę.

– Otwieraj.

Wężem popłynął olej napędowy. Paliwo wypełniło gumowy przewód i trysnęło z impetem w szyb, rozpryskując się na lodowym zatorze jak woda z uszkodzonego hydrantu. Gdy tylko ropa zaczęła ściekać na podłogę, Mercer rzucił zapalniczkę w strugę łatwopalnego płynu.

Paliwo wybuchło z potężnym podmuchem, nagły rozbłysk czerwieni, czerni i pomarańczowego oślepił Mercera, zanim zdążył się ukryć. Przypominało to dyszę wylotową silnika raketowego. Nawet z odległości trzech metrów gorąco było nie

do zniesienia i poczuł, że pot zalewa mu oczy. Rosnące jezioro ognia pod nim znalazło ujście przez wycięte w betonie odpływy i zaczęło spływać do podziemnych zbiorników na nieczystości.

Oprócz płonącego paliwa z wywietrznika zaczęła spływać woda – lód stopiony huraganowym atakiem ognia. Mercer nie mógł ocenić, jak szybko stopi się cały lodowy zator, ale z każdą sekundą przybywało wody rozcieńczającej ognisty płyn.

– To działa. – Usłyszał Anikę poprzez szum płomieni.

– Miałaś wątpliwości? – uśmiechnął się Mercer. Na tle ognia wyglądał jak demon.

– Ani przez chwilę. – Anika ogarnięta euforią odwzajemniła jego bezczelny uśmiech.

Dzięki temu, że płonące paliwo znikało w otworach odpływowych, obawy Mercera, że wzniesie jeszcze większy pożar, okazały się bezpodstawne. Jeszcze przez pięć minut drążył lód ognistym strumieniem ropy, po czym krzyknął do Aniki, żeby zamknęła dopływ. Nie musieli nawet przystawiać drabiny do otworu wentylacyjnego, żeby sprawdzić, czy im się powiodło. Kałuża płomieni na podłodze oświetlona była idealnym okręgiem światła słonecznego.

Przebili się!

– To tylko kwestia czasu, zanim walczący z pożarem przy głównym wejściu zauważą dym wydostający się z tego szybu i przyjdą sprawdzić, co się dzieje – powiedział Mercer, patrząc w niebo.

Odwrócił się do Aniki. Uśmiechała się tajemniczo, jednocześnie zdziwiona i z szacunkiem.

Położyła mu ręce na ramionach, pochyliła ku sobie i delikatnie musnęła ustami jego policzek.

– Uratowałeś mnie już dwa razy. Znowu jestem twoją dłużniczką. Serce Mercera zabiło mocniej. Myślał, że pocałuje go w usta. Wydawało mu się, że poznał jej spojrzenie, i przez moment egoistycznie chciał, by tak było. Ostatecznie jednak cieszył się, że tak się nie stało. Poczucie zagrożenia wyprawia z ludźmi dziwne rzeczy, błyskawicznie tworzą się więzi, a przekonał się już, że nie są to prawdziwe uczucia. Takie emocje były po prostu wynikiem działania adrenaliny i uczucia ulgi.

Przypomniał sobie kilka osiągnięć Aniki, o których wspominał Igor, i zdał sobie sprawę, że ona zapewne lepiej od niego daje sobie radę z takim stresem. W jej oczach widział odbicie swojej ulgi, nie jej.

– Jesteśmy kwita. – Szorstkim tonem pokrył zakłopotanie. Z góry dobiegł ich czyjś głos.

– Halo! – To był Erwin Puhl.

Mercer spojrział na zegarek zaskoczony, że ich sygnał został zauważony tak szybko. Od wybuchu pożaru minęło pół godziny, wystarczająco długo, żeby członkowie ekspedycji zaczęli walczyć z pożarem przy głównym wejściu.

– Erwin, to ja, Mercer.

– Kiedy się okazało, że nie dowodzisz akcją pożarniczą, wystraszyliśmy się, że utknąłeś gdzieś na dole. Czy doktor Klein jest z tobą? Od jakiegoś czasu nikt jej nie widział.

– Tak, jest ze mną. Możecie rzucić nam linę? Dym jest coraz gęstszy i robi się coraz bardziej gorąco.

– Za chwilę wracam.

– Szybko! Jeśli pożar przedrze się przez drzwi garażu, wszystko wyleci w powietrze. – Mercer rzucił okiem na zbiornik z olejem napędowym stojący tuż przy dogasających resztkach ogniska rozpalonego przez Anikę. – I usunięcie wszystkich ludzi z okolicy głównego wejścia.

Dziesięć minut później zostali wydobyli przez szyb wentylacyjny za pomocą wyciągarki zamontowanej na pojeździe śnieżnym, którym przyjechał Ira.

– Wszyscy wrócili do obozu – powiedział Ira, gdy wskoczyli do dziwnego pojazdu.

– Pośpieszmy się. Zostało tylko kilka minut. Śluzę ogniową nie wytrzymają już długo, a w garażu jest już ze czterdzieści stopni. – Mercer miał zawroty głowy i dreszcze z powodu różnicy temperatury.

Ira nie potrzebował więcej informacji. Wrzucił bieg, zawrócił wokół własnej osi i ruszył ostro, wyrzucając spod gąsienic pióropusze śnieżnego pyłu. Okrążył długi wykop przy wejściu do Camp Decade. Wydostawał się z niego gęsty dym, śnieg wokoło oprószone był sadzą.

Zatrzymał się czterysta metrów dalej, przy stołówce. Mercer właśnie wysiadał, gdy zbiornik z paliwem wybuchł jak wulkan, zmieniając w parę dwudziestopięciometrowy nieregularny okrąg lodowca. Kawałki lodu wielkości samochodu wyleciały do góry na olbrzymiej kolumnie ognia. Chwilę później dotarła do nich fala uderzeniowa, kołysząc snowcata i wywracając Mercera na plecy.

Lodowy pył unosił się jeszcze przez wiele minut, nim w końcu opadł na ziemię. Gdy powietrze oczyściło się już ze śnieżnych drobinek, zobaczyli wiszącą nad dziurą smugę dymu, szpecącą nieskazitelny horyzont.

– Co wy tam, do cholery, robiliście? – zapytał ostro Ira, kiedy postawił już Mercera na nogi.

Mercer wymacał w kieszeni kawałek papieru, który wyciągnęli z palców Jacka Delaneya.

– Jeszcze nie wiem.

NA POKŁADZIE „CESARZOWEJ MÓRZ”

Morze Północne rozwścieczone, że nie udaje mu się rozkołysać wielkiego liniowca, zaciekle atakowało falami, które przykryłyby kuter rybacki i rozbijałyby zwykły statek handlowy. „Cesarzowa Mórz” dzięki szeroko rozstawionym kadłubom i wyjątkowej długości zawsze miała pod sobą fale, których szczyty i doliny wzajemnie się znosiły. Dzięki temu płynęła spokojnie pod ołowianym niebem, jak gdyby miała do pokonania zaledwie zmarszczki na spokojnej wodzie.

Ojciec Anatolij Watutin pierwsze dni podróży spędził w swojej kajucie. Nie chodził do restauracji albo ogromnych okrętowych kantyn, lecz zamawiał lekkie posiłki do kajuty. Swojemu przełożonemu, biskupowi Olkranszy'emu, przekazał, że odkąd wypłynęli, nie czuje się najlepiej. Nie było to zresztą dalekie od prawdy.

Watutin miał chłopskie pochodzenie i wygląd: wielkie dłonie i umięśnione ramiona jak ktoś ciężko pracujący fizycznie. Mimo swojej postury i ogromnej siły miał bardzo delikatny żołądek. Nawet podczas nieznacznego bujania cierpiał na chorobę morską. Jego poświęcenie dla misji było tak wielkie, że znosił

nudności ze stoickim spokojem, spędzając godziny na swojej koi lub na sedesie.

Ominęła go uroczysta ceremonia otwarcia powszechnego zgromadzenia i papieskie błogosławieństwo, które oceniano jako najpiękniejsze z dotychczasowych. Jego nieliczne wyprawy na pokład dla zaczerpnięcia świeżego powietrza odbywały się pod osłoną nocy i nawet wtedy unikał innych gości. Na najważniejszym spotkaniu religijnym w historii Watutin stał się nikim i był z tego zadowolony.

Myślał teraz tylko o jednym. o ikonie.

Oprócz kelnerów, którzy przynosili mu rosół i pieczywo oraz przekazywali telefony od biskupa Olkranzy'ego dopytującego o jego zdrowie, Watutin miał okazję porozmawiać tylko z kardynałem o nazwisku Peretti, który był papieskim sekretarzem stanu i drugim najważniejszym człowiekiem w Watykanie. Peretti na polecenie papieża zwracał przedstawicielom innych kościołów tysiące należących do nich przedmiotów, które posiadał Kościół katolicki. Był jedyną osobą, która interesowała Watutina.

Ze względu na ogromną liczbę zwracanych przedmiotów tylko część znajdowała się na statku. Były to najbardziej wartościowe zabytki – starożytne pisma, unikatowe książki, najcenniejsze rzeźby i ikony. Biuro Perettiego na pokładzie „Cesarzowej Mórz” zalały prośby o wydanie ich już na początku podróży zamiast, jak to zaplanowano, u jej kresu. W imię przyjaźni i współpracy Peretti przyjął wszystkie te prośby, zlecając kilkunastu florenom, pracownikom technicznym Watykanu, by szukali ich w kontenerach w ładowniach statku.

W końcu biuro Perettiego rozpatrzyło prośbę ojca Watutina. Przesłano po niego barczystego florena. Robotnik był ubrany w schludny kombinezon, a za paskiem miał parę białych rękawiczek, które wkładał, gdy przynosił najcenniejsze i delikatne pakunki. Szedł korytarzem sprężystym krokiem, Watutin włókł się za nim, dla zachowania równowagi przytrzymując się dłońmi ściany holu, choć statkiem nie bujało. Usta miał pełne śliny.

Przeszli do części eksploatacyjnej liniowca. Wąskie i sterylne korytarze oświetlone były jarzeniówkami zamontowanymi na suficie. Powietrze było przesycone wilgocią, Watutin zorientował się, że zeszli pod poziom wody.

Zatrzymali się przy wodoszczelnej grodzi, gdzie florena zamienił kilka słów ze stojącym na straży gwardzistą szwajcarskim i wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. Napis na drzwiach informował, że jest to „Luk towarowy numer 3”. Gdy robotnik otwierał drzwi, gwardzista rzucił jakiś żart. Obaj mężczyźni roześmieli się i Watutin był przekonany, że żart dotyczył jego. Nie obchodziło go to jednak. Zaparło mu dech w piersiach, a kiedy wszedł do przepastnej ładowni, mimowolnie zwolnił kroku. Nie mógł uwierzyć, że dotarł tak daleko. Za kilka chwil jego życiowa misja miała się wypełnić.

Watutin nie potrafiłby wyrazić tego, co czuł. Wszystko, co widział, nabierało świętości. Nie miało znaczenia, że ciemna ładownia wyglądała jak magazyn, który pomimo nowości zdążył już zatęchnąć. Wydawało mu się, że wkracza do najwspanialszej katedry na świecie, miejsca świętego dzięki przechowywanym w nim przedmiotom. Florena splunął na podłogę, a Watutin

prawie się na niego rzucił, nim zdał sobie sprawę, że ten człowiek nie ma pojęcia, co za przedmiot odda za chwilę prawowitemu właścicielowi.

Nie, pomyślał Anatolij, nie ma prawowitego właściciela poza szatanem we własnej osobie. Ja ją tylko przechowuję.

Z długą listą w ręku robotnik prowadził kapłana między rzędami kontenerów. Peretti zorganizował całość perfekcyjnie. Wykaz zawierał wszystko, od największych obrazów po różańce. Wkrótce stanęli przed dużym kontenerem. Florena ponownie wyciągnął klucze i otworzył drzwi. Czekał, aż Watutin rozłoży liczącą siedemdziesiąt lat fotografię ikony, którą miał odebrać. Nawet ksiądz nie zdawał sobie sprawy z tego, że brązowe plamy w rogu zdjęcia były krwią.

Pracownik wziął fotografię i dał Watutinowi znak, by został na zewnątrz. Sam włączył małą latarkę, którą nosił w drugiej kieszeni, i zanurkował do kontenera. Wrócił niemal od razu.

Ikona miała tylko sześćdziesiąt centymetrów długości i trzydzieści szerokości. Florena ugiął się jednak pod jej ciężarem. Była gruba na ponad piętnaście centymetrów. Watutin od razu poznał, że tej właśnie relikwii szukał. Mężczyzna położył ją na stole. Choć Watutin odebrał zdjęcie, nie potrzebował go, by stwierdzić, że ikona jest autentyczna. Znał ją lepiej niż ktokolwiek z żyjących. W każdej chwili mógł ją odtworzyć w pamięci. Anatolij Watutin prześledził jej losy od miejsca, w którym została stworzona, niedaleko Wanawary, poprzez Sankt Petersburg, Stalingrad, Berlin, aż do Rzymu. Śniła mu się tysiąc razy i tysiąc razy nie dawała mu spać. Znał ją lepiej niż rysy własnej twarzy.

W przeciwieństwie do większości ikon nie był to złożony obraz na desce. Relikwię wykonano niemal wyłącznie z czystego złota. Przeciągnął palcem po płytkim reliefie Marii Dziewicy trzymającej w objęciach ukrzyżowanego syna. Podziwiał kunszt, z jakim odwzorowano okrywającą ją szatę oraz rany Chrystusa, zwłaszcza krew, która spływała z jego boku. Pochylił się nad ikoną, by przyjrzeć się dokładniej znakowi nad ramieniem Marii, i upewnił się, że to ogon komety.

Anatolij Watutin padł na kolana, zapominając o chorobie morskiej i innych przykrościach, jakich doświadczył przez ostatnich czterdzieści lat. Modlił się żarliwiej niż kiedykolwiek w swoim życiu, dziękując Bogu, Chrystusowi, Marii i bratu Grigorijowi. Jego wnikliwe, trwające wiele lat badania okazały się potrzebne. Ikona znalazła się w Watykanie zaraz po II wojnie światowej, przez przypadek wysłana tam przez amerykańskiego żołnierza pracującego dla komisji repatriacyjnej. Była jednym z tysięcy przedmiotów zrabowanych przez niemiecką armię i oddanych po wojnie w niewłaściwe ręce.

Powrót do kajuty wykończył go. Od dźwigania ikony bolały go mięśnie. Nigdy jednak nie czuł się lepiej. Położył ikonę na łóżku. Sprężyny z jękiem ugięły się pod jej ciężarem. Wyrzucił ubrania z wierzchu kufra i wyjął niby kolczugę zrobioną dla brata Grigorija.

Najpierw otworzył specjalny pojemnik, który był schowany na dnie. Wypełniający go płyn miał przejrzystość wody. W rzeczywistości była to ciężka woda, czyli deuter – substancja wykorzystywana przy kontakcie z najniebezpieczniejszymi pier-

wiastkami na świecie. Mógł tylko mieć nadzieję, że ochroni go przed takim, który nie był z tego świata. W kąpielni deuterowej zanurzone były młotek i piętnastocentymetrowe szydło z molibdeny. Poszedł do łazienki i wyciągnął z kosmetyczki kolejny przedmiot. Fakt, że mężczyzna, który nie golił się od młodości, posiada elektryczną golarkę, był kolejną niekonsekwencją, która na szczęście nie została zauważona. Naturalnie, to nie była golarzka.

Żeby włożyć ołowiany fartuch, musiał rozebrać się do podkoszulka. Dokładnie posmarował dłonie grubą warstwą wazeliny i wsunął je w złote rękawiczki. Nim zsunął bezcenny złoty kaptur, ścisnął mocno młotek i szydło i upewnił się, że złota zatyczka, którą miał w kieszeni, pasuje średnicą do szpikulca. Był gotowy.

Ściągnął ikonę z łóżka i, jęknąwszy, przeniósł ją do zbiornika na dnie kufra. Upewnił się, że artefakt jest cały zanurzony w deuterze. Włączył bezprzewodową golarzka i odetchnął, ponieważ nic się nie stało. Za chwilę dowie się, czy jego kruczata się powiodła. Po raz kolejny zaczął się modlić.

Anatolij Watutin opuścił na oczy osłonę złotego kaptura, pośrodku ikony, nad sercem Chrystusa, przytknął metalowy szpikulca, odetchnął głęboko i z całej mocy uderzył w niego młotkiem. Natychmiast ponownie przyłożył golarzka, ale ku jego przerażeniu nie zareagowała. Trzęsącymi się rękami umieścił szpikulca w zrobionym przed chwilą wgłębieniu i uderzył ponownie.

Tym razem maszynka zaczęła wydawać równomierne trzaski następujące po sobie tak szybko, że zlewały się w jednostajny

dźwięk. Golarka była w rzeczywistości licznikiem Geigera, który znalazł właśnie źródło promieniowania niepodobne do niczego innego na tej planecie. Znając pochodzenie promieniowania, Anatolij nie był pewien, czy licznik w ogóle zadziała. Próbując opanować euforię i strach, wygrzebał z kieszeni niewielką zatyczkę, umieścił ją w wybitym otworze i dopchnął, stukając młotkiem. Licznik Geigera zamilkł.

Ojciec Watutin zaryzykował i podniósł osłonę, aby móc dokładniej wbić zatyczkę. Dopiero wtedy spojrzął na licznik. Poprzez siedem i pół centymetra litego złota, drugiego najgęstszego naturalnego pierwiastka we wszechświecie, oraz kilkanaście centymetrów płynu pochłaniającego radiację licznik i tak zarejestrował promieniowanie równe dawce promieni Roentgena, jaką człowiek przyjmuje w ciągu całego życia. Przesunął licznik wokół kufra i ścian kajuty. Tak, jak przewidział Grigorij, a później udowodnił brat Leonid, materia nieorganiczna nie absorbowwała promieniowania. Licznik zaczynał trzeszczeć dopiero wtedy, gdy zbliżał go do własnej ręki. Choć Watutin narażony był na napromieniowanie nie dłużej niż przez pięć sekund, ale zapewne zabrało mu to kilka lat życia.

We wnętrzu ikony, chronionym przez niezwykle reakcję, w jaką wchodziło ze złotem, znajdowało się coś, co Bractwo nazywało Pięścią Szatana. Anatolij wiedział, że ofiarami tego i innych egzemplarzy były setki, może nawet tysiące ludzi. Gdy uświadomił sobie, że mógłby teraz zabić wszystkich ludzi na pokładzie „Cesarzowej Mórz”, przeszedł go dreszcz. Z archiwów Bractwa Anatolij dowiedział się, że zanim brat Grigorij został

zamordowany, zgromadził w Wanawarze pięćdziesiąt takich ikon i wszystkie, prócz jednej, zostały później zniszczone przez brata Leonida. Ta była ostatnia.

Posprzątał kabinę, chowając ochronne ubranie do kufra. Był zbyt roztrzęsiony, by teraz dokończyć swoją misję. Zaczął mu doskwierać wilczy głód, rzucił więc okiem na zegarek, zastanawiając się, czy nie wyjść wreszcie zjeść.

Zanim jednak zajął się zaspokojeniem potrzeb ciała, musiał się pomodlić. Był wdzięczny za sukces, ale zdawał sobie sprawę, że jego wysiłek pójdzie na marne, jeśli nie powiedzie się inne przedsięwzięcie, z dala od luksusowego liniowca.

Bractwo nie posiadało jeszcze wszystkich elementów Pięści Szatana. Pozostało jeszcze jedno źródło.

BAZA GEO-RESEARCH, GRENLANDIA

– To nie podlega dyskusji! – warknęła Greta Schmidt. – Gdyby był pan na miejscu, kiedy odzyskaliśmy na pewien czas łączność, wiedziałby pan, że władze duńskie zarządziły waszą ewakuację. To nie jest decyzja Geo-Research.

Twarz Marty'ego Bishopa zrobiła się jeszcze bardziej czerwona.

– Jestem przekonany, że zrobiła pani wszystko, co w pani mocy, by powalczyć o naszą sprawę – powiedział sarkastycznie.

– Jaką sprawę? – spytała drwiąco. Ramiona skrzyżowała na piersiach w obronnym geście, ale ton głosu i minę miała wojownicze. Werner Koenig stał obok niej w jadalni. Milczał.

– Dwoje ludzi o mało nie zginęło, a Camp Decade jest teraz tylko osmoloną dziurą w lodzie.

– Możemy tam zejść, jak tylko trochę ostygnie – prychnął Marty.

– Panie Bishop, tam nic nie zostało. – Greta chyba dobrze się bawiła. Przez kilka dni zyskiwała coraz większą kontrolę nad ekspedycją, ale jej atrakcyjna twarz była teraz twarda i zimna jak lodowiec. W przeciwieństwie do niej Koenig wydawał się

kurczyć z każdym dniem. – Pożar, który doktor Mercer zaproszył, strawił wszystko.

Mercer wymyślił to kłamstwo, żeby zyskać nieco na czasie. Anika zgodziła się na podstęp, ponieważ sama bardzo chciała dowiedzieć się, kto był podpalaczem i mordercą. Gdyby powiedzieli Wernerowi i Grecie, że ogień został przez kogoś podłożony z premedytacją, Geo-Research na pewno usunęłoby ich z lodowca ze względów bezpieczeństwa.

Co, jak się okazało, miało nastąpić tak czy inaczej.

Wyraz twarzy Mercera nie zmienił się, kiedy Greta spojrzała na niego. Ona natomiast skrzywiła się w pełnym wyższości uśmiešku.

– Dlaczego więc – spytał powoli Mercer – odsyłacie również Erwina Puhla, doktor Klein i członków ich zespołu? To, że straciliśmy Camp Decade, nie ma żadnego wpływu na ich pracę.

– Bez Igora Bułgarina, który był ich szefem, doktor Puhl nie robi nic, przesiaduje tylko w swoim pokoju. Pozostali dwaj meteorolodzy również niewiele działali. A doktor Klein nie ma tu żadnej funkcji, żadnego zajęcia oprócz jakichś głupawych badań nad stresem. Jeżeli pańska ekipa i ekipa Puhla wyjadą, nie będzie miała kogo badać. Poza tym doktor Klein jest tu tylko dlatego, że nalegał na to Bułgarin.

Mercer miał już coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Ta ostatnia informacja była dla niego nowością. Igor przedstawił to tak, jakby to Anika nalegała, by wziąć udział w ekspedycji. Greta Schmidt twierdziła, że było dokładnie odwrotnie. Dotychczas nie odnosił wrażenia, że Anika wie więcej, niż mówi. Teraz

zaczął się zastanawiać, czy na pewno tak jest. Na dobrą sprawę nie opowiadała mu za dużo o sobie ani o powodach swojego przyjazdu na Grenlandię.

– Nie ma sensu dłużej o tym dyskutować – odezwał się w końcu Werner. – Jutro rano przez kilka godzin będzie lepsza pogoda i DC-3, który odleciał stąd parę dni temu, wróci, żeby zabrać was z powrotem do Reykjavíku. Przykro mi.

– Czy to prognoza tego samego meteorologa, który wysłał helikopter prosto w huragan? – spytał sarkastycznie Ira.

Greta spojrzała na niego ze złością.

Mercer zastanawiał się, co Werner Koenig w niej widział. On był spokojnym, troskliwym i oddanym nauce człowiekiem. Ona maszerowała po bazie jak dyktator. Mercer podejrzewał, że to związek z nowym właścicielem Geo-Research miał na nią taki wpływ, bo nie mógł sobie wyobrazić, jak mężczyzna taki jak Werner mógłby się zakochać w tej kobiecie.

Otrząsnął się z niepotrzebnych rozważań i skoncentrował na problemie, który mieli. Obrzucił pytającym spojrzeniem Marty'ego.

– To twoja wyprawa. Co o tym myślisz?

– Mój ojciec wybulił górę pieniędzy na tę ekspedycję. Nie będzie zadowolony, ale skoro Camp Decade został zniszczony, nasz pobyt tutaj jest bez sensu.

– Ira? – Lasko miał pojęcie o sprawie, Mercer wiedział więc, co były oficer marynarki powie.

Lasko strzelił palcami.

– Moim zdaniem powinniśmy wracać do Reykjavíku, dobrze się wyspać, a potem zadzwonić do Nowego Jorku, do pana Bry-

ce'a. Myślę, że załatwi nam powrót tutaj w ciągu kilku godzin. Jest jeszcze sporo do zrobienia. Przecież nie spłonęła cała baza.

Greta nie czekała, aż Mercer wygłosi swoje zdanie.

– Tu nie ma demokracji. Macie rozkaz powrotu na Islandię. Samolot przyleci rano i odleci z wami na pokładzie.

Odwróciła się i odeszła. Werner zatrzymał się przy nich na chwilę. Wyglądał na skruszonego. Już miał coś powiedzieć, ale zamknął usta i wyszedł za Gretą. Zespół Towarzystwa pozostał sam przy stole. W jadalni było jeszcze kilka osób, w większości naukowców, niezbyt zainteresowanych kłótnią sprzed kilku chwil.

Mercer poszedł po kawę. Ingrid, pomoc kuchenna, która sypiała z Martym, kiwnęła na niego, gdy nikt nie patrzył, pokazując, by wszedł do kuchni. Była tam też Hilda Brandt, druga podkuchenna. Tęga kobieta uczyła się fachu w niemieckiej armii, ale na szczęście od tamtego czasu nieco się podszkoliła. Obie wyglądały na zaniepokojone.

– Słyszałam, co się stało – oznajmiła Ingrid ze swoim uroczym akcentem. – Ta wiedźma odsyła również pracowników kontraktowych: mnie i Hildę.

– Nie pracujecie dla Geo-Research?

– Nie, tylko szef kuchni jest u nich zatrudniony. My jesteśmy z firmy cateringowej.

Wniosek był prosty.

– Od jutra jedyne osoby, jakie pozostaną w stacji, to pracownicy Geo-Research?

– Ja.

Dokładnie to, czego duńskie władze chciały uniknąć, pomyślał Mercer.

– Bardzo dziękuję za informację.

Wrócił do stołu. Alkohol, który Ira nalał mu z piersiówki, wlał do kubka z kawą. Zamilkł na chwilę zapatrzony w czarny parujący płyn.

– Jesteś z nami, Mercer? – spytał Ira.

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że Ira ma najlepszy pomysł – spojrzeli na niego, czekając na wyjaśnienia. – Pożar, który strawił Camp Decade i prawie zabił Anikę i mnie, nie wybuchł przypadkiem.

– Podłożyłeś ogień? – krzyknął Marty, niemal wyskakując z krzesła.

– Ciszej! Nie, nie ja.

– Anika? – spytał Ira.

– Była przez cały czas ze mną. – Mercer pokręcił przecząco głową – Ogień podłożyła ta sama osoba, która zamordowała Igora Bułgarina.

Wszyscy przy stole gapili się na Mercera w osłupieniu.

– Igor został zamordowany? – wydusił Marty.

Mercer opowiedział o tym, co ustaliła Anika, podsumowując, że ogień najprawdopodobniej podłożył morderca, by zatrzeć ślady. Zapewne zauważył, że Mercer i Anika idą do Camp Decade, i stwierdził, że mogą szukać dowodów zabójstwa, wzniecił więc pożar, a oni znaleźli się w pułapce.

– Ira, czy miałeś okazję sprawdzić drzwi prowadzące do obozu, gdy próbowaliście ugasić ogień? Jestem przekonany, że

ktos założył na nie łańcuch, by uniemożliwić nam ucieczkę, gdyby w jakiś sposób udało nam się do nich dotrzeć.

– W szybie było za dużo dymu. Erwin znalazł was, zanim doszliśmy tak daleko.

– Cholera. To byłby dowód, którego potrzebuję.

– Przykro mi, ale nikt z nas nie szukał wtedy dowodów.

– To moja wina – ciężko westchnął Mercer. – Zapomniałem tam wrócić po wybuchu zbiornika z ropą i sprawdzić. Jeśli drzwi były rzeczywiście zamknięte, morderca miał dużo czasu na usunięcie łańcucha.

– Dlaczego powiedziałaś, że mój pomysł jest najlepszy?

– Ponieważ Ingrid powiedziała mi właśnie, że ona i Hilda będą ewakuowane razem z nami. Geo-Research będzie miało bazę tylko dla siebie, tak jak chcieli od samego początku. Jak tylko dotrzemy do Islandii, zadzwonię do Charlie'go Bryce'a. On ma na tyle duże wpływy, że umożliwi nam powrót tutaj.

– Ale po co? – spytał Marty. – To, co tu się dzieje, nas nie dotyczy.

– Nie lubię zostawiać niewyjaśnionych spraw – odparł Mercer. – A już zwłaszcza nie odpuszczam ludziom, którzy próbowali mnie zabić. Z powodu maksimum słonecznego nie możemy się z nikim skontaktować, co oznacza, że dopóki nie będę w Reykjavíku, dopóty nie znajdę odpowiedzi na swoje pytania. Geo-Research nie jest tym, za co się podaje, a Charlie to jedyny człowiek, który może się dowiedzieć, kim są naprawdę. A choć właściwie nie znałem Igora, to i tak znajdę sukinsyna, który go zabił.

Mercer postanowił skontaktować się również z Dickiem Henną. Nie lubił wykorzystywać swojej znajomości z szefem FBI, ale sprawa dotyczyła morderstwa, więc nie była to prośba o osobistą przysługę. Jeżeli Bryce nie dowie się, co kombinuje Geo-Research, na pewno uda się to Hennie.

– W co ty się teraz bawisz? W gliniarza?

– Nie. Po prostu nie chcę się chować za plecami ojca, kiedy dokoła mnie giną ludzie. – Wściekłość w spojrzeniu Mercera sprawiła, że Marty odwrócił pełen poczucia winy wzrok. Mercer nie był w zasadzie wściekły na Bishopa. W innych okolicznościach przyznałby mu rację, ale w tej sytuacji jego nerwy były napięte jak postronki. Marty był łatwym celem, na którym mógł wyładować nagromadzone emocje. – Jeśli nie chcesz wracać, to nie. Ja na pewno wrócę.

– Jestem z tobą – powiedział Ira, posyłając Marty'emu długie, wymowne spojrzenie.

Bishop milczał przez kilka sekund. Mercer uderzył w jego najczulszy punkt – przeświadczenie, że nie dorównuje ojcu. Oskarżenie zabolowało. Przez całe swoje życie Marty Bishop upierał się, że nie przeszkadza mu pozostawanie w cieniu swojego ojca, i najpewniej zignorowałby komentarz Mercera. Po raz pierwszy jednak był gotowy zmierzyć się z problemem i z samym sobą. Miał szansę zrobić więcej, niż od niego oczekiwano, i chciał podjąć to wyzwanie. Wyprostował się, spojrzął Mercerowi w oczy i kiwnął głową.

– Wygląda na to, że obaj jesteśmy z tobą – uśmiechnął się Ira.

Mercer nauczył odpowiedzialności wielu młodych ludzi. Marty powiększył ich grono. Mercer zamiast słów uznania chlusnął mu do kubka z kawą solidną porcją z piersiówki. Nie miało znaczenia, że Bishop odebrał lekcję w wieku pięćdziesięciu lat, a nie dwudziestu – wielu nie nauczy się tego nigdy.

– Dzięki. – Przed powrotem z Islandii Mercer zamierzał opowiedzieć Marty’emu o wszystkim: ostrzeżeniu Elisebet Rosmunder, napromieniowanych zwłokach Jacka Delaneya, pasażerze na gapę w śmigłowcu i o swoich obawach związanych z Igorem Bułgarinem. Nie miałby za złe Marty’emu, gdyby ten jednak wycofał się z decyzji powrotu do obozu.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do stołówki wtoczyła się skulona postać. Była to Anika Klein. Otrząsnęła śnieg z kurtki i przestępując z nogi na nogę, próbowała pozbyć się butów księżycowych. Gdy tylko wskoczyła w trampki i napełniła kubek gorącą kawą, podeszła do ich stolika.

– Wygląda na to, że przychodzę nie w porę.

– Wyrzucają nas stąd – poinformował ją Marty.

– Przez ten pożar? – zapytała, spoglądając na Mercera. Pokiwał głową.

– Ty też musisz wyjechać, razem z Erwinem i jego ludźmi.

– Co? Dlaczego? – W jej ciemnych oczach współczucie ustąpiło miejsca wściekłości. – Pożar nie miał nic wspólnego z moją pracą. Nie zmuszą mnie, żebym wyjechała. Zapłaciłam Geo-Research prawie dziesięć tysięcy dolarów za możliwość uczestniczenia w ekspedycji. Nigdzie nie jadę. Czyj to był pomysł?

- Greta twierdzi, że to rozkaz duńskich władz.
- Czy radio działa? – zapytała pospiesznie.
- Już nie.

Sprzęt łącznościowy stał w kącie stołówki. Werner ani Greta nie wyznaczyli nikogo do nasłuchiwania, czy zakłócenia od wielu dni uniemożliwiającej łączność ze światem zniknęły. Radiostację zabezpieczono nawet przed korzystaniem z niej przez osobę nieuprawnioną. Gdy Mercer przyglądał się zamkniętym w pleksiglasowej skrzynce urządzeniom elektronicznym, uświadomił sobie, że przy odbieraniu wiadomości obecny był tylko personel Geo-Research. Zacisnął szczęki.

– Ira, gdzie jest jakiś pojazd śnieżny?

– Ten, którym wyciągnąłem cię z pożaru, stoi zaparkowany między stołówką a głównym laboratorium. Pozostałe są w terenie. Werner wysłał swoich ludzi na dwudniowy rekonesans.

– Zaraz wracam. – Mercer wstał i wyszedł ze stołówki. Narzucił na ramiona kurtkę i nie tracił czasu na wkładanie niewygodnych butów księżycowych. Trzydzieści metrów mógł przejść w traperach.

Wrócił po kilku minutach z zabranymi ze snowcata wielkimi nożycami do metalu. Podeszedł do szafki z radiostacją i przeciął zamek tak łatwo, jakby zrobiony był z papieru.

– Co ty, do cholery, robisz?

– Właśnie dotarło do mnie, że radio działa tylko wtedy, gdy nie ma w pobliżu nikogo z nas. Może to tylko zbieg okoliczności, a może nie – usiadł na krześle operatora i przekręcił główny włącznik. Supernowoczesny sprzęt natychmiast się ożywił.

Jeden z techników, którzy przylecieli DC-3, podszedł i złapał Mercera za ramię.

– Nie wolno tego robić.

Mercer uśmiechnął się rozbrajająco.

– Tylko na minutkę, obiecuję.

– Nein. To zabronione.

W radiu słyhać było tylko szumy. Anika powiedziała do zdenerwowanego laboranta coś po niemiecku. Wybuchła między nimi kłótnia. Mercer skorzystał z tego, że Anika odciągnęła uwagę Niemca, i zaczął sprawdzać wszystkie pasma. Miał najwyżej minutę, a za każdym razem, gdy skan zatrzymywał się na kolejnej częstotliwości, w głośnikach było słyhać tylko trzaski. Technik z Geo-Research zorientował się, co robi Mercer, i sięgnął do włącznika, by odciąć zasilanie. Zawołał jednego ze swoich kolegów. Mercer usłyszał swoje imię i coś o Grecie Schmidt. Drugi z techników chwycił kurtkę i pobiegł w stronę drzwi.

– Skończyłem – powiedział Mercer, odsuwając się od radia – nie musieliście posyłać po swoją drużynową.

Ta grupa Niemców niepokoiła go od momentu, gdy wysiedli z samolotu w bazie, ale dopiero teraz zrozumiał dlaczego. Badania w tym klimacie wymagały krzepy, ale ten facet wyglądał raczej na zawodowego żołnierza niż na jajogłowego. Nie nosił brody, a brązowe włosy były przystrzyżone na jeża. Miał szerokie ramiona, umięśnioną klatkę piersiową i raczej tępy wyraz twarzy. Patrzył gniewnie na Mercera, jakby prowokując do konfrontacji. Po kilku chwilach Niemiec zmełł w ustach przekleństwo i odszedł.

Mercer zwrócił się do Aniki.

– Zakładam, że właśnie obraził moją męskość.

– Twoją i kilku twoich przodków również.

– W razie, gdyby spacer powrotny tutaj nie ostudził Wstrętnej Greta, idę do swojego pokoju, zanim tu wparuje.

– Wydaje mi się, że na nas też już czas – zgodził się z nim Ira.

Ich kwatery znajdowały się po przeciwnej stronie budynku niż pokoje kierownictwa ekipy Geo-Research, nie spotkali więc Greta po drodze. Mercer poprosił Iregę, żeby przekazał Erwinowi Puhlowi informację o ewakuacji, po czym poszedł do swojego pokoju. Kiedy stwierdził, że potrzebuje snu, zmęczenie niemal go zmoгло. Energii wystarczyło mu na tyle, by pomóc Anice zbadać zwłoki i uciec z pożaru, ale właśnie osiągnął granicę.

Z jakiegoś powodu Geo-Research nie chciało w swojej bazie nikogo obcego i właśnie wykonało ostateczny ruch, by pozbyć się z Grenlandii narzuconych im zespołów. Mercer za wszelką cenę chciał się dowiedzieć dlaczego. Był przekonany, że decyzja o ich ewakuacji nie miała nic wspólnego z Duńczykami. Nie był pewien, czy to warunki atmosferyczne uniemożliwiły nawiązanie łączności. Radio mogło zostać ustawione tak, by nie mogli kontaktować się ze światem. Nie mógł więc nic zdziałać, dopóki nie znajdzie się w Reykjaviku.

Drzwi do pokoiów nie miały zamków. Pchnął drzwi do swojego i zatrzymał się, osłupiał. Jego kwatery, choć być może nie zdemolowana, z pewnością została przeszukana. Łóżko ogołococono z pościeli, a materac zdjęto z ramy. Zawartość jego walizek wałała się po całym pomieszczeniu. Licznik Geigera

leżał na plastikowym krześle, jakby przeszukujący dokładnie go oglądał, zanim wyszedł.

Choć był oszołomiony, wiedział, że to nie był przypadek. Sprawcy szukali czegoś konkretnego i był pewien, że tego nie znaleźli. Z przegródki swojego portfela wyjął kawałek papieru, który znalazł przy Jacku Delaneyu. Był to rodzaj mapy z dokładnym układem linii długości i szerokości geograficznej. Pośrodku narysowano ołówkiem rozbity C-97, a po lewej coś, co wyglądało na Camp Decade sprzed pięćdziesięciu lat, z kilkoma kominami i szybami wentylacyjnymi wystającymi ponad śnieg.

Po prawej stronie mapy widniał „X”, a obok niego narysowano profil mężczyzny z haczykowatym nosem. Według mapy odległość pomiędzy tajemniczym znakiem a samolotem wynosiła dwadzieścia osiem kilometrów dokładnie po azymucie 187 stopni. Jeżeli tę mapę narysowano z zachowaniem choć przybliżonej skali, Delaney tym samym azymutem przeszedł prawie trzysta kilometrów od samolotu do Camp Decade – niewiarygodny wyczyn. Jedyne plik dokumentów, które przesłał mu Harry White, mógł kogokolwiek zainteresować. Trzymał je przy sobie, w wewnętrznej kieszeni kurtki. Ponieważ zostały napisane po niemiecku, zdołał tylko odszyfrować nazwisko autora: Otto Schroeder.

W pierwszej chwili pomyślał, że to ktoś z Geo-Research przeszedł jego pokój, po chwili jednak doszedł do innego wniosku. Nie dało się nie zauważyć, że tylko Anika Klein zainteresowała się tymi notatkami. I poza nim samym tylko ona

zobaczyła kawałek papieru, nawet jeśli nie wiedziała jeszcze, że to mapa.

– Ira? – krzyknął Mercer w stronę korytarza.

– Tak.

– Możesz tu podejść?

– Co się dzieje? Zajączek przyniósł ci flaszeczkę?

– Weź Erwina i chodź.

– Idę, skarbie. – Ira wszedł do pokoju i rzucił okiem na bałagan. – Podoba mi się, ładnie się tu urządziłeś.

– Wolałbym, żeby tak było, niestety ktoś inny odwalił robotę dekoratora wewnątrz. – Mercer zwrócił się do Puhla. – Jak się czujesz, Erwin?

– O, no, chyba dobrze – wymamrotał Puhl. Wyglądał strasznie. Resztki włosów miał potargane, a okulary zatłuszczone. Czuć było od niego przetrawiony alkohol. – Co tu się stało?

– Liczyłem na to, że ty mi powiesz – zapytał ostrożnie Mercer, mając na uwadze kruchy stan meteorologa. Smutek po stracie Igora Bułgarina pogłębił się. – Byłeś tu przez większą część nocy. Może widziałeś, kto wchodził do mojego pokoju?

Erwin przez chwilę wyglądał, jakby miał zamiar skłamać, ale rozmyślił się.

– Dłuższą chwilę byłem w łazience – przyznał. – Upiłem się jakiś czas temu i chciałem wytrzeźwieć. Chyba zużyłem przydział ciepłej wody dla wszystkich.

– Nic się nie stało – uspokajał Mercer. – Nie słyszałeś nikogo przez szum wody?

– Nie sędę. Nie przypominam sobie. Przysnąłem na chwilkę.
– Erwin opuścił zawstydzony wzrok. Wyglądał żałośnie. – A właściwie to film mi się urwał.

– Niczym się nie zajmuj. – Mercer uśmiechnął się przyjaźnie i poklepał naukowca po ramieniu. – Lepiej zacznij się pakować. Zaraz przyjdę i ci pomogę.

– Biedak, aż się zatacza. – Ira spojrział na Erwina. – Kiedy poszedłem powiedzieć mu, że nas wyrzucają, on tylko siedział i gapił się w Biblię. Nie wiedziałem, żeby on i Igor byli sobie tak bliscy.

– Każdy przeżywa żalobę na swój sposób – rzucił Mercer.

– Wygląda na to, że masz już za sobą kilka takich sytuacji.

– Tak...

Na chwilę zapanowała cisza.

– Jeśli nie zrobił tego zajacek od wódeczki, dostarczając prezent, to kto?

Mercer roześmiał się nerwowo, cieszył się, że Ira rozładował sytuację.

– Na liście podejrzanych mamy naszego podpalacza mordcę, ale ja obstawiam uroczą, choć tajemniczą doktor Klein.

– A co z gapowiczem z helikoptera?

– Wydaje mi się, że tak naprawdę nie było żadnego gapowicza.

– To kto zostawił ślady przy wraku?

– Myślę, że Anika, kiedy poszła tam coś zakopać. I wydaje mi się, że była to jakaś korespondencja zaadresowana do mnie. Mercer wyciągnął kopertę, którą Harry dla żartu zaadresował

innym nazwiskiem. – Anika nie zwróciła na nią uwagi dzięki mojemu przyjacielowi, któremu wydaje się, że ma poczucie humoru.

Ira nie odzywał się przez chwilę, przetrawiając to, co usłyszał.

– Jeśli masz rację, to co sądzić o reszcie jej działań tutaj? To znaczy, jeśli ona kradnie twoją pocztę i przeszukuje pokój, kłamstwo, że Igor został zamordowany, to już pestka.

Mercer spojrział w głąb korytarza, żeby upewnić się, że Erwin ich nie słyszy. W swoim obecnym stanie mógłby nie znieść prawdy o Bułgarinie.

– Nie wiem. Ale czeka nas interesująca rozmowa w drodze powrotnej do Islandii.

– Jeśli wydaje ci się, że będziesz tam sobie gawędził – zarechotał Ira – widać, że nie leciałeś nigdy DC-3. Głośno tam jak cholera i to jeszcze przed startem.

Mercer spoważniał.

– Chcę ci podziękować za wsparcie tam, w stołówce, i za wszystko, co do tej pory dla mnie zrobiłeś. Nie musiałeś mi ufać, a jednak tak zrobiłeś.

Lasko wyglądał na zakłopotanego.

– Wyluzuj. Dwadzieścia lat w marynarce nauczyło mnie słuchać rozkazów oficera.

– Ale ja nie byłem nigdy oficerem – zauważył Mercer.

– A to znaczy, że przynajmniej wiesz, o czym mówisz.

– Dzięki. – Mercer domyślał się, że komplement z ust Iry Lasko pada równie rzadko jak wygrana na loterii. – A ty? Jaki miałeś stopień, kiedy odszedłeś ze służby?

– Byłem skromnym starszym bosmanem – odparł podwodniak. – Posprzątaj tu, ja pomogę Erwinowi się pozbierać i znajdę pozostałych dwóch z jego zespołu, którzy jadą z nami na przymusowy urlop. – Ira ruszył do drzwi, po czym zatrzymał się na chwilę. – Mercer?

– Tak?

– Atak szczerze, masz pojęcie, co tu się w ogóle dzieje?

Mercer nie musiał się długo zastanawiać.

– Najmniejszego.

Ze wschodu nadlatywał archaiczny DC-3 dakota, rozpraszając spokój poranka przeraźliwym warkotem. Po raz pierwszy od wielu dni się przejaśniło. Niebo było prawie bezchmurne, a wiatr stał się niezauważalny. Prognozy pokazywały jednak, że ładna pogoda utrzyma się najwyżej przez godzinę.

Jeszcze nie było ósmej, co oznaczało, że pilot wyleciał z Islandii jeszcze przed świtem, by dotrzeć tu tak wcześnie. Odlatujący do Reykjavíku zgromadzili się w stołówce, skąd mieli dobry widok na prowizoryczne lądowisko. Ludzie Wernera od samego rana oczyszczali pas startowy ze śniegu nawianego przez noc. Nikt z Geo-Research nie towarzyszył ewakuowanym. Wyglądało to tak, jakby już wylecieli.

– Nasz rydwan czeka. – Ira spróbował zażartować, ale nikt się nie roześmiał.

– Wolałbym nie zostawiać tu tyle sprzętu – marudził Marty po raz dziesiąty.

Werner poinformował go rano, że samolot trzeba załadować możliwie szybko, a sprzęt Towarzystwa Kartografów zostanie

przesłany do Islandii, jak tylko pogoda poprawi się na dłużej. Koenig zapewnił, że poślizg nie będzie dłuższy niż dzień lub dwa, a Geo-Research pokryje wszelkie związane z tym koszty.

– Wracamy jutro około południa – odparł Mercer.

– Jeśli nie, podam Geo-Research do sądu o zwrot moich pieniędzy – wtrąciła Anika.

– Wszyscy tak zrobimy – poparł ją Marty. Jego ojciec zainwestował przynajmniej dwadzieścia razy tyle co Anika.

Do zatłoczonego stolika podeszła Ingrid. Nie bardzo wiedziała, jak ma się zwracać do Marty'ego poza sypialnią.

– Guten Morgen.

– Dobry – huknął Marty i spojrzał znacząco. – Jesteście spakowane i gotowe do drogi?

– Ja, Hilda imdja gotowe, ale nie są zadowolone.

– No to witajcie w klubie. My właśnie planowaliśmy pozwy.

– Tak, ale to Duńczycy zdecydowali, że musimy opuścić stację, nie Geo-Research. Hilda słyszała dziś rano, jak Greta Schmidt rozmawiała radiem z biurem w Reykjavíku.

– Słyszałaś, jak rozmawiają? – spytał Mercer, pochylając się w jej stronę. Spojrzał na Hildę Brandt, która stała za plecami młodszej, zgrabniejszej dziewczyny. Zarumieniła się.

– Ja. – Ingrid odpowiedziała za koleżankę – Słyszała, jak rozmawia z duńskim urzędnikiem z ambasady w Islandii. Z rozmowy wynikało, że Duńczycy chcą zamknąć bazę na dobre.

Pierwszą myślą Mercera było, że ta rozmowa była udawana. Greta równie dobrze mogła rozmawiać z jednym ze swoich, tylko udającym duńskiego dyplomatę, organizując to tak, żeby

Hilda mogła podsłuchać. W ten sposób przekonałaby zespół Towarzystwa, że to nie ona zarządziła usunięcie ich z Grenlandii. Po chwili stwierdził jednak, że wpada w paranoję.

– Nawet jeśli rozkaz ewakuacji jest prawdziwy – odezwał się w końcu Mercer – to i tak nie zamierzam w Islandii odpuścić.

Anika stała przy oknie, żeby mieć lepszy widok na lądowisko – Samolot wylądował i widzę, jak Werner do nas macha.

– Więc chyba czas się zbierać. – Mercer wstał, reszta podążyła za nim. Bagaże już zabrano, wymaszerowali więc w stronę maszyny niczym pokonane wojsko, brnąc wydeptanymi ścieżkami przez świeży śnieg. Nawet na niskich obrotach hałas, jaki robiły silniki samolotu, był ogłuszający. Drobiniki lodu wirowały wokół kręcących się śmigieł. Obaj piloci stali po drugiej stronie samolotu, załatwiając się na śniegu.

Gdy wchodzili na pokład, Mercer zauważył, jak z tylnego wejścia wyskakują Bernhardt Hoffmann, młody chłopak, który o mały włos nie udusił się w Camp Decade, i jakiś nieznajomy pasażer. Nawet ubrany w ciężkie, wysokie buty nieznajomy poruszał się po śniegu z lekkością jak wilk. Greta Schmidt krzyknęła na jego widok i rzuciła mu się w ramiona. To musiał być jej kochanek, o którym mówił Werner. Greta, która była prawie tak wysoka jak Mercer, zniknęła w ramionach przybysza. Był to potężny mężczyzna. Kaptur czarnego kombinezону opuścił na barki, dzięki czemu Mercer zauważył, że jego nos ma charakterystyczny wygląd, musiał być złamany.

Ta dwójka stała z dala od ewakuowanych, którzy czekali, by wspiąć się na pokład. Werner Koenig podszedł do Mercera, żeby

przekazać mu wiadomość na temat duńskiego attache, którą Greta dostała tego ranka z biura w Reykjavíku. Jeśli kłamał, zasłużył na Oscara.

– Duńczycy obstają przy tym, żeby wszyscy poza niezbędną obsadą opuścili bazę aż do chwili, gdy ktoś tu przyjedzie i oceni, czy jest tu bezpiecznie – starał się przekrzyknąć ryk silników starej dakoty.

– A co z pańskim zespołem? – krzyczał Mercer do ucha Koenigowi.

– Większość jest w terenie, robią odwierty i zbierają próbki. Mam nadzieję, że przyślą tu szybko inspektora nadzoru, żebyśmy nie musiał ściągać ludzi do bazy i tracić kilku dni pracy.

– Więc my jesteśmy kozłami ofiarnymi dla duńskiej biurokracji?

Werner wzruszył ramionami.

– Przykro mi. Mam związane ręce.

Jeśli Koenig mówił prawdę, Mercer rozumiał jego sytuację.

– No dobra, nie obwiniamy pośłańca – stwierdził.

Anika stała tuż przed nim na drabince, gdy Mercer odwrócił się, by spojrzeć na obóz być może po raz ostatni. Gdyby nie dym z komina stołówki i generator owiany swoimi spalinami, baza wyglądałaby na całkowicie opuszczoną. Jedyńm ruchem były wzniecane podmuchami wiatru tumany pyłu śnieżnego, przypominające pustynny kurz w miasteczkach ze starych westernów. Mercer zaczął pogwizdywać piosenkę z Mściciela.

Spojrzał na Gretę Schmidt. Musiała coś szepnąć swojemu przyjacielowi, bo natychmiast skierował się w stronę samolotu,

pokonując dystans kilkoma susami. W przypiływie mściwości Mercer wspiął się po drabinie do wejścia, tak, aby Niemiec, jeśli chciał z nim porozmawiać, musiał stać w szarpiącym powiewie silników samolotu. Zanim przedstawiciel Geo-Research doszedł do wejścia, Mercer poklepał po ramieniu Anikę.

– Zajmiesz mi miejsce obok siebie? Chciałbym porozmawiać. Anika patrzyła na niego przez chwilę, i mimo że się uśmiechnęła, przez jej twarz przemknął cień zdenerwowania.

– Okej.

– Pan Philip Mercer? – Akcent Niemca nie był zły, ale głos miał niski i chrapliwy, jakby cierpiał na zapalenie krtani.

– Tak, to ja. – Żaden z nich nie wyciągnął ręki. Od pierwszej chwili byli do siebie wrogo nastawieni. To było odruchowe, jak spotkanie dwóch rywalizujących zwierząt.

– Nazywam się Gunther Rath. Miałem okazję uciąć sobie pogawędkę z Elisebet Rosmunder. Prosiła, by coś panu przekazać. Przesyłka jest przyklepiona taśmą do przegrody kabiny pilotów. – Zanim zatrzaskała drzwi, mężczyzna uśmiechnął się krzywo i rzucił: – Przyjemnego lotu.

O co tu do cholery chodziło? Mercer odwrócił się, by zająć miejsce, i wpadł na Anikę, która jeszcze stała przy wejściu. Wyglądała na przerażoną.

– Przepraszam – rzucił, pomagając jej wstać, ale w tym momencie pilot dodał silnikom mocy, żeby dokołować na start. Przewrócili się prosto w bregę nieroztopionego śniegu na podłodze samolotu.

Z głośnika pod sufitem usłyszeli metaliczny głos pilota, którego islandzki akcent przez ryk silników stał się jeszcze mniej zrozumiały.

– Przepraszam za to. Zbliża się kolejny front atmosferyczny, więc chcę być w powietrzu najszybciej, jak się da. Nie mamy nawet czasu wyładować zapasów, które przywieźliśmy.

Podczas gdy DC-3 rozpędzało się na wyboistym lodowcu, Mercer usiłował dostać się z Aniką na fotel i zapiąć pasy. Sądził, że wpadając na nią, zrobił jej krzywdę, ponieważ jej jasna zazwyczaj twarz nabrała teraz koloru śniegu za oknem, a wzrok miała rozbiegany. Chwytał jej dłoń i spostrzegł, że drży.

– Anika?

– Znam tego człowieka – powiedziała jakby w transie. – Poznałam go po głosie. On chyba nie wie, kim ja jestem. – Po chwili otrząsnęła się. W jej oczach powróciły te same pokłady determinacji, które zobaczył w czasie pożaru w Camp Decade. Zaciśnęła dłoń. – Dostałeś paczkę od Ottona Schroedera?

Mercer zawahał się zdumiony, że Anika w zasadzie przyznała się do winy.

– Więc to naprawdę ty przeszukałaś mój pokój?

– Tak – przyznała wyzywająco. – Dostałeś paczkę?

– Tak się składa, że dostałem. – Nagle zdał sobie sprawę, że ona nie mogła wiedzieć, kto nadał przesyłkę, ponieważ nie spuszczał papierów z oczu, odkąd dostał je od Harry’ego – Skąd znasz Ottona Schroedera?

Anika zamilkła na moment, kiedy płozy samolotu oderwały się od lodu i DC-3 ciężko wzbił się w powietrze.

– Widziałam, jak tamten mężczyzna każe go zabić.

BAZA GEO-RESEARCH, GRENLANDIA

Gdy tylko włącz DC-3 zamknął się i maszyna ruszyła niezgrabnie po lodzie, Greta złapała Gunthera Ratha za rękę i zaczęła prowadzić go pośpiesznie do swojej kwatery. Po drapieżnym błysku w jej oczach poznał, czego chciała, a jego pragnienie było nawet większe. To nie był jednak czas na to. Po kilku krokach wyrwał rękę z jej uścisku.

– Później, Greta. – Głos miał jeszcze ostrzejszy, przepelniony tłumionym pożądaniem. – Nie mamy czasu.

– Właśnie, że mamy – wyszeptała i nie zwracając uwagi, czy ktoś przypadkiem nie patrzy, położyła dłoń na jego kroczu. – Ta przerwa trwała o wiele za długo.

– Jak dla mnie nie – odburknął z zamierzonym okrucieństwem, które wydawało się podniecać ją jeszcze bardziej.

– Przez tydzień musiałam znosić fochy Wernera. Idziemy do mojego pokoju i będziesz mnie pieprzył, aż nie będę mogła chodzić.

– Jeszcze chwila, a zabiorę cię do pokoju i zleję tak, że stracisz przytomność.

– To też możesz zrobić. – Uśmiechnęła się kokieteryjnie, pławiąc się w aurze jego obezwładniającej siły. Była to gra, którą ona nieodmiennie wygrywała. Dobrze wiedziała, że jego potrzeby są znacznie większe niż jej. Im dłużej musiał się powstrzymywać, tym dzikszy i bardziej satysfakcjonujący był potem ich seks. Między udami czuła gorąco. Dotknęła jego krocza raz jeszcze i wyczuła wzwód.

Rath już się nie powstrzymywał. Złapał ją za ramię – Który to barak?

Greta wiedziała, że nie może okazać triumfu. Opuściła wzrok i wskazała kierunek.

Próbowała sobie przypomnieć, kto kogo uwiódł w zeszłym roku, gdy Gunther w imieniu swojej firmy negocjował kupno Geo-Research. W tym czasie już od dwóch lat była z Wernerem i chociaż byli szczęśliwi, a on się oświadczył, cały czas odkładała decyzję o ślubie. Prowadzili koczownicze życie na pokładzie „Njoerda”, pracując tam, gdzie akurat posłał ich kontrakt Wenera. I chociaż czuła się spełniona, miała wrażenie, że zmusza się ją do normalności. Werner marzył o dzieciach i domu, do którego mógłby wracać z podróży. Greta też tak mówiła, choć wiedziała, że mija się z prawdą. Nie wiedziała jeszcze, czego chce. Wtedy pojawił się w ich życiu Gunther Rath, przynosząc czek in blanco oraz obietnicę niewtrącania się w działalność firmy. Twierdził, że kupno Geo-Research nie jest dla Kohl AG inwestycją, ale sposobem na obniżenie podatków.

Od razu zauważyła, że pod drogimi garniturami Gunther ukrywa osobowość daleką od swojego wizerunku biznesmena.

Gardził światem tak samo jak chłopcy pozujący na buntowników, którzy zdobywali serca jej i jej przyjaciółek, gdy była nastolatką, tyle że Gunther był dorosły i miał do zaoferowania o wiele więcej niż przejażdżki rozklekotanym motocyklem i woreczki słabej marihuany. Na pierwszym spotkaniu, gdy Werner zaniemówił z wrażenia, gdy usłyszał, jaką kwotę mu proponują, Greta zaczęła uwodzić Ratha. Niezbyt nachalnie, tak żeby Werner się nie zorientował, ale Gunther zauważył to od razu jak lew, który wyczuwa samicę w rui.

Kiedy spotykali się we trójkę w ciągu następnych kilku tygodni, podczas których załatwiano formalności związane z przejęciem firmy, Greta sądziła, że tylko się bawi, chcąc sprawdzić, jak daleko może się posunąć w tym flircie. Ale tak jak w każdej innej grze pozbawionej reguł musiała zachowywać się coraz bardziej bezczelnie, by wywołać ten sam efekt, który osiągnęła za pierwszym razem. Była przekonana, że manipuluje Rathem, stosując swoje sztuczki. Nie zorientowała się, że tak naprawdę sama robi to, co on chce. W końcu, kiedy podawała mu się już prawie na talerzu, sięgnął po nią, pozwalając jej myśleć, że to ona go uwiodła. Teraz, rok później, gdy przekonała się, na czym polega ich związek, wiedziała, że zrobił to tylko po to, by udowodnić swoją władzę. Ich relacja przypominała związek pana i niewolnika, a Greta stwierdziła, że przyjmuje z wdzięcznością każde upokorzenie, których jej nie skąpił.

Najpierw upewniła się, że nikogo nie ma w budynku. Chwilę później byli już nadzy w jej pokoju. Gunther nie żałował jej klapsów, a ona krzyczała z bólu i ekstazy. Rath był doświadczony

i nie zostawiał śladów w miejscach nieosłoniętych, ale musiało upłynąć trochę czasu, nim Greta mogła siadać bez bólu.

Gdy ona zaspokojona robiła porządek w pokoju, Gunther poszedł po Wenera Koeniga, który był w jadalni z Dieterem, kierowcą rajdowym.

– Jak idą poszukiwania?

Werner podniósł oczy, czując znajome ukłucie zazdrości. Po minie Ratha widział, że przed chwilą wziął Gretę. Od momentu rozstania pielęgnował nadzieję, że w byłej kochance zostało coś z dawnej Greta. Wiedział już, że to nieprawda. Rath sprowadził ją do roli przedmiotu, obiektu zaspokajania swoich zboczonych żądz. Jego słodka Greta była teraz dziwką. On jednak wciąż opłakiwał stratę kobiety, która mogła być jego żoną. Na domiar złego Rath uparł się, żeby pojechała na tę ekspedycję, była jego informatorką. Werner podejrzewał, że Ratha bardziej cieszyło to poniżenie niż cokolwiek innego. Takie prymitywne odruchy wynikały z jego mentalności neandertalczyka.

– Trzy ekipy są w terenie od kilku dni, ale tak jak przypuszczałeś, jesteśmy za daleko na południe, by cokolwiek znaleźć.

– Skoro tamtych już nie ma – powiedział Gunther – możemy zamknąć ten teatrzyk i przenieść część bazy na północ. Przekazałem pilotowi DC-3 sfałszowaną prognozę pogody. Polecą spory kawałek na północ, zanim skierują się na Islandię. Nie ma szans, żeby zobaczyli, jak odlatujemy stąd rotorstatem.

– Rotorstatem? To niemożliwe! Zanim sterowiec dostanie atest, musimy trzymać się wytycznych.

– Jego właścicielem jest podwykonawca Kohl AG. Możemy robić, co nam się podoba. Powinien tu być za kilka godzin. Według prawdziwej prognozy przez dzień czy dwa będziemy tu mieli mgłę, więc przetransportowanie budynków i pojazdów śnieżnych będzie trudne. Przekonamy się, ile jest wart sterowiec. Ludzie z Towarzystwa Kartografów nie będą nam się kręcić pod nogami, a zanim przyślą kogoś na ich miejsce, minie jakieś dwa i pół tygodnia. Do tego czasu musimy przenieść bazę z powrotem.

– Cholerny duński rząd – zaklął Dieter, który w rzeczywistości od dawna pracował dla firmy Kohl. – Gdyby nie cofnęli nam pozwoleń, nie byłoby całego zamieszania. Trzeba było się bardziej postawić, gdy kazali nam się przenieść do Camp Decade i przyjąć Amerykanów.

– Gdybyśmy się wyklócali, mogliby nas wyrzucić z Grenlandii. – Rath dał do zrozumienia, że nie ma ochoty już o tym dyskutować. – Na Kohl AG jest wywierana coraz większa presja. Musimy znaleźć tę jaskinię.

Werner nie chciał słuchać, do czego nowi właściciele wykorzystują jego firmę. Zgodził się ją sprzedać za ogromne pieniądze, ponieważ Rath i sztab prawników Kohl AG zapewniali, że Geo-Research będzie działało jak dotychczas. Przysięgano mu, że reputacja, na którą pracował przez lata rzetelnymi badaniami, nie zostanie zszargana.

Obietnicy dotrzymano przez rok, do tej ekspedycji. Schwytany w pułapkę swojej chciwości był wykorzystywany przez Gunthera Ratha i jego szefa Klause Raedera w misji, której

w pełni nie rozumiał. Nie miał pojęcia, dlaczego szukają jaskini, i co mają w niej znaleźć. Nie, żeby zbytnio go to obchodziło. Chciał tylko, żeby to wszystko wreszcie się skończyło i Gunther przestał się wtrącać w działalność Geo-Research.

– Werner, nie wyglądasz dobrze – szydził Rath.

– Właśnie myślałem, jaki będę szczęśliwy, gdy stąd znikniesz.

– Już niedługo. Jak tylko opróżnimy jaskinię, Geo-Research przestanie nam być potrzebne. Twoja firma dalej będzie należała do grupy Kohl AG, ale ty będziesz decydował, czym się będzie zajmować.

– A jeśli nie znajdziecie jaskini przed przybyciem naukowców z Japonii?

– Lepiej żebyśmy zdążyli, dla ich dobra. – Rath spojrział przez okno w stronę, w którą odleciał DC-3. – Przygotuj snowcaty i budynek do transportu.

Bern Hoffmann siedział przy radiu ze słuchawkami na uszach. Właśnie skończył przepinanie kilku płytek scalonych i nakładał z powrotem pokrywę z tyłu radiostacji. Rath podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Uporałeś się już z problemem maksimum słonecznego?

– Prawie, Gunther – mówił do Ratha po imieniu, ale w jego głosie czuć było szacunek. Jak większość ludzi w bazie, w rzeczywistości był pracownikiem ochrony Kohl AG. – Mamy trochę prawdziwych problemów pogodowych, ale nic tak poważnego, jak wmówiliśmy ludziom z Towarzystwa Kartografów. Łączność z „Njoerdem” jest doskonała.

– Jesteś pewien, że radio w samolocie nie działa? – Gdy piloci wyszli z samolotu, by rozprostować nogi i odetchnąć świeżym powietrzem, Rath towarzyszył młodemu technikowi, gdy ten uszkadzał nadajniki w DC3.

– Nie sądzę, żeby piloci zorientowali się, że nie mają łączności wcześniej niż w połowie drogi do Islandii.

– A dalej na pewno nie dolecą.

Słowa Aniki zgasiły gniew, który Mercer czuł, chociaż starał się go nie okazywać. Nawet gdy uciekali z pożaru w Camp Decade, nie widział takiego pierwotnego strachu. Była niczym obnażony, obolały nerw. Przyznała się, że przeszukała jego pokój, nie miał więc powodów, by jej nie wierzyć. Nie usłyszała o Ottonie Schroederze od niego, co oznaczało, że musiała mieć dodatkowe informacje z innego źródła, a tego właśnie potrzebował. W milczeniu przyglądał się jej swoimi niezgłębionymi szarymi oczami, cierpliwym i wyrozumiałym spojrzeniem zachęcając ją, by dokończyła historię. Usiłowała wziąć się w garść, ale jej twarz wciąż wyrażała poruszenie. Wiedział, że Anika zastanawia się, jak przezwyciężyć wrodzoną nieufność, by powiedzieć mu to, co wie.

Tylko z przodu kabiny DC-3 były fotele. Tył przeznaczono na ładunek, który leżał przykryty siatką zabezpieczającą, przytwierdzoną do oczek w podłodze. Mercer i Anika usiedli w ostatnim rzędzie. Przed nimi Marty i Ingrid rozmawiali, dotykając się niemal głowami. Ira siedział kilka rzędów dalej. Rozglądał się nostalgicznie po samolocie, najwyraźniej przenie-

siony w zupełnie inny czas i miejsce. Reszta pasażerów wyglądała przez kwadratowe okna albo czytała.

– Anika, proszę... – Mercer powiedział tak łagodnie, na ile pozwalał mu hałas w samolocie. – Razem możemy odkryć, co tu się dzieje. Osobno nie mamy szans. Jeśli chcemy się dowiedzieć, kto i dlaczego zabił Igora, musimy wymienić się informacjami. – Zakładał, że morderstwa Bułgarina i Ottona Schroedera są ze sobą powiązane.

Anika spojrzała na niego w nadziei, że on ma siłę, której jej zabrakło. Wszystko zatoczyło koło zbyt szybko. Przed chwilą usłyszała głos mordercy Schroedera i wybiło jej to z głowy myśli o wymierzeniu sprawiedliwości. Chciała uciec od tego wszystkiego, wrócić do Wiednia, do swojego dziadka. On by wiedział, co zrobić.

– Zanim otworzyłem tę przesyłkę z Niemiec, nigdy nie słyszałem o Ottonie Schroederze – ciągnął Mercer, cały czas patrząc Anice w oczy, chociaż turbulencje, w które wpadał samolot, nie ułatwiały mu tego zadania. – Zanim wyjechałem ze Stanów, dostałem mejla z zapowiedzią, że otrzymam przesyłkę. Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Wciąż nie wiem. Dziennik, który przesłał mi Schroeder, jest napisany po niemiecku.

– Nie czytałeś go? – spytała Anika. Powiedziała to tonem niezdradzającym emocji.

– Ledwie czytam po angielsku – zażartował Mercer, ale Anika nie zareagowała. – Jedyne słowa, jakie znam po niemiecku, albo dotyczą jedzenia, albo są nieprzyzwoite.

– Co ci powiedział ten człowiek, kiedy wchodziłeś do samolotu? – W jej głosie nagle pojawiła się niecierpliwość. Miała przeczucie, że to nie był dobry moment na wymianę informacji. Przynajmniej nie teraz. Trzeba było się zająć ważniejszymi sprawami. Teraz w bazie było dwóch morderców, a ona zaczynała wszędzie węszyć spiski.

– Przedstawił się jako Gunther Rath i życzył udanego lotu.

– Nie mamy teraz czasu na wyjaśnienia, ale musisz wiedzieć, że ten człowiek w zeszłym tygodniu przestrzelił mi nogę i kazał torturować Ottona Schroedera, starego żołnierza, którego miałam przepytac na prośbę mojego dziadka. Tuż przed śmiercią Schroeder wymienił twoje nazwisko i powiedział, że jesteś osobą, która może pomóc. To nie zbieg okoliczności, że ty, ja i Rath znaleźliśmy się w tym samym czasie, w tym samym miejscu. Ktoś tym wszystkim steruje.

– Czy Rath wiedział, że Schroeder miał mi coś przesłać?

– Nie, snajperzy go przepędzili. Mercer otworzył szeroko oczy.

– Opowiesz mi kiedyś tę historię. Rath zapewne cię nie poznał, bo w dziesięciu warstwach ubrań każdy tu wygląda tak samo. Mimo to dalej uważasz, że on stanowi zagrożenie.

– A ty jesteś innego zdania?

Mercer zgadzał się z Aniką. Nie potrafił tylko ocenić, jak szybko znajdują się w niebezpieczeństwie. Nie trzeba było zastanawiać się zbyt długo, by dojść do wniosku, że Rath był w zмовie z mordercą Igora Bułgarina. Czy była to Greta Schmidt? Możliwe, ale to w tej chwili nieistotne. Postawił się w ich sytuacji

i wiedział, że będą chcieli jak najszybciej usunąć wszystkie ślady zbrodni. Namacalny dowód – ciało Igora – leży w bazie. A jedyne dwie osoby, które wiedziały, że to nie był wypadek, lecz Igor został zamordowany, leciały właśnie tym przedpotopowym samolotem. Jeszcze jeden pożar w zimnym laboratorium i katastrofa lotnicza, a zabójcy będą bezkarni.

Mercer pamiętał, że Gunther był na pokładzie DC-3, gdy piloci na moment go opuścili. Wtedy przypomniał sobie jeszcze, że Rath wspominał o Elisebet Rosmunder. Rozpiął pas bezpieczeństwa i poszedł do kokpitu. Jeśli jego przeczucie się nie sprawdzi, to nie będzie tragedii, jeśli natomiast ma rację, to...

Do przepierzenia przyklejona była szara koperta. Zerwał ją. Otworzył i drżącymi palcami wyjął zawartość. Fotografie. Pierwsza przedstawiała syna pani Rosmunder, Stefanssona, przed jego pechową podróżą na Grenlandię. Druga była zrobiona przez pielęgniarkę tuż przed jego śmiercią. Na trzecią fotografię Mercer tylko rzucił okiem i natychmiast zgniótł ją ze złością. Ślad po kuli na czole staruszki wyglądał jak upiorne trzecie oko.

Wzbierała w nim furia. Nie tłumił jej, pozwolił rosnąć, aż wypełniła najdrobniejszy nerw. Cały nią wibrował. Przez kilka długich sekund pozwolił, by płonęło w nim to uczucie, czekając na moment przemiany, kiedy wściekłość zmienia się w nienawiść. Gdy ta nadeszła, była silniejsza niż kiedykolwiek w jego życiu. Furia jest destrukcyjna, odbiera jasność myślenia, nienawiść natomiast była bronią, nad którą miał kontrolę. Umiejętność trzymania jej na wodzy była darem, który pozwolił mu w przeszłości stawić czoła wielu strasznym rzeczom i ocalić swoją duszę.

Rozejrzał się po kabinie, wiedząc, że na razie ma pilniejszą sprawę do załatwienia. Czas na zemstę na mordercy pani Rosmunder przyjdzie wtedy, gdy pasażerowie DC-3 będą bezpieczni.

Drzwi oddzielające kokpit od kabiny pasażerów były otwarte. Przez okno mógł dostrzec upstrzone białymi punktami gór lodowych ciemne morze, tak groźne, jak tylko można sobie wyobrazić. Za sterami siedzieli dwaj młodzi Islandczycy ubrani w kurtki lotnicze.

– Czy kontaktowaliście się z kimkolwiek przez radio? – zapytał Mercer spokojniej, niż wynikałoby to z sytuacji, jeżeli celowo zakłócano łączność w bazie, było pewne, że Rath będzie sabotował również radio na pokładzie samolotu.

– Proszę pana, proszę wrócić na swoje miejsce – odruchowo zwrócił mu uwagę drugi pilot. – Tego gruchota nie projektowano z myślą o przewożeniu pasażerów.

– Powiedzcie tylko, czy radio działa.

Upór Mercera przekonał pierwszego pilota i próbował skontaktować się z wieżą w Reykjavíku.

– Papa Sierra 11 do Reykjavíku, odbiór. – Miał słuchawki na uszach, Mercer nie słyszał odpowiedzi, ale gdy pilot powtórzył wezwanie, wiedział już, że nie było żadnej. Pilot spróbował po raz trzeci, po czym wywołał następną stację, a potem kolejną i kolejną. Spojrzenie, jakie rzucił koledze, wyjaśniło Mercerowi wszystko.

– Radio nie działa, prawda?

– Może to z powodu maksimum słonecznego. Już od jakiegoś czasu mamy z tym problemy. – Próba pocieszenia nie wyszła najlepiej.

– Nie stawiałbym na to – rzucił ponuro Mercer. – Jak daleko jesteśmy od Islandii?

– Przy tym wietrze od czoła jakieś dwie godziny. Mercer wątpił, czy mają tyle czasu.

– Odpada. Gdzie jest najbliższe lotnisko?

– Kulusuk jest trochę bliżej, ale lecimy na północny wschód, żeby ominąć front burzowy, o którym nam powiedzieli w waszej bazie. Za kilka minut to do Islandii będziemy mieli bliżej.

Zastawiono na nich pułapkę, a oni w nią wpadli. Nie było żadnej burzy. To było takie samo kłamstwo jak rozkaz duńskich władz o ewakuacji. Okej, Mercer, myśl. Nie mieli czasu, żeby uszkodzić silniki albo zanieczyścić paliwo. Jak spowodowałbyś katastrofę transportowca, który uważa się za najbezpieczniejszy w historii?

Odpowiedź była tyleż oczywista, co przerażająca.

Bomba.

– Nie ma żadnego frontu burzowego. – Starał się, by w jego głosie nie słyhać było przerażenia. – Trzymajcie kurs na Islandię, ale bądźcie gotowi zawrócić, być może nie mamy wiele czasu.

Mercer wrócił do kabiny pasażerskiej i szturchnął Irę, który oparł się o metalową groź samolotu jak na poduszce.

– Obudź się. Mamy problem.

– Stewardesa nie podała ci drinka?

– Myślę, że na pokładzie jest bomba. – Nie obchodziło go, że wszyscy to usłyszą. I tak wkrótce by się dowiedzieli.

Szybko i dokładnie przeszukiwali samolot. Najpierw sprawdzili pod siedzeniami i wszystkimi ruchomymi panelami części pasażerskiej i kokpitu, po czym zaczęli przerzucać zawartość części bagażowej na tyłach samolotu. Pomagali im Marty i Anika, pozostali mieli pozostać na swoich miejscach, obserwowali więc szukających z przerażeniem.

Mercer odpiął siatkę przykrywającą ostatnią paletę, porządną stosik pojemników na samym końcu kadłuba. System ogrzewania nie radził sobie z mroźnymi powiewami, a mimo to Mercer był zlany potem. Czuł ogromny ciężar w żołądku. Sprawdzał dokładnie każde pudło i dopiero wtedy podnosił je i podawał Irze. Gdyby bomba reagowała na ruch, samolot eksplodowałby już podczas kołowania na lodowcu. Najbardziej obawiał się więc dodatkowej pułapki na samym ładunku.

Ira i Anika sprawdzali plomby na pakunkach, chcieli się upewnić, że zabezpieczająca taśma nie została przecięta. Mercer sięgnął po ostatni karton. o mało nie przegapił cienkiego drucika, który wychodził z otworka w tekturze i biegł do grodzi, gdzie przyklejono go do stali. To był przewód zabezpieczający detonującą bombę, gdyby pudło zostało poruszone.

– Mam! – krzyknął, czując jednocześnie ulgę i przerażenie.

Taśma zabezpieczająca karton została ostrożnie przecięta. Ira trzymał pudło tak, by się nie przesunęło, a Mercer zniżył się, by mieć górną krawędź kartonu na poziomie oczu. Ostrożnie unióś jedno skrzydło wieczka, pamiętając, że może być do

niej przymocowany drugi drucik detonatora. Anika odetchnęła głęboko i Mercer o mały włos nie potracił kartonu.

Rath wyjął część znajdujących się w środku papierowych ręczników, by zrobić miejsce na bombę. Ładunek składał się ze sklejonych taśmą sześciu lasek dynamitu i skomplikowanego detonatora, przymocowanego przewodami i taśmą. Drucik-pułapka, który z jednej strony zamocowany był do samolotu, zniknął z boku detonatora i Mercer nie potrafił określić, jak jest podłączony. Przecięcie drutu lub przeniesienie pojemnika skończyłoby się zapewne katastrofą.

Diodowy wyświetlacz na wierzchu urządzenia pokazywał, że zostało im sześćdziesiąt osiem minut i dwanaście sekund. Jedenaście sekund. Dziesięć sekund.

– Potrafisz to rozbroić, prawda? – zapytała z nadzieją w głosie Anika. – Jesteś inżynierem górnictwa. o ładunkach wybuchowych wiesz wszystko.

– No nie. – Głos mu się załamał i musiał mocno przełknąć, żeby go odzyskać. – Nie mam zielonego pojęcia o bombach. Ira, jakieś sugestie?

– Lądujemy.

– Marty, powiedz pilotom, że mamy bombę na pokładzie i nie uda nam się dolecieć do Reykjavíku. Niech zawrócą na Grenlandię.

– Co zrobimy w obozie Geo-Research? – spytała Anika – Rath właśnie próbuje nas zabić. Wrócimy, to zabije nas na Grenlandii. Co go powstrzyma?

Zanim wstał, Mercer upewnił się, że Ira mocno trzyma pudełko, ponieważ DC-3 wszedł właśnie w głęboki przechył nawrotu.

– Ale my nie wracamy do bazy. Pomóż Irze poupychać coś wokół bomby, żeby się przypadkiem nie przesunęła i nie wyrwała drutu aktywatora. Tak łatwo się nie poddamy.

Plan był desperacki, ale siadając w fotelu, Mercer poczuł, że mają jakieś szanse. DC-3 miał płozy, więc lądowanie nie było problemem. Martwiło go tylko, ile czasu będą uwięzieni na lodowcu. Kiedy bomba wybuchnie, samolot się rozpadnie, nie zapewni schronienia jedenastu osobom. Będzie musiał znaleźć jakąś kryjówkę. Mercer miał na oku jedno miejsce, ale to, czy uda im się tam dotrzeć, zależało od człowieka, który nie żył od pięćdziesięciu lat.

Rozwinął mapę, którą zabrał majorowi Delaneyowi, i przestudiował liczby, które zapisał lotnik. W pierwszym odruchu chciał przekazać pilotom azymut, którym Delaney kierował się, idąc z miejsca katastrofy do Camp Decade. Odnalezienie wraku wymagałoby rozwiązania prostego równania geometrycznego.

Ale to byłby błąd.

Obecnie nawigatorzy, korzystając z GPS, zapominają, że północny biegun magnetyczny nie jest stałym punktem. Może przesunąć się nawet o osiemdziesiąt kilometrów w ciągu jednego dnia, średnio dryfuje na północny zachód piętnaście kilometrów rocznie. Żelazne jądro Ziemi, które jest źródłem pola magnetycznego, obraca się z inną prędkością niż skorupa planety, i stąd bierze się ten ruch. By odnaleźć wrak, Mercer musiał skorygować

kurs Delaney o pięćdziesiąt lat dryfu, co dawało jakieś siedemset trzydzieści kilometrów różnicy.

Za pomocą kalkulatora i długopisu przeliczał tak szybko, jak umiał, pamiętając o bezlitośnie odliczającym pozostały czas zapalnika. Informacja, że Delaney przeszedł trzysta kilometrów, nim dotarł do opuszczonej bazy lotniczej, nie na wiele się przydała. Gdy już ustawią się na jego trasie i złączą ją podążać, Mercer mógł mieć tylko nadzieję, że uda im się wypatrzeć rozbity samolot. Erwin powiedział mu kilka dni temu, że w okolicy, w której najprawdopodobniej rozbił się C-97, pokrywa śnieżna jest najcieńsza od lat. To byłby dopiero jeden z wielu uśmiechów losu, których potrzebowali.

Poczuł czyjąś rękę na ramieniu i spojrzał w górę.

– Mogę jakoś pomóc? – spytał Erwin Puhl.

– Przynies telefon satelitarny Marty’ego. Erwin pokręcił głową.

– Marty już próbował. Nie może złapać żadnego satelity. To efekt maksimum słonecznego.

– W takim razie mam nadzieję, że jesteś człowiekiem wierzącym.

– Teraz na pewno jestem.

– Ja też.

Piloci nie kwestionowali zmiany kursu, którą zarządził Mercer, ponieważ był jedynym człowiekiem, który miał jakikolwiek plan ratunkowy. Wrócił na tył samolotu, gdzie Ira, Marty i Anika obłożyli pudełko z bombą wszystkimi pojemnikami, jakie dało

się tam wsadzić. Była to prowizoryczna osłona, ale w tych warunkach musiała wystarczyć.

– Ile czasu zostało?

Ira spojrział na timer, który ustawił w swoim elektronicznym zegarku.

– Czterdzieści pięć i pół minuty.

– Za piętnaście minut będziemy nad suchym lądem Grenlandii, a nad naszym celem kilka minut później.

– Nie mamy wiele czasu – zauważył Marty.

– Jeśli nie znajdziemy wraku samolotu Delaney'a, to i tak zdążymy wylądować. Miejmy nadzieję że z maszyny zostanie tyle, żebyśmy mogli się ukryć.

– Ułożyliśmy już najbardziej wartościową żywność, sprzęt biwakowy i paliwo z dala od bomby – tłumaczył Ira. – Każdy chwyci, ile zdoła, jak będziemy uciekali.

– Dobry pomysł, nie wpadłem na to.

– Nie mnie dziękuj, to był pomysł doktor Klein. Mercer uśmiechnął się do Aniki.

– Inteligentna, odważna i pomysłowa. Czy ty masz w ogóle jakieś wady?

– Upijam się jednym kieliszkiem wina.

– I dla ciebie to wada? – zachichotał Mercer, próbując rozładować ponury nastrój panujący w kabinie – Dla mnie to powód, żeby pojechać we dwoje na weekend do winnic Napa Valley.

Anika zrobiła minę udawanego przerażenia.

– Fuj. Wy, Amerykanie, kompletnie nie macie smaku. Albo Dolina Loary, albo nic.

Żarty szybko się skończyły. Groza sytuacji ponownie ich przytłoczyła. Gdy tylko znaleźli się z powrotem nad Grenlandią, Mercer kazał wszystkim siedzieć przy oknach i obserwować jej pokrytą śniegiem, lodem i głazami powierzchnię. Choć od przecięcia trasy Delaneya dzieliło ich jeszcze kilka minut, Mercer chciał, by zaznajomili się z poszarpaną grenlandzką topografią, by w razie czego łatwiej zauważyć anomalie.

Aby trafić na szlak Delaneya, przelecieli prawie pięćdziesiąt kilometrów w głąb lądu, po czym skręcili na północ-północny zachód, kierując się niemal stycznym kursem ponownie w stronę wybrzeża, i obniżyli pułap do trzystu metrów. Mercer siedział wciśnięty pomiędzy fotele pilotów z licznikiem Geigera w rękę. Oceniał, że byli jakies sześćdziesiąt kilometrów na południe od miejsca, w którym rozbił się samolot.

Pasażerowie obserwowali przesuwaną się pod nimi ląd, wypatrując odbłasku słońca na metalu lub nienaturalnie ostrych krawędzi, na przykład skrzydła. Zgodnie z przewidywaniami Erwina śnieg nie zasypał tu powierzchni tak grubą warstwą, jak przy bazie Geo-Research. Co jakiś czas pojawiały się nagie skały, wyszczerbione szczyty wystające ponad lodowiec. Śniegu było jednak wystarczająco dużo, by dali radę wylądować, co oznaczało też niestety, że C-97 mógł zostać przykryty przez śnieg tak samo jak Camp Decade. Wkrótce będą mieli okazję się o tym przekonać.

Daleko z przodu widać było fiord, który wrył się głęboko w lądolód, ze wszystkich stron chroniony przez lite skały. Mercer zgadywał, że wrak znajduje się nieco na południe od miejsca,

gdzie kończyła się wąska zatoka. Rzucił okiem na zegarek. Za dziesięć minut odwoła poszukiwania i da pilotom znak do lądowania. Skrócił margines bezpieczeństwa do minimum, ważąc z jednej strony konieczność odnalezienia wraku, z drugiej czas, który potrzebowali na wyszukanie bezpiecznego miejsca do wylądowania.

– Mercer! – zawołał go jeden z ludzi Erwina, Wilhelm Treitschke, który siedział tuż obok toalety. – Jakies cztery kilometry przed nami, tuż przy tej skale jak płetwa rekina.

Mercer wyjrzał przez okno, odnalazł wskazane przez Willa wzniesienie i skoncentrował się na cieniu, który rzuca na lód. Przez moment wydawało mu się, że znaleźli wrak. Zgadzał się rozmiar i charakterystyczny dla samolotu kształt krzyża, ale gdy przyjrzał się dokładniej, zrozumiał, że to tylko wystająca skała, która nie przebiła się jeszcze przez lód. Skrzywił się zawiedziony.

– Dobre oko, ale to jeszcze nie to. Szukaj dalej.

Chwilę później drugi pilot klepnął Mercera w ramię i wskazał palcem.

– Tam!

W miejscu, gdzie skalna ściana piętrzyła się, zanim opadała do fiordu, widać było jakiś kształt wystający z lodu jak płyta nagrobna. Choć pogięty i zniszczony dziesiątkami lat naporu lodowca, był to niewątpliwie fragment skrzydła samolotu. Jakies sto metrów dalej na szczycie niskiego skalnego grzbietu leżał kolejny odłamek.

Kształt górującego nad wrakiem szczytu wskazywał, że tamci mieli dodatkowego pecha, zsuwając się żlebem lawinowym.

Domyślał się, że gdy C-97 rozbił się tu w latach pięćdziesiątych, podciął lawinę, która go zasypała, uniemożliwiając znalezienie zarówno z powietrza, jak i z ziemi. Ale teraz, gdy temperatura rosla, a opady śniegu były rekordowo niskie, lodowy sarkofag wokół wraku się roztopił. Ta część Grenlandii nie była eksplorowana, mógł więc tak leżeć już od lat.

Wskaźnik na liczniku nie drgnął od momentu, gdy go włączył. Mercer wciąż jednak obawiał się, że wrak mógł być skażony. Już wcześniej poinstruował pilota, że gdyby udało im się znaleźć miejsce katastrofy, ma wylądować nie mniej niż pięć kilometrów od niego. Ponownie spojrzął na zegarek. Zgodnie z planem za dwie minuty mieli zakończyć poszukiwania, co oznaczało, że teraz zostawało im tylko dwanaście minut na lądowanie i ewakuację z DC-3.

Poklepał pilota i wskazał ziemię, po czym wrócił na tył, by zapiąć się w fotelu.

– Znaleźliśmy go – ogłosił, podchodząc do swojego siedzenia.
– Lądujemy, zapnijcie pasy.

Usiadł w ostatnim rzędzie obok Aniki, wziął od niej naręczne ubrań, które miały zastąpić poduszkę, i przyjął pozycję z głową między kolanami.

– Boję się – powiedziała, gdy silniki zmieniły swój ton.

– Nie powinnaś. Jakie jest prawdopodobieństwo, że przeżyłaś katastrofę helikoptera tylko po to, by zginąć w katastrofie samolotu?

– Jak możesz być taki spokojny?

– Udaję. Nie zapominaj, że samolot jest zaprojektowany do lądowania na lodzie i śniegu, a piloci wiedzą, co robią. Wszystko będzie dobrze.

Chwilę przed lądowaniem drugi pilot kazał im się trzymać. Mercer schował głowę w kolanach, z całych sił obejmując ramionami uda. Wiedział, że lądowanie będzie ciężkie, i sądził, że jest na nie przygotowany.

Nie był. Nikt z nich nie był.

DC-3, z dziobem zadartym do góry, ślizgał się przez chwilę po powierzchni. Jego płozy szurały na nierównym podłożu. Wtem jedna z nich zahaczyła o stwardniały kawał lodu. Samolot trzasnął o ziemię, a siła uderzenia niemalże rozerwała jego kadłub. Nie poruszając się już w prostej linii, skakał i ślizgał się, gubiąc prędkość z gwałtownością, która uniosła mu ogon. Wśród krzyków pasażerów rozległ się łoskot implodujących szyb kokpitu. Kabinę wypełniła zwarta masa śniegu, wylewając się przez drzwi do głównej kabiny. Dwa siedzenia obok toalety oderwały się od podłogi i roztrzaskały na grodzi. Wilhelm Treitschke i jego kolega, Gert Kreigsburg, zostali zgnieceni o metalową ścianę. Ich karki złamały się z identycznym trzaskiem.

Gdy zmalała prędkość, ogon DC-3 uderzył na ziemię, gnąc belki szkieletu i powodując otwarcie tylnych wrót ładowni. Samolot wreszcie zatrzymał się niepewnie. Wpadające do kabiny podmuchy zimnego powietrza ocuciły Mercera. Spojrzał za siebie. Ira wykonał niesamowitą robotę, mocując ładunek. Pomimo siły uderzenia sterta skrzyń nie przemieściła się pod siatką i nie wyrwała drutu zapalnika.

Mercer odpiął pas i wstał, zataczając się z powodu nudności. Do jego uszu docierały żałosne dźwięki. Kilka osób nadal krzychało z bólu i strachu, podczas gdy inni łkali histerycznie. Gorsza była cisza w przedniej części samolotu.

Ściana śniegu wypełniała drzwi do kokpitu. Gdzieś w środku byli przygniecenii piloci.

– Mamy dwie minuty – ryknął Mercer, mając nadzieję, że zmobilizuje tych, którzy przetrwali. Każde słowo odczuwał jak wbijanie młotka w skroń. Wszystko go bolało. – Każdy, kto może się ruszać, niech chwyta paczkę z zapasami i wynosi się stąd.

Ira Lasko pierwszy stanął na nogach. Musiał podnieść Erwina Puhla z fotela i przytrzymać go przez chwilę, zanim każdy z nich wziął tyle, ile zdołał, i zniknął na zewnątrz.

– Chodź, Anika. Jesteś następna. – Mercer szarpnął jej pas, uwalniając ją.

– Nic mi nie jest – powiedziała słabym głosem. Spod włosów spływała jej strużka krwi; uderzyła głową o tył siedzenia przed sobą.

– Do listy twoich cech musimy dopisać „szczęściara”. Udało nam się – powiedział Mercer, po czym przybrał poważny ton. – Możesz wyjść o własnych siłach?

– Tak sądzę.

Było jasne, że to nieprawda.

– Ira – krzyknął Mercer. – Potrzebuję pomocy.

Ira przybiegł z powrotem do samolotu, żeby pomóc Anice i wypakować jeszcze trochę sprzętu. W tym czasie Mercer poszedł na tył, żeby zobaczyć, co z Martym, Ingrid i Hildą. Nie

musiał sprawdzać dwóch meteorologów ani pilotów. Ich los był oczywisty.

– Idziemy, Marty – krzyknął Mercer, gdy dotarł do jego fotela i zamilkł. Marty oparł Ingrid na fotelu i usiłował utrzymać jej głowę pionowo. Nie udawało mu się. Delikatne kości szyi wydawały się wiotkie jak guma. Nie żyła. Marty spojrzał na Mercera pustym wzrokiem.

– Nie możemy jej pomóc, Marty. Przykro mi. – Mercer ściszył głos.

– Wydaje mi się, że podniosła głowę dokładnie w chwili, kiedy uderzyliśmy w ziemię. – Jego głos był niepokojąco monotony. – Chyba nawet słyszałem, jak łamie się jej kark.

Sekundy płynęły.

– Dasz radę wyjść o własnych siłach?

– Tak, yy, tak. – Wstał i przeszedł do wyjścia tak spokojnie jak pasażer opuszczający pokład samolotu rejsowego. Był w szoku.

Potężna Hilda, która, jak przypomniał sobie Mercer, potrafiła jedną grubą ręką przestawiać dwudziestokilogramowe worki ziemniaków, była skulona, ramiona miała opuszczone. Myślał, że nie żyje, dopóki nie dostrzegł, że jej ramiona się trzęsą. Pozostało już tylko kilka sekund.

Pchnął ją mocno z powrotem na oparcie i rozpiął pasy. Kobieta ani nie przeszkadzała, ani mu nie pomagała. Była nieprzytomna. I ważyła około dziewięćdziesięciu kilogramów. Pochylił się, wcisnął ramię w jej wielki brzuch, dźwignął jej bezwładne ciało chwytem strażackim i walczył, by móc się wyprostować.

Był cały poobijany i przy każdym ruchu jego ciało protestowało. Udało mu się jednak wstać i próbował złapać równowagę.

– o Boże – jęknął, wlokąc się wzdłuż przejścia między fotelami. – Czy musiałaś próbować każde swoje danie?

Wychodząc, chwycił za pasek skórzaną torbę geologiczną. Ira wrócił do samolotu po raz kolejny i pomógł Mercerowi zeskoczyć na śnieg. Razem odciągnęli bezwładną kucharkę. Odeszli na piętnaście metrów, kiedy zabrzączał alarm w zegarku Iry.

– Padnij! – krzyknął i rzucił się na ziemię, przewracając Mercera i Hildę.

Wybuch bomby osłabiły nieco skrzynie, którymi ją obłożyli. Siła eksplozji skupiła się na samym końcu maszyny. Mimo tego fala uderzeniowa miała wystarczającą siłę, żeby wyssać powietrze z płuc Mercera. Przykrył sobą Hildę, żeby ochronić ją przed najgorszym; obsypały go szczątki samolotu i bryły śniegu. Bomba znajdowała się na tyle daleko od zbiorników paliwa, że nie było kolejnych eksplozji, których Mercer obawiał się najbardziej. Kiedy grzmot ucichł, obejrzał się przez ramię.

Część ogonowa oderwała się od kadłuba, a nad miejscem, gdzie była bomba, dach po prostu zniknął. Taki wybuch podczas lotu straciłby DC-3 na ziemię jak cegłę. Na szczęście ładunek nie był na tyle silny, by całkowicie zniszczyć samolot. Zostało z niego wystarczająco dużo, żeby zapewnić im schronienie do momentu uratowania. o ile zostaną uratowani.

Mercer poczuł na twarzy coś ciepłego i mokrego. Szybko odwrócił głowę. Leżąca pod nim kucharka odzyskała przytom-

ność i teraz przycisnęła usta do jego policzka w dziękczynnym pocałunku. Głos miała stłumiony, ale słyszał, jak mamrocze:

– Danke, danke.

Im bardziej próbował się podnieść, tym mocniej trzymała go w objęciach. Zauważył, że miała miłą twarz, a łyzy zmiękczyły jej oczy, ale jej wąs był gęstszy niż jego po dniu bez golenia. Pocałowała go w usta, z łatwością niweczając próby uwolnienia się.

– Wykorzystywać kobietę w tak trudnym momencie – kpił Ira, kiedy Mercer wstał wreszcie na nogi. – Naprawdę, miałem o tobie lepsze mniemanie.

Mercer uśmiechnął się, czując ulgę, że żyje, choć piloci i pozostała trójka zginęli straszną śmiercią. Nie zamierzał poddać się poczuciu winy ocalonego.

– Nic ci nie jest?

Lasko wstał i otrzepał się ze śniegu.

– Nie, ale będzie, jeśli ona uświadomi sobie, że pomagałem ją ratować.

– Straciliśmy pięć osób, Ira, w tym Ingrid.

– A uratowaliśmy sześć – stwierdził rozsądnie były podwodniak. – Nie myśl o imionach. Po prostu rozważ liczby. Nie da się inaczej.

Lekko kulejąc, podeszła do nich Anika Klein. Rozmazała sobie na twarzy krew, próbując zatamować jej upływ z rany na głowie. Przyjrzała się wrakowi, po czym odwróciła do Mercera.

– Mam wrażenie, że jedno z nas ma pecha, i to chyba jestem ja.

– Gdybyś wiedziała, co mnie spotykało w ostatnich kilku latach, stwierdziłabyś, że to ja mam złą karmę. – Mercer tylko po części żartował. – Hej, Ira, mógłbyś sprawdzić, czy nie w samolocie się nie pali? Erwin, zobacz może, co udało nam się uratować z rzeczy, które pomogą nam przeżyć.

– Się robi.

– A ja? – zapytała Anika.

– Jako jedyny w naszym gronie doktor, który faktycznie potrafi leczyć ludzi, zajmiesz się naszym zdrowiem. I zaczniesz od siebie. Wciąż krwawisz na głowie. Potem zobacz Marty’ego. Ingrid zginęła przy lądowaniu i on... Nie wiem, po prostu go obejrzyj.

Dalsze słowa Mercera zagłuszył okrzyk Iry Lasko. Klęczał na wierzchu na wpół zaszypany dziobu maszyny, odgarniając śnieg jak szybko się dało.

– Jeden z pilotów żyje!

Marty Bishop zareagował szybciej niż ktokolwiek z pozostałych, rzucając się w stronę pogrzebanego pod śniegiem kokpitu. Odepchnął Irę i zaatakował śnieg blokujący okno, jak gdyby furia mogła wymazać to, co czuł w związku ze śmiercią Ingrid. Po chwili mógł się do połowy wsunąć przez potrzaskaną szybę i dotknąć odkrytego w skórzany rękaw ramienia wystającego ze śniegu i lodu. Sądząc z ułożenia ręki, to drugi pilot chwycił Marty’ego i nie chciał puścić.

Mercer i Ira obiegli samolot i podeszli do kokpitu od strony kabiny. Używając kawałków poszycia jak szpadli, zaczęli pracować kopac. Gdy przystawali, słyszeli, jak Marty poprzez śnieg

podtrzymuje lotnika na duchu. Potrzebowali dwudziestu minut, żeby odgarnąć wystarczająco dużo śniegu, by Anika Klein mogła wpełznąć do kokpitu i udzielić pilotowi pomocy.

– Mercer – zawołała z wykopanej niszy – potrzebuję dwóch podłużnych kawałków metalu lub drewna na łubki. Pilot ma złamaną rękę. I daj moją torbę lekarską.

Hilda zdążyła już przynieść torbę i podała ją przez otwór w lodzie. Następných dziesięć minut upłynęło w stresującej ciszy, przerwanej pojedynczym wrzaskiem, gdy Anika nastawiła pilotowi ramię. Wydawało się, że na czas jej pracy opuściła ich rozpacz po śmierci pozostałych.

Z kokpitu wysunęły się plecy Aniki, która powoli na wpeł prowadziła, na wpeł ciągnęła za sobą rannego. Ramię miał zabandażowane i unieruchomione przy piersi, a niezliczone rany na twarzy zostały przemyte. Największe zdążyła już zaszyć. Skórę miał poplamioną środkiem odkażającym.

– Wyjdzie z tego. Naszprycowałam go środkami przeciwbólowymi – powiedziała. – Musi być w ciepłe, żeby zminimalizować szok. – Zwróciła się w stronę Marty'ego, który właśnie przyszedł do kabiny z dziobu. – Ktoś musi z nim zostać. Czujesz się na siłach?

Marty przeniósł wzrok z postaci leżącej na podłodze na fotel, w którym wciąż siedziała Ingrid, przykryta teraz kocem przez Erwina.

– Zajmę się nim. – Głos miał twardy jak stal.

– Dobra robota – pochwalił Mercer Anikę, kiedy wyszli na zewnątrz. – I z pilotem, i z Martym.

– Jest silniejszy, niż sądzisz. Tyle tylko, że sam o tym nie wie, więc i nikt inny tego nie widzi. – Oczyściła dłonie śniegiem.

Podszedł do nich Ira. Jakiegokolwiek umysłowej sztuczki użył, żeby przewyciężyć grozę ostatniej godziny, z pewnością spełniała swoje zadanie. Wydawał się równie nieporuszony i pozbierany co zwykle.

– Co robimy dalej?

– Muszę sprawdzić wrak C-97. Wy doprowadźcie do porządku nasze miejsce lądowania. Przez jakiś czas tu będzie nasz dom. Sprawdźcie, czy telefon satelitarny Marty’ego jest w porządku, żebyśmy mogli sprowadzić pomoc, kiedy minie już maksimum słoneczne.

Kiedy wszyscy otrzymali swoje zadania i zaczęli je wykonywać, Mercer uznał, że na niego już czas. Zanim ruszył w stronę drugiego wraku, upewnił się, że w torbie geologicznej ma licznik Geigera i kilka batonów energetycznych. Wziął też ze sobą czekan, srebrny koc ratunkowy i małą puszkę paliwka na wypadek, gdyby nie udało mu się wrócić przed zmierzchem.

Przeprawa była straszna. Każdym krokiem przebijał warstwę zmrożonego śniegu, zapadając się po kolana. Podnoszenie za każdym razem wysoko stóp, żeby przesunąć się o kolejne pół metra, było wyczerpujące, i wkrótce jego ruchy przypominały bardziej brodzenie przez wodę niż marsz. Omiatający bok górskiego grzbietu wiatr dał mu prosto w twarz, często z taką siłą, że zatrzymywał go w miejscu. Złał się potem i musiał robić coraz częstsze przerwy. Przy każdym postoju sprawdzał licznik Geigera, zdziwiony tym, że nie wskazywał radiacji. Zaczął się

zastanawiać, czy skażenie Delaney'a nie pochodziło z innego źródła.

Choć wrak C-97 stratofreightera znajdował się niecałych pięć kilometrów dalej, dojście tam zabrało mu dwie godziny. Z powietrza zobaczyli tylko kawałek jednego skrzydła i fragment poszycia, ale kiedy się zbliżył, zauważył więcej odłamków – mechanizm podwozia, część jednej kłapy i pojedynczą łopatę któregoś z czterech śmigieł. Pięćdziesiąt lat ruchu lodowca zaburzyło jakikolwiek porządek miejsca katastrofy, był więc zdziwiony, że w ogóle coś znalazł. Dwieście metrów od kawałka skrzydła licznik Geigera zaczął trzeszczeć. Mercer docisnął dłonią słuchawki i sprawdził wyświetlacz urządzenia. Promieniowanie było nieznaczne i tętno spadło mu z powrotem do zwykłego poziomu.

Kierując się wskazaniem licznika, szukał obszaru o najwyższym promieniowaniu. W ten sposób znalazł główną część samolotu. Spoczywał w zagłębieniu skalnym, zakleszczony i niemal przykryty lodem. Znad powierzchni wystawał tylko kikut statecznika pionowego. Przesunął licznikiem wzdłuż kadłuba i zauważył, że najwyższe wskazania zanotował tam, gdzie powinna znajdować się kabina pilotów.

– Dlaczego akurat tam? – zapytał na głos. Jeśli na pokładzie doszło do wycieku radioaktywnego, z pewnością nastąpiłby z tyłu, w luku ładunkowym.

Pod warstwą lodu widział miejsca, w których poszycie rozdarło się podczas lądowania lub lawiny, która niegdyś przykryła samolot. Wybrał jeden z ciemniejszych punktów na wysokości

kokpitu i zaczął rozbijać lód czekanem. Wkrótce wpadł w prosty rytm. Co godzinę odpoczywał. Miał świadomość, że zanim wróci do pozostałych, może zajść słońce, ale nie mógł dopuścić do przegrzania, zważywszy na to, że temperatura spadła znacznie poniżej zera, była to ironia losu.

O trzeciej po południu przebił się do metalowej powierzchni samolotu. Dziura w aluminium nie była dość szeroka, by mógł się przez nią przecisnąć, zmuszony był więc powiększyć ją czekanem. Za każdym razem, gdy naparł na stylisko, z poszycia odchodziły pasy metalu. Zrobienie odpowiedniego otworu zabrało mu pół godziny. Kiedy wsunął do środka licznik, promieniowanie okazało się nieco wyższe niż na zewnątrz, ale wciąż sporo poniżej niebezpiecznego poziomu.

Przez cały czas, gdy pracował, przygotowywał się psychicznie, by wejść do samolotu. Teraz jednak, kiedy mógł już to zrobić, opanował go lęk. Nie wiedział, co znajdzie w środku i co to będzie oznaczało dla zależnych od niego ocalałych. Porzucając rozważania, Mercer opuścił się w trzewia maszyny.

Wnętrze było mroczne, zapalił więc kieszonkową latarkę. Światło odkryło przed nim pokrytego czerwienią trupa, który wpatrywał się w niego niewidzącymi oczami. Mercer odskoczył do tyłu, potknął się o własne nogi i upadł ciężko. Pozostał chwilę na podłodze i oddychał głęboko, nie zwracając uwagi na ukłucia mroźnego powietrza w płucach. Wiedział, że będą tu ciała, ale nie był na to gotowy.

Kiedy się uspokoił, wstał i oświetlił latarką zwłoki, jak przypuszczał, radiooperatora-nawigatora. Czerwień, która tak go

oszołomiła, okazała się warstwą zmrożonej krwi wokół ust i na lotniczej kurtce mężczyzny. Wyglądało na to, że krwawił też z nosa i... Mercer nachylił się bliżej. Jezu, z oczu. Krwawił z oczu.

Na śniegu na podłodze kabiny także była krew w kilku miejscach, jej plamy i strużki przypominały jakieś upiorne abstrakcyjne malowidło. Skierował światło na kokpit. Niemal wszystkie szyby zostały roztrzaskane podczas katastrofy sprzed półwiecza. Wtłoczony do środka śnieg zbił się w bezkształtną bryłę lodu. Drugi pilot siedział zapięty w fotelu, z głową zwróconą w drugą stronę, jakby wciąż jeszcze mogło przeszkadzać mu światło. Śnieg na jego klatce piersiowej był czerwony. On także w tajemniczy sposób się wykrawił.

Mercer miał rację. Skoro nawigator i widoczny teraz w snopie światła drugi pilot siedzieli na swoich miejscach, ciało, które znalazł w Camp Decade, musiało należeć do pierwszego pilota, Jacka Delaney'a. Aby się upewnić, przeniósł światło na miejsce pilota. To, co ujrzał, sprawiło, że znów mimowolnie się cofnął.

Major Jack Delaney siedział w fotelu, jakby wciąż pilotował samolot. Na głowie miał czapkę, ale nie miał już na sobie skórzanej kurtki. Jego twarz poszarzała i pomarszczyła się, co tylko potęgowało przerażający efekt śnieżnobiałych zębów.

NA LODOWCU

Anika nie wiedziała już, ile razy spoglądała na zegarek i przecierała zaparowane okno. Robiła to automatycznie, choć gdy słońce zaczęło zachodzić, zwiększyła częstotliwość. Dolna warga bolała ją od ciągłego przygryzania. Mercer nie wspominał nic o tym, że zostanie w drugim wraku na noc. Nie wziął też wystarczająco dużo zapasów. Gęsta przypowierzchniowa mgła, która osiadła godzinę wcześniej, tylko wzmagała jej zdenerwowanie. Ponieważ mogli tu zostać uwięzieni na całe tygodnie, nie mogła zużyć niczego, by rozpaścić ogień sygnalizacyjny, a jeśli Mercer nie znalazł swoich śladów, wracając, nigdy nie trafi do DC-3.

Z początku tłumaczyła sobie, że jej troska wynika z tego, że Philip Mercer był bezdyskusyjnym liderem ich grupy. To on ich uratował, a jego nieobecność, choćby kilkugodzinna, sprowadzała na wszystkich ponury pesymistyczny nastrój. Zjedli kolację, prawie się do siebie nie odzywając. Zaraz po posiłku każdy poszedł spać w inny kąt kadłuba. Anika nie kładła się, ponieważ doglądała Magnusa, trzydziestopięcioletniego islandzkiego pilota. Marty dotrzymywał jej towarzystwa, dopóki jego także nie zmogło wyczerpanie. Ira Lasko czuwał najdłużej. Zasnął

dopiero godzinę wcześniej, radząc Anice, by też się położyła. Zapewnił ją, że Mercer wie, co robi.

Nie była tego pewna. Nigdy wcześniej nie była na Grenlandii, ale w ekstremalnie ciężkich warunkach spędziła więcej czasu niż którykolwiek z pozostałych rozbitków. Wiedziała, czym grozi hipotermia, miała okazję zobaczyć głębokie odmrożenia, i zdawała sobie sprawę, jak szybko człowiek może zamarznąć, gdy temperatura spada znacznie poniżej zera.

Mijała druga godzina jej samotnego czuwania. Anika zaczęła zastanawiać się, dlaczego tak martwi się o Mercera. Nie знаła go dobrze, by wyjść poza wygląd zewnętrzny, ale na tym poziomie pociągał ją. Był bardzo męski, ale też samokrytyczny, jak gdyby nie chciał ujawniać swoich talentów. o rok lub dwa lata od niej starszy, zachowywał się jak radosny nastolatek, który jeszcze nie przyzwyczaił się do myśli, że dorósł. To było urocze.

Anika nie mogła zapomnieć, jak na nią spojrział po tym, jak przebiegli przez ogarnięty pożarem korytarz. W jego oczach odbijało się jej własne pragnienie. Doświadczenie podpowiadało jej, by powstrzymać swoje uczucia. Ich pierwszemu spotkaniu i wszystkiemu, co działo się później, towarzyszyła atmosfera zagrożenia. Miała już kochanków, najczęściej kolegów wspinaczy, z którymi dzieliła niebezpieczeństwa. Każdy z tych związków rozpadł się pod przytłaczającym ciężarem normalności. Choć nieuczciwie było porównywać Mercera z tamtymi mężczyznami, przypuszczała, że ten związek zakończyłby się podobnie.

Miło jednak było rozmyślać, że może być inaczej.

Nie zauważyła, że zasnęła, dopóki nie obudził jej jakiś dźwięk. Rozbitkowie zbudowali mur ze śniegu, by zasłonić dziurę ziejącą w tyle kadłuba. U dołu zostawili otwór wejściowy, zamykając go kawałkiem pogiętej blachy. Do zabezpieczenia mniejszych dziur w kadłubie użyli znalezionego wśród ładunku brezentu. Dzięki temu we wraku było na tyle ciepło, by mogli przeżyć. To dźwięk otwieranych drzwi ją obudził.

Postać, która weszła, w słabym świetle lampy gazowej wyglądała jak jakieś mitologiczne stworzenie. Od stóp do głów pokryta była śniegiem, sople lodu zwisały jej z zakrywającego usta szalika. Futrzany otok kaptura zmienił się w lodową aureolę. Gdy stwór poruszał się, grudy śniegu spadały z niego niczym zrzucana skóra. To był Mercer.

Bez słowa runął na podłogę i zgasił lampę, pogrążając kabinę w ciemnościach.

– Mercer, co się stało? – spytała zdezorientowana i wciąż na wpół śpiąca Anika.

– Cicho! – oddychał ciężko, jakby przebiegł maraton.

Wtedy to usłyszała – dudnienie, które zdało się nadchodzić ze wszystkich kierunków naraz. Nie rozpoznała tego dziwnego odgłosu, ale inni obudzeni przez Mercera wiedzieli, co to było.

– Rotorstat – wydusił w końcu Ira.

– Usłyszałem go jakieś pół godziny temu. – Mercer odwinął szalik i ściągnął kaptur. – Bałem się, że możecie rozpalić ognisko sygnałowe, więc biegłem z powrotem najszybciej jak mogłem. Nawet przez mgłę widziałem w oknie światło lampy z bardzo daleka.

– Co on tutaj robi? – Doszedł ich głos Erwina próbującego po omacku znaleźć okulary. – Szukają nas?

– Nie wiedzą, że tu jesteśmy. – Kurtka Mercera była tak pokryta lodem, że stała, gdy ją zdjął. – I wydaje mi się, że sterowiec jest wiele kilometrów od nas. Słyszymy tylko echo odbijające się od gór.

– Po co w takim razie przylecieli w te okolice? – spytał Marty. Zanim Mercer zdążył odpowiedzieć, opanowały go dreszcze. Drżał tak mocno, że musiał zacisnąć zęby.

– Podejrzewam, że przenoszą bazę Geo-Research na północ, tak jak chcieli od początku.

– Szukają rozbitego stratofreightera Delaneya? – Ira podał Mercerowi ręcznik, bo mokre od potu włosy zamarzły mu w jeden wielki sopel.

– Wydaje mi się, że chodzi im o coś innego, zwłaszcza że Jack Delaney i jego załoga siedzą dalej w samolocie.

Sensacyjną wiadomość Mercera przyjęto chóralnym westchnieniem. W ciszy, która później nastąpiła, odgłosy sterowca zaczęły odpływać. To Ira zadał wreszcie pytanie, które nurtowało wszystkich.

– Jeśli Delaney jest w samolocie, to kogo, do diabła, znaleźliśmy w Camp Decade?

Mercer pozwolił, by pytanie zawisło na moment w powietrzu, po czym zwrócił się do Aniki.

– Chcesz odpowiedzieć?

Poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła i musiała chwycić się mocno fotela, by złapać równowagę. Wcześniej wydawało

jej się, że historia zatoczyła koło w momencie, kiedy usłyszała w bazie Gunthera Ratha. Okazało się, że wówczas nie była to prawda, ale teraz już tak. Zaczęło się od jej dziadka, który szukał ukrytego przez nazistów skarbu, i od wywiadu z człowiekiem, który był kiedyś saperem. Te dwa fakty oznaczały, że gdzieś znajduje się tajna kryjówka – oczywiście na Grenlandii, skoro Rath, Mercer i ona znaleźli się właśnie tutaj. Do teraz nie zastanawiała się, kogo naziści zmusili do wykopania tego schowka, i nie wyobrażała sobie, by ktokolwiek mógł przeżyć na tej opuszczonej, nieprzyjaznej ziemi wystarczająco długo, by dotrzeć do Camp Decade. Od zakończenia wojny do opuszczenia bazy minęło dziesięć lat, ale nie było innego wytłumaczenia.

Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

– Był ostatnią ofiarą Holokaustu.

Mercer zapalił lampę. Zmniejszył płomień i wczółgał się do spiwora.

– Powiedz nam, co wiesz.

– Mój dziadek spędził życie na poszukiwaniu rzeczy zrabowanych Żydom podczas okupacji hitlerowskiej w Europie. Niedawno otrzymał od nieznanego informatora wiadomość o ładunku złota zabranym ze Stalingradu i wysłanym do Hamburga. Dokumenty wskazywały, że w przewozie złota brał udział saper Otto Schroeder. Operacja nazwana została projektem „Pandora”. – W trakcie opowieści głos Aniki stawał się coraz pewniejszy, a gniew coraz większy.

– Jeszcze dziesięć dni temu Schroeder mieszkał pod Monachium. Pojechałam do niego porozmawiać o złocie. Gdy dotar-

łam do jego domu, Schroeder był torturowany przez grupę ludzi, którymi kierował Gunther Rath, ten, który podłożył bombę w naszym samolocie. Zanim umarł, Schroeder powiedział, że złoto, a mówimy tu o tonach, było tylko częścią tej operacji, oraz że pomoc może mi Philip Mercer. – Spojrzała w jego stronę, czekając na wyjaśnienia.

– Mniej więcej wtedy otrzymałem mejl od jakiegoś prawnika z Monachium, który zapowiadał, że nieujawniony klient przesłał mi dokumenty – wyjaśnił Mercer. Wyjął je ze swojej torby geologicznej i przysunął do lampy, by wszyscy mogli zobaczyć. – Dopóki nie dostałem tego dziennika, nigdy nie słyszałem o Ottonie Schroederze. Nie wiem też, dlaczego przesłał go właśnie mnie. A ponieważ napisano go w języku niemieckim, nie wiem, co w nim jest.

Anika podjęła opowieść.

– Już na „Njoerdzie” dowiedziałam się, że Mercer jest w bazie Geo-Research. Wiedziałam, że zostało to ukartowane. Zaraz po katastrofie helikoptera przejrzałam zawartość torby z pocztą i zakopałam wszystko, co było do niego zaadresowane. Nie mogłam ryzykować, że informacje od Schroedera trafią w ręce kogoś, kogo nie znałam i komu nie ufałam. Zamierzałam wrócić i odkopać listy, które ukryłam sto metrów od helikoptera.

Ira spojrzał na Mercera.

– Nasz pasażer na gapę nie leciał jednak na gapę.

– Powiedziała mi to tuż przed tym, jak znaleźliśmy bombę. – Mercer okrył się śpiworem. – Dzięki numerowi, który wykręcił mi mój przyjaciel Harry, nie znalazła listu, którego szukała.

Przypuszczam, że przesyłka, którą wzięła, była od Charliego Bryce'a. – Gestem poprosił, by kontynuowała.

– Schroeder był saperem i podejrzewaliśmy z dziadkiem, że uczestniczył w budowie tajnego magazynu na nazistowskie łupy, głęboko ukrytego przed aliantami. Po wojnie w starych kopalniach soli znaleziono wielkie skarby, ale wciąż nie odzyskano wartych wiele milionów dolarów dzieł sztuki, antyków, klejnotów i złota. Stwierdzenie Schroedera, że złoto, którego szukaliśmy, było tylko częścią operacji, skłoniło nas do myślenia, że trafiliśmy na kolejny taki ukryty magazyn.

– Tu na Grenlandii? – spytał Marty Bishop. – To przesada, nawet jak na nazistów.

– Zgodziłabym się, gdyby nie znaleźli się tu Mercer, Rath i ja.

– Skąd Schroeder wiedział, że wasza dwójka się tu wybiera?

– Nie mam pojęcia – przyznała Anika.

– To część intrygi. – Mercer pociągnął łyk z ocalonej butelki brandy. – Rosjanie, którzy wysłali informację, dzięki której dziadek Aniki dotarł do Ottona Schroedera, wybrali go zamiast lepiej znanych łowców nazistów, ponieważ wiedzieli już, że złoto jest na Grenlandii i że Anika tu przyjeżdża. Założę się, że to właśnie oni powiedzieli Schroederowi, że Anika może mi zaufać.

– Masz rację – wykrzyknęła. – Powiedział, że kilka tygodni wcześniej odebrał tajemniczy telefon informujący o tobie.

– Ale to nie tłumaczy, skąd wiedzieli, że Mercer tu będzie – zauważył Ira.

– Albo dowiedzieli się o tym ze strony internetowej Towarzystwa Kartografów i po prostu zdecydowali, że mnie w to

włączą – stwierdził Mercer. Nieprzyjemny wniosek stał się jasny, więc się zawahał. – Albo dlatego, że Charlie Bryce ukartował to w taki sposób, bym znalazł się tu w tym samym czasie co Anika.

– Toby oznaczało, że Charlie też jest w to zamieszany – powiedział Marty z powątpiewaniem. – Znam go od pięciu lat. Nie jest łowcą nazistów ani nikim tego rodzaju.

– Też go długo znam – zgodził się Mercer. – Ale, chociaż brzmi to niewiarygodnie, jest to jedyne możliwe wytłumaczenie.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że trup w Camp Decade był ostatnią ofiarą Holokaustu? – spytała Hilda. Nie mówiła po angielsku, więc Erwin Puhl tłumaczył jej przebieg rozmowy.

– Myślę, że był to żydowski robotnik przymusowy, który pracował dla Niemców przy odkopywaniu jakiejś jaskini, do której chowaliby łupy. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Jakimś sposobem został tam i udało mu się przeżyć dziesięć lat, nim odnalazł Camp Decade. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jaki koszmar przeżył, tylko po to, by przekonać się na końcu, że baza, jego jedyna szansa na ratunek, została opuszczona.

Zamilkli na dłuższą chwilę. Każdy zastanawiał się nad grozą takiej śmierci.

– Mógł być niemieckim żołnierzem – rzucił po długich minutach ciszy Ira.

– Nie – odparł Mercer. – Dowód miał na ramieniu. Anika pociągnęła nosem i wytarła policzki.

– Zauważyłeś?

– Wtedy nie miałem pojęcia, co to takiego, ale teraz znaczenie jest oczywiste. – Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na to, co

powie. – Trup, którego znaleźliśmy, miał bliznę na wewnętrznej stronie ramienia, jakby od poparzenia. Myślę, że sam to sobie zrobił, żeby pozbyć się numeru, który naziści tatuowali ofiarom ostatecznego rozwiązania.

– Jest na to jakiś dowód? – spytał Marty.

– Jeśli jest, będzie tu. – Mercer podał Anice dziennik Schroedera.

– Spróbuj się w tym zorientować. Musimy przedyskutować jeszcze kilka innych problemów.

Anika wzięła oprawiony w skórę manuskrypt, zbliżyła go do lampy i zaczęła wodzić palcem w poszukiwaniu istotnych fragmentów.

– No to co z... – zaczął Ira. Mercer mu przerwał.

– Do reszty pytań wrócimy później. Geo-Research przenosi się w tę stronę, więc nie możemy ryzykować i zostać we wraku. Wypatrzą go, jak tylko mgła opadnie. Nie mamy wyboru. Jeśli Rath nas znajdzie, zginiemy. Jedynym wyjściem jest opuszczenie samolotu.

– Ile twoim zdaniem przetrwamy bez jakiegoś dachu nad głową? – warknął Marty. Poprzednio chciał walczyć z Geo-Research o powrót na Grenlandię, ale śmierć Ingrid pozbawiła go motywacji. Nie obchodzili go naziści, zrabowane kosztowności czy ofiary Holokaustu. Teraz chciał, żeby ten koszmar się skończył.

– Dłużej niż gdyby znalazł nas Rath. – Mercer wybuchł, nim zdążył zapanować nad gniewem. Musiał sam sobie przypomnieć, jak bardzo ta sytuacja przerastała jego współpasażerów. Spojrzał

na nich i zobaczył w ich oczach strach. – Przepraszam. Żadne z nas nie zasługuje na to co, się stało, ale to nie zmienia faktu, że siedzimy w tym razem. Daliśmy radę tak długo i myślę, że wiem, jak nas uratować.

– Jak?

– Wszystko zależy od tego, co Anika znajdzie w dzienniku. To już jasne, że naukowa przykrywka Geo-Research jest właśnie tym: przykrywką. Oni, albo ktokolwiek, kto za nimi stoi, przyjechali na Grenlandię po skarb. Wydaje mi się, że dla oszczędności roboczogodzin naziści rozbudowali na swoje potrzeby istniejącą już jaskinię zamiast drążyć komory od podstaw. Wiem z doświadczenia, że jeśli znajdzie się jedną jaskinię, to w okolicy najprawdopodobniej jest ich więcej. Dopóki Rath i jego wesoła gromada sobie stąd nie pójda albo dopóki nie uda się skorzystać z telefonu satelitarnego, możemy ukryć się w takiej jaskini, która będzie położona daleko od tej używanej przez nazistów.

– Brzmi rozsądnie jak dla mnie. – Ira rozejrzał się po kabinie, szukając poparcia.

– Jak daleko jesteśmy od jaskini? – spytał z obawą Erwin.

Około trzydziestu kilometrów – odpowiedział Mercer i nagle zdał sobie sprawę z czegoś, co wcześniej przegapił. Odległości na znalezionej w Camp Decade mapie były zapisane w systemie metrycznym. Amerykański pilot użyłby mil standardowych albo morskich. Pokręcił głową zły na siebie. Powinien był od razu zauważyć taką rozbieżność.

Już wcześniej wyliczył wartość korekty wskazań kompasu, więc nawigację mieli za sobą. Jego wcześniejszy wypad przekonał go, że czekał ich niewyobrażalnie trudny marsz.

– Zaprowadzisz nas tam? – zapytała Hilda za pośrednictwem Erwina.

– Nie. – Mercer nie chciał ryzykować ich życia, udając, że wie wszystko. – Ale Anika nie pierwszy raz przebywa w takich warunkach. Wierzę, że pomoże nam wydostać się stąd.

– Mamy problem. – Anika podniosła wzrok znad dzienników Ottona Schroedera. Oczy miała zaczerwienione od czytania w słabym świetle. – Jeszcze nie skończyłam, ale znalazłam coś, co czyni twój plan niewykonalnym.

– o co chodzi?

– Otto Schroeder był saperem w niemieckiej armii. Wcześniej studiował górnictwo. Skierowano go do projektu „Pandora” i w 1943 roku wysłano na Grenlandię razem z ekipą, która miała powiększyć system jaskiń odkrytych pod lodowcem. Rozkazy wydał sam Hitler. Schroeder nie wiedział, jak skończyło się to przedsięwzięcie, ponieważ po dwóch miesiącach pobytu na lodowcu przygniotło go osuwisko skalne i został ewakuowany. W dzienniku napisał, że tunele drążyło tysiąc żydowskich i romskich więźniów oraz że zakres prac się zwiększał. Podaje też, że umierało przeciętnie dziesięciu robotników dziennie.

Ta informacja robiła wrażenie. Dzięki szerokiej wiedzy o górnictwie Mercer lepiej rozumiał, w jak straszliwych warunkach żyli ci biedacy.

– Głównym zadaniem Schroedera, zanim rozpoczęto drążenie tuneli – kontynuowała Anika – było wykopanie szybu wentylacyjnego, który sięgałby trzysta metrów w głąb lodu.

– Zaczekaj. – To, co powiedziała, nie miało sensu. Mercer pomyślał, że coś źle zrozumiała. – Jesteś pewna, że nie miał najpierw wywiercić szyb? To by znaczyło, że zaczęli kopać pod ziemią i przesuwali się ku powierzchni.

– Na tym polega problem. Jaskinia znajduje się pod górą na końcu fiordu i można się było do niej dostać tylko okrętem podwodnym. Po wykonaniu szybu wentylacyjnego Schroeder miał przygotować dok dla okrętów podwodnych przywożących zaopatrzenie i powiększyć jaskinię tak, by było więcej miejsca na pomieszczenia sypialne i gospodarcze.

– To cholernego szybu wentylacyjnego szuka Rath – zaklął Mercer. Anika przytaknęła.

– To znaczy, że nie ma tu żadnych innych jaskiń, w których moglibyśmy się ukryć.

– I nie poruszyliśmy jeszcze jednego ważnego problemu. – Ira spojrzał wymownie na Mercera. – Nie powiedzieliśmy, że ciało znalezione w Camp Decade było napromieniowane. Ten człowiek mógł zostać skażony w C-97, gdy włożył kurtkę Delaney, ale zgodziliśmy się z Mercerem, że to mało prawdopodobne, by armia amerykańska tak po prostu zostawiła gdzieś materiały radioaktywne.

– Sprawdziłem samolot – wtrącił Mercer. – Odczyt był taki sam jak w Camp Decade. To nie było źródło.

– To oznacza, że źródło promieniowania znajduje się w jaskini, do której będziemy się przedzierać – podsumował Ira. – Jeśli licznik Geigera wskazał radiację zwłok nawet po pięćdziesięciu latach, to cokolwiek jest tam na dole, musi niezłe świecić.

Mercer spojrział na Erwina Puhla, który siedział w milczeniu zawinięty w śpiwór. Światło lampy odbijało się w jego okularach jak małe słońca.

– Co ty na to, Erwin? Gotowy, żeby darować sobie oficjalną historijkę i powiedzieć nam, co wiesz?

Było to tak nieoczekiwane pytanie, że wszyscy naraz odwrócili się i spojrzeli na niemieckiego meteorologa. Przez chwilę udawał zaskoczonego, ale przeżycia ostatnich dni sprawiły, że nie mógł dłużej grać.

– Skąd wiedziałeś? – zapytał po prostu.

– Twoja przyjaźń z Igorem Bułgarinem – wyjaśnił Mercer. Erwin wiedział, co ma na myśli, ale pozostali czekali na wyjaśnienia. – Kiedy poznaliśmy się z Igorem, powiedział mi, że jedzie na Grenlandię szukać fragmentów meteorytów. Jedyne problem z tą historią jest taki, że znalezienie meteorytu na Grenlandii jest prawie niemożliwe. Co innego Antarktyda, gdzie jest tak niewiele opadów, że większą jej część uznaje się za pustynię. Kawałki kosmicznych skał mogą leżeć na powierzchni latami, czekając, aż ktoś je znajdzie. Tutaj są zasypane po kilku minutach.

Rozejrzał się po kabinie.

– Czytałem o wyprawie z 1998 roku, która spędziła sześć tygodni na zachodnim wybrzeżu Grenlandii, szukając mikroskopijnych odłamków meteorytu Kangilia. Ocenia się, że ważył

jakieś sto ton. Mieli filmy i dane satelitarne o lokalizacji, w której powinni szukać. Nie znaleźli ani śladu. Nie ma szans, żeby człowiek chodził sobie po śniegu i znajdował na powierzchni odłamki meteorytu. – Mercer ponownie spojrzął na Erwina. – Pomyślałem, że skoro znasz Igora od lat, to już wiesz, że jego opowieść to bzdura, i znasz prawdziwy cel jego wyprawy.

Puhl się nie bronił.

Mercer zakończył konkluzją:

– Musiał wiedzieć o kryjówce nazistów. Poszedł więc do Camp Decade, ponieważ podejrzewał, że ciało pochodzi z jaskini. Ktoś z Geo-Research widział, co on robi, i zamordował go, by zachować tajemnicę.

Brak reakcji Erwina był dla Mercera dowodem, że meteorolog już domyślał się, że „wypadek” Igora to było morderstwo z premedytacją. Jego bliski katatonii stan w ostatnich dniach wynikał ze strachu, że skoro był przyjacielem Igora, to pewnie będzie następną ofiarą.

– Mercer, wiesz, kto go zabił? – spytał Ira.

– Igor został uderzony w tył głowy. Mordercą musiał być ktoś, kogo Igor nie podejrzewał, do kogo mógł się odwrócić plecami. Musiał to być również ktoś wystarczająco silny, by ogłuszyć największego człowieka w bazie. I wreszcie zabójca wywlókł zwłoki z kwater oficerskich i porzucił, gdy napotkał pierwszą większą przeszkodę. To znaczy, że nie był wystarczająco silny, by nieść ciało.

– To się trzyma kupy. Więc kto to był?

– Jedyna osoba, która pasuje do tego opisu, to Greta Schmidt – stwierdził Mercer, a wszyscy spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

– Myślę, że Mercer ma rację – przyznał po dłuższej chwili Erwin. – Chociaż nie sądziliśmy z Igorem, żeby Geo-Research wiedział, kim jesteśmy i po co przyjechaliśmy na Grenlandię, to jednak rozmawialiśmy o ludziach, na których trzeba uważać. Żaden z nas nie podejrzewał, że Greta jest w to zamieszana.

– Erwin, nie wiesz, czy Geo-Research jest jakoś związany z firmą, która nazywa się Kohl AG? – spytała Anika. – Schroeder napisał w dzienniku, że to właśnie ta firma dostała zlecenie na wykopanie jaskini. Niewielka grupa wojskowych ekspertów, do której należał, miała tylko służyć pomocą.

– Kohl AG kupiła Geo-Research rok temu, żeby wykorzystać ich reputację i zrealizować swój prawdziwy cel.

– Czyli odzyskanie złota? – spytał Marty. Erwin niemal powtórzył słowa Schroedera.

– Złoto to tylko niewielka część tego, o co tu chodzi.

– Co ukrywali Niemcy?

– Nie ukrywali. Próbowali coś wydobyć, coś, co nigdy nie miało znaleźć się na tej planecie.

Mercer poskładał sobie wszystko szybciej niż pozostali.

– W 1943 roku spadł tutaj radioaktywny meteoryt?

– Nie całkiem – wyjaśnił Erwin. – Jego większa część uderzyła w Rosję w 1908 roku.

Mercera nagle olśniło i pomimo grozy sytuacji i śmierci Igora był bardzo podekscytowany. Rozmawiali o jednej z największych naukowych zagadek XX wieku.

– Tunguska.

– Tak, doktorze Mercer. Naziści szukali fragmentu meteorytu tunguskiego, który eksplodował nad Syberią trzydziestego czerwca 1908 roku.

– Jak? Dlaczego?

Puhl spojrział na wyrażające niezrozumienie twarze pozostałych.

– Jeśli o tym nie słyszeliście, katastrofa tunguska to jedna z wielkich nierozwiązanych zagadek. Niektórzy przypuszczają, że była to asteroida, inni, że kometa albo czarna dziura. Niektórzy wierzą nawet, że chodzi o awarię reaktora atomowego UFO. Co do jednego wszyscy są zgodni: wybuch zrównał z ziemią dwa i pół tysiąca kilometrów kwadratowych lasu, ale drzewa stojące w epicentrum pozostały nietknięte, tak jak niektóre domy w Hiroszynie po ataku atomowym. Falę uderzeniową zarejestrowały nawet odległe sejsmografy, na przykład w Waszyngtonie, a nieziemska poświata była widziana aż w Kopenhadze. Dodatkowo, według zeznań naocznych świadków, część obiektu po eksplozji poleciała dalej na północny zachód, nabierając wysokości.

– Żeby odpowiedzieć na pytania Mercera, jak i dlaczego Niemcy szukali tego oddzielonego fragmentu widzianego przez naocznych świadków, muszę wam przedstawić pewne fakty. – Erwin wziął od Iry butelkę brandy. – Pierwsza ekspedycja naukowa w poszukiwaniu miejsca wybuchu wyruszyła dopiero w 1927

roku pod kierownictwem człowieka o nazwisku Leonid Kulik. To istotna postać, bo został później złapany przez Niemców i zmarł w obozie w 1942 roku. Podczas brutalnych przesłuchań wyjawiał wszystko, co wiedział o tajemniczej katastrofie. Kiedy Niemcy poznali prawdę o eksplozji, robili wszystko, by zdobyć notatki Kulika z badań. W bitwie, która okazała się jedną z najzacieklej szych podczas całej wojny, poświęcili tysiące żołnierzy tylko po to, by znaleźć kilka zeszytów – przerwał na chwilę. – Gdy wybuchła wojna, Kulik wysłał najtajniejsze zapiski do współpracownika w Stalingradzie.

– Twierdzisz, że w bitwie o Stalingrad chodziło o kilka notesów? – prychnął Marty. – Daj spokój.

– Nie, ale podczas walk na rosyjskie tyły wysłano kilkaset grup komandosów, by je odnaleźli. Zginęły tysiące ludzi. Jeśli chodzi o obsesję Hitlera, prawda jest znacznie dziwniejsza niż fikcja. Żeby to zilustrować, opowiem wam jeszcze jedną historię. – Erwin mówił do nich jak do dzieci. – W kwietniu 1942 roku wysłał na wyspę Rugię na Morzu Bałtyckim zespół naukowców zaopatrzonych w najnowocześniejszy wówczas radar, by przetestowali jego nową teorię. Hitler był przekonany, że choć ziemia jest rzeczywiście okrągła, nie żyjemy na jej powierzchni, tylko po wewnętrznej stronie pustej sfery jak owady we wnętrzu odwróconej salaterki. Naukowcy tygodniami kierowali fale radaru w niebo w nadziei na złapanie odbicia sygnału z bazy brytyjskiej marynarki wojennej na Orkadach. Weźcie pod uwagę, że wtedy niemiecka technologia radarowa była daleko w tyle za aliancką, a mimo to Führer – Puhl wypowiedział tytuł Hitlera sarka-

styczenie – marnował drogocenne zasoby na wyprawę skazaną na niepowodzenie.

– Co to ma wspólnego z katastrofą tunguską?

– Nie wszystkie szalone pomysły forsowane przez nazistów w czasie wojny okazywały się tak żałosnymi pomyłkami. Projekt „Pandora” był sukcesem. Jak już mówiłem, pierwsze oficjalne badania katastrofy tunguskiej były przeprowadzone dopiero w 1927 roku. Sprawa budziła jednak duże zainteresowanie i nieoficjalna wyprawa ruszyła rok po kosmicznym zderzeniu, zawróciła jednak z powodu pogody i niedostępności terenu. Dopiero dwa lata później, w 1911 roku, ludzie po raz pierwszy zobaczyli zniszczenia z bliska. Choć rzeka Tunguska płynie w jednym z najodleglejszych zakątków syberyjskiej tajgi, w 1912 roku wieści o sukcesie odkrywców dotarły do stołecznego Sankt Petersburga, ponieważ wielu badaczy zmarło jeszcze na miejscu lub tuż po powrocie z wyprawy. Ich śmierć była przerażająca. Zaatakowała ich tajemnicza choroba, która „zżerała” ich ciała. Gdy umierali, byli przeraźliwie chudzi, wyglądali jak szkielety.

Mercerowi stanęło przed oczami zdjęcie Stefanssona Rosmundera w szpitalu w Reykjavíku. Teraz wiedział, co go zabiło.

– Wieśniacy wierzyli – kontynuował Puhl – że to diabeł nawiedził lasy, powalając drzewa, i że to „zło” zabijało ludzi. Niektórzy wrócili z miejsca wybuchu z kawałkami dziwnej, cieplej w dotyku skały, twierdząc, że to fragmenty skóry diabła. Całe wsie, w których trzymano ten nieznan kamień, wymarły na tę samą straszną chorobę zazwyczaj w kilka dni po przyniesieniu skały. Przywołani księża twierdzili, że wiedzą, co to za

ciemna siła, i pozamykali wszystkie odłamki w złotych ikonach, przekonani, że powstrzymają one zło, które zabiło około tysiąca osób. Ich sposób był skuteczny.

Słowa Erwina przyjęto sceptycznie, dopóki nie odezwał się Mercer.

– To był cholernie dobry pomysł, nawet jeśli nie wiedzieli, dlaczego. Jeśli kamienie, które znaleźli, były radioaktywnymi kawałkami meteorytu, złoto z powodu swojej gęstości zadziało jak nieprzepuszczalna tarcza. Nie tak dobra jak ołów, ale skuteczna.

Erwin pokiwał głową.

– Badania, które prowadził później Kulik, udowodniły, że złoto znacznie lepiej chroni przed tym promieniowaniem niż ołów. Nie umiał wytłumaczyć, dlaczego to promieniowanie było inne, ale też w owym czasie niewiele o tym wiedziano. Była to tajemnicza siła, z której istnienia tylko niewielu zdawało sobie sprawę.

Dzięki swojemu wykształceniu Mercer znalazł lukę w opowieści Puhla.

– Jak to możliwe, że tak potężne źródło radiacji nie zabiło wszystkich, którzy dotarli na miejsce katastrofy?

– Kulik wiedział, że każdy radioaktywny materiał ma tak zwany czas połowicznego rozpadu. Według jego hipotezy kawałki meteoru tracą moc nierównomiernie, od zewnątrz do środka. Gdy ich powłoka staje się po kilku miesiącach nieaktywna, ochrania wewnątrz przed dalszym rozpadem. Uważał, że to zjawisko spowodowane jest reakcją z naszą atmosferą albo

rozkładaniem jakiejś substancji przez promieniowanie słoneczne. Ani on, ani nikt inny nie wiedział tego na pewno. Podejrzał, że śmierć powodowały tylko te fragmenty, z którymi chłopci obchodzili się nieuważnie, naruszając powłokę ochronną.

Mercer zauważył w tej hipotezie kilka luk, ale się nie odezwał. Nie był geologiem planetarnym. Chodziło o pierwiastek niewidziany nigdy wcześniej na Ziemi i niezbadany przez nowoczesną naukę. Kto wie, jakie niezwykle substancje krążą po wszechświecie na grzbietach międzygalaktycznych komet. Co kilka lat naukowcy pracujący przy akceleratorach dodają do tablicy Mendelejewa kolejny nowy pierwiastek. Możliwe, że meteoryt zawierał jakiś pierwiastek, którego ludzkość jeszcze nie odkryła.

– Okej, wróćmy do mojej opowieści. – Erwin na powrót przyciągnął uwagę słuchaczy. Niewielu z nich rozumiało fizykę i interesowało się nią. Chcieli tylko poznać do końca ciekawą opowieść. – W 1912 roku caryca Aleksandra wysłała najbardziej zaufanego emisariusza do Wanawary, miasta leżącego najbliżej miejsca katastrofy, by zbadał, co zabija jej poddanych. Człowiek ten miał religijne wykształcenie i szybko podchwycił pomysł zamykania odłamków w złote ikony. Wysyłał w tajgę zespoły, które miały znaleźć więcej kawałków Pięści Szatana, jak to nazwał.

– A niech mnie! – krzyknął Mercer. – To tłumaczy, dlaczego w rejonie Tunguski nie znaleziono żadnych odłamków meteorytu. Ktoś oczyścił teren, zanim Kulik i kolejne ekspedycje tam dotarły.

– Właśnie tak – potwierdził Erwin. – Choć odłamki zamknięto w złotych skrzyniach od razu po odnalezieniu, podczas poszukiwań umarły kolejne setki ludzi. Ten ksiądz kazał sobie uszyć złotą szatę, żeby móc pracować z próbkami. Chciał zapobiec śmierci kolejnych ludzi.

– Kim był ten kapłan? – spytał Ira.

– Nazywał się Grigorij Efimowicz Nowik.

Anikę tak pochłonęło opowiadanie, że dopiero po chwili zorientowała się, że zna to nazwisko. A raczej imię, pod którym był lepiej znany.

– Rasputin. – Tak, emisariuszem carycy był Rasputin. Dwa lata spędził w rejonie Tunguski, zbierając meteoryty. Po powrocie do Sankt Petersburga nie chciał nikomu powiedzieć o tym, co znalazł. Właśnie wybuchła I wojna światowa i bał się, że jego znalezisko może zostać użyte jako broń. Nawet gdy w styczniu 1915 roku pod Bolimowem Niemcy po raz pierwszy użyli gazów trujących, nie wyjawiał informacji o niezwykłym zabójcy z kosmosu. Wojna trwała, a na temat jego znalezisk krążyły plotki. Zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, jak zaczną go torturować, by wyznał, co zabiło wieśniaków znad Tunguski. Ponieważ presja się zwiększała, Rasputin założył Bractwo Pięści Szatana, werbując kilku zaufanych duchownych, którzy mieli strzec sekretu po jego śmierci. Rasputin został zamordowany w grudniu 1916 roku, nie z powodu swego wielkiego wpływu na rodzinę carską, jak podają podręczniki historii, ale dlatego, że nie zdradził kilku wojskowym swojej tajemnicy.

– Więc nie był szalonym demonem, jak sądzą ludzie?

– O, demonem też był. – Erwin zachichotał. – Opowieści o jego wyuzdaniu są, jeśli to możliwe, łagodniejsze od prawdy. Ale towarzysze z Bractwa widzieli w nim człowieka, który uratował ludzkość przed samozniszczeniem.

– A gdzie w tym wszystkim są naziści?

– Pierwsza rosyjska rewolucja przetoczyła się przez Sankt Petersburg kilka tygodni po zamordowaniu Rasputina i ci, co słyszeli o Pięści Szatana, zostali wygnani lub zgładzeni. Przeszto się interesować katastrofą tunguską. Bractwo ukryło pięćdziesiąt ikon zawierających fragmenty meteorytu w różnych cerkwiach i klasztorach w kraju, przenosząc je, gdy komuniści rabowali bądź zajmowali budynki. W miarę jak członkowie Bractwa starzeli się, przyjmowano nowych. Leonid Kulik był jednym z nich, pierwszym, który nie był duchownym. Zaproszono go do Bractwa, żeby nie zdradził, jakie anomalie znalazł w miejscu zdarzenia – na przykład, że ktoś był tam już przed nim.

– Ilu członków liczyło przeciętnie Bractwo? – spytał Mercer. Podobnie jak pozostali zorientował się już, że Erwin Puhl i Igor Bułgarin należeli do Bractwa.

– Zwykle nie więcej niż sześciu czy ośmiu. Im mniej osób wiedziało, tym większa była szansa na zachowanie tajemnicy. To właśnie Kulik określił prawdziwą naturę tego, czego strzegło Bractwo, i to on tuż przed tym, jak Niemcy najechały na Związek Radziecki, zaproponował zniszczenie ikon. Nie chciał, aby światu groził ten horror. o promieniowaniu wiedzano już dużo więcej, bał się, że fizycy mogliby zbudować z meteorytu bombę atomową. Wszystkie ikony, oprócz jednej, zostały zalane

betonem, wywiezione daleko w morze i zatopione. Złoto nie koroduje w słonej wodzie, będą więc tak leżały przez wieki. Jednocześnie Kulik wyliczył trajektorię odłamka meteorytu, który według naocznych świadków odbił się od atmosfery i zniknął. Następnym jego celem było znalezienie odłamka i upewnienie się, że nikt go nie odszuka. W tym czasie naziści rozpoczęli błyskawiczny podbój Związku Radzieckiego. Kulik został złapany, zanim ostatnia ikona z dalekiego opactwa, gdzie była ukryta, została załadowana na statek i zanim jeszcze zdołał zorganizować ekspedycję, by znaleźć pozostałe fragmenty.

– Które spadły tutaj?

– Tak. – Erwin przepłukał gardło kolejnym łykiem brandy.
– Naziści w końcu dowiedzieli się o brakującej ikonie Kulika i wysłali w głąb Rosji brygadę, by ją ukraść. W Staliningradzie zabezpieczyli też jego zapiski, w których były informacje o tym, gdzie spadł ostatni element Pięści Szatana.

Ciemne oczy Aniki błyszcząły.

– I wtedy rozpoczęli projekt „Pandora”, używając splądrowanego złota do zbudowania pojemników do przechowywania radioaktywnych materiałów, które znajdują. Gdy znaleźli odłamki meteorytu, wysłali Ottona Schroedera, by je wykopał z lodu.

Erwin czyścił okulary, kiwając potakująco głową.

– W tym czasie alianci regularnie latali nad Grenlandią, przewożąc materiały do budowy samolotów do Anglii.

– „Zaginiony pluton”, o którym wcześniej rozmawialiśmy, był jednym z takich transportów – dodał Mercer.

– Tak. Ciepło wydzielane przez kamienie wtopiło fragmenty w podłoże skalne. Z powodu tych patroli Niemcy nie mogli ryzykować kopania na powierzchni, więc dostali się tam od strony morza łodziami podwodnymi, znajdując w końcu jaskinię pod lodowcem; znajdowała się osiem kilometrów od miejsca upadku meteorytu. Jaskinia miała być pomostem przed wybudowaniem długiego tunelu poprzez lód i skałę, by dostać się do odłamków. – Erwin spojrzał na Anikę, która dalej trzymała otwarty dziennik. Nie musisz czytać zapisków Schroedera. Już je czytałem. Skończyli budować szyb wentylacyjny i przystań dla łodzi podwodnych i właśnie zaczęli wykopywać tunel, gdy Schroeder został ranny.

– Naprawdę? – spytał Mercer.

– Nikt tego nie wie, z wyjątkiem jeńca, którego znalazł Mercer w Camp Decade.

Coś, co powiedział Puhl, uderzyło Anikę. Uniosła głowę, a jej cienkie brwi wygięły się w łuki. Mówiła oskarżycielskim tonem.

– Kiedy czytałeś dziennik Schroedera?

– Niedługo po tym, jak pojechałaś zrobić z nim wywiad – odpowiedział wymijająco.

– Co to znaczy niedługo. – Rosła w niej złość, ponieważ była przekonana, jaką usłyszysz odpowiedź.

– Znaleźliśmy go w jego domu po tym, jak wypłoszyliśmy Ratha i jego neonazystowskich zbirów.

Anika wybuchła:

– Ci snajperzy to twoi ludzie? Ty skurwysynu! Przez cały czas tam byłeś i pozwoliłeś im zabić Schroedera. Przez ciebie

mnie postrzelono. – I wtedy wszystko stało się jasne. – To ty wszystko ukartowałeś. Ty pieprzony gnoju.

Sięgnęła w jego stronę, ale zaplątała się w swój śpiwór i przewróciła. Mercer ją podtrzymał. Unieruchomił jej ramiona nad głową, żeby się nie wyrwała. Była od niego niższa o trzydzieści centymetrów i o trzydzieści kilka kilogramów lżejsza, ale przez kilka chwil myślał, że go pokona. Jej siłą była furia, działała więc jak rozwścieczona bestia.

– Anika, uspokój się. Mercer prosił przez zaciśnięte z bólu zęby, bo go gryzła.

Wyrwała rękę i sięgnęła do jego twarzy. Jej palce zaciskały się jak szpony. Mercer odchylił głowę i poczuł, jak próbuje wyszarpać mu kawałek policzka. Wtedy się uspokoiła. Skuliła się. Mercer otworzył oczy skołowany, zastanawiając się, co ją powstrzymało. Kucharka Hilda stała nad nimi, rozcierając pięść. Rzuciła coś przez ramię do Erwina, by przetłumaczył.

– Wiedziała, że nie uderzysz kobiety, więc zrobiła to za ciebie. Hilda uśmiechnęła się z dumą do Mercera i puściła oczko.

– Danke – odpowiedział, sprawdzając, co z Aniką. Pod lewym okiem miała siniak. Przeniósł ją z powrotem na fotel, zapinając jej pas, by nie rzuciła się na Erwina, jak tylko się ocknie.

– Tak się składa, że ona ma rację. Jesteś sukinsynem. Dlaczego wydaje ci się, że masz prawo wplątywać niewinnych ludzi w swoje zadanie?

– Nikt nie jest bez winy. Bractwo Pięści Szatana przez cały wiek chroniło świat przed tym, o czym wiemy. Myślę, że za takie poświęcenie możemy angażować innych, jeśli ich potrzebujemy.

– Ale po co mieszaście w to Anikę i jej dziadka? Albo mnie?

– Najpierw odpowiem na drugie pytanie – stwierdził spokojnie Erwin.

– To nie my cię w to wciągnęliśmy. Ty i tak miałeś już lecieć na Grenlandię z Geo-Research. Dla nas to był łut szczęścia. Powiedzieliśmy o tobie Schroederowi jako o dodatkowym sprzymierzeńcu, gdyby coś poszło niezgodnie z planem. Masz reputację osoby bardzo kompetentnej.

Mercer pozostał sceptyczny, ale jeśli Erwin powiedział prawdę o jaskini i dziadku Aniki, to dlaczego miałby kłamać w jego sprawie?

– Nie znam tego Charlesa Bryce’a, o którym wspomniałeś wcześniej – ciągnął Puhl. – Myślę, że jego zaproszenie, byś dołączył do ekspedycji do Camp Decade, było szczere.

– Anika?

– Wystaliśmy do jej dziadka informacje, które miały zaprowadzić go do Schroedera, w nadziei, że ujawni projekt „Pandora” i stojącą za nim firmę Kohl. Dopóki nie pojechaliśmy za Aniką do domu Schroedera, nie wiedzieliśmy, że ktoś nas zinfiltrował. Gunther Rath, dyrektor do spraw projektów specjalnych w Kohl AG, dowiedział się w jakiś sposób o Schroederze i zjawił się tam przed nami. Podejrzewamy, że w wiedeńskim biurze dziadka Aniki był założony podsłuch. Razem z Igozem przepędziliśmy Ratha i jego grupę. To znaczy Igor i jeszcze jeden brat ich przepędzili, ja nie mam pojęcia o broni. Włamaliśmy się do domu Schroedera i znaleźliśmy jego dziennik. Przekazaliśmy go prawnikowi w Monachium, żeby ci wysłał. Operacja zaczęła się

sypać i baliśmy się, że gdy dotrzemy na Grenlandię, będziemy potrzebować twojej pomocy, zważywszy na brutalność Ratha. W tym czasie Anika zniknęła i nie mogliśmy jej ostrzec. Nie wiedziałem, co się z nią działo, aż do chwili, gdy usłyszeliśmy SOS z helikoptera. Nie zakładaliśmy, że komuś stanie się krzywda. Żadnego z nas miało tu nie być. Ekspedycja Geo-Research zostałaaby odwołana, gdyby Anika ujawniła to, co próbowaliśmy jej przekazać – zamilkł.

Mercer oparł się w fotelu, próbując poukładać sobie wszystko. Wiedział, że to zajmie chwilę, wiedział też, że może mu się wcale nie udać. To była niesamowita historia. Meteoryty, promieniowanie, tajne bractwa, Rasputin, naziści, neonaziści, łowcy nazistów i samolot pełen ludzi uwięzionych na lodowcu pomiędzy jakimś Guntherem Rathem a jego celem.

– Co ty o tym myślisz, Ira?

– Skoro skopaliśmy im tyłki w czasie II wojny światowej, możemy założyć, że Niemcy nigdy nie dotarli do odłamków meteorytu. Co znaczy, że są one tam na dole, odkąd sześćdziesiąt lat temu rozpoczął się projekt „Pandora”.

– Mów dalej.

– Zastanawia mnie, dlaczego ten cały Rath tak bardzo chce je znaleźć teraz. Już od dłuższego czasu nad tym pracują. Kohl AG rok temu kupiła Geo-Research, by prowadzić poszukiwania. Chciałbym wiedzieć, co się stało, że tak przyspieszyli. Masz jakiś pomysł, Erwin?

– Nie mam – przyznał.

– Chłopaki – krzyknął Marty – to było bardzo interesujące, ale nam w niczym nie pomaga. Przeżyliśmy jedną próbę zamordowania nas, ale wątpię, czy przeżyjemy następną, jeśli będziemy tu siedzieć.

– Musimy spróbować dostać się do szybu wentylacyjnego – powiedział Mercer, spoglądając na Puhla. – Rath wie, że Igor Bułgarin należał do Bractwa, ponieważ bardzo interesował się jego zwłokami. Myślisz, że wie, że ty też jesteś w to zamieszany?

– Nie zabili mnie w bazie, więc wątpię. Było tylko kilku braci, którzy nie byli Rosjanami, a Rath wie, że jestem Niemcem. Kiedy Igor organizował nasz pobyt tu, zmienił trochę moje dossier, by nie było wiadomo, że studiowałem w Moskwie, kiedy Niemcy Wschodnie były wasalem ZSRR. Rath nie mająk połączyć mnie z Bractwem.

Mercer pamiętał, jak Erwin upewniał się, czy nikt z Geo-Research ich nie słyszy, gdy na „Njoerdzie” opowiadał, skąd wie o alkoholizmie Igora. Jego zachowanie było uzasadnione.

– Coraz lepiej. Rath nie ma pojęcia, że wiemy o jaskini. Gdy znajdzie opuszczony samolot, założy, że poszliśmy w stronę wybrzeża, to byłby jedyny logiczny kierunek. Jeśli dotrzemy do szybu wentylacyjnego przed nim, możemy zaszyć się tam i czekać, aż porzuci poszukiwania. Nie może szukać w nieskończoność, ponieważ Geo-Research ma zobowiązania wobec zespołów naukowców dołączających do bazy za kilka tygodni. Do tego czasu wytrzymamy.

– Jak? – zapytał Marty. – Na miłość boską, jaskinia jest bardzo skażona.

– Nie, nie jest, a zwłoki ocalonego w Camp Decade to potwierdzają. Żył tam na dole przez dziesięć lat, jedząc zapasy zgromadzone przez nazistów, póki samotność albo szaleństwo nie zmusiły go do wyjścia.

– A skąd wiesz, że to nie nagły przeciek radioaktywnej substancji go stamtąd przegonił?

– Erwin powiedział, że rosyjscy wieśniacy narażeni na promieniowanie przeżywali ledwie kilka dni. Gdyby przyjął taką dawkę, nigdy by nie dotarł do Camp Decade.

– Okej, ale skąd pewność, że pokonamy Ratha? To jego firma wykopała ten przekłety szyb. Rotorstat zabiera ich tam pewnie właśnie w tej chwili.

– Wątpię. Zauważ, że zabrali cztery pojazdy śnieżne i land cruisera. Nie musieliby zabierać ze sobą tylu pojazdów, gdyby wiedzieli, gdzie jest ujście wentylacji. Muszą go szukać, a dzięki mapie, którą znalazłem w Camp Decade, my wiemy dokładnie, gdzie ono jest.

– Byłbyś dobrym detektywem. – To powiedziała Anika. Ocknęła się już i słuchała, nie wtrącając się.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokojony Mercer spytał prawie szeptem.

– Tak. Przepraszam za to – zwróciła się do Mercera i Erwina – Ja po prostu... Sama nie wiem. Przez chwilę było tego za dużo naraz.

– Miałaś prawo – odpowiedział Erwin. – Jest mi bardziej przykro, niż potrafię wyrazić.

Ira zeskrobał trochę śniegu ze ściany i zawinął go w chusteczkę, podając Anice. Z wdzięcznością przyłożyła go do spuchniętego oka.

– Kto mnie uderzył?

– Hilda, najlepszy niemiecki kucharz wojskowy. Jeśli jej sznycel wiedeński cię nie powali, to prawy sierpowy na pewno.

Przeszła na niemiecki i uśmiechnęła się do tęgiej kobiety.

– Przypomnij mi, żeby nigdy cię nie denerwować i nie wyrażać się źle o twojej kuchni.

– Już prawie północ – stwierdził Mercer. – Jeśli wyruszymy o świcie, będziemy musieli spędzić na lodowcu tylko jedną noc, nim dotrzemy do jaskini. Ja jestem wykończony. Zwykle w dni, kiedy mam katastrofy samolotowe, kładę się spać o dziesiątej.

Gdy Mercer był we wraku C-97, rozbitkowie spali daleko jeden od drugiego. Kiedy wrócił, przytulili się do siebie, tworząc dzięki jego sile zwartą grupę. Nie umknęło to jego uwadze. Cieszyło go to, bo tak samo, jak oni widzieli w nim przywódcę, on potrzebował ich wsparcia, by się nie poddawać. Wiele już razem przeszli, ale wiedział, że najgorsze przed nimi. Gdy układał się w swoim śpiworze, zauważył, że Anika leży przy jego boku, twarzą zwrócona w jego stronę.

– Anika – wyszeptał, a ona natychmiast otworzyła oczy. – Mogę cię o coś prosić? Hilda chyba się we mnie podkochuje. Mogłabyś mnie bronić?

Zdusiła śmiech.

– Mój bohater. – Nagle spowaźniała. – Jestem ci bardzo wdzięczna za to, co powiedziałeś, że mogłabym nas zaprowadzić do jaskini, ale myślę, że nie dam rady.

Mercer wiedział, jak dużo to wyznanie musiało ją kosztować. Było to widać w jej oczach. Wyzwanie, jakie zazwyczaj rzucała światu, wyparowało.

– Dlaczego?

Targały nią takie wątpliwości, że przestała wierzyć w to, co kiedyś uważała za swoją najważniejszą cechę.

– Kiedy jadę się wspinać albo przedzierać przez dżunglę, wydaje mi się, że jestem odważna – mówiła – ale ja tylko udaję. To nie jest prawda. Chciałabym, żeby tak było. W każdej chwili można wezwać przez radio helikopter ratunkowy, więc nie jestem w żadnym prawdziwym niebezpieczeństwie, chyba że zrobię coś głupiego. Tu jest inaczej. Życie ludzi zależy od tego, czy dotrzemy do jaskini. Nie mogę brać na siebie takiej odpowiedzialności. Oszukiwałam siebie, myśląc, że jestem odważna. Tylko udaję, jestem oszustką.

Wyciągnął rękę ze śpiwora i pogładził jej krótkie włosy.

– Anika, ledwie się znamy, a mogę powiedzieć, że jesteś jedną z najodważniejszych osób, jakie poznałem. Udowodniłaś już, że potrafisz zachować zimną krew w niebezpiecznej sytuacji. Dosłownie. Potrafisz twardo stąpać po ziemi i – dotknąć czerwonego śladu na policzku, który wydrapała – jesteś niesamowicie zdeterminowana. Dla mnie to jest definicja odwagi. Tylko głupcy się nie boją. Mądry człowiek będzie w miarę możliwości unikał niebezpieczeństwa, ale stawia mu czoło, gdy będzie musiał. Twoje

hobby jest rzeczywiście niebezpieczne, ale nie dzięki niemu jesteś odważna. Jesteś taka, ponieważ widzisz różnicę pomiędzy rzeczywistością a wyobraźnią. A gdy rzeczywistość ci dokopie, ty jej oddajesz. Nie będę ci mówił banałów w rodzaju „wiem, że dasz sobie radę”, bo tego nie wiem. Jednak wierzę, że dasz radę. Jak dla mnie, to wystarczy.

Powiedziała tylko „Dziękuję”, ponieważ żadne słowa nie mogły wyrazić jej wdzięczności.

– Proszę. – Mercer nie powiedział nic więcej, bo zdradziłby, jak bardzo chce ją pocałować. Anika zasnęła z uśmiechem na ustach, a on zastanawiał się, czy ona już wie.

NA LODOWCU

Tego ranka Mercer znalazł Marty'ego Bishopa nad grobami, które rozbitkowie wykopali, kiedy on badał wrak stratofreightera. Pozostali przygotowywali się do wędrówki, pakując wszystko od śpiworów przez dodatkowe ubrania, kuchenkę i butle z gazem po jedzenie – ile tylko mogli unieść. Było kilka sporów o rzeczy, które poszczególne osoby uważały za niezbędne – taśmy wideo dla ojca Marty'ego, dziennik Erwina Puhla czy nawet przepisy kulinarne Hildy. Starali się ograniczyć bagaż do minimum, ale i tak było tego dużo. Tylko Magnus, islandzki pilot, który miał złamaną rękę, nie musiał nic dźwigać. Mercer niósł za niego największy pakunek – prawie trzydzieści kilogramów.

– Prawie jej nie znałem – powiedział Marty, gdy zorientował się, że Mercer stoi za nim. Nagrobek Ingrid zrobiono z kawałka metalu, na którym wy drapano jej imię.

– To nie ma znaczenia. Na kilka dni stała się częścią twojego życia. Wystarczająco długo, by ją opłakiwać.

– My się tylko bawiliśmy, wiesz. To by się skończyło po powrocie na Islandię. Otarł policzek rękawiczką. – Zostawiłbym ją. Teraz nie mogę.

– Nie, nie możesz – zgodził się Mercer. – Zostanie z tobą na długo. Nic nie jest takie niezobowiązujące, jak chcielibyśmy. Zwłaszcza ludzie.

– Nigdy nie zwracałem sobie głowy myśleniem o konsekwencjach.

– Wydaje mi się, że przez jakiś czas nie będziesz myślał o niczym innym. – Mercer położył mu dłoń na ramieniu. – Zostawię cię jeszcze na chwilę. Potem musimy ruszać.

– Dzięki.

Mgła się podniosła, ale ślady, które Mercer zostawił, idąc do C-97, niemal już zmiotł uparty grenlandzki wiatr. To go ucieszyło. Dzięki temu jutro nie będzie już śladu po ich wędrówce, żadnego tropu dla Ratha. Dotarli do stratofreightera około południa i spędzili przy nim kilka godzin, starając się zakopać wszystkie odśnieżone odłamki. Nikt nie chciał, żeby Rath odkrył prawdę o majorze Jacku Delaneyu.

Mercer, ponieważ znał drogę, prowadził ich do samolotu. Teraz, gdy wyruszyli w długą drogę do szybu wentylacyjnego, każdy musiał przez pewien czas iść na przedzie. Wydeptywanie ścieżki w głębokim śniegu było wyczerpujące i tylko on i Ira byli w stanie robić to bez odpoczynku dłużej niż godzinę. Kiedy nie szedł pierwszy, Mercer dołączał do Marty'ego, który pomagał Magnusowi. Anika sporządziła dla pilota taką mieszankę środków przeciwbólowych, żeby pozostał przytomny, ale jednocześnie nie czuł bólu i mógł iść. Był młodym i silnym mężczyzną i choć miał rękę na temblaku, dotrzymywał im kroku.

Dzięki odpowiednim ubraniom nie odczuwali zimna. Wykańczało ich powoli zmęczenie. Mercer obawiał się, że z powodu swojej tuszy największe problemy będzie miała Hilda, ale to Erwin potrzebował wsparcia. Do piątej przeszli zaledwie jedną trzecią trasy, a tempo, które narzucili sobie na początku, znacznie się zmniejszyło. Mercer zakładał, że na zewnątrz spędzą tylko jedną noc, ale najwyraźniej nie zapowiadało się na zrealizowanie tego planu.

Zdecydował, że zamiast iść aż do utraty sił, lepiej będzie już teraz zacząć szukać miejsca na nocleg. Był akurat na przodzie, skierował więc grupę w stronę poszarpanych szczytów gór po prawej, mając nadzieję tam znaleźć osłonę przed wzmagającym się wiatrem. Nie liczył raczej na jaskinię, ale nawet załom skalny powitałby z wdzięcznością.

Minęła kolejna godzina męczącego marszu, nim udało im się znaleźć występ w kształcie litery V, który osłoniłby ich od podmuchów. Zbierające się burzowe chmury sprawiły, że niebo pociemniało jak o zmierzchu. Biorąc przykład z psów zaprzęgowych, od zawietrznej strony skały zaczęli kopać w śniegu miejsca do spania.

– Nie tak – ostrzegła Anika. – Musimy dobrać się w pary, żeby ogrzewać się nawzajem. Jeśli tego nie zrobimy, nie przeżyjemy tej nocy.

Zdjęła przyciemniane gogle, a kiedy grupa dobierała się w pary, jej wzrok napotkał spojrzenie Mercera. Było w nim zaproszenie, ale miała zobowiązania wobec swojego pacjenta.

– Magnus, będziesz ze mną.

Twarz pilota była poszarzała z bólu, ale uśmiechnął się bezczelnie.

– Wiedziałem, że to złamanie na coś się przyda.

Anika powiedziała coś do Hildy i ta zaczęła powiększać swój dołek tak, by zmieścili się do niego wszyscy troje.

– Przypilnuję jej, żeby się do ciebie nie zakradła, kiedy zasniesz – wyszeptała do Mercera kucharka.

Pomimo śnieżnej izolacji noc i tak była przeszywająco zimna. Żadne z nich nie zasnęłoby, gdyby nie obezwładniające zmęczenie. Po północy wiatr zmienił kierunek i odarł ich schronienie z ochronnej warstwy śniegu. Wygramolili się ze swoich okopów na drugą stronę skalnego przepierzenia, by wykopać sobie nowe. Tym razem przygotowali sobie jedno duże legowisko i spali stłoczeni niewygodnie jedno przy drugim.

O świcie kilka minut zajęło im wydostanie się na powierzchnię spod sześćdziesięciu centymetrów śniegu, który zasypał ich przez noc. Po skromnym śniadaniu, na które złożyły się proteinowe batoniki i śnieg stopiony na jedynej maszynie, wyruszyli. Wiatr wiał im w plecy. Ślady znikwały za nimi niczym smuga kondensacyjna odrzutowca, rozmyte przez bezustanne podmuchy. Kierując się na północ, godzinami maszerowali bezmyślnie za osobą z przodu. Był to dowód wiary w Anikę jako nawigatora i Mercera jako lidera.

Dlatego właśnie Mercer wymagał najwięcej od siebie i gdy śnieg nagle stawał się głębszy albo trasa trudniejsza, stawał na miejscu prowadzącego. Nikt poza nim nie dźwigał odpowie-

działności, która ciążyła mu znacznie bardziej niż bagaże na jego ramionach.

O jedenastej doszli do pierwszego naprawdę trudnego odcinka trasy. Lód poprzecinany tu był wypiętrzeniami, na które musieli się wspinać, i głębokimi na co najmniej pięć metrów szczelinami. Niektóre mogli przeskoczyć, inne musieli jednak pokonać, schodząc na dno i wspinając się po drugiej stronie, za każdym razem asekurując Magnusa dodatkowymi linami. Większość ekspedycji polarnych zabierała ze sobą lekkie drabiny przeznaczone do pokonywania takich przeszkód, oni nie mieli jednak tego luksusu. Tempo spadło o połowę.

Nikt nie narzekał. Ich ból i frustracja były widoczne przez cały czas, ale nikt nie mówił, że ma dość. Tych pięciu mężczyzn i dwie kobiety, którzy poznali się ledwie kilka dni temu, gotowych było znieść dla pozostałych każdą niedogodność i podjąć każdy wysiłek.

Nie zdawali sobie wcześniej sprawy, że najbardziej będzie im doskwierać pragnienie. Z wysiłku zlanii byli potem, co samo w sobie stanowiło niebezpieczeństwo, a do tego każdy oddech oznaczał utratę bezcennej wilgoci, ponieważ powietrze było tu suche jak na pustyni, pozbawione nawet śladu wilgoci. Menażki trzymali blisko ciała, by nie zamarzały, ale co kilka godzin i tak musieli zatrzymywać się, by roztopić lód na kuchence i uzupełnić zapasy. Gdy znaleźli schronienie na noc, Mercer ocenił, że nie przeszli jeszcze dwóch trzecich wyznaczonej trasy.

Najmocniej skutki mrozu odczuwał Erwin Puhl. Wiatr znalazł szczeliny w jego masce ochronnej i Erwin miał odmro-

żone policzki. Anika kazała mu zdjąć buty. Kilka palców było nienaturalnie białych.

– Nie zgrywaj bohatera – powiedziała rozzłoszczona, starając się mu pomóc. – Jeśli czujesz, że marzną ci nogi, powiedz, to zatrzymamy się, żebyś mógł je rozgrzać. Nie damy rady cię nieść, jeśli odmrozisz sobie stopy.

– Ale i tak idziemy za wolno – odparł Erwin przez zaciśnięte zęby, bo ból rozrywał mu palce. – Nie chcę was zawieść.

– Zawiedziesz, jeśli będziemy musieli cię zostawić – warknęła Anika, rozcierając mu stopy.

Wysoko nad nimi zachmurzone od dwóch dni niebo w końcu zaczęło się przejaśniać. Noc eksplodowała oszałamiającym pokazem zorzy polarnej, tańczącymi draperiami kolorowych świateł nie z tego świata. Mercer wiedział, że z naukowego punktu widzenia te kolorowe wstęgi były wynikiem zderzenia się wiatru słonecznego z określonymi cząsteczkami atmosfery – czerwone od azotu, fioletowe od zjonizowanego azotu i zielone od tlenu – ale to ich piękno skłaniało go do gapienia się w niebo wraz z pozostałymi. Zorza wydawała się poruszać jak żywe stworzenie.

Oglądali to przedstawienie przez pięć minut, kiedy Mercer zorientował się, że wiatr ustał.

Pitaraq to wiatr „wywołany grawitacją. Zrywa się z południa i szybko cichnie. Masz wtedy jakieś dziesięć minut, by znaleźć schronienie”, Mercer usłyszał w głowie głos Bułgarina.

– Musimy się natychmiast ukryć! – krzyczał Mercer.

Tak jak poprzedniej nocy, gdy wiatr zmienił kierunek, w chwili uderzenia pitaraqa ich kryjówka byłaby po złej stronie

grzbietu. Mercer zostawił gotujące się jedzenie na kuchence, chwycił swój pakunek i przeskoczył na drugą stronę skały. Wylądował w głębokim śniegu. Natychmiast zaczął kopać, ręcznie przerzucając zwały śniegu w szaleńczym tempie. Kilka sekund później dołączyli do niego pozostali. Mercer nie tracił czasu na tłumaczenia. Jego wariackie zachowanie przekonało wszystkich. Przekopywali się przez śnieg, kierując tunel w stronę skalnej osłony. Mercer nie wiedział, jak głęboka ma być ich kryjówka. Nawet gdy u wylotu tunelu usłyszał pierwszy delikatny powiew wiatru, dalej kopał.

Włączył latarkę. Błyszczące kryształki śniegu lśniły jak klejnoty. Przez moment poczuł się bezpieczny, zakopany w śnieżnym kokonie. Oddech miał urywany, a dłonie przemrożone i zdrętwiały. Kopał tunel bez rękawiczek. Włożył je teraz, rozcierając dłonie, by przywrócić krążenie.

– Słyszycie mnie? – Masa śniegu tłumiła jego głos.

– Tak. – Głos Aniki dochodził, jakby znajdowała się wiele metrów dalej, choć na pewno tak nie było.

– Dasz radę tu przyjść?

– Tak, widzę przez śnieg światło twojej latarki.

To był ostatni głos, jaki Mercer usłyszał tej nocy, choć Anice udało się do niego przedostać, a kilka chwil później dołączyli do nich Ira i Erwin. Metr nad ich głowami miliony ton powietrza, które przesuwwały się na północ, uformowały front atmosferyczny i z dziką furią runęły z powrotem. Przejście od ciszy do huraganowej wichury trwało kilka sekund. Śnieg i lód, które

nagromadziły się przez lata, zostały zmiecione w ciągu kilku chwil, odstawiając skały.

Odgłos przypominał jęk potępieńca, drażniąc nerwy jak prąd elektryczny. Byli osłonięci grubą warstwą śniegu, ale i tak nie mogli przekrzyczeć ogłuszającego świstu. Anika ukryła się w ramionach Mercera. Przyłgnęła do niego, jakby mógł ją osłonić w jakiś sposób, gdyby wiatr przedarł się do środka. Ira leżał wciśnięty z drugiej strony i po jego ruchach Mercer wiedział, że także trzyma kurczowo kogoś z pozostałych. Marty leżał po drugiej stronie Aniki zamknięty w panicznym uścisku Hildy.

Żadna siła na świecie nie mogła podtrzymywać tak wielkiej energii przez dłuższy czas. Mercer był pewien, że wiatr traci na sile. Szum jakby cichł.

Ledwie słyszał płacz Aniki.

I wtedy dopiero uderzył prawdziwy huragan. Pierwszy podmuch był jedynie zapowiedzią właściwego pitaraku. Front wysokiego ciśnienia zachowywał się jak woda, sunąc po lodzie i zmiatając wszystko po drodze z prędkością prawie dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Szarpana i atakowana powierzchnia lodowca pokryła się przesuwającymi się zwałami śniegu, lodu i skał. Czuli, jak ziemia drży, gdy wielkie kawały lodu rozbijały się o ochraniającą ich skałę. Lód pękał z hukiem artyleryjskich salw. Mercer zasłonił uszy rękawiczkami, próbując chronić je przed rykiem dziesięciu tysięcy parowych gwizdków naraz.

Trwało to z niezmienną gwałtownością przez godzinę. I następną. I kolejną. Wichura ryczała tuż nad nimi z dziką gwał-

townością; nigdy nie słyszeli czegoś takiego. Mercer wiedział, że jeśli wiatr się do nich przedostanie, wymiecie ich z kryjówek i rzuci wiele kilometrów dalej, zanim zorientowaliby się, co się dzieje. Śmierć przyszlaby szybko. W piątą godzinę burzy Mercer zaczął się zastanawiać, czy nie byłaby lepsza od obezwładniającego strachu.

W pewnej chwili usłyszał Anikę. Mamrotała, być może modlitwę. Najważniejsze było to, że jej głos znów przebijał się przez wiatr. Mercer odetchnął z ulgą. Uniósł jej twarz. Miała szeroko otwarte oczy, ale było widać w nich determinację.

– Wiatr cichnie.

Pokiwała głową, chociaż ledwie go słyszała. Nie przywieriała już tak rozpaczliwie do Mercera, po prostu przytuliła się do niego. W innych okolicznościach sprawiłoby mu to ogromną przyjemność.

– Myślisz, że możemy zaryzykować i wykopać się już? – spytał Ira, nim Mercer zdążył zadać to samo pytanie. – Erwin leży z drugiej strony i okazuje się, że ma klaustrofobię. Wolałbym tu nie być, kiedy się ocknie.

– Co mu się stało?

– Jakoś się trzymał, ale odbiło mu godzinę temu. Musiałem zastosować chwyt duszenia.

Niekonwencjonalne rozwiązanie zrobiło na Mercerze wrażenie.

– Nauczyłeś się tego w marynarce?

Uśmiechnął się krzywo w świetle latarki.

– Tak się składa, że tak. Obecny kapitan okrętu podwodnego „Tallahassee” zawdzięcza mi swoją karierę. Pomogłem mu pozbyć się strachu przed zamkniętymi pomieszczeniami.

Pitaraq uspokajał się, a Ira i Mercer zaczęli wygrzebywać się z bezpiecznej kryjówki na powierzchnię, ugniatając przywiany śnieg za siebie i na boki, żeby poszerzyć jamę. Po dziesięciu minutach kopania mogli już klęczeć wyprostowani, a po dwudziestu – stanąć.

– Czuję się jak cholerny kret – rzucił Ira.

– Jeszcze kilka dni bez kąpieli, a będziesz też śmierdział jak kret. – Mercer miał wrażenie, że są już blisko powierzchni. – Nie wiesz, co z Mangusem?

– Zgubiłem go tuż po tym jak zaczęła się burza.

– Sprawdź, czy gdzieś go tu nie ma, ja będę kopał dalej.

Według zegarka Mercera było piętnaście po trzeciej nad ranem, gdy ściana tunelu zawaliła mu się na twarz. Przedał się przez śnieg i nagle znalazł się na zewnątrz. Stał, strzepując z siebie śnieg jak wychodzący z wody pies. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak ciepło zrobiło się w tunelu, dopóki nie odetchnął arktycznym powietrzem. Rozejrzał się dookoła w przyćmionym świetle ukrytego za chmurami księżyca. Wyglądało, jakby nic się nie zmieniło, ale warstwa śniegu, która ich przykryła, była znacznie grubsza i sięgała dalej. Poza tym jednak zdmuchnięty przez wicher śnieg został zastąpiony identycznym, przyniesionym z dalszej części wybrzeża. Nawet w obliczu tak straszliwej siły jak pitaraq, Grenlandia pozostała taka sama.

Następny wyszedł Erwin, gramoląc się jak potwór z filmidła z lat pięćdziesiątych. Za nim wyszli pozostali. Ostatni był Marty. Przez ostatnią godzinę, gdy Mercer wykopywał przejście, wszyscy nerwowo szukali Magnusa. Mercer obawiał się najgorszego.

Sto metrów na południe leżała druga skała podobna do tej, która dała im schronienie. Od nawietrznej była całkowicie oczyszczona ze śniegu. Mercer wyłowił ze swojego bagażu lornetkę, ale było zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć. Kazał Irze pobierać ich ekwipunek, a sam zaczął bardziej płynąć, niż iść przez śnieg w stronę wzniesienia. Dwadzieścia metrów od głazu zauważył to, co zostało z pilota.

Wiatr wyciągnął Magnusa z kryjówki jak drapieżnik dopadający zdobycę i rzucił nim o skałę. Pęd powietrza zadziałał jak piaskarka, odzierając go z większości ubrań i części skóry, tak że ciało otaczała kałuża zamarznętej krwi. Już z daleka Mercer widział, że siła uderzenia strzaskała czaszkę pilota.

Wrócił do pozostałych zgromadzonych przy wejściu do tunelu i poinformował ich, że pilot zginął podczas zamieci. Resztę nocy przespali w kryjówce. Tym razem Mercer nie szukał żadnego uzasadnienia, by Anika nie spała w jego ramionach. To było zbyt dobre, by z tego zrezygnować. Odpłynął, czując jej pocałunek na policzku i słysząc jej głos.

– Uratowałeś sześcioro ludzi. Nie myśl o tym jednym, którego nie udało się ocalić. – Wiedziała, że będzie się obwiniała o śmierć Magnusa.

Niebo było jeszcze obsypane gwiazdami, kiedy opuścili bezpieczne schronienie. Po ich twarzach było widać, że większość

pogodziła się ze śmiercią Magnusa. Zamiast rozwodzić się nad porażką, czerpali siłę z tego, że niegościnna lodowa wyspa pokazała im swoje najgorsze oblicze, a oni mimo wszystko przeżyli. Mieli do przejścia jeszcze dwadzieścia kilometrów.

Tuż przed wymarszem Marty poprosił Mercera na bok.

– Gdy uderzył wiatr, sprawdzałem, czy złapiemy sygnał. Udało mi się utrzymać plecak, ale telefon... Przepraszam.

Mercer się nie odezwał. Nic, co by zrobił czy powiedział, nie cofnęłoby czasu. Właśnie stracili jedyny środek komunikacji ze światem, bez telefonu ich położenie było znacznie gorsze. Nie wystarczyło już unikać Ratha. Teraz będą musieli jeszcze wrócić do cywilizacji o własnych siłach.

Anika naprowadziła ich na poprzedni kurs i kontynuowali wędrówkę. Bez osłony chmur temperatura drastycznie spadała. Każdy oddech przypominał łykanie kwasu. Powietrze mroziło płuca i powodowało krwotoki z nosa, jeśli próbowało się oddychać bez zabezpieczającej maski na twarzy. Mercer musiał ciągle obracać szal, gdy tylko materiał zatykał się zamarznąłą śliną i parą z ust.

– Gdzie to globalne ocieplenie, które nam obiecano? – jęczał przy obiedzie Ira.

Teren stał się równy, płaski, ułatwiając im marsz. Przyspieszyli trochę, ale miało to swoją cenę. Zaczęły ich boleć nogi. Bez przerwy poprawiali ubrania, ponieważ zimno znajdowało najmniejsze szpary i kąsało ciało. Mocz oddawali, gdy dłużej już nie mogli wytrzymać.

Jego humor i pozytywne nastawienie pomagały pokonać zmęczenie.

Według wyliczeń Mercera o czwartej po południu byli niecały kilometr od szybu. Doszli do miejsca, gdzie góry przedzierały się przez lodowiec u początku fiordu, który zauważył z kokpitu DC-3. Góry – a właściwie nagie wzniesienia – miały jakieś trzysta metrów i były zniszczone przez przesuwający się lodowiec, miały jakby blizny. Mercer nagle rzucił się na ziemię, krzycząc, by pozostali również tak zrobili.

Gdyby niebo nie było czyste, nigdy by nie zauważył plamki na horyzoncie. Rotorstat spokojnie sunął na północ. Biorąc pod uwagę przejrzystość polarnego powietrza, sterowiec musiał być jakieś osiem kilometrów od nich.

– Zakopcie się. – Mercer jak foka na plaży zaczął przysypywać się śniegiem, starając się ukryć czerwoną kurtkę i zielony plecak. Serce boleśnie przyspieszyło i musiał zwilżyć sobie wyschnięte usta garścią śniegu. Jezu, było blisko.

Zerknął przez ramię i upewnił się, że wszyscy go posłuchali. W kilka sekund zamienili się w sześć nieprzykuwających uwagi górów śniegu. Nie zaryzykował użycia lornetki, ponieważ światło odbiłoby się od soczewek jak latarnia morska. Sterowiec minął miejsce, w którym Mercer lokalizował szyb wentylacyjny, i poleciał dalej na północ. Wyglądało więc na to, że Rath rzeczywiście nie zna dokładnego położenia jaskini. Przesuwali swoją drugą bazę daleko na północ. To dawało Mercerowi czas, którego tak desperacko potrzebowali.

– Na szczęście, pogoda do tej pory była parszywa – powiedział, gdy tylko sterowiec zniknął za wzniesieniem. – Opóźniło to ich tak samo jak nas.

– Jak myślisz, ile mamy czasu? – spytała Anika, strzepując śnieg z jego pleców.

– Nie wiem – odpowiedział z roztargnieniem, wpatrując się w punkt, w którym zniknął rotorstat. – Na pewno nie tyle, ile bym chciał.

– Myślę, że sprowadzą tu ze trzy pojazdy śnieżne i postawią przynajmniej jeden barak – ocenił Ira. – Cztery loty tam i z powrotem, po sześć godzin w powietrzu i godzina na załadunek. To trochę ponad dwadzieścia cztery godziny, jeśli będą latać bez przerwy.

– Albo połowę tego, jeśli udało im się coś przewieźć, zanim uderzył pitaraq – zauważył Mercer.

Pośpiesznie wznowili marsz. Mercer prowadził i narzucił mordercze tempo. Nogi bolały go straszliwie od przecierania szlaku dla swoich ludzi, a jednak prawie truchtał. Wyglądał sterowca i obserwował ukształtowanie terenu. Góry były jak sznur koralu oddzielający lodowiec od morza. Kiedy okrążyli kolejne wzniesienie, spękane usta Mercera ułożyły się w podstępny uśmiech.

– Anika, masz jeszcze tę mapę?

– Tak. – Spójrz na nią i powiedz mi, co widzisz nad punktem X.

– Wygląda na czyjś profil. Człowieka z dużym nosem.

– Takim jak na zboczu tej góry? – Mercer wskazał palcem kształt wycięty w skale przez wieki erozji. Rzeczywiście, wyglądał jak profil człowieka. Usta były nieproporcjonalne, ale nos wyglądał identycznie, podobnie jak głęboko osadzone oczy. Rzeźba skalna wznosiła się ponad lodowcem jak wartownik.

– Mój Boże – westchnęła zdumiona Anika.

– To ostatni element układanki – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ten rysunek od początku mnie zastanawiał. Teraz wiem, o co chodzi. W ten sposób więźniń chciał pokazać nam, gdzie dokładnie mamy patrzeć.

– Jeśli użyjesz wyobraźni, możesz nawet pomyśleć, że to żydowski profil.

– Jeśli chodzi ci o nos, to paskudny stereotyp.

– Jestem Żydówką. Nie przeszkadza mi to. Powinieneś zobaczyć nochał mojego dziadka – Anika uśmiechnęła się do niego. – Myślisz, że szyb wentylacyjny znajduje się poniżej twarzy?

– Wkrótce się dowiemy. – Zanim Mercer pozwolił im iść dalej, sprawdził licznikiem Geigera poziom radioaktywności. Szedł pierwszy, zerkając na odczyty. Pozostali posuwali się daleko za nim. Obawiał się, że lada moment licznik zwariuje, ale jak dotąd tylko popiskiwał.

Dziewięćdziesiąt metrów od wznoszącej się przed nimi góry licznik zaczął tykać trochę szybciej. Mercer gestem dłoni zatrzymał pochód i sprawdził, jak daleko zawędruje wskazówka. Poziom radiacji był nieco wyższy niż w C-97, ale spędzenie tu kilku tygodni nie będzie niebezpieczne, o ile żadne z nich nie będzie się później przez jakiś czas badało rentgenem.

Promieniowanie przypominało mu metan w kopalniach węgla – niewidzialnego zabójcę. Nie było innego sposobu na wygranie z metanem jak... unikanie go.

Szedł powoli. Śnieg u podnóża góry zamienił się w sięgającą kostek breję. Zastanawiał się, jak blisko tego miejsca dotarł Stefansson Rosmunder pięćdziesiąt lat temu. Przypuszczał, że musiał być bardzo blisko, skoro został napromieniowany tak bardzo, że wkrótce umarł. Nie znając czasu połowicznego rozpadu ani wskaźnika rozproszenia pozaziemskiego pierwiastka, Mercer poruszał się ostrożnie, jak gdyby szedł po polu minowym.

Tik. Tik. Tik, tik, tik. Tiktiktik.

Mercer spojrział na licznik Geigera.

Dwadzieścia pięć radów – jedna czwarta skażenia, które wywołałoby chorobę popromienną albo osiem razy więcej niż człowiek wchłania w sposób naturalny z otoczenia w ciągu roku. Przez moment będą bezpieczni, ale każda spędzona tu chwila zwiększała ryzyko zachorowania w przyszłości na raka.

Mercer nie widział gdzie źródła promieniowania. Na zboczu góry nie było krateru po uderzeniu meteorytu. Nie było też widać szybu wentylacyjnego Ottona Schroedera ani hałd wykopanej skały. Spojrział w górę i zobaczył, że jest jeszcze dziesięć metrów na lewo od skalnej twarzy. Skręcił, próbując nie zwracać uwagi na tykanie licznika. Wiedział, że jest już blisko. Lód był tu jakby podgrzewany od dołu. Erwin mówił, że kawałki meteoru, które trzymali rosyjscy wieśniacy, potrafiły roztopiać śnieg.

Nagle ziemia pod nim otworzyła się z wilgotnym młaśnięciem i bez ostrzeżenia połknęła go. Mercer spadł trzy metry w dół, wylądował na plecach w małej lodowej jaskini. Był to przedsionek wybudowanego przez nazistów szybu wentylacyjnego. Przed nim znajdował się długi wykop prowadzący w głąb lodowca. Przerazenie, które wstrzymało mu tętno, ustąpiło podziwowi, gdy zaczął się rozglądać. Nie czuł nawet bólu po upadku.

I wtedy zauważył ciało.

Było w stanie rozkładu, właściwie sam szkielet ubrany w szare szmaty ozdobione mosiężnymi guzikami, odznakami i medalami. Poznał insygnia na mundurze trupa. To był marynarz niemieckiej Kriegsmarine pływający na Ubootach. Gdyby Mercer potrzebował jeszcze jakichś dowodów na to, że opowieść Erwina jest prawdą, właśnie je znalazł. Ale nie to go teraz zastanawiało. Ważniejsze było to, co leżało obok siedzącego trupa: sześćdziesięciocentymetrowe kwadratowe pudełko z czystego złota oznakowane trzymającym w szponach swastykę orłem Trzeciej Rzeszy.

– Ożesz ty – westchnął, a po skórze przeszły mu ciarki. Naziści nazwali operację projektem „Pandora”. Mercer patrzył właśnie na prawdziwą puszkę Pandory, której zawartość była tak samo niebezpieczna jak tej mitologicznej.

– Mercer, nic ci nie jest? – krzyknęła zaniepokojona Anika.

– Wszystko w porządku, nie wchodźcie tu – odkrzyknął.

Licznik Geigera wyłączył się podczas upadku. Mercer włączył go z powrotem. Na szczęście pokazał taką samą dawkę,

co przed niespodziewanym upadkiem. Przytknął licznik do puszki, a potem do zwłok. Okazało się, że źródłem radiacji było ciało marynarza, a nie pojemnik Pięści Szatana. Odczyt był zdecydowanie wyższy niż w przypadku człowieka ocalonego w Camp Decade. Oznaczało to, że ten mężczyzna otrzymał o wiele większą dawkę napromieniowania, która spowodowała śmierć w kilka minut, a nie tygodni.

Ale co ze Stefanssonem Rosmunderem i ludźmi z C-97, zastanawiał się Mercer. Jak bardzo zostali skażeni? Czy ich śmierć spowodowało przebywanie obok radioaktywnych zwłok, czy sam meteoryt? Rosmunder przeżył sześć miesięcy, więc Mercer przypuszczał, że to kontakt z napromieniowanymi zwłokami spowodował jego chorobę. Zważywszy z kolei na krwotoki lotników, uznał, że marynarz musiał otworzyć puszkę, zabijając siebie i załogę.

Dlaczego po dziesięciu latach dopuścił się morderstwa i samobójstwa? Szaleństwo? Desperacja?

Dotknął złotej skrzynki, która okazała się ciepła. Zdał sobie sprawę, dlaczego szyb nie był bardziej przysypany. Śnieg w okolicy topniał, ale zostawało go wystarczająco dużo, by zakryć wejście do tunelu. To dlatego wylotu szybu nie zasypały dziesiątki metrów śniegu. Dopiero jego dodatkowy ciężar zaburzył równowagę między arktycznym zimnem a radioaktywnym ciepłem, odsłaniając szyb wentylacyjny. Z czasem, gdy promieniowanie meteorytu by się zmniejszało, lodowiec zaplombowałby tunel na zawsze.

Potrząsnął skrzynką i zauważył, że zawartość, choć bardzo ciężka, nie była ciałem stałym. Starając się utrzymać równowagę, wepchnął skrzynkę w zwłoki, przyciskając kości do ściany, częściowo chroniąc pomieszczenie przed śmiertelnymi promieniami. Wskazówka licznika wyraźnie wskazywała mniejszą wartość. Wyciągnął z plecaka koc termiczny i narzucił go na skrzynkę, by zniwelować ciepło, jakie wytwarzała. Zamierzał użyć wszystkich koców, jakie mieli, by jeszcze bardziej odizolować ciepło wytwarzane przez pojemnik.

– Hej, tam na dole, co znalazłeś? – krzyknął Ira.

– Szczątki niemieckiego marynarza i część jego złotego kompletu podróżnego. Rzucicie mi linę?

– Za sekundę będziesz na górze.

Gdy wydostał się na powierzchnię, Mercer przebrał się w suche spodnie i kurtkę, które zabrali na wszelki wypadek, i opowiedział, co znalazł w jaskini. Myśl o znalezieniu się obok napromieniowanych zwłok wywoływała ciarki nawet po tym, jak wytłumaczył im, że nie będą narażeni na niebezpieczną dawkę. Wszyscy bali się napromieniowania podobnie jak on.

Zamknięcie wejścia do tunelu i usunięcie śladów ich obecności zajęło im pół godziny. Po przykryciu puszek Pandory, jak nazywał ją Mercer, kocami termicznymi, wejście do jaskini powinno zamarznąć w ciągu kilku godzin. Rath będzie potrzebował tygodni i szczęścia, by znaleźć jaskinię. Nie zabraknie mu na pewno ani jednego, ani drugiego, myślał posępnie Mercer.

Po kolei opuścili się do przedsionka i w końcu na górze pozostał tylko Mercer. ZGARNAŁ śnieg przy wejściu do tu-

nelu, zostawiając otwór, w którym ledwo się mieścił. Ostatni raz spojrzął na zachodzące słońce i wskoczył do środka. Włączyli już latarki, a ich światła nikły we wnętrzościach lodowca.

– Gotowi? – spytał dziarsko, chcąc rozwiać ich obawy.

– Mam złe przeczucia – mruknął Marty, patrząc w dół piekielnego szybu.

– Szlag mnie trafia, kiedy słyszę ten tekst w filmie. – Mercer zatrzymał się i odwrócił, podnosząc drwiąco brwi. – Marty, czy wydaje ci się, że ktokolwiek z nas ma dobre przeczucia przed wejściem do wielkiej nazistowskiej rury kanalizacyjnej, która prowadzi do radioaktywnej komnaty, wypełnionej Bóg wie czym?

Zaczęli schodzić w nieznanne.

SIEDZIBA GŁÓWNA KOHL AG, HAMBURG, NIEMCY

Klaus Raeder odczekał chwilę, zanim odpowiedział na pytanie Reinhardta Wurmbacha. Rozprostował palce i położył dłonie na blacie stołu, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu odezwał się krótko:

– Nie.

– Nie, nie zgadzasz się na zawarcie ugody i zapłacenie dwustu dwudziestu pięciu milionów marek, czy nie, nie będziesz się przeciwstawiał zaoferowaniu im dwustu milionów, które wcześniej obiecałeś?

– Nie w obydwu przypadkach – odpowiedział Raeder. Widok nabrzmiałych żył na czole Wurmbacha sprawiał mu przyjemność. – Powiedz prawnikom, że weźmiemy pod uwagę sto siedemdziesiąt pięć milionów.

– Do diabła, Raeder, co ty wyprawiasz? – prawnik nawet nie starał się ukryć wściekłości – Na ostatnim spotkaniu zarządu zgodziliśmy się, że zapłacimy tych dwieście milionów i uznamy się za szczęśliwców. Po co komplikować sprawę przez przedłużanie negocjacji z Żydami?

– Ponieważ naszym obowiązkiem jest zapłacić tylko tyle, ile jest absolutnie konieczne.

– A co z naszą moralną odpowiedzialnością? – zapytała doradca Reinhardta, Katrine Groener.

– Nasi udziałowcy za to nam nie płacą – odpowiedział Raeder zirytowany, że kobieta zadaje mu tak idiotyczne pytanie. – Trudno, jeśli urazimy czyjeś delikatne uczucia, ale to jest biznes.

– Decyzja, która kosztuje firmę – nalegała Katrine. – Nasze rosnące wydatki na marketing i reklamę jeszcze nie zatamowały odpływu klientów. Dodatkowo w zeszłym tygodniu wiedzieliśmy, jak NATO podało w wątpliwość decyzję o powierzeniu Kohl AG kontraktu na budowę komputerów do samolotów Eurofighter, jeśli szybko nie zawrzemy ugody i nie zapłacimy.

Raeder starał się zachować spokój, chociaż był w szoku, kiedy tydzień temu znajomy z kwatery głównej NATO w Brukseli zadzwonił z poufną informacją. Obecnie o tej transakcji otwarcie dyskutowano we wszystkich europejskich stolicach. Zwłaszcza Francuzi naciskali na NATO, aby odebrać kontrakt Kohl AG, firmie która, jak krzyczeli, musiała zadośćuczynić za swoją nazistowską przeszłość. Jak na ironię firma elektroniczna z Tuluzy, która miała przejąć kontrakt, jeśli straci go Kohl, zbiła fortunę, sprzedając ekwipunek radiowy Wehrmachtowi aż do lądowania w Normandii.

Katrine Groener czekała na odpowiedź Raedera, ale kiedy ta nie nastąpiła, kontynuowała:

– Magazyny są pełne towaru, na który nie mamy kupców, bo nasz udział w rynku maleje. Kohl Heavy Construction nie

ma w planach żadnych nowych zadań aż do końca roku. Dodatkowo – przerzuciła kilka leżących przed nią kartek – a... mam... podczas gdy firma traci pieniądze w ekspresowym tempie, znalazłam informację, że wydaliśmy dwadzieścia milionów marek na projekt o numerze, którego zupełnie nie mogę znaleźć w księgowości: 1198-0.

Wurmbach kiepsko ukrył swoje zaskoczenie faktem, że Katrine wie o 1198-0. Sam nawet nie był pewien, co ten kod oznacza, poza tym że projekt prowadził faszystowski pupilek Raedera, Gunther Rath.

– Katrine, to jest specjalny projekt, wciąż uznawany za zbyt tajny, aby poprowadzić go w normalny sposób. To, hm, jest związane z, tego, no, z nowym procesem stalowniczym – zaimprovizował nieudolnie. – Zapomnij, że znalazłaś tę informację.

– Dobra, niech wam będzie – powiedziała, spoglądając to na prychnącego Reinhardta, to na opanowanego Raedera.

– Aby zaspokoić twoją ciekawość – zaczął Raeder, kiedy zauważył, że młoda prawniczka nie uwierzyła w żalosne tłumaczenie Reinhardta – wyjaśnię, że nie planujemy już dalszych wydatków na 1198-0. Wracając do kontraktu na samoloty Eurofighter, jeszcze nie przegraliśmy. Gdy tylko dojdzie do ugody, ten interes jest nasz. Jeśli nie pójdą na sto siedemdziesiąt pięć, Reinhardt da im dwieście milionów i dadzą nam spokój. To moja decyzja, aby przetrzymać ich jeszcze trochę i zaoszczędzić pieniądze, których tak bardzo potrzebujemy.

– A tymczasem?

– Będą nas potępiać skrajne ugrupowania, a media mieszać z błotem za strzeżenie nazistowskich sekretów, ale za kilka tygodni nikt nie będzie już o tym pamiętał.

Raeder tylko udawał pewność siebie. Obecnie był tak samo pewny swojego planu jak w momencie jego powstawania. Jego intercom zabrzączał.

– Tak, Kara?

– Herr Raeder, wiem że prosił pan by mu nie przeszkadzać, ale wreszcie mamy połączenie z Grenlandią, Herr Rath jest na linii.

– Dziękuję, połącz mnie z nim. Zasłonił słuchawkę dłonią.

– Przepraszam was – powiedział do Wurmbacha i Groener. Milczał, dopóki prawnicy nie wyszli.

– Gunther, co się tam, do cholery, dzieje? Dzwonił do mnie spanikowany Ernst Neuhaus z biura Geo-Research w Reykjavíku. Samolot z ludźmi ze Stowarzyszenia Geodetów i z drugą grupą jest opóźniony o dwa dni. Co z ewakuacją?

– Ewakuacja została przeprowadzona zgodnie z planem. – Ratha było słychać niewyraźnie, ponieważ maksimum słoneczne zakłócało łączność. Raeder nie mógł mieć pewności, jakim tonem mówi jego dyrektor do zadań specjalnych, ale wydawało mu się, że jego głos brzmiał wyzywająco. – Opuścili bazę w zaplanowanym czasie.

– Gdzie są teraz? – Raeder bał się usłyszeć odpowiedź.

– Podczas lotu powrotnego na Islandię samolot spadł. Wszyscy zginęli. Raeder uświadomił sobie grozę sytuacji tak szybko, że zrobiło mu się niedobrze. Wiedział, że nie było żadnego wy-

padku. Gunther Rath zabił tych ludzi, zamordował ich z zimną krwią. o Boże, to nie tak miało być. Raeder i Rath mieli na swoich sumieniach wiele nielegalnych spraw, ale daleko im było do morderstwa. Owszem, podpalono dom szefa związków zawodowych, ale tylko raz dopuszczono się czegoś tak drastycznego. Od tamtej pory nie stosowali przemocy. Szpiegostwo przemysłowe i zastraszanie to jedno, ale to?

Co ja narobiłem? Raeder w końcu zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie ma władzy nad Rathem i nigdy nie miał. Łudząc się, że wykorzystuje specyficzne umiejętności Ratha, otworzył przed neonazistą nieznane mu wcześniej kręgi władzy, pokazał mu prawdziwe znaczenie siły. Teraz Rath odwracał sytuację, odsłaniając przed Raederem całą zgniliznę jego serca. A to Raeder włożył mu do ręki narzędzia, których Rath potrzebował, by wykonać plan swoich faszystowskich mocodawców. – Kontynuujemy operację – mówił Rath, myśląc milczenie Raedera z akceptacją swojego postępowania. – Wiemy, gdzie mniej więcej znajduje się otwór wentylacyjny, ale fatalna pogoda opóźniła założenie bazy północnej. Przy użyciu helikopterów i snowcatów znajdziemy tunel w jeden, góra dwa dni.

O czym on mówi? Zabił tuzin ludzi i uważa, że wszystko idzie zgodnie z planem. Jak mogłem w ogóle pomyśleć, że mogę ucywilizować kogoś takiego jak Rath? On wielbi zło i śmierć. Raeder wiedział, że musi to zakończyć. Nie mógł pozwolić Rathowi na kolejne morderstwa. Szybko podjął decyzję. Z trudem krył wstręt, kiedy się odezwał.

– Natychmiast wyruszam na Grenlandię, Gunther. – Dlaczego? Nie znaleźliśmy jeszcze jaskini.

– Uważaj na to, co mówisz! To jest otwarty kanał.

Tak jak przy spotkaniu z wściekłym psem Raeder miał tylko jedno wyjście: uśmiercić go. Odeśle Ratha do Niemiec i przejmie kontrolę nad akcją odzyskania skrzyń „Pandory”. Kiedy to zadanie zostanie wykonane, zastanowi się, co zrobić ze swoim dyrektorem do zadań specjalnych.

– Będę tam jutro – krzyknął Raeder. – Nie chcę, abyś podejmował jakiegokolwiek działania do czasu, aż przylecę. Czy to jasne?

– Klaus, jestem już blisko. Nie ma potrzeby, żebyś tu był.

Raeder zdał sobie sprawę, że Rath ma jakiś własny ukryty cel. Jedyne, sensowne wytłumaczenie to chęć przekazania skrzyń nazistowskiemu mocodawcom. Powiedział im, co było w jaskini, i teraz rozkazano mu odzyskać skrzynie, aby mogły zostać użyte lub sprzedane. Obydwie opcje były zbyt przerażające, by o nich myśleć.

Raeder starał się mówić łagodnym tonem. Nie miał pojęcia, co mogli zgotować mu naziści, gdyby zaczął przeszkadzać.

– Wiem, że nie muszę tam być, przyjacielu, ale ja chcę tam być. Do zobaczenia jutro.

Rozłączył się, zanim stracił kontrolę nad emocjami. Pobiegł do prywatnej toalety obok swojego gabinetu, bo myślał, że zaraz zwymiotuje. Miał straszne mdłości, ale jednak nie zwymiotował. Odpowiedzialność i wyrzuty sumienia nie mogły być tak łatwo oczyszczone. Studiował swoje odbicie w lustrze nad marmurową

toaletką. Wyglądał tak samo. Włosy dobrze ostrzyżone, cera gładka, zęby olśniewająco białe. Tylko w oczach dojrzał zepsucie.

– Przejdź nad tym do porządku dziennego i wszystko będzie dobrze – powiedział sam do siebie. Spodobało mu się brzmienie tych słów, więc je powtórzył, dodając: – To nie ja zabiłem tych ludzi. On ich zabił. To był jego wybór, a nie mój rozkaz. Bez względu na to, co się stanie, nie jestem mordercą. Zawrzemy ugodę, zapłacimy, zniszczymy wszystkie skrzynie „Pandory” i wtedy zwolnię Ratha. On będzie milczał, ponieważ wyjawienie tego, co wie, będzie dla niego równoznaczne z przyznaniem się do winy. Sam złapał się w pułapkę.

Wypił łyk wody i wrócił do biurka, naciskając intercom.

– Kara, czy Reinhardt jest jeszcze?

– Tak Herr Raeder. Czy chce go pan widzieć?

– Nie. Powiedz mu, żeby dali tyle, ile chcą. Zdaje mi się, że było to dwieście siedemdziesiąt pięć milionów marek. Potem przywołaj naszych pilotów i zleć przygotowanie samolotu firmowego do natychmiastowego lotu na Islandię. Niech mój samochód podjedzie od frontu budynku.

– Oczywiście, proszę pana.

Raeder wykręcił numer telefonu do swojego domku letniego w Bawarii z nadzieją, że złapie żonę. Odebrał jego jedenastoletni syn Jaegar.

– Tata! – krzyknął chłopiec, zanim zdołał opanować swoje emocje, tak jak uczył go ojciec – Jak się masz, ojcze?

Krzywiąc się na myśl o tym, że zmienił własnego syna w automat, Raeder potrzebował chwili na odpowiedź. Gdy tylko

cała ta historia się skończy, wiele rzeczy w jego życiu się zmieni. o Boże, pozwól mi ich zobaczyć choć jeszcze jeden raz.

– Tęsknię za tobą. Tęsknię za wami wszystkimi. Czy mama jest w domu?

– Nie. Poszła na zakupy z Frau Kreiger z domu obok. Fatima pilnuje Williego i mnie.

Willi był sześciolatkiem bratem Jaegara, a Fatima ich turecką gosposią.

– Proszę, przekaz ode mnie wiadomość. Powiedz mamie, że musiałem w ten weekend pojechać w podróż.

– Nie przyjedziesz do Bawarii? – Mimo że ojciec uczył go nie okazywać emocji, chłopiec nie potrafił ukryć wielkiego zawodu.

– Przykro mi synu, ale naprawdę nie mogę.

– Kiedy przyjedziesz?

Raeder zastanawiał się nad odpowiedzią, wiedząc, że kłamstwo tylko zwiększy rozczarowanie rodziny.

– Obawiam się, że niestety nieprędko. Kocham cię Jaegar. Przykro mi. Powiedz swojemu bratu, że jego też kocham. A swoją mamę – Boże, ale to boli – mocno ode mnie uściskaj.

Raeder wiedział, że jego nietypowe zachowanie zmiesza chłopca. Jednak jeśli sprawy na Grenlandii nie pójdą po jego myśli, będzie zadowolony, że wykonał ten telefon. Być może ostatni raz rozmawia z synem. Przed wyjściem z biura otworzył sejf i wyjął pistolet, na który miał zezwolenie. Była to pamiątka po tym, gdy grozili mu porwaniem przed przejściem do Kohl AG.

JASKINIA PANDORY

Snop światła latarki rozjaśniał mrok tylko na kilkanaście metrów, dalej była już tylko nieprzenikniona ciemność. Grupa z Mercerem na czele ścigała uciekające światło, maszerując w dół równym tempem. Otto Schroeder wybudował schodzący w dół tunel tak, aby wyeliminować możliwość poślizgnięcia się na lodowej podłodze, a co parę metrów spadek wyrównywał się na kilka metrów, na wypadek gdyby jednak ktoś spadł.

Temperatura w jaskini wynosiła zero stopni, więc po długim pobycie na koszmarnym mrozie teraz porozpinali skafandry. Nikt nie czuł się jeszcze na tyle dobrze, by rozmawiać. Słychać więc było tylko szuranie butów. Nawet licznik Geigera milczał, odkąd minęły zwłoki przy wejściu do tunelu. Schodzili wciąż w dół i w dół.

Po trzydziestu minutach Mercer oszacował, że weszli mniej więcej trzy kilometry w głąb góry i zeszli jakieś trzysta metrów w dół. Wiedział, że zbliżali się do poziomu morza. Nagle otaczające ich światło, które dotąd pełzało po ścianach, zniknęło w gigantycznej grocie. Mercer zatrzymał się, sprawdzając, czy nachylenie podłoża się wyrównało. Podłoga była ze skały wy-

gładzonej przez wybuchy min zdetonowane podczas II wojny światowej.

– Myślę, że dotarliśmy na sam dół.

Kierując światło w górę, ledwie mógł dojrzeć strop jaskini, który stanowiła brzydka mieszanka lodu i skał wisząca jakieś piętnaście metrów nad nimi. Reszta chwyciła swoje latarki, aby wydobyć z mroku więcej szczegółów. Jaskinia była mniej więcej okrągła, miała średnicę o długości co najmniej stu pięćdziesięciu metrów i była zwieńczona kopułą. Wszędzie naokoło potężne jęzory lodowca wciskały się do środka przez pęknięcia w skale. W ciągu kilku stuleci lód w końcu odzyskałby przestrzeń, którą naziści mu odebrali. Przed nimi podłoga urywała się nagle, zmieniając się w czarną lodowatą wodę. Mercer wywnioskował, że gdzieś po tamtej stronie wody było drugie wejście do groty, hol dla łodzi podwodnych. Przeszedł przez jaskinię aż do wody. Po śladach po przypływie widocznych na przystani zorientował się, że droga do oceanu przez cały ten czas pozostała otwarta.

– To na pewno pływy utrzymują to wejście wciąż otwartym – stwierdził Ira. – Jeśli dobrze się przyjrzyysz, dostrzeżesz podwodne nurty.

Mercer położył się na brzuchu, by dosięgnąć drugiej strony mola wybudowanego przez Ottona Schroedera, i zanurzył palec w wodzie. Posmakował i splunął.

– Słona morska woda. Nie rozcieńczył jej topniejący lód.

– Założę się, że gdybyśmy mieli łódź podwodną, moglibyśmy stąd zniknąć, a Rath nigdy by się o tym nie dowiedział.

Mercer zauważył duży szary kształt przy drugim końcu mola.

– A niech to, mówisz, masz.

Ira Lasko musiał podbiec, by za nim nadążyć. Mercer zawołał pozostałych rozbitków z latarkami i poprosił, aby stanęli obok siebie nad wodą, z jednej strony grotu.

– Nie wierzę.

Pod nimi był niemiecki Uboot, który wyglądał, jakby dopiero co tu podpłynął. Farba na górnej krawędzi zdawała się świeżo położona, a łódź miała tylko kilka smug rdzy na wierzchniej stronie kadłuba. Kiosk wystawał około trzech metrów ponad płaski pokład, wokół niego biegły okrągłe stalowe poręcze. Oznaczenie U-1 062 wymalowane było na kiosku i wyglądało lśniąco i porażająco zarówno teraz, jak i lata temu.

Ira oglądał łódź.

– Na pokładzie nie ma działa.

– Co?

– To łódź typu VII, najpopularniejsza wersja łodzi podwodnych. Naziści wyprodukowali ich ponad siedemset, o ile dobrze pamiętam. Powinna mieć osiemdziesięciosześciodziałowe działo z przodu kiosku. – Potarł odrastającą brodę. – Myślę, że to jedna ze zbudowanych przez Niemców specjalnych łodzi zaopatrujących inne torpedowce. Nie potrzebowała uzbrojenia, jeśli była używana tylko do dostarczania zaopatrzenia do jaskini. Zwróćcie uwagę na gumową membranę na kiosku. To tarnmatte, powłoka antyradarowa. Ta łódź zbudowana była tak, aby nie można jej było wykryć.

– Cieszę się, że nigdy nie przyjąłem twojego wyzwania na zawody w ciekawostkach o łodziach podwodnych – powiedział Mercer pod wrażeniem rozległej wiedzy Lasko.

– Gdy spędzasz życie na jednym z takich potworów, dobrze jest znać jego historię.

Mostek pokładowy łączący łódź z brzegiem był bardzo blisko. Ira rzucił Mercerowi spojrzeńie.

– Chodźmy zbadać resztę groty, zanim załadujemy się na łódź.

– Masz jakiś plan?

Mercer uśmiechnął się szeroko.

– Zawsze.

– Dobry?

– Bardzo rzadko.

Przez następną godzinę podzieleni na grupy przeszukiwali jaskinię. Były w niej cztery groty oraz długi tunel wykuty równolegle do tunelu wentylacyjnego. Ten szyb nie wznosił się w górę, ale biegł poziomo przez siedemdziesiąt metrów, kończąc się nagle stosem kawałów skały i lodu, oczywistych pozostałości po drażeniu tunelu. Jedna z bocznych grot była warsztatem, w którym reperowano maszyny górnicze, takie jak generatory, młoty pneumatyczne, światła i małe pojazdy do przewożenia towaru. Ira Lasko został w warsztacie, podczas gdy inni kontynuowali przeszukiwanie jaskini.

Kolejna boczna grota, wielkości prawie połowy groty głównej, pełniła rolę sypialni. Stały tam łóżka piętrowe, mające nawet po cztery piętra. Mercer potwierdził, że mieszkali w nich zmuszani

do pracy w jaskini więźniowie, gdy odkrył gwiazdę Dawida wrytą pod spodem jednego z łóżek. Pięćtrowych łóżek było wystarczająco dużo, by pomieścić pięćset osób, podwajając lub nawet potrajając tę liczbę, przy założeniu że zmuszani byli do spania i pracy na zmianę. Większość z łóżek była dokładnie zaślana, z kocami porządnie ponaciąganyymi na pościeliach. Tylko kilka było rozkopanych i Mercer mógł dojrzeć zarys ostatniej osoby, która tu spała. To jedyne, co zostało z przebywających tu kobiet i mężczyzn. Odcisk na pościeli.

To wszystko, co po nich pozostało.

Z zaciśniętymi pięściami wycofał się z groty, nie będąc w stanie obejrzeć się za siebie.

Pomieszczenia administracyjne i mieszkalne dla nadzorujących Niemców znajdowały się w centralnej komnacie. Przejście przez nie przypominało zwiedzanie muzeum. Uporządkowane mundury wisiały w szafach, naczynia poukładane były w kredensach, a talia kart leżała na stole, jakby gracze wyszli tylko na moment.

– Gdzie są ciała? – zapytał Marty Bishop, gdy wyszedł z niemieckiej części sypialnej.

– Nie jestem pewien. – Mercer skanował otoczenie licznikiem Geigera i jeszcze nigdzie nie natknął się na ślad promieniowania.

– Hej Mercer. – Erwin Puhl stał nad brzegiem wody pomiędzy składem stusześcdziesięciolitrowych metalowych beczek z paliwem a kontenerami z zaopatrzeniem.

Podchodząc, Mercer zauważył, że Erwin zdał brezent okrywający stos skrzyń. Kiedy skierował promień światła na

najwyżej położone pudło, padł na niego odbity od światła laktarki złoty refleks. Pudła „Pandory”. Oszacował, że było ich co najmniej trzydzieści, wszystkie większe od tego, które znaleźli na zewnątrz. Te miały około półtora metra kwadratowego i mierzyły dziewięćdziesiąt centymetrów. Przejechał licznikiem po powierzchni stosu, ale nic nie wykrył. Niemcy rzecz jasna nauczyli się, jak zabezpieczać odłamki meteorytu.

Z połączonych pudeł emanowało ciepło. Woda kapiała z sufitu wysoko nad nimi, spływając przez molo do morza.

– Spójrz na to. – Erwin wskazał na skrzynię na szczycie i Mercer wspiał się na stos.

Skrzynia nie miała wieka i można było zobaczyć jej wnętrze wypełnione mniejszymi pudełkami zrobionymi na zasadzie rosyjskich matryoszek, wszystkie wykonane z czystego złota.

– Masz pojęcie, czemu konstruowali je w ten sposób? – zapytał Erwin.

– Rozproszenie gorąca – wyjaśnił Mercer, zeskakując na ziemię. Dotykając krawędzi kolejnej skrzyni, wyczuł, że miejsce, gdzie struktura wewnętrzna łączyła się z zewnętrznym szkieletem, było znacznie cieplejsze niż ściany boczne.

– Ze względu na wagę i koszty pudła nie mogły być jednolite, więc aby zużyć jak najmniejszą ilość złota, zaprojektowali je w ten sposób, żeby całość nie zrobiła się za gorąca.

– Sprytne gnojki – skomentował Marty.

Przenikliwy krzyk przeciął powietrze. Mercer na czele pozostałej dwójki ruszył biegiem w stronę miejsca, w którym stały Hilda i Anika Klein. Twarz kucharki była blada, a lzy ciekły

po jej okrągłych policzkach. Anika głaskała Hildę po włosach, próbując ją uspokoić.

– Co się stało?

– Tam.

Anika wskazała na małe wejście w skale, którego Mercer nie zauważył.

Mercer schylił się, by wejść do jamy, cały czas trzymając włączony licznik Geigera. Przesuwał się w niewielkiej przestrzeni, wykręcając się tak, by móc przejść koło szorstkich gładów, niewiele widząc w promieniu swojej latarki. Przejście zakończone było występem wychodzącym na kolejną jaskinię, której dno wypełnione było tysiącami puszek i białymi kośćmi.

Mercer odetchnął głęboko i zaczął dokładnie badać jaskinię. Chwilę przyglądał się kościom, a potem gwałtownie oparł się o ścianę, gdyż ulga, jaką poczuł, pozbawiła go energii. Wycofał się z przejścia i dołączył do reszty.

– To śmietnisko. Hilda zobaczyła kości i pomyślała, że to ludzkie, ale to nieprawda. To są kości fok.

Fok?

– Aby uzupełnić zapasy jedzenia, jakie przywieźli tu Niemcy, dwójka pozostałych przy życiu ludzi polowała na foki, które odważyły się przyplłynąć do groty tunelem dla łodzi podwodnej.

– To w ten sposób przetrwali tutaj dziesięć lat – powiedział Ira, wycierając smar z rąk. – Zaopatrzenia nie wystarczyłoby na te wszystkie lata pomiędzy wojną a 1953.

– Myślę, że wystarczyłoby – nie zgodził się Mercer. – Musieli tu przywieźć tysiące ton zapasów. Jeśli wypadek, który zabił

wszystkich, wydarzył się zaraz po dostawie, puszek zjedzeniem byłoby wystarczająco dużo, aby dwaj mężczyźni mieli co jeść nawet dłużej niż dziesięć lat. Zwłaszcza jeśli od czasu do czasu zabili fokę.

– To by tłumaczyło, dlaczego człowiek w Camp Decade miał tak zepsute zęby – mruknęła Anika. – Nawet jedząc świeże mięso, dziesięć lat bez owoców czy warzyw to gwarantowany szkorbut.

– Ale gdzie są ciała? – zapytał po raz kolejny Marty.

– Zważywszy na fakt, że nie odkryłem żadnego promieniowania, myślę, że zwłoki zostały przeniesione do innej komnaty i szczelnie zamknięte w środku, aby uchronić tę dwójkę, która przeżyła wypadek – odpowiedział Mercer.

– Myślisz, że zabiło ich promieniowanie?

– A co innego to mogło być? – parsknął. – Wszyscy zginęli w jednej chwili. W innym razie uciekliby łodzią podwodną. Człowiek, którego znaleźliśmy w Camp Decade i ten przy wejściu, musieli być na zewnątrz, gdy jaskinia została napromieniowana. Możliwe, że przeczekali tam, aż do zmniejszenia się napromieniowania do bezpiecznego poziomu, zanim wrócili pod ziemię, a potem przenieśli ciała do bocznej groty i je pogrzebali.

– Jak to się stało, że promieniowanie ciał ich nie zabiło? – zastanawiała się Anika. – Przecież te, które znaleźliśmy, nadal są radioaktywne, nawet po sześćdziesięciu latach.

– Nie mam pojęcia.

– Niemcy musieli mieć ubrania ochronne – zasugerował Erwin.

– Czemu nie użył ich oficer marynarki wojennej, otwierając pojemnik, gdy przelatywał nad nim C-97?

Nikt nie odpowiedział na pytanie Iry.

– Przysuńmy się do skrzyń „Pandory”, aby przedyskutować dalszy plan działania, w ich pobliżu jest ciepiej – zaproponował Mercer. – Mam dla was niespodziankę i pewien pomysł.

– Zaraz do was dołączę – rzucił Ira i wrócił do warsztatu.

Gdy się rozsiedli, Mercer wyciągnął ze swojego plecaka prawie pełną butelkę brandy.

– Niespodzianka.

– Ja nie mogłem zabrać ze sobą kaset wideo mojego ojca, a ty wzięłeś chłanie? – wściekł się Marty – To nie fair.

– Powiedziałem, zabieramy tylko rzeczy niezbędne. – Mercer pociągnął łyk. – Ja uznaję alkohol za coś niezbędnego. Jeśli nie chcesz, możesz się zrzec swojego przydziału.

– Tego nie powiedziałem – wycofał się Marty. – Więc jaki jest twój plan?

Mercer nie zdążył odpowiedzieć, bo z boku jaskini w warsztacie pojawił się jasny błysk, który bardzo szybko zgasł.

– Cholera! – zaklął Ira.

Chwilę później znów pojawiło się światło i tym razem nie zgasło.

– Co ty tam wykombinowałeś? – zakrzyknął Mercer do wyłaniającego się z warsztatu Iry.

Lasko roześmiał się od ucha do ucha.

– Posłuchałem swojej intuicji – powiedział Ira. – Zauważyłem, że naramienne pagony na mundurze człowieka przy

wejściu do tunelu to mosiężne koła zębate korpusu inżynierów z Kriegsmarine. Ten facet musiał być głównym inżynierem łodzi podwodnej. Jestem mechanikiem, więc domyśliłem się, że spędził ostatnich dziesięć lat, dbając o to, by wszystko w jaskini chodziło jak w zegarku. Sam bym tak zrobił.

– Ale czy wszystko nie powinno zardzewieć przez pięćdziesiąt lat od jego śmierci? Czy paliwo się nie zepsuło? – zapytał Erwin.

– W normalnych warunkach to miejsce przypominałoby złomowisko, ale niska temperatura oznacza, że praktycznie nie ma tu wilgoci. Nic nie rdzewieje. Co tam, mosiężne guziki tylko nieznacznie zmatowiały. Co do paliwa, w tych arktycznych warunkach Niemcy używali niezamarzającej odmiany oleju. Wystarczyło, że pozbyłem się wody zgromadzonej na dnie beczki w wyniku rozdzielania się roztworu, odcedziłem osad i podgrzałem paliwo za pomocą puszkę sterno, aby przywrócić roztworowi parafinę. Musiałem kręcić korbajak szalony, żeby pozbyć się nafty, której nasz niemiecki przyjaciel używał jako czynnika hamującego korozję, ale generator zaraz powinien się wyrównać, gdy tylko sam się naoliwi.

– Nie wierzę – upierał się Erwin. – Mój samochód nie chce odpalić po jednej mroźnej nocy.

– Właśnie słyszysz i oglądasz dowód. Generator pracuje jak złoto. Przy odpowiednim traktowaniu możesz pozostawić silnik na lata i jedyne, czego potrzebujesz, by go odpalić, to dobra bateria. To właśnie ona gwarantuje, że silnik zaskakuje od razu. Niska temperatura osłabia moc. Skoro przenośny generator

uruchamia się za pomocą koła zamachowego, wszystko, czego było trzeba, to jakieś pięćdziesiąt pociągnięć za sznur. To zarówno straciły izolację. Pierwsza poszła od razu, gdy tylko z generatora popłynął prąd.

– No, to by zmieniło parę rzeczy – stwierdził Mercer, który początkowy plan modyfikował. – Miałem przeczucie, że znajdziemy tu łódź podwodną, kiedy Erwin wspomniał po raz pierwszy, że w ten sposób zaopatrywano tę bazę. Niemcy zawsze trzymali tu jedną łódź, aby wywozić skrzynie od razu, gdy były gotowe, a to prowadzi do wniosku, że załoga tej łodzi zginęła razem z innymi. Pomyślałem, że moglibyśmy schować się przed Rathem, zanurzając łódź w basenie portowym.

– A jak wynurzylibyśmy się na powierzchnię bez zasilania?

– Otworzylibyśmy właz i wypłynęli – odpowiedział Mercer.

– Tu nie może być bardzo głęboko. Ale teraz zastanawiam się, czy musimy tu zostawać.

Ira odczytał intencję Mercera.

– To, że udało się uruchomić jednocylindrowy generator, nie oznacza wcale, że łódź podwodna też będzie działać.

– Skoro inżynier poświęcił tyle czasu na generator, jest wielce prawdopodobne, że Uboot też jest w bardzo dobrym stanie.

Ira zastanowił się i po chwili przytaknął.

– To możliwe.

– Czy proponujesz, żebyśmy stąd odpłynęli?

– Gdyby nie Ira, taka myśl nawet nie przyszłaby mi do głowy, ale on przecież uczył operacji podwodnych studentów marynarki wojennej w Groton, w Connecticut. Skoro potrafił

nauczyć nastolatków, jak kierować okrętem nuklearnym, chyba da radę nauczyć naszą szóstkę, jak obchodzić się z tym antykiem. Ira, mów, jeśli się mylę, ale chyba podstawowe zasady sterowania łodzią niezbyt się zmieniły przez pięćdziesiąt lat.

– De facto niezbyt się zmieniły przez ostatnich sto lat – potwierdził Lasko. – Łodzie nuklearne są dużo bardziej zautomatyzowane. Ta rybka tutaj to sam szkielet, potrzebuje mięśni do otwierania i zamykania zaworów.

– Jeśli nie uda się nic więcej, zawsze możemy użyć łodzi tylko do schowania się pod wodę, ale jeśli uda się nam ją uruchomić, myślę, że najlepszym pomysłem byłoby się stąd zmyć. Mercer patrzył każdemu po kolei w oczy. – Bez telefonu satelitarnego Marty’ego jesteśmy uziemieni, nawet jeśli Rath i jego najemnicy stąd znikną. Tygodnie zajmie nam przejście tysiąca kilometrów dzielących nas od Ammassalik. Biorąc pod uwagę, że ledwo przeżyliśmy ostatnich parę dni, wątpię że dalibyśmy radę przejść nawet jedną czwartą dystansu.

– To po jaką cholere przywlokłeś nas tutaj zamiast nakazać pilotowi lądowanie w pobliżu Ammassalik? – zapytał rozzłoszczony Marty. – Nikt nie musiał zginąć. Radioaktywne trupy. Złote pudła wypełnione Bóg wie czym. Może Ingrid byłaby...

– Marty, uspokój się! – wrzasnął Ira. – Mercer miał cholernie dobry powód. Samolot i tak rozbiłby się setki kilometrów od miasteczka. Umarlibyśmy bliżej niego, ot i cała różnica. Ingrid byłaby tak samo martwa. Przykro mi, ale przynajmniej teraz mamy szansę.

– A mój telefon satelitarny?

– Prawdopodobnie i tak bylibyśmy dawno zamarznięci, zanim złapałby sygnał – kontynuował Ira. – Mercer wciąż zyskuje dla nas czas, więc lepiej mu odpuść, okej?

Marty zamilkł.

Zakręcając butelkę brandy, Mercer spojrzął na twarze swoich współtowarzyszy, dumny z nich wszystkich, że tak świetnie dawali sobie radę przez ostatnie dni.

– Oto mój plan. Chciałbym, żeby Anika i Erwin, z racji tego, że czytają po niemiecku, dokładnie przeszukali biura, może znajdą dowody. Widziałem logo firmy Kohl na wielu sprzętach i teraz nabrałem pewności, że zadaniem Ratha jest zniszczyć i wymazać wszelkie dowody, wskazujące na związek jego firmy z tym miejscem. Gdy tylko ten koszmar się skończy, będziemy potrzebować papierów i dokumentów wskazujących na udział Kohl AG w projekcie „Pandora”. Upewnijcie się tylko, że nie pozostawiacie żadnych śladów, które wskazywałyby, że tu byliśmy. Marty i Hilda mogą pomóc Irze we wszystkim.

– A co z tobą?

– Ja będę pracował z Irą. – Spojrzął na Anikę. – Gdy skończycie, przyłączcie się do nas. Nie mamy zbyt wiele czasu.

– Okej, chłopcy, dziewczęta, do roboty – powiedział Lasko.

– Od czego zaczynamy?

– Ja idę sprawdzić łódź. Chciałbym, aby wasza trójka zajęła się paliwem. Musicie się pozbyć tych kilku centymetrów wody na dnie każdej beczki. W warsztacie jest wyciąg, możecie go tu przynieść i użyć do podnoszenia beczek. Później wymyślimy jakiś system nitrujący. Powinienem jakoś sklecić podgrzewacz

na łodzi, żebyśmy nie musieli gotować każdej z beczek przed załadowaniem na pokład.

– Ile paliwa potrzebujemy twoim zdaniem? – zapytał Marty, zerkając na beczki ułożone w sterty obok Uboota. Czekwała ich ciężka praca.

– Pomyślmy. Typowa łódź typu VII ma dwa sześciocylin-drowe podrasowane silniki Diesla firmy GW, które pozwalają jej wyciągnąć na powierzchni prędkość około szesnastu węzłów. Oprócz tego ma podwójnie komutujące motory elektryczne o mocy około pięciuset koni mechanicznych, pozwalające na osiągnięcie prędkości siedmiu węzłów przy zanurzeniu. – Ira popatrzył w górę, jakby licząc w myślach, po czym wyszczerzył się jak sadysta. – To oznacza, że potrzebujemy tyle paliwa, ile się tylko zmieści.

– Właśnie tego się obawiałem.

Przy świetle przenośnych lamp podłączonych do generatora Mercer i reszta zabrali się do roboty, podczas gdy Ira zniknął w Uboocie. Udało im się przygotować pięćdziesiąt beczek, zanim smukły marynarz wyjrzał z powrotem z okrętu. Jego skafander i spodnie pokryte były smugami brudu, a twarz była w plamach.

– I jak to wygląda? – krzyknął Mercer do Iry stojącego na szczycie kiosku i oceniającego postęp prac.

– Ten inżynier wiedział, co robi – roześmiał się Lasko. – Wiedziałem samochody, które dopiero zjechały z taśmy produkcyjnej w gorszym stanie niż to cacko.

– Myślisz, że zadziała?

– Naprawdę myślę, że tak. Martwiłem się o gumowe uszczelki i szlauchy, ale czymś je posmarowano. Są sztywne jak jasna cholera, ale powinny nieźle trzymać, jak już się rozgrzeją. Na wszelki wypadek odpalę tylko jeden silnik, by mieć w zapasie szlauchy z drugiego.

– A co z bateriami? Będziemy musieli je naładować, skoro chcemy się stąd wydostać.

– Inżynier wypuścił z nich kwas chlorowodorowy i przechował go w wielkich szklanych butlach, więc żadna z baterii nie została zezarta. Właśnie zacząłem ponownie napełniać sześćdziesiąt trzy ogniwa akumulatora w znajdującym się na rufie pomieszczeniu z bateriami. To powinno wystarczyć, żeby przepłynąć przez tunel i wypłynąć na powierzchnię.

– Musimy zrobić wszystko, by łódź udało się zanurzyć w momencie, gdy pojawi się Rath. Wydostaniem się stąd będziemy martwić się później.

– W takim razie zaczniemy ładować paliwo do cystern łodzi, gdy sprawdzę, czy nie przepuszczają wody. Możemy też użyć sprężarki Junkersa, żeby wypełnić zbiorniki powietrza, kiedy będziemy chcieli się wynurzyć.

Mercer spojrzał na zegarek. Zdębiał, gdy zobaczył, że jest już po północy. Nie widząc słońca, po którego pozycji orientował się, jaka jest pora dnia, nie miał pojęcia, że byli w drodze już przez dwadzieścia godzin.

– Nie zaczniemy, zanim się nie prześpiemy kilka godzin.

– Danke! – krzyknęła Hilda .

– Gdzie, do cholery, podzieli się Anika i Erwin? – spytał Marty, padając na kamienną podłogę i opierając plecy o jedną z beczek.

– Z pewnością znaleźli coś cennego – stwierdził Ira, schodząc z kiosku łodzi i przechodząc przez trap do doku.

Hilda zajęła się przygotowaniem posiłku, a Mercer poszedł szukać Aniki. Znalazł ją na biurku w największym pomieszczeniu administracyjnym. Erwin Puhl spał na kanapie. Mercer dotknął ramienia lekarki, a ta obudziła się i od razu zaczęła się tłumaczyć.

– o Boże, strasznie przepraszam. – Zobaczyła, że Erwin również padł ze zmęczenia. – Czytaliśmy i zrobiliśmy sobie małą przerwę... Trzy godziny temu – dodała, spojrzawszy na zegarek.

– W porządku – uśmiechnął się Mercer. – My właśnie skończyliśmy. Coś znaleźliście?

– Wszystko – odpowiedziała Anika, a senność od razu zmieniła się w zapał. – Nazwiska, daty, zarządzenia, procedury, prace. Jeśli się stąd wydostaniemy, Kohl AG jest skończone.

– A co z tą dwójką mężczyzn, którzy przeżyli? Czy zostawili jakiegokolwiek zapiski?

– To właśnie czytał Erwin.

Naukowiec obudził się na dźwięk swojego imienia. Wsunął na nos okulary.

– Potwierdziło się wiele twoich domysłów, Mercer. Jeden z ocalonych był żydowskim więźniem pracującym w jaskini, nazywał się Isidore Schild. Drugi, Wolfgang Rossler, był głównym inżynierem łodzi podwodnej. Byli na lodowcu w momencie, gdy

jedno z pudeł „Pandory” wymusnęło się z dźwigu. Promieniowanie zabiło wszystkich w jaskini w godzinę po zabezpieczeniu odłamków meteorytu i zamknięciu ich w drugim pudle. Schild i Rossler pozostali na powierzchni przez dwa tygodnie, marząc i głodując, dopóki nie uznali, że mogą wrócić do jaskini. Niemieckie ubrania ochronne nie mogły ocalić przed śmiercią podczas wybuchu promieniowania, ale osłoniły ich, gdy przenosili skażone ciała do wykopalisk i zasypywali je za pomocą wysadzenia czegoś, co nazwali wiszącą ścianą.

– To górniczy termin oznaczający sufit tunelu – wyjaśnił Mercer. – Pewnie chodziło im o szyb prowadzący do miejsca, w którym kawałki meteorytu zatrzymały się po przetopieniu się przez podłoże.

– Tak, to by się zgadzało. Nie mogli uruchomić łodzi podwodnej tylko we dwójkę, więc byli uziemieni. Zapomnieli o animozjach, o tym że jeden z nich jest jeńcem, a drugi oprawcą. Współpracowali ze sobą. Żywili się jedzeniem z zapasów i mięsem upolowanych fok, których kilka wpłynęło do jaskini. Przez pierwszych kilka lat próbowali sygnalizować swoją obecność przelatującym w pobliżu samolotom alianckim lecącym z lub do Anglii, ale rzadko kiedy samolot zapuszczał się aż tak daleko na północ. Po kilku latach, gdy przez długi czas nie widzieli żadnego samolotu, doszli do wniosku, że wojna się skończyła.

– o Jezu. – Mercer wzdrygnął się na myśl o izolacji od świata tak długo.

– Dziennik Schilda pełen jest opowieści o życiu w jaskini. Zważając na okoliczności, Schild był bardzo wspaniałomyślny

w stosunku do Rosslera. Później mogę ci opowiedzieć szczegóły, jeśli zechcesz. Mężczyźni zdecydowali, że jedynym sposobem na ściągnięcie czyjejs uwagi będzie zestrzelenie jednego z przelatujących samolotów. W związku z tym, że mieli tylko niewielkie działko na łodzi podwodnej, jedyną bronią, która mogła dosięgnąć samolot, było promieniowanie z któregoś z pudeł. Wyciągnęli najmniejsze z nich na powierzchnię i na zmianę dzień w dzień czekali na samolot, który będzie leciał wystarczająco nisko i blisko, by znaleźć się w zasięgu promieniowania „Pandory”. Czekali przez osiem długich lat do czasu, gdy nadleciał C-97. Na powierzchni był Rossler, więc Schild nie znał szczegółów. Przypuszczał, że samolot miał kłopoty z silnikiem, dlatego leciał tak nisko. W każdym razie Rossler otworzył pudło w celu zestrzelenia samolotu i poświęcił swoje życie, aby uratować Schilda. Gdy tylko promieniowanie rozrzedziło się i strój ochronny wystarczył, by zapewnić Schildowi bezpieczeństwo, wyruszył na poszukiwania samolotu, ale nie mógł go znaleźć. Po dwóch tygodniach wrócił do jaskini. Przygnębiony w końcu poddał się i niedługo po akcji z samolotem spakował jedzenia na tydzień i odszedł. Foki przestały przyplwać do jaskini, więc i tak umierał już na szkorbut. Napisał piękny list pożegnalny w swoim pamiętniku, co prowadzi do wniosku, że nic nie wiedział o Camp Decade.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – powiedział Mercer, gdy Erwin zamilkł. – Gdyby pozostał blisko wejścia do jaskini po tym, jak samolot się rozbił, najprawdopodobniej dostrzegłby Stefanssona Rosmundera szukającego wraku strato-

fightera. Rosmunder podszedł wystarczająco blisko, by otrzymać śmiertelną dawkę promieniowania z ciała Rosslera.

Opowieści o japońskich żołnierzach ocalałych i żyjących na odległych, bezludnych wyspach długo po zakończeniu wojny były niczym w porównaniu z tym, co przeszli Rossler i Schild po to tylko, by zginąć, gdy byli już tak blisko ocalenia.

– Są jeszcze inne fragmenty pamiętnika Schilda, które są znacznie gorsze – powiedziała Anika. Wyciągnęła rękę w stronę Erwina, by podał jej notatnik. Przerzuciła kilka kartek, aby odnaleźć odpowiedni ustęp, i zebrała się w sobie, żeby jeszcze raz go przeczytać.

– Ten fragment opisuje czas, gdy roboty w wykopaliskach szły pełną parą.

Jej tłumaczenie było płynne, jak gdyby już zdążyła nauczyć się czytanego fragmentu na pamięć.

11 sierpnia, 1944 Czy naziści potrafią pozostawić niezepsute jakiegokolwiek piękno? Dziś po raz kolejny przekonaliśmy się, że nie. Oszukiwaliśmy sami siebie, że strażnicy nic nie wiedzą o ciąży Sary. Tak, jej brzuch był ukryty pod luźnymi ubraniami, ale były inne, bardziej wyraźne oznaki tego, że nosiła w sobie nowe życie. Była szczęśliwa. Przedziwna aberracja w tutejszym piekle. To, że została zgwałcona przez strażników, którzy zostawili w niej to nasienie, nie dręczyło jej, gdy rozwiązanie było już blisko. Była piękna i zawsze była ulubienicą strażników. Nie rozumieliśmy, dlaczego zostawili ją w spokoju przez tych ostatnie kilka miesięcy. Teraz zrozumieliśmy, że mieli rozkaz niezbliżania się do niej. Urodziła dziś rano. Pomagały jej starsze kobiety znają-

ce się na położnictwie. Herman Kohl, siostrzeniec przemysłowca Volkera Kohla, będący tu na inspekcji, oraz Sturmbannführer Kress pojawili się w chwilę później, jak gdyby znali dokładną datę porodu. Zabrali dziecko do doków. Płaczący noworodek został uciszony na wieki. Teraz piszę przy odgłosach płaczu starych kobiet i sapania strażników po raz kolejny gwałcących Sarę. Modłę się o siłę, która powstrzyma mnie przed samobójczymi myślami dręczącymi mnie od pierwszego dnia w tym miejscu, po to aby matka i dziecko nigdy nie zostały zapomniane.

W ciężkim milczeniu, które zapadło w grocie, słyszeli łkanie Aniki. Również Mercer poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Abstrakcyjnych sześć milionów nagle zmieniło się w konkretne twarze i imiona. W myślach przysiągł sobie, że nie spocznie, dopóki firma Kohl nie zapłaci za to, co zrobiła. Nie było dla niego żadnej niejasności, jeśli chodzi o winnych.

– Kohl AG jest skończone. – Nawet nie zdał sobie sprawy, że powiedział to na głos.

Anika spojrzała na Mercera i trochę przestraszyła się tego, co zobaczyła. Jeszcze nigdy nie widziała takiej wściekłości. Gniew emanował z niego jak fale gorąca. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak bardzo geolog pała żądzą zemsty.

Nie wiedząc, przez jak długi czas pozostaną jeszcze odcięci od świata, przygotowali niewielki posiłek. Racje żywnościowe zostały podzielone tak, by wystarczyły na tydzień, góra dziesięć dni. Zbyt wyczerpani, by burzące brzuchy przeszkodziły im w zaśnięciu, spali jak zabici, aż do momentu, w którym budzik Iry Lasko postawił ich na nogi sześć godzin później.

Ponieważ do przeniesienia stusześcdziesięciokilogramowych beczek potrzeba było siły, Erwin i Anika dostali za zadanie usunięcie smaru z maszynierii Uboota szmatami. Ira spędził poranek, czyszcząc lewy silnik Diesla i sprawdzając, czy zadziała motor elektryczny, uruchamiając go za pomocą przenośnego generatora. Aby silnik zaczął płynnie pracować, Ira musiał wyciągnąć przewody z baterii sterburty, ale był zadowolony z efektów swojej pracy. Mercer z kolei przez dużą część poranka montował pułapkę przy górnym wejściu do grotu. Z płachty ołowiu uformował kulę, która stoczy się w dół tunelem, gdy tylko czyjaś stopa dotknie zamocowanej przy wejściu linki. U ujścia tunelu umieścił metalowy talerz, który rozbrzmi jak dzwon, gdy uderzy w niego ołowiana kula. Nawet jeśli ludzie Ratha popędzą w dół do jaskini, kula będzie tam o dziesięć minut szybciej, dając Mercerowi i jego grupie wystarczająco dużo czasu na zanurzenie łodzi podwodnej. Całe urządzenie wyglądało wystarczająco niewinnie, by rozwiać ewentualne podejrzenia Ratha, jeśli znajdzie części pułapki.

Tego dnia pracowali przez osiemnaście godzin i spali jeszcze mocniej niż poprzedniej nocy, o ile to w ogóle możliwe. Jednak zanim Mercer pozwolił im wejść do śpiworów, kazał uprzątnąć wszystkie rzeczy, by nie pozostał żaden ślad ich bytności, oraz spakować się, by w razie konieczności mogli popędzić do Uboota. Rozważali położenie się spać na samej łodzi, ale nie było ich wystarczająco dużo, by przenieść tam dające ciepło, lecz ciężkie skrzynie „Pandory”.

Następnego ranka popadli w apatię i rozdrażnienie z powodu zimna i zmęczenia. Cały poranek ładowali paliwo. Była to ciężka robota, a opary, których się podczas niej nawdychali, spowodowały, że wszystkim kręciło się w głowach. Zanim nadeszła pora lunchu, Irze udało się sprawdzić wszystkie zawory łodzi i był pewien, że kiedy będzie trzeba, Uboot na pewno się zanurzy. Ze zbiornikami powietrza wypełnionymi za pomocą sprężarki powinien się też wynurzyć. Ira zdołał również podrasować silnik na lewej burcie, który teraz miał być szybszy, oraz domyślił się, co zrobić, by zadziałał z całą mocą. Obwieścił, że łódź jest gotowa, z wyjątkiem baterii.

Kilka baterii wypełnił kwasem, po to by wspomagały oświetlenie łodzi, ale resztę pozostawił puste. Ich napełnienie musiało poczekać aż do momentu, w którym będą gotowi do opuszczenia jaskini. Większość baterii popękała przez lata i teraz były bezużyteczne. Te, które ocalił Ira cały czas miały tendencję do przepuszczania kwasu. Ponieważ niemożliwe było zupełne osuszenie dna okrętu, wyciekający kwas chlorowodorowy zmieszałby się z zanieczyszczeniami pochodzącymi z morskiej wody. Powstałe przez to chmury trującego gazu chlorowego szybko wypełniłyby kadłub Uboota. Aby zminimalizować możliwość zdemaskowania, Mercer zdecydował, że napełnią baterie dopiero chwilę przed opuszczeniem jaskini.

Po skromnym posiłku Mercer pozwolił swojej drużynie na kilka godzin odpoczynku, zanim zabiorą się do baterii. Gdy oni z wdzięcznością powłazili do śpiworów, on wyruszył tunelem w górę, aby sprawdzić swoją pułapkę. Przyszedł mu do głowy

lepszy pomysł na zwolnienie kuli i chciał wprowadzić to ulepszenie. Wspinaczka trzysta metrów w górę trzykilometrowym szybem normalnie nie byłaby dla niego problemem, ale był teraz wycieńczony jak nigdy wcześniej. Brak jedzenia i zimno tak nadwerżyły jego siły, że pokonawszy dwie trzecie drogi, postanowił zawrócić. Nie mógł pozwolić sobie na marnowanie resztek zasobów energii na coś takiego jak niewielkie ulepszenie i tak prostej pułapki.

Nagle na ułamek sekundy ruchomy cień pojawił się w promieniu jego latarki. Mercer próbował uskoczyć, gdy czterokilowa ołowiana kula, którą zrobił, zaczęła toczyć się w jego kierunku. Walnęła go w udo z mocą kija baseballowego przy pełnym zamachu, co przygniotło go do podłogi tak, jakby został postrzelony. Kula potoczyła się dalej w kierunku oddalonej o ponad dwa kilometry jaskini.

Mercer zagryzł wargi, żeby nie wrzasnąć, i poczuł w ustach krew. Leżąc w tunelu, wyciągał się, by zobaczyć cokolwiek w górze szybu, przeklinając przy tym swoją głupotę. Nie powinien był tu przychodzić. Pomimo że nie widział ludzi Ratha, wiedział, iż są blisko. Poderwał się na nogi, ale prawa noga była zdrętwiała aż po koniuszki palców u stóp.

– Jasna cholera – zaklął pod nosem i zaczął skakać w dół tunelu, wykręcając nogę, którą przy każdym kroku przeszywał świdrujący ból. Mercer wiedział, że nie jest złamana, i próbował przekonać sam siebie, że pomimo bólu może biec. Z przewagą ośmiuset metrów mógł liczyć tylko na to, że Rath będzie potrzebował czasu na zebranie swoich ludzi przy wejściu do tunelu,

zanim zaczną schodzić w dół. Przy takim tempie przewaga Mercera szybko stopnieje. Nie przychodziły mu do głowy żadne sztuczki, które mogłyby osłabić ból, i nic, co mogłoby sprawić, żeby poruszał się szybciej. Ira i pozostali z pewnością usłyszeli już brzdęk ołowianej kuli uderzającej w metalowy talerz na końcu tunelu. Zastanawiał się, czy poczekają na niego, i modlił się, żeby tego nie zrobili. Gdyby zostali złapani teraz przez jego głupi błąd, nigdy by sobie tego nie wybaczył. Jednak wiedział, że będą czekać tak długo, aż okaże się już za późno na ucieczkę.

Myśl, że ich życie wisi na włosku, dodawała mu sił przez kolejnych kilkaset metrów. Pokonał dwie trzecie odległości, ale wiedział, że jest już u kresu sił. Ledwo mógł złapać oddech, a jego udo rozrywał coraz większy ból, który przy każdym kroku wyciskał mu łzy z oczu.

Dotarł do jaskini, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jego determinacja spowodowała, że przekroczył granicę swoich możliwości. W jaskini było kompletnie ciemno i słyszał tylko swoje pełne bólu posapywanie. W górze szybko dostrzegął już bladą poświatę, odległe migotanie ostrzegające o tym, że zostało już tylko kilka minut. Zgasił latarkę, ufając, że wieloletnie doświadczenie w poruszaniu się pod ziemią pomoże mu w znalezieniu drogi przez jaskinię do miejsca, w którym powinna być łódź. Gdy uznał, że jest już blisko, rozczapierzył palce na maglicie, aby rozproszyć światło, i włączył latarkę.

Jego orientacja w terenie była doskonała. Stał kilka metrów od trapu. Spojrzał w górę i dostrzegł Anikę Klein stojącą na szczycie kiosku. Gdy go zobaczyła, jej twarz rozjaśniła się z ulgi.

– Chodź.

Wkoło łodzi laguna zaśmiecona była setkami pustych beczek po paliwie, mających ukryć tę jedną, którą Ira przymocował do chrap łodzi, oraz puszkę po gazie zamontowaną w celu ukrycia peryskopu.

– Każ Irze się zanurzyć – wycharczał Mercer.

– Usłyszeliśmy kulę piętnaście minut temu, jesteśmy gotowi. Oświetlił basen portowy. Cały ich sprzęt był uprzątnięty. Rath nigdy się nie dowie, że tu byli. Pomagając sobie rękoma, wspiął się na drabinkę przyspawaną do kiosku, wdzięczny, że Anika była przy nim, by podciągnąć go na kilku ostatnich szczeblach.

Mercer nie marnował czasu, którego i tak nie mieli, na zejście w dół łodzi. Rzucił się do otwartego włazu i spadł na podłogę w pomieszczeniu, z którego dowodzi się prowadzeniem ognia, znajdującym się nad głównym pomieszczeniem kontrolnym. Anika podążyła za nim, zatrzymując się, by zamknąć górny właz. Uboot był teraz wodoszczelny.

– Ira, już! – krzyknęła na dół do pokoju kontrolnego. Równy syk rozniósł się po całej łodzi, kiedy Ira otworzył zawory, zalewając je taką ilością wody, aby osadzić łódź na dnie zalewu osiemnaście metrów pod kilem. Wiedział, jak wywazać napływ wody, aby równoważyć zanurzanie się rufą w dół, z powodu ciężaru silników. Uboot zanurzył się niemal bez falowania.

Mercer ostrożnie zszedł do pomieszczenia kontrolnego. Mimo że nieduże, było to największe na łodzi podwodnej, ale z niskim sufitem, zagracone rurami, kablami, przewodami i niezliczonymi stacjami dowodzenia robiło się klaustrofobiczne. W

poblizu wielkiej tuby zawierającej drugi peryskop łodzi, przy jednej z kontrolek stał Ira, operując przyprawiającymi o zawroty głowy rzędami pokręteł i przycisków. Marty siedział przy konsoli dowodzącego, ręce trzymał z dala od bliźniaczych kół jezdnych. Pozostali byli w przednim pomieszczeniu torpedowym, aby równomiernie rozłożyć ciężar na łodzi.

Uboot łagodnie opadł na dno. Ira wtłoczył trochę powietrza do zbiornika siodłowego, aby zapobiec przyssaniu się łodzi do mulistego dna morza. Przez kolejnych piętnaście minut regulował położenie Uboota, wysokość chrap i peryskopu, słowem robił wszystko, by byli bezpieczni. Poruszał się z energią człowieka dwa razy młodszego. Ponieważ nikt nie miał tak wyspecjalizowanej wiedzy jak Ira, nikt nie wchodził mu w drogę.

– Do końca tygodnia wszyscy będziecie umieli kierować tą maszyną nawet we śnie – powiedział w pewnym momencie.

– Jeśli sen to warunek konieczny, zaraz po tym, jak trochę po szpieguję przez peryskop, zmykam do łóżka, żeby być w nim pierwszy – próbował zażartować Mercer, ale ból przeszkadzał mu nawet w mówieniu.

– o nie – zareagowała ostro Anika, a w jej głosie słysząc było profesjonalizm. – Idziesz do łóżka w tej chwili. Ledwo stoisz na nogach.

Mercer chciał się spierać, ale szybko zrezygnował. Anika musiała podtrzymywać go pod ramię, prowadząc go do kabiny kapitana, jedyne prywatne pomieszczenia na całej siedemdziesięciopięciometrowej łodzi.

– Ty lub Hilda powinnyście zająć tę kabinę – protestował Mercer, podczas gdy Anika pomagała mu zdjąć skafander.

– Słodki gest – uśmiechnęła się – ale wczoraj przeprowadzi-
liśmy głosowanie i jednomyślnie kabina została przyznana tobie.

Podawała mu kilka proszków przeciwbólowych, które popił
łykiem brandy.

– Masz zakaz obsługiwania ciężkiej maszyneryi przez naj-
bliższych dwanaście godzin – upomniała go.

Jej wiele mówiący pocałunek pozostał na jego ustach jeszcze
długo po tym, jak zasunęła kotarę drewnianej kabiny.

PÓŁNOCNY OBÓZ GEO-RESEARCH, GRENLANDIA

Możesz powtórzyć? – warknął Gunther Rath. – Ostatni przekaz był zakłócony. – Zlokalizowaliśmy jaskinię – odpowiedział Dieter, kierowca jednego z pojazdów śnieżnych. – Wysunięta do przodu grupa spenetrowała wejście do tunelu i zweryfikowała jego zawartość.

Rath oderwał wzrok od radia i dostrzegł uśmiech Grety. Za nią stał Klaus Raeder, ale jego wyraz twarzy pozostał niezmieniony. Rath dopiero co dotarł do bazy. Lot był opóźniony z powodu złej pogody.

– Świetnie, Dieter. Znamy twoje położenie z danych na lokalizatorze ze snowcata. Zwołam wszystkie pojazdy i spotkamy się w miejscu, w którym teraz jesteś.

Słoneczne maksimum znów zniekształciło odpowiedź Dietera. Połączenie zostało zerwane.

Rath poderwał się na nogi.

– Mówiłem ci, Klaus, że dam sobie z tym radę.

– W ogóle w to nie wątpiłem – odpowiedział Raeder z sarkazmem. Stojąc twarzą w twarz z Rathem, odzyskał pewność

siebie i opanowanie. – Kwestionuję tylko twoje metody, a nie umiejętności. Greta, czy mogłabyś zostawić nas samych?

Obóz północny składał się tylko z jednego budynku sypialnego, przetransportowanego helikopterem z bazy głównej. Przenosząc niektóre ze ścianek działowych, zamienili cztery sypialnie w centrum dowodzenia i tymczasową kuchnię. Greta Schmidt nie znosiła, gdy ktoś nakazywał jej wyjście z pomieszczenia, ale wiedziała, że Gunther i tak opowie jej później wszystko, o czym rozmawiał z Raederem. Bez słowa poszła do swojego pokoju.

Raeder był spięty.

– A teraz wytłumaczysz mi, dlaczego uznałeś za stosowne spowodować katastrofę samolotu pełnego ludzi.

– Może powinienem zacząć od wyjaśnienia, dlaczego w okolicach Monachium zamordowałem człowieka o nazwisku Otto Schroeder oraz dlaczego Greta musiała zabić rosyjskiego naukowca, Igora Bułgarina, tutaj, na Grenlandii. – Na widok zszokowanej miny Raedera na twarzy Ratha pojawił się złośliwy uśmieszek. – Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bliska ujawnienia była od samego początku ta ekspedycja.

– Zdecydowanie nie – powiedział Raeder, gdy już mógł wydobyć z siebie głos.

– Pamiętasz odnaleziony w spalonych przez nas archiwach Kohl AG zapis przesłuchania Leonida Kulika przez gestapo, w którym przyznał się do przynależności do grupy zwanej Bractwem Pięści Szatana? Dalekie od zaprzestania swojej działalności podczas wojny Bractwo istnieje do dziś. Poprzez kontakty, które podtrzymuję w Rosji, dowiedziałem się, że ugrupowanie

to sprzedawało informacje pewnemu Austriakowi tropiącemu nazistów w celu powstrzymania nas przed zabezpieczeniem skrzyń „Pandory”. Nie byliśmy w stanie zatamować przepływu dokumentów, więc zatrudniłem grupę do podsłuchiwania Żyda i dowiedziałem się, że Otto Schroeder był inżynierem górnictwa, który pracował tu, w jaskini. Był jedyną osobą, która wiedziała, co się tam stało.

– Podczas naszej... – Rath zrobił pauzę, szukając odpowiedniego słowa – dyskusji, zostaliśmy ostrzelani przez grupę snajperów i pojawiła się Anika Klein, która okazała się wnuczką austriackiego Żyda. Schroedera uciszylimy, ale Klein uciekła. Nie udało nam się jej odnaleźć, ale przyjechała na Grenlandię. W jakiś sposób odkryła powiązania pomiędzy nami a Geo-Research i pozyskała sobie poparcie Philipa Mercera. Nie miałem innego wyjścia, jak uciszyć ich wszystkich.

– A co z Rosjaninem, o którym wspomniałeś? Tym, którego zabiła Greta?

– Zgodnie z twoim poleceniem badaliśmy ciało w Camp Decade. Greta zastała Bułgarina oglądającego zwłoki. Zdając sobie sprawę, że Igor może pracować dla Bractwa, Greta zatłukła go na śmierć łyżką do opon. Doktor Klein nie dała się nabrać na fałszywe poszlaki mające upozorować wypadek i próbowała wrócić na miejsce zbrodni razem z Mercerem zaraz na drugi dzień po swoim przybyciu. Grecie prawie udało się ich powstrzymać, gdy podpaliła Camp Decade z nimi w środku. Jednak szczęście nie opuszczało doktor Klein i znów udało im się przeżyć.

– Dlaczego nie opowiedziałeś mi o tym wszystkim wcześniej?
– domagał się wyjaśnień Raeder.

– To były sprawy, za których załatwienie mi płacisz – gładko odparł Rath, wiedząc, że gniew jego przełożonego maleje. – Plan ewakuacyjny, który ułożyliśmy wcześniej, był już niewykonalny, skoro przynajmniej dwójka ludzi wiedziała o Bułgarinie. Musiałem ich zabić, zanim dotarliby na Islandię. Jedynym sposobem na zrobienie tego bez wzbudzania podejrzeń było spowodowanie katastrofy samolotu transportowego.

– Na pewno było jakieś inne wyjście – mruknął Raeder, ale wiedział już, że Rath nie mógł zrobić nic innego.

Rath starał się z całych sił zabrzmieć jak najszczerzej.

– Długo myślałem nad tym co zrobić, uwierz mi. To nie była łatwa decyzja. Przyznaję, obszedłem się trochę brutalnie z Ottonem Schroederem, ale jego śmierć była rezultatem ataku snajperów. Bułgarin zginął, ponieważ Greta spanikowała. Reagowałem na sytuacje na które nie miałem wpływu. Obydwaj znamy moją przeszłość, więc nie będę udawał, że dla mnie przemoc nie jest do przyjęcia, ale dawno temu zdecydowałem nie przekraczać granicy, a tą granicą jest morderstwo. Nie czerpałem żadnej przyjemności z tego, co zrobiłem.

Raeder szukał wzroku Ratha, by sprawdzić, czy ten nie kłamie. Zdecydował się mu uwierzyć. To było łatwiejsze niż inne wyjście. Skoro był już na miejscu, mógł kontrolować swojego dyrektora do zadań specjalnych. Godząc się na dowództwo Ratha przy niszczeniu dowodów znajdujących się w jaskini, Raeder wciąż martwił się jednak o los skrzyń „Pandory”. Kiedy

już nadejdzie czas pozbycia się ich, będzie musiał dopilnować, by Rath nie storpedował żadnego z jego planów.

– Okej. I co teraz? – odezwał się w końcu.

– Moi ludzie usuną z jaskini wszystko, co da się wynieść, i spalą wszystko, czego nie będzie można ruszyć. Ładunek wybuchowy pogrzebie to miejsce na wieki, więc nawet jeśli żyje jeszcze ktoś, kto brał udział w projekcie, jak Otto Schroeder, i tak nikt nie znajdzie bazy. Potem przetransportujemy skrzynie „Pandory” helikopterami daleko w morze i zatopimy je w najgłębszym miejscu, jakie uda nam się znaleźć.

– Jak myślisz, ile czasu to wszystko zajmie?

– Tylko kilka dni. Będziemy mieli mnóstwo czasu na przeniesienie tego budynku i snowcatów z powrotem do bazy obok Camp Decade, na wypadek gdyby duńskie władze cofnęły nam pozwolenie. A jeśli tego nie zrobią, oddamy wszystko japońskiej grupie, tak jak to zaplanowaliśmy. Nie martw się Klaus – uśmiechnął się Rath. Nikt nigdy nie dowie się, co zrobiliśmy. Kohl AG może zapłacić Żydom marne grosze w porównaniu z tym, co naprawdę jest im winien.

Kiedy Raeder poszedł do toalety, Greta Schmidt wróciła do centrum dowodzenia.

– No i?

– Kupił wszystko. – Rath ledwo powstrzymywał się od śmiechu.

– Wiedzieliśmy, że tak będzie – mruknęła, masując jego ramiona. – Tak sobie myślałam, Werner Koenig jest tutaj jedyną

osobą, nad którą nie mamy kontroli. On wie, że nie jesteśmy na Grenlandii w celach naukowych.

– Wypadek doktora Koeniga jest już dawno zaplanowany.

– Ja chcę to zrobić – szybko powiedziała Greta, a na jej twarzy wystąpiły rumieńce.

Śmiejąc się, Rath przyciągnął ją do siebie, posadził na kolanach i ugryzł w ucho.

– Podobało ci się zabicie Bułgarina, nieprawdaż? – Nawet nie musiała odpowiadać. – Założę się, że się podnieciłaś, kiedy zginął.

– Wtedy nie – odpowiedziała chrapliwym głosem – dopiero później onanizowałam się pod prysznicem.

– Jesteś zwyrodniałą suką.

– I za to właśnie mnie kochasz.

– Nie Kocham cię.

Jej oddech robił się coraz szybszy, oczy coraz bardziej błyszczące. Była blisko orgazmu na samą myśl o zamordowaniu swojego byłego kochanka.

– W porządku, więc za to właśnie mnie pieprzysz.

JASKINIA PANDORY

rozdarty pomiędzy strachem przed ciasnymi pomieszczeniami a ponownym podduszeniem przez Irę Erwin Puhl zdecydował się zmierzyć ze swoją klaustrofobią, obejmując stanowisko przy peryskopie. Przypatrując się ubranym na czarno pracownikom Geo-Research, którzy uwijali się w jaskini, mógł udawać, że nie jest uwięziony w podłużnej trumnie dwadzieścia metrów pod wodą. Potężne reflektory, które zainstalowali Niemcy, dawały mu chociaż niewielkie poczucie bezpieczeństwa. Gdy tylko wracał przespać się do głównej części Uboota, znowu ogarniał go paraliżujący strach. Lasko przypilnował, żeby koja Erwina w kwaterach oficerskich na śródookręciu znajdowała się nad jego własną, tak na wszelki wypadek.

Spoglądał przez peryskop, gdy Mercer wszedł po drabince.

– Jak widok? – spytał i podał Erwinowi kubek wody.

– Taki sam jak wczoraj i przedwczoraj. – Puhl wstał. – Sam zobacz.

Mercer usiadł na stalowym krzeselku i uważnie przyglądał się jaskini poprzez podziałki celownika peryskopu. Wszystkie skrzynki „Pandory” zostały przeniesione w poblizze wejścia

szybów wentylacyjnych na wózkach dostarczonych przez ludzi Ratha. Kilka ze skrzyń przetransportowano już na powierzchnię na linach wyciągarek, przymocowanych do ściany tunelu w regularnych odstępach. Trzy drewniane budyneczki zostały rozebrane i spalone. Ludzie Ratha przed wyrzuceniem czegokolwiek do wody palnikami usuwali ze sprzętu znak Kohl. Niektóre przedmioty trafiły w zanurzony okręt, wywołując zwielokrotniony echem huk, który za pierwszym razem sparaliżował wszystkich w środku.

Sądząc po słabej poświacie bijącej od pomieszczeń więźniów, pięćset pryzc również zamieniało się w popiół. Ostrożnie obrócił peryskop, by przymocowana do niego beczka po paliwie się nie poruszyła. Szukał Gunthera Ratha. Dostrzegł go niedaleko pozostałości budynku administracyjnego, gdy rozmawiał z Gretą Schmidt i z jakimś mężczyzną po czterdziestce z zaczesanymi do tyłu brązowymi włosami. Poruszył gałką na peryskopie, by zwiększyć powiększanie. Nieznajomy wyglądał na kogoś ważnego i Mercer pomyślał, że to był szef Ratha, prezes Kohl AG. Zapamiętał jego twarz.

Chociaż w środku okrętu było zero stopni, a każdy oddech zmieniał się w obłok wokół ust i nosa, gdy Mercer wyglądał przez peryskop, po Erwinie Puhlu lały się strużki potu.

– Dzięki, Erwin. Oddaję ci twoje okno na świat. Niemiec szybko wrócił na swoje stanowisko.

Noga nie była już zeszytniała, ale Mercer nie stawał jeszcze na niej całego ciężaru ciała, gdy wracał na dół do pomieszczenia dowodzenia.

– Co tam słyhać na górze? – zapytał Ira. Pokazywał Marty’emu i Hildzie, jak obsługiwać stanowiska trymerów. Anika Klein stała nad stolikiem nawigacyjnym, odczytując wpisy kapitana w dzienniku pokładowym. Zdążyła już przetłumaczyć fragmenty mówiące o drodze wodnej oraz o zwrotach i zmianach kursu, które musieli wykonać, chcąc się wydostać z jaskini kanałem dla łodzi podwodnych. Wyglądało na to, że czeka ich interesująca wycieczka.

– Rath wyciągnął już kilka skrzynek na powierzchnię, a wszystko inne już prawie zniszczyli. Idę o zakład, że zmyją się stąd w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Jak się miewa Erwin? – spytała Anika.

– W porządku, o ile wygląda przez peryskop.

– Mercer! – zawołał Erwin nad ich głowami. – Oni zamierzają strzelać w beczki.

– Co?

– Na krawędzi doku stoi trzech ludzi z karabinami. Rath z nimi rozmawia. Myślę, że zamierzają zatopić zbiorniki z benzyną w lagunie.

– Cholera. Kawał sukinsyna z tego Ratha, nie? – Mercer w mig pojął, jakie to może mieć konsekwencje. – Przygotować się do opuszczenia peryskopu.

– Ale dlaczego? – głos Puhla się załamał.

– Z powodu beczki, która jest do niego przymocowana. Domyśla się, że coś jest nie tak, jeśli przestrzelona nie zatonie. – Ira przeszedł już do kontroli chrap.

– Nie... nie potrafię. – Erwin był przerażony. – Już strzelają. Beczki zaczynają tonąć.

– Musi mi powiedzieć, kiedy – stwierdził Ira. – Ty idź na górę.

– Nie. Erwin musi to zrobić sam. Inaczej nie przetrzyma nawet pięciu minut, gdy już będziemy odcięci.

– o Boże, oni mierzą prosto we mnie – wrzasnął Puhl.

– Ucisz się do cholery – syknął Mercer. Wszyscy usłyszeli nad sobą serię strzałów i huk eksplodujących beczek. – Teraz!

– Nie mogę.

– Teraz! – warknął Mercer. – Albo zapewniam cię, że klaustrofobia będzie ostatnim z twoich problemów.

– Trafili w chrapy.

Mercer kiwnął na Irę, by ten wciągnął z powrotem ich jedyne źródło świeżego powietrza.

– Wciągnij peryskop, Erwin.

Przerażony meteorolog nie odpowiedział, ale hydraulika zadziałała i peryskop zwiadowczy schował się w swojej osłonie. Chwilę później Erwin był na dole i chwiejąc się, wybiegł przez okrągłe wyjście z pomieszczenia sterowania. Zwymiotował nim dobiegł do toalety.

– Sprawdź, co z nim. – Anika wstała.

– Zostaw go – powiedział Ira. – Mercer ma rację. On musi sam sobie poradzić z tym wszystkim.

Ślepi, odcięci od tlenu i zapuszkowani w podłużnej tubie; nawet Mercer poczuł, że ściany zaczynają się zbliżać do siebie. Uzupełnienie kwasu w akumulatorach niczego by teraz nie dało, bo i tak nie mogli uruchomić generatora bez dostępu do

świeżego powietrza i odprowadzania spalin. Utknęli na dnie, dopóki ludzie Geo-Research nie opuszczą jaskini.

– Nigdy nie przypuszczałem, że to powiem, ale mam nadzieję, że Rath ruszy tyłek.

– Amen.

Tylko z przyzwyczajenia spali w nocy. Wnętrze okrętu rozświetlała czerwona żarówka na mostku. Jedynym dźwiękiem było stukanie kropli skraplającej się wszędzie wilgoci. Dzień spędzili na wykonywaniu poleceń Iry, który uczył ich wszystkiego, co mogło się przydać przy wyprowadzaniu okrętu z jaskini.

Anika leżała na swojej koi nad Hildą Brandt. Napięcie, jakie towarzyszyło ostatnim dniom, groza tego wszystkiego w końcu dało się jej we znaki. Erwinowi dodawała sił determinacja, by fragmenty meteorytu nie wpadły w ręce Kohl AG. Marty'ego trzymała na duchu świadomość, że przez ostatni tydzień zmęśniał bardziej, niż kiedykolwiek wcześniej. Jako wyszkolony marynarz Ira Lasko zdawał się być odporny na stres. Nie wiedziała, co stało za tym, że całkiem nieźle trzymała się Hilda, może pobyt w niemieckiej armii, Bundeswehrze.

A Mercer? Przyjmował wszystko tak spokojnie, że Anika nie potrafiła wyobrazić sobie kryzysu, który by nim wstrząsnął. Była pewna, że jest przerażony jak wszyscy, ale jego opanowany sposób bycia pozwalał mu całkiem nieźle sobie radzić z całą sytuacją. Anika przypomniła sobie pierwsze dyżury na izbie przyjęć i prawie paraliżujący strach, który wtedy czuła. Potrzebowała miesięcy doświadczenia, by nabrać pewności siebie i przezwyciężyć obawy. Była ciekawa doświadczeń Mercera, co takiego

robił w przeszłości, że pozwalało mu znosić wybuchy bomb, katastrofy lotnicze, pożary i wszystko inne, co na nich spadało.

W samotności nocy Anika zdała sobie sprawę, że potrzebuje trochę jego siły. Przerwała rozmyślania, by wsłuchać się w łódź, ale jej uszu nie dobiegło nic oprócz kapania i sporadycznych chrapnięć Iry gdzieś z przodu. Odrzuciła na bok koc, pamiętając II wojnę światową, i rozpięła śpiwór. Spała ubrana we wszystkie ubrania, jakie miała, oprócz butów, i wstrzymała oddech, gdy poczuła przez skarpetki chłód pokładu. W czerwonym świetle z pomieszczenia dowodzenia mogła dostrzec zasłonę zakrywającą wejście do kajuty Mercera. Zrobiła niepewny krok, zastanawiając się, dokąd ją zaprowadzi.

– Gdzie idziesz? – wyszeptała Hilda Brandt. Anika poczuła się, jakby zrobiła coś złego.

– Muszę siusiu.

– Toaleta jest za twoimi plecami koło szafy – przypomniała Hilda głosem, w którym dało się słyszeć rozbawienie. Kucharka wiedziała, dokąd szła Anika.

Dziękując w duchu za ciemność, w której nie było widać jej rumieńców, Anika odwróciła się i podreptała do łazienki.

– Lepiej? – drażniła się z nią Hilda, gdy wróciła na koję.

– Nie.

Pierwszy wybuch usłyszeli następnego ranka około siódmej. Mercer stał samotnie przy stoliku nawigacyjnym, czyszcząc z towotu dwa pistolety maszynowe MP-40 Schmeisser, które znalazł w swojej kabinie razem z klasycznym mauserem – pistoletem, który był zabytkiem nawet w czasach, kiedy zbudowano

ich okręt podwodny. Sprawdził już i dobrał amunicję. Spojrzał w górę, jakby mógł przejrzeć pokład i wodę. Niczego nie musiał widzieć, by wiedzieć, co tam się działo.

– Składowisko śmieci – mruknął. Przy drugim huku dodał:
– Pomieszczenia więźniów.

Trzeci doszedł z wykopu, który był już częściowo zablokowany. A potem przyszła najdłuższa detonacja – przetaczający się grzmot, który rozbrzmiewał przez pięć minut, spotęgowany akustyką jaskini, laguny i okrętu. Główny tunel zawalił się, obrocony ładunkami wybuchowymi w skalne rumowisko nie do przebycia. Pracując bez przerwy, Niemcy wykonali swoje zadanie i na zawsze pogrzebali wejście do jaskini.

– Co to, do diabła, było? – Ira wpadł na mostek z pomieszczenia radiooperatora, gdzie próbował naprawić radio i sonar. Nie udało mu się.

– Gunther Rath pali za sobą mosty, panie bosmanie – odpowiedział Mercer apatycznie. Podczas szkolenia zaczął żartować z Iry, tytułując go jego niegdysiejszym stopniem. – Poczekamy jeszcze godzinę lub dwie, aż kurz opadnie, a potem się wynurzymy.

– Już ich nie ma? Mercer kiwnął głową.

– Chyba że kilku postanowiło się zabić.

Dwie godziny później Uboot wyłonił się na powierzchnię w wirze pęcherzyków powietrza. Strumienie ciemnej wody ściekały z jego zewnętrznego kadłuba. Erwin Puhl stał w kiosku i wypchnął teraz na zewnątrz klapę luku wejściowego, nie bacząc na oblewające go strugi wody. Chociaż jaskinia była pogrążona

w mroku, napawał się pierwszymi głębokimi wdechami, odkąd stracił możliwość patrzenia przez peryskop.

– Jak tam? – zagadnął go z dołu Mercer.

– Raj. – Odetchnął z ulgą, przecierając palcami wodę ze swoich okularów. W ciągu kilku minut Ira odpalił diesla na lewej burcie. Motor chodził nierówno przez zanieczyszczone paliwo i zestalony olej, ale Ira czuł, że byłby w stanie utrzymać go wystarczająco długo, by dopłynąć na Islandię. Mercer zszedł na brzeg i rozejrzał się po jaskini. Przekonał się, że było tak, jak się spodziewał. W głównej komnacie nie pozostał nawet ślad po obecności człowieka, a wszystkie boczne pomieszczenia wypełnione były odłamkami skalnymi. Kamienie i większe fragmenty skały z tunelu wejściowego potoczyły się daleko na środek, dowodząc, że ładunki założono na sporej długości tunelu. Był pewien, że Rath i jego ludzie zadbali, by tunel przy powierzchni zawałił się na podobnym odcinku.

Jeśli nie uda im się przeprowadzić okrętu przez podwodny kanał, umrą tu w ciemności. Wrócił na statek pomóc Irze dolewać kwas do akumulatorów. Kiedy się naładują – jeśli się naładują – będą gotowi do odpłynięcia.

Po godzinie ciężkiej pracy w ciasnym pomieszczeniu na akumulatory na rufie poniżej kuchni Ira zakomunikował, że mają problem.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, nie mówisz mi nic nowego.
– Żrące opary wyciskały łzy z oczu Mercera.

Irę opuścił jego zwyczajowy dobry humor.

– Mam na myśli prawdziwe kłopoty. Większość tych akumulatorów jest w gorszym stanie, niż myślałem. Te, które teraz się ładują, ciekną jak sito. Kiedy zamkniemy właz, okręt będzie wypełniał się chlorem dużo szybciej, niż przypuszczałem.

Mercer się zdenerwował.

– Jak myślisz, ile wytrzymamy?

– Zależy od odporności poszczególnych osób. Ale po godzinie lub coś koło tego okręt zmieni się w pływającą trumnę.

– Czy możesz zorganizować nam aparaty do oddychania?

– Mogę, ale nie w tym problem. Z kwasem zżerającym działające akumulatory okrętowe silniki elektryczne tracą moc, zanim pierwszy z nas wykituje. Sprawdziłeś, ile czasu potrzeba, by przepłynąć tunel i wydostać się na otwarte morze?

Twarz Mercera spochmurniała.

– Zgodnie z zapiskami kapitana w dzienniku pokładowym około półtorej godziny.

– No to się zgadza – rzekł Ira kwaśno.

– Nie wszystko stracone. Musimy tylko zwiększyć prędkość od tej, którą podał, by skrócić czas. Za chwilę zrobię poprawki w wyliczeniach momentów skrętu.

– Zapominasz, że jego obliczenia są oparte na płynięciu przez określony czas przy określonych obrotach silnika. Ale on miał na pokładzie zapasy i pięćdziesięcioosobową załogę. Jesteśmy o co najmniej sto ton lżejsi, a przez to szybsi. Mogę zwiększyć o połowę obroty silnika, ale to nie oznacza koniecznie, że obetniesz o połowę czas.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał Mercer. – Masz jakiś pomysł?

– Przelicz wszystko z prędkością o pół węzła wyższą od tej, którą wyliczył kapitan, i módl się, żebyś się nie mylił.

– Jak to, żebym ja się nie mylił? To twój pomysł. Ira uśmiechnął się chytrze.

– Nie chcę, żeby inni mnie winili, gdy uderzymy w ścianę tunelu, bo przegapimy zakręt.

Po kolejnych dwóch godzinach byli gotowi. Kiedy akumulatory zostały naładowane, a wszystkie usterki elektryczne usunięte, Ira upewnił się, że zbiorniki powietrza wypełnione były do maksymalnego możliwego ciśnienia. Za pomocą diesla odsunęli się od pomostu i ustawili krypę w kierunku wejścia do zatopionego kanału prowadzącego na zewnątrz. Hilda i Anika obsługiwały stery głębokości, podczas gdy Marty kierował sterem kierunku. Ira przydzielił sobie zadanie obsługi balastu. Mercer stał na stoliku nawigacyjnym, gdzie mógł obserwować żyrokompas. Na stoliku leżały też cyrkiel i dziennik pokładowy otwarty na schemacie podwodnego przesmyku. Pobieźny szkic tunelu przedstawiał poskręcaną rurę z mnóstwem przeszkód, które okręt musiał pokonać, by wydostać się do fiordu.

– Jesteśmy na pozycji! – zameldował Erwin z kiosku. Zmierzył ich odległość od pomostu dalmierzem peryskopu.

– Wiesz, co masz robić! – odkrzyknął Mercer.

Peryskop wsunął się do wieżyczki okrętu, a chwilę później Erwin zakręcał już klapę luku wejściowego. Tym razem przeszedł

spokojnie do łazienki i zdążył zamknąć drzwi, zanim zaczął wymiotować.

Gdy ustał pulsujący warkot diesla, na łodzi zaległa niezwykła cisza.

– Chlor zaczyna się już gromadzić – stwierdził Ira, choć jeszcze przez dłuższy czas niczego by nie poczuli.

Mercer przyglądał się mapce kanału, zwracając uwagę na to, jak ostro dno jaskini opadało od miejsca, gdzie był pomost.

– Ira, zanurzenie sześćdziesiąt metrów. Ster na wprost. Stery głębokości zero. – Mercer pomyślał, że musi brzmieć jak aktor w starym filmie wojennym, ale jego załoga wykonała komendy bez szemrania.

– Zatrzymaj już, Ira! – zawołała Anika wpatrzona w głębokociemierz przy swoim stanowisku.

– Musisz mówić mi z wyprzedzeniem, bo inaczej zejdziemy niżej planowanej głębokości – powiedział Ira, naprawiając błąd.

– Tak jest. Dobra, głębokość sześćdziesiąt metrów.

– Zaczynamy, panie i panowie. – Mercer spojrział raz jeszcze na poprawione wyliczenia napędu i rzucił sucho: – dziewięćdziesiąt obrotów na minutę przez następnych dziesięć minut, licząc od... – spojrział na wskazówkę sekundnika na swoim zegarku Tag Heuer – ...teraz!

Uboot zaczął po cichu przekradać się przez lagunę. Przez kadłub można było usłyszeć szum obmywającej go wody.

– Za pięć minut na moją komendę stery głębokości o dwa stopnie w górę.

– Jesteśmy gotowi – zapewniła Anika.

– Niech mnie diabli, bosmanie – Mercer wyszczerzył zęby, momentalnie przełamując swój niepokój. – Udało ci się. Uru-chomiłeś to pudło.

– Nie dziękuj mi. Nasze życie zawdzięczamy Wolfgangowi Rosslerowi. Gdyby naziści mieli więcej ludzi takich jak on, mogliby wygrać wojnę samą konserwacją sprzętu.

Gdy nadszedł czas, Mercer dał rozkaz podniesienia sterów głębokości na dziobie, by zmniejszyć zanurzenie. Ira zapytał, czy ma szasować wodę ze zbiorników, ale zgodnie z zapiskami ten manewr wykonać należało samym sterem głębokości. Po pięciu minutach tunel zakręcał po raz pierwszy w prawo.

– Marty, ster prawo dziesięć stopni. Powiem ci, kiedy puścić. – Z tego co mówił szkic, to był łagodny zakręt w najszerszej części przejścia. Mercer nie obawiał się jeszcze o zderzenie. Ten strach miał przyjść później. Uważnie spoglądał na kompas obok siebie. – Okej, wyprostuj kurs. Jeszcze trochę. Właśnie tak. – Wypuścił powietrze z płuc. – Zwiększyć obroty do stu trzydziestu i przygotować się na gwałtowny zwrot na bakburtę za dwie minuty.

Byli już całkiem głęboko w zatopionym kanale otoczeni ze wszystkich stron przez skały i lód. Omyłka w wyliczeniach w którąkolwiek stronę kosztowałaby życie ich wszystkich. Nikt nie wiedział, czy przejście wciąż było wystarczająco szerokie, by zmieścić się w nim okręt podwodny, więc byli zmuszeni płynąć na ślepo, nie mogąc nawet zmniejszyć prędkości z powodu chloru zbierającego się w zębie.

– Marty, zaraz będzie zakręt pod kątem prostym, więc połóż nas na bakburcie tak szybko, jak tylko możesz kręcić kołem. Teraz! Anika, dziesięć stopni w dół na sterach. Głębokość osiemdziesiąt metrów.

– To dwieście pięćdziesiąt stóp – powiedziała. – Czy ten stary kadłub to wytrzyma?

– Przekonamy się za chwilę.

Skrzypiąc jak żaglowiec w tajfunie, Uboot opuścił się jeszcze bardziej w otchłań. Jego jęki przypominały Mercerowi pieśni wielorybów. – W porządku, wyprostujcie kurs. Zredukować obroty do stu na minutę. Na tej głębokości mamy długi odcinek. Pilnujcie, żebyśmy nie dryfowali.

Z dźwiękiem gwoźdźcia rysującego tablicę okręt otarł się o ścianę tunelu. Siła uderzenia sprawiła, że kurczowo złapali się swoich siedzeń. Łódź odbiła się od ściany i zdryfowała na nią raz jeszcze, mocniej, aż stęknęły płyty poszycia. Oderwane skały uderzyły w kadłub niczym ostrzał artyleryjski.

– Cholera! Marty, skręć dwa stopnie na sterburtę. – Piekielny zgrzyt ustał, jak tylko Marty obrócił koło.

– Co się stało? – krzyknął Erwin. Wbiegł na mostek przy pierwszym uderzeniu pomimo klaustrofobii zbyt przestraszony, by pozostać w koi.

– Musieliśmy zedrzeć z burty kilka skorupiaków – odpowiedział Mercer. – Powinniśmy być z powrotem na kursie. Marty, połóż go z powrotem na kurs osiem stopni względem północy magnetycznej.

– Wzięłeś poprawkę na dryf bieguna północnego, prawda?
– zapytał Bishop.

– I na fakt, że płyniemy z prądem, który według zapisków ma siłę dwóch węzłów.

Płynęli tym kursem od dwudziestu minut, gdy Erwin, który był z tyłu mostku, zaczął kaszleć. Mercer spojrzał przez ramię i zobaczył mgiełkę w kolorze niezdrowej zieleni, wydobywającą się z maszynowni za jego plecami. Chlor. Pierwsze pasma owijały się wokół zgarbionej postaci Erwina jak macki jakiegoś gniewnego stwora.

– Wytrzymajcie tak długo, jak możecie, zanim skorzystacie ze zbiorników powietrza, które przygotowałem – przypomniał Ira.

Mercer poczuł pierwszy kłujący posmak chloru. Oczy go zapiekły. Mieli jeszcze około pięćdziesięciu minut, zanim wydadzą się na otwarte morze. Wyglądało na to, że margines będzie niewielki. Żeby móc cokolwiek zobaczyć, każdy założył gogle ochronne, używane przy zmaganiu się z arktyczną pogodą.

– Dno tunelu zaraz zacznie się podnosić – powiedział Mercer. – Przygotować się do szasowania zbiorników do głębokości pięćdziesięciu pięciu metrów, stery głębokości dziesięć stopni w górę. Marty, będziemy mieli serię szybkich zwrotów w lewo, potem w prawo i znów w lewo. Po prostu kręć kołem, gdy ci powiem. Kiedy wyrównamy, z powrotem zwiększyć obroty do stu trzydziestu na minutę.

Weszli w zakręty ze zwiększoną prędkością. Stara łódź pochylała się raz w jedną, raz w drugą stronę na rozkazy Mercera. Nie powiedział im, że w miejscu, gdzie wykonywali zwroty

w kształcie litery S, szerokość kanału ledwo pozwalała na taki manewr.

Wychodząc z pierwszego zakrętu, uderzyli ogonem w skalną iglicę. Okrętem obróciło, jakby został storpedowany. Mercer za późno krzyknął, by skorygować. Weszli w drugi zakręt i dziób wylądował na skałach, wywołując pogłos jak w środku kościelnego dzwonu. Erwin wrzasnął, a palce Aniki zaciśnięte na kole sterów głębokości pobielają.

– Wszystko w porządku – uspokoił go Mercer, kaszłąc, bo zachłysnął się gazem. – Marty, daj na bakburtę, kurs dziewięćdziesiąt stopni.

Marty kiwnął głową, nie mogąc mówić, bo usta okalała mu żebrowana rurka od pojemnika z powietrzem. Kadłub zazgrzytał znowu.

Mercer nie rozumiał, co się stało. Według szkicu nie powinni w nic uderzyć po raz drugi. Kanał miał się już rozszerzać. Od następnego zakrętu dzieliło ich pięć minut, a Mercer nie był pewien, czy płyną środkiem, czy może przy ścianie. Nie mieli tego szczęścia, by uznać, że są na środku, więc pozostawały dwie opcje. Byli przy prawej czy przy lewej stronie?

Mostek był wypełniony do kolan gęstym chlorem, jego opary podnosiły się jak mgła z nawiedzonego bagna.

– Marty, jesteś prawo czy leworęczny? – spytał Mercer i w końcu zaczął oddychać, korzystając z pojemnika. Marty podniósł lewą rękę. – Na minutę zmień kurs o dwa stopnie na prawo, a potem na moją komendę kręć w lewo.

Gdyby Mercer miał się pomylić, zaryliby w ścianę na zakręcie z prędkością mniej więcej sześciu węzłów. Takie uderzenie zgmiotłoby dziób, jak gdyby był z folii aluminiowej.

– Sternik, kurs sto trzydzieści. – Wszyscy słyszeli napięcie w jego głosie. Łódź pochyliła się, więc musieli się zapierać, a gaz przelewał się między grodziami jak płyn. Mercer wstrzymał oddech. Wszyscy wstrzymali. Uderzenia śrub napędowych w wodzie brzmiały jak daleki werbel. Według zegarka Mercera byli w połowie zakrętu. Spojrzał na szkic i zrobiło mu się słabo. Dno i sklepienie tunelu opadały. Powinni być na siedemdziesięciu metrach!

– Nurkujemy!

Ira przekręcił zawory, by zalać zbiorniki balastowe na dziobie, a w tym samym czasie Anika i Hilda wychyliły stery głębokości, jak tylko się dało. Wydawało się, że łódź stanęła na nosie; luźne przedmioty posypały się wzdłuż kadłuba. Mercer pośliznął się i zawisł na stalowej rurze.

Nie do końca im się udało. Górna część kiosku uderzyła w sufit kanału, odrywając oba peryskopy z szarpającym skowytym rozdieranego metalu. Woda wdarła się do centrum bojowego mieszczącego się w kiosku i zalałaby okręt, gdyby nie kolejny wodoszczelny właz. Gęsty jak dym chlor sunął wzdłuż okrętu, redukując widoczność prawie do zera, aż Anika z powrotem podniosła dziób, ustawiając łódź na osiemdziesięciu metrach, na których kil zahaczał już o dno. Niebezpieczna chmura opadła, tym razem sięgając Mercerowi do pasa.

– Wprowadź nas na siedemdziesiąt metrów. Ira, wyrównaj wyporność. – Mercer sprawdził kompas i zauważył, że Marty utrzymał ich idealnie na kursie. – Dobra robota. To była moja wina. Przepraszam.

Mercer zapłacił za te słowa. Poparzone przez gaz płuca zareagowały konwulsjami, a z jego ust wystrzelił strumień wymiocin. Brał wielkie hausty powietrza ze swojego pojemnika, chcąc oczyścić poranione tkanki. Mieli przed sobą już tylko jedną zmianę głębokości, by ominąć wzniesienie w dnie kanału, i do przepłynięcia piętnaście minut.

Wiedział, że nie pociągną tak długo. Marty korzystał ze swojego zbiornika powietrza dużo dłużej niż on, a biedny Erwin pewnie się hiperwentylował od momentu, gdy wypłynęli z jaskini. Pozmieniał liczby na szkicu, raczej pośpiesznie zgadując, niż wykonując porządne obliczenia.

– Maksymalne obroty!

Obrotomierz podskoczył do dwustu dwudziestu na minutę.

– Głębokość trzydzieści metrów na mój znak. – Mercer czuł, jak okręt gna nad dnem tunelu w stronę wyrastającego z podłoża na trzydzieści metrów wzniesienia. Jeśli unieśliby się zbyt wcześnie, roztrzaskaliby się o sklepienie. Zbyt późno, a wbiją się w górę przed nimi.

– Stery głębokości dziesięć stopni w górę. Teraz!

Mercer naprawił poprzedni błąd. Wyczucie czasu było idealne. Niczym rolniczy samolocik kręcący świecę ponad polem długa na siedemdziesiąt metrów łódź podwodna uniosła się nad dnem tunelu i zaczęła wspinać się wzdłuż zbocza skały, nie

oddalając się kilem od jego nieregularnej powierzchni na więcej niż trzy metry. Na trzydziestu metrach Uboot minął wierzchołek wzniesienia, ze sklepieniem ledwie dwanaście metrów nad zrujnowanym kioskiem. Wyrównali ponownie, a śruby mełły wodę każdym amperem, który pozostał w akumulatorach. Stąd gnali już tylko prosto na otwarte morze. Ryzykowny manewr Mercera zaoszczędził im prawie osiem minut.

– Kiedy wypłyniemy na powierzchnię – powiedział Ira, biorąc kolejny haust ze swojego aparatu – zamierzam wypuścić sprężone powietrze do wnętrza łodzi, by wyprzeć gaz. Przygotujcie się na zmianę ciśnienia.

Gdy nabrał pewności, że przepłynęli kanał i znaleźli się w fiordzie, Mercer polecił Irze szasować zbiorniki. Wznoszenie z trzydziestu metrów wydawało się trwać wieczność. Jego zapasy powietrza niemal się już wyczerpały i każdy oddech okupiony był ogromnym wysiłkiem, który wywoływał ból w płucach. Anika i Ira byli w jeszcze gorszym stanie.

Dasz radę, cholera jasna. Jesteśmy tak blisko. Podał Anice ustnik swojego pojemnika, a ona łapczywie się zaciągnęła. Jej już jest pusty, pomyślał. Gdy mijali dwudziesty metr, poczuł, że odpływa, więc wziął od niej na chwilę pojemnik. Poczuł smak Aniki na ustniku.

Jakimś cudem Erwin znalazł siły, by wgramolić się po drabinie do luku ewakuacyjnego. Nie zamierzał pozostać na okręcie ani sekundy dłużej, niż było to niezbędne pchany bardziej strachem przed zamknięciem niż przed gazem.

Łódź wynurzyła się najpierw dziobem, który wystrzelił na dobrych dwanaście metrów nad powierzchnię, po czym opadł ponownie, wzbijając fontanny spienionych rozbryzgów. Na powierzchni spokojnego fiordu, chronionej przed falami Cieśniny Duńskiej przez piętrzące się wokół góry, bulgocząca woda otaczająca Uboota była jedynym śladem aktywności. Okręt kołysał się przez chwilę, podczas gdy Ira zwiększała ciśnienie powietrza, chcąc wyprzeć trujący gaz.

Gdy tylko były marynarz kiwnął Erwinowi, ten otworzył właz. Ciśnienie powietrza wyrzuciło klapę na zewnątrz, wysysając większość gazu. Lodowata woda z zatopionego pomieszczenia bojowego chlusnęła do środka, oblewając załogę. Erwin wspiął się po drabince i, lawirując między powyginanymi pozostałościami peryskopów, dopadł kolejnej. Rygiel na klapie luku zewnętrznego dał się lekko obrócić i Erwin otworzył ją, rozkoszując się światłem dziennym, którego nie widział od tygodnia. Hilda i Anika deptały mu po piętach. Wdrapał się na górę i stanął wyprostowany, patrząc na wschód, w stronę oddalonego o kilka kilometrów wylotu fiordu.

Nikt nie słyszał strzałów trafiających w kiosk okrętu, ale metaliczne dźwięki rykoszetów dobiegły ich wyraźnie, kiedy ołów i odłamki stali rozprysły się we wszystkich kierunkach.

Erwin poczuł dwa ukłucia, a jednocześnie jego umysł zarejestrował, co się stało. Spadł do centrum bojowego. Krew zabarwiła kałuże wody na różowo. Hilda wrzasnęła. Chociaż stalowy kadłub okrętu był ciągle pod ostrzałem, Anika zaczęła opatrywać Erwinowi rany.

Podobnie jak ona Mercer także się nie wahał. Wyglądało, jakby spodziewał się takiego końca tej piekielnej przeprawy. Pobiegnął z powrotem do kajuty i wrócił z pistoletami maszynowymi w obydwu dłoniach. Magazynek poupychał w kieszeni spodni. Bez słowa rzucił Irze jeden MP-40, odbezpieczył swój i wspiął się na mostek.

LODOWIEC NAD JASKINIĄ PANDORY

Należący do Geo-Research helikopter Bell Jetranger 414 obniżył lot i wleciał w lodową zamieć, którą wywołały jego własne wirniki. Nieprzenikniona mgła zaczęła rzednąć dopiero wtedy, gdy łopaty zwolniły, obsypując śniegiem dwa snowcaty chodzące na jałowym biegu, kilkunastu mężczyzn i sanie towarowe, po brzegi załadowane wydobytymi skrzyniami „Pandory”. Mniejsza skrzynia, znaleziona w przedsiönku szybu wentylacyjnego, była trzymana osobno. Podczas gorączkowego wydobywania złotych skrzynek śnieg wokół wejścia został ubity na płasko. Po tunelu nie zostało nic poza pyłem, który buchnął podczas wysadzania przejścia. Ci, którzy skończyli już swoją pracę, czekali, aż rotorstat przyleci i zabierze skrzynie.

Klaus Raeder siedział w pojeździe śnieżnym i usłyszał zbliżający się helikopter dopiero, gdy ten był prawie nad nim. Wściekłość ustąpiła niesamowitemu spokojowi. Helikopter nie był tu potrzebny. Oznaczało to, że Rath zamierzał zagrać o śmiercionośny skarb. Po raz dziesiąty w ciągu ostatniej godziny rzucił okiem za tylne siedzenie na pakę pojazdu. Dwa karabiny szturmowe, których użyto w jaskini do zatapiania zbiorników

z paliwem, były przymocowane do stelaża. Raeder zdjął rękawicę i wsunął prawą rękę do kieszeni skafandra, gdzie miał załadowany pistolet maszynowy, który zabrał z biura. Nie miał problemów z nielegalnym wywiezieniem broni z Niemiec. Służby celne nie zwracały uwagi na prywatne odrzutowce.

Wysiadł ze snowcata. Wiał lekki wietrzyk, powietrze było czyste jak kryształ. Gunther Rath stał nieopodal z Gretą i zawodowym kierowcą, Dieterem. Zanim Raeder zrobił dwa kroki, jakiś cień mignął im nad głowami. Podniósł wzrok. Sterowiec przeleciał nad pasmem gór, oddzielającym lodowiec od morza, a jego cielsko zasłoniło na chwilę słońce. Widok był nie z tego świata, właściwy bardziej dla tytanów niż ludzi. Każda z czterech gondol silnikowych, umieszczonych po bokach wielkiego białego kadłuba, była większa niż jetranger siedzący niczym owad na śniegu.

Odgłos silników sterowca zmienił się, gdy ten zaczął obniżać lot.

Raeder podszedł do Ratha.

– Co tu robi helikopter?

– Rotorstat nie wylądaje tu bez masztu cumowniczego. Przymocujemy jego liny do ładunku, a kiedy odleci nad morze, by zrzucić skrzynie, podążymy za nim helikopterem.

– Nie. – Raeder nie zamierzał udawać, że da się na to nabrać.

– Nie spuszczać skrzyń „Pandory” z oka, dopóki nie będę miał pewności, że zostaną wyrzucone. Wchodzimy na pokład.

– Klaus, on nie zabierze nas bez masztu cumowniczego – powiedział Rath łagodnie. – Możemy obserwować akcję z helikoptera.

Hałas schodzącej maszyny urósł jeszcze, gdy znalazła się poniżej szczytów górskich i huk silników odbijał się echem od skał. Podmuchy spod wirników wzniewały tumany śniegu na powierzchni.

Argumenty Ratha były sensowne. Zawsze były sensowne, pomyślał Klaus. Jego dyrektor do spraw projektów specjalnych potrafił znaleźć wytłumaczenie dla morderstwa i tortur, przedstawiając je jako jedyne możliwe rozwiązania. Ale zawsze były inne rozwiązania, tylko że Raederowi wygodniej było przyzwolić na brutalność Ratha. Nigdy więcej. Raederowi zostało tylko kilka minut. Gdyby sterowiec odleciał bez niego, nie miałby wpływu na to, co stanie się ze skrzyniami.

– Ani kroku dalej, Gunther. Powiedz pilotowi sterowca, żeby nas zabrał. Raeder płynnym ruchem wyciągnął pistolet.

Chwilę potem pistolet leżał w śniegu trzy metry dalej, a ramię Raedera było zdrętwiałe od palców do łokcia.

Klaus Raeder spojrzał najpierw na pistolet, a potem na Gunthera Ratha. Sądząc, że widok broni zastraszy Ratha, nie spodziewał się błyskawicznego kopnięcia, które wytrąciło mu automat z dłoni. Rath stał z błakającym się na ustach uśmiechem, jakby zapraszał do schylenia się po pistolet. Raeder miał do niego trzy metry bliżej, ale gdy spojrzał za Gretę i Ratha, zobaczył, że pracownicy, którzy opróżnili jaskinię „Pandory”, widzieli nierówną konfrontację. Każdy z nich był uzbrojony w karabin

albo pistolet. Broń na pace snowcata nie była jedyną, jaką miał tutaj Rath. Raeder zdał sobie też sprawę, że nie może liczyć na ich lojalność. To byli ludzie Ratha.

– Klaus, nie mam ci za złe, że próbujesz mnie zatrzymać. Myślę, że byłbym wręcz rozczarowany, gdyby stało się inaczej.
– Gunther podniósł pistolet i podał go Grecie.

Raeder przełknął upokorzenie.

– Co zamierzasz z nimi zrobić? Nikt nie będzie w stanie zbudować bomby z fragmentów tego meteorytu.

– One nie potrzebują reakcji łańcuchowej, Klaus. Plan Hitlera był taki, by załadować odłamki meteorytu do pocisków V-2 w Peenemunde i posłać je na Londyn. Miały wybuchnąć trzysta metrów nad ziemią i rozrzucić swój radioaktywny ładunek na ogromnym obszarze. Ponieważ duża część Londynu była wtedy rumowiskiem, pył „Pandory” mógłby wymieszać się z gruzem i po cichu zatruwać całą populację. Obliczano, że już sześć głowic w ciągu dwóch miesięcy zabiłoby w Londynie wszystko, co żywe. Wygląda jednak na to, że Uboot, którego używano do transportu fragmentów, zaginął podczas zawału górniczego, a w wypadku w jaskini zginęli wszyscy pozostali.

Przypuszczam, że wówczas Fuhrer stracił zainteresowanie projektem. Ale w dzisiejszym świecie – ciągnął Rath – fragmenty meteorytu mogą być skuteczną bronią terrorystyczną. Są łatwiejsze do kontroli niż broń chemiczna, mniej skomplikowane w użyciu niż biologiczna, a jako źródło promieniowania niepodobne do czegokolwiek innego. Są zupełnie nie wykrywalne. Już kilka gramów ukrytych, powiedzmy, w zatłoczonej linii metra,

skazałoby każdą przechodzącą osobę na powolną śmierć. Ulegając rozpadowi, ta substancja wytwarza własną osłonę i może być bezpiecznie przenoszona. Nie mogę sobie wyobrazić lepszej broni do celów terrorystycznych, a ty?

– Zamierzasz je sprzedać?

Rath wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

– Mam trzy oferty do wyboru. Korea Północna zaoferowała najwięcej pieniędzy, ale jakoś nie widzę podróży do Phenianu. To samo w przypadku Iraku. W końcu przyjąłem ofertę Libii, bo jest na tyle blisko Europy, że można się tam wymknąć niezauważenie.

– A co z twoją ukochaną partią nazistowską? Opuszczasz ich?

– Jak myślisz, kto dostanie najwięcej z tych kilkuset milionów dolarów?

Trzydzieści minut później do palety załadowanej skrzyniami przymocowano liny nośne sterowca. Raeder, Rath i Greta Schmidt siedzieli z tyłu bella. Pracownicy wsiedli już do dwóch pojazdów śnieżnych i ruszyli w stronę tymczasowej bazy północnej, gdzie mieli wszystko zdemontować i powrócić do Camp Decade. Ponieważ waga ładunku osiągnęła dozwolone maksimum, sterowiec musiał najpierw wznieść się nad lodowcem, by wytworzyć ciąg aerodynamiczny, zanim zawróci nad wybrzeże. Po dwudziestu minutach sterowiec osiągnął pułap trzystu metrów, konieczny, by przelecieć nad górami. Dopiero wówczas wystartował jetranger z najmniejszą skrzynią, spoczywającą pomiędzy Rathem a Raederem. Greta usiadła obok kochanka, ściskając na kolanach zabrany pistolet.

Klaus Raeder odwracał się na swoim miejscu przy oknie, by dojrzeć sterowiec lecący za helikopterem. Żeglował osiemset metrów za nimi, ale wyglądał, jakby miał zaraz połączyć śmigłowiec. Po dziesięciu minutach w powietrzu wciąż byli nad wyszczerbionym wybrzeżem Grenlandii, z jego fiordami, zatokami i przesmykami. Wtedy Raeder zauważył w wąskiej zatoce sześćset metrów pod nimi statek badawczy „Njoerd”.

Uświadomił sobie, że ładunek ma być przeniesiony na statek, ale nie rozumiał dlaczego. Spytał o to Ratha.

– Po pierwsze, potrzebujemy sterowca, żeby odwieźć snowcacy do Camp Decade. Po drugie, ma to do siebie, że zwraca na siebie uwagę, gdziekolwiek się pojawi. Mój plan jest taki, że „Njoerd” zabierze skrzynie do Trypolisu, a sterowiec wróci do Europy, by dokończyć loty testowe.

Duża część pokładu za nadbudówką „Njoerda” została oczyszczona, by zmieścić się tam złote skrzynie, a robotnicy przygotowywali się do kierowania sieci z ładunkiem na miejsce. Śmigłowiec zatoczył szeroki łuk, by zostawić więcej przestrzeni potężnemu sterowcowi, który zniżał się w kierunku statku. Unosząc się czterysta metrów za rufą statku i sto pięćdziesiąt metrów nad nią, pilot odwrócił śmigłowiec, żeby pasażerowie mogli oglądać precyzyjny rozładunek.

Nagle zaledwie pięćdziesiąt metrów od statku badawczego fragment morza ożył, jak gdyby woda tam się zagotowała. Niczym podnoszący się lewiatan wśród spienionych fal pojawił się szary, przypominający torpedę kształt, który wzniósł się nad wodę, odsłaniając ćwierć swojej długości.

– Mein Gott! – krzyknęli jednocześnie Rath, Raeder i Schmidt. Rozpoznali zabytkowego Uboota i wiedzieli, skąd się tam wziął.

Okręt wciąż podskakiwał na wzbudzonych przez siebie falach, gdy w jego kiosku z impetem otworzył się właz i pojawił się w nim człowiek. Rath polecił pilotowi, by podleciał bliżej, żeby mógł się lepiej przyjrzeć. Miał nadzieję, że to Mercer pierwszy wyszedł z okrętu podwodnego, ponieważ przy relingu „Njoerda” stali już jego ludzie uzbrojeni w karabiny.

Zanim Rath mógł rozpoznać, kto to jest, na lufach karabinów zagrały małe płomyki, a mężczyzna zniknął w czerwonej mgiełce.

– Łącz mnie ze sterowcem – rozkazał Rath. Chwilę później zgłosił się przez radio pilot rotorstatu.

– Co mam zrobić?

– Wstrzymać rozładunek, a my zajmiemy się łodzią podwodną.

– Nie wiem, czy dam radę. Silniki mają pełną moc, a i tak tylko spowalniają nasze opadanie.

Cztery wirniki sterowca tak mocno meły powietrze, że napięły jego kevlarową powłokę. Sieci z ładunkiem dyndały zaledwie piętnaście metrów nad powierzchnią zatoki. Ciężkie liny cumownicze już moczyły się w wodzie. Rath spojrzał jeszcze raz na łódź podwodną, gdy kolejna osoba weszła na mostek. To był Mercer, ale skulił się tak, że nie widzieli go z „Njoerda”. Był skupiony na sterowcu i nie zauważył helikoptera wiszącego za nim.

Upewniwszy się, że jest dobrze przypięty pasami, a Greta pilnuje Klausa, Gunther Rath otworzył boczne drzwi jetranglera. Arktyczne powietrze uderzyło w niego jak huragan. Nie mógł celnie strzelać w rękawiczkach, więc zdjął je. Włączył specjalnie wmontowany celownik laserowy. Okręt się kołysał, a helikopter podskakiwał, więc wątpił, czy uda mu się trafić. Zależało mu jednak tylko na przyciągnięciu uwagi Mercera, żeby rotorstat mógł powoli wycofać się z fiordu. Czerwona plamka światła zachybotwała ponad wieżyczką okrętu, po czym wiązka lasera przeszła Mercera. Rath zaczął strzelać.

Mercer nie widział sterowca, słyszał tylko dudnienie nad sobą. Ten hałas zagłuszał wszystko. Domyślając się, że go nie widzą, zaryzykował spojrzenie ponad krawędzią mostka. W tym momencie zauważył „Njoerda” i ludzi ustawionych na burcie z bronią wymierzoną w niego. Schylił się, a kule uderzyły w kiosk. Kiedy Erwin wpadł do środka okrętu, a Mercer usłyszał sterowiec, założył, że strzały pochodzą z góry. Teraz wiedział, kto prowadził ostrzał. Wynurzyli się w środku przeładunku.

– Gdyby nie ten pech... – wyszeptał. W luku pojawiła się głowa Iry. – Co z Erwinem?

– Anika się nim zajęła. Chyba nie jest bardzo źle. Co się dzieje?

– „Njoerd” jest jakieś pięćdziesiąt metrów po lewej burcie, a sterowiec unosi się dokładnie nad nim. I leci w naszą stronę. Wracaj na dół i podkręć kompresory. Napełnij zbiorniki balastowe powietrzem i przygotuj się do zanurzenia. I zostaw pistolet. Mam pewien pomysł.

– Nie lubię, kiedy tak mówisz – skomentował Ira i zniknął pod pokładem. Mercer zamierzał jeszcze raz spojrzeć na sterowiec, kiedy odłamek rozpalonej do białości stali odbił się rykoszetem wewnątrz mostka i utkwiał w jego udzie. Upadł ciężko, zakrywając dłonią piekącą ranę, i spojrział w górę. Duży helikopter Bell wisiał tuż za nim z otwartymi drzwiami. Mercer widział wyraźnie pistolet trzymany przez Gunthera Ratha i sadyistyczny uśmiech na jego twarzy. Płynnym ruchem wyciągnął spod siebie MP-40 i nacisnął spust. Ciężki pistolet maszynowy wierzgał, jakby Mercer trzymał w ręku przewód pod napięciem, i zaciął się po opróżnieniu połowy magazynka na trzydzieści dwa naboje. Kiedy przeładował, żeby odblokować zamek, helikopter wykręcił i odleciał poza zasięg strzału.

Mercer odwrócił się w kierunku „Njoerda” i, podnosząc się, znowu nacisnął spust. Seria rozproszyła strzelców z burty jednostki. Wykorzystując chwilę przerwy, kiedy tamci się przegrupowywali, wbił nowy magazynek. Krzyknął przez luk do środka Uboota.

– Marty, potrzebuję pomocy!

– Pieprzyć to. Wyośmy się stąd.

Choć wściekły, nie mógł winić Martina Bishopa. Najmądrzej byłoby zamknąć właz i odpłynąć. Ale Mercer nie mógł na to pozwolić. Nie teraz, gdy mógł to zakończyć raz na zawsze. Nikt nie zwracał uwagi na skrzynie „Pandory”, a sądząc po szerokości fiordu i wysokości gór, zatoka miała głębokość trzystu metrów. Całkowicie wystarczającą.

– Na miłość boską, Marty, rusz dupę na górę. – Sterowiec z wysiłkiem leciał ponad pokładem „Njoerda”, nabierając prędkości. Gdy sieci z ładunkiem znalazły się poza pokładem, ciągnięte w spokojnej wodzie liny cumownicze sterowca ułożyły się w równoległe litery V. Za dwadzieścia sekund lub mniej miały przejść przez przedni pokład łodzi podwodnej. Monstrualny zbiornik gazu, przelatując, zasłonił słońce i nad zatoką zaległ złowrogi cień. Śruba mełła wodę z tyłu Uboota.

– Czego chcesz? – Marty pojawił się w luku, jego pewny głos kontrastował z szaleństwem w oczach.

– Weź to. – Mercer podał mu MP-40, który zostawił Ira. – Wyceluj w helikopter, gdy podleci za blisko, albo w „Njoerda”, jeśli tamci znowu się zorganizują.

– Nigdy w życiu nie strzelałem. Co jeśli będę musiał zmienić magazynek?

– Jeśli będziesz potrzebować aż tyle amunicji, ja już prawdopodobnie nie będę żył.

W nerwach Marty uniósł broń, a ta plunęła niepotrzebną serią. Ze śmigłowca oddalonego o czterysta metrów obserwowano rozwój wydarzeń z bezpiecznej odległości. Broń Ratha nie równała się z pistoletem maszynowym. Ludzie na pokładzie „Njoerda” schowali się za nadburciem lub elementami wyposażenia. Trzymali nieruchomy okręt podwodny na muszce, z rzadka oddając po kilka strzałów, żeby utrzymać Mercera w jednym miejscu. Ten pat był im na rękę, bo dawał powietrznemu kolosowi czas, by się oddalił.

– Chrzanić to – wymamrotał Mercer i przejechał serią po statku badawczym, ciesząc się ze wściekłego zgrzytu ołowiu o stal. Przeskoczył barierkę na mostku i zamarł po drugiej stronie kiosku. Huk śmigłowca Ratha nasilał się, ale gdy uniósł broń, maszyna odskoczyła znowu na dystans. Podczas tego piruetu w powietrzu Rath strzelił, ale chybił.

Zeppelin był dokładnie nad okrętem, górując nad nim jak czterdziestopiętrowy budynek. Opróżnienie magazynku w jego podbrzusze równałoby się pluciu w słonia papierowymi kulkami, więc Mercer nawet o tym nie myślał. Liny cumownicze – tego potrzebował. Zwisaly z dziobu sterowca, a ich końce zanurzały się w morzu i przesuwaly się przez środek przedniego pokładu okrętu. Za kilka sekund odlatująca jednostka przeciągnie je poza jego zasięg. Mercer musiał pokonać dziesięć metrów, trzymany na muszce przez niewiadomą liczbę strzelców. Miał sucho w ustach, a ból w nodze pulsował szybko w rytm uderzeń serca. Teraz albo nigdy.

– Osłaniaj mnie, Marty! – Nie miał pewności, że tamten usłyszał go poprzez ryk silników sterowca, ale mimo to wybiegł zza osłony.

Od razu odezwały się strzały, ale odpowiedziały im serie z pistoletu z wieżyczki okrętu. Mercer biegł zygzakiem po pokładzie, gdy trafił stopą w pokrywę wjazdu i runął jak długi. Zaraz posypał się w jego stronę grad pocisków, ale stanął na nogi, ostrzeliwując się na lewo z utrzymanego kurczowo MP-40. Manilowe liny cumownicze miały przynajmniej osiem centymetrów obwodu, były na stałe przymocowane do wewnętrznej

konstrukcji sterowca i na tyle mocne, żeby obsługa naziemna mogła holować sterowiec pod silny wiatr. Gdy jedna z nich wiała się już na pokładzie jak uciekający wąż, Mercer padł na kolana, wystrzelił ostatni pocisk i odrzucił broń. Potrzebował dwóch rąk, by podnieść linę. Była śliska i bardzo ciężka od morskiej wody. Pobiegnął z powrotem do kiosku, a zaciekle serie z pistoletu Marty'ego utrzymały strzelców na dystans przez cenne sekundy. Szorstka lina zdierała skórę z jego rąk, gdy sterowiec przeciągał ją przez okręt. Gdy dobiegł do osłony, zostało tylko piętnaście metrów, zanim lina wysunęłaby się z jego chwytu.

Spojrzał w górę i zobaczył, że śmigłowiec wraca. Rath musiał się domyślić, co planował Mercer, i leciał, by go powstrzymać. Huk zagłuszał inne dźwięki, lecz Mercer widział, że Rath przeładowywał broń, co oznaczało, że do niego strzelał. Obwiązał linę wokół słupka relingu, by nie przeciągnęło jej z powrotem na przód okrętu.

Krzyknął, by ostrzec Marty'ego, ale jego głos utonął w hałasie, jaki robił sterowiec. Skacząc z burty okrętu do wody, mógł się tylko modlić. Wściekle go ostrzeliwano.

Gdy lodowata woda dotknęła jego skóry, zaparło mu dech w piersiach. Zimno było przeszywające jak lód, ale dużo, dużo od niego gorsze. Ból rozrywał mu czaszkę i stawy. Miejsce wokół rany na nodze zdrętwiało. Ubranie Mercera szybko nasiąkło wodą i poczuł, że ciągnie go na dno. Kopiając najpierw jedną nogą, potem drugą, udało mu się zrzucić buty księżycowe, stał się tym samym kilka kilogramów lżejszy, ale na powierzchnię wypływał dramatycznie wolno.

Wynurzył głowę. Dotarł do zewnętrznego kadłuba i złapał się za jeden z wielu otworów. Zobaczył ogon beli jetranglera, ponownie odlatującego poza zasięg strzału. Najwyraźniej to Marty go odgonił. Mercer z trudem wspinał się po burcie łodzi, szorstkie krawędzie otworów zagłębiały się w jego bose stopy jak ostrza żyletek.

Czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia i zobaczył Anikę Klein, która chciała mu pomóc. Musiała dołączyć do Marty'ego na mostku i wyskoczyła na pokład, gdy zobaczyła Mercera nurkującego w wodzie.

– Przywiąż linę cumowniczą! – Do Mercera dźwięki docierały jak z bardzo daleka.

– Marty już się tym zajmuje. – Anika mocno chwyciła Mercera za ramię i wciągnęła go na pokład. Kilka stóp dalej Marty zawiązywał węzeł na linie cumowniczej, przewleczonej przez kilka większych otworów w pokładzie.

Napięła się dokładnie w momencie, gdy skończył mocować ją do okrętu. Spojrzał w górę, by zobaczyć sterowiec złapany na własną smycz. Naprężywszy ją, rotorstat zaczął obracać się wokół własnego dziobu, tracąc wysokość, aż śmiercionośny ładunek zanurzył się na chwilę w oceanie. Silniki wyły.

– Mamy cię, sukinsynu! – krzyknął Marty.

– Wykończmy go. – Mercer wstał. Nad ich głowami ponownie zaterkotał schmeisser, a Hilda Brandt przynagliła ich gestem, trzymając dymiący czarny pistolet w swoich wielkich dłoniach.

Jak ryba walcząca o życie, sterowiec szamotał się w przód i w tył, usiłując uwolnić się od Uboota. Rath pewnie już połączył

się z pilotami i uświadomił ich, że jeśli ośmielą się odzepić skrzynie „Pandory”, uratują się na bardzo krótko.

Mercer miał zgrabiące ręce, kiedy wspinał się po drabince na mostek, który osłaniała Hilda, strzelając seriami z karabinu. Gdy wreszcie znaleźli się na łodzi, Hilda poleciła im zejść pod pokład. Miała ostrzeliwać „Njoerda”, by powstrzymywać załogę przed spuszczeniem łódki i przecięciem liny.

Gdy Mercer wszedł do pomieszczenia dowodzenia, zobaczył Erwina Puhla opartego o stół nawigacyjny. Był bez koszuli, a ranne ramię miał zabandażowane. Bandaże były nasiąknięte krwią. Twarz meteorologa była szara, a usta zaciśnięte z bólu.

– Wszystko w porządku? – spytał Mercer, szcękając zębami.

– Anika mówi, że tak. Pierwszy pocisk przeszedł pod pachą. Drugi był rykoszetem, który utkwiał w ramieniu. Boli, ale...

– Ira – sapnął Mercer, zdejmując mokre ubrania. – Jesteś gotowy?

– Na twój sygnał.

– Zamykaj właz, Marty, i chodź na dół.

Anika pomogła Mercerowi się rozebrać. Stał nagi, a po jego sonej skórze ściekała krew pomieszana z wodą.

– Nie oceniaj mnie w tym stanie – rzucił, gdy spojrzała na jego krocze. Okryła go kocami.

Hilda i Marty zeszli do środka.

– Zanurzenie! – Zbiorniki balastowe zabalgotwały wypełniane wodą i łódź zaczęła powoli opadać w dół.

Pilot sterowca zobaczył pianę i bąble powietrza wokół za-
bytkowego okrętu. Wiedział, co zaraz nastąpi. W tym momencie

przestał być lojalny w stosunku do Ratha. Skinął głową w kierunku drugiego pilota.

– Nie rób tego! – Rath darł się w ich słuchawkach. – „Njoerd” wysyła łódź, która przetnie linę cumowniczą. Dacie radę!

– Pieprzyć to – mruknął pilot. Jego zastępca wcisnął przełącznik obsługujący liny, na których wisiały sieci z ładunkiem. Trzydzieści ton złota splądrowanego przez nazistów i tona najbardziej śmiercionośnego pierwiastka na Ziemi odczepiły się od sterowca. Z pluskiem wpadły do morza i zniknęły.

Sterowiec poszybował w górę jak balonik, na ile pozwalała mu lina. Z nosem w dole i silnikami pracującymi na najwyższych obrotach mocował się z liną, która próbowała wciągnąć go pod wodę. Będzie wolny, jeśli wytrzyma na tyle długo, aż ktoś z „Njoerda” przetnie linę. Sterowiec wibrował.

Pilot zrzucił paliwo, by maszyna była jeszcze lżejsza, ale niczego to nie zmieniło i wysokościomierz dalej z wolna kręcił się do tyłu. Nie potrzebował nawet wyglądać przez szybę w kokpicie, by wiedzieć, że im się nie uda.

– Co teraz zrobimy? – spytał drugi pilot.

– Umrzemy.

Uderzenie dziobu sterowca wywołało ogromną fontannę wodnego pyłu i nieubłagana wędrownka pojazdu w dół została zatrzymana. Wisiał z nosem zanurzonym w wodzie.

Na Uboocie wszyscy poczuli szarpnięcie kadłuba, kiedy sterowiec uderzył o powierzchnię wody. Nawet z całkowicie wypełnionymi wodą zbiornikami balastowymi okręt nie mógł

przewyciężyć pływalności trzydziestu tysięcy metrów sześciennych helu. Sytuacja była patowa.

– Jaka jest nasza głębokość? – parsknął Mercer z ustami pełnymi brandy, którą pociągał z butelki, żeby się rozgrzać.

– Czterdzieści metrów i tak trzyma. Nie wciągniemy go pod wodę.

– Nie musimy. Szasuj zbiorniki i na powierzchnię.

Nie do końca rozumiejąc plan Mercera, Ira przepompował sprężone powietrze z powrotem do zbiorników balastowych i obserwował głębokościomierz, gdy łódź ponownie się wynurzała.

Sterowiec stał prawie w pionie i śmigła nie wytwarzały ciągu, więc kiedy łódź się wynurzała, a napięcie na dziobowej linii zelżało, jego ogon opadł, zanim piloci mogli zareagować. Potężny statecznik rozciął wodę niczym ostrze noża. Powietrzny kolos klapnął brzuchem o powierzchnię wody i zaczął obracać się na bok. Napędzane turbośmigłowymi silnikami wirniki szatkowały powietrze z ogromną prędkością, ale w kontakcie z wodą teflonowe płyty oderwały się jak ostrza kos. W powłoce pojawiły się długie na trzydzieści metrów rozcięcia, przez które z potwornym świstem uciekał hel. To był śmiertelny krzyk sterowca.

Pozbawiony połowy gazu i nasiąknięty wodą osiadł na wodzie i zaczął tonąć. Wewnętrzne ciśnienie wypychało gaz nośny w kieszenie powłoki, które pękały jak bąble we wrzątku. Część kevlarowego poszycia rozłożyła się na rufie „Njoerda”, marszcząc się i przykrywając suwnice pokładowe. Załoga uwijała się, by go odciąć, zanim wywróci statek się wywróci. W tym momencie pozostałe silniki sterowca także uderzyły w wodę i kolejne

fragmenty wirników siały spustoszenie w powłoce czaszy i na „Njoerdzie”.

Trzydzieści metrów od sflaczałego dziobu sterowca bezczelnie wypłynął na powierzchnię Uboot.

Rath obserwował, co się dzieje, i kiedy dostrzegł łódź, wpadł w szal.

– Podleć bliżej – krzyknął do pilota, ładując nowy magazynek do swojego glocka.

Na kiosku okrętu widział dwoje ludzi, którzy wyszli na pokład. Jeden trzymał siekierę, a drugi schmeissera.

– Nic nie możemy zrobić – powiedział pilot.

– Niżej! – Rath przystawił lufę karabinu do głowy pilota. Helikopter podleciał do łodzi jak zniżający się jastrząb i dostał się pod grad pocisków 9 milimetrów z MP-40. Rath zdążył oddać tylko jeden strzał, nim szarża się zakończyła, i znalazł się poza zasięgiem. Gdy pilot zawracał, przygotowując się do kolejnego nalotu, jedna z osób na pokładzie doskoczyła do liny i zaczęła ją rąbać siekierą. Udało jej się za trzecim razem.

– Zabiję cię! – wściekał się Gunther Rath.

– Wątpię. – Śmiech Klausa Raedera było słychać mimo wpadającego do kabiny wiatru. – Strzelisz tylko raz, kiedy oni wpakują w nas kilkanaście pocisków. A potem zamkną właz i nie będzie już nic do roboty.

– Kochanie, on ma rację – powiedziała Greta. – Tamtych skrzyń już nie ma, ale wciąż mamy tę. – Trąciła złotą skrzynię u jej stóp. – Możemy wylądować na „Njoerdzie” i być już daleko, zanim oni dotrą do Islandii.

Przez chwilę myślała, że ją zastrzeli za powiedzenie czegoś takiego. Ale Rath schował pistolet do kabury i odwrócił wzrok na zniszczony sterowiec. Greta nie zamierzała ryzykować, prosząc o zamknięcie drzwi, i ciałniej otuliła się swoją parką. Rath dokładnie obejrzał Klausa Raedera, jakby ten był przedmiotem. Nie odezwał się, ale Raeder rozpoznał oszalałe spojrzenie zapędzonego w pułapkę zwierzęcia.

Rath był bliski wybuchu. Gunther jeszcze raz sięgnął do płaszcza i wyjął glocka. Niedbałym machnięciem wyrzucił go do wody.

– Zabiłbym cię, gdybym tego nie zrobił – wyjaśnił. – Zanim oczyszczą pokład „Njoerda” na tyle, żebyśmy mogli wylądować, Mercer będzie już w połowie drogi do Kulusuk. Nie zdołamy go złapać, więc zmieniamy plan. Pojedziemy gdzieś, gdzie będą cię potrzebowali.

Dwadzieścia minut zajęło oczyszczenie lądowiska dla helikopterów z tego, co zostało po sterowcu. Gdy byli już na dole, Rath zorientował się, że nie ma wystarczająco dużo paliwa, by lecieć dalej. Spuścili na wodę jedną z szybkich motorówek, znajdujących się na pokładzie statku badawczego. W tym czasie Uboot był już daleko. Godzinę później Gunther Rath, Greta Schmidt i czterech najlepszych ochroniarzy znalazło się na pokładzie ekskluzywnego liniowca. Klausa Raedera wrzucono do ładowni razem z ostatnią skrzynią z fragmentami meteorytu.

Przy prędkości trzydziestu węzłów zasięg łodzi wynosił ponad dwieście mil. Do punktu docelowego mieli dotrzeć krótko przed zapadnięciem nocy.

NA POKŁADZIE U-1062

Lewy silnik dymił, a w przedziale akumulatorowym gęstniały gryzące opary, zmuszając załogę do otwarcia wszystkich włazów łodzi. Ira daremnie próbował zorientować się, co tak dymi. Hałas silnika zagłuszał potok jego przekleństw.

– Jak to wygląda? – Mercer próbował przekrzyczeć huk. Lasko starł smar z twarzy.

– Jak byśmy mieli nie dotrzeć do Islandii, wyspy Kulusuk ani nigdzie indziej. – Splunął na pokład czarną śliną. – W przynajmniej dwóch cylindrach zerwały się pierścienie tłoków, wszędzie puszczają uszczelki i gdyby nie olej, który uratowałem z prawego silnika, ta świnia zdechłaby w ciągu godziny.

– Ile mamy czasu?

Ira podrapał się po kilkudniowym zaroście, który pokrywał jego zazwyczaj gładko ogoloną głowę.

– Cztery, może pięć godzin. Możemy popłynąć do wybrzeża Grenlandii, ale wtedy będziemy w punkcie wyjścia.

– Więc musimy podjąć decyzję.

– No. Porozmawiaj z resztą. Ja się dostosuję. Zostanę tu i spróbuję ją udobruchać.

Mercer wycofał się ostrożnie wąskim przejściem między silnikami. Schylając się, przeszedł przez dwie wodoodporne grodzie, by dojść do stanowiska dowodzenia. Krzyknął w górę w stronę mostku na szczycie kiosku, gdzie czuwał na czatach Marty. Hilda Brandt siedziała na miejscu sternika, pilnując, by łódź trzymała kurs. Anika wróciła właśnie od Erwina, który spał w swojej koi.

Marty zszedł z drabiny i stanął obok Aniki.

– Jaki jest stan Erwina, pani doktor? – spytał ją.

– Nic mu nie będzie. Dostał antybiotyki, które powstrzymają infekcję. Nie stracił za dużo krwi, więc nie doznał szoku. Nie musimy się martwić. Odłamek, który utkwiał w ramieniu, powinien zostać usunięty, ale na razie nie trzeba tego robić. Kula, która przeszła pod ramieniem, nie trafiła w żadne ważne naczynie krwionośne ani kość. Chciałabym tylko móc ulżyć mu w cierpieniu.

– Erwin jest silniejszy, niż wygląda – stwierdził Marty.

– To fakt.

– Dobra, ludzie. Dobra wiadomość jest taka, że mamy wystarczająco dużo brandy, by zrobić imprezę. Zła, że nie zaprosimy gości, bo wygląda na to, że nie dotrzemy do cywilizacji – powiedział Mercer. Ton jego głosu zmienił się w poważny. – Ira powiedział, że silniki nie pociągną dłużej niż cztery, pięć godzin. Oznacza to, że jeśli dalej będziemy kierować się na wschód, zatrzymamy się daleko przed Islandią, a jeśli skręcimy na południe, i tak nie dotrzemy do wyspy Kulusuk.

– Jakie są inne możliwości? – spytała Anika nauczona doświadczeniem, że Mercer znajdzie rozwiązanie.

– A: nie dopłyniemy do Kulusuk, B: nie dopłyniemy do Islandii. To by było na tyle.

– Czy możemy zawrócić do wybrzeży Grenlandii i poczekać na pomoc? – spytał Marty.

Mercer pokręcił głową.

– Wątpię, żeby ktoś nas znalazł. Pamiętaj, że to jeden z najbardziej odludnych zakątków Ziemi. Nawet, jeśli uda nam się znaleźć odpowiednie miejsce do zacumowania, to kończą się zapasy jedzenia, a bez łączności dalej będziemy odcięci.

– Mamy broń. Możemy polować na foki – stwierdził roztropnie Marty.

– Jak tylko Rath ruszy „Njoerdem”, przeczesze wybrzeże. Od razu wypatrzy łódź podwodną z helikoptera. Jeśli myślisz, że możemy się zanurzyć, dopóki nie odleci, od razu o tym zapomnij. Ponieważ wiemy o „puszkach Pandory”, nie odpuści, póki nie będzie przekonany, że zginęliśmy.

Nie odzywali się przez moment, ponieważ nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

– Mamy trzecią możliwość – wtrącił się Erwin Puhl. Stał we władze łączącym kwatery załogi ze sterownią. Od pasa w górę zawinięty był w bandaż. Kawałek taśmy chirurgicznej przyklejony na nosku jego okularów trzymał połamaną oprawkę.

– Słyszałem, jak rozmawiacie.

Anika znalazła się przy nim w trzech susach. Pomogła mu usiąść w fotelu przy stole nawigacyjnym. Na jej twarzy malowała

się mieszanka zmartwienia i irytacji. Nie chciała, żeby wstawał z łóżka, ale widziała jego determinację i zdała sobie sprawę, że upominanie go byłoby bezcelowe. Erwin zaczął się trząść. W słabym świetle sterowni jego skóra wydawała się szara. Na stole nawigacyjnym leżała mapa Cieśniny Duńskiej przyciśnięta dziennikiem okrętowym.

– Gdzie dokładnie jesteśmy? – wycharczał Erwin.

Mercer pokazał punkt jakieś sto trzydzieści kilometrów od wybrzeża Grenlandii, trochę na południe od fiordu, z którego właśnie uciekli.

– A dzisiaj jest piętnasty, prawda? Dzisiaj przez cieśninę będzie przepływał statek. Będzie tu za około pięć godzin. Zdecydowanie w naszym zasięgu.

– Tędy nie pływa zbyt wiele statków – powiedział Mercer.

– Skąd to wiesz?

– Bo na jego pokładzie jest inny członek Bractwa Pięści Szatana. Płynie nim, żeby odzyskać ostatnią ikonę, którą kazał zrobić Rasputin, tę, której Leonid Kulik nie zniszczył.

Wszyscy byli w szoku.

– Powszechne zgromadzenie na pokładzie „Cesarzowej Mórz”?

– Tak. Papież zwraca ikonę Cerkwi, a brat Watutin ma ją odebrać. Mercer zamilkł na chwilę i się zamyślił.

– Pamiętam, że jak się poznaliśmy, wspominałeś, że „Cesarzowa Mórz” będzie przepływała przez cieśninę. Wydawało mi się dziwne, że znasz jej trasę, zwłaszcza że to miała być tajemnica. Twój kolega na pokładzie przekazał ci plan rejsu?

Erwin potwierdził.

– Dlaczego statek płynie tak daleko na północ? – spytała Anika.

– Żeby pasażerowie mogli zobaczyć zorzę polarną powstałą w wyniku maksimum słonecznego.

Mercer nie lubił zbiegów okoliczności i także ten wydał mu się podejrzany. Pomyślał, że może być jeszcze inna przyczyna tego, że „Cesarzowa Mórz” płynie tędy, ale zachował to dla siebie.

– Jesteś tego pewien? – zapytał Erwina.

– Jestem absolutnie pewien. Najważniejsi delegaci musieli zaakceptować trasę na długo przed wypłynięciem statku. Brat Anatolij ukradł rozkład podróży biskupowi Olkranszy’emu, swojemu przełożonemu.

Kiedy Anika przetłumaczyła rozmowę Hildzie, Mercer zauważył, że zdania w grupie są podzielone. Uznał, że to nie najlepszy moment na głosowanie. Lepiej będzie, jak sam podejmie decyzję.

Przez lata wiele razy ryzykował ludzkie życie. Najczęściej swoje, ale ciężar odpowiedzialności go przytłaczał. Piątka ocalałych zaufała mu i musiał zrobić to, co uważał za konieczne. Nauczył się, że życie nie polega na podejmowaniu najlepszych decyzji. To byłoby proste. Prawdziwym sprawdzianem była umiejętność minimalizowania szkód wyrządzonych przez złe wybory. Wydawało mu się, że w ostatnich kilku tygodniach popełnił tak wiele błędów, że została mu ostatnia szansa na naprawienie wszystkiego.

Dokładnie wyznaczył kierunek na mapie.

– Anika, niech Hilda położy nas na kurs sto cztery stopnie. Marty, leć do Iry do maszynowni i powiedz mu, żeby podkręcił obroty, ile tylko może.

Jego rozkazy zostały natychmiast wykonane.

– Będę na górze. Potrzebuję świeżego powietrza. – Głos uwiązał mu nagle w gardle.

Tak jak tej nocy, gdy tysiąc kilometrów na południe zatonał „Titanic”, ocean był spokojny jak staw. Niebo było bezchmurne. Zorza będzie rzeczywiście niesamowita. Jej światło odkryje wszystkie góry lodowe, dając im czas na opłynięcie ich. Mercer ściągnął sznurek przy kapturze kurtki, schował dłonie w kieszeniach.

Stał sam na mostku przez pół godziny, nim z włazu wychynęła Anika. Bez słowa podała mu kolację – dwa batoniki proteinowe. Żuli w ciszy. Woda w kubku miała skorupkę lodu. Anika patrzyła na Mercera.

– Fenig za twoje myśli.

– Przy dzisiejszych kursach to będzie pół centa – odparł ponuro. – Chyba przepłacasz. Przepraszam, ale wolałbym być teraz sam.

Te słowa ją dotknęły.

– Żeby się zamartwiać? – odparowała.

– Żeby się zastanowić.

– Wydaje mi się, że dla ciebie jedno i to samo. Dlaczego się obwiniasz? Gdyby nie ty, umarlibyśmy już w samolocie z Camp Decade. To ja rozmawiałam z Ottonem Schroederem, więc jeśli chcesz kogoś obwiniać, to obwiniaj mnie.

– Nie. Chodzi o Gunthera Ratha.

Mercer wpadł w jej pułapkę. Anika się uśmiechnęła. Zorza odbijała się w jej czarnych włosach.

– Widzisz, wiesz jaka jest prawda, a jednak umartwiasz się, jakby wszystko było twoją winą. To głupie.

– Dla mnie to nieuniknione.

– Bo na to pozwalasz.

Mercer nie umiał odpowiedzieć i ponownie zapadła cisza. Anika zawahała się, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała jak. W końcu odezwała się łamiącym się głosem.

– Tam, w fiordzie, powinnam była zostać na dole, by doglądać Erwina. Jestem lekarzem i byłam zobowiązana wobec pacjenta. Zamiast tego wspierałam się do wieży dowodzenia. Myślałam, że po prostu chcę pomóc. Teraz wiem, że chciałam zabrać pistolet Hildzie i zabić tych ludzi z „Njoerda”. Całe życie uczyłam się, jak przynosić ulgę w bólu, a jedyne, o czym myślałam wtedy, to żeby ich zastrzelić za to, że są częścią tego samego zła, które wymordowało sześćdziesiąt lat temu wszystkich tych ludzi w jaskini. Nigdy wcześniej nie chciałam zabić. – To zwierzenie dużo ją kosztowało.

– Ale nie zrobiłaś tego. Anika, chęć zrobienia czegoś nie jest przestępstwem. Co roku chcę oszukać urząd skarbowy. To nie czyni ze mnie złodzieja.

– Tak, tylko że ty nie składałaś przysięgi, że będziesz płacił podatki tak jak ja, że będę leczyć ludzi. Powinnam być przy Erwinie, nie ulegając chęci zemsty – przerwała. – Ty... zabijałeś już ludzi, prawda?

– Tak. Ostatnio załogę sterowca.

– I jak, no wiesz, radzisz sobie z tym?

Nie radzę. Usprawiedliwiam się, tłumacząc sobie, że oni by mnie zabili, gdybym nie zadziałał pierwszy. Potem zakopuję poczucie winy tak głęboko, jak umiem, modląc się, że pewnego dnia koszmarne sny się skończą. Ale Mercer nie powiedział tego. Bał się, że wypowiedzenie tego na głos zburzy w jakiś sposób mur, który odgradzał go od tych emocji.

– Tak samo, jak ty radzisz sobie z pacjentami, których nie zdołałaś uratować. Koncentrujesz się na tych, którym pomogłaś.

Anika spojrzała mu głęboko w oczy i poznała, że kłamie. Przemilczała to, ponieważ złodziej, który umarł na ostrym dyżurze, nim przyjechała na Grenlandię, był pięćdziesiątym siódmym pacjentem, którego straciła. Nie miała pojęcia, ilu ocalała.

– Nie powinnam była pytać. Przepraszam. Jak twoja noga?

– Trochę boli, ale szwy, które założyłaś, wyglądają dobrze, dziękuję. – Mercer zrozumiał, że mu odpuściła. – Muszę cię zatrudnić na cały etat.

– Po helikopterze i DC-3 już nigdy nie wejść do samolotu. Nie licz, że przyleć do Stanów na wizytę domową.

Mercer się uśmiechnął.

– Wypadki zdarzają mi się tylko w Europie.

Rozmawiali tak przez następne dwie godziny. o niczym konkretnym – po prostu cieszyli się, słuchając swojego głosu. W końcu zimno zmusiło Anikę do zejścia na dół. Zatrzymała się we włączu, nie mogąc nie wrócić do tematu, który porzucili.

– Gdybyś chciał kiedyś porównać koszmary, możesz na mnie liczyć. Schowała się, nim Mercer zdążył odpowiedzieć.

Chwilę później pojawił się we władze Ira Lasko. Zastał Mercera śmiejącego się do siebie.

– Co to za kawał?

– Chyba jestem bardziej przewidywalny, niż mi się wydawało. Co słychać tam na dole?

– Głowa mi zaraz pęknie od tych spalin, ale daję radę. Mamy jakąś godzinę do „Cesarzowej Mórz”. Myślę, że silniki wytrzymają. Udało mi się nawet zebrać wystarczająco dużo działających baterii, żebyśmy mogli wykonać jakieś manewry, gdy silniki padną.

– Dobra robota.

– Myślisz, że znajdziemy liniowiec?

– Będzie się świecił jak choinka, a pogoda chociaż raz nam sprzyja. Myślę, że ją wypatrzymy.

Mercer podszedł do włazu.

– Mogę równie dobrze pozwolić innym postać na warcie. Odmrażam sobie tyłek.

Marty przejął wartę na wieży, a Mercer spędził kilka minut w maszynowni, ogrzewając się ciepłem z wielkiego silnika. Był już z powrotem w sterowni, gdy lewy silnik padł ze świdrującym zgrzytem. Rozpędzona śruba napędowa zatrzymała się tak gwałtownie, że cała łódź nagle się zakołysała. Nieprzyjemna cisza wydawała się nienaturalna po tylu godzinach hałasu.

– Ty przekłeta dziwko! – usłyszeli wrzask Iry. – Ty śmierdząca kupo gówna! Stać cię na więcej.

– Szefie, miałeś czule szeptać do maszynierii – odkrzyknął Mercer.

– To niemiecki silnik. One lubią ostre traktowanie. – Wszedł do pomieszczenia. – Sorry, koledzy. Koniec trasy. Mamy jeszcze jakieś dwadzieścia minut w bateriach, jeśli będziemy powolutku pełznąć.

Mercer jeszcze raz sprawdził ich położenie na mapie.

– Powinniśmy być na kursie „Cesarzowej Mórz”. Przy odrobinie szczęścia baterie nie będą potrzebne.

– Myślałeś już, jak chcesz na nią wejść? Kiosk jest wyłożony materiałem tłumiącym radar. Nigdy nas nie zauważą, a jeśli nawet, to będziemy wyglądać jak malutka góra lodowa, przez którą da się przepłynąć.

– Liczę na to – odparł Mercer. – Nie wiesz, jak „Cesarzowa Mórz” wygląda, prawda? To ogromny katamaran zdolny do wodowania łodzi pomiędzy kadłubami. Ustawimy się na jej drodze i pozwolimy, by nad nami przepłynęła. Gdy znajdziemy się na wysokości jej wewnętrznego doku, po prostu wskoczymy na pokład.

– Niech mnie szlag. – Ira pokiwał głową z uznaniem. – Nauczyciele musieli cię w szkole nie znosić.

– Dlaczego?

– Bo masz odpowiedź na każde pytanie.

Po półgodzinnym oczekiwaniu na spokojnych wodach Marty krzyknął do sterowni:

– Mercer, widzę ją. Wygląda na to, że będzie przepływać po naszej prawej stronie.

Mercer dołączył do niego na mostku, chciał przekonać się na własne oczy. Wziął od Bishopa lornetkę. Tak jak przewidział, „Cesarzowa Mórz” błyszczała jak małe miasto pod falującymi zasłonami zorzy polarnej. Wyglądała pięknie. I wydawało się, że rzeczywiście minie ich z prawej burty.

– Okej, schodzimy na dół i przygotowujemy się do uruchomienia łodzi. Gdy liniowiec się zbliżył, Mercer mógł lepiej ocenić jego prędkość i kurs, by ustawić odpowiednio U-boota. Łódź podwodna sunęła powoli i zostawiała za sobą ledwie zmarszczki na wodzie. Ira przeliczył się, sądząc, że zostało im mocy na dwadzieścia minut. Potrzebowali dużo szczęścia, żeby udało im się wmanewrować na kurs szybko zbliżającego się potwora o wyporności stu pięćdziesięciu tysięcy ton.

Rufę łodzi skierowali dokładnie na „Cesarzową Mórz”.

– Dobra. Zatrzymaj nas tutaj. Anika, idź z Hildą po Erwina i zaprowadźcie go na górny pokład.

Przez lornetkę Mercer dokładnie widział dwa kadłuby i wolną przestrzeń między nimi. Wprowadzał jeszcze małe poprawki w położeniu, upewniając się że Uboot jest odpowiednio ustawiony względem „Cesarzowej Mórz”. Była już wystarczająco blisko, by mógł dojrzeć okna na froncie jej szerokiej nadbudówki. Gdy stał nieruchomo, czuł siłę, z jaką napędzające ją turbiny wirowały w wodzie.

– Boże, ależ jest olbrzymia! – powiedział sam do siebie, gdy statek się zbliżał, zajmując coraz więcej miejsca w polu widzenia. Musieli przepłynąć dokładnie pod statkiem, by nie wpaść na żaden z kadłubów. Nawet lekki dotyk mógł wywrócić Uboota.

– Ira! – zawołał – Na mój znak włącz silniki. Marty, będziesz musiał manewrować trochę na lewą albo prawą burtę, by zbliżyć się do doku. Nie wiem, na którą, póki nie wpłyniemy pomiędzy kadłuby.

– Tak jest.

Patrzył, jak liniowiec się zbliżał. Łódź podwodna była w gotowości. Fala dziobowa, odbijająca się od kadłubów statku, dosięgnęła Uboota i wstrząsnęła nim gwałtownie, nim zdążył wpłynąć w lukę między nimi. Szeroka, łącząca kadłuby nadbudówka zaczynała się dopiero piętnaście metrów od dziobów, więc przez chwilę wydawało się, że przepływają pomiędzy dwoma stojącymi statkami. Woda pulsowała.

Znaleźli się pod główną sekcją liniowca i nagle zrozumieli, jak szybko przecinała fale „Cesarzowa Mórz”. Spód nadbudówki unosił się dziesięć metrów nad powierzchnią oceanu, tworząc pomiędzy kadłubami tunel. Wewnętrzne iluminatory dawały wystarczająco dużo światła, by dojrzeć, jak namalowany na sklepieniu mural przesuwają się rozmazaną plamą. Mercer był tak samo przerażony jak reszta załogi, ale szybko się otrząsnął.

– Ira, cała naprzód i wypełnij zbiorniki.

Przyglądał się uważnie obydwu kadłubom i wypatrzył pomost z lewej przy rufie. Nad mariną widać było wysokie garażowe drzwi do wodowania większych łodzi.

– Marty, dziesięć stopni na lewo i chodź tutaj.

Marty i Ira wdrapywali się na drabinę, gdy Uboot przyspieszył i skierował się na lewo. Ich zwiększona prędkość była mniejsza od prędkości statku, ale dawała margines bezpieczeństwa

przy skoku na platformę. Ustawili się na przednim pokładzie. Marty niósł mały plecak pełen dokumentów z jaskini i dziennik okrętowy łodzi podwodnej. Mercer wziął schmeissera i mausera. Ira na pamiątkę zwędził z Uboota enigmę szyfrującą wiadomości radiowe.

– Niezły ruch – gwizdnął Mercer.

– Prawie tak dobry jak twój napis na boku mostku: „Kilroy tu był”.

– Psikus, jaki zrobiłem archeologom morskim.

Pęcherzyki powietrza wirowały wokół Uboota, gdy jego zbiorniki wypełniały się morską wodą. Kierował się w stronę maryny. Dok był tylko długim, zrobionym z włókna szklanego występem w kadłubie. Z wnętrza statku można było do niej dotrzeć przez zwykły właz usytuowany obok dwóch wrót garażowych do cumowania mniejszych łodzi. Dalej w stronę rufy były większe drzwi, za którymi trzymano większe łodzie wycieczkowe.

Choć iluminatory wzdłuż kadłuba były małe, można było wypatrzeć ludzi w kabinach, a raz na ich wysokości mignęła twarz oddzielona ledwie kilkoma metrami bulgoczącej wody. Zgromadzeni na Uboocie radośnie zamachali. Zdziwiony starszy ksiądz przetarł oczy, ale gdy je otworzył, zniknęli mu już z pola widzenia.

– To go przekona, żeby odstawić wino mszalne.

Siła wody syczącej wzdłuż kadłuba „Cesarzowej Mórz” tworzyła poduszkę pomiędzy nią a Ubootem, sześćdziesięciocentymetrową przestrzeń, która powiększała się w miarę, jak

Łódź podwodna zwalniała z powodu ciężaru wypełniających się wodą zbiorników.

Lodowata woda zaczęła obmywać pokład.

– Cholera, otworzyłem je za szeroko – zaklął Ira.

– Idźcie na rufę. – Mercer popchnął Anikę i Hildę i pomógł Erwinowi. Zaczął biec, rozpryskując wodę, gdy ocean sięgnął jego kostek. – Ona pierwsza dotknie pomostu.

Wody z każdą chwilą było coraz więcej. Gdy dotarli na rufę, sięgała już Mercerowi do łydek. Dok był jeszcze o sześć metrów za daleko. Spowolniona dodatkowym obciążeniem łódź podwodna zaczęła oddalać się od wysokiego boku „Cesarzowej Mórz”. Liniowiec mijał Uboota i platforma przesuwała się wzdłuż zanurzającej się łodzi podwodnej. Mercer wziął dwa kroki rozbiegu, przeskoczył nad półtorametrową cieśniną i krzyknął do pozostałych:

– Skaczcie!

Mieli najwyżej pięć sekund, nim Uboot minie dok. Erwinowi skok się nie udał, wpadłby do wody, gdyby Mercer nie złapał go za zdrowe ramię.

Niemiec krzyknął i upadł ciężko na pokład. Anika wskoczyła jak gazela. Marty i Ira – mniej zwinnie, ale bez problemu wylądowali na liniowcu.

– Hilda, dasz radę! – krzyczała Anika. Poziom wody sięgał ud kucharki. Hilda ruszyła jak atakujący hipopotam, ale nie potrafiła przeskoczyć otwierającej się szczeliny.

Mercer złapał koło ratunkowe zawieszane na ścianie. Zawiązał koniec liny wokół nadgarstka i rzucił koło Hildzie w momen-

cie, gdy straciła grunt pod nogami. Nie był pewien, czy złapała, dopóki nie poczuł szarpnięcia, które o mało nie zważyło go z nóg. Wciągnęłoby go pod wodę, gdyby nie zaparł się o barierkę.

Opór wody oznaczał, że na drugim końcu liny Mercer miał ogromny ciężar. Lada chwila mógł puścić linę.

– Pomocy! – zawołał. Jego krzyk brzmiał jak zdławione chrypienie. Pozostali złapali linę i wyłowili Hildę na pokład jak wyciąganą wbrew prądom kotwicę.

– Anika – szepnął Mercer, gdy Hilda wgramoliła się na pomost. – Powiedz jej, że jest najpiękniejszą syrenką, jaką kiedykolwiek wyłowilem.

Dyszając z wysiłku, Ira pomógł Mercerowi wstać.

– Skoro już tu jesteście, panie kierowniku, i skończyliśmy już z północnoatlantyckim przeciąganiem liny, jaki jest dalszy program zajęć?

– Znalezienie kabiny, jedzenia i wódki, w dowolnej kolejności. Gry pokładowe rozpoczynają się o dziesiątej. Ja najpierw udam się do baru. – Żart zamarł na ustach Mercera. Mercer zapomniał, że obecność statku tutaj mogła nie być aż tak przygodkowa, jak sądzili.

Anika pierwsza zauważyła zmianę, jaka w nim zaszła.

– Co się stało?

Mercer nie odpowiedział. Za nimi znajdowały się wodoszczelne drzwi prowadzące na statek, a po ich otwarciu zobaczyli garaż dla skuterów wodnych. W świetle kilku lamp kilkanaście tych pojazdów stało na matach ze sztucznej trawy obok półek sprzętu do nurkowania i innych wodnych zabawek. Oprócz

tęgo w garażu były dwie dziesięciometrowe mahoniowe łodzie motorowe Aqua-riva. Wymyślny dźwig zamontowany na suficie służył do ich wodowania.

Na końcu garażu było małe oszklone biuro, w którym opiekujący się sprzętem wykonywali papierkową robotę. Mercer podszedł tam, ale drzwi były zamknięte. Pistoletem maszynowym rozbił szklane drzwi i wszedł do środka. Włączył lampkę i znalazł to, czego szukał: bloczek rachunków za wynajem skutera. Na górze każdej kartki wypisana była wielkimi literami nazwa statku. Na dole znalazł nazwę właściciela liniowca.

– Sukinsyn.

– Co tam jest? – Pozostali zebrali się za jego plecami okryci znalezionymi ręcznikami frotte.

– Ten statek jest własnością firmy, która nazywa się Rhine-marine.

– No i?

– To spółka córka Kohl AG.

NA POKŁADZIE „CESARZOWEJ MÓRZ”

– A więc statek tutaj nie jest wcale zbiegiem okoliczności.
– Głos Erwina Puhla drżał. Nigdy nie przypuszczał, że siły, z którymi walczy Bractwo, są tak potężne.

– To jest albo awaryjna opcja Ratha, albo od początku planował przeniesienie tu skrzynek – powiedział Mercer. – Biorąc pod uwagę wyjątkowych pasażerów statku, wątpię, żeby celnicy przyglądali się dokładnie zawartości ładowni.

– Nie zdziwiło cię to, prawda? – powiedział Marty bardziej oskarżycielsko niż pytająco.

Mercer był równie zdenerwowany.

– Po tym, co przeżyliśmy, nie zdziwiłoby mnie, gdyby Gunther Rath był już na tej łajbie. Nie ryzykowałby pozostania na „Njoerdzie” z obawy, że uda nam się dotrzeć do Kulusuk i skontaktować z władzami.

– Nieważne, kto jest zaskoczony – załagodził Ira. – Musimy przemyśleć następne posunięcie. Erwin, wiesz, w której kabinie jest twój przyjaciel?

– Nie wiem, przydzielali je przy wejściu na statek.

– No to musimy go poszukać.

– Jak niby mamy to zrobić? – Marty dalej był wściekły. – Wyglądamy jak grupa uchodźców.

– Niedaleko muszą być jakieś kabiny – stwierdził Mercer. Był wdzięczny, że Ira wziął na siebie rolę rozjemcy. – Znajdziemy sobie jakieś nowe ubrania.

Mercer zapukał do drzwi, by upewnić się, że kabina najbliższa mariny jest pusta, i roztrzaskał zamek jednym kopnięciem. Pomachał do swoich towarzyszy i wszyscy ruszyli przez korytarz do małego pomieszczenia. Ledwie mieściły się tam trzy łóżka, szafka i maleńka łazienka. Nie było bulaja. Mercer podszedł prosto do telefonu wiszącego na ścianie przy jednym z łóżek. Obok wisiała lista numerów. Wybrał jeden, by połączyć się z lądem. Po pierwszym sygnale usłyszał komunikat wygłaszany przez automat:

– Z powodu maksimum słonecznego wszystkie połączenia telefoniczne z lądem zostały zawieszono. Jeśli sprawa jest pilna, proszę zgłosić się do jednego z biur głównego stewarda, które znajdują się na pierwszym pokładzie obydwu kadłubów. Przepraszamy za niedogodności.

Mercer wcisnął guzik i się rozłączył.

– Nie ma, połączenia z lądem. Twierdzą, że to przez maksimum słoneczne, ale założę się, że Rath już tu jest i odciął statek.

– Na jego miejscu tak bym zrobił – stwierdził Ira. – Do kogo chciałeś zadzwonić?

– Chciałem się połączyć z Dickiem Henną, szefem FBI. Znamy się od lat.

– Serio?

– To długa historia.

Następnie Mercer zadzwonił do biura stewarda i poprosił o połączenie z pokojem ojca Anatolija Watutina. Po chwili telefonistka oznajmiła, że nikt się nie zgłasza.

– Czy może mi pani podać numer jego pokoju? Muszę go znaleźć, to ważne.

– Przykro mi, proszę pana – odpowiedziała zmęczonym głosem telefonistka. – Nie możemy podawać numerów kabin. Takie mamy zasady.

Mercer się rozłączył.

– Cholera. Nie podadzą mi numeru kabiny Watutina. – Podeszedł do szafy i otworzył ją. W środku były trzy szafranowe szaty buddyjskich mnichów i rattanowe sandały. Mercer wpadł na desperacki pomysł. Zawołał do Aniki, która była w łazience – Są tu jakieś golarki?

– Kilka.

Mercer otworzył najdłuższe ostrze swojego scyzoryka.

– Nie myślisz o tym, o czym myślę, że myślisz?

– Widziałeś kiedyś mnicha z włosami, Ira? Poza tym, co ci zależy. I tak jesteś łysy.

– Co ty robisz? – spytał Marty.

– Nie możemy tu zostać, bo mnisi w końcu wrócą, i jak sam powiedziałaś, nie możemy kręcić się po statku, wyglądając jak uchodźcy. Więc dwoje z nas przejdzie na buddyzm. Jeden mężczyzna będzie musiał się schować w garażu z kobietami.

– Zostanę z nimi. – Marty szybko zgłosił się na ochotnika i żeby zmniejszyć napięcie, które niepotrzebnie wywołał, dodał:

– W tym wieku nie mogę ryzykować zgolenia włosów. Mogą już nie odrosnąć.

– Okej. – Mercer zaczął ścinać włosy scyzorykiem. – Jeśli dasz radę, Erwin, to jesteś następny.

– Ja dam radę. – Przeczesał resztki czupryny. – Tak jak Ira nie mam wiele do stracenia.

Dwadzieścia minut później Ira, Mercer i Erwin Puhl włożyli szaty na swoje ubrania, których rękawy i nogawki podwinęli, by spod zwojów materiału wystawały tylko gołe nogi i obute w sandały stopy. Wszyscy byli świeżo ogoleni, a ich blade głowy lśniły.

Wyglądam jak pomarańczowa kula do kręgli – powiedział swojemu odbiciu w lustrze łazienki Mercer.

– Moim zdaniem wyglądasz dobrze – stwierdziła Anika. – Jak Vul Brynner w filmie Król i ja.

Ira dotknął gołej głowy Mercera.

– Gdybym był frenologiem, powiedziałbym, że uwielbiasz niebezpieczeństwo i alkohol, masz nieczyste myśli o zwierzętach gospodarskich i najprawdopodobniej moczysz się w nocy.

Mercer zarechotał.

– Pamiętaj, że mnie włosy odrosną.

– Punkt dla ciebie.

Powróciwszy do małego biura w garażu, Mercer oddał schmeissera Marty'emu, a mausera zatrzymał dla siebie.

– Nie używaj go, chyba że będziesz absolutnie zmuszony. Jeśli cię złapią, Rath cię nie zabije, póki nie wyłapie nas wszystkich. Zamknie cię i będzie czekał, aż cię znajdziemy.

– Rozumiem. – Bishop wziął broń. – Przepraszam za to, co powiedziałem wcześniej. To tylko dlatego, że ja, ja...

– Nie przejmuj się tym. Ja też jestem przerażony. Jak znajdziemy Watutina, schowamy się w jego kabinie, póki nie wyślimy, co robić dalej.

– Zanim pójdziecie, chciałabym wam coś dać. – Anika wzięła buteleczkę z płynem z pojemnika z drobiazgami stojącego obok okienka biura. – Samoopalacz nada waszej skórze odpowiedni odcień. Trochę przyciemni cerę. Będziecie wyglądali bardziej... Nie wiem. Po tybetańsku.

Wysmarowali sobie ręce, twarze i głowy kremem samoopalającym. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie wyglądali źle.

– Powinniśmy wrócić w ciągu pół godziny.

– To gigantyczny statek. Jak chcecie znaleźć Watutina tak szybko?

– Dochodzi dwunasta – wyjaśnił Mercer – Tradycyjnie na liniowcach o tej godzinie jest wieczorny bufet. Gdzie indziej mógłby być? Przyniesiemy nawet trochę jedzenia.

Trzej mężczyźni wyszli z garażu na wyłożony dywanami korytarz. Przy windach ich kostiumom bacznie przyglądała się grupka francuskojęzycznych księży. Klerycy przypatrywali się prowizorycznemu temblakowi, w który Anika zawinęła ramię Erwina, ale poza tym zignorowali fałszywych mnichów. Mercer, Ira i Erwin wymienili spojrzenia. Jechali siedem poziomów w milczeniu, idąc za wychodzącymi księżmi. Mercer podsłuchiwał, o czym rozmawiają, i zrozumiał, że idą w stronę bufetu

w głównej jadalni. Szedł powoli, pozwalając, by Francuzi oddalili się poza zasięg słuchu.

– Dobrze nam idzie.

– A co, jeśli wpadniemy na prawdziwych buddystów?

– Módl się, żeby pomyśleli, że składaliśmy śluby milczenia.

Dotarli do jednego z dwóch przestronnych atriów. Przeszli przez mostek, obok wodospadu, patrząc w dół w stronę dwóch rabinów rozmawiających w barze otoczonym gęstwiną tropikalnej roślinności. Nad nimi płynęła przez niebo aura zorzy polarnej, zostawiając falujące smugi koloru na każdej powierzchni, której dotknęła. Szczególnie jasne rozbłyski wywoływały westchnienia zachwytu ludzi stojących przy poręczach wielopoziomowego atrium.

Tłum zgęstniał, gdy Mercer i pozostali weszli do jadalni w środkowej części „Cesarzowej Mórz”. Rozmowy były coraz głośniejsze. Większość ludzi ignorowała ich, ale dwóch Sikhów przyglądało im się badawczo, odkąd weszli do ogromnego pomieszczenia. Mercer nie wiedział, czy to kulturowa niechęć, czy mężczyźni w turbanach nie dali się zwieść ich przebraniu. Przesuwając się, pokornie spuścił głowę. Wpadł na mężczyznę ubranego na czarno jak ksiądz.

Mężczyzna odwrócił się i rzucił coś gniewnym niemieckim.

Mercer, cofając się, zderzył się z Irą i rozpoznał mężczyznę. Niemiec był z Geo-Research! Nie miał na sobie ubrania kapłana, tylko uniform. Mężczyzna jeszcze coś powiedział, wbijając Mercerowi palec w klatkę piersiową.

– Ungalabu. – Mercer pospiesznie powiedział, spuszcżając przeprasżając wzrok. – Ee ala haboba.

Ochroniarz Ratha dalej gapił się ze złością, ale Mercer nie patrzył mu w oczy. Kropla potu spłynęła mu po plecach. Śmiejąc się szyderczo, Niemiec odwrócił się do swojego towarzysza i powiedział coś lekceważąco. Nie poznał Mercera w pomarańczowej szacie i z ogoloną głową.

Zanim podeszli do kolejki przy bufecie, poczekali, aż ochroniarze oddalą się od nich.

– Skąd znasz tybetański? – szepnął Ira.

– Nie znam – uśmiechnął się Mercer. – Ale on też nie. Znajdź stolik blisko nich, żeby Erwin mógł podsłuchiwać, o czym mówią.

– Nigdzie nie widzę Watutina – zmartwił się Erwin po szybkim przyjrzeniu się ludziom w pomieszczeniu.

– Jak znajdziemy wolne miejsce, przejdiesz się i rozejrzysz dokładniej. Jeśli nie ma go tu, to może spróbujemy na pokładzie.

Żołądki skręcały im się z głodu na widok smakowitego jedzenia. Mercer nałożył sobie tylko kilka warzyw i trochę ryżu. Ale gdy dotarł do bufetu przekąsek, zrobił dwie trzydziestocentymetrowe kanapki i wsunął je pod szatę. Szef kuchni spojrział na niego dziwnie, ale w czasie tego rejsu widział już wiele złamanych kulinarnych tabu.

Przy dziesięcioosobowym stole najbliżej Niemców siedziało tylko dwoje pasażerów: mężczyzna i kobieta, jakich Mercer dotychczas znał tylko z hollywoodzkich stereotypów. Mężczyzna nosił błyszczący garnitur stalowego koloru z koszulą i krawatem

tej samej barwy. Jego tupecik wyglądał jak zdechłe zwierzę przyklejone do głowy. Kobieta wcisnęła się w srebrną sukienkę ukazującą silikonowy dekolt kończący się centymetr nad sutkami. Jej włosy były rozjaśnione na jasny blond i uczesane w wysoki kok. Makijaż wyglądałby jak żart, gdyby nie pasował do jej zbyt naciągniętej twarzy. Każda rześa była prawie tak długa i gruba jak palec niemowlęcia.

Mercer na migi spytał, czy mogą się przysiąść.

– Oczywiście – wymamrotał mężczyzna. Stały przed nim trzy puste szklanki i jedna pełna.

– Jestem Tommy Joe Farquar, a to moja żona Lorna. Jesteśmy ze Stanów.

– Kurczę – jęknęła Lorna głosem tak piskliwym, że mógłby kruszyć kryształ. – Dobrze mieć towarzystwo. Nie wiem dlaczego, ale nikt już nie chce z nami siedzieć.

Mercer zrobił współczującą minę i zapchał sobie usta ryżem, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Tommy Joe wsparł się na łokciach i z bezpośredniością, której nauczył się przez lata sprzedawania używanych samochodów, spytał:

– Czy panowie uznali już Jezusa za swojego Zbawiciela?

Mercer włożył do ust kolejną porcję jedzenia, nim zdążył połknąć poprzednią.

– Przypuszczam, że nie, sądząc po dziwacznym wdziakach, w które jesteście ubrani. Wiem, że to nie wasza wina, nie oskarżam was. Ale chyba czas, żebyście przemyśleli drogę,

którą podążacie. Nigdy nie jest za późno, by odnaleźć Chrystusa, naszego Pana.

– Tommy Joe wie, co mówi – szczebiotała Lorna. – Występuje w telewizji. Mercer podskoczył, gdy poczuł ucisk na kroczu. Ostrożnie sięgnął pod stół, obawiając się, że złapie rękę Lorny Farquar. Jego palce wsunęły się w coś ciepłego i kudłatego i zanim zorientował się, czego dotyka, cieniutkie jak igły zęby zatopiły się w jego kciuku. Wyciągnął rękę i rzucił pekińczyka FarQuarów na stojący obok stół. Pies obwąchiwał jego kieszenie zwiedziony zapachem kanapek.

– Pooki, niegrzeczny piesek. Wracaj do torby.

Ignorując zniesmaczonych gości, pies podniósł nogę na zielony kwietnik stojący na środku stołu. Po oddaniu jednej kropelki pekińczyk przebiegł przez talerze, skoczył na podłogę i schował się w torbie, którą nosiła dla niego Lorna.

– Dobry piesek.

Jedzący odeszli od drugiego stołu.

– Musisz przyjąć Chrystusa do swojego serca – kontynuował pijany Tommy Joe – inaczej nie zostaniesz zbawiony po śmierci. Będziesz pozbawiony Jego nieskończonej miłości w Niebie, potępiony. Wyobrażam sobie wszystkie okropności, których się dopuściłeś. Mam specjalny program duszpasterski, by pomagać różnym ludziom znaleźć Jego światło, włączając – zniżył głos do konspiracyjnego szeptu – homoseksualistów. Jeśli Jezus im wybacza, to i tobie odpuści modlenie się do krów i innych bożków.

– Skarbie, wydaje mi się, że oni cię wcale nie rozumieją. – Lorna, chcąc przełamać milczenie, które panowało od momentu, gdy się przysiedli, spytała: – Mówicie po amerykańsku?

Mercer nie zwracał uwagi. Żeby nie roześmiać się w głos, myślał o tym, że ludzie Ratha stoją tuż za nim.

Tommy Joe zrzucił maskę.

– Bezbożne dzikusy.

– Ten młodszy jest słodki. – Lorna mrugnęła do Mercera.

– Tobie się wydaje, że wszystko, co nosi spodnie, jest słodkie.

– Tommy Joe odepchnął swój talerz i wlał w gardło ostatni łyk szkockiej.

– Ha! Oni nie noszą spodni. – Lorna odparła z dziecięcą logiką i uporem.

– Zamknij się. – FarQuar wstał, chwiejąc się. – Chodź, znajdziemy bar.

– Ja chcę jeszcze porozmawiać z tymi dwoma.

– Lorna, ty byś tylko gadała. Oni cię nie rozumieją. – Odszedł sztywno. Myślała, czy by nie zostać, ale spojrzała na Irę i Mercera, uśmiechnęła się i pobiegła za mężem.

Były marynarz nachylił się do ucha Mercera.

– Przypomnij mi, żebyśmy zrzekli się amerykańskiego obywatelstwa, jak wrócimy do domu.

Mercer rozejrzał się po jadalni i wypatrzył Erwina Puhla, który przeciskał się między stołami w ich kierunku. Posępny wyraz twarzy oznaczał, że nie znalazł ojca Watutina. Usiadł i odruchowo zjadł mdły posiłek, odchylając się na krześle, by

podśłuchać rozmowę za nim. Dwaj ludzie Ratha jedli jak głodne wilki, skończyli już po kilku minutach i wyszli.

– Usłyszałeś coś? – spytał Mercer, gdy sobie poszli.

– Wydaje mi się, że mają jedną skrzynię.

– Jesteś pewien? – Mercer spowaźniał.

– Nie na sto procent, ale tak mi się wydaje. Rozmawiali o ładunku przetransportowanym z helikoptera Ratha na łódź, którą przyплыnęli.

– Szlag by to trafił! Właśnie przestaliśmy być zbiegami, a staliśmy się zakładnikami.

Posiadanie skrzynki z fragmentami meteorytu dawało Rathowi całkowitą władzę nad „Cesarzową Mórz”. W każdej chwili mógł ją otworzyć i skazać na okrutną śmierć największych przywódców religijnych. Mercer zamknął oczy, próbując nie myśleć o tym, że liniowiec może stać się pływającym cementarzem wypełnionym setkami radioaktywnych ciał, skazanym na niekończący się rejs. Nowa przerażająca „Mary Celeste”.

Nie wystarczyło już ocalić rozbitków. Nie mógł czekać bezczynnie, jeśli choć jedna „puszka Pandory” była niezabezpieczona. Sam musiał powstrzymać Ratha. Jeśli to jedno pudełko wydotanie się z liniowca, cały świat będzie w niebezpieczeństwie. – Wspomnieli też, że mają więźnia – kontynuował Erwin. – Kogoś, kto bez zwracania uwagi wprowadził ich na „Cesarzową Mórz”.

– Kogo, do diabła, mógł potrzebować Rath? – spytał Ira. – Sam jest kimś ważnym w firmie Kohl.

– Najwyraźniej niewystarczająco – zadumał się Mercer. – Nie ma śladu po twoim koledze popie?

– Nigdzie nie widziałem Anatolija. Powinniśmy jeszcze raz spróbować zadzwonić do jego pokoju z telefonu w korytarzu.

Mercer zerwał się na nogi, podając kanapki Irze.

– Wy dwaj zadzwóńcie i wróćcie do garażu.

– A gdzie ty idziesz?

– Do centrali, zadzwonić do Dicka Henny. Rath mógł zablokować linie w pokojach pasażerów, ale nie wierzę, że naprawdę nie ma łączności. Bez względu na to, co się z nami stanie, świat musi się dowiedzieć o meteorycie.

W korytarzu Mercer sprawdził, która godzina. Minęło już pół godziny, które obiecał Anice. Rozejrzał się i zobaczył dwóch Niemców idących pomostem przecinającym atrium. Jeśli nawet Rath potrzebował czyichś wpływów, żeby dostać się na liniowiec, Mercer nie wejdzie do pomieszczenia radiowego bez pomocy tajemniczego więźnia. Ruszył za Niemcami.

Strażnicy skręcili w jedną z wiszących promenad, mijając ciemne wystawy sklepów, które wyglądały jak ulica w Beverly Hills – Gucci, Movado, Armani, Chanel, Godiva. Mercer trzymał się z dala, trochę by ukryć się w rozchodzącym się już tłumie, trochę dlatego, że nie mógł dotrzymać im kroku w przyciasnych sandałach. Mausera schował za paskiem tak, żeby mógł go łatwo wyjąć.

Niemcy przeszli jeszcze kilka korytarzy i zatrzymali się przy windzie. Gdy kabina nadjechała, weszli do środka. Nad dźwigiem był cyfrowy wyświetlacz pokazujący, na którym piętrze znajduje się kabina.

Mercer ruszył do drzwi przeciwpożarowych prowadzących na klatkę schodową. Zeskakiwał po dwa stopnie naraz. Stopy bolały coraz bardziej z każdym lądowaniem. Zatrzymał się po pokonaniu trzech poziomów i usłyszał, jak drzwi nad nim się otwierają. Wstrzymał oddech, ale słyszał tylko szum krwi w uszach. Zaczął schodzić dalej.

Na przedostatnim poziomie stanął przed drzwiami z napisem „Tylko dla personelu”. Zatrzymał się, chwilę nasłuchiwał, po czym otworzył drzwi. Tu nie było drogich wykładzin, subtelnego oświetlenia ani boazerii. To były pomieszczenia obsługi statku. Były równie funkcjonalne i pomalowane na ten sam odcień przemysłowej szarości, jak na okręcie wojennym.

Przystanął na moment, by sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie. Rękojeść pistoletu była mokra od potu. Nic. Wiedział, że w ubraniu pasażera nie uda mu się pozostać niezauważonym przez załogę. Musiał szybko znaleźć więźnia Ratha.

Idąc korytarzem tak długim, że nie mógł dojrzeć drugiego końca, przesuwał się przytulony plecami do ściany. W korytarzu znajdowało się mnóstwo drzwi, a co około dziesięć metrów odbijało pod kątem prostym kolejne przejście. Ten okręt był jak labirynt. Linoleum było tak nowe, że widać było każdą rysę, a pomiędzy delikatnymi smugami zostawionymi przez mokasyny kelnerów dojrzał ciemne ślady podbitych gumą wojskowych butów. Ludzie Ratha.

Pochwyił trop jak pies myśliwski. Kręcił się po statku, a jego podświadomość rysowała mapę powrotu. Nagle jakieś drzwi otworzyły się dokładnie w chwili, gdy obok nich przechodził. Nie

gubiąc kroku, rzucił się na przystojnego dwudziestokilkuletniego mężczyznę w purpurowym szlafroku. Wpadli na piętrowe łóżko w końcu kabiny. Młody człowiek zawył z bólu. Mercer zamknął drzwi kopniakiem.

– Proszę, nie rób mi krzywdy! – błagał blond chłopak. Był delikatnym jak panienka Anglikiem. Kelner, pomyślał Mercer.

– Nie zrobię – Mercer opanował głos. – Jaki nosisz rozmiar butów? Chłopak szeroko otworzył oczy.

– Co?

– Buty? W jakim rozmiarze?

– Dwunastka.

– Masz jakieś trampki? – Mercer miał nadzieję, że rozmiary amerykańskie i angielskie są takie same albo chociaż zbliżone – Daj mi je.

Mercer pozwolił kelnerowi wstać i ściągnął swoją szatę. Chłopak zaczął szlochać, gdy zobaczył rękojeść mausera.

– Dawaj mi buty i trzymaj dziób zamknięty na kłódkę, to zostawię cię w spokoju.

Młody Anglik otworzył szafę. Zaczął przebierać w bałaganie na dnie schowka w poszukiwaniu trampek.

– Masz, weź je. Nie skrzywdzisz mnie?

– Obiecuję. Teraz odwróć się i połóż ręce na plecach. – Mercer użył krawata, który znalazł w szafie, by przywiązać ręce kelnera do metalowej konstrukcji łóżka. Zwinięte skarpetki były jeszcze ciepłe. Mercer wcisnął je młodemu w usta.

Na początku krztusił się, potem zdołał uspokoić oddech. Mercer włożył jego buty zadowolony, że pasują.

– Jak twój współlokator cię odwiąże i pójdiesz do biura ochrony, lepiej wymyśl coś lepszego niż szalony terrorysta kradnący buty.

Chłopak zabełkotał coś, a Mercer się zaśmiał.

– Nie martw się, dzieciaku. Wierz lub nie, ale twoje trampki mogą ocalić wszystkich na tym statku.

W korytarzu Mercer z powrotem podjął trop. Ślady gumy zaprowadziły go do wodoszczelnych drzwi, znacznie grubszych niż jakiegokolwiek, które widział pod pokładem. Napisano na nich „Wstęp tylko dla obsługi technicznej”.

Podłoga drżała od wibracji potężnego napędu statku. Uznał, że zaszedł już wystarczająco daleko. Kręcąc się tu na dole, tracił czas, którego i tak nie miał. Spróbuje dostać się do pokoju radiowego bez zakładnika Ratha. Miał mausera i mógł liczyć na element zaskoczenia.

Cofając się tą samą trasą, jeszcze raz minął kabinę kelnera. Nie słyszał ze środka żadnych głosów. Zadowolony ruszył dalej, spotykając po drodze kilku załogantów po służbie, którzy przyglądali mu się zdziwieni, ale nic nie powiedzieli. Gdy skręcił po raz kolejny, zdążył zauważyć blond czuprynę, po czym ból eksplodował w jego kroczu. Mercer upadł na kolana i, chociaż oczy zalały mu łzy, dojrzał but zbliżający się do jego twarzy. Nie mógł już nic zrobić. Stracił przytomność, zanim uderzył głową o pokład.

Mercer walczył z nudnościami, powoli dochodząc do siebie. Pulsujące fale bólu rozchodziły się z jego genitaliów aż do podbrzusza, gdzie zalegały jak płynny ołów. Przeciągnął językiem po

zębach, żeby się upewnić, czy wszystkie są na miejscu, i odetchnął z ulgą. Poczul smak krwi. Kiedy otworzył oczy, ból rozbitego nosa poraził go jak prąd. Splunął.

– Kim jesteś? – Pytanie padło z miejsca poza zasięgiem wzroku Mercera.

– Idiota. – Głos Mercera tłumila zapychająca nos krew. Przygotował się na to, co miało nastąpić, i wydmuchnął energicznie czerwoną mgiełkę. Przez dziwną chwilę czuł, jakby jego głowa pękła, po czym spróbował zobaczyć coś więcej niż tylko wiatraczki bólu, które miał przed oczami. Zabrało mu trochę czasu, zanim zorientował się, gdzie jest – w wypełnionej przewodami wnęce technicznej pod jakąś maszynownią – i kto do niego mówi – blondyn, którego po raz pierwszy zobaczył w jaskini „Pandory”, gdy tamten rozmawiał z Guntherem Rathem.

– Obiecałem sobie, że jak cię jeszcze raz zobaczę, zabiję. – Mercer szarpnął rękami przywiązany plastikowymi opaskami do izolowanej rury nad nim. Mężczyzna obok był podobnie związany. – To ty jesteś szefem Ratha, tak?

– Klaus Raeder.

Obydwaj klęczeli pod stalowym pomostem. Nawet gdyby mogli wstać, i tak ledwie by się zmieścili. Światło z pomieszczenia nad nimi, przesączaając się przez kratę łącznika, wyglądało jak jasne cegły spojone cieniem. Więzy przymocowane były do rury podwieszanej pod metalową kratą. Mercer próbował rozerwać plastik, ale tylko przeciął sobie skórę.

– Już próbowałem – powiedział Raeder. – Nie uda ci się.
– Zamilkł na chwilę. – Poznaję cię ze zdjęcia Towarzystwa Kartografów. Jesteś Philip Mercer.

Mercer nie chciał przyznać Raederowi racji. Już się domyślił, że Rath jakoś przechytrył swojego szefa, by ukraść ostatnią „puszkę Pandory”.

– Dlaczego cię zamknął?

– Potrzebował mnie, żeby dostać się na „Cesarzową Mórz”. Przy płynęliśmy z „Njoerda” łódką. Kapitan nie wpuściłby go na pokład, gdybym nie wydał mu takiego polecenia.

– A gdy dostaliście się na statek, Rath ukrył cię tu, na wypadek gdybyś miał się przydać później. – Raeder pokiwał głową.
– Jakie plany ma Rath co do ostatniej skrzynki?

– Ja chciałem wrzucić je do morza – pochwalił się Raeder.
– Nikt nie miał się o nich dowiedzieć i nikt nie miał ucierpieć.

– Tobie się wydaje, że mnie obchodzą twoje intencje? – Mercer nie mógł uwierzyć w brzmiące w głosie Niemca przekonanie o słuszności i kompletny brak poczucia winy. – Twoje nadzieje są głównie warte i zawsze tak było, zważywszy na to, jak łatwo Rathowi udało się zniweczyć twoje plany. Chciałbym się kiedyś dowiedzieć, jak mogło ci się wydawać, że zamiecesz pod dywan coś takiego jak puszkę Pandory. Na razie muszę pomyśleć, jak zatrzymać Ratha.

– To była decyzja biznesowa. – Raeder żałośnie próbował trzymać się pierwotnego usprawiedliwienia. – Próbowałem uchronić swoich udziałowców od płacenia setek milionów dolarów za coś, czemu nikt z nas nie jest winien.

– Twoja firma wzbogaciła się na śmierci tysiąca więźniów w tamtej jaskini, a ty mi mówisz, że nie jesteś za to odpowiedzialny? – Mercer nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. – Strasznie mi przykro, Raeder, ale jesteś. Tu nie ma mowy o przedawnieniu. To, że nie pociągałeś osobiście za spust, nie znaczy, że możesz uniknąć odpowiedzialności firmy, którą reprezentujesz.

– Myślałem, że mi się uda. – Słowa Raedera ginęły w hałasie pomp. Powietrze było gorące.

– Nie da się uciec od przeszłości. – Mercer zaczął rozglądać się za czymś ostrym, by przeciąć więzy. – I to dotyczy też firm takich jak Kohl AG. Teraz twoja firma straci jeszcze więcej niż sumy, które byliście winni, a ty zapłacisz za to swoim życiem.

– Myślisz, że ciebie to ominie? Tak samo jak ja możesz się już żegnać z życiem. Nikt nie powstrzyma Ratha. Ma kontrolę nad skrzynią i nade mną, a to znaczy, że ma wszystko. Jest niepokonany.

Mercer nie widział żadnych narzędzi, których mógłby dosięgnąć, ale ton dalej miał buntowniczy.

– Gadasz tak, jakbyś chciał, żeby wygrał.

– Nie. Tylko wiem, że mu się uda. Beznadzieja.

– Bo cię pokonał? – zadrwił Mercer. – Arogancja i łatwowierność to niebezpieczne połączenie. A Rath zostanie powstrzymany. Jest tu ze mną jeszcze pięcioro ludzi z Uboota i mamy też swój kontakt na statku. Podniosą alarm.

– Przykro mi to mówić, ale jak cię tu przynieśli, Greta Schmidt rozmawiała z jednym z ludzi Ratha o zgłoszeniu kra-

dzieży ubrań niedaleko okrętowej mariny. Przypuszczam, że to wy. Właśnie szła to sprawdzić.

Drzwi nad nimi otworzyły się z hukiem, a Mercer usłyszał znane mu głosy: gniewne przekleństwa Iry, cichy płacz Hildy i próby pocieszania jej przez Anikę. Greta Schmidt głośno się zaśmiała, a Mercer zaczął ponownie szarpać więzy. Wysiętek przyprawił go o zadyszkę. Ochroniarz podniósł odcinek pomostu tuż nad ich głowami i pozwolił, by opadł na zawiasach. Gdy zaczął schodzić do niskiej wnęki, jego kolega trzymał Mercera i Raedera na muszce pistoletu maszynowego.

– Jak tam twoje jaja? – uśmiechnęła się złośliwie Greta z pomostu.

– Spoczone, chcesz spróbować?

Z wściekłością przygniotła mu dłonie butem i pewnie potłamałaby Mercerowi nadgarstki, gdyby nie ułożył ich płasko. Zgrzytanie zębami nie zmniejszyło bólu.

– Jak tylko Gunther skończy na mostku, ty umrzesz pierwszy.

Strażnicy wprowadzili ludzi Mercera do ciasnego pomieszczenia i przywiązali ich do rur wystarczająco daleko od siebie, by nie mogli pomóc sobie nawzajem w ucieczce. Hilda zalała się łzami, Marty Bishop też miał mokre policzki, chociaż przy kobietach starał się być odważny. Erwin był bliski katatonii. Tylko w Irze i Anice zostało jeszcze trochę ognia, który pozwolił im dotrzeć tak daleko. Anice udało się nawet lekko uśmiechnąć do Mercera nim zaciśnięto jej plastikowe więzy. Ból wstrząsnął jej ciałem.

Ira poczekał, aż Greta skończy rozmawiać ze strażnikiem, i powiedział:

– Mercer, nie martw się. Udało nam się dodzwonić do twojego kumpla z FBI, Henny, przez telefon satelitarny. Powiadomił Marynarkę Wojenną Islandii i naszą.

– Maksimum słoneczne ustąpiło na tyle, by można go było użyć? – Mercer się uśmiechnął. – Cholera, najwyższy czas. Już miałem dosyć bycia przynętą, żebyście mogli go użyć.

Greta patrzyła to na jednego, to na drugiego skonsternowana tym, że nie słyszy strachu w ich głosach.

– Nie macie telefonu satelitarnego – rzuciła wreszcie. Ira spojrział na nią tak, jak patrzył na kadetów marynarki.

– Wyrzuciłem go, zanim nas dopadliście. A myślisz, że dlaczego nie zaczęliśmy z wami walczyć? Już wygraliśmy, tylko wy o tym nie wiedzieliście.

– To nieprawda. – W jej oczach malowało się niedowierzanie.

– Myśl sobie, co chcesz, głupia suko – wybuchła Anika Klein. – Prawda ukáže ci się za godzinę wraz z tuzinem amerykańskich helikopterów lądujących na pokładzie.

Greta podeszła do wymiennika ciepła, gdzie przywiązano Anikę.

– Wyrwę ci jajniki, zanim tu dotrą.

Chciała uderzyć Anikę w twarz, rozmyśliła się i wspięła po schodach na pomost. Strażnik opuścił pokrywę, po czym drzwi na korytarz zamknęły się z metalicznym trzaskiem.

Ze swojego miejsca Mercer nie widział, gdzie przywiązano Irę Lasko, ale wydawało mu się, że jest gdzieś za jego plecami.

– Chciałeś powiedzieć, że znaleźliście przyjaciela Erwina i on miał telefon satelitarny, prawda?

– Yyy, nie. To była bzdura. Zadzwoniliśmy do jego pokoju jeszcze raz, ale go nie było. Greta znalazła nas, jak tylko wróciliśmy z Erwinem z jadalni. Wygląda na to, że okradliśmy jedynych na świecie buddyjskich mnichów, którym akurat zależy na swojej własności. Poszli do biura ochrony statku i tak dowiedział się Rath. Greta i kilku jego ludzi znaleźli nas. Byli dobrze uzbrojeni, mogliśmy się tylko poddać, walka byłaby samobójstwem.

– Myśleliśmy, że ciebie nie dopadli – dodała Anika.

– Szukałem zakładnika Ratha. To ten w kącie. Nazywa się Klaus Raeder. To szef Kohl AG.

– Cześć. Obyś się smażył w piekle – przywitał się Ira.

Może udało mu się wyjść cało o jeden raz za dużo albo dlatego, że skoro Rath miał ich wszystkich, to byli w zasadzie martwi – tak czy inaczej Mercer stracił kontrolę. Nie mógł już nic zrobić. Nie było wyjścia. Żadnej nadziei.

Zaczął się śmiać. Głęboki nienaturalny dźwięk odbijał się od stalowych ścian maszynowni. Był szaleńczy, przerażający. Gdy złapał oddech, cisza zawisa jak gęsta mgła.

– Zrozumiałem paradoks w micie o puszcze Pandory – powiedział, odzyskując kontrolę przynajmniej nad swoim głosem.

– Jaki paradoks? – spytała Anika. – Otworzyła puszkę, którą Zeus dał Epimeteuszowi, i przypadkowo wypuściła z niej nieszczęścia. Ale kiedy chciwość, zazdrość i choroba wydostały się, Pandora zobaczyła, że nadzieja została w puszcze. To piękna

opowieść, która mówi, że cokolwiek by się działo, nadzieja zawsze pozostaje.

– Taki morał ludzie wyciągają z tej historii – zgodził się gorzko Mercer. – Ale nie o tym mówię. Czy ktoś zastanawiał się, dlaczego nadzieja w ogóle znalazła się w puszcze? Dlaczego zamknięto ją z chorobami, nienawiścią i pożądaniem? Bo nadzieja jest tak samo destrukcyjna jak cała reszta albo nawet gorsza. To nie miał być dar od bogów. To kara. Nadzieja daje ci siłę, gdy masz jakieś szanse. Gdy sytuacja jest bez wyjścia, staje się torturą.

Ból w jego głosie zaskoczył wszystkich, zwłaszcza Anikę.

– Naprawdę jesteś aż tak cyniczny?

Mercer nie odpowiedział. I mimo tych słów natężył wszystkie siły, by rozerwać swoje kajdanki. Tak mocno zaciskał oczy, że wydawało mu się, jakby wpychał je w głąb czaszki. Krzyczał z wściekłości, frustracji i... poczucia beznadziei. I wtedy z metalicznym trzaskiem grube plastikowe obręcze pękły, uwalniając jego ręce.

Przez moment gapił się na odcięte gładko końcówki zwisające z jego nadgarstków. Nie było możliwe, by człowiek zerwał takie kajdany, a jednak właśnie patrzył na dowody. Jak? Cud? Cudowna interwencja bogów pokazujących, że nie rozumiał sensu mitu o Pandorze?

Tylko Klaus Raeder mógł zobaczyć, czego dokonał Mercer, i patrzył teraz szeroko otwartymi oczami.

– Jak to zrobiłeś?

Mercer spojrział w górę. Dzięki temu zauważył cień człowieka stojącego na kracie z siekierką przeciwpożarową w rękach. Ubrany na czarno, miał siwe włosy i brodę sięgającą do pasa. Mercer zrozumiał natychmiast.

– Ojciec Watutin?

– Da.

Watutin podniósł pokrywę i zszedł po schodach. Pozostali więźniowie zaczęli pokrzykiwać z radości, gdy usłyszeli co się dzieje.

Mercer rozcierał nadgarstki.

– Nie żebym narzekał, ale skąd wiedziałeś?

– Widzę buddyjski mnich przy stołówce jak idę na kolację. – Angielski Watutina nie był najlepszy. – Widzę, jak patrzy drogi szwajcarski zegarek na rękę, jakiego nie noszą buddyjscy mnisi. Poszedłem za nim. Ciebie uderzyła blondynka i zabrała tutaj. Potem przynieśli więcej ludzi i widzę Erwina. Czekam aż strażnik odwraca się od drzwi, i używam tego końca siekiery.

Mercer wstał i uściskał rękę prawosławnego księdza.

– Nawet ksiądz nie wie, co ja sobie pomyślałem, kiedy kajdanki pękły. Watutin dotknął ciężkiego krzyża, który wisiał na jego szyi.

– Wiem, co myślałeś.

We dwóch zaczęli uwalniać pozostałych. Anika uśmiechnęła się, gdy Mercer do niej podszedł.

– Mówiłam, że zawsze jest nadzieja.

– Dzięki za przypomnienie. – Mercer był zmartwiony.

Watutin i Erwin Puhl padli sobie w objęcia i stali tak, gdy ksiądz dowiedział się, że Igor Bułgarin nie żyje.

– Od teraz będę cię nazywał Głównym Pesymistą – powiedział Ira Lasko, gdy go uwolnił. – To o nadziei, którą zamknięto w puszcze, było mądre. Ale obiecaj mi, że to będzie twoje ostatnie objawienie w sytuacji śmiertelnego niebezpieczeństwa.

– Obiecuję. – Mercer wziął od Watutina broń zabraną strażnikom: pistolety automatyczne H&K P9S z tłumikiem i niewielki MP-5, również z przymocowanym długim tłumikiem.

– Czas zakończyć ten koszmar.

– Jakiś pomysł? – spytał Marty.

– Wszystko zależy od Herr Raedera. – Mercer spojrzał na niego. Jeszcze nie odcięli jego więzów. – Co ty na to? Chciałbyś pomóc?

– Mówiłem ci już wcześniej, że chciałem zniszczyć skrzynki. To Rath chce je sprzedać.

– Ma nabywcę?

– Libia. Cholera!

– A kiedy to wszystko się skończy, wypłacisz pełne odszkodowania?

– Tak.

Mercer nie wierzył w tak szybko składane obietnice.

– Dlatego że cię przyłapaliśmy?

– Bo się myliłem – odparł Raeder. – Myśl o mnie, co chcesz, doktorze Mercer, ale nie jestem potworem. Jestem biznesmem. Kapitalistą. Powinieneś zrozumieć, jesteś Amerykaninem. Moje osobiste przekonania nie miały nic wspólnego z decyzją

o zatuszowaniu przeszłości Kohl. I bez względu na to, ile moja firma zapłaci, nie sądzę, żeby jakiegokolwiek pieniądze odkupiły cierpienia ofiar Holokaustu.

– Nie ufam ci, ale też nie mam wyboru – syknął Mercer. Ciosem siekiery przeciął plastikowe kajdany Raedera. – Jaki jest system bezpieczeństwa na tym statku?

– Papieska Gwardia Szwajcarska odpowiada za delegatów zgromadzenia, a „Cesarzowa Mórz” ma swoich ochroniarzy. Myślę, że około dwudziestu ludzi. Część z nich kojarzę z departamentu do spraw projektów specjalnych kierowanego przez Ratha. To jego ludzie, jak ci z bazy na Grenlandii. Mnie nie będą słuchać.

– Z kim rozmawiałeś, gdy Rath potrzebował zgody, by wejść na statek?

– Z kapitanem. – Reeder odpowiedział od razu. – Nie pozwalał Rathowi zbliżyć się do statku, póki nie usłyszał, że też jestem na łodzi z „Njoerda”. Nie wie, że jestem więźniem Ratha. Nikt o tym nie wie.

– I ciebie posłucha?

– Na pewno.

– Gdy dotrzemy do kapitana, Rath będzie walczył czy ucieknie? – Mercer myślał na głos.

– Żadna opcja nie jest za dobra – stwierdził Ira. – Tym statkiem płyną przywódcy religijni całego świata. Jeśli Rath otworzy to pudełko, skutki będą trudne do przewidzenia. Każdy fanatyk religijny na tej planecie będzie wykorzystywał ich śmierć jako wymówkę dla swojej świętej wojny.

– A kto umrze, jeśli pozwolimy mu uciec i nie damy już rady go złapać?

– Dopadniemy go. – Ira Lasko chciał skończyć, ale mówił dalej głosem pełnym poczucia winy. Odciągnął Mercera na bok, by inni go nie słyszeli. – Daj mi działający telefon, a gwarantuję ci, że Rath nie ucieknie dalej niż osiemdziesiąt kilometrów od „Cesarzowej Mórz”.

Pewność, z jaką Ira wypowiedział to zdanie, spowodowała, że Mercer nagle wszystko zrozumiał. Złość eksplodowała w nim dziesięciokrotnie silniej niż kopniak Greta Schmidt w krocze.

– Ty pracujesz dla cholernej CIA, prawda? Ira pokiwał głową.

– Przykro mi, Mercer – powiedział szczerze.

– Ten skurwiel Charlie Bryce mnie wystawił.

– Miałeś być moim rezerwowym, gdyby coś poszło nie tak.

– Nie wierzę! – Po czym przemyślał to i uwierzył. Kto lepiej wesprze agenta podczas naukowej ekspedycji, jak nie naukowiec? Jego nazwisko było znane w kręgach rządowych, nie wyłączając CIA. To wszystko miało sens – w ramach ścisłego podziału zadań i zasady „tylko tyle wiedzy, ile potrzeba”. – Miałeś zdobyć skrzynki dla naszego wojska.

– Gdyby mi się nie udało, miałem przypilnować, że nie dostanie ich nikt inny. Szczerze mówiąc, byłem szczęśliwy, widząc, jak toną, gdy rotorstat spadł. Słuchaj, przepraszam cię za to. Powiedziałbym ci, gdybym mógł, ale zlecił mi to zadanie sam dyrektor Barnes.

– Chryste. – Mercer splunął. Spotkał Paula Barnes'a kilka razy i uznał, że dyrektor CIA to dupek. Chciał przeczesać ręką

włosy, ale jego dłoń dotknęła nagiej skóry. To tylko zwiększyło jego gniew. – Skąd, do diabła, rząd wiedział o puszkach i dlaczego już dawno ich nie znalazł?

– Wiedzieliśmy tylko, że jaskinia jest na Grenlandii. To informacja, którą znaleźliśmy w dokumentach przywiezionych do Stanów w 1940 roku przez niemieckiego profesora stacjonującego w Peenemunde z Wernerem von Braunem. Pracowali nad nazistowskim planem, by uzbroić V-2 we fragmenty meteorytu i napromieniować Londyn. Naukowcy wiedzieli tylko, że meteor zostanie sprowadzony bezpośrednio ze wschodniego wybrzeża Grenlandii na pokładzie łodzi podwodnej.

– Oczywiście łódź nigdy nie przyplynie, a Niemcy odłożyli projekt „Pandora” na półkę.

– Właśnie – przytaknął Ira. – Po wojnie nasze Siły Powietrzne dowiedziały się szczegółów od naukowców przejętych z Niemiec w ramach operacji „Spinacz” pracujących przy wstępnych etapach naszego programu balistycznego. Rozważali użycie promieniowania jako potencjalnej amerykańskiej broni i wybudowali Camp Decade jako bazę do poszukiwań jaskini. Po kilku latach poszukiwań – jak się okazuje, prowadzonych za daleko na południe – dowództwo poddało się, tłumacząc, że to wszystko musiało być chorym wymysłem Hitlera.

Mercer przypomniał sobie rozmowę z Elisebet Rosmunder i to, jak kobieta pytała, czy wie, dlaczego rząd Stanów chciał zbudować takie miasto pod lodem jak Camp Decade. Teraz znalazł odpowiedź. Pozwolił opaść złości, by móc skoncentrować się na tym, co mówi Ira.

– Sześćdziesiąt lat później Kohl AG nagle kupuje Geo-Research i chce założyć arktyczną bazę badawczą blisko miejsca, gdzie miała być jaskinia. Stare dokumenty sugerowały, że Kohl było zamieszane w jakiś sposób w projekt „Pandora”, ale nie było to nic konkretnego, nic, co można by wykorzystać w sądzie. Nie chcieliśmy ryzykować, że oni wiedzą coś, o czym my nie wiemy. CIA naciskała na przeniesienie ich bazy w rejon Camp Decade, by ich wykurzyć.

– Historia z duńskimi władzami, o której opowiadał mi Charlie Bryce, została zaaranżowana przez Towarzystwo Kartografów?

– To była tak naprawdę operacja CIA, która miała pozwolić mi dostać się na Grenlandię – wyjaśnił Ira. – Wysłano mnie, żebym miał oko na Geo-Research, gdyby się okazało, że jaskinia istnieje, a oni jej szukają. Na Islandii czeka grupa uderzeniowa gotowa nam pomóc, gdyby się okazało, że trzeba powstrzymać Kohl AG.

– Więc nie byłeś mechanikiem na łodzi podwodnej?

– Moje doświadczenie w marynarce zdecydowało o tym, że zostałem wysłany.

– No jasne! – wykrzyknął Mercer. – Wiedzieli, że w historii obecna jest łódź podwodna, i potrzebowali człowieka z odpowiednim przygotowaniem. To dlatego tak dobrze znasz się na Ubootach typu VII.

– Zanim wyjechałem na Grenlandię, spędziłem dwa tygodnie w Muzeum Nauki i Techniki w Chicago, zapoznając się z U-505, którego tam mają. A co do bycia mechanikiem, cóż,

pracowałem na łodziach podwodnych, ale potem trafiłem do wywiadu. Przeszedłem w stan spoczynku jako zastępca szefa wywiadu marynarki. Dosłużyłem się rangi admirała.

– A ten kawałek o prowadzeniu zajazdu w Connecticut?

– Zajazd należał do mojego ojca. Tam się wychowałem i pracowałem. Teraz zajazd prowadzi mój brat. W rzeczywistości mieszkam trzydzieści kilometrów od twojej kamienicy i pracuję w Białym Domu dla doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa.

Dalej brakowało części układanki.

– Zakładam, że to wy powołaliście kolegę Marty’ego, żołnierza, do aktywnej służby. Ale po jasną cholerę jestem wam ja?

– Jim Kneeland, tak – odpowiedział Ira. – Uznaliśmy, że im mniej ludzi będzie w Camp Decade, tym lepiej. Wyłączylibyśmy też Marty’ego, gdybyśmy mieli lepszą przykrywkę, by zbliżyć się do Geo-Research. Włączenie ciebie to pomysł Barnes’a. Ja mam doświadczenie w łodziach podwodnych i wywiadzie, potrzebny był naukowiec, ale żaden tam jajogłowy z wydziału wsparcia technicznego Langley. Pokazał mi twoje dossier. Przeczytałem artykuł o tobie, który ukazał się w magazynie „Time”, i wiedziałem, że nadajesz się idealnie.

– Czyli tobie mogę za to podziękować?

– Nie musisz mnie z wdzięczności obsypywać prezentami. Wystarczy kartka z podziękowaniami.

Podeszli do reszty.

– Spuszczę ci lanie, jak uda nam się z tego wyjść – obiecał Mercer, ale jego złość zdążyła już opaść. Jeśli jednak chodzi

o Paula Barnes, zapłaci za to. – Więc, agencie Lasko, co proponujesz?

Ira stał się śmiertelnie poważny.

– Rath opanował „Cesarzową Mórz”, ale nie możemy pozwolić, by usmażył tych ludzi.

Mercer się zgodził. Trzeba za wszelką cenę chronić powszechne zgromadzenie. Mężczyźni i kobiety na tym statku reprezentują marzenia i nadzieje miliardów ludzi. – Musimy go wykurzyć, żeby móc złapać na morzu.

– Jak? Wystarczy, że Rath zagrozi, że otworzy puszkę, a każdy na tym statku będzie jego zakładnikiem.

Mercer pokręcił głową.

– Wie, że nie wygra, biorąc zakładników. To się nigdy nie udaje.

– Co proponujesz? Jeśli powiadomimy Gwardię Szwajcarską, będziemy tu mieli piekielny cyrk. Prawdopodobnie pogorszyliby tylko sytuację, próbując za wszelką cenę ochronić papieża.

– Masz rację, gwardziści nie wchodzi w grę. Jesteśmy zdani sami na siebie. Pamiętajmy, co mówił Raeder, ochrona statku to ludzie Ratha. Musimy go zmusić, by opuścił „Cesarzową Mórz” tą samą drogą, którą na nią wszedł.

– Jego łódź jest z większymi jednostkami w garażu przy marinie, gdzie się chowaliście – powiedział Klaus Raeder.

– A Greta powiedziała, że Rath jest na mostku – dodała Anika. Mercer się zamyślił. Nagle jego twarz ściągnęła się i odsłonił zęby w złowrogim uśmiechu.

– Przychodzi mi do głowy tylko jeden sposób, żeby zmusić Ratha do opuszczenia statku tak, by nie czuł się bezpośrednio zagrożony. A tak właściwie to myślę, że jest jeszcze jedno rozwiązanie, ale wątpię, by nasza siódemka dała radę zatopić statek.

Anika i Ira wymienili zadziwione spojrzenia i popatrzyli na Mercera, jakby postradał zmysły.

– Całe szczęście, że w to wątpisz. To jaki to pomysł?

– Prosty. Sami porwiemy „Cesarzową Mórz”.

NA POKŁADZIE „CESARZOWEJ MÓRZ” Zanim Mercer zaczął wyjaśniać swój plan, Ira zasugerował, że kabina Anatolija Watutina jest lepszym miejscem do rozmowy. Mercer wyprowadził ich z maszynowni. Naładowany pistolet trzymał za plecami. Strażnika, którego załatwił Watutin, zostawili za hydropompą. Ira szedł ostatni, tyłem, żeby nikt ich nie zaskoczył. Ponieważ było bardzo późno, „Cesarzowa Mórz” płynęła z minimalną załogą na mostku i, szczęśliwie, bez kogokolwiek z obsługi w pomieszczeniach technicznych. Po kilku minutach Mercer znalazł windę, którą wjechali na pokład, na którym była kabina Watutina. Chwilę później dotarli do niej.

– Jak na razie jest dobrze. – Anika uśmiechnęła się z ulgą.

– Wysłuchajcie mojego planu, zanim oddacie mnie do czubków – zaczął Mercer, gdy usiedli. Na palcach wyliczał możliwości, jakie mają. – Nie możemy tutaj zostać do czasu, gdy statek wpłynie do portu, ponieważ kiedy Rath dowie się, że uciekliśmy, przeszuka kabinę po kabinie. Nie możemy dotrzeć do kapitana nawet z pomocą Raedera, bo ludzie Ratha najpewniej go obserwują. Gwardia Szwajcarska odpada, prawdopodobnie oddaliby

nas w ręce ochrony statku, czyli Ratha. Moglibyśmy spróbować znaleźć telefon satelitarny należący do jednego z reporterów akredytowanych przy zgromadzeniu, ale mamy tu dwa tysiące kabin, które należałoby sprawdzić, i zostalibyśmy powstrzymani na długo przed znalezieniem go. I wreszcie nie możemy ryzykować bezpośredniej konfrontacji z Rathem, żeby nie otworzył skrzynki. Czy do tego momentu wszyscy się zgadzają? – Milczące potakiwanie. – Okej, żeby usunąć Ratha ze statku, musimy go przekonać, że ucieczka jest lepszym wyjściem niż pozostanie na pokładzie. Żeby to zrobić, musimy albo zatopić liniowiec, albo stworzyć sytuację, w której poczuje się tak zagrożony, żeby chcieć opuścić statek. W tym momencie wkraczamy.

– Udając porywaczy?

– To postawi na nogi Gwardię Szwajcarską i odwróci uwagę części ludzi Ratha. Rath zorientuje się, co się dzieje, ale nie będzie mógł nic powiedzieć bez narażenia się na zdemaskowanie. Łatwiej byłoby mu wtedy odpuścić niż walczyć z nami. Pozwoli Gwardii Szwajcarskiej i ochronie statku zająć się tą sprawą.

– Dlaczego nie miałby poczekać, aż jego zbiry zabiją nas wszystkich? – zapytał Marty.

– Rath może udawać, że przez maksimum słoneczne statek nie ma łączności, ale gdy wystrzelimy pierwszy pocisk, każdy reporter z własnym telefonem satelitarnym będzie dzwonił do redakcji z newsem. W ciągu kilku godzin „Cesarzowa” zostałaby otoczona przez rój śmigłowców i motorówek z Islandii. Rath znalazłby się w pułapce.

– A gdy już ucieknie – wtrąciła Anika – poddamy się, przy-
prowadzimy Raedera do kapitana i poinformujemy władze
o tym, że Rath uciekł ze śmiercionośną skrzynką.

– Dokładnie.

– Gdy już zostanie wystawiony, dlaczego by go nie zaskoczyć
podczas wodowania łodzi? – Sugestia Erwina miała sens, ale
i zasadniczą wadę.

– Może mieć ze sobą piętnastu, dwudziestu ludzi. Jeśli nie
zabijemy go jednym strzałem, może otworzyć skrzynię. – Mercer
zobaczył sceptyczne spojrzenie Iry i dodał: – Musimy tylko
trochę postrzelać, sterroryzować kilku pasażerów i poczekać, by
panika zrobiła resztę. Jeśli tylko nie zostaniemy złapani przed
odpłynięciem Ratha, nie mamy się czego obawiać.

– Poza tym, że Gwardia Szwajcarska nie nosi niebiesko-
-złotych mundurów i średniowiecznej broni – parsknął Anatolij
Watutin. – Mają kamizelki kuloodporne i pistolety maszynowe.
Będą strzelać, żeby zabić.

– To jest ryzykowne – odpowiedział Mercer z powagą, pa-
trząc w oczy każdej z osób.

Ira Lasko się nie wahał.

– Mów, jak chcesz to przeprowadzić.

Z zapalem zaczęli omawiać szczegóły planu. Chodziło głów-
nie o to, by chronić Klausa Raedera aż do momentu, gdy Rath
opuści statek. Mercer zakładał, że potrwa to jakieś dwadzieścia
minut od pierwszego strzału.

Z powodu ran Erwin miał poczekać z przemysłowcem w ka-
binie Watutina. Mercer chciał, żeby reszta została z nimi. Martin

Bishop zgodził się, jednak Watutin kategorycznie odmówił. Przypomniiał Mercerowi, że walczył o tę sprawę przez całe swoje życie i nie zamierza wycofać się na koniec. Gdy Anika przetłumaczyła ich plan Hildzie, kucharka również chciała pomóc. Podkreślała, że ma przygotowanie wojskowe i potrafi posługiwać się bronią. Mercer zapytał Anikę wzrokiem, co ona zamierza.

Spojrzała na Erwina.

– Mogę wytrzymać chwilę dłużej – zadeklarował Puhl, jakby czytał w jej myślach. – Ból się nasila i ręka mi zdrętwiała aż po palce, ale jak tylko Raeder porozmawia z kapitanem, pójdę do lekarza pokładowego.

Anika nie miała powodu zostawać z Erwinem, próbowała znaleźć jakiś inny. Ale nie potrafiła. Pozostali ryzykowali życie dla wielkiej sprawy, nie mogła z nimi nie pójść.

– Wchodzę w to.

Kilka chwil później fałszywi terroryści opuścili kabinę. Znalezienie dodatkowej broni było łatwiejsze, niż myśleli. Wsiedli do windy wjeżdżającej na główny pokład. Kabina zatrzymała się kilka pięter przed ich celem i wsiadło do niej dwóch gwardzistów, którzy ledwie raczyli spojrzeć na Mercera i jego grupę. Obydwaj uzbrojeni mężczyźni mieli ze sobą pistolety maszynowe Beretta model 12. Jak tylko drzwi się zasunęły, Mercer zdzielił jednego kolbą H&K, Ira – drugiego w głowę swoim pistoletem maszynowym, rozcinając mu skórę czaszki. Minutę później strażnicy byli związani i zakneblowani, a ich broń, włącznie z ukrytymi pistoletami, rozdzielili między siebie.

– Obiecujesz, że nikogo nie zabijemy? – zapytała Anika, gdy Mercer podał jej swój H&K, biorąc zamiast niego model 12. Odkręcił tłumik niemieckiego pistoletu.

– Będziemy strzelać, żeby powstrzymać, nie zabić – zapewnił ją Mercer. – Jeśli dojdzie do prawdziwej wymiany ognia, celujcie w nogi.

– To i tak jest wbrew przysiędze Hipokratesa. – Pomimo wątpliwości Anika zacisnęła uchwyt na dużym pistolecie. Zrobi, co będzie trzeba.

– Teraz rozdzielimy się na dwie grupy. – Głos Mercera stał się ostrzejszy, niż zamierzał. – Ira, ty, Hilda i ojciec Watutin znajdźcie możliwie największą grupę ludzi, może w kinie. Widziałem ulotkę o nocnym pokazie filmu Udreka i ekstaza. Weźcie widzów jako zakładników, piekielnie wystraszcicie ich i wyjdźcie. Nie zostawajcie w jednym miejscu ani na chwilę i upewnijcie się, że nikt za wami nie idzie. Spotkamy się w kabinie ojca Watutina za trzydzieści minut i poczekamy na sygnał Erwina z mostku.

Drzwi otworzyły się, zanim ktokolwiek zdołał przyjąć do wiadomości ostateczne instrukcje. Rozproszyli się bez słowa. Ponieważ większość pasażerów stanowili mężczyźni, Mercer i Anika schowali się w damskiej toalecie, żeby dać pozostałym czas na zajęcie pozycji.

Wyszli z toalety po pięciu minutach. Mercer przeszedł korytarzem przy głównym atrium i szarpnął uchwyt alarmu pożarowego. Przez sekundę nic się nie wydarzyło. Przestraszył się, że system się nie uruchomi, dopóki nie wybuchnie prawdziwy

pożar. Nagle elektroniczne syreny zaczęły wyć, zawodząc jak niemowlę dławiące się od kolki.

W ciągu trzech minut ekipa naprawcza była już przy uruchomionym alarmie. Gdy wychodzili z za rogu z klatki schodowej, Mercer wyciągnął broń i wystrzelił serię nad ich głowami, rozpruwając wytłumiający materiał na suficie. Wybuchła świetlówka, a pasażerowie zaczęli krzyczeć.

Bitwa o „Cesarzową Mórz” się rozpoczęła. Kiedy Gunther Rath uprawiał seks z Gretą Schmidt, zwykle czerpał przyjemność z kaleczenia jej. Mały rozmiar penisa zastępował brutalnością. Tym razem jednak z wdzięczności kochał się z nią delikatnie.

Jakiś czas wcześniej Rath siedział w kabinie, którą zarekwirował drugiemu oficerowi „Cesarzowej Mórz”. Gdy do niego przyszła, jej mina wyrażała zadowolenie z siebie i niecierpliwe oczekiwanie. Wyszepiała, że ma sekret, ale nie wyjawi go, dopóki nie pójdą do łóżka. Rath siedział ze szklanką wódki w ręce. Nie był w nastroju na jedną z jej gier. Zignorował ją. Gdy zorientowała się, że nie dostanie, czego chce, dorzuciła trochę więcej informacji.

– Właściwie to mam dla ciebie sześć sekretów.

– o czym ty mówisz?

– Chodź do łóżka, to ci powiem.

– Mów teraz albo wyciągnę to z ciebie siłą.

– Poszłam na dół, żeby sprawdzić, co z Raederem i zgadnij, na kogo wpadłam?

Rath nie zapytał.

– Na Philipa Mercera.

– Co?

– A, co więcej, gdy był już związany razem z Raederem, na niższym pokładzie zgłoszono włamanie. Poszłam tam z kilkoma ludźmi z ochrony statku i znalazłam pozostałą piątkę rozbitków. – Podobało jej się, że jej prezent poprawił mu nastrój. – Oni rzeczywiście próbowali dopłynąć do Islandii tą zabytkową łodzią podwodną, ale udało im się dotrzeć tylko do „Cesarzowej Mórz”.

Od momentu, gdy stracił skrzynki, Rath starał się zminimalizować szkody. Libijczycy czekali na cenny ładunek „Njoerda”, a on musiał dostarczyć im jedyną pozostałą skrzynkę, zanim będzie mógł rozpocząć operację wydobywania pozostałych. Musiał też wytropić i zabić Mercera z pozostałymi. Było jasne, że ukryci w jaskini obserwowali przez peryskop zanurzonego Uboota, jak Rath opróżnia komorę. Gdyby Mercer zdołał zaalarmować władze, Rath mógłby zapomnieć o jakiegokolwiek próbie wydostania zatopionych skrzynek.

– Mercer już nie żyje – zaśmiał się. – Ciekawe, czy wiedział, że zamierzamy wykorzystać „Cesarzową Mórz” jako przystanek na uzupełnienie paliwa?

– Skąd miałby to wiedzieć? Nie wiedzieliśmy, że tak zrobimy, dopóki nie zatonął rotorstat. Cieszę się, że statek tędy płynął.

Obecność „Cesarzowej” w Cieśninie Duńskiej nie była szczęśliwym zrzędzeniem losu, ale wynikiem precyzyjnego planowania. To Greta zasugerowała wykorzystanie statku jako opcji awaryjnej kilka miesięcy temu, gdy Klaus Raeder rozmawiał z Watykanem o dzierżawie statku. Skorzystanie z liniowca w ramach planu awaryjnego wydawało się nieprawdopodobne, ale

Greta nalegała. Z taką ilością pieniędzy głupotą byłoby liczenie wyłącznie na „Njoerda”. Raeder nie miał pojęcia o ukrytych motywach Ratha, gdy przekazywał tę sugestię kardynałowi Perettiemu, papieskiemu sekretarzowi stanu. Ksiądz pomyślał, że rejs w blasku zorzy polarnej to doskonały pomysł, i skutecznie zareklamował go pozostałym delegatom.

Greta ściągnęła bluzkę przez głowę.

– Czy moja niespodzianka warta jest pieprzenia?

– Nawet więcej – powiedział Rath, wstając z fotela i biorąc ją w ramiona. Położył ją na łóżku. – Od triumfu do katastrofy i znowu triumf. Nie udałoby mi się bez ciebie.

Gdy skończyli, Rath się zdrzemnął. Obudził go telefon od Berna Hoffmanna, który miał zmienić strażnika przy drzwiach pomocniczej pompowni. Więźniowie uciekli! Rath odłożył z trzaskiem słuchawkę i odepchnął Gretę.

– Co się stało? – Przecierała oczy; jej ciało było lepkie od potu ich miłości.

Rath był już w spodniach.

– Mercer uciekł.

Od razu się rozbudziła.

– To niemożliwe. Znaleźliśmy wszystkich, którzy lecieli wtedy DC-3, łącznie z tymi, którzy zginęli podczas katastrofy, i ciałem, które odkryliśmy po ustaniu pitaraga. Nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc.

– Ogłuszony strażnik przypomina sobie jakiegoś księdza zbliżającego się do niego, zanim został zaatakowany. – Rath chciał zmyć z siebie jej zapach, ale nie miał czasu. – W ja-

kiś sposób Mercer miał na pokładzie kontakt, o którym nie wiedzieliśmy. Może kolejny członek Bractwa Pięści Szatana. Powiniennem był zabić ekipę Mercera, gdy tylko powiedziałaś mi, że ich złapałaś.

– On nigdzie nie ucieknie. – Greta włożyła majtki. – Drzwi do garażu morskiego są podpięte do alarmu na mostku i z tego samego powodu nie może zwodować szalupy ratunkowej. Nie ma śladu Uboota, więc są w pułapce. Mercer nie może pójść do ludzi z ochrony statku, Raeder na pewno mu powiedział, że słuchają twoich rozkazów. Z kolei Gwardia Szwajcarska zamknęłaby ich jako pasażerów na gapę.

– Wiem, czego nie zrobi – warknął Rath. – Nie wiem, co zrobi. On jest nieprzewidywalny.

W tym momencie włączył się alarm pożarowy. Rath się uśmiechnął.

– Ty sprytny sukinsynu.

– Co jest sprytnego w uruchomieniu alarmu? To żałosna próba odwrócenia naszej uwagi, żeby mogli uciec.

– Ale w ten sposób ostrzega wszystkich na statku o niebezpieczeństwie i nie skończy się na pojedynczym alarmie.

Zanim Rath skończył się ubierać i sprawdzać broń, telefon zadzwonił ponownie.

– Co jest?

– Herr Rath, tu Dieter. Jestem w biurze ochrony. Dostaliśmy doniesienia o strzelaninie w lewym atrium.

– Strzelali do naszych ludzi?

– Nie – powiedział kierowca rajdowy. – Ktoś strzelał do ekipy naprawczej, która sprawdzała uruchomiony alarm pożarowy.

– Mercer próbuje wywołać w Gwardii Szwajcarskiej wrażenie, że delegaci zgromadzenia są w niebezpieczeństwie.

– To działa. Dowódca Gwardii krzyczy, żeby natychmiast wysłać SOS i sprowadzić tu posiłki z włoskiego okrętu wojennego, który osłania „Cesarzową Mórz”.

Rath szybko podjął decyzję.

– Niech wszyscy zbiorą się przy doku. Pozwolimy Gwardii Szwajcarskiej walczyć z Mercerem i opuścimy statek w czasie zamieszania.

– Po co się stąd ruszać? – zdziwiła się Greta. – Kontrolujemy statek.

– Nie będziemy, gdy Raeder skontaktuje się z kapitanem i zgłosi do Gwardii Szwajcarskiej. Nie mamy wystarczająco wielu ludzi, żeby z nimi walczyć.

– Ale w ten sposób nigdy nie uda nam się odzyskać pozostałych skrzynek!

– Uspokój się. Możemy wynająć helikopter na Islandii i wrócić na „Njoerd”. Mają tam odpowiedni sprzęt do szybkiej roboty wydobywczej. Nie odzyskamy wszystkich, ale zdobędziemy wystarczająco wiele skrzynek, by zadowolić Libijczyków. – Rath powrócił do telefonu. – Dieter, mam pomysł, jak trochę nas zabezpieczyć. Niech kilku ludzi spotka się ze mną na pokładzie A.

– Sam do pana dołączę.

Rath odwrócił się do ubierającej się Greta.

– Gdy już opuścimy statek, nikt nas nie tknie.

– A jeśli będą próbowali za nami płynąć?

– Słuszna uwaga.

Rath skontaktował się przez walkie-talkie z ludźmi zgromadzonymi w doku i kazał im unieruchomić wszystkie trzymane tam większe łodzie.

– W ten sposób zyskamy wystarczająco dużo czasu, żeby dotrzeć do Reykjavíku i wrócić na „Njoerd”.

– o jakim zabezpieczeniu wspomniałeś?

– Zabierzemy ze sobą kilkoro gości.

Z korytarza, w którym chowała się brygada naprawcza, popędzili do atrium. Mercer kolejną serię wpakował w szklany luk nad nimi, osłaniając się przed deszczem szklanych odłamków.

– Jesteśmy z Frontu Wyzwolenia! – ryknął do kilku mężczyzn, którzy byli z nimi na mostku. Skierował w ich kierunku broń i tamci padli na dywan. – Precz z tyranią!

Poprowadził Anikę przez mostek i wbiegł w przejście przeciwpożarowe, wpadając na dwóch ludzi Ratha wchodzących rezonującą echem klatką schodową. Impet Mercera zrzucił jednego do połowy schodów, a drugi zbyt wolno złapał równowagę po tej niespodziewanej kolizji. Mercer uderzył go w czoło pistoletem i odwrócił się, by zająć się ochroniarzem, który spadł na półpiętro. Natychmiast go rozpoznał. To był Bern Hoffmann, młody Niemiec, którego Mercer uratował od zaczadzenia w Camp Decade.

W chwili zawahania, zanim Hoffmann sięgnął do kabury, Mercer zeskoczył na półpiętro osiem stopni niżej, lądując tak, że jego stopa złamała nadgarstek przeciwnika. Hoffmann krzyknął, ale został uciszony umiejętym ciosem pistoletem w szczękę.

Mercer wyjął broń z bezwładnej dłoni Hoffmanna i zabrał taki sam pistolet nieprzytomnemu mężczyźnie na szczycie schodów.

– Idziemy, Anika. Nic im nie będzie.

Na jej twarzy malowały się szok i odraza. Brutalność Mercera zaskoczyła ją.

– Ja nie mogę. Ja po prostu...

– W takim razie oddaj mi swoją broń i się ukryj. Nie mamy czasu na dyskusje.

Otrząsnęła się i zeszła po schodach. Nie mogła oderwać wzroku od Berna Hoffmanna.

– Przepraszam – powiedziała.

Mercer nie był pewien, czy mówiła do niego, czy do nieprzytomnego mężczyzny.

– Chodź.

Wziął ją za rękę. Zeszli na dół. Znajdowali się w pobliżu jednego z ośrodków spa. Przez szklaną ścianę Mercer widział salę ćwiczeń i olimpijski basen. Urządzenie alarmowe było po drugiej stronie korytarza. Mercer pociągnął za uchwyt. Druga grupa miała robić to samo z każdym alarmem, który napotka. Panel alarmowy na mostku powinien się świecić jak choinka świąteczna.

Mercer i Anika przeszli przez podwójne drzwi i wpadli na kilku delegatów Zgromadzenia, którzy krążyli po korytarzu i zadawali sobie nawzajem pytania o to, co się dzieje. Idąc korytarzem, ukrywał broń. Zatrzymał się, gdy doszli do końca. W zasięgu wzroku było kilka dróg ucieczki. Wystrzelił w podłogę resztę z trzydziestu nabojów w magazynku.

Wcisnął kolejny magazynek i przeładował. Pobiegli do drzwi wyjściowych i znaleźli się na wyłożonym drewnem pokładzie wypoczynkowym. Morski wiatr głąaskał ich skórę. W oddali rysowały się ciemne sylwetki łodzi ratunkowych. Oficerowie statku sprawdzali je na wypadek, gdyby okazało się, że rzeczywiście chodzi o pożar, a nie fałszywy alarm. Nie słyszeli strzelaniny.

Biegając w przeciwnym kierunku, Mercer i Anika dotarli do schodów prowadzących na jeden z tarasów kawiarnianych. Mercer wziął H&K od Aniki i ponownie zamontował tłumik. Dwoma strzałami przestrzelił zamek w przesuwanych szklanych drzwiach i z powrotem znaleźli się na statku.

Korytarz za drzwiami kawiarni był pusty. Poruszali się ostrożnie, ponieważ nie mieli żadnej osłony. Minęli kilka sklepów i kolejny bar z widokiem na zewnętrzny basen. Po drugiej stronie gładkiej płaszczyzny wody zobaczyli ogromny, rżęsiście podświetlony komin statku. Nie zauważyli też dwóch osób idących koło basenu w stronę wejścia, dopóki drzwi się nie otworzyły.

Postacie, ubrane na czarno, uzbrojone w MP-5 z celownikami laserowymi, sprawdziły korytarz po swojej prawej stronie. Mercer i Anika stali dosłownie dziesięć metrów dalej. Popchnął ją na ziemię, a sam rzucił się na drugą stronę korytarza. Lasery przecięły powietrze ponad ich głowami. Mercer przeturlał się, przykląkł i wystrzelił. Jeden ochroniarz wypadł z powrotem na taras, a drugim jak marionetką rzuciło w konwulsjach o ścianę.

– Powiedziałeś, że nikogo nie zabijesz! – wrzasnęła Anika.

– To byli ludzie Ratha – przekrzyczał ją Mercer. – Byli uzbrojeni w niemieckie pistolety maszynowe, a nie jak Gwardia Szwajcarska – włoskie.

Ostrożnie podeszła bliżej i rozpoznała ciało z holu. Widziała tego człowieka w bazie Geo-Research na Grenlandii. Nie mogła uwierzyć w szybkość reakcji Mercera.

– Nie miałem wyboru – dodał Mercer i odciągnął ją.

Gdy przemierzali korytarz, uruchomił kolejny alarm pożarowy. Jak poprzednio w przejściu stało kilku pasażerów, ale niezbyt wielu, ponieważ pogłoski o ataku terrorystycznym już się rozeszły. Mercer rzucił okiem na zegarek, sądząc, że upłynęło już umówione dwadzieścia minut. Ku swemu zdumieniu zobaczył, że nie minęła nawet połowa tego czasu. Jak zwykle podczas walki czas uległ tak dziwnemu odkształceniu, że sekundy trwały godzinami, a godziny mogły minąć w mgnieniu oka.

Dotarli do podwójnych drzwi na końcu korytarza dokładnie w momencie, gdy gwardziści wbiegli na schody. Mercer strzelił z pistoletu maszynowego krótką serią bez celowania, modląc się, by nikogo nie zranić. Otworzył drzwi z takim impetem, że uderzyły w ograniczniki, i puścił Anikę przodem. Przykląkł za osłoną wielkiej donicy, z której przelewała się roślinność gęsta jak w dżungli.

Kilka sekund później wbiegli dwaj ścigający ich gwardziści. Z H&K, którego zabrał Hoffmannowi, postrzelił obydwu w nogi, daleko od tętnicy udowej, żeby się nie wykrwawili.

– Chodźmy. – Zyskał dla nich kilka dodatkowych sekund.

Wpadli do pustej sali balowej. Anika padła na sofę, dysząc ciężko. Mercer również miał zadyszkę.

– Świetnie sobie radzisz – sapał. – Jeszcze tylko chwila. Sprawdzili przedsionek za salą balową i ruszyli normalnym tempem.

Przeszli przez kilka kolejnych korytarzy, ostrzeliwując bez wyjątku ściany i sufity, szerząc strach, gdziekolwiek się pojawili. W pewnym momencie Mercer znalazł plik gazet pokładowych, czekających na doręczenie do kabin. Wepchnął garść gazet do wentylatora i podpalił je. Biorąc pod uwagę wielkość statku, wykrycie dymu zajmie trochę czasu, ale Mercer miał nadzieję, że do tego momentu rozprzestrzeni się on po całym statku. Więcej zamieszania. Więcej paniki. Wyszli cało z jeszcze dwóch strzelanin z patrolującymi gwardzistami, za każdym razem uciekając na niższy poziom statku.

Mercer zupełnie stracił orientację, ale zakładał, że wszystkie korytarze w obydwu kadłubach katamaranu prowadzą ostatecznie do któregoś z atriów. Gdy szli holem, wypatrując gwardzistów, Mercer zauważył znak wskazujący, że atrium znajduje się przed nimi. Ruszył truchtem. Anika biegła obok. Opróżniła już wszystkie magazynki, ale nadal trzymała H&K.

Weszli do atrium jeden poziom poniżej jadalni, w której Mercer poznał kazańdziewę telewizyjnego i jego żonę. Nikogo tu nie było, poprowadził Anikę na pomost, żeby dostać się do środkowej części statku i zgubić się w prawym kadłubie, gdzie jeszcze nie byli.

Fragment mosiężnej poręczy pomostu wyleciał w powietrze, a jednocześnie Mercer usłyszał huk strzału. Pchnął Anikę na dywan i osłonił ją swoim ciałem. Wydawało się, że strzał padł z przeciwległej strony atrium i o jeden poziom wyżej. Zaryzykował spojrzenie i zobaczył kilkunastu stojących przy balustradach gwardzistów. Kilku kierowało się do ruchomych schodów. Wyglądało na to, że dotrą do końca ich pomostu na długo przed tym, zanim on i Anika zdołają uciec.

– Rzuć broń – szepnął do niej Mercer, oceniając na oko odległość do nadchodzących strażników.

– Dlaczego?

– Ratuję ci życie – powiedział Mercer. – Zrób to.

– Co zamierzasz zrobić?

– Nie chcesz tego wiedzieć. – Grobowy głos Mercera brzmiał jak ostatnie pożegnanie.

Gdy Anika odłożyła swój pistolet na podłogę, złapał ją za kołnierz i postawił na nogi. Upewnił się, że jego pistolet jest zabezpieczony, i przystawił jej broń do głowy. Jej krzyk nie był udawany.

– Jeszcze jeden krok, a ją zabiję. – Krzyk Mercera zatrzymał gwardzistów w miejscu. Cały czas się kręcił, żeby nikt nie mógł dobrze wycelować. Ponieważ Anika była tak niska, użycie jej jako tarczy było bardzo trudne.

– Rzućcie broń i wycofajcie się.

Kilku gwardzistów podniosło broń wyżej, ale żaden z nich jej nie puścił. Ci, którzy zjechali ruchomymi schodami, zajęli pozycje do strzału. Gdyby mieli laserowe celowniki jak ludzie

Ratha, strzelaliby. I tak jednak Mercer, tańcząc, schodził i wracał na celownik ośmiu strzelców.

– Puść ją! – krzyknął oficer Gwardii kiepskim angielskim.

– Nie będziemy strzelać.

– Rzućcie broń.

Mercer chciał, żeby myśleli, że jest zdenerwowany, ale niepokój w jego głosie był prawdziwy. Sytuacja stała się bardzo niebezpieczna. Jeden ruch gorliwego gwardzisty, a on i Anika będą w kawałkach.

– Zabiję ją, przysięgam.

No dalej, gadaj ze mną, podtrzymuj rozmowę. Potrzebuję jeszcze minuty. Zerknął na zegarek. Dwadzieścia minut upływało za czterdzieści pięć sekund. Nie obchodziło go, co się stanie potem. Ira i Erwin z pewnością poradzą sobie z zaalarmowaniem CIA.

– Nie chcesz tego zrobić – powiedział dowódca Gwardii uspokajającym tonem. – Możemy o tym porozmawiać.

– Nie! – wrzasnął Mercer, przechodząc w histeryczny ton. Chciał, żeby Szwajcarzy byli zestresowani i poddenerwowani. – Ugryzł mnie pies Lorny FarQuar i dopóki ona nie przeprosi, nie puszczę tej kobiety.

Absurdalność żądania Mercera odniosła zamierzony efekt. Gwardziści zastygli w zdumieniu.

– Do zobaczenia później – wyszeptał Anice do ucha, po raz kolejny pchnął ją na podłogę i rzucił się do tyłu, przeskakując na oślep przez balustradę za plecami.

Wylądował w sadzawce pod wodospadem.

Zanurzył się i uderzył w dno głębokiej na prawie półtora metra sztucznej laguny. Gdy otworzył oczy, zobaczył smugi srebra przecinające wodę. Gwardziści strzelali do niego.

Brakowało mu oddechu, wpłynął więc za wodospad. Był tam właz, dla obsługi basenu. Przemoczony, ledwie łapiąc oddech, otworzył kopniakiem drzwi i znalazł się w korytarzu.

Gwardziści za moment zorientują się, gdzie zniknął. Był przekonany, że Anika będzie przez nich dobrze traktowana. Myśleli, że jest jego zakładniczką, a nie współniczką. Zanim odkryją, że nie uczestniczy w Zgromadzeniu, miną godziny, a do tego czasu Mercer miał nadzieję opanować sytuację.

Gdy zorientował się w kierunkach, zszedł kilka poziomów, wyjaśniając po drodze kilku członkom załogi, że przemoczył się, gasząc ogień w kuchni. Po pięciu minutach dotarł na miejsce, ale okazało się, że drzwi są zamknięte. Pomyślał, że wszystkich pracowników, którzy nie byli teraz niezbędni, odesłano do kabin.

Zapukał i sekundę później drzwi otworzył młody Anglik, który stracił już parę trampków.

– Cześć – wyszczerzył zęby w uśmiechu Mercer. – Pamiętasz mnie? Pokazał pistolet maszynowy i chłopak z milczącą rezygnacją wpuścił go do pokoju. Jego współlokator gapił się z szeroko otwartymi oczami z piętrowego łóżka. Mercer tym razem nie tracił czasu na związywanie ich. Po prostu „pożyczył” kolejną parę butów, dzinsy, koszulkę Manchester United i czapkę Bennetona z długim daszkiem, którą nasunął na swoją łysą głowę. Gdy zamknął drzwi, usłyszał, jak Anglik mówi do współlokatora:

– Mówiłem ci, że nie zabawiałem się w związywanie z tym gościem z zaopatrzenia.

Mercer wrzucił broń do wózka na bieliznę. Mógł udawać przerażonego pasażera tylko, jeśli nie był uzbrojony po zęby. o ile wszystko poszło zgodnie z planem, Gunther Rath powinien już być na swojej szybkiej łodzi z Gretą Schmidt i „puszką Pandory”, podczas gdy Erwin i Klaus Raeder rozmawiają z kapitanem „Cesarzowej Mórz” o powstrzymaniu go. Mercer był z siebie cholernie zadowolony, chociaż chodził, jakby miał na plecach rozległe poparzenie słoneczne. Piekł go każdy milimetr kwadratowy skóry i wiedział, że będzie posiniaczony przez kilka tygodni.

Wjechał windą z powrotem na pokład pasażerski, minutę później przystawił kartę magnetyczną do zamka i wszedł do pokoju Watutina. Pop i Hilda Brandt już wrócili. Potężna kobieta spojrzała z przerażeniem, gdy zobaczyła, że jest sam.

– Wo ist Anika?

Mercer opadł na krzesło i zamknął oczy – Nic jej nie jest. Mają ją gwardziści, ale myślą, że była moją zakładniczką. Nie wiedzą, że jest z nami.

Hilda spojrzała na Watutina i Rosjanin przetłumaczył odpowiedź najlepiej jak potrafił.

– Sehr gut – powiedziała.

– A wy mieliście jakieś kłopoty?

– Niet. – Rozdzielili się z panem Lasko po kinie, potem wrócili tutaj pięć minut temu.

Ktoś zapukał do drzwi: pam-param-pam. To był sygnał Iry i Mercer otworzył.

– Cholera, to dopiero była zabawa – powiedział Ira, rzucając się na łóżko. – Ale gdybym był papieżem, przemyślałbym kwestię bezpieczeństwa. Ci gwardziści nie dawali sobie rady.

Kilka minut później alarm pożarowy przestał wyc i jednocześnie zadzwonił telefon Watutina. Hilda podniosła słuchawkę i podała ją Mercerowi.

– Cisza wskazuje na to, że wam się udało – powiedział.

– I tak, i nie – powiedział Erwin Puhl z kabiny kapitana. Brzmiał słabo.

– Co się stało? – Mercer poprawił się na krześle, natychmiast czujny.

– Raeder wytłumaczył kapitanowi, co się wydarzyło, że tak naprawdę nie jesteśmy terrorystami i że prawdziwym zagrożeniem jest Gunther Rath.

Kapitan powiedział, że przed kwadransem komputer pokładowy pokazał otwarcie wrót doku. Oddelegował dwóch oficerów, żeby sprawdzili, co się dzieje. Donieśli, że łódź Ratha zniknęła. Szukaliśmy Ratha w jego kabynie, ale nikogo tam nie było.

– W czym problem? Jak dla mnie brzmi, jakby wszystko poszło zgodnie z planem. Ira może teraz zadzwonić do dyrektora Barnes'a z CIA, żeby złapał Ratha. Wygraliśmy, Erwin. Wyluzuj.

– Nie wygraliśmy, Mercer. Pamiętasz, jak próbowałeś skontaktować się ze swoim przyjacielem z FBI i dowiedziałeś się, że z powodu maksimum słonecznego nie ma łączności?

– Tak, uznaliśmy, że to Rath blokuje sygnały wychodzące.

– To nie on. Maksimum naprawdę zagłuszyło wszystkie radia i telefony satelitarne na statku. Ira nie może zadzwonić do nikogo. Nikt nie może. Jesteśmy odcięci.

PIĘTNAŚCIE KILOMETRÓW NA PÓŁNOC OD „CESARZOWEJ MÓRZ”

Morze było spokojne, więc dwunastometrowy ścigacz przecinał niskie fale jak rasowy koń wyścigowy. Gunther Rath obsługiwał przepustnicę, a Dieter, zawodowy rajdowiec, sterował. Greta Schmidt i dwóch ochroniarzy było przypiętych na tylnej ławce. Z powodu osiąganych przez łódź prędkości nikt tak naprawdę nie siedział – klęczeli na specjalnych poduszkach w kształcie liter „C”, dzięki czemu mogli amortyzować wstrząsy kolanami.

Wszyscy byli uzbrojeni.

Cenna skrzynka była przymocowana w przedniej kabinie, do której można było wejść niskimi drzwiami pomiędzy fotelami kierujących. Razem z nią było tam czworo „gości”.

Dzięki spowodowanemu przez Mercera zamieszaniu udało im się uciec stosunkowo łatwo. Wkrótce po pierwszych seriach w atrium Rath zrozumiał, że Mercer nie chce nikogo zabić, a jedynie wywołać na statku panikę, która zmusi ich do opuszczenia liniowca. Niemiec wiedział, że został wykiwany, nie mógł tego znieść, ale nie miał wielkiego wyboru. Krótka rozmowa Raedera z kapitanem i wszystkie plany Ratha wzięłyby w łeb.

Kiedy wzięli zakładników, pobiegli z Gretą do doku, unikając stref, w których podobno strzelano. Upewniwszy się, że łódź z „Njoerda” była zatankowana, zniszczyli osiem trzymanyh w garażu dużych motorówek, wybijając młotami dziury w ich kadłubach z włókna szklanego.

Z radaru na mostku „Cesarzowej” Rath wiedział, że włoski niszczyciel płynie dwanaście kilometrów na południe od liniowca, ochraniając go od strony otwartego morza, i nie będzie ich w stanie ścigać, kiedy ruszą na północ, w kierunku Islandii oddalonej o niecałe osiemdziesiąt mil. Z powodu maksimum słonecznego nawet najpotężniejsze morskie radiostacje miały zasięg ograniczony do kilku kilometrów, więc Włosi byli głusi i ślepi.

Rath nie tracił nadziei, że uda im się wydobyć zatopione skrzynie i przekazać je Libii. Nawet gdyby miało się nie udać, ta, którą mieli, gwarantowała jemu i Grecie bezpieczeństwo finansowe.

Wyliczył, że potrzebuje tylko dwóch godzin przewagi, żeby móc uciec z Islandii, kiedy już do niej dołączy. Liniowiec potrzebował dwa razy więcej czasu, żeby w ogóle zbliżyć się do brzegów na tyle, by powiadomić, co się stało. Do tego czasu Rath zamierzał już wysłać na „Njoerda” helikopter, a sam wsiąść z Gretą do samolotu, którym polecą do Trypolisu. Obejrzał się na nią. Siedziała opatulona w kurtkę. Posłał jej uśmiech. Uda im się.

Mercer rzuciłby słuchawką, gdyby nie fakt, że to z jego winy Rath mógł uciec. Nie miało znaczenia, że reszta grupy zgodziła się z jego oceną stanu łączności na „Cesarzowej”. To on podjął

decyzję, by wypuścić Ratha i później powiadomić władze. A teraz Niemiec z jedną ze skrzyń był już daleko, a on nie mógł zrobić nic, by go powstrzymać.

Cholera, niby dlaczego nic?

– Erwin, daj mi do słuchawki Raedera.

– Słyszymy cię w głośniku – natychmiast odezwał się prezes Kohl AG. – Co mam zrobić?

– Rath popłyń na Islandię. Zawróćcie „Cesarzową” i niech kapitan dociśnie silniki maksymalnie.

– Panie Mercer, mówi kapitan HeinzHarold Nehring. – Mercer wyobraził sobie wyprostowanego jak struna weterana, który widział i robił już wszystko. – „Cesarzowa Mórz” rozwija prędkość do dwudziestu ośmiu węzłów. Nigdy nie złapiemy Ratha. Ma zbyt szybką łódź. Sugeruję, żebyśmy rakietami dali sygnał niszczycielowi „Interpido”, a kiedy zbliży się tak, że możliwy już będzie kontakt głosowy, skierujemy ich w pościg.

– Gdzie się znajduje ten okręt?

– Około ośmiu mil na południe od nas.

– To zajmie zbyt dużo czasu. – Mercer usiłował ukryć frustrację. – Każda zmarnowana przez nas sekunda daje Rathowi przewagę. Możemy ścigać go na własną rękę. Proszę nas zawrócić w stronę Islandii i zacząć wystrzeliwać te race. „Interpido” dogoni nas i po drodze wyjaśnimy im, co się dzieje. Czy mają na pokładzie śmigłowiec?

– Tak, ale nie może wystartować z powodu problemów z łącznością.

– Nieważne. Mogę złapać Ratha.

– Jak?

– Proszę zawrócić statek i resztę zostawić mnie. – Mercer spojrział na Irę Lasko. – Ile masz pistoletów?

– Wyrzuciłem wszystkie.

– Ojciec Watutin?

– Ja także.

Hilda również wróciła do kabiny bez broni.

– Erwin – powiedział Mercer do słuchawki – zdobądź jakąś broń. MP-5 i pistolety. I jeszcze telefon komórkowy i satelitarny. Może zadziałają, kiedy znajdziemy się bliżej Islandii. Spotkajmy się w doku, tam, gdzie wsiedliśmy na statek.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Ira, kiedy Mercer się rozłączył.

– Pamiętasz te motorówki Riva, obok skuterów wodnych? Są piętnaście, dwadzieścia kilometrów na godzinę szybsze od łodzi Ratha. Dopłynię do wybrzeża pierwszy, ale będziemy mu deptać po piętach.

Lasko się skrzywił.

– Te łodzie mają dziesięć metrów długości – powiedział z powątpiewaniem. – Jesteśmy jakieś sto mil od Islandii. Nie wytrzymają wyścigu po otwartym morzu.

– Łodziom nic nie będzie. To my możemy nie przetrwać. Irze nagle wpadł na pomysł.

– Skafandry piankowe?

– I teraz mówisz sensownie. Wiszą obok tych łodzi.

Zeszli do doku jak oddział żołnierzy idących na misję bez powrotu, ponurzy i milczący. Alarmy wyłączono, ale głośniki

powtarzały apel, by wszyscy pasażerowie powrócili do swoich kabin dla sprawdzenia obecności. Korytarze świeciły pustkami.

Mercer otworzył z impetem drzwi doku i włączył górne światła. Dwie rivy stały przy ścianie po lewej, ich przednie pokłady błyszcząły w świetle jarzeniówek. Długie pokłady rufowe kryły po dwa trzystupiętnastokonne silniki Mercruiser. Obydwie łodzie miały otwarty, tapicerowany skórą kokpit z owiewką, która była raczej ozdobna niż funkcjonalna. Były to drogie zabawki przeznaczone do pływania po ukrytych tropikalnych zatoczkach, a on zamierzał właśnie wypuścić się jedną z nich na północny Atlantyk w pościg, którego nie wyobrażali sobie jej konstruktorzy.

Podszedł do panelu sterowania dźwigiem, znajdującego się obok przeszklonego gabinetu, w którym Greta Schmidt ujęła resztę grupy.

– Ira, sprawdź poziom paliwa w łodzi bliżej wrót. Jeśli jest zatankowana do pełna, spuść połowę zbiornika. Potrzebujemy szybkości, nie zasięgu.

– Robi się. – Już otwierał zamek tylnej kłapy, żeby dostać się do silników.

Mercer nałożył na kradzione ubranie za duży skafander. Pianka była nowa i sztywna, ograniczała ruchy, ale wiedział, że będzie jej potrzebował, kiedy riva dopłynie do siekanego falami wybrzeża Islandii. Stopki skafandra nie miały żłobionej podeszwy, Mercer musiał więc włożyć jeszcze tenisówki. Pomieszczenie wypełniło się zapachem rozlanego paliwa.

– Dobra robota. Ojciec Watutin, proszę zastąpić Irę, żeby mógł się przebrać.

Erwin zjawił się w doku, ale nie sam. Towarzyszyli mu Marty, Anika i Klaus Raeder. Mercer odetchnął z ulgą, widząc, że nic się jej nie stało.

– Dajcie broń do sprawdzenia Hildzie. – Dowiodła, że jej znajomość broni dorównywała umiejętnościom kulinarnym. – Jak stoimy z paliwem?

– Już prawie.

– Anika, otwórz wrota zewnętrzne – poprosił Mercer, nie zwracając uwagi na jej wyraz twarzy.

Zignorowała polecenie i podeszła do niego. Mercer zawiązywał but i nie zauważył jej, dopóki się nie wyprostował. Uderzyła go w twarz. Mocno. Zatoczył się na stojak ze skafandrami.

– To za przystawienie mi pistoletu do głowy. – Wściekłość wzmocniła jej akcent i zamglila oczy. – I powinnam cię wałnąć raz jeszcze za ten skok z pomostu. Nie musiałeś tego robić. Mogłeś się już wtedy poddać. I tak wygraliśmy. To był idiotyczny numer. Chciałeś się przekonać, czy dasz radę, prawda? Cholerni mężczyźni i ich ego. Przypominasz mi pewnego znajomego wspinacza, który chciał zrobić drogę nie do przejścia i był gotów zapłacić za to życiem. I tyle właśnie zapłacił.

Odwróciła się, ale Mercer położył jej dłoń na ramieniu. Strząsnęła ją.

– Nie dotykaj mnie.

Poza gniewem zobaczył także jej strach. Głównie o siebie, ale trochę też o niego.

– Jeśli chcesz mnie wrzucić do tej samej szufladki co alpinistów samobójców, nie mogę ci zabronić – Nie okazywał gniewu, bo nie mógł mieć do niej pretensji. – Ale myślę, że nie masz racji. Czy jestem nieostrożny? Kiedy muszę, tak. Czy podejmuję ryzyko, na które nie zdecydowałby się nikt przy zdrowych zmysłach? Tak, ale nie dlatego, że chcę. Robię tak, bo muszę.

– I musisz ściągać Ratha łodzią, która rozpadnie się po pierwszej mili? – W jej głosie słychać było strach o niego.

– Tak. Bo ktoś go musi powstrzymać. Anika, nie jestem tu z własnej woli. I nie z własnej woli znalazłem się na tamtym pomoście z dziesięcioma wycelowanymi we mnie lufami. Jeśli nie zauważyłaś, to reaguję na zagrożenia. Nie szukam ich. Chcesz myśleć o mnie jako o macho, którego ciągnie do niebezpieczeństwa, w porządku. Ale nie sądzę, żebyś znała mnie wystarczająco dobrze, by to ocenić. – Mercer zmienił ton na bardziej ugodowy. – Przepraszam, że cię przestraszyłem.

Odwrócił wzrok. Zauważył, że Klaus Raeder wkłada skafander.

– Co ty, do cholery, robisz?

– Płynę z wami – powiedział przemysłowiec. – To wszystko by się nie wydarzyło, gdybym nie chciał zaoszczędzić pieniędzy udziałowców. Nie pozwolę, żebyście sami naprawiali moje błędy.

Mercer zastanawiał się, czy pozwolić Raederowi na odkupienie winy, ale wyczuł w nim szczerość. Raeder chciał dopaść Ratha. Mercer potrafił zrozumieć, dlaczego.

– Wiesz, jak posługiwać się bronią? Raeder przytaknął, po czym dodał z dumą:

– Mam też czarny pas w dżudo.

– Cieszę się. – Na Mercerze nie zrobiło to wrażenia. – Zamierzam zastrzelić Ratha z tak daleka, jak się da. Jeśli będziesz chciał potem pobić jego zwłoki, proszę bardzo.

Erwin Puhl otworzył zewnętrzne wrota i mroźne powietrze wywiało z garażu opary paliwa. Kiedy szczupły Ira Lasko wślizgiwał się w swój skafander, Marty podczepiał liny żurawia do punktów mocowania na łodzi. Teleskopowe szyny miały wysunąć riwę na zewnątrz i opuścić ją na wodę pomiędzy kadłubami „Cesarzowej Mórz”.

– Ruszajmy – powiedział Ira, kiedy się ubrał.

Zanim Mercer zdążył odpalić silniki, do garażu wpadł któryś z oficerów. Erwin i Raeder rozpoznali go. Kapitan Nehring. Nikt nie zwrócił uwagi na starszego mężczyznę za jego plecami, ubranego w czarne luźne spodnie i szarą bluzę.

Nehring był siwy i władczy, tak jak wyobrażał go sobie Mercer, ale widać też było po nim fizyczne i emocjonalne wyczerpanie.

– Poleciłem stewardom obejść cały statek i policzyć pasażerów. – Dyszał, biegnąc z mostku. – Odkryliśmy, że Gunther Rath wziął zakładników.

– Cholera! – Mercer nie przewidział takiej możliwości. – Kogo? Drugi mężczyzna zrobił krok w przód. Dopiero kiedy Mercer przyjrzał mu się bliżej, pomimo jego zwyczajnego stroju rozpoznał w nim papieża Leona XIV. W korytarzu zauważył cienie kilku gwardzistów szwajcarskich. Mercer odezwał się, zanim pomyślał.

– Ożesz w mordę.

– Ojciec Święty powiedział mi, że zaginał jego sekretarz stanu, kardynał Peretti. Nie udało nam się też znaleźć amerykańskiego kaznodziei telewizyjnego i jego żony.

– Tommy’ego Joe i Lorny FarQuarów? – Ira przypomniał sobie zarozumiałego pastora i jego głupią żonę.

– Prawdopodobnie spotkał ich przypadkowo w korytarzu – powiedział kapitan Nehring, po czym dodał ponuro: – Rath porwał też Dalajlamę.

Wszyscy wymienili przerażone spojrzenia.

Rath nie mógł sobie wybrać zakładnika wzbudzającego bardziej pozytywne emocje. Szacunek, jakim świat darzył Dalajlamę, był trudny do przecenienia. Ten laureat Pokojowej Nagrody Nobla był najlepiej po papieżu znanym przywódcą religijnym świata, uważanym za wzór męża stanu i głos wszystkich uciskanych.

– Kapitan powiedział mi, że zamierzacie ścigać porywaczy. – Angielski papieża był naznaczony akcentem, ale melodyjny. – Rozumiem, dlaczego chcecie to zrobić, ale nie mogę pozwolić, byście poświęcili swoje życie dla ratowania zakładników. Znam Dalajlamę od wielu lat. Nie chciałby, żebyście oddali swoje życie za niego. Podobnie Dominic Peretti. Pastor FarQuar na swój sposób czci tego samego Boga co ja i moje serce mówi mi, że on także nie chciałby, żebyście zginęli, próbując go ratować.

Mercera nie obchodziło, kto został wzięty na zakładnika. Nie miało dla niego znaczenia, czy był to sam Dalajlama, czy człowiek, który przynosił mu poranną herbatę. Tu nie chodziło o zakładników ani nawet o zemstę. Trzeba było zapobiec śmierci, które mogła spowodować skrzynka „Pandory”.

– Rozumiem, co chce powiedzieć Wasza... – Świętość? Dostojność? Łaskawość? Mercer nie wiedział, jaki tytuł byłby właściwy – ...co chce pan powiedzieć. I doceniam pana troskę. Ale nie płyniemy ratować czterech zakładników. Płyniemy, bo Gunther Rath ma coś, co może zagrozić wszystkim żywym istotom na tej planecie. – Nie wiedząc, czy nie obraził papieża, Mercer wskazał Anatolija Watutina. – Ojciec Watutin może wytłumaczyć, co mam na myśli.

Wydawało się, że papież zada kolejne pytanie, ale powstrzymał się. Determinacja w głosie i spojrzeniu Mercera przekonały go, że mężczyźni w motorówce nie zamierzali zostać męczennikami.

– Idźcie z Bogiem i moim błogosławieństwem.

Mercer poczuł za tym prostym zdaniem siłę miliarda katolików.

– Dziękuję – Odwrócił się do kapitana Nehringa. – Próbuje odzyskać łączność. Zaalarmujcie amerykańską bazę w Keflavik, gdy tylko będzie to możliwe. Jeśli Włochom uda się poderwać w powietrze ich helikopter, wyślijcie go za nami.

Przekręcił kluczyk rivy i ryk silników zagłuszył wszelkie próby dalszej konwersacji. Raeder i Ira trzymali się kurczowo, zaś Marty dzwigiem podniósł łódź z jej stanowiska i przesunął ją na szyny wodowania. Mercer spojrzał na Anikę. Stała przy drzwiach doku ze skrzyżowanymi ramionami i nieodgadzionym wyrazem twarzy. Choć rozsądek mówił, żeby tego nie robić, puścił jej oczko. Wydawało mu się, że uśmiechnęła się nieznacznie. Może tylko to sobie wyobrażał.

Jak włoskie samochody – maserati, ferrari, lamborghini – riva ożyła, kiedy Mercer przesunął przepustnicę do oporu. Uniósł się z wody i wystrzeliła z przypominającego kanion przesmyku między kadłubami katamaranu, okrążając dziób „Cesarzowej Mórz”. Wszyscy trzej założyli na twarze maski do nurkowania dla ochrony przed lodowatym wiatrem i wodą. Mieli na sobie dwuczęściowe kombinezony, rękawice i kaptury. o ile łódź nie trafi na fale, z którymi sobie nie poradzi, nie groziło im wychłodzenie. Gdyby zderzyła się z falą i przewróciła, skafandry dawały im kilka dodatkowych minut w wodzie, której temperatura ledwie przekraczała zero stopni.

Noc błyszczała wijącymi się wstęgami zorzy polarnej, która była tak intensywna, że zniknęły wszystkie gwiazdy poza tymi najjaśniejszymi. Żaden z nich nie zwracał na to uwagi. Mercer siedział za sterem wpatrzony w punkt, w którym wydawało mu się, że horyzont dzieli morze i niebo, zaś Ira pilnował na kompasie, żeby nie zgubili kursu. Klaus Raeder kulił się za ich plecami na siedzeniu, które przeznaczone było do relaksujących kolacji i koktajli z przyjaciółmi.

Mercer obliczył, że biorąc pod uwagę godzinną przewagę Ratha, obydwie łodzie powinny dotrzeć do wybrzeża mniej więcej równocześnie, o ile uda mu się utrzymać szybkość.

Ale morze zaczęło się burzyć.

Z początku było to ledwie zauważalne, wolne falowanie łagodnych wzniesień, ale w drugiej godzinie rejsu fale urosły tak, że większość zwieńczona była białą pianą. Riva zaczęła się kołysać. Mercer musiał skierować łódź dziobem do fal, żeby nie

brali uderzeń na burtę, i zoczył nieco z kursu. Na większych falach luksusowa łódź wlatywała w powietrze, prześlizgując się po grzbietach, podczas gdy jej śruby miały po równo wodę i powietrze. Trzymali się, choć pasy bezpieczeństwa wrzynały im się w ciała, a lodowaty wiatr z zachodu siekł z całej mocy.

Ira przyłożył usta do ucha Mercera i wrzasnął:

– Myślisz, że Rath też będzie musiał zwolnić?

Mercer pokręcił przecząco głową. Łódź Ratha była zaprojektowana na znoszenie takich fal na otwartym morzu. Mieli szczęście, że udało im się nadrobić niemal trzy czwarte straty do Ratha, i mogli mieć tylko nadzieję, że tego nie tracą, przebijając się dalej na północ.

Morze wzburzyło się jeszcze bardziej i wraz z pierwszym rumieńcem świtu na wschodnim horyzoncie zerwał się wiatr. Od ciągłego amortyzowania wstrząsów Mercera bolały już kolana, a dłonie cierpły od kurczowego ściskania koła sterowego. Stopy miał przemoczone, łydki zaczynały mu drętwieć. Wypatrywał śladu kilwatera albo światła pozycyjnych. Na razie bez sukcesu.

Za jego plecami wymiotował Klaus Raeder.

Mercer zauważył ogromną falę na chwilę, nim uderzyła w łódź. Obrócił koło w kierunku rosnącej góry wody, riva uniosła się, a żołądki podeszły im do gardeł. Spadając z grzbietu korkociągiem, łódź wylądowała tak, że krawędź burty znalazła się pod powierzchnią wody i przewróciłiby się, gdyby Mercer nie obrócił koła w przeciwnym kierunku i nie zamknął przepustnic. Zanim mógł odzyskać kontrolę, kolejny gigant uderzył ich z boku i woda wlała się do kokpitu. Tym razem nie mógł zrobić

nic, co najwyżej modlić się, żeby fala przeszła pod nimi, zanim riva nie odzyska równowagi.

Motorówka zanurkowała w dolinę fal, a Mercer miał akurat tyle czasu, żeby ustawić ją dziobem do trzeciej fali. Był to pokaz mistrzowskiego sterowania i Ira spojrział na Mercera oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia. Widoczne niedowierzanie Mercera świadczyło o tym, że była to kwestia szczęścia, a nie umiejętności.

Pompy rivy pracowały w zębie na pełnych obrotach.

Nie mając pojęcia, kiedy uderzy następna duża seria, Mercer gestem polecił Raederowi wypatrywać ich na zachodzie. Niemiec poklepał go po ramieniu, potwierdzając, że zrozumiał.

Jeszcze pięć razy trafiali na wysokie fale i za każdym razem Raeder ostrzegał Mercera wcześniej, żeby zdążył skierować dziób w ich stronę. Fale pomiędzy tymi większymi i tak były dość duże, by zatopić łódź, ale Mercer wyczuł już ich rytm i potrafił uniknąć niebezpieczeństwa.

Po kolejnej godzinie coś, co z początku wydawało się małym punkcikiem światła, okazało się latarnią morską. Zbliżali się do wschodniego brzegu półwyspu Reykjanes, tuż obok Keflavik, głównego lotniska Islandii. Mercer usiłował przypomnieć sobie szczegóły tutejszej topografii. Jediną dostępną z morza wioską w tej części półwyspu była niewielka osada rybacka Grindavik, jakieś piętnaście kilometrów dalej wzdłuż wybrzeża.

Zakładając, że Rath przyjął kurs prosto na Islandię i musiał ukraść ciężarówkę, Mercer skręcił w lewo i zwiększył prędkość, kiedy znaleźli się pod osłoną brzegu. Silniki zawyły.

Światło świtu urosło do biało-złotej wstęgi, lepiej uwidaczniając naturę tego wybrzeża: ponurą i udręczoną wulkanicznym pochodzeniem. Mercer zauważył zarysy kilku wulkanów, spłaszczonych stożków na płaskiej równinie.

Na wodzie dostrzegł białą plamkę – kilwater szybko płynącej łodzi. Kiedy zauważyli ją również pozostali, Raeder podał Irze jeden z pistoletów maszynowych, sam wziął drugi. Zapomnieli o zimnie i wyczerpaniu, chcieli rozprawić się z Rathem.

Miasteczko Grindavik było jeszcze pogrążone w ciemnościach, ale już widoczne, i na jakieś półtora kilometra przed nim weszliby w trawers motorówki Ratha. Kotłyszac się w rytm łodzi, Ira przeładował i wprowadził nabój do komory swojego MP-5.

Mercer zwolnił, zrównując prędkość z drugą łodzią, kiedy dzieliło ich tylko dwadzieścia metrów. Widział napis „Njoerd” na jej pawęży. I cztery głowy, jedną z rozwianymi blond włosami.

Kiedy Ira unosił H&K do ramienia, Greta Schmidt się obejrzała. Mercer widział, że coś krzyczy. Ira nacisnął spust i seria z pistoletu rozbryzgała wodę w miejscu, w którym chwilę wcześniej była łódź. Dieter zareagował na wrzaski Grety z niesamowitym refleksem, dzięki któremu był tak świetnym rajdowcem. Zaczął kręcić większą motorówką nieregularny slalom, za którym nie dawało się precyzyjnie podążać serią pistoletu maszynowego. Ira nie mógł ryzykować strzelania w łódź Ratha na oślep, nie chcąc trafić któregoś z zakładników. Mercer zmniejszył nieco gaz, nie chcąc wyprzedzić Ratha. Wyścig skończyłby się dopiero na brzegu.

Greta zniknęła na chwilę z pola widzenia. Kiedy wróciła z przedniej części łodzi, w jednym ręku miała pistolet, w drugim zaś trzymała zakładniczkę – Lornę FarQuar.

Choć życie stępiło wrażliwość Mercera na przemoc, nie uodporniło go całkowicie. W żaden sposób nie mógł przygotować się na to, co wiedział, że za chwilę nastąpi. Lorna chyba także zdawała sobie sprawę z czekającego ją losu, bo rozpaczliwie starała się wyrwać z uścisku Greta. Na twarzy Greta nie drgnął żaden mięsień, kiedy uderzyła kobietę pistoletem w głowę i wyrzuciła ją za rufę.

Instykt podpowiadał Mercerowi, żeby to zignorować i skoncentrować się na Guntherze Rathu i skrzynce z odłamkiem meteorytu. Tylko to było ważne. Jednak współczucie wygrało z żądzą wymierzenia sprawiedliwości.

Nie zawahał się.

Odciął przepustnicę, trzymając się mocno koła sterowego. Riva opadła w dół jak przy czołowym zderzeniu. Łódź Ratha odpłynęła z rykiem, zaś Mercer zatoczył łuk, żeby wyciągnąć kobietę. Leżała w wodzie twarzą w dół, a impet zderzenia z wodą zerwał jej kusą sukienkę. Skóra pod przezroczystymi majtkami była biała. Z bulgoczącymi na niskich obrotach mercruiserami Mercer podpłynął do niej riva, operując kołem i przepustnicą tak, że motorówka wykręciła piruet i Klaus Raeder mógł ją złapać. Przeciągnął ją przez nadburcie.

Mercer ponownie otworzył przepustnicę. Spojrzał przez ramię, akurat żeby zobaczyć, jak z ust Lorny bije gejzer czystej wody, po czym chwyta ją konwulsyjny kaszel. Zwinęła się w kłę-

bek i zwymiotowała raz jeszcze. Drżała przez następnych kilka godzin, głowa pękała jej z bólu, ale nic jej nie było.

Rath skręcał już w stronę drewnianych pomostów Grindavik. Nie zwolnił aż do ostatniego momentu i fala, którą wywołał, objęła rybackie kutry o pływające pomosty i siebie nawzajem. Jedynym punktem stałym było betonowe molo, do którego zacumował sejnier z wysokimi burtami. Obok zaparkowana była poobijana furgonetka, a pięciu wyruszających wcześniej rybaków gawędziło przyjaźnie, przygotowując sieci. Rath skierował Dietera na drugą stronę molo. Jeden z ochroniarzy wyskoczył z łodzi i przymocował cumę do porzewiałego polera. W jego ślady poszedł drugi. On patrzył na rybaków, oni na jego broń.

Kiedy Mercer skierował riwę w stronę miasteczka, na rufie drugiej łodzi stanęło dwóch kolejnych ochroniarzy i otworzyło ogień z pistoletów maszynowych. Byli niemal poza zasięgiem, ale Mercer musiał zawrócić pod gradem pocisków, kreśląc w wodzie łuk. Jak trzymany na odległość rekin krążył teraz bezustannie tam i z powrotem, szukając okazji, która nie nadchodziła. Rath miał przewagę i dopóki nie załaduje zakładników i skrzynki do furgonetki, Mercer, Ira i Raeder mogli tylko czekać.

– Weź panią FarQuar pod pokład i zawiń ją we wszystkie koce, jakie mamy – polecił Mercer. – Na suficie kabiny powinny być wywietrzniki ogrzewania. Otwórz je szeroko.

Gdy Raeder wprowadzał kobietę do kabiny, a Mercer obserwował gorączkowy pośpiech na molo, Irę olśniło. Włączył telefon satelitarny i spróbował złapać sygnał.

– Cholera! Nic.

– A co z komórką? One nie potrzebują satelity. Ich sygnał musi tylko sięgnąć najbliższego masztu, a chyba widzę taki w głębi łądu za miastem.

– Dobry pomysł – Odrzucił telefon satelitarny i otworzył drzwi, nie większy niż portfel. – Mam sygnał!

– Zadzwoń do Paula Barnesa i sprowadź pomoc. – Mercer widział, jak Rath zmusił trzech rybaków do przeniesienia złotej skrzyni z łodzi na furgonetkę. Greta pilnowała zakładników.

Ira rozmawiał przez telefon dobrą minutę, wypowiadając nonsensowne kody, zanim połączył się ze swoim oficerem prowadzącym.

– Rudy, tu Ira Lasko... Zamknij się i słuchaj. To wszystko prawda... Tak, meteoryt, firmy należące do Kohl AG i cała pieprzona reszta. To nie Klause Raedera szukamy. Chodzi o jego dyrektora do spraw projektów specjalnych, Gunthera Ratha. Posłuchaj mnie. Rath ma skrzynię z nieznaną ilością meteorytu, a do tego trójkę zakładników, w tym Dalajlamę i człowieka numer dwa w Watykanie. Jesteśmy na wybrzeżu Islandii, tuż obok miasteczka Grindavik... Nieważne, jak się tu dostaliśmy. Jesteśmy tu i kurewsko potrzebujemy pomocy. Łap słuchawkę i załatw nam śmigłowiec z bazy Keflavik. Rath porusza się białą furgonetką i zapewne będzie jechał w poprzek półwyspu w stronę szosy na Reykjavik. To chyba droga numer 41.

Mercer przerwał mu.

– Niech powie pilotowi, że będą jechać drogą dojazdową do term Błękitnej Laguny.

Ira przekazał tę informację i dodał:

– Spróbujemy załatwić sobie transport i kontynuować pościg. Rath ma czterech, pięciu ludzi uzbrojonych w pistolety automatyczne i maszynowe. Będzie strzelał bez wahania... Nie! Nie zdejmujcie furgonetki z powietrza, o ile nie będzie to absolutnie konieczne. Ma zakładników, na litość boską. Możecie śledzić ten aparat, więc zadzwoń do mnie pod ten numer, kiedy porozumiesz się z Siłami Powietrznymi. – Zamknął telefon.

– Kiedy będzie śmigłowiec?

– Za kwadrans. Wojsko było w gotowości od momentu, kiedy przestałem się zgłaszać.

Klaus Raeder wyszedł po stromych schodkach z kabiny rivy.

– Chyba nic jej nie będzie. Guz na głowie trochę krwawi, ale nie wydaje mi się, żeby miała pękniętą czaszkę.

Za każdym razem, gdy motorówka zdryfowała z przypiływem w stronę brzegu, z molo wybuchał ogień maszynowy i Mercer wycofywał ich na wstecznych obrotach poza zasięg. Wykorzystali ten czas, żeby pozbyć się krępujących ruchy skafandrów. Wiatr przebijał się przez ubrania, ale adrenalina uodporniła ich na zimno. Gdyby Grindavik był czymś więcej niż tylko małą grupką białych drewnianych budynków, Mercer przybiłby gdzieś dalej i spróbował zająć uciekinierów z flanki.

Tymczasem na molo Gunther Rath wściekał się na swoich ludzi. Zapewnili go, że nie było sposobu, by ktokolwiek z „Cesarzowej Mórz” popłynął za nimi, a jednak dowód na to, że jednak był sposób, unosił się na wodzie raptem kilkaset metrów od brzegu. Jasne, nawet on sam nie przewidziałby, że Mercer odważy się popłynąć po morzu w tak małej łódce, ale

gdyby wiedział o riviach w garażu na skutery wodne, rozkazałby zniszczyć kadłuby także tych łodzi.

Zdrętwiali ze strachu rybacy już prawie wstawili stukilową skrzynię na tył samochodu. Kiedy będzie już zabezpieczona, zamierzał zostawić jednego strzelca na molo, żeby trzymać Mercera w szachu, kiedy sam będzie próbował mu uciec. Potrzebował pół godziny, by dotrzeć do lotniska Keflavik, gdzie wymieni zakładników na samolot, którym ucieknie z Islandii.

– Ruszcie się! – krzyknął i popchnął jednego z rybaków. Mężczyzna zatoczył się, a skrzynka opadła ciężko na podłogę furgonetki, kołyszając jej zawieszeniem.

Bez namysłu czy skrupułów Rath wyjął zza paska swój pistolet i zastrzelił dwóch rybaków. Dwaj inni wskoczyli do kutra, chowając się gdzieś, a trzeci rzucił się do wody.

– Ładujcie się – warknął, machając na trzech zakładników dymiącą jeszcze bronią.

Bez słowa wsiedli do furgonetki. Dalajlama spojrział na niego, jakby wiedział, jakie demony sprawiły, że zabija z zimną krwią. Tommy Joe Farquar dał się prowadzić, zbyt porażony tym, co spotkało jego żonę, by stawiać jakikolwiek opór. Kardynał Peretti nie ukrywał pogardy.

Willie, zostaniesz na molo – rozkazał najmłodszemu ze swoich ludzi. – Trzymaj tę łódź z daleka tak długo, jak zdołasz. Daj nam trzydzieści minut i uciekaj. Trzymaj się z dala od oddziału Geo-Research w Reykjaviku i przekaz wieści do biura partii w Hamburgu. Oni będą wiedzieć, jak się ze mną skontaktować, i za kilka dni cię wyciągniemy.

– Jawohl! – krzyknął młody neonazista, dumny, że może przysłużyć się sprawie.

Greta trzymała zakładników na muszce, wsiadając bocznymi drzwiami i napawając się wypełniającym furgonetkę zapachem testosteronu i strachu. Była bliska orgazmu. Jej wiara w Gunthera była absolutna, wiedziała, że się stąd wydostaną.

Furgonetka ruszyła wzdłuż molo, z Dieterem za kierownicą i Rathem na siedzeniu pasażera. Kiedy wjechali na drogę, przyspieszyli. Lotnisko było niecałe pięćdziesiąt kilometrów dalej.

Mercer, sfrustrowany, patrzył, jak zakładnicy wsiadali do samochodu. Gdy furgonetka zniknęła w cichym miasteczku, ruszył w stronę molo. Uświadomił sobie, że Rath zostawił strażnika, dopiero wtedy kiedy woda wokół ich kadłuba eksplodowała, a posiekany przedni pokład wypełnił powietrze drzazgami szlachetnego drewna. Zakręcił kołem, a Ira i Raeder odpowiedzieli ogniem. Strzelec na molo schował się za ciężkimi stalowymi pojemnikami na ryby i chyba tylko rakietą mogłaby go stamtąd wyłuskać.

– Podpłynę na plażę dalej wzdłuż brzegu, a stamtąd pobiegniemy do miasteczka po samochód – przekrzykiwał huk silników.

Zanim ruszył, strzelec nagle wyszedł zza swojej osłony, trzymając się za brzuch splamionymi czerwienią dłońmi. Sekundę później dotarł do nich huk wystrzału i zobaczyli obłoczek dymu, uchodzący z mostku kutra zacumowanego przy molo. Neonazista spojrział w stronę, z której słyszał strzał, i tył jego głowy eks-

plodował. Strzelba używana przez rybaków na rekiny rozniosła jego mózg po całym molo.

Mercer nie tracił ani sekundy. Wprowadził ich do doku na niemal pełnej mocy, nie dbając o to, że hamuje, trąc o betonowe nabrzeże burtą łodzi wartą trzysta tysięcy dolarów. Ira wskoczył na molo i mocno przywiązał cumę. Po nim wyszedł Raeder, a na końcu Mercer, który trzymał teraz pistolet maszynowy i berette. Na mostku kutra stało dwóch Islandczyków o ogorzałych twarzach, nie spuszczać podejrzliwych spojrzeń z ich trójki. Trzeci ocalony rybak dotarł właśnie do plaży i szedł w stronę doku.

– W kabinie jest kobieta. – Mercer wskazał rękę, mając nadzieję, że rybacy mówią po angielsku, tak jak większość Islandczyków. – Jest bardzo wychłodzona i potrzebuje lekarza, bo miała wstrząs mózgu. – Rybacy milczeli. Stara strzelba była teraz wycelowana w głowę Mercera. – Ludzie, którzy zabili waszych przyjaciół, wrzucili ją do morza. Potrzebujemy samochodu, żeby ich ścigać.

Wiatr gwizdał w olinowaniu kutra.

– Jeśli nie chcecie nam pomóc, przynajmniej nas nie zatrzymujcie – poprosił Mercer.

Mężczyzna opuścił strzelbę na rekiny.

– Jak dużo kobieta w wodzie?

– Pięć minut, maksimum osiem.

Strzelaniny i morderstwa z zimną krwią były czymś nieznanym tym ludziom. Ofiara morza była zagrożeniem, które potrafili zrozumieć.

– Dwóch zabitych. Moi kuzyni – powiedział szyper i sięgnął do kieszeni. Rzucił pęk kluczy na molo obok stóp Mercera. – Wy znacie zabijanie. Wy ich zabijcie. Ja znam morze. Ja pomogę kobiecie. – Wskazał dłonią miasteczko. – Niebieskie volvo przed restauracją Vsjomannastofan.

Mercer nie podziękował im. Oni tego nie oczekiwali, a on nie miał czasu. Wziął kluczyki i ruszył biegiem, mając nadzieję, że Ira i Klaus nadążą za nim. Dopóki Rath żyje, nie zamierzał na nic czekać.

Volvo było poobijanym sedanem, przezartym rdzą i tak często naprawianym, że niewiele zostało z oryginalnego lakieru. Wnętrze śmierdziało dymem z fajki, a tapicerka foteli była tak zniszczona, że więcej było widać gąbki niż czarnej dermy. Silnik krztusił się i strzelał, nie przestając, kiedy z bolesnym zgrzytem wrzucił pierwszy bieg. Heckler & Kocha położył sobie na kolanach. Szyba po stronie Iry nie chciała się opuścić, wybił ją więc kolbą pistoletu.

Droga biegła poza miasteczko, dostosowując się do kapryśków wulkanicznego terenu. Kiedy zwiększyli prędkość, łyse opony i mokra szosa groziły wpadnięciem do rowu przy każdym zakręcie. Mercer żałował, że nie jada jego jaguarem. Mknęliby teraz sto sześćdziesiąt bez pisku opon. I tak jednak cisnął stare volvo jeszcze mocniej, ścinając zakręty kontrolowanymi poślizgami dzięki szybkim odcisnięciom gazu i hamulca i operując biegami bez zwracania uwagi na zupełnie już niedziałające synchronizatory.

W oddali widział smugi pary z elektrowni Svartsengi, wznoszące się w szarym świetle jak chmury uwalniane przez czarną

ziemię. Nie widział natomiast białej furgonetki, jadącej równie szalenie jak on. Na końcu drogi znajdowało się rozwidlenie – na wschód, do Reykjavíku, i na zachód, na międzynarodowe lotnisko i Keflavík. Obydwie trasy mogli wybrać, Mercer musiał więc zbliżyć się, żeby zobaczyć, dokąd zmierza Rath.

– Widać już śmigłowiec? – zapytał. Volvo podniosło na chwilę dwa koła, z piskiem opon pokonując ostry zakręt.

– Podstawa to tylko sto pięćdziesiąt metrów – powiedział Ira, mając na myśli niski pułap chmur zwieszających się z najwyższych szczytów jak muślin. – Nie zobaczymy go, chyba że będzie bezpośrednio nad nami.

Zbliżali się do geotermalnej elektrowni i położonego obok spa Błękitna Laguna. Z pola lawy, niczym smukłe rakiety na powierzchni Księżyca, wyrastały trzy trzydziestometrowe chłodnie kominowe ze szczytami zwieńczonymi parą. Reszta rozległego kompleksu ukryta była w zagłębieniu terenu. Osiemset metrów dalej odchodziła droga do elektrowni i spa i tuż za nią zauważył furgonetkę. Mercer zacisnął usta. Nagle zdał sobie sprawę, że coś się nie zgadza. Furgonetka nie jechała jego pasem, tylko przeciwnym. Nie oddalała się od nich. Zbliżała się!

Nad pędzącym pojazdem jak rozwścieczony owad wisiał pomalowany w kolor khaki śmigłowiec Hughes 500 z płozami nie dalej jak piętnaście metrów ponad jego dachem. W otwartych drzwiach siedział snajper z okiem przystawionym do ogromnej lunety karabinu Barretta kaliber 12,7 milimetra. Wiatr szarpał jego ubraniem.

Mercer zaciągnął ręczny hamulec i obrócił volvo tak, że zablokował całą szerokość jednopasmowej drogi. Nawet najlepsza terenówka nie wjechałaby dalej niż metr w pokryte mchem pole lawowe. Rath wpadł w pułapkę między śmigłowcem a samochodem. Mercer otworzył drzwi, złapał swój H&K i obserwował zbliżającą się furgonetkę przez celownik. Nacisnął spust, świadomie celując nisko. Nie mógł ryzykować, że trafi kierowcę albo że jego kula zrykoszetuje do kabiny.

Ryzykować życie na torze wyścigowym to było jedno, a coś zupełnie innego – jechać naprzeciw błyskającej lufy dziewięciomilimetrowego pistoletu maszynowego. To była gra w cykora, w której nie zamierzał wziąć udziału. Zahamował tak ostro, że tył samochodu wpadł w poślizg, skręcił w dojazd do elektrowni i przyspieszył.

Mercer pamiętał ze swojej wizyty w elektrowni kilka lat wcześniej, że to była jedyna droga do i z kompleksu. Jeśli uda mu się unieruchomić furgonetkę, śmiercionośna skrzynka będzie jak w pułapce. Wskoczył z powrotem do volvo, wrzucił bieg i ruszył za uciekającym Rathem. Ira włożył nowy magazynek do MP-5 Mercera. Furgonetka minęła zjazd do elektrowni i jechała dalej w kierunku nowo wybudowanego spa Błękitna Laguna. Hughs 500 przeleciał nad nią z groźnie pochylonym dziobem.

Do nowoczesnego budynku spa ze szkła i stali prowadziła kręta ścieżka wycięta w lawie. Dieter przemknął przez parking i wjechał na ścieżkę, wzbijając fontanny iskier za każdym razem, kiedy samochód otarł się o skałę. Ponieważ Mercer był wciąż kilkaset metrów dalej i nie mógł się skomunikować ze

śmigłowcem, dzięki temu manewrowi zyskali kilka minut na wyprowadzenie zakładników z samochodu. Nie mieli innego wyboru, jak tylko zostawić skrzynkę w furgonetce.

Do jej pilnowania i niedopuszczenia, by ktokolwiek pokonał ścieżkę do spa, Rath wyznaczył jednego człowieka.

Rath rozbił pistoletem jedno ze szklanych drzwi spa i wbiegł do środka pewien, że jego ludzie poradzą sobie z Perettim, Farquarem i Dalajlamą. Przed nim rozciągało się wielkie pomieszczenie przecięte blatem recepcji. Dalej była poczekalnia z sześciometrową szklaną szybą, wychodzącą na dymiące wody sztucznej laguny. W słabym świetle nadchodzącego świtu woda miała dziwaczny odcień mlecznego błękitu, którego źródłem była mieszanka krzemionki i bakterii. Stąd brały się zarówno właściwości lecznicze, jak i piekielny smród siarki.

Rath rozstawił swoich ludzi tak, żeby najlepiej kryli ogniem wejście – gdyby okazało się, że zespół Mercera poradzi sobie ze strzelcem w samochodzie. Sprawdził też drogę ucieczki, kiedy Mercer będzie już martwy. Budynek rezonował warkotem wirników śmigłowca wiszącego metr czy dwa nad dachem.

Kiedy Mercer dojechał na parking i zobaczył przypominającą kanion ścieżkę wejściową, domyślił się, dokąd poszedł Rath. Zahamował ostro i zaparkował tak, by zablokować furgonetkę. Napędzany adrenaliną, aż paliły go żyły, nawet przez moment nie rozważał oczekiwania na posiłki z bazy wojskowej w Keflavik.

– Chcą, żebyśmy za nimi poszli – powiedział Ira.

– Okrążymy ich – mruknął Mercer. – Wy dwaj wejdźcie na skałę po lewej, a ja będę iść po prawej stronie ścieżki. Zatrzymamy się nad furgonetką.

Lawa pokryła tę część półwyspu Reykjanes w roku 1226 i pomimo islandzkich wichur nie poddała się wygładzającemu działaniu erozji. Wspinanie się na wulkaniczną skałę przypominało wchodzenie na górę odłamków szkła. Mercer miał rozcięte kolano i zdarte jak pilnikiem opuszki palców lewej dłoni, ale wszedł i ruszył w stronę budynku spa. Znajdująca się dalej laguna szumiała jak kocioł wrzątku koloru akwamaryny. Wypatrując strażników, skradał się przy krawędzi, aż doszedł do furgonetki. Spojrzał na przeszklony front spa, ale w ciemnych wnętrzach nie wypatrzył niczego.

Gdy Ira i Reader znaleźli się po drugiej stronie i trzymali budynek na muszce, Mercer się podniósł, wycelował w tył furgonetki i wcisnął spust H&K. Wystrzelał cały magazynek. Strzały ogłuszyły go, nie słyszał więc zamka tylnych drzwi, ale zobaczył, jak się otwierają. Mężczyzna w czarnym kombinezonie Geo-Research wolno osunął się na ziemię.

Ze spa nagle posypał się na Mercera grad kul. Ira i Reader odpowiedzieli ogniem, ale nie powstrzymali snajpera. Skałę wokół Mercera nie przestały siekać serie pocisków. Niewielkie wypiętrzenie lawy dawało mu trochę osłony. Załadował kolejny magazynek. Zamiast uciekać, jak spodziewał się strzelec, Mercer ruszył w kierunku spa, puszczając krótką serię.

Odległość między wzniesieniem, na którym był, a pierwszym piętrzem budynku wynosiła trzy metry. Skoczył w kierunku okna

biura, wystrzeliwując w locie kilka kul. Okno właśnie zaczynało się rozpadać, gdy przeleciał przez nie w deszczu szkła. Wylądował na zagraconym biurku, rozrzucając papiery i strącając na podłogę komputer. Podciągnął się do okna, gotów strzelać do strażnika, którego wcześniej wypatrzył, ale mężczyzna zniknął.

Zobaczył, że Ira i Reader również ruszają w poszukiwaniu wejścia do budynku. Mercer odetchnął głęboko, przygotowany na przeszywający ból złamanego zebra czy dwóch. Ale tak wielkiego tępego bólu się nie spodziewał. Wymknął się z biura, wcześniej doładowując na wpół pusty magazynek kulami z dwóch pistoletów. Wnętrze spa było bez wyrazu, pełne cieni, które znikwały, gdy wschodziło słońce.

W korytarzu pośpiesznie zbudowano barykadę z krzeseł i stołów. Mercer dostrzegł jakiś ruch i wystrzelił krótką serię. Ktoś z tamtej strony odpowiedział ogniem, przygważdżając go do pomostu. Szklane balustrady zamieniły się w deszcz odłamków. Mercer przetoczył się i zaczął strzelać. Sześciometrowa szklana ściana była podzielona na kwadraty stalową kratownicą. Wycelował w najwyższy rząd. Trzycentymetrowa szyba się roztrzaskała. Setki kilogramów szkła spadły na podłogę, stół i strzelca. To był Dieter. Wyrzebywał się spod lawiny szkła, gdy wielki kawał szyby spadł na niego, odcinając mu rękę od tułowia. Krzyczał rozpaczliwie, Mercer uciszył go strzałem w głowę.

Ira i Raeder nadchodzili z drugiej strony pomostu.

– Na ziemię! – Mercer krzyknął zbyt późno.

Ira oberwał. Raeder osłaniał Mercera, który złapał Lasko za kołnierz i przeciągnął w bezpieczne miejsce. Na wykładzinie

została smuga krwi. Mercer ułożył rannego na plecach. Ira był błądy jak ściana, oddech miał urywany i chrapliwy.

– Jest źle? – spytał Mercer, ostrożnie podnosząc koszulę Iry.

– Skąd mam do cholery wiedzieć? – wy dyszał agent. – Nie jestem lekarzem.

Mercer wytarł krew rękawem i się roześmiał. Kula przeszła przez talię, zostawiając dziurę na wylot, ale rana nie była groźna.

– Gdyby twoja żona lepiej gotowała, byłby kłopot.

Gorzej wyglądała rana uda. Tętnica nie została naruszona, ale obfite krwawienie wskazywało, że uszkodzone są ważne naczynia krwionośne. Klaus dalej ostrzeliwał się z człowiekiem przy sklepiku z pamiątkami.

Swój pasek Mercer wykorzystał jako opaskę uciskową. Trzeba ją było rozluźniać co dwadzieścia minut, inaczej w ranę mogłaby się wdać gangrena. Gdyby Ira był nieprzytomny i nie mógłby sam rozluźniać opaski, Raeder musiałby z nim zostać.

– Wszystko okej? – spytał Raeder.

– Tak. – Mercer otrzepał ramiona z kawałeczków szkła. Dwóch ochroniarzy zdjęli, oprócz Grety i Gunthera pozostało więc jeszcze dwóch. – Myślę, że tych dwóch strzelców będzie chciało nas przygwoździć, żeby Greta i Gunther zdołali dostać się do elektrowni i ukraść tam jakiś samochód.

– A co ze snajperem w helikopterze? – Raeder wziął zapasowe magazynki Iry.

– Jeśli nie wylądują, nie zaryzykują strzału. Helikopter jest za mało stabilny.

– Jaki masz plan? – zapytał Ira – Nie mam pojęcia. – Mercer się rozejrzał. Niemal wyczuwał dwóch mężczyzn czających się gdzieś w budynku. W końcu spojrzął na Irę. – A może jeszcze raz skontaktujesz się z twoim oficerem prowadzącym? Niech zadzwoni do bazy w Keflavik, żeby przysłali helikopter. Ciebie trzeba natychmiast przewieźć do szpitala, ktoś musi też zabezpieczyć skrzynię z meteorytem. Klaus zostanie z tobą, dopóki cię nie zabiorą, a później może pójść za mną.

– A gdzie ty idziesz?

– Po Ratha.

– Nie jest to twój najlepszy pomysł. Mercer się roześmiał.

– I to mówi człowiek, który dał się właśnie postrzelić. – Kolejny uszczypliwy komentarz uwiązał mu jednak w gardle. Dobiegł ich odgłos strzału z pistoletu, z miejsca, w którym widział tabliczki prowadzące do przebieralni. Pojedynczy strzał mógł oznaczać tylko jedno. Rath zastrzelił zakładnika. Mercer spojrzął najpierw na Irę, potem na Klause Raedera. Oni też wiedzieli, co się stało.

– Nic mi nie będzie – zapewnił! agent, chwytając Mercera za ramię. Miał przy sobie pistolet. – Przenieście mnie do biura i zabijcie tego szalonego skurwysyna.

– Dopilnuj, żeby pilot helikoptera wiedział, po której stronie wyjdziemy z budynku – przypomniał Mercer, gdy położyli już Irę bezpiecznie za biurkiem.

Mercer złapał H&K i ruszył korytarzem z Klausem Raederem. Drzwi wielu gabinetów były pootwierane, a ich okna wychodziły na okolony lawą zbiornik wodny. Ze swojego punktu

obserwacyjnego zobaczyli postaci poruszające się w wirującej mgiełce, ciemne sylwetki przeskakujące od osłony do osłony. Oczywiście było, że dwie osoby szły nie z własnej woli, ale nie dało się powiedzieć, kto – Dalajlama, kardynał Peretti czy Tommy Joe Farquar – został zastrzelony w przebieralni. Widać było też, że dwaj strzelcy pozostający pod rozkazami Ratha byli z nimi.

– Na końcu korytarza są schody – zauważył Raeder.

– No to chodźmy.

Przebiernia dla mężczyzn była nieco dalej. Mercer wszedł pierwszy, zaciskając dłoń na małym pistolecie automatycznym. Rozejrzał się szybko po słabo oświetlonym pomieszczeniu, zerkając za rzędy szafek, nim przeszedł do pryszniców i toalet. Pod ścianą leżało ciało.

Tommy Joe Farquar nie miał już tupeciku, jego garnitur już nie błyszczał, był ranny, ale żył. Krzyknął, gdy zobaczył Mercera z bronią, sądząc, że jest to jeden z ludzi, którzy jego żonę wrzucili do morza, a jego porwali. Nagle przestał się bać.

– Filistynie! Bóg ześle na ciebie karę – powiedział tonem, jakim przemawiał do wiernych przed telewizorami. – Będziesz cierpiał niewysłowione męki przez całą wieczność, a twoja dusza zostanie rzucona diabelskim psom na pożarcie.

– To zapewne prawda, panie FarQuar – przyznał Mercer. – Ale my nie jesteśmy porywaczami. Uratowaliśmy pańską żonę.

– Lornę?

– Jest w Grindaviku, gdzie zesłicie na brzeg. Wszystko z nią w porządku.

– Chwalimy Cię, słodki Jeezu. – Chciał podnieść ramiona w dziękczynnym geście, ale szybko je opuścił, gdy przeszył go ból.

– Dlaczego strzelali do pana? – spytał Mercer.

– Próbowałem uciekać.

– To nie ma znaczenia – warknął zniecierpliwiony Raeder
– Musimy znaleźć Gunthera.

– Panie FarQuar, lekarz jest już w drodze. Jeśli da pan radę, proszę wyczołgać się na korytarz, tam ktoś pana znajdzie.

– Nie możecie mnie zostawić. – Tommy Joe wyciągnął zdrową rękę. – Oni mogą tu wrócić.

– Nie, postaram się, żeby nie wrócili.

Zostawili kaznodzieję i wyszli z budynku na drewniany podest przy basenie. Dziwnie zabarwiona woda parowała. Raeder szedł za Mercerem wzdłuż laguny. Kierowali się tam, gdzie widzieli Ratha i zakładników. Nierówny teren oddzielający spa od elektrowni umożliwiał Niemcom schowanie się i przygotowanie zasadzek. Mercer ostrożnie zszedł z podestu, gotowy natychmiast wystrzelić wszystkich trzydzieści pocisków.

Nagle ruszył w ich stronę Hughs 500, zmuszając do szukania schronienia wśród skał.

– Co on robi? – krzyknął przerażony Raeder.

– Myśli, że jesteście z Rathem.

Helikopter przeleciał jeszcze raz, tym razem zawisł około stu metrów od nich, by snajper mógł oddać celny strzał. Rozległ się huk i kawałek skały wielkości piłki do koszykówki rozpadł się na mnóstwo odłamków niecały metr od ich kryjówki. Mercer

i Raeder zerwali się i zaczęli biec, przeskakując od głazu do głazu. Usłyszeli kolejny huk i kula minęła Mercera o milimetry.

– Co możemy zrobić?

– Biegnijmy. Ira musi się dodzwonić do swoich i powiedzieć, kim jesteśmy.

Snajper z helikoptera wciąż próbował ich zabić. Mercer poczuł palący i przenikliwy ból. Dostał w nogę. Mimo że mógł poruszać stopą, wiedział, że coś jest nie tak. Wymacał ranę.

Chryste. Kula strzaskała mu kość udową. Nie upadł tylko dlatego, że był w szoku. Wiedział, że za chwilę straci przytomność.

Kiedy jednak przyjrzał się swojej ręce, zobaczył drobinki czegoś czarnego. To nie były fragmenty kości, ale kawałki skały. Kula trafiła w skałę za nim i uderzyły w niego odpryski kamienia. Rana była taka, jakby oberwał jednocześnie z kilku wiatrówiek.

Odetchnął z ulgą, zapominając o snajperze. Helikopter unosił się nad nimi, a strzelec trzymał go na muszce.

Gdy zwalniał spust, pilot szarpnął maszyną. Kula przeleciała nad głową Mercera. Snajper spojrzał wściekły na pilota i krzyknął coś. Przez chwilę słuchał, a potem odwrócił się w stronę Mercera. Pomachał w przepraszającym geście i helikopter odleciał w stronę parkingu.

– Co się stało? – Raeder wychylił się zza skały.

– Ira w końcu się połączył – powiedział Mercer zaskoczony, że żyje.

– Dasz radę iść?

– Cholera, jasne, że tak.

Doszli do rurociągu, który doprowadzał zużytą wodę z elektrowni do basenu spa i zaczęli biec. Daleko przed nimi wznosił się jeden z budynków elektrowni Svartsengi, piętrowa betonowa budowla z małymi oknami, które wyglądały jak świetliki. Wychodziła z niej gmatwanina niezliczonych rur, której piękno doceniłby tylko inżynier. Nad zabudowaniami unosiła się szarpana wiatrem para. Biegli, mijając turkusowe jezioro, niegdyś część starego spa Błękitna Laguna, a teraz odstojnik silnie zmineralizowanej wody wypychanej na powierzchnię przez olbrzymią moc wewnętrznego ciśnienia Ziemi.

Gdy znaleźli się na terenie elektrowni, Mercer zaryzykował i spojrzał na główną drogę dzielącą kompleks na dwie części. Znajdowało się tam sześć budynków. Wszystkie, z wyjątkiem gmachu administracji po drugiej stronie ulicy, połączone były rurami i przewodami różnych grubości. Mercerowi przypominało to miniaturową rafinerię. Tyle tylko, że tu było nieskazitelnie czysto. Powietrze drgało od generowanych trzydziestu dwóch megawatów, których wystarczyłoby dla trzydziestodwutysięcznego miasta.

Zobaczyli błysk i kule uderzyły w róg budynku, za którym przykucnęli Mercer i Raeder. Raeder odpowiedział ogniem. Ktokolwiek ich namierzył, dobrze się schował w gęstwinie rur. Przed jednym z budynków administracji stały dwa zaparkowane samochody. Najprawdopodobniej należały do pracowników ochrony, skoro pierwsza zmiana miała zacząć się dopiero za kilka godzin. Raeder osłaniał Mercera, kiedy ten dwoma krótkimi

seriami przestrzelił opony. W taki czy inny sposób i tak wszystko skończy się tutaj.

Okружиł budynek. W następnym były otwarte drzwi. Mercer wślizgnął się do środka, trzymając broń gotową do strzału. Wnętrze było dobrze oświetlone i nowoczesne. Wzdłuż rzędów turbin i wymienników ciepła biegły kładki. Budynek wibrował. Inne drzwi od frontu otworzyły się z trzaskiem i stanęły w nich dwie osoby. Mercer już miał strzelać, gdy rozpoznał siwe włosy kardynała Perettiego. Za jego plecami chował się jeden z ludzi Ratha, przystawiając pistolet do głowy kościelnego hierarchy.

– Puść go – krzyknął Mercer poprzez wycie maszyn.

Strzelec trzymał kardynała za gardło. Kryjąc się za nim, wszedł do środka.

– Jeśli się ruszysz, on zginie – odkrzyknął neonazista po niemiecku. Mercer nie potrzebował tłumaczenia Raedera, by zrozumieć sens odpowiedzi.

– Będziesz mógł stąd wyjść, chcemy tylko Ratha – krzyknął Raeder.

– Zapomnij o tym, Herr Raeder. Albo wszyscy się stąd wydostaniemy, albo wszyscy zginie my.

Mercer wstał powoli, by strzelec mógł go widzieć. MP-5 dyndało mu na pasku. Mężczyzna przestał celować w głowę Perettiego i wycelował w niego.

– Teraz zginiesz! – wrzasnął młody fanatyk.

Dominic Peretti nie stawiał oporu, odkąd człowiek z bronią wpadł do jego kabiny na pokładzie „Cesarzowej Mórz”, bo tylko jego życie było w niebezpieczeństwie. Ale nie mógł pozwolić,

by zginął człowiek, usiłujący go odbić. W młodości Peretti był gwiazdą drużyny koszykówki w seminarium. Słynął z obrotu, który niektórzy nazywali boskim.

Kardynał podbił pistolet Niemca, przesunął stopę i błyskawicznie obrócił się wokół niego.

Przez ułamek sekundy strzelec nie zasłaniał się zakładnikiem. Mercer wyciągnął berettę zza paska i wystrzelił trzy razy tak szybko, że zabrzmiało to jak pistolet automatyczny. Potrójne uderzenie rzuciło Niemca na ścianę. Osunął się na stalową podłogę. Peretti uklęknął i sprawdzał puls porywacza. Spojrzał na Mercera bez śladu żalu czy oskarżenia.

– Nic ci nie jest, ojczu?

– Jestem cały, synu – odpowiedział drugi najważniejszy człowiek w Watykanie.

– Czy wiesz, gdzie trzymają Dalajlamę?

– Nie. Rozdzieliliśmy się, gdy nas tu zabrali. Wielki mężczyzna i kobieta zabrali Jego Świątobliwość ze sobą. Wydaje mi się, że są w budynku administracji, ale nie jestem pewien.

– Próbują zadzwonić do biura Geo-Research w Reykjaviku?
– domyślał się Raeder.

– Być może – zgodził się Mercer. – Musi się ojciec ukryć, dopóki się to nie skończy.

– Tak zrobię – przytaknął Peretti, ale przyklęknął i odmówił modlitwę nad ciałem. Dopiero gdy skończył, zwrócił się do Mercera. – Możesz wyświadczyć mi przysługę?

– Yyy, naprawdę nie mam czasu. – Mercer nie domyślał się, czego ksiądz może chcieć od niego w tych okolicznościach.

– Poproś mnie o wybaczenie i zmów raz „Zdrowaś Mario”. – Jego oczy błyszczały. – i nie grzesz więcej, jak już wyślesz resztę do piekła, gdzie ich miejsce.

Mercer wymamrotał prawie zapomnianą modlitwę. Peretti zrobił nad nim znak krzyża i schował się za wielką rurą izolacyjną doprowadzającą gorącą wodę przez wymiennik.

Wyglądając na zewnątrz, Mercer nie zauważył żadnego ruchu. Frontowe drzwi budynku administracyjnego nie były uszkodzone. Wątpił, by Rath dotarł już tak daleko.

– Klaus, miej na oku ten budynek. Ja idę sprawdzić następny. – Mercer wybiegł, chowając się za rurami, aż dopadł trzech wysokich kominów. Metal wciąż był rozgrzany, chociaż para przeszła już przez niezliczone turbiny i wymienniki.

Ściany budynku za nim zrobione były ze stalowych płyt, jakby został opancerzony. Gdy Mercer dotarł do drzwi, przypomniał sobie, dlaczego. To był budynek numer 4, w którym była druga linia turbin, które wykorzystywały zużytą parę do podgrzewania izopentanu, pochodnego ropy naftowej. Płyn ten został specjalnie opracowany do wrzenia w temperaturze dziewięćdziesięciu stopni Celsjusza – wszystko po to, by wycisnąć maksimum energii z naturalnej pary. Pamiętał, jak dyrektor elektrowni, który oprowadzał go kilka lat temu, mówił, że izopentan łatwo wybucha. Za tym budynkiem znajdowały się odpływy, którymi słona woda wypompowana z czeluści ziemi wracała do natury po wytworzeniu elektryczności i ciepła, jakiej potrzebowali mieszkańcy półwyspu Reykjanes. Wszędzie na ścianach budynku numer 4 wywieszono znaki „Zakaz palenia”.

Klamka była już odstrzelona od drzwi, dzięki czemu Mercer mógł wejść do środka. Budynek numer 4 miał mniej nowoczesny, bardziej przemysłowy wystrój od pozostałych gmachów, z rzędami wydłużonych zbiorników przypominających cysterny z propanem przy wiejskich domach. Te tutaj wypełniał jednak izopentan. Przy każdym zestawie zbiorników stała mała napędzana parą turbina. Podłoga była z polerowanego betonu.

Z powodu bólu w nadgarstku Mercer z trudem trzymał MP-5. Lewa ręka mu zdrętwiała, więc oparł pistolet na zgięciu łokcia.

Przy jednym ze zbiorników wypatrzył ubraną na czarno postać chowającą się za turbiną. Mercer rozpoznał w uzbrojonym mężczyźnie „technika” z Geo-Research. On też rozpoznał Mercera. Otworzyli ogień w tej samej sekundzie i obydwaj chybili. Mercer zanurkował za turbinę, ścigany kolejną serią. Rozżarzony odłamek stali sparzył mu dłoń, nim zdążył go strząsnąć.

Odpowiedział ogniem. Jego przeciwnik przemieścił się, więc kule uderzyły w metal. Dobra, gdzie on, do cholery, poszedł? Mercer przesunął się w lewo i rzucił okiem na przejście między zbiornikami, ale tam mężczyzny nie było. Wtedy poszedł w prawo. Seria poszarpała beton pod jego nogami, on zaś skoczył pod zbiornik z izopentanem. Ach, jest tutaj.

Zbiorniki nad jego głową łączyło dziesięć rur, w tym potężna rura przesyłowa, która dostarczała parę. Mercer nie miał pojęcia, które tłoczyły gaz, a które płyn. Trudność polegała na tym, żeby zwabić strzelca we właściwe miejsce. Zmienił H&K na pistolet, by oszczędzać amunicję, i zaczął przemieszczać się po elektrowni, ustawiając strzelca, jak gdyby byli pionkami

w szachach – cofając się, gdy był do tego zmuszony, ale wytrwale prowadząc mężczyźną tam, gdzie chciał.

Mercer przebiegł przez otwartą przestrzeń. Strzały wyrwały bruzdy w podłodze za nim. Mercer wystrzelał magazynek tak szybko, jak szybko zdołał pociągać za spust. Wokół świsnęły kule. Dziesięć trafiło w miejsce, w którym rura łączyła się ze zbiornikiem izopentanu, gdzie ukrywał się morderca.

Mercer rzucił się biegiem do drzwi. Za jego plecami Niemiec uchylił się pod lawiną kul uderzających w stal nad jego głową. Miał sekundę, by usłyszeć syczenie, nim wyciekający izopentan wybuchł. Jak z miotacza ognia gaz zapłonął piętnastometrowym jęzorem ognia, który pochłaniał wszystko, czego dosięgnął. Wśród łuszczącej się farby i topniejących kabli morderca usmażył się jak kotlet.

Fala uderzeniowa rzuciła Mercerem o ścianę budynku i na chwilę pozbawiła przytomności. Gdy doszedł do siebie, czujnik wychwycił już pożar i odciął tę część instalacji. Zaczął wyc alarm. Włączyły się spryskiwacze i woda połała się strumieniem. Dźwignął się z podłogi, dotykając guza na czole. Jeśli inny zbiornik nie został przedziurawiony, budynek nie wybuchnie. Gdyby tak było, wybuchałyby kolejne.

Załadował ostatnie magazynki i pobiegł do następnego budynku. Była to prawie identyczna konstrukcja jak ta, w której zostawił kardynała Perettiiego. Różnobarwne rury i zawory były jedynym kolorowym akcentem w monochromatycznym, stalowym wnętrzu. Kuśtykał, miał kłopoty z widzeniem z powodu wstrząsu mózgu, ale starał się dokładnie sprawdzać budynek.

Przeskoczył przez poręcz, by zejść z nieosłoniętego pomostu, dzielącego długie pomieszczenie na pół. Wydawało mu się, że na końcu rzędu identycznych maszyn zauważył poruszający się cień. Pochylił się, żeby spojrzeć pod rury zasłaniające mu widok. Jest! Para nóg chowająca się za ostatnią turbiną. Ale zniknęły. Ten ktoś wspiał się na kwadratowy wymiennik, by widzieć całe pomieszczenie.

Mercer wstał, starając się być niewidocznym dla strzelca. Miał tylko jedną szansę. Nie będzie to pojedynek na pistolety z dziesięciu kroków, raczej na karabiny maszynowe z trzydziestu. Zabójca zdawał sobie sprawę, że Mercer tam jest, mniej więcej wiedział, gdzie się cowa i miał lepszą pozycję do strzału. Mercer ruszył bokiem, oparzył rękę o rurę, zacisnął zęby, by nie jęknąć z bólu. W celowniku H&K zobaczył głowę Grety Schmidt.

Ona także miała pistolet automatyczny, ale celowała kilka stopni w bok. Zauważyła Mercera i próbowała naprawić swój błąd. Odwróciła się i strzeliła. Mercer wystrzelił raz, po czym zamek jego MP-5 się zaciął. Kula odbiła się od zaworu, nie robiąc nikomu krzywdy. Po sekundzie rura eksplodowała. Zanim para zasłoniła mu widok, Mercer zobaczył, jak twarz Grety zaczyna się roztopiać. Pierwsze zniknęły jej włosy, spalone strumieniem pary o temperaturze dwustu pięćdziesięciu stopni. Potem ciało zaczęło się topić, obnażając fragmenty kości.

Zniknęła, a Mercer dławił się kwasem. Oddychał szybko i płytko, jak wówczas, gdy usuwał zaklinowaną kulę. Wiedział, że miał szczęście. W głowie mu huczało.

Usłyszał krzyk. Zwierzęcy skowyt. Gunther Rath wszedł do budynku z drugiej strony i zobaczył, co zostało z jego kochanki.

– Mercer! – zawył – Zabiję cię!

– Lepszym od ciebie się nie udało – odkrzyknął Mercer. Rath wystrzelił na oślep – Mam jeszcze Dalailamę.

– Poddaj się, Rath. Jeśli wydostaniesz się żywy z tej elektrowni, nigdy nie opuścisz Islandii. Widziałeś helikopter. Wiesz, że powiadomiliśmy wojsko. Odetną całą wyspę, jeśli będą musieli.

– Myślisz, że to ma jakieś znaczenie? – odgrażał się Rath – Nawet jeśli ucieknę, Libijczycy zabiją mnie za niedostarczenie meteorytu.

– Libijczycy nie będą mieli okazji. – Mercer wystrzelił krótką serię i ruszył do tylnych drzwi budynku. Gonili go kule. Wiedział, że Rath nie pozwoli mu uciec. Ten człowiek nie miał już nic do stracenia, dyszał żądzą zemsty.

Z drugiego końca kompleksu huknęły strzały. Nie miały zabić Ratha, przeleciały wysoko nad jego głową. Klaus Raeder nadszedł jak rewolwerowiec z westernu, ładując broń w marszu. Nie spuszczał wzroku z człowieka, który kiedyś był jego zaufanym asystentem.

Dalajlama chwycił Ratha. Raedera dzieliło od nich czterdzieści pięć metrów. Nienawiść iskrzyła między nimi jak łuk elektryczny. Raeder był wściekły, że nie może zabić Ratha, bo Dalajlama się z nim szarpał.

– Nie zbliżaj się, Klaus – powiedział po niemiecku Rath. Jego głos był nienaturalnie spokojny. Przygotował się już na śmierć.

Raeder albo go nie słyszał, albo go to nie obchodziło. Mercer żałował, że nie rozumie, o czym rozmawiają.

– Zabij go, Gunther. To bez znaczenia – spokojnie mówił Raeder – Ty i tak umrzesz.

– Zrobię to.

– Wiem, że to zrobisz. – Raeder zbliżył się na trzydzieści metrów. – Co to dla ciebie jeszcze jedna śmierć? Powiedziałbym, że to jeszcze jedna dusza na twoim sumieniu, ale ty go nie masz. Myślałem, że przez te wszystkie lata byłem twoim mentorem. Teraz widzę, że to ty mnie uczyłeś. Twoje i moje życie jest bez znaczenia.

– A jego? – Rath przystawił lufę do głowy Dalajlamy.

– On wierzy, że się odrodzi w następnym wcieleniu. Jestem przekonany, że boi się śmierci jeszcze mniej niż my. Puść go. Załatwmy to między sobą. Przekonajmy się, ile mnie nauczyłeś. – Raeder odrzucił broń. – Jeden na jednego.

– Puszczę go, a Mercer od razu mnie zdejmie. Raeder powiedział do Mercera:

– Nie strzelaj. Zajmę się tym.

– o czym ty, do diabła, mówisz?

– Doktorze Mercer, to jest sprawa pomiędzy mną a Guntherem. On uwolni Dalajlamę, jeśli nie będziesz się wtrącał.

– Pieprzę to.

– Proszę – błagał Raeder. – Mówiłem ci już, że to jest mój błąd, który muszę naprawić. Pozwól mi na to. Potem możesz mnie aresztować i wpakować do więzienia. Pozwól mi to skończyć po swojemu.

Mercer zamrugnął, teraz widział wszystko podwójnie.

– Wiesz, co robisz? – spytał z powątpiewaniem. Raeder chwalił się, że jest świetny w sztukach walki, ale Rath był o dwadzieścia kilogramów cięższy i dziesięć centymetrów wyższy.

– Gwarantuję ci, że nawet jeśli przeżyje, nie będzie się w stanie stąd ruszyć.

– Oby tak było. – Mercer zatoczył się na izolowaną rurę odpływową pulsującą prawie wrzącą wodą.

Rath odrzucił broń i odepchnął Dalajlamę. Jego okulary rozbiły się, gdy upadł na chodnik.

Rath i Raeder zbliżyli się do siebie, krążąc ostrożnie. Raeder zadał pierwszy cios – szybkie uderzenie, które zmiażdżyłoby gardło prawie każdego człowieka. Rath z łatwością złapał pięść Raedera, obrócił go, kopnął trzy razy w brzuch, po czym puścił rękę i pozwolił, by Raeder zwałił się na ziemię.

– Klaus – zaśmiał się. – Naprawdę sądzisz, że wszystkiego cię nauczyłem?

Raeder stanął niepewnie na nogi. Mercer uniósł pistolet, ale tamci znowu zaczęli wokół siebie krążyć. Zwymiotował. Wstrząs mózgu, którego doznał po eksplozji w budynku numer 4, był o wiele silniejszy, niż przypuszczał.

Mężczyźni wymieniali uderzenia. Obaj wiedzieli, że ta walka może zakończyć się tylko w jeden sposób. Rath był silniejszy, bardziej wysportowany i więcej umiał. Trenował Raedera przez lata i pozwalał swojemu uczniowi czasami wygrywać, by nie stracił zainteresowania treningami, ale mógł go zabić w każdej chwili.

Wkrótce Raeder miał wybite zęby, nie mógł otworzyć jednego oka, kulał. Ale walczył dalej. By widzieć walczących, Mercer musiał się przeczołgać wzdłuż brzegu laguny. Ciepło parujące z basenu sprawiało, że jeszcze więcej potu spłynęło po jego już mokrej twarzy.

Był zbyt otumaniony, by zrozumieć, co robi Raeder, a Rath był zbyt skoncentrowany na tym, by zabić. Woda zasilająca niedalekie spa miała temperaturę siedemdziesięciu stopni, wystarczająco, by poparzyć, ale schładzała się, gdy wpadała do basenu o powierzchni czterech tysięcy metrów kwadratowych. Tu nie trzeba było sztucznie ochładzać cieczy, więc tryskała z rur odpływowych w temperaturze bliskiej wrzenia. Para wznosiła się jak nad kraterem wulkanu.

Raeder przyjął kopniak w głowę z półobrotu, który powalił go blisko odpływu, a gdy Rath pozwolił mu wstać na nogi, zachwiał się jak pijak, prawie się przewracając. Gdy Rath znowu zaatakował, przemysłowiec ostatkiem sił chwycił go za kurtkę i rzucił się do basenu.

Mercer odsunął się, gdy wrząca woda ochlapała mu nogi. Dwaj mężczyźni byli zanurzeni nie dłużej niż kilka sekund, a gdy wypłynęli, Klaus Raeder nie zwolnił uścisku. Ich ręce i twarze zrobiły się jasnoczerwone. Gotowali się żywcem. Mercer wiedział, że zapamięta krzyki Ratha do końca życia. Na zawsze też zapamięta wyraz zwycięstwa na twarzy Klause Raedera, gdy padał po raz kolejny do wody, wciągając swojego podwładnego.

Minęła minuta, a może godzina. Mercer zdał sobie sprawę z upływu czasu dopiero, gdy poczuł, że ktoś go dotyka. Otworzył oczy. To Dalajlama. Przyczołgał się do niego.

– Gdzie się zraniłeś? – spytał.

– Wszędzie oprócz sumienia. – Mercer zdobył się na zmęczony uśmiech – Wszystko w porządku?

– Tak mi się wydaje – odpowiedział buddysta. – Żałuję, że ich nie powstrzymałem.

– Człowiek, który cię ocalił, swoją winę mógł okupić tylko własną śmiercią. Wydaje mi się, że dobrze, że ci się nie udało.

Albo Dalajlama się zgodził, albo był zbyt wyczerpany, by odpowiedzieć. Mercer nie był pewien. Cisza między nimi, przerywana stłumionym wyciem alarmów włączonych podczas eksplozji izopentanu, trwała do momentu, gdy żołnierze wyłoniли się z mgły niczym zjawy. Kręcili się po budynkach w grupkach po czterech. Lufy ich M-16A1 stale omiatały teren. Trzech lekarzy ruszyło do Mercera i Dalajlamy. Jednak ktoś ich wyprzedził. Na twarzy Aniki Klein widać było mieszaninę troski i lekarskiego profesjonalizmu. Żołnierze pozwolili jej zająć się pacjentami.

– Myślałem, że nie przyjmujesz wizyt domowych – wymamrotał Mercer.

– I miałam darować sobie latanie – przytaknęła, odwracając go, by obejrzeć ranę na udzie. – Ale włoska marynarka uruchomiła helikopter, a ja wiedziałam, że będziesz potrzebował lekarza.

– Co z Irą i zakładnikami?

– Wszystko z nimi w porządku. Irę już zabrano do Reykjavíku razem z państwem FarQuar. Kardynał Peretti nie został

ranny. Przestań się zamartwiać o innych. – Nożyczkami z zestawu ratunkowego szybko i pewnie rozcięła mu spodnie. Reszta zajmowała się Dalajlamą... – Nie jest najgorzej. Znaleźliśmy resztki Greta i dwóch innych ludzi z Geo-Research. Gdzie Rath i Raeder?

– Dalej biją się w piekle – wymamrotał. Anika zaświeciła mu w oczy małą latarką.

– Wygląda na to, że masz lekki wstrząs mózgu. Jestem zaskoczona. Taka gruba czaszka... – mówiła prowokująco.

– Tracisz punkty za złą opiekę nad pacjentem.

– A co powiesz w takim razie na to? – pochyliła się i pocałowała go delikatnie.

– Czy to znaczy, że mi wybaczasz?

– Nie, to znaczy, że rozumiem cię trochę lepiej. – Jej oczy złagodniały. Gdy przyniesiono nosze, szepnęła: – i dalej podoba mi się to, co widzę.

EPILOG

Agent Secret Service sprawdził paszport Mercera i kasetę wideo, którą przyniósł ze sobą w dużej kopercie, po czym gestem zaprosił go do kamienicy. Letnie słońce prażyło nad wąską wiedeńską ulicą, złocąc architektoniczne detale barokowych i rokokowych budynków. Po pobycie na lodowcu taka temperatura była dla Mercera pieśczętą. Po kilku schodkach wspiął się do Instytutu Badań Stosowanych. Poruszał się wolno, ponieważ zostawił w Islandii swoją łaskę. Gospodyni otworzyła drzwi, zanim zdążył zapukać. Bez słowa odsunęła się na bok, by mógł przejść, ale na twarzy miała grymas niezadowolenia. Mercer nie mógł jej za to winić, ponieważ wiedział, kto był już na miejscu.

Przystanął w sieni. Mnóstwo książek wypełniających każdy zakamarek sprawiło, że poczuł się oszołomiony jak dziecko w Boże Narodzenie. Kochał książki, kolekcjonował je tak jak inni zbierali szlachetne wina, znaczki pocztowe czy antyki. Na jego zbiór składały się głównie stare publikacje z geologii i nauk o Ziemi oraz pierwsze wydania tekstów pionierów tych dziedzin, ale ekscytowała go każda stara książka. To był dreszcz świadomości, że pod okładką znajduje się wiedza, której on nie posiada,

jakiś szczegół albo obserwacja, której nigdy nie poczynił. Kochał ich wyjątkową moc jednoczesnego uczenia pokory i oświecania.

Widząc materiały, jakie zgromadził dziadek Aniki, przypomniał sobie, że za kilka miesięcy będzie w Paryżu na aukcji dzienników napisanych przez francuskich inżynierów, którym w XIX wieku nie udało się próba zbudowania w Panamie kanału na poziomie morza. Chciał mieć pamiątkę barona Godin de Lepinay, pierwszego człowieka, który zaproponował rozwiązanie ze śluzami. Mercer miał ekscentrycznego przyjaciela, który był przekonany, że dziennik zawierał ostatnią wskazówkę dotyczącą miejsca przechowywania skarbu skradzionego z hiszpańskich kolonii i zamierzał zapłacić za połowę książki tylko po to, żeby móc ją skopiować.

Frau Goetz pokazała gestem, że wszyscy są w jadalni na tyłach kamienicy. Usłyszał odliczający czas zegar z wahadłem. Podobnie jak reszta domu jadalnia zastawiona była regałami, a książki, które do niedawna pokrywały drewniany stół, odłożono na podłogę przy ścianach. Drzwi do ogrodu były zamknięte i powietrze pachniało stęchlizną i dymem z fajki. Na podłodze przy szklanych drzwiach stało urządzenie, które wytwarzało przypadkowe drgania akustyczne, by oszukiwać mikrofony laserowe. A ponieważ dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej przywiózł ze sobą swoją ochronę, Mercer przypuszczał, że cały dom został sprawdzony pod kątem podsłuchów.

Dyrektor Paul Barnes był przed sześćdziesiątką, miał siwe włosy, a na twarzy – wyraz irytacji. Jego intensywne spojrzenie nie wystarczało, by odciągnąć uwagę od bulwiastego pieprzyka,

który wyrastał mu u podstawy nosa. Od ciągłego pocierania narośl wyglądała jak obdarta ze skóry. Mercer wiedział, że Barnes był typem politycznego gracza, który spędzał dużo czasu, broniąc działań Agencji przed kongresowymi komisjami do spraw wywiadu. Panowała powszechna zgoda, że był najgorszą nominacją prezydenta; nie miał doświadczenia potrzebnego do kierowania naczelną agencją szpiegowską Ameryki, walczył więc zaciekle o zachowanie stołka. Na widok Mercera zmrużył oczy. Wrogość między nimi wzięta się z tego, że Mercer doskonale poradził sobie z kilkoma kryzysami, które powinien był rozwiązać Barnes.

Anika Klein siedziała pomiędzy dwoma starszymi panami w ciemnych krawatach i znoszonych koszulach. Domyślał się, że jeden z nich był jej dziadkiem Jacobem Eisenstadtem, a drugi partnerem dziadka w badaniach, Theodorem Weitzmannem. Mercer uśmiechnął się szeroko na widok Aniki. Skoczyła na nogi szybciej, niż planowała, zatrzymała się, by poprawić czarną spódnicę, i podeszła, by niewinnie pocałować go w policzek. Nie miała makijażu i ubrała się skromnie z szacunku dla dziadka, ale jej próba stłumienia swej seksualności tylko ją podkreśliła w oczach Mercera.

– Nie mogę uwierzyć, że lekarze w Reykjavíku cię wypuścili.
– Przyjrzała się sińcom na twarzy Mercera i jego zapadniętym oczom.

Od złapania Gunthera Ratha minęły dopiero cztery dni. Lewe ramię Mercer miał na temblaku, kulał.

– Nie wypuścili. Sam się wypisałem, jak wyleciałaś z Islandii.

– Gdybym wiedziała, że nie masz na tyle zdrowego rozsądku, by zostać w szpitalu, nie przyjeżdżałabym tutaj. – Przedstawiła go Eisenstadtowi i Weitzmannowi, którzy po kolei uścisnęli mu dłonie.

– Dobrze pana poznać osobiście – powiedział tubalnie Eisenstadt z silnym akcentem. Kilka razy rozmawiał już z Mercerem przez telefon, kiedy ustalali szczegóły tego spotkania.

– Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pana. – Starszy naukowiec pasował do wyobrażeń Mercera.

Frau Goetz postawiła przed Mercerem kawę i szklankę wody. Zauważył, że mu się przygląda, po czym kiwa aprobująco głową w stronę Aniki. Ta pokręciła lekko głową, potem uśmiechnęła się i zrobiła dłonią gest, jakby chciała powiedzieć „być może”. Zarumieniła się, kiedy zrozumiała, że Mercer widział ich bezgłośnie rozmowę.

Barnes westchnął.

– Skoro jesteśmy już wszyscy, miejmy to już za sobą. – Nie przywitał Mercera.

Od Iry Lasko Mercer wiedział, że Barnes spędził długie popołudnie w Białym Domu. Prezydent był wściekły na Barnesa za to, jak załatwiał tę sprawę, i o ile Mercer wiedział, rozkazał mu za wszelką cenę wszystko naprawić. Zmusił go nawet, by dla wygody Eisenstadta i Weitzmanna pojechać do Wiednia zamiast zwoływać spotkanie w Waszyngtonie.

W gruncie rzeczy Barnes był tutaj, by zgodzić się na każde żądanie Mercera. Ten cieszyłby się ze swojej władzy nad szefem CIA, gdyby nie dystans, jakiego nabrał w ostatnich dniach. Teraz

wystarczyło mu, że ma wszystkie karty, i pozwalał Barnesowi zachować godność.

– Panie Barnes, chciałbym podziękować, że zgodził się pan tu przybyć – zaczął Mercer, podtrzymując złudzenie, że dyrektor miał jakiś wybór – a także powiedzieć, że doceniam pana wysiłki, by ukryć to, co wydarzyło się na pokładzie „Cesarzowej Mórz”. Historia o ataku terrorystów, którzy następnie wszyscy zginęli w walce z ochroną statku, jest wiarygodna.

– Wystarczająco dobrze pasowała do faktów, żeby media dały się przekonać – przyznał Barnes. Jeśli nawet ulżyło mu, że Mercer nie podkreślał, iż szef CIA był traktowany jak chłopiec na posyłki, nie okazał tego. – Udało nam się wyciszyć wszelkie informacje na temat walk w Błękitnej Lagunie i elektrowni Svartsengi, mówiąc, że chodziło o wybuch aparatury pod ciśnieniem, który zasypał spa odłamkami.

– Czy pański rząd zapłaci za zniszczenia? – zapytała Anika.

– Wraz z odszkodowaniami dla rodzin zamordowanych w Grindavik – skinął głową Barnes. – Tym zdobyliśmy wsparcie lokalnych władz.

– To załatwia sprawę przypadkowych świadków – stwierdził Mercer. – Ale pozostają ci, którzy byli zaangażowani bezpośrednio, a oni nie uciszą się tak łatwo.

– Dlatego tu jestem. – Barnes splótł dłonie na stole, przygotowany do negocjacji. – Aby przedyskutować warunki państwa współpracy.

– Nie będzie dyskusji, panie Barnes. – Głos Mercera stwardniał, przypominając dyrektorowi CIA, że nie ma nic do po-

wiedzenia. – Zginęło kilkanaście niewinnych osób i ma pan zobowiązania wobec ich rodzin. Przygotowałem listę. – Wciąż miał moralnego kaca po wypisywaniu nazwisk. Szczególnie bolesne było dla niego nazwisko Elisebet Rosmunder, która żyłaby, gdyby nie rozmowa z nim. – Zanim przejdziemy do szczegółów, jest kilka rzeczy, których chciałbym się najpierw dowiedzieć. Zacznijmy od Charliego Bryce’a, Towarzystwa Kartografów i ich powiązań z CIA. Barnes powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

– To nie jest czas ani miejsce, by o tym mówić. Gdyby takie powiązania istniały, choć nie mówię, że tak jest, byłyby tajne.

Mercer zignorował obawy Barnes’a o bezpieczeństwo.

– Dopóki nie uznamy, że wiemy już dość, nie będzie żadnych tajemnic. Anika wie, jak zostałem wciągnięty w tę ekspedycję, i doszła już do kilku wniosków. Poinformowałem też panów Eisenstadta i Weitzmanna, że Towarzystwo poprosiło mnie o pomoc Irze Lasko, jednemu z pańskich agentów. Czy chce pan zostawić nas z przekonaniem, że Towarzystwo Kartografów to przykrywka CIA?

Chociaż chodziło o niezbyt znaczący szczegół, Barnes nie mógł znieść ujawniania czegokolwiek.

– Nie są przykrywką. Towarzystwo Kartografów wyświadcza nam... – szukał właściwego słowa – przysługi. Być może pamięta pan mowę Bryce’a o trzech rodzajach odkrywców: prawdziwych, kanapowych i tych, którzy płacą, by inni odkrywali za nich. Powiedzmy, że CIA podpada pod tę ostatnią kategorię, kiedy

musimy przeprowadzić operacje, których nie powinno się z nami łączyć.

– Płacicie im?

– Jak pan sądzi, dlaczego każda szkoła w naszym kraju płaci podwójną stawkę prenumeraty za ich czasopismo?

– Tajne subsydium?

– Dokładnie. Swoją drogą Ira nie pracuje bezpośrednio w CIA. Został nam przydzielony na tę misję z Białego Domu.

– Już mi to powiedział. Co więcej, próbuje mnie namówić na pracę dla nich. Specjalny doradca naukowy prezydenta czy coś w tym rodzaju. – Mercer nie wiedział jeszcze, czy się zgodzi, ale czuł się wyróżniony.

– Jeśli to jakakolwiek pociecha – dodał Barnes – Bryce nie był zbyt szczęśliwy, kiedy kazałem mu pana zwerbować.

– Charliem zajmę się innym razem – powiedział Mercer.

– Dzisiaj mamy przedyskutować, co zrobić ze sobą nawzajem.

– Oraz rozstrzygnąć sprawę odzyskanej skrzyni z meteorytem i ikony należącej do pewnego rosyjskiego duchownego. To ostatnie elementy niezwykłego odkrycia. Jako naukowiec musi pan wiedzieć, że odłamki meteorytu mogą zawierać niewyobrażalną wiedzę o naszym wszechświecie i jego początkach.

– Wątpię, czy wierzy pan w naukę, panie Barnes.

– Gdzie są te odłamki? – Barnes pochylił się nad stołem, ponownie usiłując wywrzeć psychologiczny nacisk. – Kiedy przesłuchaliśmy Irę Lasko w szpitalu, twierdził, że nie wie.

– Skłamał. – Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami łowcy nazistów wnieśli do jadalni niewielki telewizor i magnetowid.

Mercer wsunął kasetę do odtwarzacza i poczekał, aż Frau Goetz uruchomi odtwarzanie. – Te zdjęcia wykonano wczoraj.

Obraz na ekranie skakał, a dźwięk był zakłócony. Po chwili zorientowali się, że film wykonano z pokładu lecącego helikoptera. Drzwi maszyny były zamknięte, kamera filmowała więc przez porysowane okno. Trzysta metrów niżej zimny północny Atlantyk falował w swoim odwiecznym rytmie. Byli na tyle wysoko, że bałwany wyglądały jak kawałki białego sznurka. Kadr podskoczył i nagle zobaczyli Mercera siedzącego na ławeczce z tyłu transportowego śmigłowca.

– Kto to filmował? – zapytał Barnes ostro.

– Ira chciał polecieć z nami, ale nie mógł opuścić szpitala. Kamere obsługował ojciec Watutin – wyjaśnił Mercer. Na ekranie pochylił się właśnie, żeby odsłonić brezent, który przykrywał pudło stojące przy drzwiach. Ciemne wnętrze helikoptera wypełnił złoty poblask. Na jedynej zachowanej skrzynce „Pandory” leżał inny błyszczący artefakt – ostatnia ikona Rasputina.

Jacob Eisenstadt westchnął, kiedy zobaczył skrzynkę. Choć powiedział mu, co jest na taśmie, oczy mu zwilgotniały. Niewątpliwie myślał o tym, co wiązało się ze skrzynią – o pochodzeniu złota oraz o tych wszystkich, którzy zginęli, by dostarczyć jej zawartość.

Barnes zaczerpnął powietrza. Spojrzał na Mercera, próbując dostrzec, co dzieje się za jego szarymi oczami. Mercer uśmiechnął się triumfująco i Barnes wiedział już wszystko.

– Nie zrobiliście tego.

Film sprawił, że Mercer nie musiał odpowiadać. Ojciec Watutin odłożył kamerę, żeby otworzyć drzwi ładowni, po czym sfilmował, jak Mercer nogą wypycha ciężką ikonę z helikoptera. Kamera śledziła, jak zabytek spada, a następnie znika w morzu. Barnes zbladł w bezsilnej furii. Film pokazywał dalej, jak Mercer zapiera się o wsporniki siedzeń i tyłem wypycha skrzynię.

Watutin zrobił zbliżenie na swastykę znajdującą się na jednym z boków skrzyni, podążając za nią, w miarę jak Mercer przepychał ją do drzwi. Geolog zatrzymał ją na samej krawędzi i, patrząc w kamerę, zaczął przekrzykiwać huk wirnika.

– Problem z odkryciami naukowymi polega na tym, że kiedy czegoś się dowiemy, nie możemy już tego wykasować. Nie możemy zapomnieć, jak zrobić bombę atomową albo trujący gaz, i nie możemy zapobiec rozpowszechnianiu tej wiedzy. Aby posłużyć się banalną metaforą, kiedy wypuści się dzina z butelki, nie da się go wsadzić z powrotem. Ale tego dzina nie zamierzam wypuszczać. Militarne zastosowania promieniowania meteorytu znacznie przekraczają jakiegokolwiek potencjalne naukowe korzyści. Rosyjski szaleniec zdał sobie z tego sprawę sto lat temu i ukrył prawdę, a niemieckiemu szaleńcowi niemal udało się wykorzystać moc meteorytu do swoich celów. Teraz do mnie należy, by skończyć z tym raz na zawsze.

– Kto dał ci takie prawo? – krzyknął Barnes na Mercera.

– Nikt mi go nie dał. – Głos Mercera był twardy jak stal. – Zdobyłem je, przechodząc przez to wszystko, co zafundowaliście mi w ostatnich tygodniach.

Zgromadzeni znów wpatrywali się w monitor. Helikopter przechylił się, ułatwiając zrzućnięcie skrzyni w fale. Ojciec Watutin, jeden z dwóch żyjących członków Bractwa Pięści Szatana, znowu filmował obiekt swoich poszukiwań, dopóki nie zniknął w wodzie. Z pułapu, na którym leciał helikopter, rozbryzg wody wyglądał na żałosny, rozczarowujący koniec tak złowrogiego artefaktu. Dramat dobiegł końca.

Eisenstadt wyłączył telewizor.

– Dziękuję, doktorze Mercer, że mi pan to pokazał. Dziękuję też za umożliwienie mi decydowania o zniszczeniu ostatniej partii złota, którego szukałem. Anatolij Watutin wyjaśnił mi, że to jego grupa przesyłała mnie i Theodorowi informacje o tym ładunku. Powiedział mi, że w związku z tym, co przechowywali w skrzyni naziści, nie było innego wyboru.

Mercer docenił miłe słowa, ale dalej wpatrywał się w Barnesę, domyślając, że dyrektor CIA intensywnie myśli.

– Jeśli sądzi pan, że może wrócić na miejsce, gdzie zatonął rotorstat, i odzyskać resztę skrzyń, proszę o tym zapomnieć. Nie mogę pana powstrzymać od ich wydobycia, ale znam wszystkich czołowych naukowców, którzy mogliby badać te odłamki, włącznie z ludźmi z laboratoriów Departamentu Energii w Sandii i Livermore. Gdy tylko dowiem się, że ktoś pracuje nad „Pandorą”, zniszczę pana.

– Czy to jest cena za pańskie milczenie? – Barnes wiedział, że groźba nie była rzucana na wiatr.

Mercer skinął głową. Nie miał siły wściekać się na dwulicowość dyrektora CIA. Nie spodziewał się po nim niczego innego.

– A co z pozostałymi? Jaka jest cena za ich współpracę?

Jacob Eisenstadt wyciągnął palec jak prorok ze Starego Testamentu.

– Musi pan wiedzieć, że nasza współpraca nie oznacza aprobaty – zagrział. – Jeśli jednak cała rada nadzorcza Kohl AG zostanie wymieniona, a firma zapłaci dwa razy więcej, niż oczekuje żydowska komisja rekonyliacji, Theodor i ja uznamy tę sprawę za załatwioną.

Barnes odpowiedział bez wahania.

– Niemiecki rząd jak dotąd współpracował. „Njoerd” został skonfiskowany, a ci członkowie załogi, którzy byli po stronie Ratha, zostaną poddani śledztwu. Niewinni marynarze oraz pracownicy Geo-Research przed przejęciem przez firmę Kohl są wypuszczani po podpisaniu zobowiązania do zachowania tajemnicy. Myślę, że nie będą mieli problemu, by zmusić Kohl AG do spełnienia żądań panów.

Choć otrzymał odpowiedź, jakiej chciał, stary łowca nazistów nie wyglądał na zadowolonego. Mercer wątpił, by Eisenstadt kiedykolwiek zaznał spokoju.

– Czy to wszystko? – przerwał ciszę Barnes.

– Nie całkiem. – Mercer wyciągnął z kieszeni kartkę. – Hilda Brandt chce sumę, która pozwoli jej otworzyć w Hamburgu własną restaurację. Erwin Puhl, kiedy już wyleczy rany, chce stałą posadę w bazie McMurdo na Antarktydzie, by kontynuować swoje badania nad klimatem. Ojciec Watutin prosi o fundusze na odbudowę pewnej cerkwi w Sankt Petersburgu. Marty Bishop zniknął, gdy tylko „Cesarzowa Mórz” przybiła do Reykjavíku.

Walczy ze swoim ojcem, a nie z panem, więc nie sędzę, żeby wysuwał jakieś żądania.

– A co z panią, doktor Klein? Czego by pani chciała? Posłała Mercerowi znaczące spojrzenie.

– Nic mi nie trzeba, dziękuję.

Przez kolejnych dwadzieścia minut dopracowywali szczegóły, a Barnes kapitulował w każdej sprawie. Kiedy dyrektor opuścił Instytut, Anika zaprosiła Mercera na drinka, prosząc, by poczekał chwilę, żeby mogła pożegnać się z dziadkiem. Trwało to piętnaście minut.

– Jestem gotowa – oznajmiła, kiedy już wyszła z jadalni z dużą torbą przewieszoną przez ramię.

Popołudniowe światło rozbłysło w jej włosach jak na poleowanym antracycie. Jej beztroska była zaraźliwa.

– Bardzo długo się zegnaliście. Idziemy tylko do baru, prawda? Rzuciła mu rozbawione spojrzenie.

– Nie jesteś zbyt bystry, prawda?

– Niespecjalnie.

– Za tydzień muszę wrócić do pracy, a przez jakiś czas nie będę miała wakacji.

– Zamierzasz poświęcić się medycynie?

– Nauczyłam się, że bawić się w niebezpieczeństwo to nie to samo, co rzeczywiście je przeżywać. Żadnych więcej wypraw. Wracam do szpitala i zamierzam całować mojego szefa w tyłek tak długo, aż mi usta zdrętwieją. Miałam już dreszczyk emocji za wszystkie czasy.

– Czuję dokładnie to samo. Ale co to ma wspólnego z drinkiem? Anika zatrzymała się na ulicy. W jej oczach czał się piosny ognik.

– Mam ochotę na wino, a pewien znajomy amerykański geolog obiecał mi kilka dni w dolinie Loary. Żegnałam się z dziadkiem, bo zabierasz mnie do Francji.

– Zabieram? – Mercer był jednocześnie zdumiony i szczęśliwy. Zarezerwował już bilet na nocny lot do Stanów.

– Tak. – Ruszyła dalej, biorąc go za rękę i odwracając głowę, żeby nie zauważył jej rumieńców. – Pamiętasz, jak powiedziałam ci, że upijam się jednym kieliszkiem wina? Muszę cię ostrzec, że kiedy się napiję, robię się też napalona.

Serce Mercera zgubiło na chwilę rytm i nagle wszystkie kontuzje przestały mu przeszkadzać.

– Dziękuję za ostrzeżenie – powiedział, kiedy odzyskał głos.

Wyjechali, by zapomnieć o strasznych przeżyciach; nie chcieli, żeby ta historia prześladowała ich w snach. Po pierwszej wspólnej nocy w przytulnym, pachnącym winnicami pensjonacie wiedzieli już, że im to nie grozi.

OD AUTORA

Starałem się włączyć w tę opowieść jak najwięcej autentycznej historii. Pozwoliłem sobie na kilka odstępstw od faktów, ale mniej niż mógłby podejrzewać Czytelnik. Projekt „Iceberg” istniał, ale Camp Century (Stulecia, nie zaś Dekady) zbudowano dopiero w 1960 roku około dwustu czterdziestu kilometrów od Thule na zachodnim wybrzeżu Grenlandii. Opowieść Erwina Puhla o działaniach Hitlera na Rugii jest prawdziwa. U-1062 był zaopatrzeniowym okrętem podwodnym, zatopionym na Atlantyku po dostarczeniu ładunku torped nazistowskim podwodnym monsunom w Indonezji – ich tajnej flotylli na Oceanie Indyjskim.

Co do Rasputina i tajemnicy katastrofy tunguskiej: mistyk został wygnany z Sankt Petersburga mniej więcej wtedy, kiedy ja umieszczam go w czasie eksplozji. Wielu świadków twierdziło, że fragment obiektu, który uderzył w rosyjską tajgę, leciał dalej na północny zachód. Leonid Kulik był pierwszym naukowcem, który dotarł na miejsce wybuchu, i rzeczywiście zginął w obozie jenieckim. Jak dotychczas nauka nie wyjaśniła tajemniczego kataklizmu sprzed stu lat, ponieważ nie znaleziono żadnych

odłamków. Któż wie, co to było? Kometa? Asteroida? Statek kosmiczny? A może ostatnie nieszczęście, które wypadło z puszeki Pandory?

PODZIĘKOWANIA

Napisanie Kłątwy Pandory nie byłoby możliwe bez wsparcia wielu osób. Pierwszą jest Bob Diforio – agent, przyjaciel, który mnie stale motywuje. Za pomoc w dokumentacji muszę podziękować Thorsteinnowi Jonssonowi z elektrowni geotermalnej Svartsengi i Magnei Gudmundsdottir ze spa Błękitna Laguna, a także tym, których spotkałem podczas mojego pobytu na Grenlandii. Podziękowania należą się także doktorowi Dennisowi Grusenmeyerowi; Kim Haimann – za pomoc w przemierzaniu monachijskich przedmieść; Angelo i Remo Pizzagallim za podzielenie się opowieścią o wydobyciu jednego z P-38 z Zaginionego Szwadronu, który rozbił się na Grenlandii w 1942 roku.

W wydawnictwie NAL specjalne podziękowania kieruję do Douga Grada, mojego redaktora. Jak jubiler, który potrafi przemienić kawałek skały w klejnot, Doug zawsze umiejętnie szlifuje surowy rękopis, zmieniając go w książkę.